

KARIN SLAUGHTER

To prawdziwa petarda...
Pierwszorzędny thriller
z niezwykle wciągającą intrygą.

RT Book Reviews



MIASTO GLIN

TA POWIEŚĆ POTWIERDZA, ŻE KARIN SLAUGHTER
NIE MA SOBIE RÓWNYCH.

Michael Connelly

**KARIN
SLAUGHTER
MIASTO
GLIN**

przełożył
PAWEŁ WOLAK



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Tytuł oryginału: **Cop Town**

Projekt okładki: *Mariusz Banachowicz*

Redakcja: *Grażyna Muszyńska*

Redakcja techniczna: *Anna Sawicka-Banaszkiewicz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Katarzyna Szajowska*

© 2014 by Karin Slaughter

All rights reserved

© for this edition by MUZA SA, Warszawa 2016

© for the Polish translation by Paweł Wolak

ISBN 978-83-287-0350-6

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

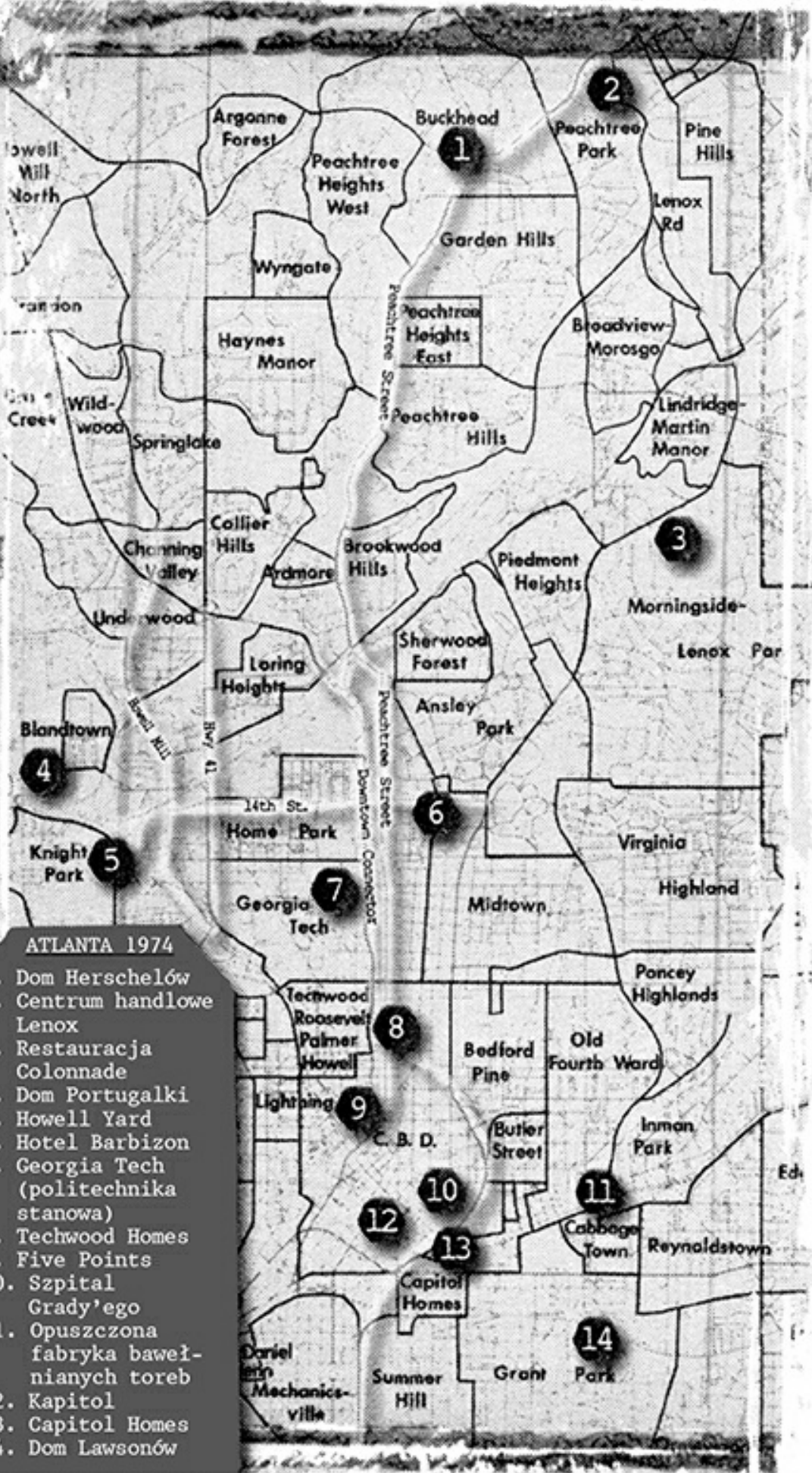
MUZA SA

Wydanie I

Warszawa 2016

Billie, która wszystko zaczęła...

(To byłoby okropnie...)



ATLANTA 1974

1. Dom Herschelów
2. Centrum handlowe Lenox
3. Restauracja Colonnade
4. Dom Portugalki
5. Howell Yard
6. Hotel Barbizon
7. Georgia Tech (politechnika stanowa)
8. Techwood Homes
9. Five Points
10. Szpital Grady'ego
11. Opuszczona fabryka bawełnianych toreb
12. Kapitol
13. Capitol Homes
14. Dom Lawsonów

LISTOPAD 1974

Prolog

Nad Peachtree Street wschodziło słońce. Promienie wdzierały się do centrum miasta i niczym brzytwa rozcinały zasłonę ciemności skrywającą dźwigi, które tylko czekały, żeby ruszyć do pracy i wznosić drapacze chmur, hotele i centra kongresowe. Parki skryły się pod pajęczyną mrozu. Ulicami snuła się mgła. Drzewa powoli rozprostowywały swoje kości. Listopadowe światło budziło do życia wilgotne, odrażające cielsko śpiącego miasta.

Słysząc było jedynie odgłosy kroków. Ciężkie uderzenia policyjnych butów Jimmy'ego Lawsona odbijały się echem od okolicznych budynków. Z mężczyzny lał się pot, a nadwerżone lewe kolano w każdej chwili mogło odmówić posłuszeństwa. Bolało go dosłownie wszystko. Czuł każdy mięsień napięty niczym struna. Zaciskał zęby tak mocno, jakby chciał je zetrzeć w pył. Serce waliło mu jak młotem. Kiedy mijał Pryor Street, zbudowany z czarnego granitu Equitable Building rzucał na ulicę kwadratowy cień. Ile skrzyżowań udało mu się już pokonać? Ile jeszcze zostało?

Jimmy niósł Dona Wesleya. Przewiesił go przez ramię jak worek z mąką. Tak zwany chwyt strażacki, trudniejszy niż może się wydawać. Bolał go bark i niemal czuł, jak kręgi napierają na kość ogonową. Od przyciskania nóg Dona do klatki piersiowej drżała mu ręka. Don być może już nie żył. W każdym razie się nie ruszał. Jimmy biegł przez dzielnicę Edgewood szybciej, niż zwykł biegać z piłką po boisku, i czuł tylko, jak głowa Dona uderza o jego plecy. Nie wiedział, czy to, co spływało mu po nogach i wlewało się do butów, to jego własny pot czy krew kolegi.

Don nie miał szans, żeby się z tego wylizać. Nie po czymś takim.

Wszystko stało się nagle. Jimmy zobaczył, jak zza muru z pustaków wysuwa się ręka z pistoletem. U wylotu lufy sterczał ostry ząbek celownika. To był Raven MP-25. Sześcioprowadnicowy półautomat z wyjmowanym magazynkiem i zamkiem swobodnym. Po prostu zwykła tania splota. W niebezpiecznych dzielnicach można kupić coś takiego za dwadzieścia pięć dolarów.

Tyle właśnie kosztowało życie Dona. Dwadzieścia pięć dolarów.

Kiedy Jimmy przebiegał obok First Atlanta Bank, zachwiał się i lewym kolaniem prawie dotknął asfaltu. Przed upadkiem uchroniły go tylko adrenalina i strach. W jego głowie co chwilę wybuchały kolorowe fajerwerki wspomnień: rękaw czerwonej koszuli marszczący się wokół żółtozłotego zegarka, dłoni w czarnej rękawiczce ściskająca rękojeść z imitacji masy perłowej. W blasku wschodzącego słońca czarny metal wydawał się jaśnieć niebieskawym światłem. Choć to teoretycznie niemożliwe, broń jakby się żarzyła.

I wtedy palec nacisnął spust.

Jimmy wiedział, jak działa ten model, i zorientował się, że pistolet jest odbezpieczony,

a magazynek załadowany. Po zwolnieniu spustu sprężyna poruszyła iglicę. Iglica uderzyła w spłonkę. Spłonka zainicjowała wybuch. Pocisk wyleciał z komory, a łuska wyskoczyła przez okno wyrzutowe.

Głowa Dona eksplodowała.

Jimmy nie musiał sobie tego przypominać. Obraz odcisnął się na jego rogówce i wystarczyło tylko mrugnąć, żeby powrócić. Przez moment Jimmy wpatrywał się w Dona, a potem na chwilę przeniósł wzrok na pistolet. Nagle część twarzy kumpla całkowicie się zmieniła. Wyglądała teraz jak zgniły owoc.

Klik, klik.

Pistolet się zaciął. Gdyby nie to, Jimmy nie biegłby ulicą, lecz leżał obok Dona z twarzą na chodniku, a wokół nich walałyby się zużyte prezerwatywy, niedopałki i brudne igły.

Gilmer Street. Courtland. Piedmont. Jeszcze tylko trzy przecznice. Kolano powinno wytrzymać.

Wcześniej nikt nigdy do Jimmy'ego nie strzelał. To było jak wybuch supernowej – nagle miliony punkcików rozjaśniły ciemną uliczkę. Zaczęło mu dzwonić w uszach, a oczy zapiekły od unoszącego się w powietrzu kordytu. Jednocześnie poczuł krople ciepłej wody, ale niestety wiedział, że to, co znalazło się na jego klatce piersiowej, szyi i twarzy, to wcale nie woda, lecz krew, kości i kawałki ciała. Poczuł dziwny smak w ustach i coś twardego między zębami. Krew Dona Wesleya. Jego kość. Jimmy'emu zrobiło się ciemno przed oczami.

Kiedy był dzieckiem, matka kazała mu zabierać siostrę na basen. Maggie była wtedy naprawdę malutka. Jej wystające z kostiumu kąpielowego blade i chude kończyny kojarzyły mu się z odnóżami modliszki. Podczas zabawy w wodzie pokazywał jej złączone dłonie i mówił, że złapał robaka. Co prawda była dziewczynką, ale uwielbiała patrzeć na robaki. Podpływała do niego, a on zaciskał mocno ręce i strumień wody opryskiwał jej twarz. Darła się wtedy wniebogłosy, czasami nawet płakała. Mimo to za każdym razem, gdy szli na basen, robił tak samo. Wmawiał sobie, że nie ma w tym nic złego, ponieważ to siostra dawała się w kółko nabierać na ten sam dowcip. To nie on był okrutny, tylko ona głupia.

Gdzie teraz jest? Miał nadzieję, że leży w łóżku i smacznie śpi. Jego siostra wykonywała ten sam co on niebezpieczny zawód. Niewykluczone więc, że pewnego dnia będzie taszczył przez miasto jej bezwładne ciało, z trudem biorąc zakręty, niemal szorując kolanami po asfalcie i słysząc trzaskanie zerwanych więzadeł.

Zobaczył przed sobą podświetlony znak: czerwony krzyż na białym tle.

Szpital Grady'ego.

Zbierało mu się na płacz. Miał ochotę położyć się na ziemi. Ciało Dona wydawało się coraz cięższe. Pokonanie ostatnich dwudziestu metrów było najtrudniejszym zadaniem w jego życiu.

Pod znakiem stała grupka czarnoskórych mężczyzn. Mieli na sobie ubrania w jaskrawych kolorach, głównie fiolety i zielenie. Obcisłe spodnie rozszerzały się poniżej kolan i opadały na buty z lakierowanej skóry. Gęste bokobrody. Cieniutkie wąsiki. Żółte

sygnety na palcach. Kilka metrów dalej stały ich cadillaki. To sutenerzy. O tej porze zawsze kręcili się przed wejściem do szpitala. Palili cienkie cygara i obserwowali wschód słońca, czekając, aż lekarze doprowadzą ich dziewczyny do porządku jeszcze przed porannym szczytem.

Żaden nie pomógł dwóm zbliżającym się do drzwi zakrwawionym policjantom. Tylko się na nich gapili, międląc w palcach tłące się cygaretki.

Jimmy oparł się o szklane drzwi. Ktoś zapomniał je zabezpieczyć i pod wpływem ciężaru nagle się otworzyły. Kolano wygięło się pod dziwnym kątem i Jimmy stracił równowagę. Wpadł z impetem do poczekalni i zwałił się na podłogę. Ten dziwny manewr wyglądał trochę jak nieudana próba przechwycenia piłki. Biodro Dona wbijało mu się w klatkę piersiową i Jimmy czuł, jak żebra dosłownie zacisnęły mu się na sercu.

Podniósł głowę. Wpatrywało się w niego przynajmniej pięćdziesiąt par oczu. Nikt się nie odezwał. Gdzieś daleko w części zabiegowej zaczął dzwonić telefon. Dźwięk odbijał się echem w zamkniętym pomieszczeniu.

Szpital Grady'ego. Minęło już ponad dziesięć lat od sukcesu Martina Luthera Kinga i ruchu praw obywatelskich, ale tutaj nic się nie zmieniło. Poczekalnia nadal była podzielona na dwie części: biali po jednej stronie, kolorowi po drugiej. Tak jak sutenerzy przed wejściem, również tutaj wszyscy gapili się na Jimmy'ego. I na Dona Wesleya. I na płynącą obok nich rzekę krwi.

Jimmy cały czas leżał na Donie. Wyglądało to nieco lubieżnie, jeden gliniarz uwalony na drugim. Jimmy delikatnie położył rękę na twarzy kolegi. Nie na odstrzelonej części, tylko na tej, która ciągle przypominała twarz.

– Wszystko w porządku – powiedział, chociaż doskonale wiedział, że to nieprawda. Nic nie było w porządku. – Będzie dobrze.

Don kaszlnął.

W tym momencie Jimmy poczuł skurcz żołądka. Był pewien, że chłopak nie żyje.

– Wezwijcie pomoc – chciał krzyknąć w kierunku tłumu, ale z jego gardła wydobył się jedynie szept. Brzmiał jak błagająca o ratunek dziewczynka. – Niech ktoś wezwie pomoc.

Don jęknął. Próbował coś powiedzieć, ale nie mógł. Język zawisł mu między zębami a pogruchotaną kością.

– W porządku. – Jimmy wykrzesał z siebie jedynie coś w rodzaju stłumionego świstu. Podniósł głowę. Oczekujący uciekali przed jego spojrzeniem. Nigdzie nie było pielęgniarek ani lekarzy. Nikogo, kto miałby zamiar im pomóc. Nikt nie odbierał też tego cholernego telefonu.

Don znowu jęknął. Język wysunął mu się za szczękę.

– W porządku – powtórzył Jimmy. Z oczu popłynęły łzy. Było mu niedobrze i miał zawroty głowy. – Wszystko się jakoś ułoży.

Don wziął głęboki oddech, jakby coś go nagle zdziwiło. Przez kilka sekund trzymał powietrze w płucach, aż wreszcie wydobył z siebie niski złowrogi pomruk. Jimmy poczuł, jak dźwięk wibruje w jego klatce piersiowej. Don miał kwaśny oddech – zapach ulatującej

z ciała duszy. Jego skóra zrobiła się mlecznobiała, a wargi ziemistosine. W matowej zieleni tęczy widać było odbijające się białe paski lamp fluorescencyjnych.

Jimmy poczuł, jak ogarnia go czarna rozpacz. Najpierw złapała za gardło, a następnie wyciągnęła swoje lodowato zimne palce w kierunku klatki piersiowej. Otworzył usta, żeby zaczerpnąć powietrza, ale zaraz je zamknął ze strachu, że może przez nie wpaść duch Dona.

Telefon nie przestawał dzwonić.

– Cholera – powiedziała chrypiącym głosem stara kobieta. – Teraz to już na pewno nie zajmie się mną żaden lekarz.

DZIEŃ PIERWSZY
poniedziałek

1

Kiedy rozległ się dzwonek, Maggie Lawson była na piętrze w swojej sypialni. Spojrzała na zegarek. Telefon tak wcześnie rano nie zwiastował niczego dobrego. Dźwięki z parteru odbijały się echem na schodach: słuchawka podnoszona z widełek, cichy szept matki, kabel uderzający o podłogę, gdy zaczęła spacerować po pomieszczeniu.

Na poprzecieranym linoleum widać było jaśniejsze pasy wytyczające trasę niezliczonych wędrówek Delii Lawson, która przemierzając kuchnię, słuchała złych wiadomości.

Tym razem rozmowa była krótka. Delia odłożyła słuchawkę. Głośny trzask wypełnił cały dom aż po belki stropowe. Maggie знаła tutaj każdy odgłos. Przez całe życie studiowała nastroje tego starego domostwa. Nawet ze swojego pokoju była w stanie śledzić wszystko, co dzieje się w kuchni: otwieranie i zamykanie lodówki, trzaskanie szafkami, rozbijanie jajek do miseczki, zgrzyt zapalniczki jednorazowej, gdy matka podpałała kolejnego papierosa.

Maggie wiedziała, co się teraz stanie. Od kiedy pamiętała, Delia zawsze umiejętnie wykorzystywała złe wiadomości przeciwko niej. Jest mistrzynią w tej grze. Na razie będzie milczeć, ale po jakimś czasie, może jutro, a może za tydzień, gdy wybuchnie kolejna kłótnia i Maggie otworzy usta, żeby coś powiedzieć, Delia wyłoży karty na stół: w pracy obcięli jej liczbę godzin, nie zapłaciła w terminie rachunku za prąd, w samochodzie trzeba wymienić skrzynię biegów, a Maggie tylko pogarsza sytuację, odpowiadając jej niegrzecznie, i czy na miłość boską mogłaby wreszcie dać jej spokój? Pozamiatane. Wygrywa rozdający.

Maggie złożyła deskę do prasowania i ostrożnie obeszał stopy świeżo upranych ubrań. Wstała o piątej rano, żeby zająć się prasowaniem rzeczy dla całej rodziny. Była Syzyfem w szlafroku. W tym domu każdy miał jakiś mundur – Lilly chodziła do szkoły w spódnicy w zielono-niebieską kratę i żółtej bluzce zapinanej na guziki, Jimmy i Maggie, funkcjonariusze wydziału policji w Atlancie, nosili granatowe spodnie i koszule z długim rękawem, a Delia pracowała w jadłodajni w zielonym fartuchu z poliestru. Po powrocie do domu wszyscy się przebierali i tym sposobem codziennie trzeba było uprać i wyprasować nie cztery, ale osiem kompletów ubrań.

Maggie narzekała tylko wtedy, gdy nikt jej nie słyszał.

Z pokoju Lilly zaczął dobiegać charakterystyczny dźwięk igły gramofonowej sunącej po winylowej płycie. Maggie zacisnęła zęby. *Tapestry* Carole King. Lilly słucha tego niemal non stop. Jeszcze nie tak dawno temu Maggie codziennie rano pomagała jej ubierać się do szkoły, a wieczorem razem przeglądały kolejne numery „Panny Młodej” i wycinały zdjęcia

przedstawiające ich wymarzony ślub. To było zanim Lilly skończyła trzynaście lat i, jak w piosence Carole King, stała się „wieczną wizją w nieustannie zmieniających się kolorach”.

Czekała, aż Jimmy zacznie walić w ścianę i krzyczeć, żeby wyłączyła to gównno, ale przypomniała sobie, że brat wziął nocną zmianę. Wyjrzała przez okno. Na podjeździe nie było jego samochodu. Co dziwne, brakowało też furgonetki sąsiada. Być może on również pracował w nocy. Skarciła się w myślach za snucie domysłów. Nie powinno jej obchodzić, czym zajmuje się sąsiad.

W zasadzie wszystko jedno, kiedy zejdzie na śniadanie, więc postanowiła zrobić to właśnie teraz. Idąc po schodach, wyjęła z włosów piankowe wałki i zatrzymała się równo w połowie drogi. Płyta przestała grać. W kuchni też było cicho. Chwila błogiego spokoju. Jeśli miała szczęście, to czasem udawało się jej stać na schodach w kompletnej ciszy nawet przez minutę. To był jedyny moment w ciągu dnia, kiedy mogła być naprawdę sama.

Wzięła głęboki wdech, powoli wypuściła powietrze i ruszyła w dół.

Ten wiktoriański dom był kiedyś okazałą rezydencją, ale dziś nie zachowały się żadne ślady jego minionej świetności. Brakowało fragmentów zewnętrznego odeskowania, z dachu zwisały niczym nietoperze kawałki zgniłego drewna, okna trzeszczały przy nawet najdelikatniejszym powiewie wiatru, po większym deszczu w piwnicy płynął strumień wody, a wokół każdego kontaktu wyraźnie odznaczał się czarny tatuaż będący wynikiem częstych awarii i niechlujnych napraw elektrycznych.

Chociaż była zima, w kuchni panowała wilgoć. Niezależnie od pory roku w powietrzu unosił się zapach smażonego bekonu i papierosów. Źródło tego zapachu stało teraz przy kuchence i parzyło kawę. Kiedy Maggie myślała o swojej matce, zawsze wyobrażała sobie tę kuchnię – sprzęt AGD w kolorze wyblakłego awokado, popękane żółte linoleum na podłodze, wypalone dziury w blatach z laminatu tam, gdzie ojciec kładł tłące się jeszcze papierosy.

Jak zwykle Delia wstała wcześniej niż Maggie. Nikt nie wiedział, czym tak naprawdę zajmuje się o tej porze. Najprawdopodobniej przeklina Boga, że obudziła się w tym samym domu z tymi samymi problemami. Panowała niepisana zasada, że nie należy schodzić do kuchni, zanim nie usłyszy się odgłosu ubijania jajek. Delia zawsze przygotowywała obfite śniadania, co było pozostałością po dzieciństwie spędzonym w czasach wielkiego kryzysu, kiedy śniadanie bywało jedynym posiłkiem w ciągu całego dnia.

– Lilly już wstała? – Delia nie odwróciła się, ale i tak wiedziała, że Maggie stoi za jej plecami.

– Przed chwilą. Mogę ci jakoś pomóc? – To samo pytanie zadawała każdego ranka.

– Nie. – Delia przewróciła bekon na drugą stronę. – Podjazd sąsiada jest pusty.

Maggie wyjrzała przez okno, udając, że nie ma pojęcia o braku furgonetki Lee Granta.

– Brakuje nam tylko tego, żeby o każdej porze dnia i nocy zaczęły się tam kręcić dziewczyny. Znowu.

Maggie oparła się o blat. Delia wyglądała na zmęczoną. Nawet jej posklejane ciemne

włosy wymykały się spod upięcia. Cała rodzina brała nadgodziny, żeby zapłacić za prywatną szkołę Lilly. Nie chcieli, żeby jeździła przez całe miasto autobusem i uczyła się w niebezpiecznej dzielnicy. Oznaczało to, że jeszcze przez cztery lata muszą pokrywać koszt czesnego, podręczników i mundurków. Maggie miała wątpliwości, czy matka tak długo pożyje.

W dzieciństwie Delia na własne oczy widziała, jak ojciec strzelił sobie w głowę, gdy zbankrutował rodzinny interes. Jej matka zaharowała się na śmierć, pracując na farmie. Dwaj bracia zmarli na Heinego-Medina. Kiedy wychodziła za mąż za Hanka Lawsons, wydawało się, że wygrała los na loterii. Hank nosił garnitur, miał dobrą pracę i ładny samochód, ale potem pojechał walczyć na Okinawę, gdzie nabawił się nerwicy frontowej i po powrocie do domu został stałym pacjentem szpitali psychiatrycznych.

Maggie nie знаła go zbyt dobrze, ale wiedziała, że między kolejnymi pobytami w wariatkowie starał się prowadzić normalne życie. Gdy się urodziła, postawił w ogródku za domem huśtawkę. Kiedyś kupił na wyprzedazy w sklepie żelaznym szarą farbę i przez trzydzieści sześć godzin bez przerwy malował na kolor lotniskowca pokoje w całym domu. W weekendy kosił trawę tak długo, aż wypił sześciopak piwa Schlitz, a gdy opróżnił ostatnią butelkę, zostawiał kosiarkę tam, gdzie skończył, i wracał do domu. Pewnego razu, zimą, gdy Maggie była chora na zapalenie gardła, przyniósł jej śnieg w plastikowym pojemniku, żeby mogła się nim pobawić w łazience.

– Maggie, na miłość boską! – Delia uderzyła widelcem w patelnię. – Nie możesz sobie znaleźć jakiegoś zajęcia?

Maggie wyjęła z szafki talerze i sztucce. Zniosła je do jadalni. Lilly siedziała już przy stole pochylona nad podręcznikiem. Maggie nie mogła w to uwierzyć. Miała wrażenie, że przez ostatni rok nie była świadkiem procesu dojrzewania trzynastoletniej dziewczynki, lecz raczej brała udział w zdjęciach próbnych do *Egzorcysty*.

Mimo to wciąż miała słabość do młodszej siostry.

– Dobrze spałaś?

– Kapitalnie.

Maggie postawiła talerz i zaczepnie trąciła Lilly nogą.

– Czego się uczysz? – Lilly milczała, więc Maggie jeszcze raz ją trąciła, a potem zaczęła śpiewać początek *I feel the earth move*, podkreślając każdą pauzę kolejnym szturchnięciem.

– Przestań. – Lilly pochyliła się tak nisko, że jej nos niemal dotknął książki.

Maggie wróciła do nakrywania stołu. Po chwili rzuciła okiem na siostrę, która niezmiennie wpatrywała się w to samo miejsce u dołu strony.

– Spójrz na mnie.

– Uczę się.

– Spójrz na mnie.

– Mam klasówkę.

– Wiem, że znowu używałaś moich kosmetyków do makijażu.

Lilly podniosła głowę. Oczy miała wymalowane jak Kleopatra.

– Dziecinko, jesteś śliczna. Nie musisz się tak pacykować – powiedziała Maggie ściszym głosem.

Lilly przewróciła oczami.

Maggie nie dała jednak za wygraną.

– Ty chyba nie wiesz, co myślą chłopcy o wymalowanych dziewczynach w twoim wieku.

– Dobrze, że ty wiesz.

Maggie położyła rękę na stole i zaczęła się zastanawiać, od kiedy jej uroczej siostrzyczce tak bardzo wyostrzył się język.

Otworzyły się drzwi i do jadalni wkroczyła Delia z półmiskami, na których leżały naleśniki, jajecznica, bekon i bułeczki.

– Masz dwie sekundy, żeby zmyć z siebie to świństwo. Potem biorę pas.

Lilly wybiegła z pokoju jak wystrzelona z procy. Delia z hukiem postawiła półmiski na stole.

– Czego ty ją uczysz?

– Dlaczego ja...

– Nie pyskuj. – Delia wyjęła z kieszeni fartucha paczkę papierosów. – Margaret, masz dwadzieścia dwa lata, a mnie się wydaje, że mieszkam pod jednym dachem z dwiema nastolatkami.

– Dwadzieścia trzy – wydusiła Maggie.

Delia zapaliła papierosa i z sykiem wypuściła dym.

– Dwadzieścia trzy – powtórzyła. – W tym wieku miałam już męża i dwójkę dzieci.

Maggie powstrzymała się przed pytaniem, jak się to skończyło.

Delia zdjęła z języka drobinę tytoniu.

– Te feministyczne gadki są dobre dla bogatych dziewczyn. Ty, moja droga, masz jedynie twarz i figurę. Szybko je stracisz i dlatego musisz się pośpieszyć.

Maggie zacisnęła usta. Wyobraziła sobie skrzynię stojącą na tyłach jakiegoś magazynu, w której schowane są utracone twarze i ciała trzydziestoletnich kobiet.

– Czy ty mnie w ogóle słuchasz?

– Mamo – powiedziała Maggie, starając się panować nad głosem. – Lubię swoją pracę.

– Na pewno fajnie jest robić, co się chce. – Delia zaciągnęła się głęboko i przez dłuższą chwilę trzymała dym w płucach. Spojrzała na sufit i pokręciła głową.

Maggie tknęło przecucie, że atak nastąpi jednak wcześniej, niż się spodziewała. Matka najwyraźniej tasowała karty i za chwilę na stole wyląduje as złej wiadomości: dlaczego marnujesz swoje życie? Idź do szkoły dla pielęgniarek. Możesz pracować dorywczo

w normalnej firmie i poznać faceta, który nie będzie myślał, że jesteś dziwką.

Zamiast tego Delia oznajmiła:

– Dziś rano zabili Dona Wesleya.

Magie przycisnęła rękę do piersi. Poczwała, jakby miała pod palcami trzepoczącego się kolibra.

– Strzał w głowę. Zmarł dwie sekundy po tym, jak trafił do szpitala.

– A Jimmy?

– Myślisz, że opowiadałbym ci o Donie, gdyby coś się stało Jimmy’emu?

Maggie próbowała wziąć głęboki oddech, ale zakrztusiła się i musiała odkaszląć. Jadalnia wypełniona była dymem papierosowym i zapachami z kuchni. Marzyła o tym, by wpuścić trochę świeżego powietrza, ale ojciec pomalował okna tak, że zaschnięta farba uniemożliwiała ich otwarcie.

– Jak to...? – Maggie miała problem z wysłowieniem się. – Jak to się stało?

– Jestem tylko matką. Myślisz, że powiedzieli mi coś więcej?

– Oni. – Maggie wiedziała, że chodzi o wuja Terry’ego i jego kumpli. Przy nich Delia sprawiała wrażenie wygadanej. Był jednak łatwy sposób, żeby dowiedzieć się czegoś więcej. Maggie podeszła do półki, żeby włączyć radio.

– Nie rób tego. W wiadomościach nie powiedzą więcej, niż już wiemy.

– A niby co wiemy?

– Daj spokój. – Delia strzepnęła popiół do wnętrza dłoni. – Jimmy’emu nic nie grozi i to jest najważniejsze. Bądź dla niego miła, jak wróci do domu.

– Jasne, ja tylko...

Na podjeździe ktoś tak mocno trzasnął drzwiczkami samochodu, że zatrzęsły się szyby w oknach. Maggie wstrzymała oddech. Miała nadzieję, że to sąsiad wrócił z pracy, ale niestety usłyszała zbliżające się kroki – najpierw pod wiatą na zewnątrz, a potem na schodach. Otworzyły się drzwi.

Wiedziała, że to wuj Terry, zanim go jeszcze zobaczyła. Nigdy nie zamykał za sobą drzwi kuchennych, ponieważ jego zdaniem nie było to prawdziwe pomieszczenie, lecz jedna z tych rzeczy, których potrzebują kobiety, a o których mężczyźni woleliby nic nie wiedzieć, jak na przykład podpaski albo romanse.

Chociaż dzień dopiero się zaczął, Terry Lawson śmierdział alkoholem. Maggie czuła to wyraźnie, mimo że byli po przeciwnych stronach pokoju. Terry stał w progu jadalni, kołyszając się na boki. Miał na sobie mundur sierżanta policji. Przez rozpięte niechlujnie guziki widać było biały podkoszulek. Zza kołnierzyka wystawały kępki włosów. Wyglądał, jakby spał w samochodzie z butelką Jacka Daniela między nogami. I pewnie właśnie tak było, gdy usłyszał w swoim nadajniku o śmierci Dona Wesleya.

– Siadaj. Ledwo się trzymasz na nogach – powiedziała Delia.

Terry potarł brodę, wciąż wpatrując się w bratową i bratanicę.

– Jimmy jest już w drodze. Zajmują się nim Mack i Bud.

– Dobrze się czuje? – zapytała Maggie.

– Jasne, że tak. Nie histeryzuj.

Maggie miała jednak ochotę zrobić mu na złość i pohisteryzować.

– Powinieneś do mnie zadzwonić.

– Po co?

To pytanie wprawiło ją w osłupienie. Pomijając, że Jimmy był jej bratem, a Don Wesley jego przyjacielem, ona również pracowała w policji. Kiedy jakiś gliniarz lądował w szpitalu, należało go odwiedzić, oddać krew, czekać na wiadomości, pocieszyć rodzinę. To wszystko było częścią jej pracy.

– Powinam tam być.

– Po co? – powtórzył. – Kawę przynosiły nam pielęgniarki. Tylko byś przeszkadzała. – Skinął głową w kierunku Delii. – Tak w ogóle to chętnie napiłbym się kawy.

Delia wróciła do kuchni.

Maggie usiadła przy stole. Z nadmiaru emocji zakręciło jej się w głowie. Była wściekła, że wszystko musi z Terry'ego wyciągać siłą.

– Jak to się stało?

– Tak jak zawsze. – Terry także postanowił usiąść. – Zabił go jakiś czarnuch.

– To znowu Strzelec?

– Strzelec – burknął lekceważąco. – Przestań opowiadać bzdury.

– Wujek Terry! – Do pokoju wbiegła Lilly. Rzuciła mu się na szyję i pocałowała w policzek. Przy Terry'm zawsze zachowywała się, jakby miała kilka lat mniej.

– Jimmy jest cały i zdrowy, ale dziś rano zamordowano Dona Wesleya – poinformowała Maggie siostrę.

Terry poklepał Lilly po ramieniu i spojrzał surowo na Maggie.

– Nie martw się. Razem z chłopakami dorwiemy skurczybyka.

– Wcale się nie martwimy – powiedziała Delia i stawiając przed Terry'm kubek kawy, podała mu gazetę. – U Cala i innych wszystko w porządku?

– Jasne, że tak. Mają się świetnie. – Terry otworzył gazetę. Dzisiejszy numer „The Atlanta Constitution” na pewno został oddany do druku, zanim jeszcze zamordowano Dona Wesleya. Artykuł na pierwszej stronie informował o zmianach strukturalnych, które nowy czarnoskóry burmistrz miał zamiar wprowadzić w ratuszu.

– Don jest w takim razie piątą ofiarą – stwierdziła Maggie.

– Nie dręcz wujka – powiedziała Delia i znowu wyszła do kuchni.

Maggie udała, że nie usłyszała ostrzeżenia.

– To na pewno Strzelec.

Terry pokręcił głową.

– Urządzono na nich zasadzkę. To musi być...

– Jedz śniadanie – przerwał jej w pół zdania. – Jeśli chcesz, żebym cię podwiózł do pracy, musisz być niedługo gotowa. Nie będę na ciebie czekał.

Lilly cały czas jednym ramieniem obejmowała Terry'ego. W pewnym momencie zapytała cichutkim głosem:

– Wszystko będzie dobrze, wujku Terry?

– To miasto glin, kochanie. W żadnym zoo nie rządzą przecież małpy. – Poklepał ją po pupie. – No, zjedz śniadanie.

Lilly nigdy nie kłóciła się z Terryem. Usiadła na krześle i zaczęła skubać jedzenie.

Terry przewracał z głośnym szelestem kolejne strony gazety. Maggie widziała tylko czubek jego głowy. Miał fryzurę na jeża i robiły mu się zakola. Powinien nosić okulary. Marszczył czoło i mrużył oczy, starając się przeczytać wyniki meczów.

W kuchni rozległ się głośny szum starego radia tranzystorowego. Z małego głośnika popłynął głos spikera: „Według ostatnich doniesień zamordowano kolejnego policjanta na służbie...”. Widocznie Delia musiała ściszyć odbiornik, ponieważ głos nagle zamilkł.

Maggie zdawała sobie sprawę, że w jednej kwestii jej matka miała rację – z radia mogły się dowiedzieć najwyżej tego, co już same wiedziały. W ciągu ostatnich trzech miesięcy zginęło czterech policjantów patrolujących miasto. Zostali zastrzeleni wcześniej rano w centrum Atlanty w okolicach Five Points. Ginęli parami – nikt nie chodził przecież na patrole w pojedynkę. Pierwszą dwójkę zamordowano w zaułku. Zabójca kazał im klęknąć, a potem strzelił każdemu w głowę. Ciała dwóch pozostałych znaleziono w motelu Portman obok wejścia dla personelu. Wszystko wydarzyło się według tego samego scenariusza. Policja nie miała żadnego tropu. Nie było świadków. Nie znaleziono odcisków palców ani łusek. Zero podejrzanych.

Na komisariacie zaczęto nazywać zabójcę Strzelcem z Atlanty.

– Nastawiłam jeszcze jeden dzbanek kawy. – Delia usiadła za stołem naprzeciwko Terry'ego. Rzadko zajmowała to miejsce. – Terrance, powiedz mi, co się tak naprawdę wydarzyło.

Terrance – słowo przez dłuższą chwilę wisiało w powietrzu, razem z dymem papierosowym i tłuszczem z bekonu.

Terry nie potrafił ukryć niechęci. Głośno westchnął i zaczął metodycznie składać gazetę. Położył ją przed sobą, a potem przysunął do krawędzi stołu. Zamiast odpowiedzieć na pytanie, wykonał dłonią gest pistoletu i przystawił go sobie do skroni. Zaległa kompletna cisza. Pociągnął za spust.

– Jezus Maria – wyszeptała Lilly.

Tym razem nikt jej nie zrugął za nieodpowiednie słownictwo.

– Jimmy nie mógł nic zrobić – oznajmił Terry. – Wziął Dona na plecy i przebiegł z nim dwadzieścia przecznic. Dotarł do szpitala, ale było już za późno.

Maggie pomyślała o chorym kolanie brata.

– Jimmy nie był...

– Wszystko z nim w porządku. On naprawdę nie potrzebuje babskiego rozczulania się – powiedział Terry takim tonem, jakby robił im przysługę, i znowu zajął się gazetą.

Tak naprawdę wcale nie odpowiedział na pytanie Delii. Zbył ją ogólnikami, mówiąc mniej więcej to samo, co można usłyszeć w radiu. Doskonale wiedział, co robi. W młodości służył w piechocie morskiej w jednostce specjalizującej się w wojnie psychologicznej i bez skrępowania korzystał ze zdobytych wtedy umiejętności.

Delia, zamiast wrócić do kuchni, sięgnęła do kieszeni fartucha i wyjęła paczkę koolsów. Kiedy zapalała papierosa, wyraźnie trzęsły jej się ręce. Zaciągnęła się i widać to ją uspokoiło. Wypuściła dym nosem. Każda zmarszczka na jej twarzy została wyżłobiona przez nałóg – przypominające krepinę pajęczynki wokół ust, obwisły podbródek, głęboka bruzda między brwiami. Nawet jej włosy miały kolor dymu papierosowego. Skończyła dopiero czterdzieści pięć lat, ale wyglądała na sześćdziesiąt, a dziś sprawiała wrażenie, jakby miała ze dwa razy tyle i zaraz miała trafić do grobu. Jak Don Wesley.

Maggie uważała go za mruka. Wrócił niedawno z Wietnamu i nie był w stanie wykonywać żadnej pracy, w której nie nosi się broni. Jego rodzina pochodziła z Dolnej Alabamy. Wynajmował mieszkanie na Piedmont Avenue, jeździł bordowym chevroletem chevelle i miał dziewczynę Indiankę. Była hippiską, lubiła opowiadać o równości i braterstwie i nie narzekała, gdy Don ją bił, ponieważ – jak twierdził – naoglądał się w dżungli straszego gówna.

Teraz nie miało to już jednak żadnego znaczenia. Don był martwy.

Terry odstawił z hukiem kubek na stół, plamiąc biały obrus kawą.

– Mogę się poczęstować?

Delia wstała i zaczęła nakładać jedzenie, choć wiedziała, że z samego rana Terry ma zazwyczaj zbyt dużego kaca, żeby cokolwiek przełknąć.

Postawiła przed nim talerz.

– Terry, proszę cię, powiedz mi, co się stało. To mój syn. Muszę wiedzieć. – W jej głosie wyraźnie było słyhać błaganie.

Terry zerknął na Maggie, a potem spojrzał wymownie na w połowie pusty kubek.

Maggie głośno westchnęła i poszła do kuchni po kawę. Gdy wyszła, Terry zaczął opowiadać.

– To było pod sam koniec zmiany. Nie działo się nic szczególnego. Nagle dostali zgłoszenie czterdzieści cztery na Whitehall Street w okolicach Five Points. Czyli napad. –

Poczuł na sobie zniecierpliwiony wzrok Maggie, która właśnie wróciła do jadalni. Przecież już od pięciu lat patrolowała ulice. – Jadą tam i sprawdzają, co się stało. Główne drzwi i wejście dla personelu są zamknięte. Odwołują alarm przez krótkofalówkę. I nagle... – Wzruszył ramionami. – Zza rogu wychodzi facet, strzela Donowi w głowę i znika. Resztę tej historii już znacie. Jimmy zrobił, co mógł, ale okazało się, że to za mało.

– Biedny Jimmy – wymamrotała Lilly.

– Nie ma powodów, żeby się rozczulać – rzucił Terry. – Jimmy Lawson potrafi o siebie zadbać. Zrozumiano?

Lilly kiwnęła głową.

– Zapamiętajcie moje słowa! – Terry zaczął stukać palcem w gazetę. – To proste jak konstrukcja cepa. Mamy do czynienia z wojną ras. Nie przeczytacie o niej w prasie ani nie usłyszycie w wiadomościach. Mówiłem o tym już dziesięć lat temu. Wystarczy dać im trochę władzy i zaczynają kąsać jak wściekłe psy. Musimy pokazać, gdzie jest ich miejsce.

Maggie oparła się o framugę. Z trudem powstrzymywała się przed okazaniem zniecierpliwienia. Słyszała to przemówienie tyle razy, że była w stanie wyrecytować je z pamięci. Terry nienawidził wszystkich – zarówno mniejszości sprawującej teraz władzę w mieście, jak i zdrajców, którzy do tego dopuścili. Razem ze swoimi kumplami najchętniej wykopałby głęboki dół sięgający aż do Chin i wrzucił do niego tych, których darzył nienawiścią.

– Kto zgłosił napad? – Nawet Maggie zaskoczyło pytanie, które przecież wydobyło się z jej ust. To było naprawdę dobre pytanie. – Kto zadzwonił na komisariat? – powtórzyła.

Terry wziął do ręki gazetę i zaczął ją starannie składać.

Delia wstała od stołu. Idąc do kuchni, dotknęła ramienia starszej córki. Lilly gapiła się w tężejącą jajecznicę. Maggie usiadła na krześle zwolnionym przez matkę. Nalała sobie trochę kawy, ale czuła, że nie będzie w stanie jej wypić. Jimmy i Don pojechali na Five Points, ponieważ zgłoszono napad. To centrum Atlanty stanowiące punkt odniesienia dla miejskiego systemu nadawania adresów. Jeszcze przed wojną secesyjną mieściły się tu pierwsze wodociągi i dzielnica czerwonych latarni. Five Points leżało u zbiegu pięciu ulic: Peachtree, Whitehall, Decatur, Marietta i Edgewood. W okolicy znajdował się uniwersytet stanowy oraz biuro opieki społecznej, pod którym codziennie ustawiała się długa kolejka kobiet czekających na odbiór kuponów uprawniających do wypłaty zasiłku. Wiele z nich wracało tu nocą, gdy gasły światła w drapaczach chmur, a ulicami spacerowali mężczyźni gotowi zapłacić za damskie towarzystwo.

Maggie domyślała się, w jaki sposób policja zareaguje na zabójstwo Dona. Całe miasto padnie ofiarą represji. Każdej nocy więzienie będzie pękało w szwach. Klienci ze strachu przestaną korzystać z usług prostytutek, a to źle wpłynie na interesy alfonsów. Normalnie wszyscy chępią się, że w ogóle nie rozmawiają z glinami, ale kiedy przyjdzie co do czego, donosiciele ustawiają się przed komisariatem w kolejce.

W każdym razie tak to zwykle wygląda. W wypadku Strzelca było jednak nieco inaczej. Na początku zmobilizowane siły policyjne paraliżowały miasto, ale po pewnym czasie zapał funkcjonariuszy wyraźnie osłabł, donosiciele przychodzili coraz rzadziej, życie powoli wracało do normy, a ciemne interesy kręciły się jak zawsze. Wszyscy tylko czekali na śmierć kolejnego gliniarza.

Nie było w tym wcale fatalizmu – lata siedemdziesiąte XX wieku okazały się dla policji złą dekadą. W Atlantycie straty były większe niż gdzie indziej. W ciągu ostatnich dwóch lat aresztowano pięciu zabójców policjantów, ale tylko jeden z nich stanął przed sądem. Reszcie przytrafiły się dziwne nieszczęścia: pierwszy stawiał czynny opór podczas

aresztowania i zapadł w śpiączkę, kolejny obudził się w więzieniu z nożem w nerce, dwaj trafili do szpitala Grady'ego z powodu niegroźnych problemów gastrycznych, wyszli z niego, ale dziwnym trafem nogami do przodu.

Ostatni z oskarżonych został uniewinniony i nie było w mieście policjanta, który przed opowiedzeniem tej historii nie spluwałby z pogardą na ziemię. Jeśli rzeczywiście kolejny gliniarz padł ofiarą Strzelca z Atlanty, oznaczało to bardzo zły dzień dla każdego, kto był choć trochę na bakier z prawem.

Terry odchrząknął i spojrzał na swój pusty kubek.

Maggie dołąła mu kawy i postawiła dzbanek na stole. Poprawiła leżące przed nią sztucce i zaczęła bawić się filizanką.

– Chcesz coś powiedzieć, księżniczko? – mruknął z niezadowoleniem Terry.

– Nie – odparła, ale po chwili zmieniła zdanie. – A co z ich samochodem? – Jimmy i Don jeździli po mieście radiowozem. W nocy nikt nie chodził na patrole pieszo. – Dlaczego Jimmy niósł Dona na plecach? Dlaczego po prostu nie wsiedli...?

– Mieli przebite opony.

Maggie zmarszczyła czoło.

– Gliniarzom, którzy zginęli wcześniej, też się to przytrafiło?

– Nie.

Maggie starała się poukładać to wszystko w głowie.

– Ktoś zgłosił włamanie, potem przebił opony w radiowozie, zastrzelił Dona i nie zrobił żadnej krzywdy Jimmy'emu?

Terry pokręcił głową, nie podnosząc nawet wzroku znad gazety.

– Zostaw to oficerom dochodzeniowym, kochana.

Maggie nie dawała jednak za wygraną.

– Strzelec zmienił swój modus operandi. Chyba że to wcale nie on, tylko ktoś, kto się pod niego podszywa.

Terry znowu pokręcił głową, ale tym razem wyglądało to bardziej jak ostrzeżenie.

– Muszę przygotować do szkoły referat o wojnie secesyjnej – wtrąciła się Lilly.

– Nie byli razem, gdy padły strzały? – zapytała Maggie.

Terry westchnął.

– Nie zostawia się partnera samego, nawet ty powinnaś o tym wiedzieć.

– W takim razie nie rozdzielili się?

– Jasne, że nie.

– Większość dzieciaków będzie mówiła o swoich dziadkach, ale ja...

Maggie nie pozwoliła jej dokończyć.

– Do Jimmy'ego jednak nikt nie strzelał. Stał obok Dona albo przynajmniej gdzieś w pobliżu. – To była istotna różnica. Poprzednio obaj policjanci musieli uklęknąć,

a zabójca strzelił najpierw do jednego, a potem do drugiego. – Jimmy wyciągnął pistolet?

– Jezu Chryste! – Terry walnął pięścią w stół. – Zamkniesz się wreszcie i pozwolisz mi w spokoju przejrzeć gazetę?

– Terry? – zawołała Delia z kuchni. – Znowu zatkał się odpływ. Mógłbyś...?

– Za chwilę. – Ciągłe wpatrywał się w Maggie. – Chciałbym wiedzieć, co kombinuje nasza twardzielka. Detektyw Colombo już wszystko rozpracowała? Zauważyłaś coś, co umknęło facetom, którzy pracowali w policji, kiedy ty byłaś jeszcze plemnikiem w jajach swojego ojca?

Maggie pomyślała, że jeśli ją uderzy, to przynajmniej będzie wiedziała za co.

– Do tej pory Strzelec kazał klęczeć ofiarom, a potem strzelał im w głowę. To wyglądało na egzekucję, ginęli jeden po drugim. Don został zamordowany właśnie w ten sposób, ale Jimmy’emu nic się nie stało. Dlaczego?

Terry pochylił się nad stołem. Poczula zapach whisky i potu.

– Natychmiast przestań opowiadać bzdury na temat swojego brata. Zrozumiałaś?

Maggie poczuła, jak podłoga usuwa jej się spod nóg.

– Nie o to mi chodzi – powiedziała. Obydwoje doskonale wiedzieli, co oznacza „to”.

– W takim razie o co? – zapytał Terry. – Po co zadajesz te pytania?

Chciała mu powiedzieć, że policjanci właśnie w ten sposób prowadzą śledztwa, a ona jest przecież policjantką, ale wykrztusiła tylko:

– Bo to nie ma sensu.

– Sens – parsknął lekceważąco. – Od kiedy to zaczęłaś szukać sensu?

– Przyjechał! – krzyknęła Lilly.

Przestraszył ich ten nagły wybuch. Ale wyraźnie usłyszeli, jak na podjazd wjeżdża samochód Jimmy’ego. Tłumik w jego fordzie fairlane był tak zardzewiały, że z rury wydechowej wydobywał się charkot przypominający napady kaszlu, które rano łąpały Delię.

Maggie chciała wstać, ale Terry złapał ją za ramię i siłą zmusił do pozostania na krześle.

Wiedziała, że szarpanie się z nim nic jej nie da. Mogła tylko zostać w jadalni i nadstawić uszu. Nastąpiła ta sama sekwencja dźwięków, którą słyszała, gdy przyjechał Terry: trzaśnięcie drzwiami, odgłosy kroków pod wiatą, a potem na schodach. Drzwi do kuchni były już otwarte, więc Jimmy je zamknął. Przez kilka sekund nic się nie działo. Maggie mogła sobie tylko wyobrazić wymianę spojrzeń między matką a synem. Być może Jimmy skinął głową i podał jej czapkę, żeby poczuła się potrzebna.

Kiedy wszedł do jadalni, Maggie pomyślała, że najprawdopodobniej brat nie ma pojęcia, gdzie podziało się jego nakrycie głowy. Zamiast munduru miał na sobie zielone szpitalne ubranie. Koszula opinała mu ramiona. Miał kredowobiałą twarz, przekrwione oczy i blade usta. Wyglądał, jakby coś go opętało. Przypominał ojca w momentach, gdy musiał wrócić do szpitala psychiatrycznego.

– Mack i Bud się tobą zajęli? – spytał Terry.

W odpowiedzi Jimmy jedynie skinął głową i zaczął rozcierać sobie kark. Widać było, że niezbyt dokładnie się umył. Na twarzy i szyi wciąż miał ślady zakrzepłej krwi. Na jednym z bokobrodów Maggie dostrzegła grudkę błota.

Lilly przycisnęła ręce do piersi, a z oczu popłynęły jej łzy.

– Nie becz – powiedział Terry, ale było już za późno. Lilly podbiegła do Jimmy’ego i objęła go w pasie. Wtuliła twarz w jego brzuch i rozszlochała się na dobre.

– Już dobrze – odezwał się szorstkim głosem. Pogłaskał ją po plecach i pocałował w czubek głowy. – Idź na górę, bo spóźnisz się do szkoły.

Lilly puściła go bez marudzenia i pobiegła do swojego pokoju. Jej kroki zadudniły na drewnianych schodach. Wydawało się, że Jimmy zaraz pójdzie jej śladem, ale opuścił ramiona, pochylił brodę i wbił wzrok w podłogę.

– Nie chcę o tym mówić – wydusił z siebie.

– A my nie chcemy o tym słuchać – powiedziała Delia. Stała za plecami syna z wyciągniętą w jego kierunku ręką, ale nie ośmieliła się go dotknąć. Wygładzała zagniecenia na swetrze Lilly, zdejmowała pojedyncze włosy z munduru Maggie, a teraz usunęła grudkę błota z twarzy Jimmy’ego – te drobne gesty to jedyny sposób, w jaki potrafiła okazać dzieciom uczucie.

Spojrzała na swoje palce. Z wyrazu jej twarzy Maggie wyczytała, że nie było to błoto. Delia wsadziła zaciśniętą dłoń do kieszeni fartucha i powiedziała:

– Proszę was wszystkich, zjedzcie śniadanie, zanim wystygnie. Nie stać nas na marnowanie jedzenia.

Jimmy pokuśtykał wokół stołu i usiadł na swoim stałym miejscu. Za każdym razem, gdy stawał na lewej nodze, z bólu mrużył oczy. Maggie chciała mu pomóc. Miała wielką potrzebę podbiegnięcia do niego i rzucenia mu się na szyję tak, jak zrobiła to Lilly.

Wiedziała jednak, że nie może tego zrobić.

Delia naląła Jimmy’emu kawy i teraz nakładała na talerz jedzenie. Robiła to jedną ręką. Drugą cały czas trzymała zaciśniętą w fartuchu.

– Ktoś jeszcze czegoś potrzebuje?

– Nie, mamy wszystko. – Terry zbył ją machnięciem ręki.

– Jajecznica jest już do niczego. Usmażę następną – powiedziała i wyszła do kuchni.

Maggie wpatrywała się uważnie w brata. Wiedziała, że on na nią nie spojrzy. Wyblakłe plamy krwi na jego skórze przypominały jej czasy, gdy był przyszczatym nastolatkiem. Widać było, że płakał. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz go na tym przyłapała. To musiało być przynajmniej osiem lat temu.

– Ominęło cię dziś rano *Tapestry* – zagaiła.

Jimmy odburknął coś niewyraźnie, nabierając na widelec kopiastą porcję jajecznicy.

– Powiesiłam twoje mundury w szafie. – Maggie się nie poddawała.

Jimmy głośno przełknął i odpowiedział:

– Kołnierzyki są za bardzo nakrochmalone.

– Spróbuję coś z tym zrobić po pracy, dobrze?

Jimmy wepchnął sobie do ust jeszcze więcej jedzenia.

– Zanieś je do mojego pokoju. – Z niewiadomych powodów Maggie była podenerwowana i nie mogła przestać mówić. – Zajmę się tym później.

Terry syknął, żeby ją uciszyć.

Maggie zamilkła. Zrobiła to jednak ze względu na Jimmy'ego. Bała się, że powie coś, co tylko pogorszy i tak napiętą sytuację. To nie byłby zresztą pierwszy raz. Ich wzajemne relacje nie należały do najłatwiejszych i kiedy jedno starało się zbliżyć do drugiego, często dochodziło do nieporozumień.

W ciszy więc słuchała, jak Jimmy przeżuwa jedzenie. To był niemal mechaniczny odgłos. Obserwowała miarowy ruch szczęki. Za każdym razem gdy zaciskał zęby, obok ucha pokazywał się wyraźny zarys stawu skroniowo-żuchwowego. Wyglądało to jak praca jakiejś maszyny budowlanej – zgarniał jajecznicę na widelec, wkładał do ust, przeżuwał i tak w kółko. Jego twarz była pozbawiona wyrazu. Miał szklisty wzrok i wpatrywał się w punkt znajdujący się gdzieś na przeciwległej ścianie.

Wiedziała, na co patrzy. Szary tynk z brązowym nalotem od dymu papierosowego. Za ścianą był pokój, w którym podczas swoich rzadkich wizyt w domu mieszkał Hank Lawson. Pierwszą rzeczą, którą zrobił zaraz po wyjściu ze szpitala, było zabranie telewizora z sypialni Delii i postawienie go na stole w kuchni. Potem godzinami oglądał telewizję, odpalając jednego papierosa od drugiego. Gapił się w ekran, aż do końca emisji programu, gdy grali hymn państwowy. Zdarzało się, że kiedy w nocy Maggie schodziła na dół, żeby napić się wody, jej ojciec wciąż siedział przed odbiornikiem wpatrzony w powiewającą na białym tle amerykańską flagę.

Maggie wątpiła jednak, by Jimmy myślał teraz o ojcu. Może wspominał ostatni mecz, kiedy jeden z przeciwników grający na pozycji wspomagającego zmiążdżył mu kolano? Maggie siedziała wtedy na trybunach. Patrzyła, jak Jimmy wchodzi na boisko z charakterystyczną pewnością siebie. Podniósł zaciśniętą pięść, a tłum zaczął wyć z radości i skandować jego imię. Był ich wielką nadzieją, chłopakiem z okolicy, któremu się udało. Przyszłość stała przed nim otworem. Miał mieć opłacone studia na Uniwersytecie Georgii i zamierzał przejść na zawodowstwo. Myślał, że następnym razem zobaczą go, kiedy będzie wychodził z jakiegoś nocnego klubu w stylu Broadway Joe – w futrze i z dziewczynami uwieszonymi u jego ramion.

Tymczasem siedział przy stole w domu matki i miał na twarzy krew przyjaciela.

– Proszę. – Delia zabrała pusty talerz i postawiła przed nim pełny. Dołożyła bekonu. Potem połała naleśniki syropem, tak jak lubił.

– Mamo, wystarczy. – Odgonił ją ruchem widelca.

Delia usiadła i zapaliła kolejnego papierosa. Maggie próbowała jeść. Jajecznica była zimna. Tłuszcz z bekonu zaczął tężeć. Zmuszała się jednak, ponieważ wiedziała, że jeśli nie

będzie miała pełnych ust, zacznie zadawać niewygodne pytania.

Nie mogła zrozumieć, w jaki sposób doszło do strzelaniny. Gdyby do Dona i Jimmy'ego podszedł jakiś facet, szczególnie ciemnoskóry, od razu, niemal instynktownie, wyciągnęliby pistolety. To były podstawy strategii przetrwania. Don służył naprawdę długo w Wietnamie i doskonale wiedział, że nie można dopuścić do sytuacji, w której ktoś mierzy do ciebie z broni. Jimmy też nie był żółtodziobem – pracował w policji, od kiedy skończył osiemnaście lat.

Maggie spojrzała na brata. Może po prostu spanikował. Stał, cały obryzganym krwią kolegi, i nie był w stanie nic zrobić. Padł na ziemię i zaczął modlić się o życie.

Pomyślała o grudce, którą matka zdjęła Jimmy'emu z bokobrodów. Kawałeczek głowy Dona Wesleya leżał pewnie w koszu na śmieci na potłuczonych skorupkach i plastikowym opakowaniu po bekonie.

– Pora się zbierać. – Terry odłożył gazetę i zwrócił się do Jimmy'ego. – Ty lepiej się prześpij. Zadzwoń, jak coś się będzie działo.

Jimmy zaczął kręcić głową, zanim jeszcze Terry zdążył dokończyć zdanie.

– Nie ma mowy. Nie pójdę spać, dopóki nie złapiemy tego sukinsyna.

– Jasne, że go dorwiemy! – Terry mrugnął do Maggie tak, jakby on i Jimmy mieli przeciwko sobie cały świat.

Może właśnie dlatego ośmieliła się zapytać:

– Co się tak naprawdę stało?

Terry ścisnął jej kolano tak mocno, że z bólu wstrzymała oddech. Krzyknęła, wbijając mu paznokcie w dłoń, ale on tylko wzmocnił chwyt.

– Co ci mówiłem o zadrażnianiu brata pytaniami?

Czuła, jakby ktoś wbijał jej w nogę nóż. Drżały jej wargi, ale nie zamierzała błagać o litość. Wiedziała, że nie może tego zrobić.

– I tak usłyszysz o tym w radiu. – Jimmy był raczej zirytowany niż zaniepokojony. – Daj spokój, Terry. Puść ją.

Terry poluzował uścisk.

– Jezus Maria! – Maggie zaczęła rozmasowywać obolałe kolano, wzdychając z bólu.

– Przestańcie się wygłupiać. – Delia zdjęła kłaczek ze szlafroka córki. – Co się stało, Jimmy?

Jimmy wzruszył ramionami i zaczął opowiadać:

– Don upadł na ziemię. Oddałem trzy strzały. Morderca rzucił się do ucieczki. Zacząłem go gonić, ale nie mogłem przecież zostawić kolegi.

Po chwili milczenia dodał jeszcze:

– Nawet dobrze mu się nie przyjrzałem. Czarnoskóry, średniego wzrostu, średniej budowy ciała.

Maggie cały czas rozmasowywała kolano. Ściągnęło pulsowało w rytm bicia jej serca.

– Cal Vick posadzi mnie z rysownikiem, żeby zrobić portret pamięciowy. – Jimmy znowu wzruszył ramionami. – Nie wiem, czy to coś da. W zaułku było ciemno i wszystko działa się tak szybko.

– Miałeś szczęście, że nie próbował do ciebie strzelać – powiedziała Delia.

– Jasne, że próbował – oznajmił Jimmy z udawanym rozbawieniem. – Zaciął mu się pistolet. Nacisnął spust, ale nic się nie stało. Szczęściarz ze mnie, prawda? To właśnie ja, Lawson Szczęściarz. – Mówił tak o sobie, kiedy chodził jeszcze do szkoły.

Terry’emu najwyraźniej coraz mniej podobała się ta rozmowa.

– Umyj się i doprowadź do porządku. Zobaczymy się w komisariacie – powiedział do Jimmy’ego i zaczął się zbierać.

Maggie wpadła w popłoch.

– Musisz mnie podwieźć.

– Dlaczego?

Wiedział dlaczego. Jej samochód od tygodnia stał w warsztacie.

– Nie mogę się spóźnić na odprawę.

– W takim razie się pośpiesz. – Terry przytknął złożoną gazetę do jej ust. – Ale ten otwór pod nosem ma być zamknięty, jasne?

Maggie zebrała talerze ze stołu i wyraźnie utykając, poszła do kuchni. Na blacie leżał pas Jimmy’ego. W kaburze był pistolet.

Nie musiała się specjalnie wysilać, żeby usłyszeć, o czym rozmawiają w jadalni. Terry robił jakieś sprośne uwagi na temat dziewczyn, które właśnie zaczęły naukę w akademii policyjnej. Włożyła talerze do zlewu i zalała je wodą, żeby resztki jedzenia nie zaschły, zanim Lilly zabierze się do zmywania.

Potem, kulejąc, podeszła do pistoletu Jimmy’ego.

Ostrożnie odpięła klamrę i wyjęła rewolwer. Sprawdziła bęben. Był naładowany, nie brakowało żadnego naboju. Obwąchała iglicę, górną część szkieletu i wlot lufy.

Nie wyczuła charakterystycznego swędu miedzi i siarki, jedynie zwykły zapach oliwy i stali.

Włożyła broń z powrotem do kabury i zapięła klamrę. Wchodząc po schodach, złapała się poręczy, żeby ułatwić sobie wspinaczkę. Słyszała głosy Jimmy’ego i Terry’ego. Rozmawiali o baseballu. Zastanawiali się, jak Atlanta Braves poradzą sobie bez Hanka Aarona. Ci dwaj zawsze dobrze się dogadywali. Mogli dyskutować o wszystkim pod warunkiem, że były to rzeczy bez znaczenia.

Pewnych tematów jednak nie poruszali, na przykład, że niezależnie od tego, co stało się dziś rano w zaułku w centrum miasta, Jimmy Lawson wcale nie strzelał ze swojego pistoletu.

Kate Murphy siedziała na łóżku w hotelu Barbizon i słuchała wiadomości. Kongres zakreślił wreszcie kurek z pieniędzmi na dalsze działania wojenne. Nixon odszedł na dobre. Prezydent Ford zaproponował amnestię dla dekonników. Wycofano zarzuty przeciwko członkom Gwardii Narodowej Stanu Ohio. William Calley wyszedł na wolność po odsiedzeniu niecałych czterech lat za udział w masakrze w My Lai.

Nie umiała się tym wszystkim przejąć. Coś się w niej wypaliło. Najważniejsze, że ten koszmar wreszcie się skończył. Wypuszczono jeńców wojennych, a żołnierze wrócili do domu. Miała nadzieję, że to się już nigdy więcej nie powtórzy. Chłopcy nie będą umierać w dżungli, a rodziny nie będą musiały rozpaczać po ich śmierci.

Spojrzała na stojącą obok radia oprawioną w ramkę fotografię. Uśmiech na twarzy Patricka pozostawał w dziwnym kontraście z jego mętym nieobecny spojrzeniem. Słońce odbijało się od nieśmiertelnika, miał przewieszony przez ramię karabin i zawadiacko przekrzywiony hełm. Pozował bez koszuli. Wyrobił sobie muskulaturę, której nigdy nie dotykała, a blizny na twarzy nigdy nie miała okazji pocałować. Zdjęcie było czarno-białe, ale w dołączonym liście napisał, że jego zazwyczaj blada skóra ma teraz kolor parzonego homara – nazwał to „irlandzką opalenizną”.

Kiedy po raz pierwszy oglądała w telewizji loterię poborową, nie знаła jeszcze Patricka Murphy’ego. Siedziała w salonie z rodziną. W szyby co chwila uderzał podmuch zimnego wiatru. Ramiona miała owinięte szalem. W pewnym momencie babcia powiedziała, że to okropne przedstawienie przypomina jej znaną grę karnawałową – jak ona się nazywała?

– Bingo – odpowiedziała Kate, chociaż sama pomyślała raczej o *Loterii Shirley Jackson*.

Zamiast ponumerowanych kul używano trzystu sześćdziesięciu sześciu niebieskich kapsułek. W każdej znajdowała się karteczka z liczbą, która prezentowała miesiąc i dzień roku kalendarzowego. Zapieczętowane kapsułki mieszano w pudełku, a następnie wrzucano do szklanego słoja, który był tak głęboki, że losujący musiał zanurzyć całe ramię, żeby dosięgnąć ich palcami.

System był prosty: każdej wylosowanej liczbie przypisywano numer poborowy od jednego do trzystu sześćdziesięciu sześciu, biorąc pod uwagę lata przestępne. Do poboru kwalifikowali się wszyscy mężczyźni urodzeni między rokiem 1944 a 1950. Do każdego dnia i miesiąca przyporządkowano numer. Im niższy, tym większe szanse na powołanie. W drugiej turze loterii użyto dwudziestu sześciu liter alfabetu, żeby na podstawie pierwszej litery nazwiska losowo ustalić kolejność poboru dla każdej daty urodzin.

Pierwszą wylosowaną datą był czternasty września. Kiedy odczytano ją na głos, w kuchni rozległ się przerażający krzyk. Okazało się, że ich gosposia Mary Jane miała wnuka, który przyszedł na świat właśnie tego dnia.

W ciągu kilku godzin każdy chłopak, którego znała Kate, miał przypisany numer poborowy. Nikt nie rozumiał, co to tak naprawdę znaczyło – kiedy poszczególne grupy zostaną powołane do wojska, dokąd zostaną wysłane, w jakiej będą służyć jednostce i czy w ogóle pójdą w kamasze. Niskie numery były rzecz jasna gorsze, ale z jakim numerem można się czuć naprawdę bezpiecznie?

Patrick Murphy i jego rodzina mieszkali po drugiej stronie miasta i zadawali sobie dokładnie te same pytania. Mieli czarno-biały telewizor i nie wiedzieli, że kapsułki były w rzeczywistości niebieskie. Po zakończeniu programu znali natomiast numery przydzielone ich synom: 98 dla Declana i 142 dla Patricka.

Oczywiście Kate dowiedziała się o tym wszystkim znacznie później. Poznała Patricka w kwietniu 1971 roku, kilkanaście miesięcy po pierwszej loterii. Siedziała w samochodzie przed centrum handlowym Lenox i nudząc się jak mops, czekała na pomoc drogową. Padł jej akumulator, ponieważ zostawiła włączone światła i poszła na zakupy. Patrick przyszedł jej z pomocą i uruchomił auto z kabli. Żartował sobie przy tym w niedwuznaczny sposób, co działało Kate na nerwy. Zdawał sobie z tego sprawę, ale nie przestał z nią flirtować. Jego upór jej schlebiał. Było w tym nawet coś pociągającego. W końcu zaproponował kolację, a ponieważ poczuła się głodna, nie odmówiła.

Miał dwadzieścia jeden lat, tyle samo co ona. Jego brat służył w wojsku, a ojciec był prawnikiem. Patrick miał zostać inżynierem. Wydawało się jej, że to jeden z tych ważnych zawodów, o których dużo się mówi, jak na przykład prawnik, lekarz albo polityk. Jednak Patrick był po prostu wielkim Irlandczykiem, miał pozornie wysoki numer poborowy i właśnie poznał dziewczynę swoich marzeń.

Znali się piętnaście miesięcy, gdy został powołany do wojska. W odróżnieniu od rodziny Patricka ojciec Kate miał odpowiednie koneksje, ale Patrick stanowczo odmówił tego rodzaju przysług. Uważał, że to jest nie w porządku. Miał rację, ale wtedy byli już małżeństwem i Kate była wściekła na swojego głupiego, upartego męża. Nie chciała go odprowadzić, gdy wyjeżdżał na szkolenie podstawowe. Kiedy żegnali się w drzwiach, przytuliła się do niego mocno i nie chciała puścić. Bał się, że połamie mu żebra.

Miała ochotę to zrobić – połamać mu żebra, wydrapać oczy, rozwalić kolano młotkiem, uderzyć w głowę kijem baseballowym. Pozwoliła mu jednak odejść, bo i tak nie mogła zrobić nic innego.

Kochała męża, ale została sama.

Minął czternasty września.

Jakie były szanse?

Pewnego dnia, gdy pomagała rodzicom podczas przyjęcia, usłyszała dzwonek do drzwi. Mary Jane poszła akurat do piwnicy, ponieważ ktoś chciał się napić wina. Kate spodziewała się gości, ale na werandzie stało dwóch żołnierzy. W pierwszej chwili pomyślała, że to dziwne widzieć białych mężczyzn w białych bawełnianych rękawiczkach.

Byli ubrani identycznie i stali wyprostowani jak struna. Mieli na sobie wełniane mundury i koszule z długim rękawem, chociaż jak na tę porę roku było wyjątkowo ciepło. Na gładko wygolonych twarzach perliły się kropelki potu, które co chwila spływały po ich masywnych karkach. Zdjęli czapki perfekcyjnie wyćwiczonym gestem. Kate niemal się roześmiała, ponieważ synchronizacja była naprawdę idealna. Mówił tylko jeden z nich, zwracając się do niej „proszę pani”. W pamięci utkwiły jej słowa „z żalem musimy panią poinformować”, a potem ocknęła się na kanapie. Gości już nie było. W salonie stały niedopite drinki i wciąż tliły się niedopalone papierosy. Żołnierze zostawili jej broszurę zatytułowaną *Pomoc po śmierci*.

– Cóż to za sformułowanie – powiedziała babcia.

– Doprawdy dziwaczne – zauważył ojciec.

Matka dopalała papierosa, którego jeden z gości zostawił w popielniczce.

Kate nie miała pojęcia, gdzie teraz jest ta broszura, ale niespecjalnie się tym przejmowała. Nie potrzebowała pomocy finansowej, potrzebowała swojego męża.

Ponieważ nie miała ani jednego, ani drugiego, musiała zbierać się do pracy.

Zdjęła szlafrok i weszła do łazienki. Przed odkręceniem wody pod prysznicem sprawdziła, czy ma dobrze upięte włosy.

Gdy uderzył w nią lodowaty strumień, wydała stłumiony okrzyk. Instalacja wodno-kanalizacyjna była bardzo humorzasta, co uważała w sumie za dość zabawne, ponieważ w tym hotelu mieszkały wyłącznie kobiety. Raz woda była zimna, ale za chwilę mogła być gorąca jak ukrop. Zależało to od liczby mieszkanek biorących w danym momencie prysznic w identycznych łazienkach na identycznych piętrach. Gdy w jednej chwili spłukiwano zbyt wiele toalet, wszystkie się psuły.

Myjąc się, Kate patrzyła beznamiętnie przez półprzezroczystą zasłonkę. Nie był to specjalnie interesujący widok: ściana i stojące pod nią łóżko. Zamknęła jedno oko, a potem drugie. Cały czas widziała zielonkawą zasłonkę z plastiku. Próbowwała sobie przypomnieć, co tak bardzo spodobało się jej w tym miejscu, gdy zobaczyła je po raz pierwszy. Anonimowość? Sterylna czystość? To, że wszystko było beżowe?

To wrażenie nie trwało jednak długo. Przyszła jej matka ze swoim dobrym smakiem i kartą kredytową. Teraz na ścianie wisiały abstrakcyjne obrazy, biały włochaty dywan zakrywał okropną jasnobrązową wykładzinę, a elegancka pościel bardziej pasowała na wystawę sklepową niż do leżącego w centrum miasta hotelu dla samotnych kobiet.

Tak naprawdę Kate woląa pierwotny wygląd tego pokoju.

Zakręciła kurek i szybko wytarła się ręcznikiem. Na stojącym przy łóżku zegarze wskazówki przesunęły się o pół godziny, a ona w tym czasie tylko wzięła prysznic. Musi lepiej panować nad swoją skłonnością do fantazjowania. To samo stało się pewnego ranka, gdy wracała ze śniadania w jadłodajni. Zapytała jakiegoś faceta o godzinę, a po chwili siedziała na ławce i gapiła się w błękitne niebo, jak gdyby miała mnóstwo wolnego czasu.

Marzycielstwo było luksusem, na który kiedyś często sobie pozwalała. Teraz musiała się sama utrzymać. Opłacić czynsz. Kupić jedzenie i ubrania. Nie mogła trwonić czasu na

czytanie szmirowatych powieści i popijanie dżinu ojca.

Pomoc po śmierci.

Rozerwała plastikowy worek z pralni i rozłożyła ubrania na łóżku. Na korytarzu słysząc już było krzątanie dziewczyn wychodzących do pracy. W myślach nazywała je pierwszą zmianą – pracownice biurowe z równo podciętymi włosami i w naprawdę krótkich spódniczkach. Były młode i ładne, ale ciągle martwiły się, co myślą o nich rodzice. Chociaż miały wystarczająco dużo odwagi, żeby zamieszkać samotnie w wielkim mieście, to wybrały hotel, do którego mężczyźni mieli wstęp nie dalej niż do holu na parterze.

Druga zmiana wychodziła do pracy jakieś piętnaście minut później: trochę starsze kobiety w wieku Kate, od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat. Sekretarki lub kierowniczkę kas w bankach. Robiły karierę, były niezależne, miały ambicje. Kate uwielbiała obserwować je w windzie. Cały czas kontrolowały swój wygląd. Tusz nie mógł się rozmazywać, szminka musiała być perfekcyjnie nałożona, bluzka starannie wsunięta w spódnicę z idealnie zaprasowanymi brzegami. Zanim winda zjechała na parter, zdążyły przynajmniej trzy razy sprawdzić, czy szwy w pończochach są równe.

Potem przechodziły przez hol z wysoko uniesionymi głowami, jakby nie miały żadnych problemów. Patrząc na ich dumną postawę i spiczaste biustonosze, Kate wyobraziła sobie okręty wojenne wypływające w morze.

Zegar znowu przyspieszył. Kate przeklęła pod nosem i włożyła bieliznę. Usiadła na łóżku i wciągnęła rajstopy. Wstała, żeby je podciągnąć, a potem znowu usiadła. Założyła na stopy parę czarnych skarpetek i zaczęła wciągać sztywne granatowe spodnie. Coś jednak było nie tak.

– O, nie... – jęknęła.

Spodnie były za duże. Wstała, żeby zobaczyć, jak bardzo źle to wygląda. Niestety, nawet gdy zacisnęła pas, materiał wisiał na niej jak sflaczały balon. Musieli to zrobić celowo. Kate dała swoje dokładne wymiary sierżantowi odpowiedzialnemu za zaopatrzenie. Nie była drobną kobietą, miała w końcu metr siedemdziesiąt pięć wzrostu, ale nogawki były wyraźnie za długie i zakrywały jej palce. Rzucając przekleństwa, zaczęła szukać szpilek. W końcu znalazła je w szafce z lekarstwami. Podpięła nogawki do odpowiedniej długości. W pewnym momencie przypomniała sobie o butach. Brzydkie i nieforemne. Zdecydowanie zaprojektowano je z myślą o mężczyznach. Takie obuwie nosili strażnicy więzienni i nauczyciele. Na dodatek były za szerokie na jej wąskie stopy i zbyt luźne nawet z mocno ściągniętymi sznurowadłami.

Postanowiła na razie to zignorować i zająć się ważniejszymi sprawami. Pęcherze na piętach to nic w porównaniu z za długimi spodniami. Jeszcze kilka szpilek i nogawka niemal idealnie opadała na but tuż przed sznurowadłami.

– Dobra robota. – Uśmiechnęła się z wyraźną ulgą. Po chwili zobaczyła swoje odbicie w lustrze i nie była w stanie wykrztusić z siebie ani słowa.

Wyglądała jak jakiś nowy gatunek centaury: kobieta, która od pasa w dół przypomina mężczyznę. To mogło być nawet śmieszne, ale Kate nie była w stanie opanować wściekłości.

Odwróciła się od lustra i włożyła granatową koszulę. Również była za duża. Kołnierzyk ocierał się jej o uszy, kieszenie miała na wysokości talii, a oznaki na rękawach zsunęły się za łokcie. Machała ramionami, żeby wysunąć palce przez mankiety. W końcu udało jej się to z jedną dłonią, a potem z drugą. Podwinęła rękawy, ale zorientowała się, że ma teraz na nadgarstkach dwie wielkie buły.

Zamknęła oczy. Dziś rano nie będzie płakać. Tak sobie obiecała. Nie będzie płakać aż do wyjścia z pracy.

– Śmieję się z tego – powiedziała, próbując dodać sobie animuszu. – Przecież to jest bardzo zabawne.

Zapięła koszulę. Całe szczęście nie trzęsły jej się ręce. Może za tydzień, miesiąc lub rok będzie opowiadać, jak pierwszy raz wkładała ten śmieszny mundur i wtedy popłacze się ze śmiechu, a nie z rozpacz.

Znalazła metalowe zaczepy w kształcie litery S, które służyły do zamocowania pasa policyjnego. Przytroczony do niego sprzęt był ciężki, więc musiała przeciągnąć przez szlufki jeden pasek, który miał utrzymywać ten drugi, właściwy. Przy biodrach zamontowała zaczepy. Starła się nie myśleć, co stanie się za kilka godzin, gdy noszenie pasa będzie przypominać chińską torturę.

– To głupie – wymamrotała. – Pęcherze na stopach sprawią, że nie będę o tym myślała.

Podniosła gruby skórzany pas policyjny. Przynajmniej wyglądał, jakby był w dobrym rozmiarze. Przeciągnęła go przez sprzączkę i zapięła na ostatnią dziurkę, cały czas uważając, żeby trzymał się na metalowych zaczepach.

Starła się nie myśleć o Virginii Woolf, która popełniła samobójstwo, rzucając się do rzeki z kieszeniami pełnymi kamieniami.

Latarka. Kajdanki. Nadajnik radiowy. Mikrofon przyczepiony do pagonu koszuli. Pałka. Kabura na pistolet służbowy. Pistolet.

Pistolet.

Kate zważyła ciężki metalowy rewolwer w dłoni. Wysunęła bęben i zakręciła nim, obserwując, jak wirują mosiężne naboje. Delikatnie wepchnęła bęben na miejsce i wsadziła broń z powrotem do kabury. Od smaru miała teraz tłuste palce. Kciuk jej się omsknął, gdy próbowała zatrzasać skórzane zapięcie.

Co ciekawe, pistolet był znacznie cięższy niż jakikolwiek inny przedmiot, który wisiał na jej biodrach. Na razie strzelała tylko kilka razy podczas zajęć w akademii policyjnej. Myślała wtedy głównie o tym, żeby znaleźć się jak najdalej od odstręczającego instruktora. Naszły ją wątpliwości, czy dobrze wyczyściła rewolwer. Uchwyt wydawał się bardziej zatłuszczony, niż powinien. Instruktor nie był szczególnie pomocny. Głośno powiedział, że jest przeciwny dawaniu kobietom broni.

Szczerze mówiąc, po tym, jak spędziła dwa tygodnie w towarzystwie kobiet ze swojej grupy, Kate zaczęła podzielać jego niechęć. Zaledwie kilka z nich traktowało szkolenie poważnie, dla większości był to rodzaj zabawy. Ponad połowa chciała dołączyć do zespołu maszynistek, które zarabiały tyle samo co funkcjonariusze chodzący na patrole.

Tylko cztery dziewczyny z jej grupy wybrały pracę na ulicy.

Z perspektywy czasu Kate być może powinna bardziej przykładać się do lekcji maszynopisania, częściej chodzić na zajęcia w szkole sekretarek, poświęcić więcej czasu na kurs prawniczy. W swoim dotychczasowym życiu wykonywała bez specjalnego powodzenia kilka zawodów, aż pewnego dnia przeczytała w „The Atlanta Journal” artykuł o policjantkach patrolujących ulice na motocyklach.

Patrole motocyklowe.

Rozbawiła ją własna naiwność. Jeśli instruktorzy strzelania nie chcieli szkolić kobiet, to członkowie sekcji motocyklowej musieli być wrogo nastawieni do samego pomysłu kobiecych patroli i najprawdopodobniej nie pozwoliliby żadnej dziewczynie nawet przekroczyć progu ich garażu.

Na tarczy zegara z trzaskiem przeskoczyły wskazówki. Robiło się coraz później. W korytarzu znowu było głośno. Druga zmiana szła do pracy. Ciche rozmowy, sporadyczny wybuch śmiechu, szelest nylonowych pończoch ocierających się o wąskie spódniczki.

Ostatnim elementem umundurowania była czapka. W szkole średniej chodzenie z czymś na głowie naprawdę było modne, dziewczyny nosiły głównie toczki w stylu pani Kennedy. Sama miała toczek w panterkę, jak z piosenki Boba Dylana. Przypinała go do włosów pod tak zawadiackim kątem, że matka kazała jej wracać do pokoju i się przebierać.

Policyjna czapka przyprawiłaby ją o apopleksję. Granatowa i – jak każda część munduru Kate – za duża. Miała szerokie rondo, a na samym środku naszyty był okrągły złoty znaczek wydziału policji miasta Atlanta przedstawiający feniksa powstającego z popiołów. Obok widniało łacińskie motto: *Resurgens*, czyli powstający z grobu.

Założyła ją i popatrzyła w lustro.

Da radę.

Musi dać radę.

3

Fox siedział w swoim samochodzie i palił papierosa. Okna były szczelnie zamknięte. Dym wypełniał wnętrze. Pomyślał o gazie łzawiącym. Nie pierwszy i nie ostatni raz. Nie potrafił wymazać tego z pamięci. Mówili na to lakrymatory – taka wyrefinowana nazwa na coś, co sprawia, że czujesz, jakby ktoś wbijał kolce w twoje gałki oczne. Wystarczyło dwadzieścia sekund. Gaz drażnił zakończenia nerwów rogówki, czego bezpośrednim skutkiem były ból, łzy, kaszel, kichanie i ślepotą.

Obóz dla rekrutów.

Fox stał z chłopakami ze swojej jednostki i obserwował, jak gazują pierwszą grupę. Miało to ich rzekomo wzmocnić i przygotować na walkę w dżungli, ale było wręcz odwrotnie. Mężczyźni krzyczeli jak małe dziewczynki. Usiłowali wydrapać sobie oczy. Błagali o litość.

Fox patrzył, jak wiją się niczym robaki, i pomyślał, że to idioci. Na odprawie wszyscy dostali takie same instrukcje. Będzie bolało, ale trzeba to przeczekać. Po trzydziestu minutach wszystko wróci do normy. Pół godziny to nic. Da się wytrzymać.

Fox był następny w kolejce.

Piekące łzy niemal wypalały mu oczy i czuł, jak z każdym oddechem do jego płuc dostają się ostre igły. Wpadł w panikę i rzucił się na podłogę. Błagał o litość tak samo jak te robaki przed nim.

To właśnie było najgorsze. Nie płacz i krztuszenie się, ale błaganie. Wcześniej tylko raz w życiu o coś błagał. Miał wtedy dwanaście lat i szybko nauczył się, że szkoda na to zachodu, ponieważ i tak nikt ci nie pomoże i powinieneś liczyć tylko na siebie. Tak więc dwunastoletni Fox postanowił nigdy więcej o nic nie błagać, ale siedem lat później trafił na jakieś zadupie i razem z dwudziestoma innymi rekrutami wił się po podłodze jak bezradny, godny politowania robak.

Czy powinien być w jakikolwiek sposób dumny z tego, że nie skamlał najgłośniej?

Jeden facet z jego jednostki przypłacił to życiem. Oficerowie twierdzili, że cierpiał na niezdiagnozowaną astmę, ale kto im uwierzył? Najprawdopodobniej wypróbowywali na swoich własnych ludziach jakąś nową, wyjątkowo żrącą mieszkankę przed wysłaniem jej na linię frontu. To nie byłby pierwszy raz i z pewnością nie ostatni. Wojna to jeden wielki eksperyment. Za każdą bezsensowną tragedią stał człowiek z podkładką do pisania.

Fox też miał taką podkładkę.

Rzucił okiem na swoje notatki.

5.46 wyszła z budynku, z nikim nie rozmawiała

6.00 zjadła śniadanie w knajpie, siedziała przy swoim ulubionym stoliku, obsługiwała ją ta sama kelnerka co zwykle, zamówiła jajko na twardo, grzanekę i czarną kawę, czytała gazetę, zostawiła dwadzieścia pięć centów napiwku

6.28 przeszła wzdłuż Czternastej i dookoła kwartału

6.39 zapytała nieznanego biznesmena o godzinę

6.51 usiadła na ławce przed bankiem i gapiała się w niebo

6.58 wstała z ławki i wróciła do domu

Co dalej?

Otworzył schowek. Była w nim pończocha, którą w nocy nakrył sobie twarz.

Jej pończocha.

Zakres jego misji się zmieniał. Czuł, jakby stał na dywanie, który ktoś powoli wyciągał spod jego stóp. To się już wcześniej zdarzało. Fox robił jedno, ale gdzieś z tyłu głowy kołatały mu zupełnie inne myśli. Potem nadchodziło coś, co można porównać do uderzenia pioruna, i Fox całkowicie zmieniał swoje postępowanie.

Zawsze miał na podorędziu inne możliwości.

Wyjął lornetkę i zaczął obserwować dobrze znane mu okno. Po chwili rozsunęły się zasłony. Uśmiechnął się. Miał dziś szczęście. Czasami przegapiał ten moment i zasłony były już odsłonięte. Czasami wpatrywał się w jej okno, skręcając się z ciekawości, bo nie był pewny, czy nie umknęło mu coś ważnego.

Dziś jednak wszystko widział.

Zanotował dokładną godzinę. Za cztery minuty – tyle właśnie trzeba, żeby poczekać na windę, zjechać do holu, wsiąść do innej windy jadącej na parking, dojść do swojego miejsca postojowego i prosić bardzo! Dokładnie cztery minuty później Fox obserwował, jak Kate Murphy wyjeżdża autem z garażu.

Boże, ależ była piękna! Wpatrując się w jej twarz oświetloną promieniami słońca, prawie zapomniał o swoim małym sekrecie.

Opuścił okno, żeby przewietrzyć wnętrze samochodu. Odłożył podkładkę na siedzenie pasażera. Uruchomił silnik i ruszył za Kate.

Złość Terry'ego psuła atmosferę panującą w samochodzie. Maggie czuła się jak przed nadciągającym tornadem. Głowa pękała jej z bólu, a włosy na karku stały dęba.

Powinni obgadać to, co przydarzyło się Donowi i Jimmy'emu. Cóż bardziej oczywistego niż dwoje gliniarzy jadących samochodem, rozmawiających o strzelaninie oraz o tym, co zamierzają zrobić, żeby oddać zabójcę w ręce sprawiedliwości? Terry nie uważał jednak Maggie za gliniarza, a Maggie w żadnym razie nie traktowała wuja jako potencjalnego powiernika, więc z ponurym wyrazem twarzy patrzyli przed siebie bez najmniejszej ochoty, by dzielić się swoimi myślami.

Poza tym sprawiedliwość to prawdopodobnie ostatnia rzecz, o jakiej pomyślałby Terry. Nie zastanawiał się nad wydarzeniami dzisiejszego poranka. Wspominał raczej zabójcę policjanta, któremu morderstwo uszło płazem.

W styczniu detektyw Duke Abbott zginął od strzału w klatkę piersiową. Siedział w zaparkowanym samochodzie na tyłach motelu City położonego w okolicach Moreland Avenue. Jego partner był w środku i robił to, co może robić gliniarz w hotelowym pokoju o drugiej nad ranem, chociaż teoretycznie powinien patrolować ulice. Duke był białym policjantem. Świadkowie widzieli uciekającego z miejsca zbrodni czarnoskórego mężczyznę. Gdy do kiosków trafiły poranne gazety, całe miasto było jak nakręcony budzik podłączony do tysiąca lasek dynamitu.

Po trzech dniach od morderstwa policja miała podejrzanego. Był nim niejaki Edward Spivey, handlarz narkotyków i sutener działający w okolicach motelu. Kilku świadków rozpoznało w nim mężczyznę uciekającego z miejsca zbrodni. Jeden twierdził, że widział, jak Spivey wrzuca pistolet do studzienki ściekowej. Ktoś inny zauważył na jego koszuli ślady krwi.

Terry kierował zespołem, który odnalazł broń i zakrwawioną koszulę. Przez niemal tydzień przeczesywano miasto w poszukiwaniu Spiveya. Podejrzany okazał się jednak znacznie sprytniejszy, niż zakładała policja. Zamiast uciekać, postanowił sam oddać się w ręce wymiaru sprawiedliwości. Umówił się na schodach komisariatu z ekipą telewizyjną z lokalnych wiadomości i publicznie ogłosił, że jest niewinny, policja podrzuciła obciążające go dowody, a świadkowie są przekupieni. Wynajął też eleganckiego adwokata z północy i chętnie rozmawiał z każdym dziennikarzem, który pojawił się w areszcie. Rzucił miastu wyzwanie, licząc, że w ten sposób uniknie krzesła elektrycznego.

W normalnych okolicznościach nikt by się z nim specjalnie nie patyczkował, ale między morderstwem Duke'a Abbotta a procesem Edwarda Spiveya w mieście wiele się zmieniło.

Nowo wybrany czarnoskóry burmistrz zaczął wprowadzać w życie obietnicę większej różnorodności rasowej we władzach miasta, co było dobre lub złe w zależności od tego, jakie miało się poglądy. Wcześniej kolorowy mężczyzna, którego oskarżono o zastrzelenie białego policjanta, od razu trafiał do celi śmierci. Kiedy policzono głosy, okazało się jednak, że ława przysięgłych złożona wyłącznie z czarnoskórych obywateli uznała Edwarda Spiveya za niewinnego i wypuściła go na wolność. W rezultacie policję i biuro prokuratora okręgowego rozdzieliła przepaść, przy której Wielki Kanion przypominał dziurę w chodniku.

Jeżeli Maggie miałyby zgadywać, to jej zdaniem Terry myślał tylko tym, co zrobić, żeby zabójca Dona Wesleya nigdy nie stanął przed sądem.

Terry skręcił w lewo i wjechał na parking. Najpierw lekko nimi szarpnęło, a po chwili buick zatrzymał się na swoim stałym miejscu postojowym. Działali jak zgrany zespół: on przestawił dźwignię na tryb parkowania, a ona złapała za klamkę i wysiadała z auta. Poczła ulgę, ale to uczucie szybko minęło, gdy stanęła twarzą w twarz z klonami Terry'ego. Takie same fryzury na jeża. Bujne wąsy. Ta sama nienawiść w małych świdrujących oczkach. Nosili imiona typu Bud, Mack czy Red i rozprawiali o starych dobrych czasach w sposób, w jaki kaznodzieje opisują życie wieczne. Każdy z nich miał za sobą po kilka rozwodów, rozwścieczone kochanki i dorosłe dzieci, które nie chciały z nimi rozmawiać. Co gorsza, byli ulepieni z tej samej gliny co Terry. Zawsze wiedzieli wszystko lepiej, nie słuchali nikogo spoza swojego grona, w kaburach przypiętych do kostek nosili pistolety ze startymi numerami seryjnymi, a w szafach trzymali stroje Ku Klux Klanu.

Maggie nie mogła sobie przypomnieć czasów bez kumpli Terry'ego. Zawsze kręcili się w pobliżu, jednak nie ze względu na jej wujka, ale brata. Chodzili na wszystkie jego mecze. Wpadali nieproszeni na treningi, żeby udzielać trenerowi cennych wskazówek. Dawali Jimmy'emu pieniądze na randki. Kupowali mu piwo, kiedy zgodnie z prawem był jeszcze za młody, żeby je pić. Gdy uległ kontuzji, jechał do szpitala w eskorcie policji.

Maggie myślała, że ich uwielbienie dla Jimmy'ego skończy się razem z jego karierą sportową. Myliła się jednak. Pod pewnymi względami byli bardziej zadowoleni, widząc go u siebie w pracy niż na boisku. W dniu, w którym skończył akademię, siedzieli na widowni w pierwszych dwóch rzędach i wiwatowali na jego cześć. Kochali go jak syna. Byli jego mentorami, opowiadali mu anegdoty, dawali rady.

Czasami, gdy wystarczająco dużo wypili, nawet pozwalali Maggie się temu przysłuchiwać.

– Hej! – Jett Elliott walnął pięścią w dach samochodu. Był tak pijany, że ledwie trzymał się na nogach. – Nie możemy pozwolić, żeby mu się upiekło. Słyszysz mnie?

– Dobrze gadasz, do cholery! – Mack McKay podparł Jetta ramieniem, żeby nie stracił równowagi. – Potrafimy wziąć sprawy w swoje ręce.

Inni chrząkali, wyrażając w ten sposób aprobatę, i przekazywali sobie piersiówkę. Maggie zarzuciła torebkę na ramię, ale nie mogła przejść. Miała przed sobą szczelny mur złożony z kumpli Terry'ego, którzy nie zwracali na nią uwagi.

Les Leslie oparł się o samochód i powiedział:

– Szef już dzwonił do Kalifornii. Trzygodzinna różnica czasowa, ale obiecali, że znajdą kogoś, kto go sprawdzi.

Mówił o Edwardzie Spiveyu, który po procesie wyjechał na drugi koniec kraju, ale nikt nie wierzył, że zapuści tam korzenie.

– Powinniśmy sami tam polecieć – powiedział Red Flemming. – I sprawdzić go bardzo szczegółowo.

Terry trzasnął drzwiczkami samochodu.

– Myślisz, że pozwolą nam wnieść strycek do samolotu?

– Mam dwa w bagażniku – oznajmił Jett i spróbował chwycić piersiówkę.

Mack go jednak powstrzymał.

– Odwal się!

Jett go odepchnął.

– Sam się odwal.

Maggie skorzystała z chwili zamieszania i ruszyła przed siebie. Nie chciała tu być, kiedy dojdzie do bijatyki.

Red wyciągnął rękę, żeby ją zatrzymać.

– Z Jimmym wszystko w porządku?

Kiwnęła głową, spoglądając w kierunku wyjścia z parkingu.

– Tak, czuje się dobrze.

– Wybiera się do nas – powiedział Terry. – Nie chce siedzieć w domu.

– Nie dziwię mu się. – Les podał piersiówkę Terry’emu. – Bierzemy sprawy w swoje ręce?

– Jasne, że tak. – Terry pociągnął solidny łyk. – Ten skurwysyn będzie gryźć ziemię. Mam rację?

– Całkowitą. – Jett przejął piersiówkę. – Ta menda nie zasługuje na żaden proces. Od razu do piachu.

Reszta wydała z siebie pomruk aprobaty. Maggie próbowała wyminąć Reda.

– Nie możemy mieszać w to Jimmy’ego – wymamrotał pod nosem, ale i tak wszyscy go usłyszeli i zaczęli przytakiwać. Maggie poczuła jednocześnie wściekłość i zazdrość. Wszyscy co do jednego byli gotowi poświęcić swoje życie, żeby chronić jej brata.

– Nie powinnaś już iść? – zapytał Terry.

Maggie dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że powiedział to do niej. Co dziwne, nie poczuła chęci zrobienia mu na złość i zadowolona ruszyła w kierunku ulicy.

Niestety, jej radość nie trwała długo. Pomyślała, że nigdy nie uda jej się uwolnić od tej bandy dupków. Na parking wjechał czarny cadillac eldorado. Przez otwarte okno zobaczyła, że za kierownicą siedzi Bud Deacon, a na fotelu pasażera Chip Bixby. Wyglądał gorzej niż inni. Miał zapadnięte policzki i dziwnie sine usta, najprawdopodobniej od

wypalenia zbyt wielu papierosów. Ze wszystkich kumpli Terry'ego Chip był najmniej ordynarny, ale i tak nie miało to większego znaczenia.

– U Jimmy'ego wszystko w porządku. Wybiera się do pracy – rzuciła, uprzedzając jego pytanie.

– To źle. Powinnaś powiedzieć mu, żeby został w domu.

Miała ochotę wybuchnąć śmiechem.

– Myślisz, że on mnie słucha?

– Zamknij swoje słodkie usteczka i przestań się wymądrzać, bo będę musiał ci w tym pomóc – ostrzegł ją Bud. – Po prostu zaopiekuj się bratem, tylko o to cię prosimy.

Maggie zagryzła wargi, żeby powstrzymać się przed powiedzeniem tego, co myśli.

– To nie będzie dla niego łatwe – rzekł Chip poważnym tonem. Był partnerem Duke'a Abbotta i to właśnie on łajdaczył się w motelu, kiedy doszło do tragedii. Siedział też bezpośrednio za Edwardem Spiveyem, gdy ogłaszano wyrok uniewinniający. Musiało go trzymać dwóch funkcjonariuszy. Gdyby jeden z nich nie chwycił za jego pistolet, Chip pewnie gniłby teraz w celi śmierci.

– Jimmy wie, że nie jest sam – powiedziała Maggie.

– To nie ma znaczenia. Po czymś takim już do końca życia jest się samotnym.

Maggie nie wiedziała, jak ma zareagować. Znała Chipa od bardzo dawna, ale nigdy nie rozmawiali o uczuciach.

On również wyglądał na zbitego z tropu.

– Jedziemy – ponaglił Buda.

Maggie patrzyła, jak auto wjeżdża na parking. Przyśpieszyła kroku. Woląca nie myśleć o tym, co knuje Terry i jego kumple. Jej obowiązkiem jako policjantki było stanie na straży prawa, co nie oznaczało wcale, że miała zamiar donosić na kolegów. Poza tym oni byli oficerami dochodzeniowymi, a ona zwykłym krawężnikiem i do tego kobietą. Nikt jej nie wysłucha, a nawet jeśli, i tak to, co ma do powiedzenia, zostałoby zignorowane... chyba że pisaliby o tym w „The Atlanta Constitution”. Powinna się skupić na najbliższej przyszłości, czyli na czekającej ją pracy. Przechodząc przez ulicę, zaczęła grzebać w torebce. Większość miejsca zajmował nadajnik radiowy wielkości cegły. Przypięła go sobie z tyłu do pasa i podłączyła do mikrofonu. Sprawdziła pokręta – jedno służyło do regulowania głośności, a drugie do strojenia. Nawet we śnie potrafiła je ustawić we właściwej pozycji. Gotówkę z portfela przełożyła do przedniej kieszeni spodni. Do lewej kieszonki koszuli włożyła dwa długopisy i mały notes, a do prawej notatnik służbowy. Gaz łzawiący i pomadka ochronna do ust powędrowały do tylnej kieszeni spodni. Nie było to do końca regulaminowe, ale dziewczyna musi o siebie dbać.

Rzuciła okiem na pozostałe przedmioty, które miała w torebce. Trochę drobnych, jakaś powieść w miękkiej oprawie, szminka, puder, tusz do rzęs, róż i kredka do oczu. Kosmetyki do makijażu nie były jej potrzebne w pracy, ale nie chciała, by dostały się w ręce Lilly.

Weszła na chodnik i nagły podmuch wiatru lekko potargał jej włosy. Na szczęście przestało ją boleć kolano, czuła tylko, że je ma. Nie bała się już, że każdy kolejny krok może skończyć się upadkiem. Nie mogła sobie wyobrazić, jak Jimmy wytrzymywał taki ból na co dzień, choć trzeba przyznać, że miała problem ze zrozumieniem, w jaki sposób radził sobie z wieloma innymi rzeczami.

Albo kłamał na temat tego, co tak naprawdę wydarzyło się podczas strzelaniny, albo przed wyjściem ze szpitala zadbał o to, żeby wyczyścić broń. Biorąc jednak pod uwagę, że nie chciało mu się porządnie umyć twarzy, ta druga możliwość była czysto teoretyczna. Bardziej prawdopodobne wydawało się, że w ogóle nie strzelał ze swojego pistoletu.

Czy w takim razie kłamał również w innych sprawach? Czy rzeczywiście Strzelcowi zaciął się pistolet? Maggie ćwiczyła na strzelnicy wystarczająco często, by wiedzieć, co się dzieje w takiej sytuacji. Też jej się to przytrafiło i za każdym razem wyglądało tak samo. Pociągasz za spust i nic się nie dzieje. Próbujesz jeszcze kilka razy – trzy, czasem nawet cztery – zanim przyjmiesz do wiadomości, że broń rzeczywiście się zacięła. To jest trochę jak wążanie zepsutego mleka lub próbowanie zbyt pikantnego dania. Musisz to zrobić więcej niż raz, ponieważ nie jesteś w stanie natychmiast uwierzyć, że coś jest nie tak.

Maggie przystanęła i spojrzała na zegarek. Kiedy wskazówka zatrzymała się na dwunastej, przeanalizowała w myślach kolejne ruchy Strzelca.

Wychodzi zza rogu. Mierzy. Strzela do Dona Wesleya. Odrzut. Celuje. Naciska spust. Nic. Znowu naciska. Rzuca się do ucieczki.

Pięć, może sześć sekund, przy założeniu, że ani przez chwilę się nie wahał i że był w stanie szybko celować, ponieważ po tym, jak Don upadł na ziemię, Jimmy z pewnością nie pozostawał w bezruchu.

Maggie ruszyła przed siebie. Sekunda to znacznie dłużej, niż nam się zwykle wydaje. Mrugnięcie trwa około trzystu milisekund. Wdech i wydech zajmują około pięciu sekund. Przeciętny strzelec jest w stanie wyciągnąć broń w ciągu dwóch sekund.

Jimmy był jednym z najlepszych strzelców w swojej jednostce. Z łatwością w pięć, sześć sekund mógł zabić człowieka.

Maggie skręciła za róg i prawie wpadła na innego policjanta. Skóra w kolorze kawy z mlekiem. Zbyt ciasny mundur. Wyglądał na świeżego rekruta. Od razu zasalutował. Co tylko potwierdziło, że to nowy.

– Następna w lewo. Komenda jest w połowie ulicy po lewej stronie – powiedziała.

– Dziękuję, proszę pani – wyrecytował.

Maggie szła chodnikiem. Jakiś mężczyzna przebiegł przez ulicę i szedł równoległe z nią po drugiej stronie. Zupełnie wypadło jej z głowy, że mury akademii opuściła właśnie kolejna grupa absolwentów. Niestety, nie był to najlepszy dzień na rozpoczęcie pracy w policji. Po pierwsze, musieli stawić czoła konsekwencjom wynikającym z morderstwa Dona Wesleya, a po drugie, rywalizować z innymi nowicjuszami ze świadomością, że większość wykruszy się już w połowie tygodnia.

Zamiast skręcić w Central Avenue, Maggie przeszła jeszcze dwie przecznice. Jadłodajnia Do Right specjalizowała się w daniach bez wyrazu i słabej kawie, ale dobra lokalizacja zapewniała jej wierną klientelę. O tej porze było jednak prawie pusto. W głębi siedziało zaledwie dwóch gości. Poza godzinami pracy nikt tutaj nie przychodził, a odprawa zaczynała się dopiero za około czterdzieści minut.

– Jak się czuje Jimmy? – zapytała kelnerka.

– Świetnie, dziękuję.

Maggie skierowała się w głąb lokalu. Na okrągłej kanapie rozsiadły się dwie niekompletnie ubrane kobiety. Podarte pończochy, minispódniczki, mocny makijaż i blond peruki – to były korzyści płynące z bycia tajniakiem. Dziewczyny brały udział w nowym projekcie walki z prostytutką, ale tajemnicą poliszynela było to, że tak naprawdę chodzi o wyciskanie pieniędzy z bogatych bankierów, którzy za wszelką cenę chcieli uniknąć więzienia.

Siedząca w kłębach dymu papierosowego Gail Patterson puściła do niej oczko. Mocny akcent z południowej Georgii świetnie pasował do jej stroju.

– Chcesz się zabawić, maleńka?

Maggie wybuchnęła śmiechem. Miała nadzieję, że nie zaczerwieniła się aż tak bardzo, jak jej się wydawało. Przez pierwszy rok pracy jeździła z Gail jednym radiowozem. Gail była jej przełożoną. Szorstką i czasem wredną, ale Maggie nie mogła trafić na lepszego nauczyciela.

– Muszę lecieć – powiedziała druga i głośno przełykając, wypła duszkiem szklankę soku pomarańczowego. Nazywała się Mary Petersen. Maggie знаła ją tylko ze słyszenia. Była rozwódką i rzekomo miała słabość do gliniarzy. Rzecz jasna to samo mówiło się o wszystkich kobietach, które pracowały w policji, więc Maggie nie traktowała informacji o Mary zbyt poważnie.

Gdy wychodziła zza stolika, jej plastikowa spódniczka zaczęła skrzypieć.

– Z Jimmym wszystko w porządku?

– Tak.

– Powiedz mu, że może na nas liczyć. – Poklepała Maggie po ramieniu i ruszyła w stronę wyjścia.

Gail wskazała ręką puste miejsce.

– Klapnij sobie, laska.

– Dzięki. – Maggie odpięła od paska nadajnik i usiadła. Miejsce nadal było ciepłe. Zapadła się w miękką kanapę i miała ochotę zamknąć oczy. Czuła, jak jej ciało zaczyna się rozluźniać. Od samego rana była spięta, w zasadzie od chwili, gdy zeszła do kuchni.

Gail zdjęła perukę i położyła ją na stole.

– Wyglądasz na zmęczoną.

– I tak się czuję – powiedziała Maggie. – Ty za to kwitniesz.

Gail roześmiała się, wypuszczając dym ustami.

– Pieprzona kłamczucha.

Maggie rzeczywiście skłamała. Gail wyglądała jak podstarzała dziwka i tylko częściowo był za to odpowiedzialny jej strój. Miała czterdzieści dwa lata, twarz pokrytą zmarszczkami, czarne, ewidentnie farbowane włosy oraz opadające powieki i zapadnięte policzki. Między jej brwiami biegła głęboka bruzda, będąca efektem badawczego przypatrywania się wszystkiemu, co się wokół niej dzieje.

Nie daj Boże, jeśli Gail nie spodobało się to, co widzi. Gdy była zła, wszyscy schodzili jej z drogi. Zaczęła pracę w policji, gdy nie było jeszcze federalnych dotacji, które znacznie ułatwiły kobietom drogę do zawodu. Gail musiała ostro walczyć o swoje stanowisko. Należała do starej gwardii, była koleżanką Terry'ego i jak reszta bała się, że może stracić swoją uprzywilejowaną pozycję.

– Jak tak naprawdę czuje się Jimmy? – zapytała.

– Nie mam pojęcia. On ze mną nie rozmawia – odpowiedziała zgodnie z prawdą Maggie.

– Mogę to sobie wyobrazić. – W jednej ręce trzymała papierosa, a w drugiej widelec, którym właśnie dzieliła naleśniki. – Poderwałaś już tego swojego sąsiada?

Maggie nie przysłała tu, żeby rozmawiać o niedoszłych randkach.

– Co słyszałaś o tej strzelaninie?

– Mówią, że zabójca nie wywinie się tak łatwo jak Edward Spivey.

– A oprócz tego?

Gail przypatrywała się jej uważnie. Przełknęła naleśnik, zaciągnęła się papierosem i włożyła sobie do ust kolejną porcję jedzenia. Wreszcie zapytała:

– Znałaś Dona?

– W zasadzie nie. Był przyjacielem Jimmy'ego.

Gail powoli wypuściła powietrze.

– Ja go znałam.

Maggie milczała, czekając na dalszy ciąg.

– Potrafił być miły. – Gail patrzyła przed siebie pustym wzrokiem. – A na takich trzeba szczególnie uważać. Niby dupek, ale czasami naprawdę uroczy.

– Duppek zawsze pozostanie dupkiem.

– Jesteś jeszcze młoda. – Odłożyła widelec. – Ta robota cię zmienia, kochana, czy tego chcesz, czy nie. W pracy wypruwasz sobie żyły i nie chcesz w domu faceta, który będzie kładł się na plecach, kiedy mu każesz. – Mrugnęła do Maggie znacząco. – Marzysz raczej o tym, żeby to on przewrócił cię na plecy.

Po powrocie do domu Maggie marzyła tylko o ciszy, spokoju i czystym praniu.

– Problemy zaczynają się, gdy faceci robią się delikatni. Wtedy czujesz, że wpadłaś jak śliwka w kompot. – W jej głosie pojawił się smutek. – Są silni i niedostępni, aż tu nagle pewnego dnia, nawet nie dnia, to się dzieje w ciągu sekundy, maksymalnie dwóch,

wychodzi z nich jakaś wrażliwość. – Pstryknęła palcami. – I już po tobie.

Maggie dopiero po chwili zorientowała się, co jest grane.

– Naprawdę dobrze go znałaś.

Gail wzruszyła ramionami.

– Nie był taki zły, gdy zostawało się z nim sam na sam.

Maggie zdrapała ze stołu zaschniętą kroplę syropu klonowego. Zawsze podziwiała Gail. Była świetną policjantką i miała kochającego męża. Tak właśnie Maggie wyobrażała sobie sukces w tym zawodzie.

– Dziecinko, czuję, że cię rozczarowałam.

– Wcale nie – skłamała.

– Wiesz, że lubię kłopoty.

Maggie roześmiała się ze starego dowcipu. Mąż Gail miał ksywę „Kłopot”.

Gail wypuściła z siebie kłęby dymu.

– Rzadko ze sobą rozmawiamy, a jeśli już do tego dojdzie, to kłócimy się o pieniądze, o to, który rachunek najpierw zapłacić, o to, co zrobimy z mężem mojej siostry, kompletnym nierobem, i kiedy będziemy musieli przyjąć pod nasz dach teściową. – Z rezygnacją wzruszyła ramionami. – Czasem to ulga być z kimś, kto potrzebuje cię tylko do jednego.

– To twoja sprawa. Nie musisz się przede mną tłumaczyć.

– Jasne, że nie muszę. – Sięgnęła do torebki i wyjęła butelkę. Wyżsi rangą policjanci zawsze mieli przy sobie alkohol. Maggie patrzyła, jak Gail pociąga solidny łyk. A potem jeszcze jeden. – Jezus Maria, to straszne, że giną dobrzy ludzie. Pojechał na tę pieprzoną wojnę i wrócił jako bohater, a teraz w jakimś zaułku zabił go inny Amerykanin.

Maggie zastanawiała się, przy ilu stolikach będzie musiała jeszcze siedzieć, zanim uzyska wreszcie szczerą odpowiedź. Powtórzyła:

– Co słyszałaś o strzelaninie?

Gail zerknęła na kelnerkę.

– Ta jego zwariowana narzeczona hippiska... Jak jej na imię? Pocahontas? Zrobiła scenę w szpitalu.

Maggie spotkała ją raz w życiu. Zapamiętała ciemną skórę i kruczoczarne włosy splecione w długi warkocz.

– Jak się dowiedziała o zabójstwie?

– Usłyszała przez skaner radiowy, który Don trzymał u siebie w domu.

– Nie wiedziałam, że mieszkali razem.

Gail wybuchnęła śmiechem.

– Ja też nie.

Maggie również się uśmiechnęła, ale tylko dlatego, żeby sytuacja nie zrobiła się jeszcze

niezręczniejsza. Powtórzyła to, co usłyszała od Terry'ego:

– I tak go dorwą, kimkolwiek by był. Pięciu martwych gliniarzy. Dłużej nie uda mu się ukrywać.

– Na pewno kogoś dorwą.

Maggie nie poprosiła o wyjaśnienie. Bardziej interesowało ją to, w jaki sposób Terry odnalazł porzucony pistolet i zakrwawioną koszulę, które miały łączyć Edwarda Spiveya z morderstwem Duke'a Abbotta. Co najgorsze, sprawa była do wygrania bez tych dowodów. Większość ławników pochodziła z biednych dzielnic Atlanty. Wielokrotnie widzieli, jak policjanci fałszują materiał dowodowy, i ciężko im było uwierzyć, że akurat tym razem nie złamano żadnych przepisów.

Gail dołała alkoholu do swojej kawy.

– Każdy posterunek w mieście został postawiony na nogi. Wszyscy zajmują się tą sprawą. Nikt nie pójdzie do domu, zanim się to nie skończy.

– Wszyscy? – Maggie nie była sobie w stanie wyobrazić kosztów takiej operacji. – W sprawie Duke'a nie podjęto takich kroków.

– To co innego.

– Obaj byli policjantami.

– Nie bądź naiwna, kotku. Dobrze wiesz, że mam rację. Duke był w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Teraz chodzi o bratanka Terry'ego Lawsona. Niewiele brakowało, żeby Jimmy dostał dwie kulki w głowę.

– Dwie?

– Tak mówią na komendzie. – Wycelowała palcem w swoją skroń. – Don dostał jedną tu. – Potem wskazała na policzek. – A drugą tu.

Maggie zdawała sobie sprawę, że obie myślą o tym samym.

– Nie jest łatwo oddać takie strzały.

– Jeden, a co dopiero dwa. Zabójca stał daleko i miał zwykłą tanią spluwę. Jest naprawdę niezły w te klocki.

– Do tej pory wyglądało to inaczej – powiedziała Maggie. – Pozostała czwórka zginęła od strzałów prosto w czoło z bliskiej odległości. Przypominało to egzekucje.

Gail spojrzała na nią badawczym wzrokiem.

– Myślisz, że to Strzelec z Atlanty?

– A ty nie?

– Strzelec wciąż jest na wolności. Przy poprzednich morderstwach stawaliśmy na rżęsach, a i tak gównem z tego było. Dziś rano chłopaki weszły w jakiś zaułek i ktoś zastrzelił Dona. Widać sporo podobieństw. – Gail wzruszyła ramionami. – Sama nie wiem. Może to po prostu dziwny zbieg okoliczności?

– Z pewnością. – To Gail nauczyła Maggie, że nie ma czegoś takiego jak zbiegi okoliczności.

– Słyszałaś o oponach? – zapytała Gail.

– Były przebite.

Gail zaczęła przekładać w palcach zapalniczkę, stukając nią od czasu do czasu o stół.

– Znam dziewczynę z dyspozytorni. Powiedziała mi, że Jimmy niczego nie zgłosił.

– Co masz na myśli?

– Nie podał kodu sześćdziesiąt trzy. – Ranny funkcjonariusz. To była w takim wypadku standardowa procedura. – Dyspozytorka nie wiedziała nawet, że Donowi coś się stało. Dopiero później zadzwonił ze szpitala lekarz z informacją o zgonie.

Maggie spuściła wzrok. Przy jej nodze leżał nadajnik. Każdy policjant musiał nosić przy sobie coś takiego. Gail jako tajniak mogła trzymać swój w torebce. Mundurowi musieli jednak przypinać te nieporęczne urządzenia do pasków. Przypominały z wyglądu cegłę, były ciężkie jak puszka tłuszczu do pieczenia Crisco i miały plastikową obudowę z krawędziami ostrymi jak nóż. Jeśli chciało się usiąść, trzeba było albo odpiąć to ustrojstwo, albo siedzieć tak ostrożnie, żeby nie uszkodzić sobie kręgosłupa.

– Może nie mieli zasięgu – powiedziała Maggie. W niektórych częściach miasta nadajniki najzwyczajniej w świecie nie działały. – Byli przy Whitehall Street niedaleko Five Points. Tam jest sporo takich dziur.

Gail uniosła brew ze zdziwieniem. Pracowała w tej okolicy i doskonale wiedziała, gdzie można mieć problem z zasięgiem.

Nie wiedziała jednak czegoś, z czego właśnie zdała sobie sprawę Maggie. Dziś rano przy pasie Jimmy'ego brakowało nadajnika. Była tego pewna. Widziała klucze, pałkę, kajdanki i rewolwer.

Ale nie było nadajnika.

– Hej, mała! – Gail uderzyła w stół zapalniczką. – Jesteś tam?

Maggie spojrzała na zegarek. Pomyślała o swoim eksperymencie. Pięć sekund. To dużo. Jeśli zabójca strzelał dwa razy, Jimmy mógł mieć nawet siedem, osiem sekund, żeby zareagować. Ale nie zareagował.

Gail znowu uderzyła w stół.

– Halo, jest tam kto?

Maggie podniosła wzrok.

– Gdzie pracowałaś wczoraj w nocy?

– Nie przy Five Points. Tak naprawdę miałam wolne. – Gail wskazała na swój skąpy strój. – Ten kostium to na dzisiaj. Mam być przynętą na klientów. Rewir drugi i trzeci pożyczają swoje nieoznakowane radiowozy, żeby urządzić obławę na sutenerów. Chcą ukrócić ten interes.

– To powinno zmobilizować donosicieli.

– Tak, ale kiedy do nas przyjdą? – Zaciągnęła się ostatni raz i zgasiła papierosa w popielniczce. – To wszystko strata czasu. Tak samo jest z nagrodą pieniężną. Po

pierwszych morderstwach mieliśmy milion tropów. Przychodziły głównie kobiety, które próbowały zrobić swoich mężów lub chłopaków i zgarnąć pięć tysięcy dolarów.

Maggie sama musiała sprawdzić wystarczająco dużo fałszywych śladów i wiedziała, że Gail ma rację.

– Dlaczego utrudnianie życia sutenerom to strata czasu? Dzięki temu złapano Edwarda Spiveya.

– Czyżby?

Magie wzruszyła ramionami. Terry zastosował tę taktykę i od pewnego kapusia udało mu się dostać namiary na Spiveya. Wydawało się więc, że był w tym jakiś sens.

– Pozwól, że ci to wyjaśnię – zaczęła Gail. – Szukamy panienki, która pracowała zeszłej nocy w okolicach Five Points i mogła coś widzieć. Mamy nadzieję, że poda nam jakieś nazwiska, tak?

Maggie przytaknęła.

– Pierwszego dnia wsadzamy więc wszystkich alfonsów do mamra. Siedzą za kratkami, a ich dziewczęta przez cały dzień śpią i ćpają.

Maggie jeszcze raz kiwnęła głową. Właśnie tak było ostatnim razem.

– Drugiego dnia sutenerzy wychodzą za kaucją, garbują skórę prostytutkom za to, że się leniły, i każą im iść na ulicę, żeby jak najszybciej pokryć straty. – Gail zapaliła kolejnego papierosa. – Nadchodzi dzień trzeci: nasi chłopcy zamykają wszystkie dziwki. – Zakręciła zapalniczką na stole. – To działa jak drzwi obrotowe. Jedni wchodzą, drudzy wychodzą. Ta zabawa trwa jeszcze jakiś czas, aż wreszcie przychodzi kapuś i wtedy wszyscy mogą zająć się swoimi sprawami.

– Tak, ale przecież właśnie o to nam chodzi. Musimy znaleźć informatora.

– Jasne, ale czy to na pewno dobry sposób? – Pochyliła się nad stołem. – Ile to zajęło? Pięć, sześć dni? W tym czasie gość, który zabił Dona Wesleya, zdąży wrzucić pistolet do kadzi z kwasem solnym i czmychnąć z miasta. Lub nawet gorzej: wynajmie przemądrzałego adwokata z północy, licząc na to, że mu się upiecze.

Znowu Edward Spivey. Nad wszystkim unosił się cień tego człowieka. Maggie zapytała:

– Jest jakieś szybsze rozwiązanie?

– Musimy się dowiedzieć, jak nazywa się sutener, dla którego pracują dziewczyny z okolicy. Potem nakłaniamy go do zorganizowania spotkania, podczas którego będziemy mogli pogadać z jego podopiecznymi. Wiesz, jak to jest. Dzwinka nie wysra się bez pozwolenia swojego alfonsa, a on znajdzie jeszcze jakiegoś popaprańca, który zapłaci, żeby móc na to popatrzeć.

Maggie niemal się roześmiała.

– To takie proste? Wystarczy iść do sutenera i on pozwoli nam porozmawiać z prostytutkami?

– Tak, pod warunkiem że to my się za to zabierzemy. Chłopaki to spieprzą, zrobią z tego sajgon. – Wzruszyła ramionami, jak gdyby nie wymagało to żadnego komentarza. –

Dziewczyny lepiej nadają się do łagodzenia sytuacji. Dobrze o tym wiesz.

– Tak – powiedziała Maggie, choć była zdziwiona, że usłyszała coś takiego z ust kobiety, która rozwalila podejrzanemu głowę służbową latarką.

– Zdarzało ci się rozdzielać bijących się facetów?

– Jasne. – Robiła to przynajmniej pięć razy w tygodniu.

– Nie przestają się łać ze strachu przez tobą, prawda?

– Nie. – Czasami uspokajali się na sam widok radiowozu. – Po kilku ciosach chcą, żeby ktoś interweniował, zanim naprawdę zrobią sobie krzywdę. Jestem tylko dobrym pretekstem.

– Po co więc zadawać sobie tyle trudu i przeciągać sprawę? Po co nasze chłopaki mają wsadzać za kratki alfonsów, a potem ich wypuszczać i tak w kółko? My, dziewczyny, możemy się z nimi dogadzać, bo jesteśmy w miarę rozsądne.

– Jakie dziewczyny?

– My. – Wskazała ręką na siebie i na Maggie.

Maggie zastanawiała się, dokąd prowadzi ta rozmowa.

– Skąd będziemy wiedziały, że nie kłamią?

– A skąd wiemy, że kapusie mówią prawdę?

Słuszna uwaga.

– Rozmawiałś o tym z szefostwem?

– Jasne, Mack, Les, Terry i reszta padli na kolana i z wdzięczności za taki genialny pomysł zaczęli mnie całować po butach.

Maggie uśmiechnęła się szeroko na samą myśl, jak mogłoby to wyglądać.

– Five Points. W tej okolicy pracują całe tabuny dziwek.

– Nie mówimy o Five Points, tylko o Whitehall, i to nie o całej ulicy, a jedynie o okolicach banku C&S, gdzie zastrzelili Dona. Pracują tam głównie weteranki uzależnione od koki i hery. Ledwo zipią, więc musimy się śpieszyć.

Maggie wiedziała, że „weteranki” to prostytutki w wieku Gail.

– Okay, potrzebujemy namiarów na sutenera, który zarządza tym rewirem. Znasz kogoś, kto mógłby nam pomóc?

– Pewnie. Niestety, mam przesrane na mieście. Podpadłam paru dziwkom. Może faktycznie trochę przesadziłam. – Gail zaczęła stukać papierosem o krawędź popielniczki.

– Znasz mnie, palę za sobą wszystkie mosty. Wiem za to, kto ma potrzebne informacje. Sama nic jednak nie wskóram.

Maggie poczuła, jakby stała na krawędzi bardzo stromej przepaści.

– Nie jestem oficerem dochodzeniowym.

– No i co z tego? – Gail wpatrywała się w nią prowokacyjnie. Zawsze używała tej strategii, żeby ją w coś zrobić. Wiedziała, że Maggie bardzo zależy na jej aprobacie. –

Nie bój się. To nic strasznego. Dam ci namiary na sutenera. On nie będzie chciał ze mną gadać, ale z tobą to co innego. Wiesz, jacy oni są. Zawsze chętnie spotkają się z młodą ładną laską, która ma cycki na właściwym miejscu.

Maggie czuła, jak ściska ją w żołądku. Gail musiała to wszystko zaplanować.

– Myślisz, że mogę tak po prostu wejść do kryjówki jakiegoś alfonsa i on ze mną pogada?

– Słuchaj, kochanie, zapomnij o tym, co mówiłam, gdy razem patrolowałyśmy ulice. Pracując jako tajniak, nauczyłam się, że czasami warto korzystać z przywileju bycia kobietą.

Maggie nie była tego taka pewna.

– Potem będziesz już mogła tylko siedzieć i patrzeć.

Maggie zrozumiała, co jest grane. Jeśli poda Terry’emu nazwisko, chłopcy zajmą się resztą i rozwiążą problem.

Gail zdusiła papierosa na talerzu z naleśnikami.

– Krótka piłka. Tak lub nie. Jeśli się zgadzasz, przyjdź o drugiej do restauracji Colonnade. Jeżeli odmawiasz, facet, który zastrzelił Dona i prawie zabił twojego brata, uniknie kary. – Wzruszyła ramionami. – Decyzja należy do ciebie.

Na schodach przed komendą zebrał się tłum policjantów. Niegrzeszący urodą, przysadzisty gmach zbudowano z białego marmuru wydobywanego w kamieniołomach Tate na północy stanu. Z tego samego miejsca pochodził również marmur, z którego robiono w Atlancie nagrobki. Wszyscy rozmawiali o śmierci. Już z daleka Maggie słyszała wielokrotnie powtarzane nazwisko Dona Wesleya. Większość zebranych najprawdopodobniej nigdy go nie spotkała. Z numerów na kołnierzykach wywnioskowała, że byli z różnych jednostek, ale zgromadzili się tutaj ze względu na wspólny cel. Już trzeci raz morderca odważył się zaatakować funkcjonariuszy. Podczas pierwszych dwóch obław policja działała zdecydowanie, choć może nieco chaotycznie. Teraz w powietrzu czuć było nieskrywaną żądzę krwi.

Nic tak bardzo nie zbliżało gliniarzy jak wspólny wróg.

A w Atlancie gliniarzy nie brakowało. Miasto podzielone było na siedem rewirów, w tym lotnisko i Perry Homes, dzielnicę tak niebezpieczną, że czuwał nad nią specjalny oddział policji. Każdy rewir miał własny komisariat. Śródmieście, czyli pierwszy sektor, organizowało odprawy na parterze gmachu komendy. Idealna lokalizacja z jednym drobnym mankamentem: stała bliskość szefostwa. Terry i jego koledzy narzekali, że w męskiej toalecie ciągle wpadają na komendanta. Maggie podejrzewała, że nie są w stanie zdecydować, czego bardziej w nim nienawidzą: tego, że jest nowy, czy tego, że jest czarny.

Burmistrz Maynard Jackson chciał pozbyć się starego szefa policji i po miesiącach otwartej wrogości udało mu się wreszcie doprowadzić do jego dymisji. Nowy komendant Reginald Eaves objął stanowisko w czasie procesu Edwarda Spiveya, co niestety tylko pogorszyło sytuację. Eavesa nie interesowało rozwikłanie morderstw. Jego misją było rozbicie układu białych, którzy sprawowali władzę nad wydziałem policji od momentu jego założenia. Raptem Terry Lawson został oskarżony o kumoterstwo.

Maggie mogła zrozumieć jego wściekłość, nawet jeśli się z nim nie zgadzała. Stary system działał doskonale pod warunkiem, że było się jednym z chłopaków. Kiedy Terry i jego kumple rozpoczynali służbę, czarni policjanci nie mieli nawet wstępu na komisariat. Przesiadali w ośrodku YMCA na Butler Street i tam czekali na wezwanie. Nie wolno im było nosić munduru poza godzinami pracy. Rzadkością był czarnoskóry policjant w radiowozie. Mogli aresztować tylko innych Afroamerykanów, nie przesłuchiwali i nie przyjmowali zeznań od białych.

Oczywiście to wszystko się zmieniło, ale ludzie tacy jak Terry popierali reformy tylko pod warunkiem, że mieli w tym interes.

Pierwszą decyzją nowy komendant wymienił kadrę kierowniczą. W ciągu miesiąca

pozbawił stanowisk i zdegradował sześciu zastępców i około setki oficerów. Na ich miejsce mianował własnych ludzi. Wielu nowych szefów tak robi, ale w tym wypadku nie obeszło się bez poważnych tarć, ponieważ stara struktura władzy składała się tylko z białych, a nowa tylko z czarnych.

Ofiary czystek wytoczyły procesy sądowe, ale wciąż oczekiwano na wyroki. Eaves sformalizował procedury awansu zawodowego i wprowadził egzaminy. Wcześniej liczyły się tylko znajomości. Nowego komendanta bardziej interesowały kompetencje. To był dobry pomysł, ale gdy okazało się, że czarnoskórzy nie są w stanie zaliczyć egzaminu pisemnego, Eaves powołał komisję, przed którą zdawało się ustnie. Żaden z białych nie został przez nią oceniony pozytywnie.

Wytoczono kolejne procesy. Nikt nie wiedział, jakie to przyniesie efekty.

Oprócz kwestii rasowych najpoważniejszym zarzutem wobec Eavesa była jego zawodowa przeszłość: nie był gliną z krwi i kości. Na studiach prawniczych poznał przyszłego burmistrza Atlanty. Nie patrolował ulic jak prawdziwy policjant. Poza komendą można było go zobaczyć jedynie w telewizyjnych wiadomościach albo w eleganckim cadillacu, którym jeździł do Commerce Clubu na lunch.

Z podwładnymi komunikował się głównie za pomocą codziennych biuletynów, które odczytywano na głos podczas odpraw. Miał obsesję na punkcie biurokracji, co było kolejnym powodem, dla którego darzono go niechęcią. Wprowadzał nowe uregulowania dotyczące wyglądu, sposobu zwracania się do obywateli, używania siły i – co było dla niego najważniejsze – wypełniania federalnych formularzy, dzięki którym do Atlanty szerokim strumieniem płynęły rządowe subwencje.

Było to szczególnie istotne dla kobiet. Jedynym motywem, dla którego pozwolono im włożyć mundur, były pieniądze. Władze Atlanty do zatrudniania policjantek zostały po prostu przekupione wysokimi dotacjami. Kobiety nie musiały już kłamać na temat swoich obowiązków. Jednym z warunków uzyskania rządowych funduszy było zastosowanie się do zasad, które wydział policji w Atlancie miał w głębokim poważaniu. Chodziło głównie o mieszane patrole.

Biała kobieta nie mogła pod żadnym pozorem pracować w parze z czarnym mężczyzną. Tak naprawdę biali nie mieli nic przeciwko wspólnym patrolom z Murzynkami, ale te były wystarczająco rozsądne, żeby nie wsiadać razem z nimi do radiowozów. Natomiast odwrotnej sytuacji – czarny mężczyzna i biała kobieta – nikt nie był w stanie zaakceptować.

Być może właśnie dlatego Atlanta była statystycznie jednym z najniebezpieczniejszych miast Ameryki. Zdaniem Maggie biali i czarni policjanci zgadzali się ze sobą tylko co do jednego – kobiety nie powinny nosić munduru. Poznajcie nowego szefa. Niczym nie różni się od starego.

Maggie pokonała dwadzieścia jeden stopni, które prowadziły do komendy. Mosiężne drzwi miały kolor matowej zieleni, a cienka szyba była zaparowana i ciemna od brudu. Przed wejściem do środka jeszcze raz zaczerpnęła świeżego powietrza. Wewnątrz kłębił się tłum policjantów. Nie słychać było jednak ani śmiechów, ani rozmów. Śmierć Dona

Wesleya unosiła się w powietrzu razem z dymem papierosowym.

Mężczyźni, nawet w żałobie, przestrzegali pewnych zasad. Gdy próbowała przejść przez zatłoczony pokój odpraw, nikt nie przesunął się nawet o milimetr. Dostała kuksańca w bok, jakaś dłoń musnęła jej pośladki. Brnęła do przodu i z obojętnym wyrazem twarzy patrzyła prosto przed siebie.

– Cześć, laleczko. – Chuck Hammond sięgał Maggie zaledwie do brody, ale niski wzrost w ogóle mu nie przeszkadzał. – U Jimmy’ego wszystko okay?

– Będzie tu niedługo. Sam zobaczysz – odpowiedziała Maggie, nawet się nie zatrzymując.

– Słuchaj, jeśli chcesz pogadać...

Na ratunek przyszedł jej Rick Anderson.

– Cześć, Maggie. Masz chwilę?

– Pewnie. – Poczowała rękę Chucka na swoim ramieniu, ale zignorowała go. Ruszyła w ślad za Rickiem, który znacznie lepiej radził sobie z przedzieraniem się przez tłum. Poza tym był zabawny, dobroduszny i zawsze śmiał się z cudzych dowcipów. Wszyscy go uwielbiali.

Obejrzał się, żeby sprawdzić, czy Maggie nadal za nim idzie.

– Wszystko dobrze?

– Jasne. Jimmy ma się świetnie.

– Nie pytałem o niego.

Maggie poczuła, że zaraz się rozplacze. Nie była w stanie sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni ktoś zapytał ją o samopoczucie.

– U mnie w porządku, dzięki.

– Szanowna pani. – Ukłonił się lekko, wskazując na drzwi damskiej przebieralni.

Oboje udawali, że nie widzą wulgarnego rysunku namazanego pod piktogramem przedstawiającym kobietę.

– Dziękuję.

Maggie wślizgnęła się do środka przez lekko uchylone drzwi, żeby uniemożliwić podglądanie.

Dobrze zrobiła, ponieważ Charlaine Compton właśnie zdjęła spodnie i starała się zatrzymać oczko w rajstopach lakierem do paznokci. Gdy zobaczyła Maggie, powiedziała:

– Dopiero co je kupiłam.

– Mam zapasową parę. – Maggie musiała stanąć bokiem, żeby wyminąć Charlaine. Damska przebieralnia miała kształt wąskiej kiszki. Kiedyś mieścił się tu składzik na środki czystości. Nie było umywalk ani toalet. Jeśli chciało się z nich skorzystać, trzeba było iść na piętro do wspólnej umywalni.

Maggie wybrała odpowiedni szyfr i otworzyła swoją szafkę.

– Chuck znowu mnie zaczepiał.

– Dotykał cię?

Maggie wzdrygnęła się na samą myśl.

– Uratował mnie Rick Anderson.

– To jeden z fajniejszych facetów w tej firmie. – Charlaine przez dłuższą chwilę wpatrywała się w Maggie. – Co u Jimmy’ego?

– Wściekł się. Chce złapać tego faceta. – Podała Charlaine biały plastikowy pojemnik w kształcie jajka. – Don był dobrym gliniarzem. Nie zasłużył na taki koniec.

– Pełna zgoda. – Charlaine zrolowała rajstopy i zaczęła je zakładać. – Szkoda, że nie słyszałaś, co moja matka wygadywała rano przez telefon: „Po co ci robota, w której możesz zginąć? Co się z tobą dzieje?”.

Maggie dobrze знаła te pytania. Rzuciła niby od niechcenia:

– Może pozwolą nam zająć się niektórymi wątkami w śledztwie.

– Jasne, a księżna Monako wyszoruje za mnie klozet.

Maggie pomyślała o dzisiejszej ofercie albo raczej o rzuconym wyzwaniu. Gail wiedziała, jak ją podejść. Może to straszne, ale perspektywa udziału w śledztwie wydawała się jej ekscytująca. Niestety, zdobyte informacje będzie musiała przekazać Terry’emu. Zdawała sobie sprawę, że to nie tylko przekazanie nazwiska podejrzanego, ale wydanie na niego wyroku śmierci.

Zawsze może zwrócić się do Ricka Andersona i jego partnera Jake’a Coffee’ego. Nie należeli do grona kumpli Terry’ego i przestrzegali prawa. Był z tym jednak pewien problem. Gdyby Terry się dowiedział, że Maggie knuła coś za jego plecami, byłby to koniec jej policyjnej kariery. Wuj stopniowo tracił swoje wpływy, ale miał jeszcze wystarczająco dużo znajomości, żeby usadzić Maggie za biurkiem lub, co jeszcze gorsze, na nocnych zmianach w więzieniu, a wtedy albo sama odeszłaby ze służby, albo wylądowałaby w szpitalu z nożem w brzuchu.

– Cześć, dziewczyny! – Przez półotwarte drzwi wślizgnęła się Wanda Clack. Na jej twarzy jaśniał szeroki uśmiech, który zniknął zaraz po tym, jak weszła do przebieralni. – Znowu narysowali nam na drzwiach penisa? Czy oni naprawdę nie mają matek?

– Jak twoja weekendowa randka? – zapytała Charlaine.

– Powiedziałam, że jestem gliną, więc zostawił mnie z rachunkiem i zwiął. – Wanda przewróciła oczami. – Dla następnego będę stewardesą.

– Pomyśli, że jesteś łatwa.

– Właśnie o to mi chodzi. Nikt się ze mną nie przespał od dwóch miesięcy.

Nagle ktoś otworzył szeroko drzwi.

– Ej! – krzyknęła Charlaine, przyciskając spodnie do brzucha.

– Jezu! – Wanda szybko zatrzasnęła drzwi, ale na zewnątrz już rozległy się gwizdy i podniecone okrzyki. – Co się do cholery stało?

Do przebieralni chwiejnym krokiem weszła wystraszona blondynka. Falowała jej pierś.

Przynajmniej Maggie tak się wydawało, ponieważ miała na sobie tak obszerny mundur, że równie dobrze mogło to być indyjskie sari. Nowych rekrutów zawsze można było poznać po ubraniach. Większość wykruszała się w czasie szkolenia, więc dostawali uniformy dopiero po ukończeniu akademii. Goście z zaopatrzenia dawali kobietom za duże mundury, a czarnoskórym mężczyznom za małe.

– Słuchaj, blondasie – powiedziała Charlaine, zapinając spodnie. – Nigdy nie otwieraj tych drzwi na oścież. Nigdy.

– Uhm. – Blondynka dotknęła szyi drżącymi palcami. Wyglądała tak, jakby za chwilę miała się rozpłakać. Maggie była pod wrażeniem, że udało jej się przedrzeć do przebieralni przez kordon blokujący drogę. Dziewczyna sprawiała wrażenie bardzo delikatnej i wydawało się, że najmniejszy podmuch wymiecie ją z budynku komendy.

Charlaine zamiast zapytać bezpośrednio, zwróciła się do Maggie:

– Kto to jest?

– Pewnie nowa rekrutka – odpowiedziała Maggie, wzruszając ramionami.

– Cholera, zapomniałam, że dzisiaj zaczynają pracę. – Charlaine usiadła i zaczęła przypinać do pasa policyjny sprzęt. – Biedactwo nie potrafi szyć.

– Może myśli sobie, że za przerobienie munduru wyląduje w areszcie – zazartowała Wanda.

Wybuchnęły śmiechem, a blondynka patrzyła na nie jak złapane w pułapkę zwierzę.

Maggie podeszła do swojej szafki i zaczęła grzebać w torebce, choć dobrze wiedziała, co jest w środku. Sama musiała znosić podobne szyderstwa, gdy pierwszy raz włożyła mundur. To część inicjacji. Jeżeli nie radzisz sobie w damskiej przebieralni, nie powinnaś w ogóle wychodzić na ulicę. Na komendzie ubliżano ci tylko słownie. W pierwszym miesiącu służby podczas różnych interwencji Maggie została opluta tyle razy, że w pewnym momencie przestała liczyć. Dostała też pięścią w twarz od kobiety, której mąż został aresztowany za przemoc domową.

– Skąd jesteś? – zapytała Wanda.

Nowa nie była pewna, czy pytanie zostało skierowane do niej.

– Tak, do ciebie mówię. Skąd jesteś?

– Z Atlanty. Konkretnie z Buckhead. – Miała taki akcent, że jej odpowiedź nikogo nie zaskoczyła.

Wanda aż zagwizdała z wrażenia. To najbogatsza dzielnica miasta i nie pochodziło z niej zbyt wielu policjantów.

– Fiu, fiu, panienka z dobrego domu.

Charlaine klepnęła Maggie w nogę i wyciągnęła rękę. Maggie pomogła jej wstać z ławki.

– Macie pięć minut, zanim zjawią się tu wasze czarne koleżanki – oznajmiła Charlaine i wymknęła się z przebieralni przez lekko uchylone drzwi. Z sali odpraw dochodził szum męskich głosów.

Wanda stała z założonymi rękami i wpatrywała się w blondynkę.

– A co panienka robi w naszym towarzystwie?

– Przyszłam... – odpowiedziała łamiącym się głosem – Przyszłam do pracy.

– Do pracy. – Wanda była znana z ciętego języka. Cały czas mierzyła nową wzrokiem, jakby szukała powodów, dla których już jej nienawidzi. Wysoka, miedzianoblond włosy i idealne rysy twarzy. Wielkie niebieskie oczy. Wysokie kości policzkowe. Nawet bez szminki miała pąsowe usta. Była od pozostałych dziewczyn kilka lat starsza, ale miała w sobie coś świeżego, młodzieńczego i niezwykle kobiecego.

– Wybrałaś tę robotę, żeby wyrywać facetów? Jeśli tak, to powiem ci, że nie są warcii funta kłaków.

Dziewczyna milczała, ale widać było, że zastanawia się, czy nie powinna po prostu trzasnąć drzwiami i wybiec stąd z krzykiem.

– Dalej. – Wanda skinęła głową w kierunku wyjścia. – Nie będziesz pierwszą, która dała sobie spokój jeszcze przed odprawą.

– Nigdzie nie idę – powiedziała blondynka, bardziej do siebie niż do Wandy. – Nie jestem tu, żeby wyrywać facetów. Przyszłam do pracy i mam zamiar zostać.

– To się jeszcze okaże – burknęła Wanda.

– Owszem, okaże się – potwierdziła już pewniejszym głosem blondynka.

Maggie zrobiło się jej szkoda. Zapytała:

– Jak się nazywasz?

– Kay... – zaczęła, ale zmieniła zdanie. – Kate Murphy.

– Kate Murphy... – powtórzyła Wanda. – Irlandka? Jak z reklamy mydła Irish Spring? „Męskie, ale mnie też się podoba!”

Maggie zaśmiała się z dowcipu. Wanda potrafiła perfekcyjnie naśladować irlandzki akcent.

– Nie jestem... – Kate przestąpiła z nogi na nogę, niemal tracąc równowagę. Miała za duże buty, a spodnie prawie z niej spadały. Wyglądała, jakby pochłaniały ją odmęty granatowego materiału. – Potrzebuję tej pracy.

Maggie przyjrzała się jej uważnie. Dziewczyna była mocno przerażona i nie potrafiła zapanować nad głosem, ale trzeba przyznać, że nie dawała łatwo za wygraną. Szczególnie, że Wanda była nastawiona konfrontacyjnie, co było trudne do zniesienia nawet dla Maggie.

Wanda chyba sama się zorientowała, że przegina i złagodziła ton, ale tylko odrobinę.

– Daj sobie spokój z przydziałowymi skarpetkami. Franklin Simon sprzeda ci za dolara porządne, wełniane. Buty nie będą spadać ci z nóg. Znajdź też zszywacz. Szpilki nie będą długo trzymać, szczególnie jeśli będziesz musiała kogoś gonić, a uwierz mi, na pewno tak będzie. Być może czeka cię dziś nawet bójka. Z twoim wyglądem pewnie jeden z tych goryli stojących na zewnątrz zacznie się do ciebie dobierać.

Kate popatrzyła w kierunku drzwi.

– Spójrz na mnie. – Wanda jeszcze nie skończyła. – Na Carver Street jest krawiec, który przerobi ci mundur i nie będzie cię obmacywać podczas przymiarki. Jest Żydem, ale całkiem rozsądnym. – Puściła do niej oczko. – Tylko nie gap się na jego rogi. Robi się wtedy nerwowo.

Kate wydawała się jeszcze bardziej przerażona niż wcześniej.

– Boisz się Żydów? – Wanda znowu zaczęła się rozkręcać. – Masz z nimi jakiś problem?

Kate lekko wzruszyła ramionami.

– Nie, pod warunkiem, że chowają kopyta.

Wanda parsknęła śmiechem i skierowała się do wyjścia. Przechodząc obok Kate, poklepała ją po ramieniu.

– To było dobre, paniusiu. Jeśli dotrwasz do piątku, postawię ci drinka.

Przez uchylone drzwi Maggie zobaczyła twarze starających się zajrzeć do środka mężczyźni.

Spojrzała na zegarek.

– Musimy się pośpieszyć. Zaraz będą tu nasze kolorowe koleżanki.

Kate rzuciła okiem na zasłonkę dzielącą przymierzalnię na dwie części.

– Macie tu segregację rasową? – zapytała z przerażeniem w głosie.

– Muszą się gdzieś przebrać. Nie mogą przychodzić do pracy w mundurach.

– Dlaczego?

Maggie zmrużyła oczy. Nie była pewna, czy zdziwienie Kate jest udawane, czy nie.

– Na Buckhead nie wpuszczacie czarnoskórych do domu tylnym wejściem?

– Ja tylko...

– Gliniarze nie są mile widziani w dzielnicach, z których pochodzą, nawet jeśli mają taki sam kolor skóry.

Kate znowu popatrzyła w kierunku drzwi.

– A dlaczego wy nie macie zasłonek?

Maggie nabrała pewności, że dziewczyna z nią pogrywa.

– One pierwsze ją powiesiły. – Czują, że musi ją ostrzec. – Jeśli zobaczą, że tam wchodzisz, skopią ci tyłek. Potrafią być naprawdę wredne. Nawet Wanda z nimi nie zadziera.

– Aha. Okay.

– Toalety są na piętrze, ale jest ciasno. Tylko dwie kabiny. Nie używaj lakieru do włosów przed lustrem, chyba że chcesz się komuś narazić. Tak w ogóle to mam na imię Maggie.

Kate milczała, ściskając w dłoni pasek torebki, jakby chciała go udusić. Albo się na nim powiesić.

– Masz zamek albo kłódkę? – zapytała Maggie.

Kate pokręciła głową.

Maggie otworzyła swoją szafkę.

– Schowaj tu torebkę, a po pracy załatw sobie zamknięcie. Na Central Avenue koło uniwersytetu jest sklep sportowy. Jeśli pójdziesz tam w mundurze, dadzą ci zamek za friko. W ogóle jak najczęściej chodź w mundurze. Będziesz dostawać darmową kawę i jedzenie.

Kate położyła swoją torebkę na torebce Maggie.

– To zgodne z prawem?

– Wszystko jest zgodne z prawem, jeżeli uchodzi ci na sucho. – Maggie zatrzasnęła szafkę. – Witam w Wydziale Policji miasta Atlanta.

6

Kate usiadła przy stole na samym końcu sali odpraw. Wcisnęła się między policjantki: tę, która okazywała jej otwartą wrogość, i tę drugą nastawioną do niej tylko odrobinę przyjaźniej.

Maggie Lawson była jej wzrostu, miała ciemne włosy spięte na czubku głowy w kok, brązowe oczy i ładną twarz, która bez munduru mogła być jeszcze ładniejsza. To samo dotyczyło Kate, więc nie powinna być tak krytyczna. Maggie była przecież pomocna, choć w dość oschły sposób. Kate zastanawiała się, czy po odebraniu torebki z depozytu znajdzie w niej swój portfel. Dwie pozostałe dziewczyny z przebieralni – Clack i Compton – nie grzeszyły wzrostem. Jedna była dość gruba w talii, a druga chuda jak patyk. Miały krótkie tlenione włosy i mocny makijaż, jakby za wszelką cenę chciały pokazać, że są kobietami. Nie zadały sobie trudu, żeby się przedstawić, więc Kate знаła tylko ich nazwiska z wygrawerowanych srebrnych plaketek przypiętych do munduru.

Ostatni raz czuła taką pogardę ze strony dziewczyn w gimnazjum. Bardzo wcześnie dojrzała. Jako pierwsza w szkole nabrała kobiecych kształtów, urosły jej piersi i dostała okresu. Nie miała wtedy żadnych koleżanek, a chłopcy nie przestawali się na nią gapić.

Teraz w zasadzie działało się to samo. Chociaż miała na sobie mundur przypominający worek na ziemniaki, każdy facet siedzący w sali znajdował jakiś pretekst, żeby się odwrócić i otaksować ją wzrokiem. Nigdy w historii ludzkości tak wiele długopisów nie upadało tak często na podłogę.

Starła się nie zwracać na to uwagi, choć paradoksalnie modliła się, żeby przydzielono jej jako partnera jakiegoś mężczyznę. Im większy i głupszy, tym lepiej. Wiedziała, jak radzić sobie z facetami, a kobiet tak naprawdę się bała. Ta robota to nie przelewki. Dziś rano zamordowano policjanta. Zdawała sobie sprawę, że pracując z Lawson, Clack lub Compton, będzie zdana sama na siebie. I sprawdzą się słowa tej nieokrzesanej baby, która rusza się jak wychodząca ze stodoły kłacz, że Kate nie dotrwa do końca tygodnia.

Splotła dłonie, żeby zapanować nad ich nerwowym drżeniem. Kiedy zorientowała się, że nie ma na palcu obrączki, wpadła w panikę. Całe szczęście to uczucie trwało zaledwie ułamek sekundy. Dwa miesiące temu minęła druga rocznica śmierci Patricka. Nie żył już dłużej, niż się znali.

Zastanawiała się, co sądziłby o jej obecnej sytuacji. Wydawało się, że były dwie możliwości. Patrick, za którego wyszła za mąż, różnił się od tego, który pisał do niej listy z dżungli. Po sześciu tygodniach od wyjazdu z korespondencji zaczęła wyłaniać się inna, mroczniejsza wersja chłopaka, którego poślubiła. Miał obsesję na punkcie co tydzień przysyłanych na front nowych żołnierzy, którzy zastępowali tych wracających do domu

w workach. Nazywał ich „Peżetami”. Dopiero po jakimś czasie Kate rozszyfrowała ten skrót, ponieważ w swoich listach Patrick starał się za wszelką cenę unikać wulgaryzmów. Tak jakby jego żona nigdy nie słuchała Richarda Pryora.

Pieprzone żółtodzioby.

Kate nie była w stanie zrozumieć nienawiści, którą ich darzył. Nie zostawiał na nich suchej nitki. Wkurzał go sam fakt ich istnienia. Przyjeżdżali z niewinnymi twarzami i poczuciem misji. W hełmach nosili zdjęcia swoich dziewczyn. Nikogo nie interesowało, jak się nazywają, skoro i tak większość z nich nie miała dożyć końca tygodnia.

Tak samo było teraz z Kate. Nie przedstawiali się, bo była pieprzonym żółtodziobem.

Poprawiła leżącą na stole czapkę, ukradkiem obserwując swoje koleżanki. Zauważyła, że wszystkie siedzą na krawędzi krzesła z rozstawionymi kolanami i łokciami opartymi o blat. Poczła się jak pruderyjna belferka, ponieważ sama siedziała z nogą założoną na nogę i dłońmi splecionymi na kolanach.

Była jedną z ośmiu białych kobiet w mundurze. Nieumundurowane stały pod ścianą przy szafkach. Cały czas paliły. Miały na sobie obcisłe minispódniczki i wydekoltowane bluzki, które nie pozostawiały zbyt wiele miejsca wyobraźni. Na początku myślała, że to aresztantki lub prostytutki czekające na klientów, ale w końcu zrozumiała, że to po prostu policjantki pracujące w terenie. Komenda to straszne miejsce, ale mimo wszystko trudno sobie wyobrazić, żeby na poranne odprawy zapraszano panienki lekkich obyczajów.

Poza tym panienki lekkich obyczajów miałyby z pewnością lepsze rzeczy do roboty.

Kate spojrzała na kobiety zajmujące krzesła po drugiej stronie przejścia – osiem czarnoskórych funkcjonariuszek, których tak bardzo wszyscy się obawiali. Ten niepokój wydawał się całkiem uzasadniony, ponieważ rzeczywiście było w nich coś przerażającego. Siedziały wyprostowane i ze skupieniem patrzyły prosto przed siebie. Wyraźnie odróżniały się od reszty zgromadzonych, co wyjaśniało zasłonkę w przebieralni. Same odgrodziły się od świata, zanim zrobili to inni. W pierwszych rzędach siedzieli mężczyźni, również podzieleni ze względu na kolor skóry. Stanowili zdecydowanie licniejszą grupę – razem około pięćdziesięciu. Policjanci patrolujący ulice obok oficerów śledczych w modnych jakieś dziesięć lat temu cywilnych ubraniach. Prawie wszyscy mieli długie bokobrody i bujne wąsy, na głowach czapki i palili papierosy. Bił od nich niezwykle intensywny zapach potu, tytoniu i zbyt obficie dawkowanego old spice’a.

Kate starała się zapomnieć, jak wyglądało jej przejście przez salę odpraw. Czuła się dosłownie sponiewierana przez nieznanymi mężczyzn, którzy ocierali się o jej piersi i pośladki, a nawet dotykali karku. Jeszcze nigdy w życiu nie została tak brutalnie potraktowana. Za sprawą munduru stała się nagle dziewczyną, z którą mogą zrobić, co chcą. Swoim zachowaniem starali się powiedzieć: chodź do nas, przestrzegaj naszych zasad.

Mężczyzna siedzący kilka stołów dalej próbował przyciągnąć jej spojrzenie. Szybko odwróciła wzrok i jeszcze mocniej zacisnęła dłonie. Oddychała powoli, starając się nie zaciągać dymem. Koniec z fantazjowaniem o Patricku. Koniec z rozpamiętywaniem przeszłości.

Musi jej się udać.

Przez salę przeszedł cichy szmer. Na podium wszedł gruby mężczyzna z czerwonym kartoflowatym nosem. Kapitan Cal Vick. Dziś rano rozmawiał z Kate i zasugerował, że powinna obwiązywać sobie biust, żeby nikt nie dostał przez nią ataku serca.

Vick zastukał w mównicę.

– Proszę wszystkich o spokój. Zaczynamy. – Hałas powoli cichł. – Na początek chciałbym, żebyśmy się pomodlili za Dona Wesleya, niech spoczywa w spokoju. – Wszyscy opuścili głowy. Kate wbiła wzrok w podłogę.

Don Wesley. Była w drodze do pracy, gdy usłyszała w radiu, co się stało. Piąty policjant zamordowany w ciągu ostatnich trzech miesięcy. Według prezentera – kolejna ofiara Strzelca z Atlanty. Władze wyznaczyły nagrodę w wysokości pięciu tysięcy dolarów za pomoc w ujęciu sprawcy. Słuchacze mogli zgłaszać się na policję, jeśli mieli jakiegokolwiek informacje dotyczące zabójstw.

Kate jechała wtedy samochodem przez centrum miasta i ta wiadomość sprawiła, że oblał ją zimny pot. Chciała zatrzymać się przy najbliższej budce telefonicznej, zadzwonić do rodziców i powiedzieć, że u niej wszystko w porządku. Po chwili zdała sobie jednak sprawę, że to głupi pomysł. Oni również słuchali radia i wiedzieli, że nic jej się nie stało. W wiadomościach podano przecież nazwisko ofiary, kawalera, który był w Wietnamie i został odznaczony za wzorową służbę.

Mimo to Kate wciąż walczyła z pokusą skontaktowania się z matką. Dopiero gdy wyobraziła sobie ich rozmowę, zmusiła się do dalszej jazdy. Telefon do rodziców miałby sens jedynie w wypadku, gdyby podjęła decyzję, że rezygnuje z pracy i chce się do nich z powrotem wprowadzić. Byliby rozczarowani, ale pod pewnym względem poczuliby również ulgę. Nie wspomnieliby jednak o tym ani słowem, co byłoby w sumie gorsze od zwyczajowego „a nie mówiliśmy”.

Kate nie zatrzymała się więc przy najbliższej budce telefonicznej, ale dopiero na parking. Wysiadała z samochodu i przeszła na piechotę trzy przecznice. Potem zgłosiła się do Cala Vicka, który głośno rozważał, czy duży biust nie będzie jej przeszkadzać w patrolowaniu ulic.

– Amen – powiedział Vick, a za nim wszyscy pozostali. – Zaczniemy od sprawdzenia listy obecności, a potem sierżant Lawson zrelacjonuje bieżącą sytuację.

Kate rzuciła okiem na Maggie. Nie nosiła obrączki, co sugerowałoby, że sierżant Lawson to jej krewny.

– Jeszcze jedno – kontynuował Vick. – Chciałbym mieć pewność, że wszyscy będziecie mieli oczy szeroko otwarte. I niech żaden dureń nie próbuje działać w pojedynkę, udając kowboja. Razem dorwiemy tego gnojka. Zrozumiano?

– Tak jest – krzyknęli mężczyźni. Kobiety milczały.

– Nie będzie powtórki tego, co stało się pół roku temu. Jasne?

– Tak jest – powtórzyli.

Kate rozejrzała się wokół siebie. Wszyscy, oprócz niej, sprawiali wrażenie, jakby

doskonale wiedzieli, co wydarzyło się pół roku temu.

Vick rozpoczął odczytywanie listy obecności.

– Anderson?

– Obecny – mruknął ktoś z sali. Potem padły kolejne nazwiska.

Kate było niewygodnie i poprawiła się na siedzeniu w taki sposób, żeby latarka przestała wbijać jej się w bok. Niestety, na niewiele się to zdało, ponieważ teraz uchwyt pałki policyjnej uciskał ją boleśnie w udo. Nadal szukała właściwej pozycji i kilka osób zaczęło się na nią gapić. Problemem był również nowy pas ze skóry, który przy każdym ruchu głośno skrzypiał.

Spojrzała na Maggie, a potem na Clack i Compton. Zrozumiała, że musi usiąść z rozsuniętymi kolanami, żeby ciężar pasa i wiszącego na nim sprzętu równomiernie się rozłożył. Ostrożnie zdjęła nogę z nogi i powoli rozstawiła stopy. Zrobiła się czerwona ze wstydu. Od kiedy pamiętała, zawsze siadała ze złączonymi kolanami albo z nogą założoną na nogę. Jak się okazało, można to robić inaczej. Przyszło jej do głowy, że prawdopodobnie te dziewczyny mają w sobie coś, czego jej brakuje.

Nie mogła jednak dopuszczać do siebie takich myśli. Jeżeli rzeczywiście była inna, oznaczało to, że nie nadawała się do tej pracy. Szczerze mówiąc, ciężko stwierdzić, do jakiej pracy się nadawała. Nie miała cierpliwości do uczenia dzieci. Nie skończyła szkoły dla pielęgniarek. Ojciec załatwił jej posadę sekretarki w trzech różnych firmach, ale zawsze szybko ją zwalniali. Bardzo wolno pisała na maszynie, beznadziejnie notowała pod dyktando. Mogła serwować kawę i ładnie wyglądać, ale wiele młodszych dziewcząt robiło to za tak małe pieniądze, że żaden dorosły nie był w stanie się z tego utrzymać.

Policja jako instytucja państwowa musiała płacić kobietom takie same pensje jak mężczyznom. Poza tym zapewniała przeszkolenie, różne dodatkowe świadczenia, a na starość emeryturę. Najważniejsze było jednak to, że ten zawód dawał niezależność. Kate harowała więc w akademii jak wół, poświęcając na naukę więcej czasu niż w college'u. Uczyła się, jak patrzeć ludziom prosto w oczy, jak panować nad głosem i nie dać się zbyć. Potrafiła już nie przeproszać, gdy ktoś na nią wpadł, nie tłumaczyła się w restauracji, gdy kelner pomylił jej zamówienie i nie prosiła o wybaczenie, zanim złożyła reklamację w pralni chemicznej, która zniszczyła jej ulubioną bluzkę.

– Obudź się. – Maggie trąciła Kate w ramię. Wszyscy wyjęli notesy w spiralnej oprawie. Kate zostawiła swój w torebce, która teraz leżała zamknięta w cudzej szafce.

– Terry, zabierzesz głos? – powiedział Vick.

Kate przyjrzała się mężczyźnie zajmującemu miejsce na podium. Biały, tak jak wszyscy, którzy mieli tu coś do powiedzenia. Szeroki kark i zmrużone oczy, którymi lustrował salę. Sierżant Terry Lawson, pomyślała.

Rozłożył kartkę i zaczął czytać niepewnym głosem.

– Podejrzany jest czarnoskóry mężczyzna. Fryzura afro, długie bokobrody i wąsy. W wieku od dwudziestu do dwudziestu pięciu lat. Żadnych tatuaży ani znamion. – Podniósł wzrok, by upewnić się, że za nim nadążają. – Około metr osiemdziesiąt wzrostu. Ubrany

jak hippis. Levisy i czerwona koszula. Na dłoniach miał czarne rękawiczki. Strzelał ze zwykłego taniego pistoletu. – Przerwał, dając reszcie czas na zrobienie notatek. Nawet czarni policjanci bazgrali coś w swoich kajetach. Widać było, że w tej sprawie panuje pełna jedność.

– Chipper? – zachęcił kolegę.

Chip Bixby. Kate знаła go z akademii. On i Bud Deacon prowadzili zajęcia na strzelnicy. Obaj nosili identyczne czerwone krawaty, prawdopodobnie tylko po to, żeby móc poinformować swoje podopieczne, że jedyną zasadą obchodzenia się z bronią jest niestrzelanie do facetów w czerwonych krawatach.

– Panowie... – Chip poczekał, aż zrobi się cicho. – Zabójca miał przy sobie spluwę podobną do tej, którą trzymam teraz w ręku. – Podniósł wysoko pistolet, który w niczym nie przypominał służbowego rewolweru Kate. – MP-25 wyprodukowany przez firmę Raven Arms. Sześciopięciopalcowy półautomat z zamkiem swobodnym i wyjmowanym magazynkiem na sześć naboju plus jeden nabój w komorze, kaliber sześć i trzydzieści pięć milimetra. Gówno, nie pistolet. Cały czas się zacina. Zrobiony w Ameryce, więc czemu się dziwić?

– Niczemu! – krzyknął ktoś zapijaczonym głosem. Jett Elliott. Kate poznała go na strzelnicy. Siedział teraz w pierwszym rzędzie, z trudem zachowując równowagę. Siedzący obok kolega musiał go podtrzymywać.

– Okay. – Terry znowu zabrał głos. – Z takiej spluwy zastrzelono Dona Wesleya. Egzemplarz, który pokazał wam Chip, ma drewnianą rękojeść. Tamten miał rękojeść z imitacji masy perłowej. Jeśli nie znacie tego modelu, podejdźcie po odprawie, żeby go obejrzeć. Do końca dnia chcę mieć na biurku konkrety. Jasne?

Część zebranych skinęła głowami.

– Pewnie ciekawi was, co się tak naprawdę wydarzyło, więc ułatwię wam życie i przeczytam raport, który złożył dziś rano Jimmy. Nie chcę, żeby w tej sprawie krążyły jakieś plotki. Tylko ani słowa cholernym dziennikarzom.

– Ani Reggiemu – dodał Jett.

W sali rozległ się pomruk aprobaty.

Chodzi o Reginalda Eavesa, pomyślała Kate. W akademii sporo słyszała o kablach, którzy informowali komendanta o różnych nieprawidłowościach.

– Jett ma rację – powiedział Terry. – Wszystko, co powiem, zostaje w tym pomieszczeniu. Żadnego szpiclostwa.

– Żadnego, do cholery – krzyknął facet siedzący obok pijanego Jetta. Byli do siebie bardzo podobni. Obaj nosili tanie garnitury i mało twarzowe fryzury. Kate zastanawiała się, czy są bliźniakami, ale doszła do wniosku, że zostali po prostu wypluci przez tę samą maszynę, która wyprodukowała Cala Vicka i Terry'ego Lawsons.

– Dobra, proszę o ciszę – powiedział Terry. Schylił głowę i znowu zaczął czytać z kartki. – Dzisiaj około godziny trzeciej nad ranem funkcjonariusze Don Wesley i Jimmy Lawson otrzymali powiadomienie o możliwym włamaniu do banku C&S przy Whitehall

w okolicy Five Points. Pojechali tam, żeby zbadać sprawę. Don Wesley sprawdził tylne, a Jimmy Lawson przednie wejście.

Kate zauważyła, że Maggie zeszywniała. Jeszcze jeden Lawson. Aż się tu od nich roilo.

Terry zgiął kartkę i oparł się łokciem o mównicę. Wyglądał teraz jak starzec snujący jakąś opowieść.

– Po zakończeniu inspekcji Jimmy odwołał alarm. Stał w zaułku na tyłach banku jakieś pięć, może sześć metrów od Dona. Nagle, zupełnie niespodziewanie, zza rogu wyszedł czarnoskóry mężczyzna i zaczął strzelać. Don dostał dwa razy w głowę. Jimmy się schował i oddał trzy strzały, ale chybił. Napastnik rzucił się do ucieczki. Jimmy został przy swoim partnerze. – Terry przerwał. – Bezpieczeństwo partnera jest najważniejsze, prawda?

– Prawda – rozległy się potakujące męskie głosy.

Maggie odłożyła w tym momencie długopis.

– Panowie, sparaliżujemy dziś całe miasto. Nikt nie będzie miał spokoju, dopóki nie poznamy nazwiska zabójcy.

Wokół rozległy się okrzyki zadowolenia.

Terry zaczął walić pięścią w mównicę.

– Wykurzimy małpy z dżungli. Paru osobom może stać się krzywda, ale dostaniemy tego sukinsyna. – Terry bębnił coraz intensywniej. Przyłączyli się do niego inni, którzy też zaczęli uderzać rytmicznie w stoły. – Mam rację?

Salę porwał entuzjazm – walenie pięściami, tupanie i dzikie okrzyki. Kate pomyślała, że tak zachowują się osoby, które spędziły połowę życia w męskiej szatni.

– Dobra, dobra – powiedział Vick, który zajął miejsce Terry'ego na mównicy. Próbował uciszyć rozentuzjasmowany tłum gestami i spokojnym głosem. – Jimmy spotka się z rysownikiem, żeby opracować portret pamięciowy. Przekażemy go prasie i telewizji. – Na wzmiankę o mediach zgromadzeni wydali z siebie pomruk wyrażający obrzydzenie. – Szukamy też narzędzia zbrodni, czyli pistoletu Raven MP-25. Może ktoś oddał go w zastaw albo gdzieś wyrzucił. Sprawdźcie te same miejsca co zwykle. – Nagle przerwał i spojrzał ponad tłumem na sam koniec sali. Wszyscy się odwrócili. Stał tam młody mężczyzna: przystojny, atletycznie zbudowany, z długimi bokobrodami po obu stronach kwadratowej szczęki.

– Coś jeszcze, Jimmy? – zapytał Vick.

Jimmy pokręcił głową i zaczął przyglądać się tłumowi. Na chwilę zatrzymał wzrok na Kate, a potem na Maggie, a w zasadzie na jej plecach, ponieważ była jedyną osobą, która się nie odwróciła.

Maggie zauważyła badawcze spojrzenie Kate. Skinęła głową w kierunku Jimmy'ego i mruknęła:

– Brat.

Potem wskazała na mężczyznę na podium.

– Wuj.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało – wyszeptała Kate.

Maggie patrzyła prosto przed siebie.

– Do rzeczy – powiedział Terry, podnosząc dwie kartki odbite na powielaczu. – Mam tutaj wasze dzisiejsze przydziały. Wywieszę to na tablicy.

Położył kartki na mównicy i kontynuował:

– Panowie, to cholernie poważna sprawa, dlatego faceci nie będą dziś jeździć z dziewczynami. Z jednym wyjątkiem. Chodzi o ciebie, nowa. – Wyciągnął palec w kierunku Kate. Poczwała, jak serce podchodzi jej do gardła. Wszyscy się na nią gapili. – Pracujesz z Jimmym.

W sali rozległy się śmiechy i gwizdy. Kate zrobiła się czerwona jak burak.

– Wystarczy – powiedział Terry. – Zabierajcie się do pracy. I nie róbcie niczego na własną rękę. Nie potrzebujemy kowbojów.

Kate odwróciła się do Maggie, licząc na jej wsparcie.

– Co powinnam...?

Maggie zupełnie ją zignorowała, wstała i wyszła z sali odpraw. Zostały Clack i Compton, ale Kate nie miała żadnych złudzeń, wiedziała, że potraktują ją tak samo.

– Jimmy. Szczęściara z ciebie – powiedziała Clack.

– Nie prosiłam... – próbowała tłumaczyć się Kate.

– Kochanie, mam dla ciebie dobrą radę. Jak będziesz chciała, żeby cię przeleciał, rozłóż ręcznik na tylnej kanapie radiowozu.

Kate szła za Jimmym przez parking. Czuła się jak Keystone Kop, fajłapowaty policjant z niemych filmów. Powłóczyła nogami, żeby za duże buty nie zsunęły jej się ze stóp. Pałka boleśnie uderzała ją w nogę. Metalowe zaczepy wbijały się w biodra. Co chwilę musiała odchyłać rondo czapki, żeby w ogóle coś widzieć. Miała wrażenie, że każdy jej ruch jest bacznie obserwowany, chociaż inni byli zajęci swoimi sprawami i nie zwracali uwagi na cierpienia pieprzonego żółtodzioba.

Jimmy maszerował szybkim krokiem, ale wyraźnie kulał. Kate zastanawiała się, czy to z powodu ran odniesionych w Wietnamie. Nie liczyła jednak na to, że pozna historię jego życia. Do tej pory nie odezwał się do niej ani słowem. Skinął tylko głową w kierunku drzwi i ruszył przed siebie. Chociaż Kate modliła się o partnera mężczyzną, jej życzenia powinny być jednak bardziej szczegółowe. Jimmy wydawał się jedynym facetem w całej jednostce, który nie przejawiał nią żadnego zainteresowania.

Zatrzymał się przy grupce policjantów i zaczął z nimi rozmawiać. Kate rozpoznała Jetta Elliotta i faceta, który siedział obok niego w sali odpraw. Byli tam również kapitan Cal Vick, Chip Bixby, Bud Deacon, Terry Lawson i kilku innych, którzy z powodzeniem mogli występować jako statyści w filmach Sama Peckinpaha. Okazywali Jimmy'emu ogromny szacunek, co było trochę dziwne, ponieważ był od nich przynajmniej dwadzieścia lat młodszy. Być może to dlatego, że zginął jego partner. A może byli pod wpływem alkoholu i starali się sprawiać wrażenie trzeźwych.

Kate nie wiedziała, co ma myśleć o ich pijaństwie, ale miała zbyt wiele własnych problemów, żeby się tym przejmować. Myślała o wszystkich potrzebnych rzeczach, które zostawiła w torebce. W jaki sposób ją odzyska po zakończeniu pracy? Maggie nie podała jej przecież szyfru do kłódki.

– Idziemy – powiedział Jimmy, obracając kluczyki wokół środkowego palca. Za każdym razem, gdy łapał je w dłoń, rozlegał się charakterystyczny brzęk, który był zsynchronizowany z rytmem jego kroków. Szli w kierunku jednego z ostatnich radiowozów stojących na parkingu. Poranne słońce odbijało się od białej karoserii. Był to plymouth ferry z czerwono-niebieskim znakiem Wydziału Policji miasta Atlanta na drzwiach. Kolory były jednak tak wyblakłe, że przypominały raczej róż i blade błękit.

Jimmy otworzył bagażnik i zamocował strzelbę we wnęce koła zapasowego.

– Sprawdź samochód.

W akademii Kate nauczyła się podstawowych procedur obowiązujących podczas patrolu. Potrafiła rozmontować tylne siedzenia, wymienić przebitą oponę i uzupełnić płyn chłodniczy. Wiedziała nawet, jak zatankować auto, co wprawilo w osłupienie jej ojca.

Zgodnie z poleceniem przystąpiła do kontroli. Szczególnie ważne było sprawdzenie, czy na tylnej kanapie nie leży broń albo jakieś przedmioty, które mogłyby okazać się niebezpieczne w rękach aresztowanego. Między przodem a tyłem radiowozu znajdowała się jedynie cienka kratka, przez którą bez problemu można było precyzyjnie przycisnąć nóż lub nawet ostry plastikowy widelec.

Jimmy wkładał skórzane rękawiczki, bacznie obserwując Kate.

– Długo jeszcze?

Kate ustawiła przedni fotel i oznajmiła:

– Gotowe.

Jimmy odpiął nadajnik od paska i usiadł za kierownicą. Z powodu chorego kolana musiał wejść do auta bokiem. Kiedy zamknął drzwi, spojrzał na Kate prowokacyjnie, jakby ostrzegając ją, że nie należy go pytać, co mu dolega.

Kate położyła swój nadajnik na kolanach, a nie między nogami, tak jak Jimmy.

– Przykro mi z powodu twojego partnera.

– Dlaczego? Przecież go nie znałaś. – Włożył kluczyk do stacyjki i zapalił silnik. – Zapisuj to, co mówię, ponieważ nie mam zamiaru niczego powtarzać. – Wrzucił wsteczny, ale nie nacisnął jeszcze gazu. – Gdzie masz notes?

– W mojej... – Postanowiła nie kombinować. – W przebieralni.

Jimmy przestawił dźwignię na tryb parkowania.

– To po niego idź.

Kate poczuła, że znowu się czerwieni.

– Jest zamknięty w cudzej szafce.

– Do kurwy nędzy!

Na dźwięk tego przekleństwa aż się wzdrygnęła, choć nie wiedziała dlaczego. Przecież słyszała je już wcześniej.

Całe szczęście Jimmy nie zauważył jej reakcji. Pochylił się, żeby otworzyć schowek, a wtedy Kate instynktownie się od niego odsunęła. Spiorunował ją wzrokiem i położył jej na kolanach zapasowy notes.

– Zasada numer jeden: zawsze noś ze sobą pieprzony notes.

Otworzyła notatnik na pierwszej stronie, ale nie miała czym pisać.

– Chryste – jęknął, wyjmując z kieszeni długopis. Rzucił go w jej stronę.

Kate rzecz jasna go nie złapała. Jak na złość prześladował ją pech. Schyliła się, żeby podnieść pisak z podłogi. W tym czasie Jimmy zaczął wycofywać. Uderzyła rondem czapki w deskę rozdzielczą i poczuła przeszywający ból w okolicy czoła. Miała wrażenie, że zaraz zemdleje.

Żołądek podszedł jej do gardła.

Jimmy wyjechał na ulicę.

– Zapisuj – powiedział. – Zawsze noś ze sobą notes.

Kate usiadła i poprawiła czapkę. Cały czas miała mroczyki przed oczami, ale pstryknęła długopisem i zaczęła pisać: „Zawsze noś ze sobą notes”. Czuliła się jak kretyńka, ale tak naprawdę czekała na kolejne wskazówki.

– Zasada numer dwa: piszesz na maszynie wszystkie raporty. Ja nie zajmuję się robotą papierkową. Dlatego właśnie masz notować wszystko, dosłownie wszystko, co się dzieje. Razem z godziną, pogodą, opisem wyglądu przesłuchiwanego, czy pochodzi z białej biedoty, czy są góralami z Appalachów, jaki mają akcent, czy z południa, czy z zachodu. – Przerwał, żeby dać jej czas na zapisanie. Przynajmniej tak jej się wydawało. Przy okazji zauważyła, że nigdy nie patrzy wyżej niż jej piersi.

– Zasada numer trzy: w tym samochodzie to ja jestem szefem. To ja decyduję, dokąd jedziemy oraz kiedy i gdzie się zatrzymujemy. Jeśli musisz co dziesięć minut korzystać z toalety, to weź ze sobą kubek i do niego sikaj. Mam to gdzieś. Zrozumiano?

Kate siedziała ze spuszczoną głową i miała nadzieję, że jeśli będzie pisać wystarczająco szybko, to słowa przestaną mieć znaczenie.

– Zasada numer trzy, podpunkt A: to ja prowadzę, a ty siedzisz i się nie odzywasz.

Kate uznała, że tego nie musi zapisywać.

– Zasada czwarta: proś, rozkazuj, zmuszaj. Najpierw prosisz. Jeśli odmawiają, każesz, a jeżeli wciąż są uparci, zmuszasz.

Czuliła, jak łapie ją skurcz ręki i nie nadążała z notowaniem.

– Zasada piąta: zapomnij o zasadzie czwartej. Nie ma to żadnego znaczenia, bo i tak z nikim nie będziesz rozmawiać. Gdy ja wychodzę, ty siedzisz w aucie i nigdzie się nie ruszasz.

Kate podniosła głowę. Podczas szkolenia mówili jej dokładnie coś odwrotnego. Nigdy nie powinna zostawiać swojego partnera samego. Na odprawie to samo powiedział zresztą wuj Jimmy’ego. Lawson chyba czytał w jej myślach.

– Nie interesuje mnie, czego cię uczyli. Inne zasady obowiązują mężczyzn, a inne kobiety. Jeśli wyjdiesz na ulicę, to ja biorę za ciebie pełną odpowiedzialność. Nie mogę jednocześnie pilnować i siebie, i ciebie.

Kate coraz mocniej ścisnęła długopis, patrząc, jak jego końcówka wbija się w papier.

– Nie uważasz, że sama potrafię się pilnować?

Jimmy wybuchnął śmiechem, jednak nie dlatego, że to, co powiedziała, było śmieszne.

– Popatrz na tę kloakę. – Wskazał ręką za okno. – Naprawdę myślisz, że jesteś w stanie dać sobie tutaj radę sama?

Kate otworzyła szerzej oczy ze zdumienia. Była zbyt zajęta notowaniem, by zauważyć, że wjechali w sam środek murzyńskiego getta. Na rogach ulic stały grupki młodych czarnoskórych mężczyzn. Chodnikami spacerowały skąpo ubrane dziewczyny. Niemal wzdrygnęła się ze strachu. Byli jedynymi białymi w zasięgu wzroku.

– Capitol Homes – oznajmił Jimmy, choć dla Kate było oczywiste, że wjechali do

wybudowanej przez rząd dzielnicy z tanimi mieszkaniami komunalnymi. – Obejrzyj się.

Kate odwróciła się i jej oczom ukazała się złota kopuła Kapitolu, budynku, w którym urzędowały władze stanowe.

– Zabawne, że żadne okno nie wychodzi na tę stronę. Z Kapitolu widać tylko bogatą część śródmieścia. Urzędnicy nie chcą patrzeć na brudne slumsy, które mają za plecami.

Kate rozejrzała się wokół siebie. Wszędzie stały identyczne dwupiętrowe domy z cegły. Nigdzie nie było drzew, a trawniki przypominały klepiska z gliny. Dzieci, które powinny być w szkole, biegały boso, wzniesając tumany czerwonego pyłu. Mimo chłodu okna w mieszkaniach były otwarte. Przed klatkami schodowymi przesiadywali starcy. Kobiety opierały się o parapety i krzyczały na swoje pociechy. Wszędzie wały się śmieci, a mury upstrzone były graffiti. Wokół studzienek wały się igły i zużyte prezerwatywy.

Najgorsze było jednak coś innego. W powietrzu unosił się fetor nie do opisania.

Jimmy przyhamował i radiowóz sunął teraz bardzo powoli.

– Czujesz?

Kate starała się nie zwymiotować. Smród wgrzyzał się jej w oczy i nos, wnikał w pory ciała. Mieszanka potu, moczu i zepsutego jedzenia. Nie potrafiła określić, co to dokładnie było, ale wiedziała, że nigdy w życiu nie zapomni tego zapachu.

– Otwórz okno – powiedział Jimmy.

Kate wiedziała, że musi się podporządkować. Miała jednak tak spoconą rękę, że nie była w stanie zakręcić korbką.

Jimmy przechylił się na bok i sprawnym ruchem opuścił szybę.

– Romeo, rusz tu dupę! – krzyknął.

Do samochodu podszedł czarnoskóry mężczyzna. Cały czas trzymał ręce w kieszeniach szerokich żółtych dzwonów. Jaskrawozieloną koszulę nosił z rozpiętymi guzikami, tak że Kate mogła zobaczyć włosy rosnące poniżej jego pępka. Właściwie to mogła je policzyć, ponieważ stanął tak blisko, że brzuchem prawie dotykał jej ramienia.

– Romeo, nie wkurwiał mnie – powiedział Jimmy.

Mężczyzna wreszcie się pochylił i przez otwarte okno wsadził głowę do środka radiowozu. Kate wcisnęła się w fotel tak mocno, że kajdanki zaczęły wbijać się jej w kręgosłup.

– Czego, białasie? – zapytał Romeo.

– Słyszałeś o Donie?

– Kto to taki?

– Nie pogrywaj ze mną – ostrzegł go Jimmy. – Gadaj, co wiesz.

– Wiem, że macie ochotę zrobić komuś krzywdę.

– Chcesz być pierwszy?

Romeo puścił oko do Kate. Tak jak Jimmy nie był w stanie patrzeć wyżej niż jej piersi.

– Kurwa, stary, nie mam pojęcia, o co ci biega. Zajmuję się swoimi sprawami.

Jimmy postanowił trochę spuścić z tonu.

– Zawsze jesteś dobrze poinformowany.

– Być może – powiedział Romeo, kiwając głową.

– Podasz mi nazwisko, a ja będę dla ciebie miły.

– Potrzebuję czegoś więcej. Jeśli kumple dowiedzą się, że sypię glinom, skopią mi dupę.

– Czego chcesz? – zapytał Jimmy z kamienną twarzą.

– Coś wymyślę.

– Lepiej się pośpiesz. Ta promocja szybko się kończy.

– Dobra, stary. – Romeo skupił swoją uwagę na Kate. Wstrzymała oddech. Bił od niego obrzydliwy zapach, mdląco słodki, przypominający przypalony karmel. Wyszczерzył w uśmiechu swoje złote zęby i obleśnie wyszczał: – Niezła z ciebie laska.

Ku jej przerażeniu Jimmy przytaknął:

– Prawda, całkiem niezła.

– Blond włosy, jasna cera, pełne usta. Chciałbym sprawdzić, jak smakują. Liziałaś kiedyś czekoladowego loda, skarbie?

– Założę się, że nie – zachichotał Jimmy.

– Pokażę ci coś, kotku – powiedział, jeszcze bardziej zbliżając swoją twarz. Kate starała się od niego odsunąć, tak że prawie usiadła Jimmy'emu na kolanach. – Otwórz dla mnie swoje słodkie usteczka, dziewczynko. – Romeo opuścił rękę za drzwi i prawdopodobnie zaczął się dotykać. – No dalej, nie bądź nieśmiała.

Kate starała się za wszelką cenę nie spuścić wzroku i nie zacząć krzyczeć.

– Poznajesz ten słodki zapach palonej waty cukrowej? – zapytał Jimmy takim tonem, jakby Kate siedziała w klasie, a nie miała zostać zaraz zgwałcona. – To heroina. Nakładają ją na łyżkę i podgrzewają zapalniczką.

Romeo wysunął język i wyszeptał:

– Nigdy nie widziałem, żeby jakaś suka miała tak białą skórę.

– Potem nabierają płyn do strzykawki i wstrzykują sobie do żyły – powiedział Jimmy. – Mam rację, Romeo?

Romeo nie podjął tematu. Cały czas majstrował ręką przy spodniach.

– Nie ruszaj się jeszcze przez chwilkę, a ja...

Jimmy nacisnął na gaz. Romeo odskoczył od samochodu, a Kate uderzyła plecami w siedzenie. Była zdezorientowana i próbowała się odwrócić, żeby sprawdzić, co się stało. Jimmy miał łzy w oczach ze śmiechu.

– Ty głupia cipo – powiedział. – Powinnaś zobaczyć wyraz swojej twarzy.

Kate udało się wyprostować. Zacisnęła pięści i szczękę tak mocno, że rozboleła ją głowę.

– Skurwiel z ciebie – syknęła.

– Skurwiel? – Jimmy nie przestawał się śmiać. – Wzdrygnęłaś się niczym zakonnica, gdy powiedziałem „do kurwy nędzy”, a teraz nazywasz mnie skurwielem?

– Skurwiel. – Kate niemal wypluła z siebie to słowo. Zaciskała pięści, kipiąc złością.

– Ja jestem skurwielem? – Jimmy skręcił nagle na pobocze i zaciągnął hamulec. Kate w ostatniej chwili złapała się deski rozdzielczej. – Widziałem, co się stało, i coś ci powiem, małeńka: nie nadajesz się do tej pracy.

Przestał się śmiać, a ona wpatrywała się w niego przestraszonym wzrokiem.

– Dlaczego pozwalasz, żeby byle sutener tak cię traktował? Do czego to służy? – Chwycił jej latarkę, wskazał na pałkę i pistolet. – Nosisz to dla ozdoby? Myślisz, że ładnie z tym wyglądasz?

– Przestań – powiedziała, starając się go odepchnąć, lecz równie dobrze mogła próbować przesunąć kamienny posąg. Naprawdę zaczęła się bać. – Proszę.

– Dobra – mruknął i wrócił na swój fotel. – Lepiej, żebyś usłyszała to ode mnie, a nie od jakiegoś alfonsa, który będzie się do ciebie dobierał. – Patrzył na nią z nieskrywanym oburzeniem. – No dalej, rozplącz się. Wyrzuc to z siebie, a ja odwiozę cię na komendę.

Kate wolałaby wydłubać sobie oczy, niż się teraz rozbeczeć.

– Czego ty ode mnie chcesz, do cholery?

– Czego chcę? – Jimmy znowu się przysunął, spychając ją pod same drzwi. – Chcę, żebyś wysiadła z mojego samochodu, zdjęła ten pieprzony mundur, znalazła sobie męża, urodziła mu dzieci, piekła ciasta i zajmowała się domem jak każda normalna kobieta.

Kate była tak wściekła, że wbijała sobie paznokcie w ręce, z trudem łapiąc powietrze.

– Odwal się ode mnie.

Jimmy przysunął się jeszcze bliżej.

– Może odwiozę cię z powrotem do Romea? Wydymałby cię bez mydła, a potem napompował heroiną i zostawił na ulicy. Po jakimś czasie byłabyś gotowa zrobić laskę każdemu, byle tylko dostać swoją działkę. – Kate próbowała się odwrócić, ale Jimmy przytrzymał jej twarz. – Widziałem, jak eksploduje głowa mojego partnera. Miałem kawałki mózgu między zębami. Czułem w ustach smak jego śmierci. Myślisz, że potrafisz sobie z tym poradzić? Myślisz, że jesteś w stanie codziennie wychodzić na patrol, wiedząc, jak smakuje śmierć?

Zaschło jej w gardle. Jimmy prawie na niej leżał. Czuła na skórze jego ślinę. Coraz mocniej ścisnął jej policzki palcami.

– Mogłabyś? – zapytał.

Jakimś cudem znalazła w sobie wystarczająco dużo odwagi, żeby odpowiedzieć pytaniem na pytanie:

– A ty?

Jimmy zwolnił uścisk i zabrał rękę.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz.

Kate dotknęła twarzy. Ciągłe czuła, jak jego palce wbijają się jej w ciało.

– Co jest grane? – wyszeptała. – Co się właściwie stało? – Nie zadawała tych pytań Jimmy’emu, lecz raczej samej sobie. – Jakie masz prawo zwracać się do mnie w ten sposób i traktować mnie tak podle, jeśli chodzi ci tylko o to, żeby mnie tu nie było?

Jimmy pokręcił głową, jakby miał do czynienia z największą idiotką na świecie.

Kate mocno pchnęła drzwi i wyszła z samochodu.

– Dokąd się wybierasz?

Ruszyła przed siebie. Zapach jakoś dawało się znieść. Nie był wcale taki straszny. Bez problemu wróci pieszo na komendę. Kopała posłuży jej za punkt orientacyjny. Zapasowe kluczyki trzymała w przyczepionym nad tylnym kołem pudełku na magnes. Pojedzie do hotelu, spakuje się i wróci do rodziców. Nie mogą jej powiedzieć niczego gorszego od tego, co właśnie usłyszała.

Jimmy również wysiadł z samochodu.

– Dokąd ty, do cholery, idziesz?

Kate zdjęła czapkę i rozpięła kołnierzyk. Było nie więcej niż pięć stopni na plusie, ale czuła, że się dusi. Oddychała przez usta, nabierając w płuca duże hausty brudnego powietrza. Jimmy miał rację. Te straszne baby w przebieralni miały rację. Jej rodzice też mieli rację.

Nie nadawała się do tego.

– Hej! – Jimmy złapał ją za rękę. Wyrwała się, ale on chwycił ją ponownie i obrócił w swoją stronę. – Poczekaj chwilę, dobrze?

Uderzyła go pięścią w klatkę piersiową. Nie spodziewał się tego. Zatoczył się, wyraźnie utykając. Wiedziała, co powinna teraz zrobić. To było proste jak oddychanie: kopnęła go z całej siły w chorą nogę.

Wyglądał na kompletnie zaskoczonego. Jęknął i upadł na plecy, wzbijając w powietrze tuman pyłu.

– Ty dupku! – Chciała mu dać kopniaka w głowę. – Miałam wcześniej dom, męża i normalne życie. Nic nie rozumiesz, ty pieprzony bydlaku.

Próbował się podnieść, ale go popchnęła i znowu wylądował na ziemi.

– Co się do cholery...

– Zamknij się. – Pochyliła się nisko, zbliżając twarz do jego twarzy, żeby poczuł się tak samo jak ona przed kilkoma minutami. – Gdyby mój mąż żył, zabiłby cię. Rozumiesz? Zacisnąłby ręce wokół twojej szyi i udusił jak psa.

Jimmy wpatrywał się w nią ze zdziwieniem. Nie wiedział, jak zareagować. Nie przychodziła mu do głowy żadna riposta, więc tylko wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: I co z tego?

To ją trochę uspokoiło i pozwoliło odzyskać trzeźwość umysłu.

Zorientowała się, że wokół nich zaczęli zbierać się ludzie. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Pewnie po raz pierwszy w życiu widzieli coś podobnego. Ona zresztą też nie brała do tej pory udziału w ulicznej bójce. Tak naprawdę nigdy nikogo nie uderzyła. Nawet w akademii trenowali na manekinach.

I co z tego?

Jimmy miał rację. Ani Patrick, ani nikt inny jej nie uratuje. Czy celem tego idiotycznego eksperymentu było pokazanie, że nie potrafi sama o siebie zadbać?

Dlaczego milczała, gdy Romeo wsadził głowę do samochodu? Czemu nie powiedziała Jimmy'emu, żeby przestał bawić się jej kosztem? Dlaczego im nie pogroziła, a jeśli nie przyniosłoby to żadnego efektu, czemu nie zastosowała wobec nich przymusu? Miała przecież zawieszony u pasa mały arsenał, od którego noszenia bolały ją plecy: ciężką latarkę na cztery baterie R20, metalową pałkę z okrągłą końcówką i rewolwer z pięcioma nabojami w bębenu.

Wystarczyło, żeby powstrzymać obu agresorów, ale ona wolała zachowywać się jak bezradna idiotka.

Jimmy usiadł i zaczął otrzepywać czerwoną glinę ze spodni.

– Co się stało twojemu mężowi?

Spojrzała na niego z góry. Złapał go skurcz i rozmasowywał sobie udo.

– Nie twój zasrany interes.

– Masz niewyparzony język, panienko.

– Zamknij się. – Odwróciła się i ruszyła w kierunku samochodu.

– Dokąd idziesz?

– Do pracy.

– Naprawdę? – Roześmiał się, ale tym razem ze zdziwieniem. – Po tym wszystkim wracasz do pracy?

Obejrzała się przez ramię. Jimmy siedział na ziemi i masował kolano.

– Tak.

Wyciągnął rękę i zapytał:

– Pomożesz mi wstać?

– Do kurwy nędzy, sam sobie pomóż.

Tłum gapiów rozstąpił się, gdy Kate zdecydowanym krokiem pomaszzerowała do radiowozu.

Drapało go w gardle od wypalenia zbyt wielu papierosów. Pociągnął łyk burbona z półlitrowej butelki, którą trzymał w schowku samochodowym. W sam raz, żeby przepłukać sobie usta, jak mawiał jego ojciec.

Nie podobało mu się, że ostatnio tak często o nim myśli.

Tak naprawdę nie chodziło jednak o ojca, ale o matkę. Rodzice Foxa byli ze sobą nierozzerwalnie połączeni. Jak yin i yang. Jak czerń i biel. Jak światło i ciemność. Matka była dobrą kobietą, zawsze mu wybaczała i szukała zgody. Właśnie te cechy sprawiły, że stała się ofiarą, czego Fox nie był w stanie zaakceptować, mimo że od jej śmierci minęło już wiele lat.

Bardzo za nią tęsknił. Tęsknił, gdy trafił do poprawczaka, tęsknił, gdy dostał powołanie do wojska i walczył w dżungli, tęsknił dzień po dniu, gdy chodził ulicami i oddychał.

Może dlatego za dużo pił i za dużo palił. I zbyt często obserwował Kate Murphy.

Nigdy wcześniej nie zabił kobiety. Gdy jakaś podpadła, zdarzyło mu się ją uderzyć, ale jak do tej pory żadnej nie zamordował. Nie wiedział, dlaczego tak długo z tym zwleka. Zrobił wiele stron notatek na temat Kate i wiedział, że jej wina jest bezdyskusyjna. Ewidentnie kłamała i oszukiwała. Zasłużyła sobie na śmierć.

Dlaczego więc po prostu jej nie zastrzeli?

Przeciąganie egzekucji nie było w jego stylu. Zazwyczaj robił to szybko i bezboleśnie. Był przecież katem wykonującym wyrok, a nie mordercą.

Starał się działać według następującego scenariusza: najpierw wyszukiwał potencjalnego złoczyńcę i zaczynał go śledzić, a w skrupulatnie prowadzonym dzienniku zapisywał powody, dla których dana osoba powinna zostać wyeliminowana. Czasami po kilku tygodniach inwigilacji wychodziły na jaw jakieś pozytywne cechy obserwowanego lub pojawiały się okoliczności łagodzące i wtedy podejmował decyzję o ułaskawieniu. W większości wypadków rzeczywistość potwierdzała jednak podejrzenia i wtedy działał szybko. Miał wystarczająco dużo danych, żeby wybrać odpowiednie miejsce i czas. Strzelał w głowę. Prosta i skuteczna metoda, przypominająca odstrzał wściekłych zwierząt. Należało się pozbyć zainfekowanych, zanim zdążą zarazić innych.

W wypadku Kate Murphy nie pojawiło się jednak nic, co skłoniłoby go do złagodzenia kary. Ucieleśniała zło, które zwalczał. Była niczym rakowa narośl, którą należało wyciąć, żeby ratować cały organizm. Podejrzewał, że w głębi duszy sama zdawała sobie z tego sprawę. Tak samo zresztą było z innymi. Gdy zjawiał się, żeby wykonać wyrok, wyglądali tak, jakby już wiedzieli, co ich czeka, i w pełni to akceptowali.

Dlaczego więc nie przystąpił jeszcze do działania?

Dalsza inwigilacja nie miała sensu, ponieważ Fox poznał Kate na wylot. Wiedział, kiedy spędza czas z rodziną, kiedy jest sama i kiedy najłatwiej ją zaatakować. Powinien ją sprzątnąć, tak jak innych, i zająć się kolejnymi sprawami.

Jednak z jakiegoś powodu nie był w stanie tego zrobić.

Ciągle tylko pił, palił i jeździł bez sensu po całym mieście, robiąc zbyt wiele niepotrzebnych notatek.

„Łakomstwo. Nieumiarkowanie w jedzeniu i picciu” – powiedziałby jego ojciec takim tonem, że Fox od razu poczułby się jak nic niewart śmieć, który przyczepił się komuś do podeszwy buta.

Miał nadzieję, że popełnia tylko ten grzech, ponieważ pozostałe były dla Foxa seniora jeszcze trudniejsze do zniesienia. Chciwość, lenistwo, gniew, zazdrość, pycha, nieczystość.

Nieczystość.

Tak, do cholery, pożądał Kate Murphy. Tak samo jak każdy mężczyzna, który ją zobaczył. To zresztą kolejny powód, żeby ją zlikwidować. W tym mieście nie było dla niej miejsca. Trzeba przed nią chronić każdego przyzwoitego faceta, który mógłby ją spotkać na ulicy lub w sklepie spożywczym.

Niestety to, że budziła w nim pożądanie, potęgowało tylko jej winy. Walczył w imieniu dobra, nie mógł więc pozwolić, żeby nadal siała zło. Jednak sama myśl, że mógłby jej darować życie, była dowodem braku dyscypliny.

Z tyłu głowy ciągle słyszał głos swojego ojca.

Stary Foxa wysoko cenił dyscyplinę, a przynajmniej tak twierdził. Wszystkie rady, które syn od niego dostawał, dotyczyły samokontroli i właściwego postępowania. Nigdy nie mówił jednak o tym, co należy robić, gdy inni postępują niewłaściwie.

Lekcja numer jeden: rób to, co mówię, ale nie naśladowuj tego, co robię.

Ojciec przez cztery lata służył w marynarce. Dłużej nie wytrzymał. Potem poszedł do college'u. Kolejne cztery lata w plecy. Ożenił się, spłodził syna i zaczął pracować w fabryce, co wyssało z niego resztkę życia.

Powtarzał, że zawsze robił, co do niego należało. Czy można go winić, że w dzisiejszych czasach to za mało? Naprawdę ciężko mieć do niego o cokolwiek pretensję. Zły był system. Postęp technologiczny. Aroganckie paniusie. Zadzierający nosa Murzyni. Kłamliwi Żydzi. Niedomyci Włosi. Świat stanął na głowie i ludzie nie wiedzieli, gdzie jest ich miejsce.

Praca w fabryce była poniżej jego kwalifikacji. Matka na niego nie zasługiwała. Prześladował go pech. Fox prawie każdej nocy słyszał to wszystko przez cienkie ściany. Stary miał zwyczaj wyładowywania swoich frustracji na żonie, a ona mogła tylko błagać go o litość.

Fox również błagał o litość.

Nie dla siebie, ale dla niej. I dla starego. Dlaczego, gdy ojciec zamykał drzwi sypialni,

wszystko to, co starał się wpoić synowi, przestawało mieć znaczenie?

Lekcja numer dwa: nigdy nie bij kobiety.

Fox miał dwanaście lat i był jeszcze dzieciakiem, kiedy po raz pierwszy zdał sobie sprawę, co tak naprawdę dzieje się w pokoju obok. Czuł się bezsilny. Zaciskał pięści i napinał się cały ze złości. Wyobrażał sobie, że wyskakuje spod łóżka i ratuje matkę jak Superman albo Spiderman. Jak prawdziwy facet.

Lekcja numer trzy: zadaniem mężczyzny jest występowanie w obronie słabej płci.

Tego samego roku stary zabrał go do dentysty. To była droga impreza, ale Fox miał straszliwą próchnicę. Klinika mieściła się w najwyższym budynku, jaki kiedykolwiek widział. Sześć pięter ze szkła i betonu. Okna od podłogi pod sam sufit, błyszczące w słońcu jak brylanty.

Fox po raz pierwszy jechał wtedy windą. Stał w kabinie razem z ojcem, gdy do środka weszła nieznajoma kobieta. Robiła wrażenie bardzo ładnej, ale była to raczej kwestia makijażu i ubrania niż prawdziwej urody. Bił od niej zapach mocnych cukierkowych perfum. Miała na sobie białe futro. Fox pamiętał, jak zaswędziało go nos na samą myśl o tym, jak musi być miękkie. Miał ochotę wtulić w nie twarz. Być może pociągała go również kobieta, ale był wtedy jeszcze dzieckiem i lękał się takich myśli.

Zadzwieczał dzwonek i otworzyły się drzwi. Fox chciał wyjść, ale ojciec złapał go za kołnierz i uśmiechnął się do kobiety. To było jednak coś więcej niż zwykły uśmiech. Nie próbował z nią flirtować – doskonale wiedział, że nie ma u niej żadnych szans – ale jakby chciał jej powiedzieć: „Proszę wybaczyć ignorancję mojego syna. Musi się jeszcze wiele nauczyć”.

Lekcja numer cztery: zawsze przepuszczaj kobiety w drzwiach.

W tamtym czasie Fox zapisywał już wszystko w notesie. Nie interesowały go jednak złote rady, ale fakty. Czas i miejsce. Liczba uderzeń. W jaki sposób ojciec znęcał się nad matką. Ile razy ją przeproszał następnego dnia. Co robiła, żeby nie było słychać krzyków. Fox opisywał też zapachy, które czuł, gdy matka go obejmowała, a on przyciskał się do jej brzucha. Najczęściej pachniała detergentami, ale czasami, gdy była akurat w trakcie przygotowywania obiadu, wyraźnie czuł cebulę.

Pociągnął kolejny łyk burbona, żeby uspokoić rosnący gniew.

Matka umarła dokładnie miesiąc przed jego trzynastymi urodzinami.

Rzecz jasna zdarzało się, że była szczęśliwa. Fox nie miał co prawda żadnych zdjęć, ale jego wspomnienia bardzo przypominały fotografie. Gdy zamykał oczy, w wyobraźni rozpoczynała się projekcja slajdów. Przywoływał czynności, które sprawiały jej przyjemność. Na przykład pieczenie ciastek, a szczególnie moment, w którym pozwalała mu oblizać łyżkę, lub prasowanie koszul starego.

Naprawdę się wtedy uśmiechała.

W końcu mu się przeciwstawiła. Fox nie wiedział, jak znalazła w sobie tyle siły. Ojciec, tak jak każdy, kto terroryzuje słabszych, był tchórzem i gdy ktoś mu się odgryzł, kulił pod siebie ogon. Pewnego razu podniósł na nią rękę, a ona spojrzała na niego w taki

sposób, że już nigdy więcej jej nie uderzył. Świat stanął na głowie. Matka zapomniała, gdzie jest jej miejsce. A może wręcz przeciwnie, właśnie sobie o tym przypomniła i z jej perspektywy świat wreszcie wyglądał tak, jak powinien. Niestety, czas złapał ją za kołnierz tak samo, jak stary złapał Foxa, gdy ten próbował wyjść z windy.

„Proszę wybaczyć ignorancję mojej żony. Musi się jeszcze wiele nauczyć”.

Dlaczego właśnie teraz o tym myślał? Dlaczego siedział w samochodzie, pił i wspominał chwilę, gdy matka wreszcie sprzeciwiła się ojcu?

Kate Murphy.

To ona była odpowiedzią na wiele dręczących go ostatnio pytań. Za dużo na nią patrzył. Za dużo o niej myślał. Zbyt często rozważał różne możliwości.

Tak jak jego matka, Kate nie dawała łatwo za wygraną. Widział, jak w samym środku murzyńskiego getta powaliła na ziemię Jimmy’ego Lawsona. To było naprawdę zabawne. Od początku wiedział, że Kate jest inna.

Nie spodziewał się jednak, że mu się to spodoba.

Maggie przejechała obok pizzerii Mellow Mushroom na Spring Street. Burczało jej w brzuchu, ale w lokalu siedzieli jacyś policjanci, więc postanowiła zjeść gdzie indziej. Równie dobrze mogła dać sobie spokój z lunchem i wziąć kawę na wynos. Albo przez resztę dnia zająć się odbieraniem telefonów, podczas gdy chłopaki będą dalej w amoku biegać po mieście.

Od samego rana na policję wydzwaniali ludzie z różnymi informacjami rzekomo związanymi ze śledztwem, ale wszystko to zdawało się psu na budę. Sprawdzaniem tropów zajęli się nawet czarnoskórzy policjanci. Latali po mieście z wywieszonymi językami, ale zawsze okazywało się, że facet, który miał rzekomo coś interesującego do powiedzenia, nagle zmieniał zdanie albo od samego początku kłamał.

Nie wynikały z tego jakieś szczególne problemy, ale pogłębiało to frustrację. Najbardziej męczyły Maggie w pracy kłamstwa, i wcale nie chodziło o przestępców, ale o zwykłych ludzi, którzy przynajmniej teoretycznie powinni pomagać policji. Bardzo często podawali fałszywe informacje na temat tego, jak się nazywają, czym się zajmują, gdzie pracują, jakim jeżdżą samochodem i gdzie mieszkają. Robili to bez żadnego powodu, co było nie tylko trudne do wytrzymania, lecz także budziło przerażenie. To w końcu ci sami ludzie, którzy zeznawali przed sądem, przyczyniając się do wyroków skazujących.

Ludzie tacy jak Jimmy.

Raport, który podczas odprawy przeczytał Terry, to stek bzdur. Maggie tak bardzo starała się nie odezwać, że prawie odgryzła sobie język. Pięć metrów? Jimmy stał w zaułku na tyłach banku jakieś pięć, może sześć metrów od Dona? Widziała zaschniętą krew na twarzy swojego brata. Jeśli rzeczywiście stał pięć metrów od ofiary, to morderca musiał strzelać z bazooki. Jimmy kłamał, żeby zachować twarz albo z jakiegoś innego powodu. Ujdzie mu to na sucho, ponieważ nikt w jednostce – a zwłaszcza Terry – nie przyjmie do wiadomości, że ich złoty chłopiec mógł coś spieprzyć.

„Złoty Chłopiec”.

Tak nazywali go dziennikarze sportowi. Kiedy chodził jeszcze do gimnazjum, piątkowe mecze były w mieście bardzo ważnym wydarzeniem. Na początku sezonu „The Atlanta Journal” opublikował specjalny dodatek futbolowy z informacjami o dobrze zapowiadających się graczach z całego stanu. Na okładce było zdjęcie Jimmy’ego. Maggie cały czas miała gdzieś ten artykuł. Najprawdopodobniej wkleiła go do albumu z wycinkami, który założyła z okazji pierwszego meczu brata.

Nagle usłyszała wycie syreny i pomachała nadjeżdżającym z przeciwka Rickowi Andersonowi i Jake’owi Coffee’emu. Widziała ich już dzisiaj dwa razy, ale nie było w tym

nic dziwnego, ponieważ patrolowali nakładające się na siebie rewiry. Jednak w takim dniu jak ten nikt nie trzymał się swojej strefy i wszyscy jeździli, gdzie chcieli.

Wbrew temu, co mówił na odprawie Cal Vick, policja wydała wojnę mieszkańcom Atlanty. Maggie przestała liczyć prośby o wezwanie furgonetek więziennych, gdy doszła do dziesięciu. Wieczorem w całym mieście nie będzie prawdopodobnie czarnoskórego mężczyzny, któremu nie zdjęto odcisków palców. Nawet burmistrz nie powinien wychodzić dziś ze swojego gabinetu.

– Witam pana – zamruczała pod nosem i wcisnęła hamulec.

Ulicą szedł podejrzenie wyglądający mężczyzna. Młody, biały i całkiem schludny. Zupełnie nie pasował do tej dzielnicy.

Miał na sobie za duży płaszcz, który sięgał mu prawie do brązowych mokasynów. Nie nosił skarpetek i widać było jego chude kostki. Szedł lekko przygarbiony, trzymając ręce w kieszeniach. W jego chodzie było coś dziwnego, chociaż Maggie nie potrafiła powiedzieć co. Jechała za nim powoli, choć, rzecz jasna, trudno było skradać się ważącym ponad tonę radiowozem.

Mężczyzna nie odwrócił się, nie zaczął biec ani nawet nie przyśpieszył kroku. Cały czas trzymał ręce w kieszeniach płaszcza. Być może było mu zimno. Albo coś chował. Pistolet? Raczej nie. Prędzej torebkę z marihuaną albo amfetaminą.

Maggie włączyła na chwilę syrenę. Żadnej reakcji. Wkurzyła się, ponieważ mężczyzna musiał wiedzieć, że ma za plecami radiowóz, a jeśli tak, to dlaczego się nie odwrócił?

Czemu dalej szedł przed siebie jak gdyby nigdy nic?

Przyśpieszyła, żeby za chwilę zatrzymać się kilka metrów przed nim. Kiedy wysiadła z samochodu, zobaczyła, że facet wygląda na poirytowanego. Przecież nikogo nie powinno dziwić, że łązi po mieście w płaszczu skradzionym jakiemuś bezdomnemu.

Maggie stanęła na jego drodze. Gdy zobaczyła faceta z bliska, zmieniła o nim zdanie. Nie był wcale taki schludny i nie wyglądał niewinnie. Odpięła kaburę i położyła dłoń na rękojeści rewolweru.

– Nie widziałeś, że za tobą jadę? Nie słyszałeś syreny?

– Wydawało mi się, że...

– Zamknij się i rób, co ci każę.

Zacisnął szczęki i obrzucił ją wrogim spojrzeniem, ale już wiedział, że to nie przelewki.

– Złap koniuszkami palców kieszenie i bardzo powoli wywiń je na zewnątrz.

Gdy zrobił szybki, nerwowy ruch, Maggie błyskawicznie wyjęła pistolet i odciągnęła kurek.

Uśmiechnął się do niej blado.

– To naprawdę jakieś nieporozumienie.

Jego głos uruchomił w głowie Maggie wszystkie możliwe systemy alarmowe. Może i był nieogolony, ale mówił z akcentem bogatego białego Amerykanina z północy kraju.

– Jasne, nieporozumienie. Zaraz sobie wszystko wyjaśnimy. Wywiń kieszenie. Tylko powoli.

Zrobił, co mu kazała. Na ziemię wypadła zużyta chusteczka higieniczna, drobna moneta i trochę tytoniu. Dłonie miał puste. Był na oko trochę młodszy od Maggie, nosił starannie przystrzyżone włosy i krótkie baczki. Okrągła twarz i rudy meszek na brodzie odejmowały mu lat.

– Masz przy sobie jakieś dokumenty? – zapytała.

Pokręcił głową i wbił wzrok w ziemię, ale w jego zachowaniu nie było nic potulnego.

– Jak się nazywasz?

– Harry Angstrom.

– Myślisz, że nie czytałam Johna Updike’a? – Zrobił taką minę, jakby chciał coś powiedzieć, ale Maggie była szybsza. – Będę na ciebie mówić London Fog.

Spojrzał na nią, ale po chwili znowu spuścił wzrok. Myślała, że wpatruje się w swoje stopy, ale chłopak patrzył na jej rewolwer.

– Mógłbyś rozpiąć płaszcz?

– Nie mam...

– Rozepnij płaszcz.

– Chyba nie chce pani...

– Natychmiast rozpinaj płaszcz – powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu.

Zaczął od góry, nie śpiesząc się specjalnie. Kapota była mocno sfatygowana i na pewno nie wisiała na stałe w jego szafie. Kiedy doszedł do trzeciego guzika, jej oczom ukazał się nagi, nieowłosiony brzuch.

– Dobra, wystarczy. – Uznała, że zobaczyła, ile trzeba. – Gdzie masz ubranie?

Włożyła rewolwer do kabury, ale cały czas trzymała dłoń na rękojeści.

– Studiujesz na Georgia Tech. – Zerknął na nią, był zaskoczony, ale nie trzeba Sherlocka Holmesa, żeby się tego domyślić. Uczelnia znajdowała się po drugiej stronie autostrady międzystanowej. – Przyszedłeś tu, żeby się zabawić. Miałeś randkę. Za dużo wypiełeś, może były jakieś jointy.

Popatrzył na nią obojętnym wzrokiem.

– Chciała podnieść cenę? A może cię okradła? – Ciągle milczał. – Zabrała ci ubrania, żebyś nie poszedł na policję? – Maggie zrobiła taki gest, jakby rzucała na niego urok. – No i proszę!

Pochylił głowę i lekko wysunął język.

– Masz szczęście, że nie dostałeś od niej nożem. I że nie pojawił się jej alfons.

Cały czas unikał jej spojrzenia.

– Popatrz na mnie. – Milczała, czekając, aż podniesie wzrok. – Georgia Tech to wyspa otoczona slumsami. Nie powiedzieli wam tego na początku roku akademickiego? Nie zauważyłeś miejsca, gdzie kończy się trawa, a zaczyna błoto?

Coś się zmieniło w sposobie, w jaki na nią patrzył. Maggie poczuła dziwne mrowienie u nasady kręgosłupa. Najwyraźniej uderzyła w czuły punkt, wzbudzając w nim złość, choć wcale nie miała takiego zamiaru.

Wpatrywał się w nią tak, jakby chciał ją zabić.

Nie pozostała mu dłużna i również spiorunowała go wzrokiem.

Napięcie rozładował dźwięk syreny radiowozu. Machnęła ręką na znak, że nie potrzebuje wsparcia. Była prawie pewna, że to Rick i Jake.

Mylila się.

Samochód się zatrzymał i wyskoczył z niego Jimmy.

– Jakiś problem?

– Wszystko pod kontrolą.

Jimmy ruszył w jej kierunku.

Maggie złowrogim szeptem zwróciła się do London Foga:

– Wiem, jak wyglądasz. Wiem, gdzie studiujesz. Wiem, gdzie mieszkasz. Nie myśl więc, że coś ci uchodzi na sucho.

Otworzył usta, żeby zaprotestować, ale nie dała mu na to szansy.

– Jeśli kiedykolwiek cię tu jeszcze zobaczę, wsadzę cię do aresztu, dokładnie w tych samych ciuchach, które masz teraz na sobie. Zrozumiano?

– Tak.

– Tak jest, proszę pani – huknął Jimmy, szturchając go w ramię.

– Tak jest, proszę pani – powtórzył London Fog z uśmiechem na twarzy. – Życzę państwu miłego dnia.

Powiedział to tak lodowatym tonem, że Jimmy nie wytrzymał i dość mocno go odepchnął.

– Spadaj stąd, zdrańcu.

London Fog nic nie odpowiedział, tylko ruszył przed siebie chodnikiem. Maggie czuła do niego coraz większą niechęć. Wcale nie uciekał. Szedł takim samym spokojnym krokiem jak wcześniej. Włożył ręce w kieszenie i ani razu się nie obejrzał.

Najgorszą rzeczą, jaką można zrobić gliniarzowi, to pokazać, że się go nie boisz.

– Dlaczego pozwalasz temu dupkowi odejść?

– To ty...

– Masz w kaburze rewolwer z odciągniętym kurkiem. Intuicja podpowiadała ci, że należy koleś zapuszkować. Czemu tego nie zrobiłaś?

Maggie zabezpieczyła pistolet i zapięła kaburę.

– Miałam go aresztować za to, że nie ma nic pod płaszczem? – Spojrzała na radiowóz. Na miejscu pasażera siedziała nowa rekrutka. – Nie wróciła jeszcze do domu?

Jimmy wzruszył ramionami i spojrzał na siostrę wyczekująco.

– Nie jest wcale taka beznadziejna.
– Nie – powiedziała, przeczuwając, o co ją zaraz poprosi. – Nie zabiorę jej ze sobą.
– Muszę zbadać kilka ważnych tropów.
– Możesz to zrobić, trzymając ją w samochodzie. Przecież tak było przez cały ranek.
– Nie – zaprzeczył zdecydowanym tonem. – Nie mogę.
– Słyszałeś, co mówili na odprawie Cal i Terry. Nikt nie powinien działać w pojedynkę.
– Ty patrolujesz ulicę sama.
– Tak, ale ja się nie liczę. – To był argument nie do zbiccia. – Jimmy, w nocy ledwie uszedłeś z życiem.

– Nic mi nie jest – powiedział, kładąc rękę na udzie.
– Nie pamiętam, kiedy ostatnio tak bardzo kulałeś. – Spojrzała na jego dłoń. Starał się nią zakryć ciemną plamę tuż pod kieszenią. – Masz mokre spodnie? – Schyliła głowę. – To krew?

Odepchnął ją.

– Maggie, do cholery, czy mogłabyś przynajmniej raz w życiu zrobić to, o co cię proszę?
– Skinął na Kate, żeby wyszła z samochodu.

– Powiedziałam nie.

– Nie podejrzewałem, że znasz takie słowo.

Maggie czuła, jak wzbiera w niej wściekłość. Dzisiaj już po raz trzeci ktoś nie potrafił przyjąć do wiadomości jej odmowy.

– Zamknij się.

– Bo co?

Kate stanęła jakiś metr od nich i nie spoglądając na kłócące się rodzeństwo, powiedziała:

– Poczekam w radiowozie.

– W jej radiowozie.

Gdy Kate zatrzasnęła za sobą drzwi, Maggie syknęła:

– Wiesz, że niezły z ciebie dupek?

– Tak, już to dziś słyszałem. – Jimmy pomasaował się po brodzie, końcami palców dotykając bokobrodów. Maggie pomyślała o kawałku ciała Dona, który dziś rano wyrzuciła do kosza jej matka.

– Co się stało z twoim nadajnikiem? – spytała.

– Jest tutaj. – Wskazał na przyczepione do paska urządzenie, które jeszcze świeciło nowością.

– Chodzi mi o ten, który miałeś ze sobą w nocy.

W oczach Jimmy'ego pojawił się niepokój.

– Nie zgłosiłeś dyspozytorni, że Don został postrzelony.

Próbował wzruszyć ramionami, ale zrobił to bez przekonania.

– W twoim raporcie są ewidentne przekłamania. Nie mogłeś stać parę metrów od Dona. Byłeś tuż obok niego. Nie więcej niż metr.

Z twarzy Jimmy’ego odpłynęła krew i zrobił się blady jak ściana.

Maggie podeszła jeszcze bliżej.

– Jimmy, byłeś ochlapany krwią. Widziałam to na własne oczy.

– Przestań dramatyzować.

– Byłeś cały we krwi.

– I co z tego?

– Schowałeś się i nawet nie próbowałeś strzelać. – Maggie zdawała sobie sprawę, że powiedziała już dość, ale nie potrafiła przestać. – Rano sprawdziłam twój pistolet. Nie oddałeś ani jednego strzału.

– Szpiegujesz mnie?

– Kłamałeś, bo boisz się przyznać, że ze strachu nie byłeś w stanie nic zrobić. A to oznacza, że jesteś tchórzem i pozwoliłeś uciec facetowi, który zamordował policjanta.

Czekała na wybuch, ale o dziwo nic takiego się nie stało. Jimmy nie wrzeszczał, nie wymachiwał palcem przed jej twarzą, nawet jej nie popchnął. Kiwnął jedynie głową.

Nieznacznie.

To był niewielki ruch, ledwie zauważalny, ale wykonując go, Jimmy potwierdził, że siostra miała rację.

Maggie nie mogła wykrztusić z siebie ani słowa. Świadomość, że Jimmy zawalił, była czymś zupełnie innym od ujrzenia na własne oczy, jak się do tego przyznaje. Nie wiedziała, jak ma na to zareagować.

Jimmy patrzył teraz w kierunku autostrady.

– Nic nie przywróci Donowi życia – powiedział głosem o kilka tonów wyższym niż zwykle. – Niezależnie od tego, co zrobiłem, a czego nie, Don jest martwy, a facet, który go zabił, nadal spaceruje ulicami tego miasta.

Ich spojrzenia się spotkały, ale tym razem to ona odwróciła wzrok.

– Musisz słuchać swojej intuicji – rzucił.

– Nie potrzebuję... – Dopiero po chwili dotarło do niej, że brat wcale jej nie krytykuje, tylko stara się jej doradzić. Było już jednak za późno, a poza tym w niej również płynęła krew Lawsonów. – Nie potrzebuję twoich rad.

– Wiem, siostrzyczko. – Pogłaskał ją pod brodą i pokuśtykał z powrotem do samochodu.

Maggie jeździła po mieście kompletnie otumaniona. W ogóle nie była w stanie się uspokoić. Od rana ciągle myślała o Jimmym. Okazało się, że jest nie tylko kłamcą, lecz także złym policjantem i kiepskim partnerem. Gdy znalazł się pod ostrzałem, skulił pod siebie ogon i wziął nogi za pas. Pozwolił Donowi umrzeć. W myślach formułowała pod jego adresem kolejne oskarżenia.

Gdy Jimmy właściwie potwierdził jej podejrzenia, nie wiedziała, co zrobić ze swoim gniewem. Najgorsze jednak było to, że naprawdę go zraniła. Zrobiła to z całą premedytacją, łamiąc niepisaną umowę, zgodnie z którą mogli sobie zadawać jedynie powierzchowne rany. W końcu motto rodziny Lawsonów brzmiało: zabijaj tysiącem cię. Jej zachowanie na ulicy stanowiło jednak pogwałcenie tej zasady. Posunęła się za daleko, uderzyła zbyt mocno.

Co więcej, świadkiem całego zdarzenia stała się Kate Murphy. Niełatwo stwierdzić, co sobie o tym wszystkim pomyślała. Od chwili gdy Maggie wsiadła do radiowozu, ani razu się nie odezwała. Siedziała w milczeniu i przeglądała notatki, jakby uczyła się do egzaminu. Pewnie gdy wróci na komendę, opowie wszystkim, jak Maggie kłóciła się z bratem na środku ulicy. Co dziwne, tym razem to Jimmy zachował spokój, jakby trzymał się zasady, że jeśli ktoś na ciebie krzyczy, to sam powinieneś być rozsądny i kontrolować ton swojego głosu. Niczym worek bokserski przyjmował jej ciosy.

Zatrzymała się na światłach. Tuż za rogiem znajdowała się pralnia chemiczna. Spojrzała na zegarek. Zbliżało się południe. Przed kłótnią z Jimmym zdążyła skorzystać z toalety w knajpie ze smażonymi kurczakami, ale mimo to zapytała Kate:

– Chcesz siku?

– Tak.

Jej szybka odpowiedź była wyraźnym znakiem, że od dawna nie korzystała z toalety.

– Jimmy nie chciał się zatrzymać?

– Nie prosiłam go o to.

Ta chłodna lakoniczność nie przypadła Maggie do gustu. Spojrzała na Kate. Dziewczyna była spięta, ale starała się zachować spokój. Siedziała z wyprostowanymi plecami i idealnie skrzyżowanymi nogami, a nadajnik trzymała na kolanach tak, jakby był co najmniej inkrustowany diamentami.

– Wytrzymasz do końca zmiany? To jeszcze tylko jakieś pięć i pół godziny – zapytała Maggie.

– Bez problemu.

– Prawdziwa twardzielka. – Maggie miała ochotę wyszorować jej twarz ługiem. Dziewczyna mówiła takim tonem jak wuj Terry. Maggie nie przeszkadzało to, że praca w policji jest trudna i oznacza brak perspektyw na znalezienie faceta. Najbardziej bała się, że pewnego dnia spojrzy w lustro i zobaczy Terry’ego Lawsona.

– Przepraszam – powiedziała.

– Za co?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Jeśli chcesz przyglądać się komuś krytycznym okiem, to się przy tym nie odzywaj, pomyślała.

Wjechała na parking przed pralnię.

– Ten zakład prowadzi pewien Włoch. W środku znajdziesz najczystsza toaletę w promieniu kilku kilometrów. Być może jest to jedyna czysta toaleta w okolicy. Kolejna znajduje się w barze U Olliego. Właścicielem jest stary Polak. Po piątej po południu nie należy tam jednak chodzić w pojedynkę. Jest jeszcze knajpa z kurczakami. Nie jest idealna, ale ujdzie, gdy cię przypili. – Wrzuciła tryb parkowania. – Pokażę ci, jak będziemy tamtędy przejeżdżać.

– Dziękuję – rzuciła Kate, niemal wybiegając z samochodu.

Maggie patrzyła, jak szybkim krokiem idzie w kierunku pralni. Ta dziewczyna miała już za sobą trzy godziny patrolowania ulic. Trzy godziny z Jimmym. Maggie zastanawiała się, kiedy zaczną ze sobą chodzić. Kate była atrakcyjną kobietą, a Jimmy przystojnym facetem. Nie trzeba być Barbarą Cartland, by wiedzieć, jak to się skończy.

Włączyła mikrofon, żeby złożyć meldunek. Zgłosiła przerwę i podała swoje położenie. Potem zaczęła zastanawiać się nad tym, co dziś rano powiedziała jej Gail. Jimmy nie zgłosił strzelaniny. Dyspozytorka dowiedziała się o wszystkim od lekarza ze szpitala Grady’ego. Nawet jeśli Jimmy kompletnie spanikował, to w pewnym momencie musiał ochłonąć i wezwać pomoc. Przez całą drogę niósł Dona na plecach. Dlaczego nie poświęcił dwóch sekund, żeby skontaktować się z komendą? Na pewno ktoś by mu pomógł. Nie trzymało się to wszystko kupy, nawet biorąc pod uwagę ośli upór Jimmy’ego.

Była jednak jeszcze inna możliwość – po prostu zgubił nadajnik.

Maggie otworzyła drzwi i wyszła z radiowozu. Jej myśli uparcie krążyły wokół tych samych tematów. I jeszcze propozycja złożona przez Gail. Wciąż się nie zdecydowała, czy iść na spotkanie w restauracji, czy nie.

Idąc w kierunku pralni, bacznie rozglądała się po okolicy. Głowa chodziła jej jak na sprężynie. Frontowa ściana budynku była całkowicie przeszklona, jednak nie ze względu na estetykę, ale bezpieczeństwo. Maggie przejeżdżała tędy przynajmniej dwa razy dziennie i nie musiała się zatrzymywać, żeby zorientować się, czy wszystko jest w porządku.

Gdy weszła do środka, nad drzwiami wejściowymi odezwał się dzwonek i poczuła ciepłe wilgotne powietrze.

– Witam serdecznie! – Pod krzaczastymi wąsami pana Salmeriego pojawił się uśmiech.
– Ta druga policjantka jest z panią?

– Tak. – Maggie się rozejrzała. Kate była z pewnością w toalecie. Pewnie jeszcze

trochę to potrwa. Nawet gdy nabierzesz wprawy, odpięcie sprzętu, zdjęcie obu pasów, zsunięcie spodni, rajstop i majtek zajmuje dobre dwie minuty. Zdarza się, że nie zdążasz i zaczynasz popuszczać.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało. Don Wesley to był równy chłop – powiedział Salmeri.

– Korzystał z pana usług?

– Nikt nie daje lepszej zniżki policjantom.

– To bardzo miłe z pana strony. – Maggie wiedziała, że połowa jednostki pierze mundury u Salmeriego. Nigdy nie słyszała też, żeby dawał łapówki.

– Mam kilka rzeczy należących do Dona Wesleya. – Nacisnął guzik i uruchomił wieszak z ubraniami. – Przyszedł tu w zeszłym tygodniu.

– Nie musiał pan...

– Gotowe. – Wieszak się zatrzymał, a Salmeri zdjął z niego kilka zafoliowanych ubrań. Mundur Dona. Kilka par spodni dzwonów. Jasnoniebieska koszula ze spiczastym kołnierzykiem prawie dotykającym haftowanych kieszeni.

– Całkiem szpanerska – powiedziała Kate, która wyszła właśnie z łazienki i ciągle jeszcze walczyła z pasem. – To Jimmy'ego?

Maggie wybuchnęła śmiechem.

– Jimmy chodzi tylko w czarnych albo granatowych ubraniach, chyba że jest lato. Wtedy w grę wchodzi jeszcze coś szarego. – Spojrzała na Salmeriego. – Jest pan pewien, że to koszula Dona?

Salmeri położył ubrania na ladzie. Podciągnął torbę i sprawdził papierową metkę przypiętą do wewnętrznej strony kołnierzyka.

– Wesley. – Pokazał metkę Maggie. – Don lubił oryginalne stroje. Przynosił do prania sporo interesujących rzeczy.

Maggie spojrzała na ruchomy wieszak z ubraniami. Było tam więcej ciuchów przykuwających uwagę.

– Nie chcę stawiać pana w niezręcznej sytuacji, ale przychodzą tu różni ludzie. Nie tylko policjanci i biznesmeni.

Skinął głową.

– To prawda.

– Może spotyka pan takich, którzy zarabiają na życie w niekonwencjonalny sposób?

Uśmiechnął się.

– Jestem Włochem. Ze mną może pani otwarcie mówić o alfonsach.

Maggie również się do niego uśmiechnęła.

– Jeżeli usłyszysz pan coś interesującego, proszę mi o tym opowiedzieć, a ja przekażę informacje komu trzeba. Nikt się nie dowie, kto był naszym źródłem. Będę pana chronić. Poza tym jest też nagroda, więc...

Salmeri z uśmiechem położył swoje ręce na dłoniach Maggie.

– Przez okno widzę radiowóz dwa, trzy razy dziennie. Przychodzi pani i swoim uśmiechem rozjaśnia to ponure miejsce. Zawsze myślę sobie jednak: „Dlaczego ta dziewczyna nigdy nie przynosi nic do prania?”. – Nie dał jej szansy na udzielenie odpowiedzi. – Moim zdaniem uważa pani, że to nie wypada.

Maggie nie zamierzała wdawać się w dyskusję na ten temat.

– Sama piorę. Wiem, że to nie jest wcale takie łatwe. Najgorsze, że nikt mi za to nie płaci.

Roześmiał się, ale po chwili dodał:

– Nie ma przecież nic złego w przyjaźnieniu się z policjantem.

– Panie Salmeri, czy to próba przekupstwa? Ja tylko wykonuję swoją pracę. – Maggie zdawała sobie sprawę, że Kate cały czas bacznie ją obserwuje. – Na nas już czas. Proszę się zastanowić nad tym, co powiedziałam.

– Chwileczkę, mam dla pani coś jeszcze. – Wyjął spod lady pudełko po cygarach. Zdjął pokrywkę. W środku było dużo małych plastikowych torebek, takich samych, w jakie dilerzy pakują narkotyki. Salmeri trzymał w nich przedmioty znalezione w kieszeniach klientów.

– Proszę. – Podał Maggie przezroczysty woreczek, na którym widniało nazwisko „Wesley”. W środku znajdowały się dwie ćwierćdolarówki, jedna dziesięciocentówka i czarne pudełko z czterema zapalnikami.

– Dabbler’s – przeczytała na głos Maggie. Czcionka przypominała stare logo Atlanta Braves. Żadnego numeru telefonu ani adresu. – Słyszał pan o takim miejscu? – spytała.

– Przykro mi, ale nie. Nigdy nie widziałem też takiego pudełka zapalek.

– Ma pan może książkę telefoniczną?

Sięgnął po gruby tom leżący na półce za ladą.

– Dostałem ją w zeszłym miesiącu.

Maggie przekartkowała książkę do litery D i zaczęła przeszukiwać palcem listę abonentów. Nie znalazła żadnego Dabbler’sa. Musi popytać znajomych. Może ktoś coś słyszał. W mieście wciąż otwierano nowe lokale i jedynym sposobem, żeby dostać ich adres, było wystosowanie oficjalnej prośby do firmy telekomunikacyjnej. Albo trafienie na kogoś, kto przypadkiem wie, gdzie się znajdują.

– Przykro mi. – Salmeri cały czas uważnie się jej przyglądał. – To pewnie jakieś nowe miejsce.

– Całkiem możliwe – powiedziała Maggie, zamykając książkę telefoniczną. – Dziękuję.

– Będę nadstawiał uszu. Ma pani rację. Ludzie opowiadają tu różne rzeczy. Spróbuję się czegoś dyskretnie wywiedzieć.

– Bardzo dyskretnie – dodała. – Proszę nie wpakować się w jakieś kłopoty.

Położył rękę na półce pod ladą. Maggie wiedziała, że trzyma tam pistolet.

– Mówiłem już, że jestem Włochem?

Wzięła tylko pudełko. Monety zostawiła.

– Pomacham panu, jak będę następnym razem tędy przejeżdżać.

Skinął kurtuazyjnie głową.

Wychodząc z pralni, Maggie uważnie przyjrzała się pudełku zapalek. Nie znalazła żadnych wgnieceń, które mogłyby wskazywać, że ktoś zapisał na nim numer telefonu albo nazwisko. Mogła zapytać o ten lokal Jimmy’ego, ale wtedy będzie musiała mu o wszystkim opowiedzieć. Zwrócenie się z prośbą o adres do firmy telekomunikacyjnej Southern Bell na pewno wzbudzi podejrzenia Terry’ego. Znała jednego faceta, który tam pracował, ale skontaktowanie się z nim mogło nie być wcale takie łatwe.

– Mówiłaś, że wszystko jest za darmo – rzuciła Kate, która wlokła się z tyłu, starając się zapiąć ciągle spadający pas. To było jak łamigłówka, której nie potrafiła rozwiązać.

– Może być za darmo, ale to zależy od ciebie – wyjaśniła Maggie, obracając kluczyki wokół środkowego palca i łapiąc je w dłoń.

Po trzech obrotach powiedziała:

– Założyłaś zaczepy do góry nogami.

– Dzięki – jęknęła Kate i odwróciła je we właściwą stronę.

– Kiedy jesteś w toalecie, pałkę i kel włóż do umywalki, ale nigdy nie kładź tam pistoletu. Zdejmij pas, a zaczepy schowaj do kieszeni. Zawsze do tej samej. Odłącz mikrofon od nadajnika i trzymaj wtyczkę między zębami, żeby nie wpadła do klozetu. Pas zabierz ze sobą do kabiny i powieś na haczyku. Jeśli nie ma haczyka, połóż go na spluczce.

– Co to jest kel? – zapytała Kate.

– Latarka typu kel-lite. Taka jak twoja. – Maggie wskazała na nią palcem. – Czy zanim zdjęłaś pas, upewniłaś się, że twój rewolwer jest zabezpieczony?

– Zabezpieczony?

– Przestań powtarzać za mną jak papuga. – Maggie wyjęła pistolet Kate z kabury. Kurek przylegał płasko do iglicy. – Wiesz, jak to działa, prawda? – Odciągnęła kurek kciukiem. – Jeśli chcesz strzelać, musisz najpierw odbezpieczyć broń.

– Tak, wiem – wyszeptała takim tonem, jakby dopiero teraz sobie o tym przypomniwała. – Podczas szkolenia...

– Powiedzieli wam, żeby nie strzelać do facetów w czerwonych krawatach. – Ten dowcip był starszy niż Maggie. Kiedyś opowiadali go Chip i Duke. Teraz kiedy zabrakło Duke’a, najwyraźniej znalazł się również w repertuarze Buda Deacona. – Zapamiętaj: WOKNO. Wyjmujesz, odciągasz kurek, namierzasz obiekt.

Na twarzy Kate pojawił się szeroki uśmiech. Maggie nigdy wcześniej nie zorientowała się, że jest w tym coś śmiesznego.

– To przestaje być zabawne, gdy ktoś inny jest szybszy od ciebie. – Maggie pokazała jej wszystko krok po kroku. Wyjmowanie pistoletu z kabury, odciąganie kurka i mierzenie do celu. – Tak naprawdę na samym początku powinno się jeszcze odpiąć kaburę, ale i tak nikt

jej nie zapina.

– Z wyjątkiem ciebie.

– Bo nie chcę zgubić pistoletu, jak będę kogoś gonić. – Maggie wskazała palcem na rewolwer Kate. – Teraz ty. Tylko nie celuj we mnie.

Podczas ćwiczenia Kate powtarzała sobie pod nosem kolejne kroki. Robiła wszystko powoli, ale dość nerwowo. Ruszała się jak robot z serialu *Zagubieni w kosmosie*.

Maggie starała się ukryć rozdrażnienie.

– Po powrocie do domu wyjmij wszystkie naboje. Wiesz, jak to się robi?

Kate skinęła głową.

– Musisz poćwiczyć sama. Powinnaś nauczyć się odciążać kurek już w momencie wyjmowania pistoletu z kabury. Dlatego bęben musi być pusty, gdybyś przypadkiem nacisnęła spust. Naboje mogą nawet przebić sufit i ściany, gdy lecą w górę, ale potem wracają. To bardzo niebezpieczne. Najważniejsza rzecz: nigdy nie trzymaj palca na spuście. Kładź go na korpusie pistoletu. Spustu możesz dotknąć tylko wtedy, gdy naprawdę chcesz strzelać.

– Instruktor nam to pokazywał.

– Świetnie, jesteś zatem do przodu.

Kate wybuchnęła szczerym, nieskrępowanym śmiechem. Zaczęła wkładać rewolwer do kabury, ale po chwili przypomniała sobie o jego zabezpieczeniu.

– Masz jeszcze jakieś rady?

Tak, całkiem sporo, pomyślała Maggie, ale nie była pewna, czy powinna tracić czas na Kate Murphy. Wanda trafiła przecież w samo sedno.

Irlandzkie mydełko nie wytrzyma dłużej niż do końca tygodnia.

Fox siedział w barze, sącząc likier Southern Comfort i pogryzając orzeszki. Wpatrywał się w przydymione lustro wiszące za rzędem butelek z alkoholem. Nie był próżny i nie patrzył na siebie, lecz na to, co działo się za jego plecami. Lokal był niemal pusty i nie wyróżniał się niczym szczególnym. Typowa speluna: kanapy obite czarnym skajem, podłoga wyłożona ciemnymi płytkami, czarne ściany pochłaniające bladą poświatę neonów z nazwami trunków.

Przychodziło się jednak tutaj nie ze względu na wystrój.

W rogu przy małym stoliku rozsiadł się facet w garniturze. Wyglądał na przyłoczonego życiem menedżera średniego szczebla. Miał przed sobą nietkniętą szklaneczkę jacka daniel'sa. Kilka stolików dalej siedział bezdomny i z poważnym wyrazem twarzy gapił się w ścianę. Na blacie stała butelka jakiegoś podłego zajzajeru i brudny kieliszek, który w regularnych odstępach podnosił do ust i odstawiał. Od czasu do czasu drugą ręką dolewał sobie alkoholu z butelki, co było jedyną zmianą w jego zachowaniu.

Zupełnie jak ojciec Foxa. Z tą różnicą, że stary pił zawsze w kapeluszu. Miało to oznaczać, że wszedł tylko na jednego drinka, choć siedział w knajpie wiele godzin.

Otworzyły się drzwi. Przez szczelinę wpadło światło. Fox zmrużył oczy, ale się nie odwrócił.

Do lokalu wszedł kolejny mężczyzna w garniturze. Zbliżała się godzina lunchu. Wkrótce będzie tu pełno ludzi.

Nowo przybyły usiadł przy barze w odległości kilku stołków od Foxa. Przywitał się skinieniem głowy.

Fox nie odwzajemnił gestu.

Zamiast tego przesunął szklanekę w kierunku barmana. Ten facet był naprawdę mistrzem swojego fachu. Szybko się zorientował, że Fox nie należy do gadatliwych, więc tylko nalał mu likieru, podał serwetkę, dosypał orzeszków i odsunął się, nie podejmując najmniejszej próby zagadywania go o pogodę, sport lub inne pierdoły, o których uwielbiają rozprawiać barmani.

Fox pomyślał, że gdyby musiał pracować w takim miejscu, pewnego dnia strzeliłby sobie w łeb.

W kieszeni kurtki miał pistolet. Raven MP-25. Sześciostrzałowy półautomat z rękojeścią z imitacji masy perłowej. Zwykła, tania spluwa. Dziś rano przez godzinę starannie ją czyścił, żeby znowu się nie zacięła. Powinien ją wyrzucić, ale był sentymentalny. Nawet na wojnie miał swoje talizmany. Szczęśliwe skarpetki, szczęśliwy

podkoszulek, szczęśliwy pistolet.

To właśnie z tamtych czasów pochodził jego przydomek. Naprawdę nie nazywał się Fox. Zaczęli tak na niego mówić, bo był szczywany jak lis. Inny koleś dostał ksywę Foxy, czyli lalusz, ponieważ kobiety dosłownie mdlały na jego widok. Niestety, później poparzył sobie twarz i nadal mdlały, ale już z zupełnie innego powodu.

Drzwi znowu się otworzyły i Fox zamrugał oślepiony przez światło. Do środka wkroczył jeszcze jeden gość w garniturze i również usiadł przy barze, witając się z Foxem takim samym skinieniem głowy jak poprzedni.

Fox wytrząsnął z paczki papierosa i zaczął szukać w kieszeniach zapalniczki.

Barman podał mu pudełko zapalek, nie przerywając rozmowy z nowym klientem.

– Jaka pogoda na zewnątrz?

Gość zaczął coś odpowiadać, ale Fox miał takie sprawy w głębokim poważaniu.

Ścisnął pudełko w dłoni. Sam wygląd tych palantów doprowadzał go do szału – ich długie bokobrody, dzwony i zgarbione plecy. Fox przez całe życie starał się być inny niż ojciec, ale łączyła ich nienawiść do cieniasów, którzy zarabiali na życie gadaniem.

Przecież nie tak dawno temu ludzie budowali to miasto własnymi rękami. Fabryki dzień i noc produkowały rozmaite towary, po szynach pędziły pociągi, a ogromne ciężarówki z rykiem mknęły we wszystkie strony świata. Dzisiaj przez Atlantę nie płynęła już gotówka, tylko przelewy. Przed lśnącymi biurowcami spacerowali obcokrajowcy, a ulicami jeździły małe, tanie samochody. Fox przyglądał się czasem drapaczom chmur i nowym hotelom, zachodząc w głowę, co się dzieje w środku. W jaki sposób faceci w garniturach za dwieście dolarów, którzy siedzą całymi dnami za biurkiem, są w stanie tyle zarabiać?

I dlaczego ludzie tacy jak Fox muszą się przed nimi płaszczyć?

Świat stanął na głowie, zresztą nie pierwszy raz. Ludzie nie wiedzieli, gdzie jest ich miejsce.

Fox stanowił wyjątek. Miał misję do spełnienia i tylko to się dla niego liczyło. Jego celem było zaprowadzenie porządku. Jeśli w pełni się temu nie poświęci, zapanuje chaos. Kiedy ostatni raz sobie odpuścił, musiał patrzeć, jak tania sosnowa trumna z ciałem jego matki zjeżdża do grobu.

Nigdy więcej.

Zadanie numer jeden: zabić Jimmy'ego Lawsons.

Dwa strzały w głowę. Tak jak jego kumpel. Potem Fox znajdzie sobie kolejny cel.

Tylko kto ma nim zostać?

Spojrzał na pudełko zapalek. Faliste logo przypomniało mu szyję Kate, kiedy schylała się, żeby zapisać coś w notesie.

Nie powinien teraz o niej myśleć.

Ale właśnie to robił.

Kate siedząca w radiowozie. Kate robiąca notatki. Kate rozmawiająca przez radio

z dyspozytorką.

Kate w jego łóżku.

W głowie pojawił się bardzo wyraźny obraz. Kate w białej satynowej pościeli, z rozrzuconymi na poduszce puszystymi włosami, z rozwartymi szeroko ramionami i nogami. Nie wiedział, gdzie kończy się jej kremowobiała skóra, a zaczyna prześcieradło. Zastanawiał się, jak pachnie jej ciało. Jak smakuje. Jakie jest w dotyku. Nikt by się nie dowiedział. Przecież i tak miała umrzeć. Czy to coś złego, że chce zaznać odrobiny przyjemności, zanim ją zabije? Wiedział, że Kate również tego chce. Taka niewyżyta seksualnie dziewczyna z pewnością lubiła zaszaleć w łóżku. Zabierze ją w jakieś zaciszne miejsce, żeby nikt nie słyszał, jak krzyczy i wygaduje sprośności.

Dobrze, że ostatnio zadbał o to, by wyciszyć pokój w piwnicy.

Kolejny znak, że jego plan nabierał kształtu. W zeszły weekend Fox zabrał się za wyciszenie, chociaż nie miał pojęcia, do czego może mu się to przydać. Po prostu zaufał intuicji i dał sobie czas do namysłu. Kiedy układał kolejne warstwy materiału izolacyjnego, w głowie kłębiły mu się różne myśli. Oczywiście, z jednej strony wiedział, że zabije Kate Murphy, ale z drugiej, coraz bardziej skłaniał się ku temu, by wcześniej trochę się zabawić.

To prawda, że nigdy jeszcze nie wysłał na tamten świat kobiety. Może należało to zrobić w jakiś inny sposób. Spróbować się dogadać, żeby oboje dostali to, na co zasługują. To byłoby jak przekupienie kata, żeby dobrze naostrzył topór.

Lekcja numer pięć: mężczyzna jest przygotowany na wszelkie ewentualności.

Do baru znowu wpadło światło. Przez otwarte drzwi weszło jeszcze dwóch facetów w garniturach. Usiedli na stołkach między Foxem a pozostałymi gośćmi. Znowu gadka o pogodzie. Po raz drugi wszyscy zgodnie orzekli, że robi się coraz zimniej, a potem zaczęli dyskutować o weekendowym meczu z Alabamą.

Fox przestał ich słuchać, chociaż sam był zainteresowanym tym spotkaniem. W wojsku nauczył się, że należy być cały czas skoncentrowanym.

Chciał wyjąć swoją podkładkę z notatkami i przejrzeć najświeższe zapiski, ale nie mógł tego zrobić w barze. Nawet w takiej spelunie ludzie zaczęliby się na niego gapić. Zresztą wcale tego nie potrzebował. Ostatnie wydarzenia miał świeżo w pamięci.

Capitol Homes, Techwood Homes, Bankhead Homes, Carver Street, Piedmont Avenue. Jimmy zabrał Kate do niemal wszystkich najgorszych slumsów tego miasta.

Jednak Kate nie powinna nigdy zobaczyć tego baru. Fox starał się wejść w skórę Jimmy'ego. Nie było to trudne, ponieważ doskonale wiedział, jak zachowuje się taki człowiek. Jakaś godzinę temu pozbył się Kate. Zrobił to celowo. Chciał w samotności lizać swoje rany albo znaleźć kogoś, kto robi to za niego.

W pewnym sensie Fox był z tego zadowolony. Nie chciał, żeby Kate była świadkiem śmierci Jimmy'ego. Nie powinna poznać Foxa od tej strony.

W każdym razie jeszcze nie teraz. Fox musi się do tego przygotować.

Maggie jechała Ponce de Leon Avenue. Widać było, że w mieście coś się stało. Na ulicach nie było prostytutek. Sutenerzy siedzieli już pewnie w celach albo właśnie dostawali wycisk na tyłach aresztu. Chyba najciekawszą rzeczą, jaka jej się dzisiaj przydarzyła, było spotkanie z London Fogiem. Poza tym pouczyła pieszego, który przeszedł przez jezdnię w niewłaściwym miejscu, i interweniowała w sprawie awantury o kanapkę.

Kate nieustannie się wierciła, usiłując znaleźć wygodniejszą pozycję. Maggie mogła jej powiedzieć, że to bez sensu. Nie było ucieczki przed bólem. Trzeba po prostu nauczyć się z tym żyć.

Choć wiedziała, że nie warto strzepić sobie języka, w końcu się złamała.

– Wieczorem będziesz wyglądała, jakby ktoś cię pobił. Posiniaczone biodra, nogi i plecy. To wina sprzętu, jednak lepiej nie narzekaj na to przy innych.

– Oczywiście, że nie.

Maggie zmrużyła oczy.

– Próbuję ci pomóc.

– Boże, mam nadzieję, że wiesz, jak bardzo to doceniam.

Maggie nie zareagowała na wyniosły ton rodem z Buckhead. Czego się w końcu spodziewała? Że Kate Murphy padnie na kolana i będzie jej dziękować? Usiłowała sobie przypomnieć, jak wyglądał jej pierwszy dzień u boku Gail Patterson. Chociaż już wcześniej wiedziała, że musi oddać mundur do przeróbki, to i tak miała za dużą czapkę i buty kajaki. Przez pierwsze tygodnie albo się nudziła, albo była przerażona, ale za sprawą ciętego języka Gail nawet nuda miała w sobie coś straszego.

– Masz jakieś pytania?

Kate przez chwilę się zastanawiała.

– Co się stało pół roku temu?

Maggie wiedziała, o co jej chodzi, ale udawała zdziwioną.

– O co konkretnie pytasz?

– Podczas odprawy kapitan Vick powiedział, że nie będzie powtórki tego, co stało się pół roku temu.

– Miał na myśli proces Edwarda Spiveya.

– A, tego faceta, który miał rzekomo zabić policjanta, ale uznano, że jest niewinny.

Maggie zagryzła wargi, powtarzając w myślach to, co właśnie usłyszała. Nikt z jej znajomych nie mówił o Spiveyu, że jest niewinny. Niezależnie od decyzji rady przysięgłych

traktowano go jak mordercę.

– Niewiele brakowało, a trafiłby na krzesło elektryczne. Co się z nim teraz dzieje?

– Przeprowadził się do Kalifornii. – Maggie starała się nie ścisnąć tak mocno kierownicy. – Coś jeszcze? Jakies inne pytania?

Całe szczęście Kate wyczuła, że należy zmienić temat, i wyjęła notes.

– Komu oddaję swoje notatki?

– Przepisujesz je na maszynie i przekazujesz sekretarce komendanta w ciągu czterdziestu ośmiu godzin od zakończenia zmiany. Albo szybciej, jeśli dzieje się coś ważnego. – Maggie nie zapytała jej jeszcze, co robiła rano z Jimmym. – A stało się coś ważnego?

Kate przerzuciła kilka kartek.

– Byliśmy w trzech dzielnicach: Capitol Homes, Techwood Homes i Bankhead Homes. Na Carver Street rozmawialiśmy z mężczyzną, który był pod wpływem alkoholu. Na Piedmont Avenue byliśmy w mieszkaniu kobiety, której nazwiska nie znam.

– Tam mieszka Don. Znaczący mieszkał.

– Aha. Chciała wiedzieć, czy Jimmy ma kluczyki do zaparkowanego przed domem chevroleta chevelle.

– Świetnie. – Maggie skręciła w lewo w Monroe Drive. – Udało wam się uzyskać jakieś informacje?

– Cały czas siedziałam w radiowozie, ale Jimmy nie miał chyba zbyt wiele szczęścia. – Zamknęła notes. – W szkole średniej oblałam egzamin z pisania na maszynie.

– Większości z nas nie byłoby tutaj, gdybyśmy go zdały.

W samochodzie zapanowało milczenie. Obie miały ściszone radia, więc z głośników tylko od czasu do czasu dobiegały trzaski zakłóceń, a poza tym słychać było tylko szum wiatru wpadającego przez otwarte okna.

– Kalkę dostaniesz od zaopatrzeniowców. Na ostatnim piętrze stoją dwie maszyny przeznaczone do pisania raportów, ale zawsze jest kolejka i kolorowe dziewczyny mają pierwszeństwo.

– Czemu?

– Sama je o to zapytaj.

Maggie oparła łokieć o okno. Nie miała podjęcia, po co to wszystko mówi. Przecież za tydzień już Kate tu nie będzie. Mimo to kontynuowała:

– Lepiej iść do biblioteki. Jest przyjemniej niż w komendzie. Za dziesięć centów można korzystać z maszyny przez godzinę. Nadal mieszkasz na Buckhead?

Widać było, że Kate nie za bardzo chciała odpowiadać na to pytanie.

– Wynajmuję pokój w hotelu Barbizon na Peachtree Street.

Maggie poczuła ukłucie zazdrości. Irlandzkie mydełko to prawdziwa Mary Tyler Moore.

– Nie mieszkasz z rodziną?

Kate pokręciła głową.

– A co myślisz o byciu gliną twoja matka?

– Jest zaniepokojona.

Maggie zaśmiała się z tego eufemizmu.

– Nigdy ci tego nie wybaczy. Nawet o tym nie myśl.

Odwróciła głowę w kierunku chodnika. Przejeżdżały przez dzielnicę, w której mieszkało sporo hippisów, a domy pomalowane były we wszystkie kolory tęczy.

– Czym zajmuje się twój ojciec? – zapytała Maggie.

– Jest ogrodnikiem.

Wreszcie zaczynało się to układać w jakąś całość. Kate wychowała się na Buckhead, ale nie pochodziła z zamożnej rodziny i dlatego musiała znaleźć pracę.

– Był zatrudniony w jednej z bogatych rezydencji?

– Tak. Mieszkaliśmy nad garażem.

– Jak Sabrina. – To był jeden z ulubionych filmów Maggie. – Czym się wcześniej zajmowałaś?

– Byłam sekretarką. Nienawidziłam tego z całego serca.

– Dlaczego zdecydowałaś się na pracę w policji?

– Z głupoty? – Kate postanowiła zapytać ją o to samo. – A ty? Czemu to zrobiłaś?

– Żeby wkurzyć rodzinę. – Maggie pomyślała, że nie zaszkodzi powiedzieć jej coś więcej o innych policjantkach. – Charlene ma męża pijaka i troje dzieci na utrzymaniu. Wanda wstąpiła do służby, bo przeczytała w gazecie artykuł o kobietach patrolujących ulice na motocyklach.

– Wanda Clack. – Kate starała się połączyć imiona z nazwiskami. – Znam ten artykuł.

– Było ich całkiem sporo. Wanda chciała jeździć na harleyu. Powiedzieli jej: „Jasne, nie ma sprawy, proszę tylko się podpisać”.

– Odniosłam wrażenie, że instruktorzy jazdy nie chcą szkolić kobiet.

– Bo nie chcą – potwierdziła Maggie. – Wanda dostaje głównie spady, jak zresztą my wszystkie, a motocykl widzi jedynie wtedy, gdy ucieka na nim jakiś dupek.

– Czym są spady?

– Bezsensowne zgłoszenia dotyczące na przykład dwóch kretynów, którzy pokłócili się o jakąś pierdołę.

– Jak ta kanapka dzisiaj – powiedziała Kate, starając się pokazać, że uważnie słuchała.

Przy centrum handlowym Ansley Maggie skręciła w prawo w Piedmont Road. Pomachała dwóm gliniarzom, którzy jedli późny lunch w radiowozie. Na tylnej kanapie słończonych było aż pięciu aresztantów. Niektórzy musieli siedzieć bokiem, żeby się zmieścić.

– Dokąd jedziemy? – spytała Kate.

– Do restauracji Colonnade. – Maggie miała się tam spotkać z Gail. O tej porze dnia Maggie była gotowa zgodzić się na wszystko, co sprawi, że poczuje się jak policjantka, a nie opiekunka do dzieci.

– Colonnade? – powtórzyła Kate. – Czy to nie knajpa, do której matki zabierają swoich synów gejów w Święto Dziękczynienia?

Maggie nie miała pojęcia, o czym jest mowa.

– Moim zdaniem nie wpuszczają tam gejów. Stołuje się tam wielu policjantów.

Na twarzy Kate pojawił się uśmiech.

– Poza tym nie będziemy tam nic jadły. Jestem z kimś umówiona.

– Ze znajomym?

– Z tajniaczką, która próbuje zdobyć namiary na pewnego sutenera. – Maggie przyśpieszyła, żeby wyprzedzić jeden z tych zabawnych samochodów wyprodukowanych za granicą. – Don zginął w okolicach Five Points. W nocy roi się tam do prostytutek. Być może któraś coś widziała, a jeśli tak, to żeby z nią pogadać, musimy mieć pozwolenie jej alfonsa. Inaczej nie będzie chciała nawet na nas spojrzeć.

– Czyli najpierw musimy spotkać się z alfonsiem po to, by dostać zgodę na rozmowę z dziwką, która dla niego pracuje – powtórzyła powoli Kate. – Czy nie powinniśmy raczej szukać broni, z której strzelał morderca? Ravena MP-25?

– To robota chłopaków. – Maggie nie wspomniała, że nie byliby zadowoleni, gdyby policjantki weszły im w drogę.

– Ta tajniaczka jest oficerem śledczym?

– Tylko mężczyźni są oficerami śledczymi – odpowiedziała Maggie, lekko zmęczona długą serią pytań.

Kate chyba to wyczuła, ponieważ nic więcej nie powiedziała i zaczęła wyglądać przez okno.

Sceneria się zmieniła. Zniknęły hippisowskie domostwa i pojawiły się burdele. Na Piedmont Road pełno było salonów masażu, sex shopów oraz sklepów z firkami do palenia marihuany i innymi gadżetami dla gustujących w narkotykowych odlotach. Maggie poczuła niepokój na myśl o zbliżającym się spotkaniu z Gail. Kate uważała się za lepszą od innych i było to słyhać w jej sposobie mówienia. Niestety, również lepiej od innych wyglądała. Nie obgryzała paznokci do żywego mięsa i miała lśniące, puszyste włosy. Eleganckiego akcentu nauczyła się z pewnością w szkole, do której chodziła z dziećmi prawdziwych milionerów. Gail posługiwała się natomiast niezbyt parlamentarnym językiem i mówiła tak, jakby miała usta pełne klusek.

Być może obawy Maggie były jednak bezpodstawne. Gail lubiła żartować, co zawsze rozluźniało atmosferę, choć trzeba przyznać, że potrafiła też niespodziewanie wybuchnąć.

Maggie postanowiła więc ostrzec swoją niedoświadczoną koleżankę.

– Słuchaj, w towarzystwie Gail nie próbuj się wymądrzać. Nie zadawaj głupich pytań. Najlepiej w ogóle się nie odzywaj. Uwierz mi, nie chcesz przekonać się na własnej skórze,

co się dzieje, gdy Gail wpadnie w szal.

– Jest jak nasze czarnoskóre koleżanki?

– Właśnie o tym mówię.

– O czym?

Maggie wpatrywała się w nią milcząco.

– Okay. – Kate wzięła głęboki oddech, żeby ukryć swoje rozdrażnienie. – Gail to ta tajniaczka, z którą mamy się spotkać?

– Tak, zajmuje się przestępczością na tle seksualnym. – Maggie skrzyła w Cheshire Bridge Road. Salony masażu ustąpiły miejsca klubom ze striptizem i lombardom z peep show. – Gail wyłapuje dupków, którzy przyjeżdżają z Buckhead do gorszych dzielnic, żeby szukać wrażeń.

– Brzmi ciekawie.

– Lepsze to niż spady.

– Bez wątpienia.

Magie zwolniła i wjechała na parking przed restauracją Colonnade. Na tyłach znajdował się hotel, w którym wynajmowało się pokoje na godziny. Gail stała przed wejściem w lekko przekrzywionej blond peruce i paliła papierosa.

Maggie błysnęła światłami.

Gail jeszcze raz się zaciągnęła i ruszyła w kierunku radiowozu, lekko chwiejąc się na cienkich obcasach. Miała rozmazany tusz i zjadła już prawie całą szminkę. Maggie chciała, żeby jej koleżanka była ładniejsza i bardziej wyrafinowana, ale widziała jedynie kogoś, kto powoli przegrywa walkę z losem.

Gail pochyliła się i oparła ręce na otwartym oknie. We wnętrzu samochodu zapachniało whisky i papierosami.

– Jezu Chryste – jęknęła na widok Kate. – Jakim cudem chłopaki nie pożarły cię żywcem w czasie odprawy?

Kate patrzyła na nią obojętnie, ale widać było, że powtarza w myślach każde słowo, które przed chwilą usłyszała, starając się zrozumieć silny akcent z południowej Georgii. W końcu odpowiedziała:

– Kurczę, chyba mam farta.

Całe szczęście, że Gail nie wyczuła sarkazmu.

– Cholera, z taką twarzą byłabym żoną Keitha Richardsa i co rok rodziła mu dziecko. – Mrugnęła znacząco do Maggie. – Zdejmij czapkę, skarbie. Chciałabym sprawdzić, czy przypadkiem nie nosisz peruki.

Kate usztywniła ramiona.

– Jak sobie chcesz, laleczko. Nie każę ci przecież ściągać spodni – powiedziała Gail i skierowała uwagę na Maggie. – Znalazłam dziewczynę, która twierdzi, że ma dla nas coś interesującego. W zamian chce, żebyśmy anulowali jej grzywnę za posiadanie narkotyków.

– Wskazała ruchem głowy na hotel. – Obsługuje teraz klienta. Powinna być wolna za jakieś pięć minut.

– Świetnie. – Maggie starała się mówić i jednocześnie wstrzymać oddech. Gail nie była po prostu podchmielona, tylko kompletnie pijana. Bełkotała niezrozumiale i żeby utrzymać równowagę, musiała opierać się o radiowóz.

Mimo to wciąż była bardzo spostrzegawcza. Patrząc uważnie na Maggie, zapytała:

– O co ci chodzi?

Maggie pokręciła głową.

– Jak myślisz, co może nam powiedzieć ta dziewczyna? – Przed zadaniem pytania prostytutce lepiej było znać możliwą odpowiedź.

– Mam parę pomysłów, ale najpewniej chodzi o tego nowego alfonsa. Nazywają go Sir She.

Kate wybuchnęła śmiechem.

Maggie i Gail spojrzały na nią ze zdziwieniem.

– Przepraszam, ale to naprawdę zabawne. Kirke^[1]?

Maggie usiłowała zapanować nad mimiką i się nie roześmiać. Kate musiała się przesyłścić albo co gorsze uznać, że Gail jest zbyt pijana lub zbyt głupia, żeby zrozumieć dwuznaczność.

Maggie pomyślała, że nie zaszkodzi zabawić się kosztem nowicjuszek.

– Murphy, powinnaś to wiedzieć. Czarnoskórzy sutenerzy noszą ksywy wzięte od imion postaci z mitologii greckiej, a biali z rzymskiej.

Kate wytrzeszczyła oczy ze zdumienia.

– Mówisz serio?

– Jasne, że serio. – Gail pstryknęła palcami. – Dlaczego nie robisz notatek?

Kate wyjęła notes i zaczęła pisać, nie przestając kręcić głową.

– Jezu Chryste, dziewczyno, niczego jeszcze nie umiesz. Czy ty w ogóle chodziłaś na zajęcia w akademii? – Gail otworzyła drzwi, żeby Maggie mogła wyjść z auta, i zadała jej pytanie, wcale nie zniżając głosu. – O czym ona do cholery mówi?

Maggie nie mogła odpowiedzieć, nie psując całej zabawy. Gestem ręki pokazała Gail, żeby odeszły od radiowozu.

– Czy ja też byłam na początku taka zielona?

– Ty urodziłaś się z odznaką policyjną na piersiach i nigdy o tym nie zapominaj. – Gail oparła się na ramieniu Maggie, żeby złapać równowagę. – Słuchaj, ta dziwka, z którą mamy gadać. Nie można na niej specjalnie polegać.

– A na którejś można?

Gail zaniósła się mokrym kaszlem.

– Chodzi o to, że ona mnie nienawidzi. Zresztą wcale jej się nie dziwię. Ostatnio nieźle

zalażłam jej za skórę.

Maggie zastanawiała się, co to tak naprawdę znaczy.

– Dlaczego?

– Bo moim zdaniem stać ją na coś więcej niż kurwienie się całymi dniami i wciąganie amfy.

– Amfy? – Maggie nie spodobało się to, co właśnie usłyszała. Uzależnieni od amfetaminy sprawiali zazwyczaj sporo problemów. – Dziś też jest naspidowana?

– Spokojna głowa, poradzimy sobie. – Gail zaczęła grzebać w torebce, najprawdopodobniej w poszukiwaniu papierosów. – Być może trzeba będzie zastosować specjalne środki.

Maggie wiedziała, co Gail może mieć na myśli. Specjalne środki to w jej wydaniu zazwyczaj pałowanie.

– Cholera, skończyły mi się fajki. – Spojrzała na Maggie znad torebki. – Naprawdę powinnaś zacząć palić.

– Jasne, żeby wyglądać tak wytwornie jak ty.

– Powinnam ci przywalić za takie teksty, ale za bardzo cię lubię. – Gail zachwiała się i żeby nie upaść, złapała Maggie za ramię. – Nawet jeśli ta dziwka poda nam jakieś wiarygodne nazwisko, będziesz musiała poprosić nasze czarne koleżanki o zgodę na pracę na ich terenie.

Maggie nawet nie skomentowała faktu, jak szybko okazało się, że odpowiedzialność za całą sprawę spoczywa wyłącznie na jej barkach.

– Dostanę ich pozwolenie.

– Świetnie. Weźmiemy mój samochód. Nie powinnaś jeździć swoim radiowozem po CT.

Miała rację. CT – tak wszyscy nazywali Colored Town, czyli dzielnicę Atlanty zamieszkaną przez kolorowych. Biali policjanci nie byli tam mile widziani, a i czarni bali się zapuszczać na te tereny po zmroku.

– Zabierz laleczkę, jeśli rzecz jasna do tej pory sobie nie odpuści. To będzie dla niej dobra lekcja – powiedziała Gail.

Maggie wolała się nie domyślać, jaką lekcję ma na myśli jej starsza koleżanka.

– Słyszałaś kiedyś o barze Dabbler's?

Gail odwróciła się z wyrazem obrzydzenia na twarzy.

– Skąd do cholery wiesz o tym lokalu?

– Jestem gliniarzem. Wiem o wszystkim.

Gail pokręciła głową, rozpoznając jedno z własnych powiedzonek.

– Wiesz, gdzie to jest?

– Nie mam pojęcia, a ty nawet nie próbuj się dowiadywać. Zrozumiałaś? – Skinęła głową w kierunku Kate. – Szczególnie jeśli weźmiesz ze sobą laleczkę. Zdarliby z niej skórę.

– Don mówił kiedyś o tym lokalu?

– Jasne, że nie. Co się z tobą dzieje, do jasnej cholery? – Gail wyglądała tak, jakby samo pytanie napawało ją obrzydzeniem. – Strasznie długo to trwa. Idę po fajki do restauracji, a potem sprawdzę, czy już skończyli.

Maggie ruszyła za nią, ale Gail odgoniła ją ręką.

– Zostań i obserwuj, co się dzieje.

Oparła się o samochód i patrzyła, jak Gail idzie w kierunku restauracji Colonnade. Być może Don znalazł pudełko zapalek u podejrzanego. Biorąc pod uwagę reakcję koleżanki, pewnie właśnie tak było. Policjanci często zabierali różne przedmioty aresztowanym. Na miejscu dokonania morderstwa zawsze znalazł się jakiś detektyw z wydziału zabójstw, który grzebał w portfelu ofiary, szukając w nim gotówki.

Maggie bardziej martwiło jednak picie Gail, która, co prawda, nie stroniła od alkoholu, ale ostatnio zaczynała tracić na tym kontrolę. Nigdy wcześniej nie zaniedbywała pracy, ale być może jej związek z Donem Wesleyem znaczył dla niej więcej, niż mogło się wydawać.

Kate wyszła z radiowozu i trzasnęła drzwiami. W rękę trzymała notatnik.

– Jest urocza.

Maggie zbyła tę uwagę milczeniem.

– Może pozwoli zaprosić się na drinka.

Maggie nadal udawała, że nic nie słyszy. Obserwowała Gail, która stała w korytarzu restauracji i waliła pięścią w automat z papierosami.

– Mogę ci zadać poważne pytanie? – powiedziała Kate.

– Chyba tak, jeśli to konieczne.

Kate nie dała zbić się z tropu.

– Masz już ksywkę tego alfonsa. Po co jeszcze naprzykrzać się prostytutce?

Maggie zagryzła dolną wargę. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz naprzykrzała się prostytutce.

– Ponieważ wszyscy kłamią. Zawsze powinnaś zadać to samo pytanie wielu osobom i jeśli większość udzieli takiej samej odpowiedzi, to najprawdopodobniej jesteś w miarę blisko prawdy. A ponieważ mam nastrój na dawanie ci dobrych rad, chciałabym, żebyś przestała czepiać się Gail.

– Bo może się wkurzyć?

– Bo tak naprawdę jest zupełnie inną osobą, niż ci się wydaje na pierwszy rzut oka. – Odwróciła się do Kate, ponieważ chciała mieć pewność, że zostanie wysłuchana. – To, czego dowiedziałaś się w akademii i co przeczytałaś w podręcznikach, nijak ma się do prawdziwego życia. Policyjny fach można dobrze opanować, tylko obserwując innych policjantów. Wszystkiego, co wiem o tej pracy, nauczyłam się od Gail.

– Na przykład czego? – Kate wzięła do ręki długopis i przygotowała się do robienia notatek.

Na początku Maggie miała pustkę w głowie, ale po chwili wiedziała już, co chce powiedzieć.

– Zawsze trafiają się wyjątki, ale z grubsza wygląda to następująco: biali zabijają białych, a czarni czarnych. Biali mężczyźni gwałcą białe kobiety, a czarni gwałcą czarne.

– I co w związku z tym?

– W związku z tym nie bój się chodzić do złych dzielnic. Większe niebezpieczeństwo grozi ci pod własnym domem.

– Od razu mam lepszy nastrój.

– Właśnie o to mi chodziło. – Maggie również wiedziała, co to sarkazm. – Mogłaś trafić na kogoś znacznie gorszego niż Gail Patterson.

– Na pewno masz rację.

Maggie dała za wygraną. Miała lepsze rzeczy do roboty niż przekomarzanie się z żółtodziobem.

Gail szła przez parking w kierunku hotelu. Chciała uderzyć paczką papierosów o nasadę dłoni, ale miała problemy z trafieniem. Maggie zastanawiała się, czy podczas wizyty w restauracji Gail nie wypła jeszcze jednego drinka.

– A co ze Strzelcem? – zapytała Kate.

– Z kim?

– Z facetem, który zabił w nocy Dona Wesleya – wyjaśniła. – Twój brat mówił, że morderca to czarnoskóry mężczyzna, a Don był przecież biały. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Maggie stanęła przed samochodem. Gail weszła do hotelu.

– Jak już ci mówiłam, zdarzają się wyjątki.

Kate najwyraźniej nie była zadowolona z tej odpowiedzi. Mimo to zamknęła notes i podeszła do Maggie. Obie oparły się o maskę radiowozu, jednak dopiero po kilku sekundach Kate znalazła wygodną pozycję. Czapka cały czas opadała jej na nos. Nie potrafiła też ułożyć pałki i latarki tak, by któryś z tych przedmiotów nie wbijał jej się w bok.

Maggie obserwowała okolicę, sprawdzając, czy Gail nic nie grozi. Hotel dzielił parking z restauracją i składał się z czterech piętrowych budynków z czterema pokojami na każdej kondygnacji. Wszystko było bardzo zaniedbane – popękane szyby, powybijane okna zasłonięte plastikową folią, odpadająca farba. Przypominało to rodzinny dom Lawsonów.

Przechodząc obok pierwszego budynku, Gail zapaliła papierosa. Zatrzymała się przed drzwiami do pokoju znajdującego się na parterze. Maggie dobrze widziała każdy jej ruch, chociaż stała prawie pięćdziesiąt metrów dalej. Gail podniosła rękę, ale drzwi otworzyły się tak szybko, że nawet nie zdążyła zapukać. Na progu stanął zaskoczony mężczyzna w garniturze. Przez chwilę nic się działo, a potem facet rzucił się biegiem w kierunku parkingu.

– Jimmy powiedział, że jeśli ktoś przede mną ucieka, to powinnam go gonić – oznajmiła

Kate.

– On wcale przed nami nie ucieka. Wraca do domu, gdzie czeka na niego żona.

Maggie patrzyła na Gail, która nie spuszczała oka z biegnącego mężczyzny. Wyglądała na poirytowaną. Nagle rozległ się przeraźliwy krzyk.

Maggie wyciągnęła pistolet i popędziła przed siebie, zanim jeszcze zdążyła się zorientować, co tak naprawdę się dzieje. Dopiero w biegu zaczęła ogarniać sytuację. Z pokoju wyszła prostytutka, wydzierając się, jakby była obdzierana ze skóry. Stała w drzwiach. Była naga od pasa w górę i kompletnie zaćpana. Na przedramieniu miała wciąż zawiązaną opaskę uciskową. Z krzykiem rzuciła się na Gail, przewróciła ją na ziemię i zaczęła okładać pięściami.

– Przestań! – wrzasnęła Maggie.

Dziwka wcale nie miała zamiaru przestać. Na twarzy Gail pojawiła się krew. Co dziwne, prawie wcale się nie broniła.

Maggie przeskoczyła przez dziurę w drodze. Nadal miała około trzydziestu metrów do przebiegnięcia.

– Do cholery, przestań!

Kobieta podniosła głowę. Miała małe piersi, które z pewnej odległości wyglądały jak druga para oczu. Sprawiała wrażenie zaskoczonej, że ktoś mierzy do niej z pistoletu. Maggie była również zdziwiona, ale tym, że obok niej biegnie Kate. Miała złączone łokcie i wyciągnięty przed siebie rewolwer.

– Rozpraszamy się! – krzyknęła, pokazując Kate, że ma biec w prawo. – Nie pozwól jej uciec.

Kobieta nie miała zamiaru czekać. Oceniła swoje szanse i postanowiła wyminąć Maggie z prawej strony, zakładając, że Kate nie będzie w stanie jej złapać. To był dość oczywisty wybór. Kate nie tylko zdążyła zgubić but, lecz także powypadały jej szpilki spinające nogawki spodni. Odwinął się również jeden z rękawów i gdy biegła, trzepotał jak chorągiewka.

Mimo to Kate nie dała za wygraną i ruszyła w pogoń za półnagą prostytutką, która rzuciła się w uliczkę biegnącą między hotelem a restauracją.

Gail zdążyła podnieść się z ziemi i błyskawicznie dogoniła Maggie.

– To ślepy zaułek – wybełkotała. Całą twarz miała we krwi, ale biegła tak szybko, że Maggie ledwie była w stanie za nią nadążyć. – Zabiję tę pieprzoną cipę.

Skręciły na rogu... prostytutka znowu zaczęła wydierać się wniebogłose. Kate cały czas ją goniła, ale czapka zsunęła jej się na nos i nie widziała prawdopodobnie więcej niż metr przed sobą. Obie nie były świadome, że na końcu uliczki znajduje się ceglany mur.

– Zatrzymajcie się! – krzyknęła Maggie. – Murphy, stój!

– Jezu Chryste – syknęła Gail. – Nikt jej nie powiedział, że podczas biegu trzeba zginać ramiona?

– Tam jest mur! Kate! Tam jest...

Było jednak za późno. Kiedy w końcu zobaczyły przeszkodę, nie były w stanie wyhamować i z rozpędem uderzyły w ceglana ścianę. Kate przez kilka sekund chwiała się na nogach, co wyglądało niemal komicznie, a potem upadła na plecy.

Gail sięgnęła do torebki, jednak nie wyjęła z niej rewolweru ani kajdanek, lecz nadajnik. Maggie nie miała pojęcia, co zamierza z nim zrobić.

– Głupia suka! – Gail wzięła zamach i uderzyła prostytutkę plastikową cegłą prosto w twarz tak mocno, że aż krew bryzgnęła na mur.

Kobieta osunęła się na ziemię.

– Myślisz, że możesz mnie uderzyć? – Gail kopnęła ją w brzuch. – A potem uciekać przed policjantami? – Kopnęła ją jeszcze raz. – Pierdolona dziwka!

Kate była zbyt przerażona, żeby się ruszyć. Leżała z wyciągniętymi rękami, jakby czekała na swoją kolej.

Gail nawet jej nie zauważyła. Była całkowicie zaślepiona złością i wrzeszczała, nie przestając kopać prostytutki:

– Zgłupiałaś do reszty? Rozum ci odjęło?

– Gail – powiedziała Maggie, próbując ją uspokoić. Czasami to działało.

– Cholera. – Gail wytarła twarz, rozmazując krew na szyi i brodzie. Miała przekrzywiony nos, a w jej oczach było coś dzikiego. Tak właśnie działała adrenalina. Furia. Ból. Wszystko po to, żeby zmobilizować się do walki.

– Mam jeszcze zęby? – Wyszczrzyła się do Maggie w krwawym grymasie.

Maggie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Widziała tylko czerwoną jamę.

– Tak.

– Dzięki Bogu. – Gail zauważyła, że Kate cały czas leży na ziemi i podała jej rękę, żeby mogła wstać. – Ale dałaś popis, owieczko! Goniałaś dziwkę tak, że obie wpadłyście na ceglany mur. A może to pustaki? Dla mnie jedno i to samo.

Kate z trudem łapała oddech i nie była w stanie nic powiedzieć.

– Dobrze się czujesz? – Gail zaczęła otrzepywać jej mundur z brudu. – Wszystko w porządku, owieczko?

Kate zeszywniała, gdy poczuła, że Gail jej dotyka.

– Popatrz tylko – powiedziała Gail do Maggie. – Można pomyśleć, że przebiegła przynajmniej z półtora kilometra, a tymczasem przez kilkadziesiąt metrów goniła naćpaną dziwkę. – Gail znowu zaniosała się kaszlem. – Mam dla ciebie dobrą radę, kochanie: zginaj ramiona, jak biegniesz. Dobrze?

Kate z wściekłością kiwnęła głową.

– Na pewno? – powtórzyła Gail. – Bo wyglądałaś zupełnie jak owca.

– Okay. – Kate przyciskała dłoń do piersi. Była naprawdę przestraszona.

– Ty. – Gail trąciła prostytutkę czubkiem buta. Maggie nie miała pojęcia, w jaki sposób udało jej się biec tak szybko na wysokich obcasach. Tam, gdzie paski wrzynały się w ciało,

widać było krwawe otarcia. Gail nie zwracała jednak na to uwagi i nadepnęła swojej ofierze na ramię. – No suko, chyba nie chcesz, żebym ci znowu przywaliła?

– Może ja... – powiedziała Maggie.

Gail zdecydowanym gestem dała jej do zrozumienia, że sama się tym zajmie.

– Jak się nazywa, skarbie? Podaj mi imię.

Prostytutka odsunęła się, przywierając do ściany. Zakryła dłońmi nagie piersi. Wyglądała naprawdę żałośnie. Miała cerę koloru mąki i posklejane od brudu cienkie tlenione włosy. Była tak chuda, że spod skóry wystawały jej żebra.

– Masz dla mnie to, o co cię prosiłam? – nalegała Gail. To, że dziwka wyglądała jak obraz nędzy i rozpachy, tylko podsycalo jej agresję. – Imię, kochanie. Podaj mi imię.

– Violet.

– Naprawdę jesteś taka głupia? Przecież wiem, jak ty masz na imię. Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy? Muszę znać imię alfonsa, który opiekuje się dziewczynami na Whitehall. Mam do niego parę pytań.

Violet pokręciła głową, ale nie spojrzała Gail w oczy.

– Mam ci skopać nerki? – Gail dotknęła jej pleców końcem buta. – Chcesz szczać krwią przez następne dwa tygodnie?

Dziewczyna nic nie odpowiedziała. Gail podniosła nogę.

– Poczekaj! – krzyknęła Kate, wyciągając przed siebie ręce w błagalnym geście. W jej oczach widać było panikę. – Po prostu poczekaj, dobrze?

– Na co?

Kate nie wiedziała, co odpowiedzieć.

– Czy ty w ogóle wiesz, co się tutaj dzieje? – Gail zrobiła krok w jej kierunku, a potem jeszcze jeden, tak że Kate musiała oprzeć się plecami o mur. – Nie żyje Don Wesley. Ktoś go zabił. W jakieś bocznej uliczce strzelił do niego jak do psa, a potem chciał zamordować jej brata. – Wskazała palcem na Maggie. – Dziwka, o którą tak bardzo się troszczysz, próbuje chronić zabójcę. Faceta, który być może właśnie teraz zasada się na któregoś z naszych kolegów. – Uderzyła Kate otwartą dłonią w bok głowy. – Chociaż pracujesz w tym zawodzie od zaledwie trzech minut, może powinnaś spróbować myśleć jak gliniarz?

Gail chciała jej wymierzyć kolejny cios, ale Maggie złapała ją za rękę.

To poskutkowało. Tak jak w wypadku większości osób znęcających się nad słabszymi wystarczyło po prostu się przeciwstawić.

Gail się odwróciła. Po jej policzkach spływały łzy wymieszane z resztkami tuszu do rzęs. Maggie zauważyła, że ma zaciśnięte mocno szczęki.

– W porządku, kochanie. Już wszystko w porządku – powiedziała Gail.

Maggie puściła jej rękę.

Gail zaczęła spacerować, przemierzając alejkę od jednej ściany do drugiej. Widać było, że prowadzi ze sobą wewnętrzną dialog, na zmianę kiwając albo kręcąc głową.

Nagle zatrzymała się i podeszła do Maggie. Położyła jej dłoń na ramieniu i zdjęła najpierw jeden, a następnie drugi but. Potem odwróciła się, wyskoczyła wysoko w górę i wylądowała obiema stopami na nodze prostytutki.

Rozległ się trzask łamanej kości.

– Cholera! – Violet złapała się obiema rękami za nogę i zaczęła kiwać wte i wewte. – Boże! Jezu Chryste! Kurwa mać!

Maggie stała kompletnie sparaliżowana. Czuła, jakby serce zamarło jej w piersi. Kate osunęła się na ziemię. Wyglądała jak śmierć na chorągwi.

Gail uklękła i zaczęła masować Violet po plecach, jak gdyby to nie ona przed chwilą zrobiła jej krzywdę. Odezwała się do niej matczynym tonem:

– Kochanie, po prostu powiedz, jak się nazywa, a ja sobie pójdę.

Ciałem Violet wstrząsnął dreszcz.

– O kogo ci chodzi?

– Nie baw się ze mną w ten sposób, Vi.

– Ja nie...

Gail położyła rękę na złamanej nodze i nacisnęła. Zrobiła to naprawdę mocno.

Violet zawyła jak umierające zwierzę. Gail wcale nie przestała. Wręcz przeciwnie, nacisnęła jeszcze mocniej. Maggie zauważyła na nodze prostytutki nienaturalne wgłębienie. Wyobraziła sobie, jak kawałki kości wbijają się w ciało. Otworzyła szeroko usta, żeby nabrać powietrza i nie zwymiotować.

Violet krzyczała z bólu.

Maggie oddychała powoli, starając się uspokoić. Próbowwała myśleć o piosence, którą słyszała dziś rano w radio. *Tapestry*. Przypomniała sobie cienki głosik Lilly, śpiewającej o Smackwater Jacku i byciu prawdziwą kobietą. Wszystko, żeby tylko odciąć się od tego okropnego krzyku.

Gail stopniowo zmniejszała siłę nacisku. Była cierpliwa. Czekwała, aż Violet przestanie wrzeszczeć, a potem znowu pogłaskała ją po plecach. Zapytała spokojnym głosem:

– Słyszysz mnie? – Cały czas trzymała rękę kilka centymetrów nad złamaną nogą. – Słyszysz?

– Tak! – zawyła Violet. – Tak!

Gail przesunęła dłoń na jej biodro.

– W okolicach Five Points pracują nad ranem starsze prostytutki. Głównie na Whitehall. Prawda?

Violet zawahała się, ale tylko przez sekundę.

– Tak.

– Kto się nimi opiekuje?

Dziewczyna milczała.

– Myślisz, że naprawdę chcę ci zrobić krzywdę?

– On mnie zabije. On mnie naprawdę zabije.

– Kochanie, teraz bardziej powinnaś bać się mnie niż jego. – Gail znowu przesunęła rękę w kierunku złamanej nogi. Skóra prostytutki była fioletowa. Bili ją klienci i na całym ciele miała od tego siniaki. Widać też było ślady po nakłuciach i okaleczenia, które zadawała sama sobie z nudy lub rozpacz.

Gail położyła dłoń na jej nodze.

– Jeszcze raz?

– She – wyszeptała dziewczyna.

– Co?

– Sir She.

Kate odwróciła głowę.

– Gdzie ten Sir She ma swoją norę? – zapytała Gail.

– Huff Road. Na West Side.

– Dobra dziewczynka. – Gail wstała i wytarła ręce o koszulę. – Mam wezwać dla ciebie pomoc?

– Nie.

– Jak sobie chcesz. – Policjantka rozejrzała się wokół. Miała bose stopy, a na betonie widać było krwawe ślady prowadzące do miejsca, w którym zaczynała się czerwona glina. Sięgnęła do torebki i wyjęła papierosa.

Maggie ruszyła przed siebie, ale wyglądało to tak, jakby dopiero uczyła się chodzić. Stawiała kroki bardzo ostrożnie i najwyraźniej nie chciała dogonić Gail. Kate szła za nią, ciągnąc luźną nogawką po ziemi.

– Co to było? – wybełkotała, prawie tak samo niewyraźnie jak Gail. – O co chodzi?

– Daj spokój.

– Pobiła tę dziewczynę. Ona...

– Opuść sobie. – Maggie poprawiła przyczepiony do ramienia mikrofon i przesunęła pas tak, żeby dobrze leżał na zaczepach. Starła się nie myśleć o krwi, która obryzgała mur, gdy Gail uderzyła dziewczynę nadajnikiem. W głowie cały czas słyszała skowyt wydobywający się z gardła narkomanki, a przed oczami miała czarno-czerwony pęcherz powstały w miejscu po złamanej igle, w które wdało się zakażenie.

Kate pierwsza doszła do radiowozu, ale zamiast wsiąść do środka, zdjęła czapkę, oparła się rękami o maskę i pochyliła głowę.

– Jeśli masz zamiar wymiotować, to idź to restauracji – powiedziała Maggie.

– W porządku, nic mi nie jest – mruknęła Kate, ale już po chwili chwyciły ją torsje. Miała prawie pusty żołądek, więc z jej ust pociekła tylko strużka żółci. Maggie patrzyła, jak ciecz spływa po osłonie chłodnicy i skapuje na asfalt.

– Idź do restauracji.

– Nie jestem... – próbowała coś wytłumaczyć, ale znowu zaczęła wymiotować. Zjadła bardzo małe śniadanie. Teraz wyglądała jak kot próbujący wyrzygać kulę sierści.

Maggie podeszła do buta Kate, który leżał jakieś trzy metry od samochodu i schyliła się, żeby go podnieść. Spojrzała w kierunku restauracji. Gail rozmawiała przez telefon, a w sali nie było żywej duszy.

Kate jeszcze raz chwyciły torsje. Gdy skończyła, spojrzała w niebo, wzięła głęboki oddech i wytarła usta wierzchem dłoni.

– Która jest godzina?

Maggie powstrzymała się przed udzieleniem jej reprimendy. Policjant powinien zawsze mieć przy sobie zegarek.

– Parę minut po drugiej.

Kate zaśmiała się tak głośno, że Maggie aż zadudniło w uszach.

– Jestem w pracy zaledwie od sześciu godzin? – Nie przestawała się śmiać. – Jak to możliwe?

– Nie martw się. – Maggie postawiła but obok czapki Kate. – Jeszcze tylko dwie i pół godziny do fajrantu.

Kate złapała się za brzuch, ale już nie wymiotowała. Odwróciła się i usiadła na masce. Miała rzygowiny we włosach, a na czole odcisniętą przez czapkę czerwoną kreskę. U nasady nosa widać zaś było ranę powstałą w wyniku zderzenia z murem.

– Wiesz, że będziesz musiała wyczyścić mój samochód? – spytała Maggie.

– Jasne, tego wymaga savoir-vivre.

– Ta dziwka była naspidowana – wyjaśniła Maggie. – Gdy Gail zapukała do drzwi, musiała właśnie wstrzykiwać sobie działkę. Dlatego była tak nakręcona i nie dało się jej złapać.

– Super. – Kate z trudem powstrzymała ziewnięcie. – Jestem strasznie śpiąca. Serio. Ledwie patrzę na oczy.

– Zjazd po adrenalinie. – Maggie miała wrażenie, że prowadzi lekcję w szkole. – Na początku czujesz się świetnie. Szybciej oddychasz, szybciej biegasz. A potem wpadasz w trans, jakbyś miała klapki na oczach. Nie rozglądasz się, nie patrzysz, czy nie ma przed tobą jakiejś przeszkody.

– To czapka... – Kate nie miała jednak siły skończyć zdania. Sięgnęła po but. Nie musiała rozwiązywać sznurowadeł, żeby go założyć.

Maggie znowu sprawdziła, co dzieje się w restauracji. Gail skończyła rozmawiać przez telefon i siedziała teraz przy barze.

– Nie próbuj walczyć ze sprzętem.

– Co takiego?

– Chodzi o pas służbowy. Nic nie możesz z tym zrobić. Sprzęt będzie ci przeszkadzał, czy tego chcesz, czy nie. Trzeba się przyzwyczaić.

Kate złapała się za głowę.

– Oczywiście, teraz wszystko jasne. – Właśnie dlatego biegła jak łamaga.

– Nie zawsze jest tak źle.

– Dobrze wiedzieć, bo już zaczęłam się martwić.

– Gail była blisko Dona. – Maggie nie chciała wchodzić w szczegóły. Wiedziała, że jeśli powie coś jednemu gliniarzowi, będą o tym wiedzieć wszyscy. – Szanowała go. Zresztą jak my wszyscy.

Kate ukryła twarz w dłoniach.

– Jak to możliwe, że jednocześnie jest mi zimno i gorąco?

– Jesteś w szoku.

– No tak, w szoku. – Podniosła głowę. Na policzki wracał kolor, a jej wargi nie były już tak sine.

– Chcesz się napić drinka?

– Mam ochotę na całą butelkę.

Maggie zastanawiała się, czy iść do restauracji, czy lepiej podjechać do sklepu, gdy nagle usłyszała wycie syren i zobaczyła pędzący ulicą biało-niebieski radiowóz Wydziału Policji miasta Atlanta. A potem jeszcze jeden. I kolejny.

– Dokąd oni jadą? – mruknęła pod nosem.

Rozległ się ciągły, niski dźwięk przypominający ton, który rozbrzmiewa, gdy dłużej przytrzyma się guzik w telefonie.

– To sygnał alarmowy – powiedziała Kate.

Maggie niezwłocznie ustawiła odpowiednią częstotliwość na swoim odbiorniku. Na początku słychać było tylko zakłócenia, ale po chwili jakiś mężczyzna zaczął wołać o pomoc.

Maggie zamarła z przerażenia. Znała ten głos.

– Kto to był? – szepnęła Kate.

Maggie pogłośniła, ale przez zakłócenia niewiele można było zrozumieć. Urządzenie nie działało, jak należy, i trudno było złapać właściwy kanał.

– Dziesięć... – Szum zakłóceń. – Dwanaście i... – Trzaski. – Lawson. Powtarzam... – Jeszcze więcej trzasków.

– Chyba usłyszałam nazwisko „Lawson” – powiedziała Kate.

Maggie pognęła w kierunku ulicy. Cały czas nerwowo manipulowała pokrętłem, starając się złapać sygnał. Obok niej przejechał jeszcze jeden radiowóz. Próbowwała go zatrzymać.

– Cholera, cholera, cholera – przeklinała pod nosem, podnosząc nadajnik wysoko w górę i kręcąc się w kółko, żeby złapać lepszy zasięg.

Wreszcie się udało.

– Dyspozytornia? – W głosie Terry’ego słycać było panikę. – Dyspozytornia? Do wszystkich radiowozów. Powtarzam, do wszystkich radiowozów. Jimmy jest ranny.

Maggie przeciskała się przez tłum wypełniający izbę przyjęć szpitala Grady'ego. Zgromadziło się tu około dwustu policjantów i nie robili nic innego, tylko blokowali jej drogę do brata. Czuła pogardę wobec samej siebie, ale naprawdę chciała, żeby był z nią teraz wuj Terry. Wystarczyłoby jedno jego słowo, żeby ta banda idiotów zrobiła dla niej przejście.

– Maggie? – Rick Anderson złapał ją za ramię. – Nic mu nie jest.

– Gdzie...

– Tędy. – Rick wziął ją za rękę i poprowadził przez tłum. Miał wilgotną dłoń. Wszystko rozgrywało się według takiego samego scenariusza jak w sali odpraw dziś rano. Policjanci rozstępowali się przed nim, kiwali głowami i gapili się na Maggie. Rick odwracał się co chwila, żeby sprawdzić, czy wszystko z nią w porządku. Był dla niej miły, ale Maggie złościła jego spokojna pewność siebie.

Wreszcie dotarli do wyjścia i znaleźli się w holu. Ta część szpitala została zamknięta po tym, jak rozlały się tu jakieś chemikalia. Większość świateł była zgaszona, a żółta taśma nadal wisiała na drzwiach pomieszczenia, w którym doszło do wypadku.

Rick poprowadził ją na koniec korytarza.

– Położyli go tutaj, żeby miał spokój.

– Co się stało?

– Dostał w ramię, ale kula przeszła na wylot. Nic wielkiego. Lekarz powiedział, że się z tego wyliże.

Maggie wysunęła rękę z dłoni Ricka i skrzyżowała ramiona, udając, że jest jej zimno.

– Gdzie doszło do strzelaniny?

– Na Ashby Street w Colored Town.

Znała tę okolicę. To było dwie przecznice od miejsca, gdzie zdaniem Violet przebywał Sir She.

– Był sam? Do tej dzielnicy nie powinien zapuszczać się w pojedynkę.

– To duży chłopak – powiedział Rick. – Rozmawiał z jednym ze swoich kontaktów. Jakaś starsza kobieta dostała ataku szału. Strzeliła do Jimmy'ego, ponieważ ubzdurzyła sobie, że przyszedł aresztować jej syna.

Zatrzymali się przed pokojem pielęgniarek. W środku siedziały dwie kobiety w białych czepkach. Jedna z nich, widząc mundury, rzuciła:

– Leży w ostatniej sali na prawo.

Maggie odwróciła się do Ricka.

– Dzięki. Dalej poradzę sobie sama – powiedziała.

Widać było, że Rick wolałby zostać, ale miał wystarczająco dużo taktu, żeby nie pchać się tam, gdzie nie był mile widziany. Minął pokój pielęgniarek i wrócił do poczekalni.

Maggie szła powoli ciemnym korytarzem. Nagle przestało jej się śpieszyć. Wpatrywała się w snop światła padający przez otwarte drzwi. W powietrzu nadal czuć było chemikalia. Nie zwracała uwagi na znaki ostrzegające przed skażeniem i stojące pod ścianami brudne wiadra. Podeszwy jej butów kleiły się do lepkiej podłogi.

Nagle, zupełnie bez powodu, przypomniała sobie pierwszą wizytę u ojca w szpitalu psychiatrycznym. Miała wtedy dziesięć, może jedenaście lat i była kompletnie przerażona. Trzęsły jej się nogi, a serce waliło jak oszalałe. Hank Lawson leżał na oddziale zamkniętym. Wokół niej pacjenci wrzeszczeli jak opętani. Maggie czuła, jakby znalazła się w gabinecie śmiechu w wesołym miasteczku. Mijała kolejne pokoje i przez otwarte drzwi widziała coraz straszliwsze sceny: płaczącego mężczyznę przywiązanego do łóżka, pacjenta uwalanego ekskrementami siedzącego w wózku inwalidzkim, faceta o wyglądzie obleśnego zboczeńca stojącego na środku pokoju w rozchylonym szlafroku.

Cały czas bała się, że może dojść do pomyłki i nie wypuszczą jej na zewnątrz.

Zatrzymała się i położyła rękę na ścianie, żeby się uspokoić. To nie był najlepszy moment na okazywanie emocji. Nie przysłała do szpitala psychiatrycznego i nikt nie miał zamiaru jej tutaj zatrzymywać. Jimmy czuł się dobrze. Co prawda dostał kulkę, ale od przestraszonej staruszki, a nie od bezwzględnego mordercy.

Przed wejściem do pokoju starała się przyjąć neutralny wyraz twarzy. Jimmy leżał w łóżku. Nie miał koszuli i być może w ogóle był nagi, ponieważ gdy zobaczył siostrę, podciągnął prześcieradło.

– Jimmy. – To było jedyne, co potrafiła z siebie wydusić. Prawe ramię miał owinięte szerokim bandażem. Rick powiedział, że nabój przeszedł na wylot, więc nie uszkodził kości i w związku z tym nie potrzebna była żadna operacja. Mimo to Maggie miała wrażenie, że coś jest nie tak.

– Jezu – jęknął z bólu, próbując się podnieść. Zdrową ręką trzymał mocno prześcieradło, żeby nie zsunęło się poniżej pasa. – Dzwoniłaś do mamy?

Maggie pokręciła głową. Dopiero teraz przypomniała sobie, że powinna to zrobić.

– Poproszę wujka Terry’ego, żeby się z nią skontaktował.

– Co się stało? – Maggie chciała usłyszeć jego wersję wydarzeń. Miała już dość kłamstw. – Powiedz mi prawdę.

Jimmy wpatrywał się w nią z zagadkowym wyrazem twarzy. Nie był specjalnie skomplikowanym facetem. Miał silny charakter i czasami udawało mu się trzymać język za zębami, ale Maggie i tak zawsze potrafiła go rozpracować. Zresztą Jimmy specjalnie tego nie utrudniał. Zawsze zachowywał się tak, żeby wszyscy wokół wiedzieli, w jakim jest nastroju, a w grę wchodziły zasadniczo trzy stany: złość, zdenerwowanie lub spokój.

Teraz Maggie nie miała jednak pojęcia, co mu chodzi po głowie.

– Co się stało? – powtórzyła.

Jimmy w końcu odpowiedział.

– Znam gościa, który handluje bronią na Ashby Street. Pomyślałem, że morderca Dona nie wyrzucił tak po prostu pistoletu. W końcu pieniądze to pieniądze. Jeśli będziemy mieć odrobinę szczęścia, to znajdziemy rewolwer, na którym będą odciski palców, a wtedy... –

Nieopatrznie wzruszył ramionami, a jego twarz wykrzywiła się z bólu. – Boże, to naprawdę nie do zniesienia.

– Co się stało?

– Ile razy masz zamiar zadać to samo pytanie?

Dla niej odpowiedź była oczywista.

Jimmy podrapał się po brodzie.

– Może rozmawiałem z nim trochę zbyt agresywnie. Mieszka ze starą matką, ślepą jak nietoperz. Wiedziałem, że siedzi w pokoju obok. Nie miałem jednak pojęcia, że pod spódnicą trzyma haubicę.

– Dostałeś z broni myśliwskiej i tylko drasnęło ci ramię?

– To była czterdziestka czwórka. Kto ci powiedział, że tylko mnie drasnęło? Niemal straciłem rękę.

Maggie nie wiedziała, dlaczego jego kolejne kłamstwo w ogóle ją zdziwiło.

– Nie powinieneś tam chodzić sam.

Jimmy podrapał się po głowie, a potem po policzku. Gdy brał środki przeciwbólowe, zawsze wszystko go swędziało. Leki najwyraźniej zaczęły działać. Jimmy wyglądał na śpiącego, a oczy niemal same mu się zamykały.

– Zadzwoń do mamy. Terry na pewno będzie coś kręcił – powiedziała Maggie.

– Zostań.

Maggie czekała przez dłuższą chwilę, ale Jimmy milczał.

– Co się z tobą dzieje? Powinam zadzwonić do domu.

Widać było, że Jimmy stara się zebrać myśli, ale przychodzi mu to z trudem. Cały czas drapał się po głowie i szyi. Już miała wychodzić, gdy zapytał:

– Pamiętasz, jak w dzieciństwie matka kazała mi zabierać cię na basen?

Maggie była zaskoczona tym, co właśnie usłyszała. Wyprawy na basen sprawiały jej ogromną przyjemność. To było jeszcze, zanim urodziła się Lilly, i Maggie była ukochaną młodszą siostrą Jimmy'ego. Uwielbiała, jak się nią opiekował.

– Bardzo lubiłaś robaki, pamiętasz?

Skinęła głową. Jimmy też bardzo je lubił.

– Mówiłem ci, że złapałem robaka. Podpływałaś do mnie, a wtedy opryskiwałem ci twarz wodą.

Od razu wybuchnęła śmiechem, zanim Jimmy zdążył zrobić to samo.

– No, byłam niezłym głupkiem. W sumie niewiele się zmieniło.

Jimmy zachował kamienną twarz.

– Nie powinienem był się wtedy tak zachowywać. Przepraszam.

Maggie spojrzała na niego ze zdumieniem. Zastanawiała się, czy nie wziął zbyt wielu tabletek. Zachowywał się zupełnie jak nie on.

– Dobrze się czujesz, Jimmy?

– Powinienem był cię chronić.

– To była tylko woda – powiedziała, wzruszając ramionami.

– Nie wtedy.

Nie musiała pytać. Dobrze wiedziała, o czym mówi. Spojrzała na pościel. Prześcieradło było pomięte, więc je wygładziła.

– Siedem lat – powiedział.

– Osiem. Osiem lat temu.

– To nie była twoja wina.

Maggie naciągnęła prześcieradło i zawinęła je z obu stron pod cienki materac.

– Powinnam wracać do pracy.

– Maggie...

Stała już przy drzwiach.

– Odpocznij, Jimmy. Nie jesteś sobą.

Kate widziała, jak Maggie Lawson opuściła pokój brata, jednak zamiast skierować się do wyjścia, przeszła przez korytarz i zniknęła w damskiej toalecie. Kate była nieco zdziwiona. Wydawało jej się, że Maggie ma założony cewnik, żeby nigdy nie wychodzić z radiowozu. Czy powinna jej powiedzieć, żeby jeszcze się wstrzymała, bo łazienka wygląda gorzej niż na przeciętnej stacji benzynowej?

A może Maggie potrzebowała chwili samotności? Kate знаła Jimmy'ego od zaledwie kilku godzin, ale gdy usłyszała o strzelaninie, była niemal tak samo przerażona jak Maggie. Jimmy przypominał jej Patricka. Byli mniej więcej w tym samym wieku i charakteryzowało ich podobne stoickie poczucie obowiązku. Zanim została wyprowadzona z błędu, była przekonana, że jej mąż zginął właśnie z tego powodu.

Chciała spojrzeć na zegarek, ale przypomniała sobie, że zgubiła go gdzieś między radiowozem a hotelem przy restauracji Colonnade. Dotknęła swoich pleców i bez zdziwienia odkryła, że miała zeszywniałe wszystkie mięśnie. Chciała policzyć odniesione do tej pory obrażenia, ale szybko zrezygnowała. Było tego zbyt wiele. Rano słusznie przewidziała, że metalowe zaczepy będą jej sprawiać ból, ale nie będzie tego czuła, ponieważ jej uwaga skupi się na poranionych stopach. I siniakach na biodrach. I guzie na czole. A wszystko to i tak zblednie w porównaniu z nieznośnym uczuciem, jakby ktoś wbijał jej nóż w kręgosłup. Wreszcie zrozumiała, dlaczego wszyscy gliniarze stawiają stopy tak szeroko. Nie mieli wyjścia, ponieważ przypięty do pasa sprzęt był jak komplet odważników. Kate musi nauczyć się chodzić w ten sam sposób, ponieważ w przeciwnym wypadku nie będzie w stanie utrzymać równowagi.

Problemem był również duszący smród panujący w izbie przyjęć szpitala Grady'ego. Podobny zapach rozchodził się w dzielnicach z mieszkaniami komunalnymi, które dziś odwiedziła. Kate nie wiedziała, jak ludzie mogą żyć w takich warunkach, ale przypuszczalnie do wszystkiego można się przyzwyczaić, jeśli się nie ma innego wyjścia. Jak większość mieszkańców Atlanty myślała o szpitalu Grady'ego ze szczególnym rodzajem wdzięczności – była zadowolona zarówno z tego, że mogą z niego korzystać najbiedniejsi, jak i z tego, że sama nigdy nie będzie musiała się tu leczyć.

Placówka była finansowana ze środków publicznych i na dobrą sprawę nie przychodzili tu pacjenci z prywatnym ubezpieczeniem, co niestety było widać na każdym kroku. W popękane płytki podłogowe wżerał się niemal stuletni brud. Sufit pokrywały ciemnobrązowe plamy, a miejscami w ogóle go nie było. Na wielu drzwiach wisiała żółta taśma ostrzegawcza, a po kątach walał się zepsuty sprzęt. Oświetlenie było tragiczne, a od migających jarzeńówek dostała migreny.

Chociaż być może za ból należało winić uderzenie głową w ceglany mur.

– Kaitlin?

Odwróciła się, choć instynktownie czuła, że spotkanie w tym miejscu kogoś z jej poprzedniego życia graniczy niemal z cudem. Stał przed nią wysoki mężczyzna w lekarskim kitlu. Miał kruczoczarne włosy, przenikliwe zielone oczy i najdłuższe rzęsy, jakie kiedykolwiek widziała u dorosłego faceta.

– Cóż za spotkanie – powiedział głębokim, dźwięcznym głosem, którego Kate nie potrafiła rozpoznać. Rzuciła okiem na jego identyfikator.

– Tip?

Oboje uśmiechnęli się na dźwięk jego przezwiska. Ostatni raz Kate użyła go wiele lat temu, kiedy Philip Van Zandt błagał ją, żeby się z nim przespała. Był wtedy o jakieś trzydzieści centymetrów niższy i nie miał na twarzy ani śladu zarostu. Teraz wyglądał jak Burt Reynolds.

A ona przypominała Soupy Salesa. Gdy była w łazience, niestety zobaczyła swoje odbicie w lustrze – miała rozczochrane włosy i brudną twarz. Pożyczyła od pielęgniarki nożyczki i obcięła za długą nogawkę. Mogła się tylko domyślać, jak bardzo nieświeży jest jej oddech.

Philip patrzył na nią z zainteresowaniem i wreszcie wypalił:

– Świetnie wyglądasz.

Kate roześmiała się tak głośno, że lekko tym speszona zakryła dłonią usta.

– Mówię poważnie – zapewnił. – Ten mundur... I ten guz na czole... No i rzygowiny we włosach...

Teraz nie była już w stanie powstrzymać śmiechu.

– Mogę? – Zdjął jej gałązkę z rękawa, a potem strzepnął jeszcze okruch betonu. – Słyszałem, że zostałeś gliniarzem. Nie mogłem w to uwierzyć.

– I słusznie – powiedziała, próbując wygładzić włosy. – Sama nie wiem, ile to potrwa.

– Nie pamiętam, żebyś łatwo dawała za wygraną.

– Przez ostatnie dziesięć lat wiele się zmieniło.

– Dziewięć – poprawił ją i nagle atmosfera zrobiła się bardzo poważna. Przyglądał się w zamyśleniu jej twarzy. Widać było, że Kate mu się podoba.

– Co takiego? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Jak to możliwe, że jesteś jeszcze piękniejsza?

Nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale nagle grupka policjantów stojących na końcu sali wybuchnęła gromkim śmiechem. W pierwszej chwili przestraszyła się, ale stali za daleko, żeby usłyszeć to, co powiedział Philip. W każdym razie miała taką nadzieję. Ich twarze wyglądały znajomo.

Philip wyczuł, że Kate nie czuje się komfortowo.

– Chodźmy w jakieś spokojniejsze miejsce.

Wziął ją delikatnie pod ramię i ruszył w kierunku pokoju pielęgniarek. Poczła nagły przypływ emocji. Spędziła w pracy zaledwie pół dnia, ale już zdążyła zapomnieć, jak to jest znaleźć się w towarzystwie dżentelmena.

A Philip Van Zandt wyrósł na dżentelmena. Nie zostało w nim nic z nieśmiałego piętnastolatka, który podczas gry w butelkę w salonie Janice Saddler myślał, że złapał Pana Boga za nogi. Był teraz wysokim i pewnym siebie facetem, który twardo stąpał po ziemi. Kate miała ochotę objąć jego szerokie ramiona.

Rzecz jasna zdawała sobie sprawę, że nie może zachowywać się w ten sposób wobec żonatego mężczyzny.

Wiedziała, co działo się w jego życiu od czasu, gdy wyjechał z Atlanty, ponieważ ich rodziny pochodziły z tego samego kręgu towarzyskiego. Nie musiała się specjalnie wysilać, żeby ze strzępków rozmów usłyszanych podczas obiadów i koktajli poskładać wszystko w jedną całość. W wieku szesnastu lat Philip został wysłany do szkoły z internatem. Potem z wyróżnieniem skończył college i poszedł na studia medyczne na północy kraju. Robił specjalizację z chirurgii ortopedycznej. Pół roku temu wrócił do Atlanty i zamieszkał w pensjonacie prowadzonym przez swoich rodziców. Jego żona kończyła za granicą studia magisterskie. Oboje chcieli już wkrótce mieć dzieci. Philip planował w przyszłości przejąć po ojcu prywatny gabinet.

Chociaż była całkiem nieźle poinformowana, reguły życia społecznego nakazywały zacząć od kilku ogólnych pytań.

– Kiedy wróciłeś?

– Sześć miesięcy temu. – Philip zatrzymał się przed drzwiami do pomieszczenia gospodarczego. – Co słyhać u twoich rodziców?

– Wszystko w porządku. Jesteś żonaty?

– Tak, moja żona ma na imię Marta. Wyjechała na rok za granicę, żeby przygotować pracę magisterską.

– Dzieci?

Uśmiechnął się. Być może dlatego, że sam również chodził na rodzinne obiady i koktajle.

– Słyszałem o twoim mężu.

Poczła ucisk w gardle. Patryk nie żył, a ona flirtowała z innym mężczyzną.

– Był prawdziwym szczęściarzem, że miał u boku taką kobietę jak ty. Nawet jeśli nie trwało to długo.

Philip cały czas trzymał rękę na jej ramieniu. Kate delikatnie się od niego odsunęła. Niemal jednocześnie powiedzieli:

– Powinnam chyba...

– Jesteś tutaj...

Oboje przerwali w pół zdania. Kate gestem zachęciła Philipa, żeby zaczął pierwszy.

– Zastanawiałem się, czy jesteś tu z powodu tego rannego policjanta Jamesa Lawsons?

– Jimmy’ego – poprawiła. – Pracowałam z nim dziś rano.

– I jak było? – zapytał, unosząc brwi z ciekawości.

Czuła, że z jakiegoś niewyjaśnionego powodu wszystko kręci się wokół klanu Lawsonów.

– Właściwie nie tak źle. Wciąż się uczę.

Philip nie wyglądał na przekonanego, ale Kate wcale nie kłamała. Od momentu, kiedy postawiła się Jimmy’emu Lawsonowi, uważała, że można się z nim dogadać.

– Cóż – powiedział, chytrze się uśmiechając. – Pewnie teraz masz do czynienia głównie z takimi ludźmi.

Kate pokręciła głową. Nie wiedziała, czemu tak dziwnie się uśmiechał.

– Twoja matka cały czas prowadzi galerię sztuki?

Miała wrażenie, że zaczął do niej mówić jakimś szyfrem, którego nie jest w stanie zrozumieć.

– Mógłbyś wyrażać się jaśniej? Nie wiem, o co ci chodzi.

Philip wciągnął ją do pomieszczenia gospodarczego i zaczął mówić konspiracyjnym szeptem.

– Jestem w szpitalu od osiemnastu godzin. – Nadal nie rozumiała, co jest grane. – Udzielałem pomocy Jimmy’emu Lawsonowi, kiedy przytargał tu rano swojego partnera.

Z jego zachowania wywnioskowała, że jest z tym związana jakaś tajemnica.

– I?

Philip wyraźnie stracił rezon. Przez chwilę znowu zobaczyła nieśmiałego chłopca, którego poznała wiele lat temu.

– Nic więcej. Po prostu się nim zająłem.

– Nieprawda, jest coś jeszcze. – Dała mu kuksańca w ramię. – Nie bądź taki, Tip. Gadaj.

Pokręcił głową.

– Nieważne.

– Nic więcej mi nie powiesz? – powiedziała błagalnym szeptem, celowo naśladowując ton głosu, którym prosił ją, żeby się z nim przespała, kiedy byli sami w łazience u Janice Saddler. – Zupełnie nic? Bardzo cię proszę.

Philip uśmiechnął się do niej przyjaźnie.

– Sam nie wiem. Nie chciałbym cię zszokować.

Jeśli w tym momencie była czegoś pewna, to tego, że nic ani nikt nie jest w stanie jej zszokować.

– Dziś rano w mojej obecności masturbował się sutener, a po południu goniłam nagą prostytutkę.

– Całkiem nagą?

Spojrzała na niego znacząco.

– W porządku. – Wyprostował się i znowu wyglądał jak prawdziwy lekarz. – Jesteś pewna, że chcesz to usłyszeć?

Kiwnęła głową.

– Kiedy Wesley wylądował na stole operacyjnym, było już za późno, żeby go uratować. – Philip przez chwilę się zawahał. Z jego głosu znikła wszelka niefrasobliwość. – Pracował jednak w policji i był bardzo młody. Przez pół godziny próbowaliśmy go reanimować, ale w końcu musieliśmy dać za wygraną. Zaangażował się w to cały personel. Lawson leżał na łóżku obok i chociaż sam był ranny, powiedział, że najpierw mamy zająć się Wesleyem. Kiedy go poinformowaliśmy, że Wesley... – Philip zawiesił głos. – Lawson kompletnie się załamał i musiałem podać mu środki uspokajające.

Kate zagryzła dolną wargę. Jimmy zawsze zgrywał twardziela i trudno było wyobrazić sobie, że rozkleił się jak dziecko.

– Jestem ortopedą, więc to ja się nim potem zająłem.

Kate przypomniała sobie, że Jimmy kuleje.

– Co mu dolega?

– Zaczniemy od Wesleya. Ktoś strzelił mu w głowę z odległości około trzech metrów. Pociski trafiły mniej więcej tutaj. – Philip wskazał na miejsce tuż nad swoim uchem. – Trajektoria, czyli droga, którą pokonały naboje, wyglądała natomiast tak. – Narysował na twarzy ukośną linię, która kończyła się na przeciwległym policzku. – Oznacza to, że zabójca trzymał pistolet z lufą skierowaną w dół, a zatem...

– Musiał być wyższy od ofiary.

– Właśnie tak – potwierdził Philip.

Kate poczuła lekkość w piersiach. Przez cały dzień nic jej się nie udawało, aż wreszcie w jakiejś kwestii miała rację. To wspinałe uczucie.

Philip kontynuował:

– Wesley był mniej więcej tak wysoki jak ja. Teoretycznie jest więc możliwe, że strzelec był wyższy.

Philip miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

– Kurczę, to musi być naprawdę wyrośnięty facet. Mówiłeś o tym policji? Podczas dzisiejszej odprawy nikt o tym nie wspominał.

– Gliniarze nie za bardzo ufają medycynie – powiedział. – Tak więc albo morderca jest dwumetrowym olbrzymem, albo istnieje jakieś inne, bardziej wiarygodne wyjaśnienie.

Kate w napięciu czekała na kolejny błyskotliwy wniosek.

– Mianowicie?

– W chwili oddania strzału Wesley klęczał, opierając się rękami o ziemię.

Gdy spróbowała to sobie wyobrazić, ścisnęło ją w żołądku. Przed oczami stanęła jej scena z *Ojca chrzestnego*.

– Jimmy mówił zupełnie coś innego – zaprotestowała.

Nie robiła notatek w czasie odprawy, ale pamiętała wszystkie ważne szczegóły.

– Jimmy stał przed frontem budynku. Potem poszedł do swojego partnera, który sprawdzał tyły. Nic nie mówił, żeby Don klęczał. Zabójca wychynął zza rogu i zaczął strzelać. Od ofiary dzieliło go około trzech metrów, czyli dokładnie tyle samo, ile mówiłeś. Jimmy’emu udało się schować i oddał w kierunku napastnika trzy strzały. Mordercy zaciął się pistolet, więc musiał ratować się ucieczką. Jimmy wziął Dona na plecy i zaniósł do szpitala.

– To jest jego wersja wydarzeń?

– Na ile jestem w stanie sobie przypomnieć.

Skinieniem głowy Philip pokazał jej, żeby wyszli na korytarz.

– Chodź ze mną.

Skierowali się do drzwi znajdujących się za pokojem pielęgniarek. Jimmy leżał w innej części szpitala niż zwykli pacjenci. Kate myślała, że panują tu okropne warunki, ale okazało się, że to nic w porównaniu z ostrym dyżurem. Na podłodze koczowali bezdomni. Śmieci wysypywały się z pojemników. Na korytarzu stały łóżka, na których leżeli czarnoskórzy pacjenci o twarzach tak białych, że wydawały się niemal białe.

Philip zauważył jej konsternację.

– Nawet sobie nie wyobrażasz, ilu mieszkańców Atlanty stara się o miejsce na tym oddziale. Rany kłute, postrzały, próby samobójcze, morderstwa. To największe widowisko świata.

Kate nie wiedziała, co powiedzieć. Czują, że znowu nie zrozumiała jego specyficznego poczucia humoru.

– Jesteśmy na miejscu. – Philip zatrzymał się przed wiszącym na ścianie negatoskopem i zaczął przeglądać leżący na stoliku plik dokumentów, z którego wyjął zdjęcie rentgenowskie. – Chciałem ci to pokazać.

Włożył zdjęcie do negatoskopu. W rogu znajdował się podpis: James Henry Lawson, lewa kość udowa. Poniżej widniała jeszcze data urodzenia. Wyglądało to jak jakiś rekwizyt z gry planszowej *Operacja*.

– Widzisz te drobinki? – zapytał, pokazując palcem czarne plamki oblepiające kość. Było ich przynajmniej kilkadziesiąt. Niektóre naprawdę malutkie, inne wielkości dziesięciocentówki.

– Większość z nich osiadła na powierzchni, ale niektóre wbiły się naprawdę głęboko. Podałem mu antybiotyki na wypadek, gdyby wdała się infekcja. Nie udało mi się usunąć wszystkiego.

– Co to jest?

– Kawałki kości, zębów, włosów.

Kate nic z tego nie rozumiała.

– Włosów z jego nogi?

– Nie, nie z jego. – Philip znowu zniżył głos. – To włosy Wesleya. Okruchy jego czaszki wbiły się też w brzuch i klatkę piersiową Jimmy’ego.

Kate wpatrywała się w zdjęcie rentgenowskie, starając się zrozumieć to, co właśnie usłyszała. Nie mogła sobie wyobrazić, jak fragmenty ciała Dona Wesleya znalazły się na nogach i brzuchu Jimmy’ego.

– Coś mi umyka.

– W momencie strzału Wesley trzymał głowę między nogami Jimmy’ego.

– Próbował się schować?

Oboje mieli równie skonsternowany wyraz twarzy.

– Oglądałaś *Głębokie gardło*?

– Jasne, że nie. – Wreszcie udało mu się ją zszokować. – Zwariowałaś?

Philip zrobił dziwną minę.

– Ale wiesz, o czym jest ten film?

Kate starała się wytrzymać jego spojrzenie. Zrobiła się cała czerwona i uznała, że to wystarczy za odpowiedź na jego pytanie.

– Właśnie dlatego trzymał głowę między jego nogami – powiedział Philip.

– Ale przecież to tylko film. Normalni ludzie nie robią takich rzeczy. – Zniżyła głos do szeptu. – Szczególnie dwaj faceci.

– O mój Boże! – Philip ledwie mógł powstrzymać się od śmiechu. – A myślisz, że jak oni to robią?

Kate nigdy się nad tym nie zastanawiała.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Philip wyłączył światło w negatoskopie. – Widziałaś przecież gejów, którzy przychodzą do galerii twojej matki.

Kate nie potrafiła tego ze sobą porównać. Homoseksualiści, których znała, byli wygadani, dowcipni i pełni wdzięku. Powiedzieć, że Jimmy był raczej nieokrzesany, to nic nie powiedzieć.

– To się nie trzyma kupy. Jimmy przez cały czas gapił się na moje piersi.

– Jest gejem, ale to wciąż facet.

Kate zbyła ten komplement milczeniem, ale głównie dlatego, że nie potrafiła wymyślić odpowiedniej riposty.

– Dobrze, że gdy to się stało, Wesley nie miał niczego w ustach.

– Philip – przywołała go do porządku. Nie powinien sobie z tego żartować. – To może zrujnować karierę Jimmy’ego.

– Gorzej, może stracić przez to życie. – Wcale nie przesadzał. Oboje wiedzieli, jak traktowani są homoseksualiści. – Nie martw się. Ode mnie nikt się o tym nie dowie.

– Ani ode mnie. – Nie sądziła zresztą, żeby ktokolwiek jej uwierzył. Sama jeszcze nie

do końca dawała temu wiarę.

– Murphy! – Maggie stała na końcu korytarza i machała ręką, jakby wywoływała zdjęcie z polaroidu. – Idziemy!

– Przepraszam, ale muszę już... – próbowała się wytłumaczyć Philipowi.

– Jasne, jesteś przecież w pracy. – Uśmiechnął się, pokazując idealne uzębienie. – Cieszę się, że dobrze ci się wiedzie, Kaitlin. Będiesz dobrą policjantką.

Znowu nie wiedziała, co odpowiedzieć. Biorąc pod uwagę to, o czym przed chwilą rozmawiali, wydawało jej się, że zwykłe „do widzenia” będzie zbyt sztuczne. W końcu po prostu się odwróciła i ruszyła przed siebie. Idąc korytarzem, cały czas czuła na sobie jego wzrok. Niestety, nie potrafiła czerpać z tego żadnej przyjemności.

– Kto to?

Pytanie Maggie przywołało Kate do rzeczywistości. Czy Lawson znała prawdę o swoim bracie? Wcześniej strasznie się na niego wydzieriała i trudno było uwierzyć, że łączy ich jakaś bliska relacja. Maggie nie sprawiała również wrażenia kogoś szczególnie otwartego. A przy tym wszystkim naklejała łatki: kolorowe koleżanki, Włoch z pralni, Polak prowadzący bar, irlandzkie mydełko.

– Kolega ze szkoły średniej.

– Całkiem przystojny. Jest Żydem? – zapytała Maggie.

– Nie jestem pewna. Ma za to żonę – odpowiedziała wymijająco Kate.

– Szkoda – powiedziała Maggie, chociaż Kate nie miała pojęcia, czego tak naprawdę żałuje jej nowa koleżanka.

Szczerze mówiąc, była zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować. Miała tylko siłę, by dowlec się do wyjścia. Niestety, musiała jeszcze przejść przez poczekalnię. Wydawało jej się, że zdążyła przyzwyczaić się do brzydkiego zapachu, ale nagle uderzyła ją kolejna fala smrodu. Kątem oka dostrzegła grupkę półnagich dzieci z pełnymi pieluchami. Ludzie wpatrywali się w nią wzrokiem pełnym desperacji. Szła przed siebie, starając się za bardzo nie rozglądać. Czuła, że równie dobrze mogłaby spacerować po powierzchni Marsa.

Myślała o listach, które dostawała od Patricka z pierwszego tygodnia jego pobytu w obozie dla rekrutów. Największe problemy miał nie z wojskiem jako takim, ale z zachowaniem innych żołnierzy. Znalazł się w otoczeniu czarnoskórych, Latynosów, Indian, a nawet Azjatów. Wychował się w dzielnicy, w której mieszały ludzie tacy jak on, tak samo zresztą było w wypadku Kate. Chodził razem z nimi do restauracji. W kościele modlili się do tego samego Boga. Nigdy nie spotkał kogoś, kto nie głosował na Kennedy’ego albo nie uważał Nixona za świnię. Jego koledzy z wojska wydawali mu się tak samo obcy jak Wietnamczycy.

Kate zastanawiała się, co myślał o listach, które do niego wtedy pisała. Starła się ubarwiać je historyjkami z zakupów, rodzinnymi anegdotami i plotkami, które usłyszała podczas spotkań ze znajomymi w restauracji Coach and Six. Ani słowem nie wspominała, że czuje się przeraźliwie samotna i żyje w ciągłym strachu. Nawet teraz nie była pewna,

czy miałyby odwagę powiedzieć mu całą prawdę i napisać szczerzy list opisujący to, czego dzisiaj doświadczyła. Wizytę w dzielnicy z mieszkaniami komunalnymi. Obezwładniający brak pewności siebie. Moment, w którym Gail Patterson rozbiła nadajnik na głowie Violet. Najgorsze, że Kate wcale nie czuła wtedy wstrętu, ale żądzę krwi. Sama miała ochotę uderzyć tę wychudzoną dziwkę. Chciała ją bić i kopać. Należało jej się za to, co zrobiła. Śmiertelne przerażenie, gdy zobaczyła, jak Maggie wyciąga pistolet. Ostry, przeszywający ból wywoływany przez wbijający się w jej ciało policyjny sprzęt. Paralizująca panika, kiedy daszek czapki prawie całkowicie zasłonił jej widok. Szok spowodowany nie tylko zderzeniem z murem, lecz także fizycznym kontaktem z brudną prostytutką, na której udach wciąż widać było ślady po stosunku z ostatnim klientem.

Odruch, żeby zrobić jej krzywdę, szybko minął, ale pozostało traumatyczne wspomnienie.

– Wszystko w porządku? – zapytała Maggie.

– Tak, doskonale – zażartowała. W tym zawodzie trzeba być jak zwierzę, które nigdy nie okazuje słabości. – Czy Jimmy odniósł jakieś rany podczas strzelaniny?

Maggie dziwnie na nią spojrzała.

– Wyraźnie kulał.

– To kontuzja z czasów szkoły średniej. Podczas meczu inny gracz zmiążdżył mu kolano. – Otworzyła drzwi wejściowe. – Podejrzewam, że uraz daje o sobie znać po tym, jak Jimmy niósł na plecach Dona. Na pewno za dzień lub dwa wszystko będzie dobrze.

Świeże powietrze aż zakłuło Kate w oczy. Spojrzała w górę. Zapaliły się latarnie uliczne. Słońce szybko chowało się za horyzontem.

– Gdzie zaparkowałaś samochód? – zapytała Maggie.

– Co takiego?

– Twoje auto – powtórzyła Maggie. – Gdzie stoi?

Kate musiała się mocno skupić.

– Na parkingu przy Central Avenue.

– Podrzucę cię tam, a potem odstawię radiowóz.

– Co?

Maggie zatrzymała się i powiedziała powoli:

– Zawiozę cię na parking, gdzie stoi twój samochód. Na dzisiaj koniec pracy. Można iść do domu.

Kate patrzyła na nią, jakby nie wierzyła w to, co właśnie usłyszała.

Po chwili wybuchnęła płaczem.

Kate siedziała na kanapie w salonie u rodziców, a na stoliku obok stała szklaneczka martini. Miała na sobie wzorzystą szmizjerkę ze szwami wiedeńskimi i perły, które dostała w prezencie od matki z okazji ślubu. Chwilę wcześniej wzięła prysznic i świeżo umyte włosy opadały jej na ramiona. Światło było przygaszone. Nogi trzymała w misce z ciepłą wodą i solą angielską. Do czoła przytknęła sobie woreczek z lodem, a pod plecy włożyła koc elektryczny, którego kabel zwisał jej między nogami jak ogon. Czuła, że zaczynają działać leki, które wzięła przed kilkunastoma minutami. Sześć aspiryn i valium. Za każdym razem, gdy ogarniała ją nadzieja, że wszystko jakoś się ułoży, przypominała sobie, jak wygląda jej życie, i zastanawiała się, czy w ogóle warto się starać.

Nie miała zamiaru wracać jutro do pracy. To było ponad jej siły.

Po co więc zniosła mundury do Mary Jane i poprosiła ją o przeróbki? Dlaczego wydebiła od ojca maszynę i przez dwie godziny z mozołem przepisywała dzienny raport?

A potem ubłagała jeszcze pokojówkę matki, żeby wyprała jej ubrania i pozszywała w nich dziury. To był ostateczny dowód, że nie powinna wykonywać zawodu policjanta. Nie była wcale jak Sabrina i nie mieszkała z ojcem nad garażem należącym do rodziny milionerów. Wychowała się w luksusowej rezydencji, podobnej do tej, w której mieszkali Larrabeesowie. Jej ojciec był szanowanym psychiatrą, a matka prowadziła znaną galerię sztuki. Babcia zaś, jeszcze w Holandii, wykładała chemię na uniwersytecie.

Kate była chowana pod kloszem, tak samo jak Patrick, i miała kontakt tylko z określonym typem ludzi. Chodziła razem z nimi do restauracji i klubów towarzyskich. Czy policjanci w ogóle mieli jakiś klub? Nie wiedziała i szczerze mówiąc, guzik ją to odchodziło. Była ulepiona z innej gliny, nie akceptowała ich wulgarnego języka i mierzyła ją ich krytyczne uwagi. Nie miała z nimi nic wspólnego. W zasadzie sam fakt, że myślała o nich jak o „innych”, był wystarczającym dowodem, że nie nadawała się do tej pracy.

Ale w takim razie gdzie było jej miejsce? Większość koleżanek miała mężów i wychowywała dzieci. Prowadziły życie, które było interesujące tylko dla innych zamężnych kobiet z dziećmi. Dwie singielki, z którymi wciąż utrzymywała kontakt, mieszkały, ku zgrozie swoich matek, w Nowym Jorku.

Philip Van Zandt studiował medycynę na Uniwersytecie Columbia. Zastanawiała się, czy jej nowojorskie koleżanki się z nim spotykały. Pewnie napisały do niego list i zaprosiły na imprezę. Tak to wyglądało, gdy ktoś z kręgu twoich znajomych przyjeżdżał do tego samego miasta. Wychodziło się z nim na drinka i robiło wszystko, żeby poczuł się dobrze. Szczególnie jeśli chodziło o tak przystojnego faceta jak doktor Van Zandt. Wtedy można było robić również inne rzeczy i jeszcze bardziej zszokować rodzinę.

Kate oparła głowę o kanapę i przesunęła torebkę z lodem na oczy. Zaczęła sobie wyobrażać Philipa, jego zniewalający uśmiech i silne, szerokie ramiona. Wydawał się tak cholernie pewny siebie. Kate nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz jakiś facet patrzył na nią w taki sposób. Co więcej, nie była w stanie stwierdzić, kiedy ostatni raz się z kimś kochała. Ostatnią noc przed wyjazdem Patricka do Wietnamu próbowała wymazać z pamięci. Spotkali się wtedy w obskurnym hotelu w okolicach bazy wojskowej. Kate była zrozpaczona, a Patrick pijany. Zrobili to na siłę i bez żadnego zaangażowania, a po wszystkim nie potrafili nawet sobie spojrzeć w oczy.

Od jego śmierci Kate była w sumie na dwóch randkach. Pierwsza skończyła się na uścisku dłoni, druga na niewinnym pocałunku. Potem rozeszła się fama, że nie opłaca się wydawać pieniędzy na kolację z Kate Murphy, i nikt więcej nie chciał się z nią umówić.

Mogła się założyć, że randka z Philipem Van Zandtem skończyłaby się zupełnie inaczej. Na samą myśl poczuła dreszcz.

– Kochanie? – Ktoś włączył światło.

– Oma? – Kate zmrużyła oczy, żeby przyzwyczaić się do jasności. Zawstydziała się, jakby babcia była w stanie czytać w jej nieskromnych myślach. Nie sądziła jednak, żeby oma miała coś przeciwko temu. Była Holenderką i niewiele potrafiło ją zdziwić. – Co się stało? Myślałam, że jesteś z rodzicami?

– Dziwnym zbiegiem okoliczności wszystkich dokładnie w tym samym momencie rozboleła głowa. – Oma weszła do pokoju. Siwiejące blond włosy miała związane w luźny kok. Była lekko umalowana, co podkreślało błękit jej oczu. Miała na sobie sukienkę, która równie dobrze mogła należeć do Kate, jednak, mimo swoich sześćdziesięciu pięciu lat, wyglądała w niej lepiej niż własna wnuczka.

Usiadła na krześle obok kanapy.

– Opowiesz mi coś o swoim pierwszym dniu w pracy?

– Nie sądzę, żebyś mi uwierzyła.

– Spróbuję.

Kate zdjęła z twarzy kompres. Oma nawet nie zwróciła uwagi na jej wielkiego guza. Wypiła za to resztę martini.

– Kaitlin, jesteś tam?

Kate niemal wzdrygnęła się na dźwięk głosu swojej matki. Po powrocie z kolacji tak bardzo chciała być sama.

Liesbeth zmarszczyła brwi.

– Złącz kolana, kochanie. Widać wszystko, co masz pod sukienką.

Kate ani drgnęła, ale przyszło jej to z dużym trudem.

– Moim zdaniem młoda kobieta powinna rozchyłać nogi tak często, jak się da – sentencjonalnie stwierdziła oma.

Liesbeth nie zareagowała na tę uwagę i usiadła na kanapie obok Kate.

Tak jak oma, była elegancko ubrana. Miała na sobie jasnoniebieską spódnicę i pasującą

do niej cienką bluzkę z wydymającymi się wokół nadgarstków szerokimi rękawami.

Kate czuła się przy niej zawsze mała i bezbronna. Wyobrażała sobie, że matka musi czuć to samo w obecności babci. Były jak matrioszki, z tą różnicą, że nie przypominały grubych babuszek. Wyglądały jak typowe szczupłe blondynki rodem z Holandii.

Liesbeth założyła nogę na nogę, dając tym samym dobry przykład, jak należy siedzieć. Wyjęła papierosa z leżącej na stoliku papierošnicy.

– Dlaczego w piwnicy pali się światło?

– Mary Jane przerabia moje mundury.

– Przecież ma dziś wolny wieczór.

– Zaproponowałam, że jej zapłacę.

– W takim razie to zupełnie co innego. – Kiedy Liesbeth starała się być sarkastyczna, w jej głosie dało się słyszeć holenderski akcent. – Trudno sobie wyobrazić, żeby siedemdziesięcioletnia kobieta nie chciała o rozsądnej godzinie pójść do łóżka.

– Masz rację. Przykro mi. – Kate pokręciła głową, gdy matka zaproponowała jej papierosa. Po śmierci Patryka paliła jak smok i teraz na samą myśl o tytoniu robiło jej się niedobrze. – Muszę ją przeprosić.

– Nie zapomnij jej również zapłacić. – Liesbeth zapaliła papierosa i przyglądała się Kate przez obłok dymu. – Płakałaś.

To nie było pytanie, więc Kate nie czuła się zobowiązana do udzielenia odpowiedzi.

– A ten guz na głowie? Pęcherze na nogach? Aż boję się zgadywać, po co ci koc elektryczny.

Kate nie wiedziała, od czego zacząć. Osiedla komunalne. prostytutka. *Głębokie gardło*. Miała dziwne przeczucie, że jej kosmopolityczna babcia widziała ten film. Może opowie, w jaki sposób dziś rano potraktował ją Jimmy i jak Maggie oznajmiła, że włożywszy mundur, można mieć wszystko za darmo, ale gdy przyszło co do czego, nie chciała skorzystać z tego przywileju. Była jeszcze Gail Patterson. I nie chodziło wcale o pobicie dziwki. Kate potrafiła biegać. Niezginała ręk tylko dlatego, że starała się jakoś bronić przed bólem.

– Widziałaś kiedyś biegnącą owcę? – zapytała babcie.

Oma wyglądała na wyraźnie rozbawioną.

– Czy widziałam biegnącą owcę? – powtórzyła z mocnym akcentem, choć być może wypięła po prostu za dużo martini. – Znałam kiedyś flamandzką dziewczynę, która hodowała owce.

Na twarzy Kate pojawił się uśmiech. Prawie każdy dowcip omy zaczynał się od flamandzkiej dziewczyny. Babcia pochodziła z Amsterdamu i żywiła typowe dla mieszkańców tego miasta uprzedzenia wobec holenderskojęzycznej części Belgii.

– Przestań już opowiadać o tych swoich Flamandkach. – Liesbeth położyła papierosa na krawędzi popielniczki i podeszła do barku. – Czytaliśmy dzisiaj w gazecie o kolejnym morderstwie policjanta. Znałaś go?

– Nie.

– Kamień spadł mi z serca. – Liesbeth nałożyła szczypcami lód do shakera z martini. – Mam nadzieję, że teraz złapią właściwą osobę. W artkule pisali też o Edwardzie Spiveyu. Ten proces zrujnował mu życie. Musiał przeprowadzić się na drugi koniec kraju.

– Sprawiedliwość zawsze zwycięża – powiedziała oma i odwróciła się do Kate. – Czyż nie mam racji, kochanie?

Kate przytaknęła, ale nie była pewna, co tak naprawdę o tym myśli. Zdążyła się zorientować, że każdy, kto nosi mundur, uważa Edwarda Spiveya za winnego. Natomiast jej rodzina i większość znajomych twierdziła, że to policja próbowała go zrobić.

– Gdzie jest tata?

– W szklarni. – Liesbeth wlała do shakera sporą porcję wódki. – Martwi się o orchidee. To chyba wina grzejnika.

Formalnie rzecz biorąc, Kate wcale nie okłamała Maggie Lawson. Jej ojciec naprawdę pasjonował się ogrodnictwem.

– A jak koleżanki z pracy? Zdążyłaś się już z którąś zaprzyjaźnić? – zapytała babcia.

Kate z chęcią by się roześmiała, gdyby miała na to siłę.

– Są fantastyczne. Czuję się jak na zjeździe kobiet w Seneca Falls, podczas którego każda z uczestniczek chciała mi coś udowodnić.

Na twarzy omy pojawiła się marsowa mina.

– Przykro mi. Było bardzo źle?

Kate czuła się, jakby znowu chodziła do szkoły i skarżyła się babci na koleżanki, które znęcały się nad nią w autobusie. Chociaż tak naprawdę Maggie, Gail i cała reszta nie były wcale okrutne. W każdym razie nie w stosunku do niej.

– To po prostu twarde dziewczyny i trudno się przebić przez ich gruby pancerz.

– Chyba muszą być twarde, nie mają wyjścia – zauważyła Liesbeth.

– Nie o to chodzi. – Oma splótła dłonie na kolanach. – Czasami kobiety, które mają nawet odrobinę władzy, potrafią być gorsze niż mężczyźni. Szczególnie względem innych kobiet. Za wszelką cenę próbują odciąć się od słabości kojarzonej ze swoją płcią. Mam rację?

Kate spojrzała na matkę, która z zasady nie zgadzała się prawie ze wszystkim, co mówiła oma.

Tym razem jednak milczała. Trzymała w rękach shaker i mocno nim potrząsała. Kostki lodu z impetem uderzały w nierdzewną stal. Od energicznych ruchów zsunął się jej rękaw i na lewym przedramieniu Kate zobaczyła tatuaż: literę A i następujący po niej rząd pięciu cyfr.

– Próbujesz zemścić się na lodzie? – zapytała oma.

Liesbeth nadal z werwą wymachiwała shakerem. Gdy skończyła, postawiła na stoliku dwie szklanki i naląła do nich trunk.

– Kaitlin, zjadłaś już wszystkie oliwki?

– Jasne, że tak. Przecież wiesz, jak je uwielbia. – Oma podała Liesbeth pustą szklankę.

– Gdy powiedziałam Margot Kleinman, że moja wnuczka jest policjantką, zareagowała tak, jakbyś co najmniej poleciała w kosmos. – Wzniosła toast za Kate. – To cudowne, że chcesz pomagać ludziom, kochanie.

Kate niechętnie podniosła swojego drinka. Napotkała wzrok babci, a potem matki i opróżniła szklankę do połowy.

– Doskonale – zachwyciła się oma, mając na myśli martini. – To ważne, żeby twoje życie miało sens. Nawet jeśli masz gorszy dzień, nie należy się poddawać.

Liesbeth usiadła na kanapie obok córki. Pogłaskała ją po włosach i położyła rękę na ramieniu.

– To miłe, że założyłaś perły.

Kate wpatrywała się w papierosa żarzącego się na krawędzi popielniczki. Miała sześć, może siedem lat, gdy po raz pierwszy na przedramieniu matki zobaczyła tatuaż. Siedziała wtedy w wannie, a Liesbeth szorowała jej uszy.

– Co to jest? – zapytała wtedy.

– Nic, *schatje*. Nie wierć się – usłyszała tylko.

– Kochanie? – zatroskała się oma. – Jesteś zmęczona? Chcesz zostać sama?

– Nie. – Kate pogłaskała matkę po dłoni. – Zostańcie.

– Opowiesz nam o swoim dniu? – zapytała babcia z nadzieją w głosie. – Naprawdę było tak strasznie?

Kate się do niej uśmiechnęła. Sukienka omy miała długie rękawy, zakrywające tatuaż na lewym przedramieniu. Ta sama litera, inne cyfry. Tak jak Liesbeth, babcia była w Oświęcimiu, ale kiedy naziści odkryli, że jest profesorem, wysłali ją do Mauthausen, obozu znanego jako „młynek do mielenia kości”, w którym intelektualiści zapracowywali się na śmierć.

– Jesteś strasznie rozkojarzona – zaniepokoiła się Liesbeth. – Przytrafiło ci się coś złego?

Kate cały czas trzymała rękę na jej dłoni.

– Nic się nie stało – skłamała, ale po chwili doszła do wniosku, że jeśli nie chce mówić prawdy, to powinna być bardziej przekonująca. – W pracy nie było najgorzej. Nogi bolałyby mnie tak samo, gdybym przetańczyła całą noc. A to – wskazała na czoło – dlatego, że nie umiem chodzić w czapce.

Oma odchyliła się na krześle i powiedziała żartobliwym tonem:

– Najgorsze jest jednak wstawanie przed dziesiątą. Ja bym tak nie potrafiła.

– *Moeder*, zawsze jesteś na nogach wcześniej niż ja. – Widać było, że słowa Kate przyniosły Liesbeth prawdziwą ulgę. Zaciągnęła się po raz ostatni i zgasiła papierosa. – Wiem, bo ktoś zawsze wypija pół dzbanka kawy.

– Jest bardzo smaczna. Po prostu nie potrafię się powstrzymać.

Kate poczuła, jak w końcu rozluźniają się jej mięśnie. Nie wiedziała, czy to zasługa valium, czy koca. W pokoju zrobiło się jakby jaśniej. Postanowiła zmienić temat.

– Najbardziej wkurzyła mnie świadomość, że dużo wiem o rzeczach, które w prawdziwym życiu nie mają najmniejszego znaczenia.

Ani matka, ani babcia nie zaprotestowały.

– Cały czas czułam się jak głupek. Nie jestem do tego przyzwyczajona. – Właśnie zrozumiała, że to był ten głaz, który przez cały dzień musiała toczyć pod górę. Ludzie zwracali się do niej jak do idiotki, ponieważ pod wieloma względami była idiotką. – Nie potrafię rozmawiać z nieznanymi. Nie jestem wystarczająco asertywna. Okazało się, że nie umiem nawet biegać i trzeba mi wytłumaczyć, jak korzystać z toalety.

Liesbeth i oma wyglądały na kompletnie zbite z tropu.

Kate nie wiedziała, jak obrócić to wszystko w żart, więc postanowiła nic więcej nie wyjaśniać.

– Chodzi o wiele bardzo przyziemnych rzeczy, którymi do tej pory nie musiałam się przejmować. Nigdy nie czułam się tak bardzo nie na miejscu. – Wypiła łyk martini, żeby nie widzieć spojrzenia, które wymieniły między sobą. – Chyba jedyne, co mogę zrobić, to udawać zdziwienie.

Oma i Liesbeth znowu na siebie spojrzały.

– Na pewno wszystkiego się nauczysz – próbowała ją pocieszyć babcia. – Ta praca to okazja, żeby pomóc innym. Prawda? Żeby coś z siebie dać.

Kate kiwnęła głową, chociaż nie zrobiła dziś nic, co przyczyniłoby się do poprawy czyjegoś losu, włączając w to jej własny.

– Oczywiście, że tak. Masz rację.

– Pamiętam tego miłego policjanta, który rozmawiał z nami po eksplozji w świątyni – powiedziała oma i odstawiła szklanę na stół. – Wszyscy byliśmy tacy przerażeni. Do tej pory nie mieliśmy do czynienia ze stróżami prawa, czasem może zapytaliśmy któregoś o drogę. Był bardzo poważny. Okazało się, że też jest Żydem. Kiedy to było? W pięćdziesiątym szóstym?

– W pięćdziesiątym ósmym. – Gdy doszło do zamachu bombowego na świątynię judaistów reformowanych na Peachtree Street, Kate miała osiem lat. Mieszkali na tyle blisko, że słyszeli odgłos wybuchu.

– Ci idioci myśleli, że w niedzielę odprawiane są tam jakieś nabożeństwa – powiedziała Liesbeth. – A może wcale nie byli tacy głupi. W końcu uszło im to na sucho.

Oma nie lubiła wracać pamięcią do nieprzyjemnych wydarzeń.

– Chodzi mi o to, że policja była wtedy bardzo pomocna. Robili wszystko, żebyśmy znowu poczuli się bezpiecznie. – Uśmiechnęła się tak słodko, że Kate zrobiło się ciepło na sercu. – A teraz ty dbasz o spokój i porządek, Kaitlin. Robisz coś naprawdę ważnego.

Kate wiedziała, że pewna prostytutka z Cheshire Bridge Road mogłaby się z tym nie

zgodzić, ale zachowała to dla siebie. Uśmiechnęła się, żeby zrobić babci przyjemność.

– Jest ci teraz trochę łatwiej? – zapytała Liesbeth.

Miała na myśli śmierć Patricka. Kate pomyślała, że to, czym się dzisiaj zajmowała, było chyba lepsze od leżenia w łóżku i rozpaczania z powodu czegoś, czego nie da się zmienić. Miała przed sobą dwie silne kobiety, które same przeżyły niewyobrażalne tragedie, a mimo to jakoś sobie radziły.

Nigdy nie mówiły jednak o tym, co się stało. Żadna nie wracała do wojennych wspomnień i nie rozpamiętywała poniesionych strat. Kate znała fakty, ale miała blade pojęcie o szczegółach. Oma straciła matkę, ojca, brata, męża i syna. Liesbeth trafiła do obozu jeszcze jako nastolatka. Obie myślały, że zostały całkiem same, ale po wyzwoleniu udało im się odnaleźć dzięki pomocy Czerwonego Krzyża.

Teraz próbowały pocieszać Kate. Pielęgnowały jej obolałe ciało i zranione ego.

– Tak, na pewno. To dobrze, że mam jakieś zajęcie – odpowiedziała na pytanie matki.

– *Pożyteczne* zajęcie. – Oma podniosła szklankę do kolejnego toastu. – Jestem z ciebie bardzo dumna, kochanie. To, co robisz, jest dość niekonwencjonalne, ale pamiętaj, że twoja rodzina w pełni cię wspiera. Jesteśmy szczęśliwi, że wybrałaś sobie ten zawód.

– To prawda – potwierdziła Liesbeth. – Chociaż bylibyśmy równie szczęśliwi, gdybyś nadal pracowała jako sekretarka.

– *Hoe kom je erbij*[2] – wymruczała pod nosem babcia. – Zupełnie się do tego nie nadawała.

– Nie była wcale taka zła.

– *Ze is te slim voor dat soort werk*[3].

– *Moeder*.

Kiedy zaczęły rozmawiać w swoim ojczystym języku, Kate zupełnie się wyłączyła. Rozumiała nie więcej niż połowę z tego, co mówiły. Podzielała zresztą zdanie większości Amerykanów, którzy uważali holenderski za chorobę gardła, a nie ludzką mowę.

Kate pochyliła się, żeby wytrzeć stopy. Poczowała ból w plecach i zakręciło jej się w głowie. Była tak zmęczona, że nie miała siły wstać. Zegar wiszący nad kominkiem wskazywał prawie dwudziestą trzecią. Nie wyobrażała sobie drogi powrotnej do domu. Całe szczęście mogła przespać się w swoim starym pokoju i odebrać od Mary Jane poprawione mundury. Kosmetyki do makijażu pożyczy od matki. A jeśli uśmiechnie się do niej szczęście, Maggie otworzy szafkę i Kate odzyska torebkę.

Torebka. Tylko dzięki boskiej interwencji Kate wróciła dziś do domu samochodem. Gdyby wiele lat temu Patrick nie zamontował we wnęce koła zapasowego pudełka z dodatkowym kluczykiem, nadal siedziałyby na parkingu przy Central Avenue. Jak najszybciej musi kupić zamek szyfrowy. Zapłaci za niego, ponieważ branie czegoś za darmo było sprzeczne z jej zasadami. Na pewno można kupić taki zamek w sklepie sportowym obok klubu tenisowego. Zanim znajdzie czas, żeby tam pojechać, pożyczy od ojca.

Nagle zdała sobie sprawę, że naprawdę ma zamiar wrócić jutro do pracy i nie zrezygnuje już po pierwszym dniu. Jak to się stało? Na pewno nie był to wynik jej świadomej decyzji. Może to kwestia genów? Babcia nigdy się nie poddawała, matce również nie brakowało wytrwałości, a w żyłach Kate płynęła w końcu ta sama krew. W porównaniu z tym, co przeszły oma i Liesbeth, jej doświadczenia z Wydziałem Policji miasta Atlanta to bułka z masłem.

Da radę.

Musi dać radę.

Dokładnie w tym momencie do pokoju weszła Mary Jane. W rękach trzymała starannie złożone mundury.

– Udało mi się usunąć plamy, ale niestety widać zszyte miejsce po dziurze na rękawie.

– Przepraszam, że... – zaczęła Kate, ale głos uwiązł jej w gardle.

Za plecami Mary Jane stał Philip Van Zandt. Miał na sobie ciemnografitowy garnitur od Hickeya Freemana i jasnofioletową koszulę. Spod rozpiętego kołnierzyka wystawały włosy.

– Dobry wieczór pani Herschel i pani De Vries – powiedział, z namaszczeniem wymawiając holenderskie nazwiska. Celowo się popisywał, jakby chciał je przekonać, że w dzieciństwie jeździł rowerem wzdłuż amsterdamskich kanałów. – Chyba musiałem wystraszyć Mary Jane, gdy zacząłem dobijać się do sutereny.

Kate nie miała wątpliwości, dlaczego pukał właśnie do tych drzwi. Wszyscy znajomi wiedzieli, że kiedy skończyła czternaście lat, przeprowadziła się na dół, ponieważ rodzice mieli dość ciągłych chichotów, gdy koleżanki przychodziły do niej na noc. Poza tym jej samochód stał zaparkowany na podjeździe, a w prawie całym domu paliło się światło.

Mary Jane nie lubiła niezręcznych sytuacji, więc odłożyła mundury na kredens i oznajmiła:

– Dobrze. W takim razie już sobie pójdę.

– Przepraszam, że zawracałam ci głowę o tak późnej porze – dokończyła Kate.

Mary Jane machnęła ręką, ale Kate i tak miała wyrzuty sumienia, gdy patrzyła, jak starsza kobieta powłóczy nogami w kierunku schodów.

Kiedy przechodziła obok Philipa, lekko się jej uklonił.

– Moje drogie panie, kajam się za najście o tak niestosownej porze, ale moja matka była dziś wieczorem w klubie i bardzo możliwe, że przez pomyłkę wzięła nie swoją szminkę.

Wyciągnął rękę, w której trzymał tanią pomadkę ze sklepu na rogu. Wszystkie kobiety o tym wiedziały, a Philip wiedział, że one wiedziały. Mimo to udawał, że jest rycerzem na białym koniu udzielającym pomocy damie w opałach.

Oma zawsze lubiła takie podstępny.

– Tak, to moja szminka. Bardzo ci dziękuję za fatygę. To miłe, że chciało ci się przyjechać w tak błahej sprawie.

Z Liesbeth nie poszło jednak tak łatwo.

– Zapomniałam zapytać, jak się miewa twoja żona. Studiuje teraz w Izraelu, prawda? – Odwróciła się do Kate. – Czy wiesz, że Philip jest żonaty?

– Tak – potwierdziła, myśląc jednak zupełnie o czymś innym. Zdawała sobie sprawę, że jeśli spróbuje teraz wstać, to kabel koca elektrycznego zadziała jak sprężyna i jej pupa znowu wyląduje na kanapie.

– Izrael – powtórzyła oma z tęsknotą w głosie. – Philipie, czy widziałeś znaczki, które doktor Herschel przywiózł z igrzysk Hapoel?

– Niestety, nie miałem do tej pory okazji – powiedział, uśmiechając się rozbrajająco.

– Czy mógłbyś? – Oma wyciągnęła rękę, a Philip pomógł jej wstać. W tym czasie Kate wyszarpnęła koc spod sukienki. Rozległ się przy tym dziwny dźwięk przypominający odgłos szarfy przeciąganej przez szlufkę.

Philip odwrócił się w kierunku kanapy. Spojrzał na koc, a potem na Kate, która siedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Pójdę po znaczki – oznajmiła oma. – Liesbeth, mogłabyś przynieść trochę lodu z kuchni?

O dziwo Kate zareagowała jak własna matka.

– Jest już późno, babciu. Philip na pewno musi rano wstać do pracy.

– Akurat jutro mam wolne – zakomunikował, rozkładając ręce.

– Naprawdę? – zdziwiła się, ponieważ zupełnie nie wiedziała, co jest grane. Nie miała nic przeciwko niewinnemu flirtowi, ale Philip posuwał się chyba o krok za daleko. – Może powinieneś poświęcić ten czas na napisanie listu do żony?

– Już to zrobiłem. Opowiedziałem w nim o naszym dzisiejszym spotkaniu.

– Widzieliście się? – zapytała Liesbeth dziwnie podniesionym głosem. – Kiedy?

– W szpitalu – zareagowała szybko Kate, ponieważ nie chciała, żeby matka dowiedziała się o kolejnym postrzelonym policjancie. – Philip przekazywał mi informacje związane ze sprawą, którą się zajmuję.

Philip puścił do niej oczko.

– Z pani córki to naprawdę niezły detektyw.

– Rzeczywiście, potrafi logicznie myśleć. – Liesbeth wyjęła z papierošnicy kolejnego papierosa.

Philip podał jej ogień.

– Kaitlin, zrobisz mi gin z tonikiem? Poproszę dużo lodu.

– *Lieverd?* – zawołała z korytarza oma. – Możesz mi pomóc? Jestem w gabinecie.

Liesbeth zgasila papierosa w popielniczce.

– Tata jeszcze do ciebie zajrzy.

– Dziękuję – powiedziała Kate, chociaż obie wiedziały, że ojciec najprawdopodobniej już dawno śpi. – Philip nie będzie długo siedział.

- Z pewnością.
- Dobranoc, pani Herschel. – Ukłonił się, żegnając się z nią w taki sam sposób jak z Mary Jane. – To wspaniała kobieta.
- Nie powinieneś jej drażnić – ostrzegła Kate.
- W wypadku jej córki ta taktyka dobrze się sprawdza.
- Nieprawda. – Kate złapała wiaderko z lodem i poszła do kuchni. Przeszła przez wahadłowe drzwi i pochyliła się nad blatem. Trzęsły jej się ręce, ale nie z powodu Philipa. Było późno. Ze zmęczenia ledwo trzymała się na nogach. A on miał żonę.
- Powiniennem obejrzeć tego guza. – Staął nie więcej niż metr za nią. Drzwi jeszcze się lekko kołysały. Z pewnością lubił, gdy jego wejście robiło wrażenie. – Jak to się stało?

Dla odmiany powiedziała prawdę:

– Wbiegłam na mur.

Nie roześmiał się.

– Straciłaś przytomność?

– Nie.

– Miałaś gwiazdy przed oczami?

Kate skrzyżowała ręce na piersiach.

– O co ci chodzi?

– Jestem lekarzem. Staram się przeprowadzić wywiad. Miałaś gwiazdy przed oczami?

– Tak – odpowiedziała niechętnie.

– Zawroty głowy?

Potwierdziła.

– Mdłości?

Ponownie przytaknęła.

– Wymiotowałaś?

– Trochę.

– Usiądź na blacie.

– Philip, co ty...

– Mogłaś mieć wstrząs mózgu. – Objął ją w pasie i podniósł. – Masz strasznie gorące plecy.

– Zbierają się tam wszystkie moje frustracje.

Roześmiał się z żartu, cały czas trzymając dłonie na jej talii.

– Brałaś jakieś leki?

– Aspirynę i valium.

– Coś jeszcze?

– Nic więcej.

– Pigułki antykoncepcyjne?

Zalała się rumieńcem i rozzłościło ją, że nie jest w stanie nad tym zapanować.

– Tak, ale...

Pokazał jej wysunięty palec.

– Podążaj za nim wzrokiem. – Postąpiła zgodnie z poleceniem.

– Sprawdzę jeszcze oczy. – Nacisnął na powieki. – Spójrz w górę. – Zrobiła, co jej kazał. – A teraz w dół. – Znowu spełniła jego prośbę. – Powiedz, jeśli poczujesz jakikolwiek ból. – Zaczął omacywać jej twarz i szyję. – Otwórz usta. – Otworzyła. – Rozsuń nogi.

– Po co?

– Żebym mógł dotknąć wnętrza twojego uda.

Wzięła gwałtowny wdech i ślepo mu się poddała. Po chwili poczuła jego dłoń na swojej skórze.

Zamiast zacisnąć kolana lub dać mu po łapach, zastygła w bezruchu.

– Jesteś żonatym mężczyzną, który w domu swojego ojca wsadza mi rękę pod sukienkę.

– Tylko trochę. – Koniuszkami palców delikatnie pogłaskał ją po udzie. Jego dotyk był jak muśnięcie skrzydeł motyla. Po plecach Kate spłynęła kropelka potu.

– Przestań.

Usłuchał, ale nie cofnął ręki. Cały czas czuła jego dłoń na swoim udzie. Zrobiło jej się naprawdę gorąco. Patrzył na jej usta.

– Nadal smakujesz jak truskawki?

Miała sucho w ustach i z trudem odpowiedziała:

– To był błyszczczyk.

– Nieziemsko smaczny. – Znowu zaczął muskać jej udo. – Jesteś piękna, Kaitlin. Zdajesz sobie z tego sprawę? Jesteś prawdziwą pięknoscią.

– Philip – wyszeptała. Jego dotyk był niewyobrażalnie subtelny. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz.

– Byłaś pierwszą dziewczyną, z którą się całowałem. Z wyjątkiem kuzynek.

Kate szturchnęła go w ramię.

– Dlaczego ze wszystkiego musisz sobie żartować?

– Bo to zabawne. Jestem żonatym facetem. Stoję w domu twojego ojca i trzymam rękę pod twoją sukienką.

Być może gdyby nie chodziło o nią, uznałaby to za śmieszne.

– Proszę cię, żebyś przestał.

– Naprawdę tego chcesz?

Sama nie wiedziała, czego chce.

– A co z twoją żoną?

– Żona ma rodzić dzieci, a z tobą chcę się pieprzyć.

Zupełnie nie spodziewała się, że usłyszy coś takiego.

– To okropne, co powiedziałeś.

– Uwierz mi, to drugie jest o wiele przyjemniejsze.

– Dlaczego miałabym ci wierzyć?

– Wcale nie musisz. – Przesunął dłoń wyżej. Palcami pieścił jej skórę.

Wstrzymała oddech. Zaczął napierać na cienką bawełnę, z której uszyta była jej bielizna. Doskonale wiedział, co robi. Czuła teraz między nogami miarowy ruch jego dłoni.

– Podoba ci się? – Obserwował jej twarz, nie przestając ruszać ręką. – Chcesz tego?

Skinęła głową. O Boże, jasne, że tego chciała.

– Dobrze ci?

Wczepiła się w jego ramiona i poczuła napinające się mięśnie. Chciała go pocałować, ale jej nie pozwolił. Gdy próbowała się do niego przytulić, odsunął się. Patrzył na nią, śledząc jej reakcję na to, co robi.

– Między nogami zbiera się chyba jeszcze więcej twoich frustracji.

– Zamknij się – wydyszała Kate drżącym głosem. Czuła, że dłużej już nie wytrzyma.

Philip całował jej szyję. Miał miękkie wargi i szorstki zarost. Kate pragnęła go mieć tylko dla siebie. Sięgnęła do jego paska, ale ją powstrzymał. Kiedy zaczęła zdejmować majtki, złapał ją mocno za rękę.

– Philip...

– Szz. – Jego niski głos pulsował w jej ciele. – Zrobisz coś dla mnie, Kaitlin?

Przytaknęła.

– Zapukasz do mnie?

Pokręciła głową. To było istne szaleństwo.

– Jak w piosence, zapukaj trzy razy, dobrze?

– Po co?

– Żebym mógł cię zerznąć.

Wsunął rękę jeszcze głębiej. Kate była cała rozpalona. Miała wrażenie, że nie znieśie tego dłużej. Czuła na twarzy jego ciepły oddech. Myślała o jego języku. I o jego zębach. Wypełniało ją pożądanie, a między nogami tętniła rozkosz.

– Ale dopiero kiedy będziesz gotowa. Niedługo, okay? – powiedział.

Kate nie potrafiła wydusić z siebie ani słowa. Czuła, że zaraz dojdzie.

– Tak – wyszeptała błagalnym tonem. – Tak.

Philip powoli wyjął rękę spod sukienki, muskając mokrymi palcami jej uda. Pocałował ją delikatnie w czoło.

Kate otworzyła oczy.

– Co się...

– Szsz. – Dotknął kciukiem jej ust. Na jego skórze poczuła swój zapach. – Niedługo, dobrze?

Zapukał trzy razy w blat, odwrócił się i wyszedł.

Fox siedział przed telewizorem. Był pijany i wściekły. Wręcz kipiał ze złości i w ramach pokuty nie pojechał podglądać Kate.

Czuł, że w pełni zasłużył na karę, ponieważ znowu nawalił.

Takie rzeczy przytrafiały się często Foxowi seniorowi. Przesiadywał w barze z bandą pedałów, a jakaś baba odwaliła za niego robotę. Albo przynajmniej próbowała. Jimmy Lawson wciąż żył tylko dlatego, że miał więcej szczęścia niż rozumu. Fox dowiedział się o wszystkim z policyjnego skanera. Jakaś staruszka strzeliła do Jimmy'ego z magnum .44. Dostał w ramię, chociaż kula powinna roztrzaskać mu łeb.

Fox nie zamierzał uciekać przed odpowiedzialnością. Coś takiego przytrafiło mu się wczoraj w nocy, kiedy wychodząc zza rogu, zobaczył, jak Don Wesley robi laszkę Jimmy'emu Lawsonowi. W takiej sytuacji każdy na chwilę by zbaraniał. A potem jeszcze zaciął mu się pistolet i Lawson zdążył schować się za kontenerem na śmieci. Fox musiał uciekać, ponieważ dobry żołnierz wie, kiedy należy się wycofać.

Dzisiaj było inaczej. Fox najzwyczajniej w świecie się pomylił. Jimmy wcale nie poszedł do baru szukać pocieszenia w ramionach jakiejś cioty. Zawziął się i postanowił znaleźć zabójcę swojego przydupasa.

To wystarczyło, żeby w umyśle Foxa zapanował chaos. Wcześniejszy plan legł w gruzach, a rozmaite warianty już nie wyświetlały się z tyłu głowy. Zniknęły też gdzieś fantazje na temat Kate, które do tej pory trzymały go w ryzach.

Powinien wymyślić coś nowego.

Część pierwsza: nie może tak po prostu zabić Jimmy'ego. Posłuży jako narzędzie odzyskania kontroli.

Część druga: żeby ratować królową, trzeba poświęcić pionka.

Fox odstawił drinka. Nie może siedzieć beczynn timer, czekając, aż dozna olśnienia. Wiedział, jakie ma możliwości. Musiał wymyślić jakiś sposób na połączenie obu elementów, części pierwszej i drugiej. Należało po prostu przygotować wykonalny plan.

Im szybciej, tym lepiej. Na wojnie nauczył się, że w obliczu niebezpieczeństwa człowiek zaczyna działać instynktownie: obserwuje otoczenie, zachowuje się ostrożniej, zmienia swoje przyzwyczajenia.

Fox lubił ustalony porządek. Potrzebował go. Zawsze mu to pomagało, niezależnie od tego, na kogo polował.

Wziął do ręki podkładkę i zaczął przeglądać notatki.

Ubiegły piątek. Ubiegła środa. Ubiegły poniedziałek.

Cofnął się dalej w przeszłość.

Znowu piątek, środa i poniedziałek.

Kate bardzo regularnie odwiedzała rodziców. Pewnie oznaczało to, że jest dobrą córką, jeśli w ogóle o tej brudnej Żydówce można powiedzieć, że jest dobra. Przed każdą wizytą ładnie się ubierała. Nigdy nie zakładała spodni. Zwykle zostawała na noc, co trochę utrudniało Foxowi życie, ale jednocześnie dawało więcej możliwości.

Każdy, kto go znał, wiedział, że oprócz porządku uwielbia różne możliwości.

Pierwsza możliwość: gęste zarośla obok okna sutereny. W pokoju stało jednoosobowe łóżko, pewnie jeszcze z czasów dzieciństwa. Na ścianie wciąż wisiały plakaty (Bitelsi, których mógł jej wybaczyć, i Paul Newman, którego nie znosił). Miękką różową pościel. Ściany w podobnym kolorze. Ciemnofioletowy koc, którym przykrywała się w chłodniejsze noce. Drzwi do łazienki zostawiała szeroko otwarte. Spała przy zapalanej lampce, dzięki czemu Fox mógł obserwować falowanie jej piersi. Mierzył jej oddech, używając sekundnika na swoim zegarku. Jeśli miał szczęście, wstawała w nocy i mógł zobaczyć jej koszulę nocną. Biała bawełna. Prawie przezroczysta. Przy pełni księżyca przez cienki materiał widać było ciemny zarys jej miejsc intymnych.

Druga możliwość: weranda. Zwykle w kuchni paliło się światło, więc Fox mógł stać przy drzwiach i zaglądać przez okno. Kate zawsze zanosila talerze do zlewu. Czasem stała, wpatrując się w ciekącą wodę, lub siadała na stole i rozmawiała z babcią.

Babcia. Na początku Fox myślał, że to matka, a matkę wziął za starszą siostrę. W końcu zapukał do drzwi i powiedział, że przeprowadza dla firmy telekomunikacyjnej ankietę na temat mieszkańców dzielnicy.

Matka zaprosiła go do środka. Później dołączyła do nich babcia i ucieli sobie miłą pogawędkę. Poczęstowały go kawą i ciasteczkami. W pewnym momencie musiał skorzystać z łazienki. W obecności kobiet, które tak bardzo przypominały Kate, dostał silnej erekcji.

Trzecia możliwość: zwalone drzewo w ogrodzie przed domem. Właśnie tam czatował dziś wieczorem. Patrzył, jak Kate idzie krętym chodnikiem w kierunku drzwi wejściowych. Poruszała się jak kot. Leniwie. To słowo najlepiej opisywało jej niezwykle seksowny chód. Buty na wysokich obcasach sprawiały, że miała napięte mięśnie łydek. Ktoś inny nie wytrzymałby napięcia i wsadziłby rękę w spodnie, żeby sobie ulżyć.

Fox wrócił do domu, ponieważ spartolił zbyt wiele rzeczy i nie był w stanie się kontrolować.

Kara numer jeden: nie wolno mu patrzeć, jak Kate przebiera się do snu.

Kara numer dwa: nie wolno mu patrzeć, jak owija się fioletowym kocem i kładzie do łóżka.

Kara numer trzy: nie wolno mu się spuścić w spodnie, obserwując rytmiczne falowanie jej piersi.

16.38 rozmawiała z lekarzem w szpitalu (N)

17.18 płakała w samochodzie zaparkowanym przed komendą (N)

19.01 zaciągnęła zasłony w hotelu (N)

Napięcie.

Fox nie po raz pierwszy miał kłopoty z Żydami.

Kiedy miał dziewięć lat, żydowska rodzina kupiła w okolicy dom. Feldmanowie wprowadzili się w weekend, a już pod koniec następnego tygodnia na trawniku przed każdą posesją stała wbita w ziemię tabliczka „Na sprzedaż”. Doszło do dwóch transakcji, ale niestety sprawa się wydała i nikt nie był już w stanie sprzedać domu za rozsądną cenę.

Stary Foxa twierdził, że już wcześniej widział takie rzeczy. Gdy do jakiejś dzielnicy sprowadzał się Żyd, ceny nieruchomości spadały na łeb na szyję, a w ślad za nim, jak stado sępów, pojawiali się inni starozakonni.

Lekcja numer sześć: nigdy nie ufaj Żydom.

Tak jak wiele przepowiedni starego Foxa i ta się nie sprawdziła. Nikogo nie było stać na wcześniejszą spłatę hipoteki, więc Żydzi nie zaczęli się masowo sprowadzać na ich ulicę. Byli tylko Feldmanowie, wobec których rosła niechęć.

Mimo to Żydzi zawsze kojarzyli się Foxowi z sępami. Dosłownie, nie metaforycznie. Mieli smagłą cerę, ciemne włosy, czarne oczy i haczykowate nosy. Żona Feldmana była dość otyła i nie budziła zaufania. Kiedy szła do skrzynki na listy, wszystkie dzieci brały nogi za pas, bo przecież wiadomo, że Żyd może rzucić zły urok.

Jej starsza córka to jednak zupełnie co innego. Rebecca Feldman była wprawdzie brunetką, ale miała wspaniałe ciało zaokrąglone dokładnie w tych miejscach, co trzeba, i pięknie wykrojone wiśniowe usta. Nosila spódniczki uwydatniające biodra i seksowne sweterki. W okolicy nie było mężczyzny, który nie czekałby na jesień, kiedy to Rebecca wkładała obcisłe stroje. Robiła to celowo. Wszyscy o tym wiedzieli. Prowokowała z premedytacją, bawiąc się ich kosztem. I nic nie mogli zrobić, chyba że złamaliby prawo.

Lekcja numer siedem: wszystkie Żydówki to puszczałskie dziwki.

Fox pierwszy raz w życiu miał erekcję właśnie na widok Rebekki Feldman, gdy paradowała po ulicy w jednym ze swoich sweterków. Zupełnie nie wiedział, co się dzieje. Wrócił biegiem do domu, zamknął się w pokoju i schował pod narzutę. Spocił się jak szczur i myślał, że Żydówka rzuciła na niego urok.

Jednak po chwili włożył rękę w spodnie, żeby sobie ulżyć. Potem fantazjował o tym, co by z nią zrobił. Ściągnąłby z niej sweter i zerwał spódnicę. Nie był pewien, jaki powinien być następny krok, ale instynktownie czuł, że ta Żydówka powinna zapłacić za to, co mu zrobiła. Fox stracił nad sobą kontrolę. W chwilach kiedy uciekał do swojego pokoju i chował się pod narzutą, władzę nad nim przejmowało Napięcie.

Teraz działało się to samo, jednak teraz tą Żydówką była Kate.

DZIEŃ DRUGI
wtorek

Drugiego dnia w pracy po raz drugi musiała przedzierać się przez tłum mężczyzn szczerze wypełniający pokój odpraw. Starła się ignorować pożądlive spojrzenia. Skrzyżowała ręce na piersiach, żeby maksymalnie ograniczyć niby przypadkowe dotknięcia. Niestety, nie mogła zatkać uszu.

– Bee! Bee! – beczeli jak opętani. – Bee! Bee!

Dlaczego ze wszystkich przezwisk, które wczoraj dostała, od irlandzkiego mydełka do laleczki, przyłgnęło do niej właśnie to?

Ktoś przed nią zasalutował.

– Cześć, owieczko!

Jej uśmiech zmienił się w nieprzyjemny grymas.

– Bee!

W końcu dotarła do drzwi. Tym razem uważała, żeby nie otworzyć ich zbyt szeroko. Trafiała z deszczu pod rynnę. Na ławce siedziała Wanda Clack i sprawdzała pas służbowy. Zobaczyła Kate i ryknęła:

– Bee!

Kate uśmiechnęła się sztucznie i podniosła ręce w geście poddania. Nie wiedziała, jak długo będzie w stanie to znosić. W środku czuła się kompletnie wypalona.

– Kurczę, ale masz mundur. Teraz już nie wzięłabym cię tak łatwo za faceta – powiedziała Wanda.

– Dziękuję. – Kate wygładziła koszulę, która nadal była trochę za duża, ale specjalnie poprosiła Mary Jane, żeby zostawiła więcej miejsca.

– Byłaś u tego Żyda? Nie ubódł cię swoimi rogami?

Kate dobrze wiedziała, że nie powinna mówić prawdy. Nie mogła im dać kolejnego pretekstu do strojenia sobie żartów.

Otworzyły się drzwi i do przebieralni wśliznęła się Maggie. Na widok Kate uniosła brwi, udając zdziwienie.

Wanda klepnęła Kate w nogę.

– Podaj mi raciczkę, owieczko – powiedziała, wyciągając rękę. Kate nie była pewna, o co chodzi, ale pomogła jej wstać. Podnosząc się z ławki, Wanda jęknęła, a wiszący u jej pasa sprzęt głośno zagrzechotał. – Powiem ci jedno: po tym, co się wczoraj stało, nikt z nas nie spodziewał się, że jeszcze cię zobaczy.

– Niespodzianka! – próbowała zażartować Kate.

– To ty to powiedziałaś! – Wanda puściła do niej oko i precyzyjnie się przez uchylone drzwi.

Kate uśmiechnęła się do Maggie, ale ta była zajęta wybieraniem odpowiedniej kombinacji na swojej kłódce.

– Dzień dobry.

Maggie energicznym ruchem otworzyła szafkę.

– Jak wróciłaś wczoraj do domu?

– Miałam zapasowy kluczyk.

– Trzymasz go w pudełku we wnęce koła zapasowego?

– Skąd wiesz?

Maggie podała Kate torebkę.

– Zwykle słyszę to od poszkodowanego podczas spisywania raportu o kradzieży samochodu.

Kate przycisnęła torebkę do piersi. Czy może rzucić to wszystko w cholerę? Będzie do tego zdolna? Czy może po prostu odwrócić się i wyjść?

– Przyniosłaś kłódkę czy znowu będziesz korzystać z mojej szafki?

Przynajmniej na to była przygotowana. Podała kłódkę, którą zdjęła z walizki ojca.

Maggie spojrzała z dezaprobatą, ale otworzyła trzecią szafkę na lewo od swojej. Numer osiem, zaraz obok zasłanki oddzielającej część przebieralni dla czarnoskórych policjantek.

– Dziękuję. – Nie potrzebowała niczego ze swojej torebki, ale i tak ją otworzyła. Nic nie zginęło. W środku były kosmetyki do makijażu, kilka tamponów, trochę drobnych, które powinna trzymać w portmonetce. Sprawdziła jeszcze portfel. Zajrzała do przegródki na banknoty, ale nie chodziło jej o pieniądze. Zdjęcie ślubne było na swoim miejscu.

Patrick miał starannie przyczesane włosy, granatowy garnitur i krawat. Kate była ubrana w białą sukienkę do kolan z baskinką luźno zwisającą wokół bioder. Przypomniała sobie, że perły cały czas zaczepiały się o lekko marszczony dekolt w kształcie serca.

Wzięli ślub w urzędzie stanu cywilnego, a nie w katedrze Chrystusa Króla i dlatego rodzice Patricka odmówili udziału w uroczystości. Kate uważała się za agnostyczkę, tak jak jej ojciec i matka, co nie oznaczało, że mogli zostać członkami country klubu dla gojów. W dzieciństwie chodziła do synagogi, żeby zrobić przyjemność babci. Bywała też na bar micwach, żeby spotkać się ze znajomymi i zjeść ciasto. Lubiła od czasu do czasu świętować szabat, ale wolała Boże Narodzenie od Chanuki. Jednak po tym, co stało się z jej rodziną, za żadne skarby świata nie wzięłaby ślubu w katolickim kościele.

– Coś zginęło? – zapytała Maggie.

Kate podniosła głowę.

– Nie wzięłam twoich pieniędzy.

– Nawet mi to nie przeszło przez myśl. – Kate zamknęła portfel i schowała go z powrotem do torebki.

– Dzisiaj znowu pracujemy razem. – Maggie położyła dłoń na rękojeści swojego rewolweru. – Cieszysz się?

– Jestem zachwycona.

Maggie zmrużyła oczy.

– Jeśli chcesz zjeść lunch, weź pieniądze. Możesz mieć umalowane usta, ale subtelnie. Masz notes i długopis?

Kate poklepała kieszonkę koszuli.

– Oddałaś raport?

– To pierwsza rzecz, którą zrobiłam.

– Weź dziennik służbowy. Nie idziemy dziś na odprawę. – Zatrzasnęła szafkę. – Za pięć minut widzimy się na tylnych schodach.

Kate zrozumiała, że nie powinna pytać o szczegóły.

– Tak jest.

Maggie wysliznęła się na zewnątrz. Kate nigdy wcześniej nie była sama w przebieralni. Nie mogła się powstrzymać i zajrzała za zasłonkę. Było tam jeszcze więcej szafek. Na końcu ławki leżały jakieś magazyny dla czarnoskórych. W róg wciśnięty był mały stolik, na którym stał szklany wazon z pojedynczym kwiatkiem – stokrotką, która wyglądała na całkiem świeżą.

Coś uderzyło w drzwi i Kate poczuła, że ma duszę na ramieniu. Nie wiedziała, co byłoby gorsze – natknięcie się na kolorowe policjantki czy spóźnienie się na spotkanie z Maggie.

Wyjęła z portfela kilka banknotów. Wzięła też szminkę, która nie miała specjalnie subtelnego koloru, ale co Maggie mogła jej zrobić? Aresztować ją?

Po chwili namysłu schowała jednak pomadkę z powrotem do torebki.

Szybko zrozumiała, dlaczego Maggie z taką niechęcią popatrzyła na jej kłódkę. Pałak ledwie przechodził przez otwór w drzwiczkach i żeby zamknąć szafkę, trzeba było użyć sporo siły. Na dodatek mały kluczyk mógł łatwo wypaść z kieszeni spodni, chociaż Kate była pewna, że będzie go czuć. Biodra miała całe w siniakach i była zdziwiona, że jakimś cudem w ogóle udało jej się zasnąć.

Rzecz jasna nie było to jedyne zdziwienie, którego wczoraj doznała. Największym było trzydzieści sekund, podczas których skończyła to, co zaczął Philip Van Zandt. Nigdy wcześniej żaden mężczyzna jej tam nie dotykał. Gdy raz kochała się z Patrickiem na stojąco w korytarzu, uznał to za perwersję.

„Drogi Patricku”, zaczęła pisać do niego w myślach. „Dziękuję za twój list. Ostatnio też byłam bardzo zajęta. Wczoraj rano spotkałam czarnoskórego alfonsa i widziałam, jak policjantka znęca się nad prostytutką. Poza tym załagodziłam awanturę o kanapkę i pozwoliłam koledze ze szkoły obłapiać się w kuchni mojej matki. Mam nadzieję, że jesteś...”

Otworzyły się drzwi i do środka weszły cztery czarnoskóre funkcjonariuszki. Kate

wpadła w popłoch. Wszystkie rzuciły w jej kierunku nieprzyjazne spojrzenie. Spuściła głowę i ruszyła do wyjścia. Nie ułatwiły jej jednak zadania, stając tak blisko siebie, że musiała się między nimi przeciskać.

– Przepraszam, przepraszam – mamrotała pod nosem. Przekrzywiła się jej czapka i musiała torować sobie drogę łokciami. Były gorsze od facetów. Jedna z nich podstawiała jej nogę. Kate z trudem utrzymała równowagę i wyszła na zewnątrz.

– Bee! – ryknął jej w twarz jakiś gruby gliniarz.

Pryśły resztki dobrego humoru. Nie miała pojęcia, gdzie znajdują się tylne schody, ale założyła, że gdzieś z tyłu budynku. Nad drzwiami zobaczyła tabliczkę z napisem „Wyjście”. Postanowiła zaryzykować. Przejście przez salę było teraz o wiele łatwiejsze, zaraz zaczynała się odprawa, więc prawie wszyscy zajęli już miejsca. Kate nie była pewna, jak wyglądają procedury. Czy jeśli jej obecność nie zostanie odnotowana przez oficera dyżurnego, to formalnie nie będzie jej w pracy?

– Dlaczego tyle to trwało? – Maggie stała na dole szerokich marmurowych schodów. Nie wyglądała, jakby spodziewała się odpowiedzi. – Idziemy.

Kate nie pozostawało nic innego, jak ruszyć jej śladem. Wchodząc po schodach, uważnie stawiała każdy krok. Buty nadal zsuwały jej się ze stóp, mimo że założyła dwie pary skarpetek pożyczonych od ojca, a czapka cały czas opadała na nos i zasłaniała oczy. Podnosiła daszek, ale on ponownie się ześlizgiwał, więc znowu go poprawiała. I tak w kółko.

– Możesz ją zdjąć – powiedziała Maggie.

Sama miała czapkę na głowie, więc Kate nie skorzystała z tej propozycji.

– Jak się czuje twój brat?

– Uważaj!

– Co? – Kate spojrzała w górę. O mały włos nie wpadła na stojącą o stopień wyżej wielką Murzynkę. Obok niej była jeszcze jedna. Miały na sobie mundury i nosiły takie same fryzury afro. Na plakietkach widniały ich nazwiska: Delroy i Watson. Obie gapiły się na Kate bez żadnego skrępowania.

– Rzeczywiście jest biała jak owca – rzuciła Delroy.

– Uhm – chrząknęła Watson. – Po swoich wczorajszych popisach powinna patrzeć, jak chodzi. – Wyciągnęła rękę i strąciła Kate czapkę z głowy.

Maggie złapała Kate za ramię, powstrzymując ją przed gwałtowniejszą reakcją.

– Słuchaj, owieczko – powiedziała Delroy i zaczęła śpiewać znaną piosenkę dla dzieci, nieco zmieniając jej tekst: – A teraz główka w lewo, a potem główka w prawo, raz w górę, a raz w dół.

– A teraz hopsasa i jeszcze w koło zakręć się – skończyła Watson.

Obie klasnęły w ręce.

– I to już wszystko jest!

Roześmiały się, ale Watson cały czas uważnie przyglądała się Kate.

– Wcale sobie nie żartujemy, biała owieczko. Musisz wiedzieć, co się wokół ciebie dzieje. To jedyny sposób na przeżycie. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem – wymamrotała. Czuła się jak biały Żyd, który przypadkiem znalazł się w czarnej dzielnicy o nie najlepszej reputacji.

– Rozumie? – Delroy zwróciła się do koleżanki. – Słyszałaś to?

– Zrozumiałam to, skarbie – powiedziała Watson, naśladowując akcent Kate.

– Dziękuję, moja droga. Zapraszam cię do klubu na koktajl, a potem to zrozumiemy – wydekłamała Delroy takim tonem, jak gdyby była angielskim lordem.

– Słuchajcie, mamy mało czasu – wtrąciła się Maggie, wskazując na zamknięte drzwi. Puściła przodem Delroy i Watson, a potem skinęła na Kate, żeby podniosła czapkę z podłogi.

– Jesteś dzisiaj taka elokwentna – mruknęła Kate, biorąc do ręki swoją zgubę.

Weszła do środka. To było jeszcze jedno pomieszczenie gospodarcze. Na metalowych półkach leżały długopisy, teczki, notesy i zszywki.

Maggie dała Kate znak głową, żeby zamknęła drzwi. Kate wykonała polecenie, zakładając, że znalazła się tu z jakiegoś powodu, a Maggie celowo zachowuje się bardzo tajemniczo. Najwyraźniej białe i czarne policjantki dzieliło więcej niż tylko zasłonka w przebieralni.

– Będziemy gadać przy owieczce? – zapytała Delroy.

– Potrafi trzymać język za zębami – powiedziała Maggie, co Kate potraktowała jak komplement. – Mam do was sprawę.

Delroy wykrzywiła usta.

– Słuchamy.

– Muszę porozmawiać z pewnym alfonsem. Nazywa się Sir She.

– Sir She – powtórzyła Delroy. – Ten trans, który pracuje w CT?

– Znasz go?

– Tylko o nim słyszałam. Miałyśmy parę przykrych sytuacji z jego panienkami. Pobił je do nieprzytomności za to, że nie dawały mu pieniędzy.

Watson włączyła się do rozmowy:

– Nosi białe kozaki ze złotymi czubami. Zwykle kopał dziewczyny w krocze tak, że już nigdy nie będą mogły normalnie się wysikać.

– Gdzie mieszka? – zapytała Maggie.

– Wynajmuje pokoje przy Huff Road.

Maggie po raz kolejny kiwnęła głową.

– Dobrze. Taką samą informację dostałyśmy wczoraj od świadka. – Kate zauważyła, że Maggie nie chciała wchodzić w szczegóły tego, w jaki sposób zmusiły Violet do mówienia. – Coś jeszcze?

– To rodzaj pensjonatu. Prowadzi go kompletnie ześwirowana Portugalka. Jest stara, ale lepiej nie wchodzić jej w drogę. – Delroy zwróciła się do swojej partnerki. – Jaki to numer? Osiemset piętnaście?

– Osiemset dziewiętnaście. – Watson zmarszczyła nos. – Ta starucha wygląda tak, jakby miała pająki we włosach.

– Portugalka? Co biała kobieta robi w CT? – zapytała Maggie.

– Nie ma wyjścia, bo wy, biały, nie pozwalacie, żeby jacyś pieprzeni obcokrajowcy kręcili się wam pod nosem – warknęła Delroy. – Wcześniej mieszkała koło centrum handlowego, ale było głośno!

– Z deszczu pod rynnę – skomentowała Kate, dość udanie imitując akcent Delroy.

Maggie wyciągnęła rękę i odsunęła koleżankę na bok, dając jej jasno do zrozumienia, żeby się nie odzywała.

– Ktoś z nich ma broń?

– Sir She nie ma, ale powinnyście uważać na spasionego gościa, który dla niego pracuje. Jest wielki jak wieloryb i ma nierówno pod sufitem. Zresztą słyszałam, że obaj mają żółte papiery, ale ten grubas jest naprawdę kompletnie popieprzony.

Delroy spojrzała znacząco na Kate.

– Na dodatek jest uprzedzony do białych kobiet. Delikatnie mówiąc, nie darzy ich sympatią. Tym razem wcale nie żartuję, owieczko.

Watson również skierowała wzrok na Kate.

– Lubi za to robić z nich siekane kotlety. Nosi przy sobie nóż sprężynowy i zanim zdążysz się zorientować, nie masz już połowy twarzy.

Kate prawie się wzdrygnęła, ale jakoś udało jej się opanować.

– Ma pistolet? – zapytała Maggie.

Watson wzruszyła ramionami.

– Już mówiłam, nie znam gości. Są nowi. Przyjechali do miasta jakieś pięć, może sześć miesięcy temu.

– Jakoś nie miałyśmy czasu się z nimi przywitać – powiedziała Delroy.

– Ale dużo o nich słyszałyśmy – dodała Watson. – Same nieprzyjemnie historie. Choć na swój sposób ciekawe.

– Okay. – Maggie skrzyżowała ręce na piersiach i czekała.

Watson patrzyła na Delroy, a Delroy na Watson.

– Sir She opiekuje się starymi dziwkami pracującymi przy Whitehall – powiedziała Watson.

– Tam, gdzie zginął Don Wesley – dodała Delroy.

– I gdzie ledwie uszedł z życiem brat Lawson – przypomniała partnerce Watson. – Ona szuka dziewczyny, która mogła coś widzieć. Pewnie liczy, że jak ją przydusi, to puści farbę.

– Bez zgody alfonsa żadna dziwka nie będzie chciała gadać.

Czarnoskóre policjantki znowu wymieniły spojrzenia. W końcu Watson skinęła głową, a Delroy powiedziała:

– Dajcie nam czas do lunchu. Postaramy się, żebyście mogli bezpiecznie wjechać do CT. Prosto na Huff Road i z powrotem. Tylko tyle jesteśmy w stanie zagwarantować.

– Umowa stoi – powiedziała Maggie, ale nie uznała za stosowne im podziękować. – Co chcecie w zamian?

Watson była na to przygotowana.

– Dwa dni temu zgwałcono w centrum miasta czarną dziewczynkę. Była dręczona przez całą noc. Ma trzynaście lat. Wylądowała na oddziale ratunkowym szpitala Grady’ego. Musieli jej założyć szwy. Podejrzewamy, że zrobił to ktoś od was.

– Mam siostrę w tym wieku. – Maggie szturchnęła Kate, żeby zaczęła robić notatki. – Macie rysopis?

– Lepiej, wiemy jak się nazywa. Lewis Windall Conroy Trzeci. Dwadzieścia jeden lat. Studiuje na politechnice stanowej. Pochodzi z Berwyn w stanie Maryland i z naszych informacji wynika, że był już tam oskarżony o napaść na tle seksualnym na czternastolatkę, ale tatuś zatuszował sprawę.

Kate jeszcze nie widziała, żeby Maggie była czymś zaskoczona, ale teraz gapiała się na Watson z otwartymi ustami.

– Zgubił ubranie?

– Dlaczego o to pytasz?

Maggie milczała.

Watson wyjęła z tylnej kieszeni spodni gruby brązowy portfel i podała go Maggie.

– Ten kutas musiał być nieźle naćpany. Zostawił ciuchy na podłodze, założył płaszcz babci tej biednej dziewczynki i tak ubrany wyszedł na ulicę.

Maggie zaczęła myszkować w portfelu w poszukiwaniu prawa jazdy. Gdy je znalazła, wbiła wzrok w zdjęcie.

– Cholera.

Kate spojrzała jej przez ramię. Na fotografii zobaczyła studenta z okrągłą twarzą i rozwichrzoną blond czupryną.

– Wiedziałam, że coś z nim jest nie tak – powiedziała Maggie. – Zatrzymałam tego dupka wczoraj rano, ale nie miałam żadnych podstaw, żeby wsadzić go na dołek.

– Teraz już masz.

Maggie przejrzała resztę zawartości portfela. Było tam zdjęcie starszej pary, najprawdopodobniej jego rodziców, oraz legitymacja studencka Georgia Tech.

– Ojciec dziewczynki zabrał pieniądze – wyjaśniła Watson.

– Nie odkupi jej za to dziewictwa, ale będzie mógł chociaż zapłacić za środki przeciwbólowe – dodała Delroy.

– Nie tego szukam. – Maggie włożyła do kieszeni legitymację i prawo jazdy. – Są tam jeszcze dwie karty kredytowe. – Podała portfel swojej czarnoskórej koleżance.

Delroy wyraźnie się to nie spodobało.

– On nie jest złodziejem – powiedziała.

Maggie odłożyła portfel na jedną z półek.

– Dorwiemy go. Dziewczynka będzie zeznawać?

Watson i Delroy równocześnie wybuchnęły śmiechem.

– Czego ode mnie oczekujesz, Del? Nie mogę go bez powodu aresztować.

– Znajdź coś – oznajmiła Delroy. Kate usłyszała w jej głosie irytację. – Jeśli masz jakieś wątpliwości, to pofatyguj się do szpitala i spróbuj wyjaśnić ofierze, dlaczego nie może normalnie sikać, dopóki lekarze nie zdejmą jej szwów. Dam sobie rękę uciąć, że zrobisz wtedy wszystko, żeby ten pojebany pedofil dostał za swoje.

– Okay, zgoda – przytaknęła Maggie. – Ale jego tatuś jest chyba nieźle ustawiony. Nawet jak zamknę tego studencinę, to wyjdzie na wolność po maksymalnie dwudziestu czterech godzinach.

Watson znowu spojrzała na Delroy. Kate zastanawiała się, czy to przypadkiem nie telepatia.

– Wystarczy, jak dostarczysz go do naszej części miasta – powiedziała Delroy. – A my zajmiemy się resztą.

– Dobrze. – Maggie nie wyglądała na zaniepokojoną tym, co może czekać gwałciciela. – Pogadam ze swoimi ludźmi i zostawię kartkę z informacjami w twojej szafce.

– Umowa stoi.

Delroy zwróciła się do Kate:

– A ty, owieczko, zawsze patrz pod nogi.

Spotkanie dobiegło końca. Nikt nie miał zamiaru wymieniać szampowych uwag o pogodzie ani pytać o zdrowie rodziców. Maggie dała znak głową, żeby Kate otworzyła drzwi. Wyszły z pomieszczenia gospodarczego, ale zamiast zejść po schodach, Maggie skierowała się w głąb korytarza. Zatrzymała się nagle i Kate niemal na nią wpadła.

Maggie odwróciła się i zawołała:

– Del, znasz może bar Dabbler's?

Obie Murzynki zaniósły się śmiechem.

– Dabbler's? Chyba do reszty zgłupiałaś, dziewczyno – krzyknęła Delroy.

Schodziły po schodach, śmiejąc się głośno.

– Jedziemy spotkać się z Kirke? – zapytała żartobliwym tonem Kate.

Maggie nawet nie zareagowała na dowcip.

– Nie słyszałaś, co powiedziały? Mamy przynajmniej cztery godziny, zanim dostaniemy pozwolenie.

– Pozwolenie na co?

Maggie zignorowała pytanie i zaczęła iść wzdłuż korytarza. Kate nie miała wyboru i zrobiła to samo. Starła się dotrzymać kroku koleżance, ale w zbyt dużych butach przychodziło jej to z ogromnym trudem.

– Schowaj notes. – W głosie Maggie znowu pojawiło się rozdrażnienie.

Kate pstryknęła długopisem, zamknęła notes i schowała oba przedmioty do kieszonki z przodu koszuli.

– Pamiętaj, żeby nic nie pisać o tym gwałtocielu w raporcie.

– Dlaczego?

– Bo nie mamy nakazu aresztowania ani żadnych dowodów.

– Nie przeszkadza ci to?

– A tobie nie przeszkadza, że dorosłemu facetowi może ująć na sucho zgwałcenie trzynastolatki?

Kate nie wiedziała, co powiedzieć. To nie była filozoficzna dyskusja prowadzona przy obiedzie. Chodziło o mężczyznę z krwi i kości, który naprawdę skrzywdził niewinną dziewczynkę.

– Zawsze trzymaj notes w tylnej kieszeni spodni. W lecie spirala może pobrudzić ci koszulę, a trudno to doprać – powiedziała Maggie.

Kate nie skomentowała faktu, że Maggie sama trzymała swój notatnik w kieszonce z przodu koszuli. Postawiła rozluźnić atmosferę i zażartowała:

– Myślisz, że w lecie nadal będę pracować w policji?

Maggie milczała.

– Dabblers to ten bar z pudełka zapalek, prawda?

Znowu cisza.

Kate doszła do wniosku, że w tej sytuacji może pytać o wszystko.

– Skąd znasz te dwie Murzynki?

– Ze szkoły wieczorowej.

– Z college'u? – Kate usłyszała zdziwienie w swoim głosie. – Chodzi mi o...

– Odpowiedziałyśmy na to samo ogłoszenie wydrukowane na ostatniej stronie komiksu, tam, gdzie rysowało się żółwie.

– Nie to miałam na myśli.

Maggie wciąż milczała. Doszły do następnych schodów, również marmurowych, ale znacznie bardziej okazałych. Maggie zaczęła po nich schodzić, biorąc po dwa stopnie naraz.

Kate musiała trzymać się poręczy, żeby dotrzymać jej kroku. Wreszcie nie wytrzymała. Nie mogła przez kolejny dzień być traktowana jak źle wytresowany szczeniak.

– Zatrzymaj się. Proszę.

Maggie stała na dole i patrzyła na zegarek.

– Co zrobiłam źle? – Kate zdawała sobie sprawę, jak głupio brzmi to pytanie. – Znaczący, wiem, że wszystko robię źle, ale czy coś szczególnie cię wkurzyło?

Maggie zachowała kamienną twarz.

– Chodzi o ten przydomek? O owieczkę? – Kate zrozumiała, że być może nie jest jedyną osobą, którą to obraża. – Przepraszam. Powinnam biec normalnie i nie zwracać uwagi na sprzęt. Następnym razem będę o tym pamiętać.

– Przydomek – powtórzyła Maggie wyraźnie rozbawiona tym słowem i spojrzała na stopy Kate. – Jaki nosisz numer?

– Czterdzieści – skłamała, ale po chwili zrozumiała, że w tej sytuacji powinna powiedzieć prawdę. – Czterdzieści dwa.

– Możesz pożyczyć stare buty Jimmy'ego. Będą lepsze niż te, które masz na sobie. – Skinęła głową w kierunku drzwi. Ten gest zaczynał przypominać tik nerwowy. – Dostaniesz je, jak będziemy przejeżdżać koło mojego domu, ale nie zaproszę cię do środka.

– Twojego domu?

– Tak, mojego domu. Tam, gdzie mieszkam razem z bratem. – Zwracała się teraz do Kate jak do dziecka. – Zabierzemy stamtąd buty, a potem pojedziemy do knajpy na Moreland Avenue. Za pół godziny mamy się tam spotkać z Jimmym. Mniej więcej do lunchu będziemy wspólnie przeglądać akta. Następnie weźmiemy Gail do Cabbage Town. Będzie naszym wsparciem, a do tego czasu może nauczysz się wiązać sznurówki.

Kate nie wiedziała, o co powinna najpierw zapytać.

– Jakie akta?

Nie uzyskała jednak żadnej odpowiedzi. Wpatrywała się w plecy Maggie, która szła przez pusty hol w kierunku szklanych drzwi. Kate miała dwie możliwości: albo iść za Maggie, albo wskoczyć jej na plecy i zacząć okładać pięściami.

Przez kilka chwil napawała się tą drugą możliwością. To była naprawdę kusząca wizja. Mimo to po raz kolejny podążyła za Maggie.

Kate nigdy wcześniej nie była w dzielnicy Cabbage Town. Wiedziała jedynie, że nie należy jej mylić z Colored Town, czyli kolorowym miastem. Cabbage Town leżało w południo-wschodniej części Atlanty, po drugiej stronie torów kolejowych. Kate uważała, że lepiej omijać tę okolicę szerokim łukiem. Pełno tam było opuszczonych domów i fabryk, które popadły w ruinę. Podejrzewała, że winę za taki stan rzeczy, jak zwykle, ponoszą zapaść w przemyśle naftowym, wysokie bezrobocie i największy krach giełdowy od czasów wielkiego kryzysu. Można było odnieść wrażenie, że za linią kolejową nie działają służby publiczne: z kontenerów wysypywały się śmieci, a w drogach pełno było dziur. Właśnie w tej dzielnicy mieszkali Lawsonowie. Ludzie z tej części miasta byli pozostawieni sami sobie.

Przez otwarte okno Kate patrzyła na ogromne magazyny z czerwonej cegły i sięgające nieba, kruszące się kominy. Z trudem odczytywała wyblakłe napisy wymalowane farbami na ścianach. Zastanawiała się, czy tam, gdzie widniało słowo „National”, mieściła się kiedyś fabryka ołówków, w której pracował Leo Frank. Sześćdziesiąt lat temu ten przemysłowiec żydowskiego pochodzenia został niesłusznie skazany za zamordowanie młodej dziewczyny. Przed wykonaniem wyroku doszło jednak do samosądu. Tłum wdarł się do więzienia, wyciągnął Franka i powiesił na drzewie. Zrobiono zdjęcia, na których widać wiszące bezwładnie ciało. Fragmenty jego ubrań były potem sprzedawane jako pamiątki. W linczu wziął udział między innymi były gubernator stanu, emerytowany sędzia sądu okręgowego i kilku policjantów, którzy nigdy nie zostali pociągnięci za to do odpowiedzialności i prawdopodobnie z radością przyglądali się konsekwencjom swoich działań: z Georgii wyjechało wtedy w popłochu około trzech tysięcy Żydów.

Kate poznała historię Lea Franka już w dzieciństwie. To była jedna z lekcji z cyklu „jak próbowali nas zabić / jak udało nam się przetrwać”. Bardzo możliwe, że po raz pierwszy słyszała tę opowieść w synagodze razem z Philipem Van Zandtem. Zanim się wyprowadził, chodzili do tej samej klasy, ale w zasadzie aż do pamiętnej gry w butelkę nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Był po prostu jednym z tych niezdarnych, pryszczatych chłopców, którzy kryli się po kątach.

I nie miała nic przeciwko temu, żeby tak zostało. Przecież jeszcze nie zwariowała. Powinna przyjąć, że wydarzenia ostatniego wieczoru to wynik chwilowej utraty zdrowego rozsądku. Była zmęczona, miała niskie poczucie własnej wartości i dała się łatwo podejść. Była córką psychiatry i czytała sporo Freuda. Zachowała się niedojrzale – to najlepsze określenie tego, co wydarzyło się w kuchni. Jest przecież dorosłą kobietą. Na dodatek wdową. A Philip ma żonę i wkrótce chciał zostać ojcem. Poza tym dał Kate wyraźnie do zrozumienia, że jego zdaniem nadaje się tylko do jednego.

Wcale nie miała zamiaru pukać do jego cholernych drzwi. Niech sam sobie puka, jeśli ma na to ochotę.

Koła radiowozu zadudniły na moście biegnącym nad autostradą I-20. Ruch o tej porze był niewielki. Za kierownicą siedziały głównie kobiety, które jechały na zakupy albo wracały po odwiezieniu dzieci do szkoły. Kate spojrzała w dół.

Maggie odezwała się po raz pierwszy, od kiedy wyszły z komendy.

– Autostrady biegnące ze wschodu na zachód mają numery parzyste, a biegnące z północy na południe nieparzyste.

Kate nie miała pojęcia, o czym jest mowa, ale zaczęła potakiwać.

– Drogi międzystanowe oznaczone są trzycyfrowymi liczbami. Jeśli to obwodnica, pierwsza cyfra jest parzysta, a jeżeli trasa dojazdowa: nieparzysta. Gdy liczba jest podzielna przez pięć, oznacza to, że mamy do czynienia z jedną z głównych arterii komunikacyjnych kraju.

– Fascynujące.

– Musisz wiedzieć takie rzeczy. Co zrobisz, jak będziesz ścigać podejrzanego po autostradzie?

Kate wyglądała przez okno tęsknym wzrokiem. Radiowóz jechał za szybko, żeby można było z niego bezpiecznie wyskoczyć.

– Znasz kody radiowe?

Kate westchnęła tak głośno, jak tylko potrafiła, i zaczęła recytować:

– Kod dwadzieścia cztery: osoba obłąkana. Kod dwadzieścia osiem: pijany. Kod trzydzieści: jazda w stanie nietrzeźwym. Kod czterdzieści dziewięć: gwałt. Pięćdziesiąt: strzelanina. Pięćdziesiąt jeden: napad z użyciem noża. Sześćdziesiąt trzy...

– Okay, wystarczy. – Maggie skręciła w boczną uliczkę. Kate zauważyła, że domy były tu okazalsze, choć czasy ich świetności już dawno minęły. Zobaczyła kilka budynków z okresu wiktoriańskiego, mignęło jej parę rezydencji w stylu królowej Anny oraz sporo stojących wzdłuż szerokich ulic parterowych domków w stylu rzemieślniczym.

– Jak się nazywa ta dzielnica? – zapytała Kate.

– Grant Park.

Kate była już kiedyś w tej części miasta, gdy pojechała z klasą na wycieczkę do zoo, które było jednym z najbardziej przygnębiających miejsc, jakie w życiu widziała. Zwierzęta żyły w strasznych warunkach. Zapamiętała goryla, który siedział w betonowej klatce i całymi dniami oglądał w telewizorze opery mydlane.

Wyglądając przez okno, Kate doszła do wniosku, że ludziom nie wiedzie się tu wcale lepiej. W Grant Park panowała podobna atmosfera jak w Cabbage Town. Zabite deskami okna. Zarośnięte podwórka. Samochody bez kół, oparte na ceglach.

– Zupełnie jak na Buckhead, prawda? – powiedziała Maggie.

Kate nie potrafiła ocenić, czy był w tym sarkazm, czy nie.

Maggie zwolniła, skręciła w najbliższą przecnicę i zatrzymała auto przed obszerną rezydencją w stylu wiktoriańskim. Na twarzy Kate pojawił się uśmiech. Ten budynek przypominał jej dom dla lalek, który dostała w prezencie od ojca. Jasnoniebieskie deskowanie. Śnieżnobiałe wykończenie z czarnymi ramkami ozdobnymi wokół okien. Dla kontrastu ciemnoniebieskie woluty i kopułki. Wreszcie panoramiczna weranda i francuski balkon nad okazałym portykiem.

– Jest piękny.

– Tak. – Maggie pokiwała głową. – Mam niestety niefort mieszkając w tej ruderze obok. – Otworzyła drzwi. – Ty zostajesz w samochodzie.

Kate wcale nie protestowała. Patrzyła, jak Maggie idzie w kierunku swojego domu. Był solidnie zbudowany – to jedyna pozytywna rzecz, która przychodziła jej do głowy. Poza tym wszystko się sypało. Spora wieżyczka wyglądała niczym jakaś narośl. Większość okien zakryta była plastikową folią. Z drewnianych powierzchni schodziła farba, kruszyły się fundamenty, a nad podjazdem rozpościerała się brzydka metalowa wiata, pod którą zmieściłaby się przyczepa kempingowa.

Kate usłyszała trzaśnięcie drzwiami. Z ładniejszego domu wyszedł tyczkowaty mężczyzna w dresie. Był mniej więcej w jej wieku. Na głowie miał opaskę, a na nogach białe adidas. Zszedł ze schodów i zaczął się rozciągać. Wyglądał jak ktoś, kto uprawia jogging. Kate widziała w parku dziesiątki ludzi w podobnych strojach. Na szyi miał łańcuszek z wisiorkiem. Mężczyzna co chwilę spoglądał przez ramię w kierunku domu Lawsonów. Kate nie była pewna, czy jest zdenerwowany, czy po prostu czegoś wypatruje.

– Hej, dupku! – wrzasnął Jimmy. Kate założyła, że te słowa były skierowane do sąsiada. Jimmy szedł po werandzie, wyraźnie utykając, a zranione ramię trzymał sztywno przy boku. – Zajmij się swoimi sprawami!

Sąsiad udawał, że nic nie słyszy, i zaczął biec wzdłuż podjazdu, zginając ręce w łokciach. Tak to się właśnie robi, pomyślała Kate.

– Murphy! – krzyknął do niej Jimmy. – Pomóż Rickowi.

Kate nie miała pojęcia, o kogo chodzi, ale wysiadła z samochodu. Delroy i Watson nie byłyby z niej zadowolone. Była tak pochłonięta tym, co działo się przed nią, że zupełnie zapomniała o tyłach. Tymczasem na ulicy zatrzymał się jeszcze jeden radiowóz. Umundurowany mężczyzna otwierał właśnie tylne drzwi. Był wysoki, miał gęste wąsy i włosy tak czarne jak skórzane rękawiczki na jego dłoniach. Na tylnym siedzeniu leżało przynajmniej pięć pudeł z dokumentami.

– Rick Anderson – powiedział nieznajomy. Kate zdała sobie sprawę, że oprócz Maggie był do tej pory jedynym gliniarzem, który uznał za stosowne się przedstawić. Co dziwniejsze, podał jej rękę.

– Kate Murphy. Miło pana poznać, panie Anderson.

Wyglądał na zawstydzonego.

– Wszyscy mówią do mnie Rick.

– Bierz pudełka – syknęła Maggie, która nagle pojawiła się za ich plecami. Wyglądała

na naprawdę wkurzoną. – Będziemy przeglądać te papiery u nas w domu.

Kate nawet nie zapytała o szczegóły, ponieważ wiedziała, że i tak nie uzyska żadnej odpowiedzi. Chwyciła jedno z pudeł. Maggie wzięła dwa następne, a Rick resztę i jeszcze dwie torby z napisem „Dowody”.

– Ładnie dzisiaj wyglądasz, Maggie – powiedział Rick.

– To wszystko? – zapytała go Maggie.

– Więcej nie znalazłem.

Maggie zwróciła się do Jimmy’ego:

– Myślałam, że zajmiemy się tym w knajpie.

– Skoro tu jesteśmy, chyba nie ma sensu wozić tych papierów po całym mieście.

Maggie była już na werandzie. Nie otworzyła jednak drzwi, tylko wpatrywała się w sąsiada biegnącego wzdłuż ulicy.

– Na co się gapisz? – zapytał ją Jimmy.

– Na swojego brata idiotę – odpowiedziała i weszła do środka.

Kate nie za bardzo wiedziała, o co chodzi w tej rozmowie. Ostrożnie wspięła się po schodach, starając się nie potknąć na jednym z przegniłych stopni. Rick szedł znacznie pewniejszym krokiem, pokonując po dwa schodki naraz, a potem stanął w progu i przepuścił Kate.

W korytarzu unosiły się smugi dymu papierosowego, wyglądające jak dłoń jakiegoś dzina zapraszającego gości do środka. Kate wbiła wzrok w podłogę, starając się przyzwyczaić do ostrego zapachu. Miała załzawione oczy i poczuła pieczenie w gardle. Uznała jednak, że wykorzystała już dzienny limit kolizji i podniosła głowę.

Kiedy zobaczyła wewnątrz domu, przyszło jej na myśl jedno słowo: przygnębiające. Wszystko było ciemnoszare: ściany, sufity i elementy wykończenia. Drewniane podłogi znajdowały się w opłakanym stanie. Oświetlenie składało się prawie wyłącznie z nagich żarówek. Meble wyglądały jak przeniesione żywcem z serialu *All in the Family*. Żółto-pomarańczowa kanapa, brzydkie krzesła z regulowanymi oparciami, niski stolik z wypalonymi dziurami.

– Moja panno! – Jimmy stał w korytarzu i gapił się na jej piersi. – Wczoraj też miałaś takie bufory?

Kate podniosła wyżej pudło i zalała się rumieńcem, jednak nie z powodu, o którym wszyscy pomyśleli. Po prostu nie była w stanie patrzeć na Jimmy’ego i nie myśleć o zdjęciu rentgenowskim, które pokazał jej wczoraj Philip.

– Postaw to tutaj. – Maggie siedziała za stołem w jadalni. Mimo ogromnych tafli szkła sięgających od podłogi do sufitu również w tym pomieszczeniu panowała atmosfera jak w grobowcu. – Oświetlenie jest do dupy, a okien nie da się otworzyć – powiedziała Maggie, stwierdzając coś oczywistego.

Kate starała się znaleźć w tym wszystkim jakiś pozytyw.

– Anaglypta jest w doskonałym stanie. – Poczwała na sobie wzrok wszystkich zebranych.

Powtórzyła w myślach to, co przed chwilą powiedziała i uznała, że sama na to zasłużyła. – Mam na myśli tapetę. – Skinęła głową w kierunku ściany ozdobionej papierem o wypukłym wzorze.

– Ojciec wszystko zamalował – wyjaśnił Jimmy.

– Tak to się właśnie robi. – Po tych słowach atmosfera zrobiła się naprawdę gęsta. – Może po prostu będę siedzieć cicho.

– Uwielbiam słyszeć takie słowa z ust kobiety. – Jimmy pokuśtykał wokół stołu. Był ubrany w czarne spodnie i białą koszulę z zawiniętymi rękawami. Rozpięty kołnierzyk miał mniejsze wyłogi, niż było to obecnie w modzie. Kate nigdy nie spotkała geja, który nie ubierałby się elegancko. Zastanawiała się, czy Philip przypadkiem jej nie oszukał. Z pewnością lubił ją szokować, ale nie miał chyba żadnego powodu, żeby kłamać akurat w tej kwestii.

– Siadaj. – Maggie wskazała na krzesło po drugiej stronie stołu. Miała przed sobą otwartą teczkę, a obok jej łokcia leżały żółty notatnik i długopis.

Kate zauważyła, że koleżanka powiesiła swój pas na oparciu krzesła, więc zrobiła to samo. Ogarnęło ją uczucie niebywalej lekkości, ale postanowiła nikogo o tym nie informować.

– Nie odłączajcie mikrofonów – mruknęła Maggie znad dokumentów.

Kate usiadła i położyła nadajnik na kolanach. Rick i Maggie mieli ściszone radia, więc z głośników dobiegały tylko trzaski zakłóceń, do których Kate przyzwyczała się już tak bardzo, że na dobrą sprawę ich nie rejestrowała.

Rick zdjął rękawiczki.

– Maggie ma Ballarda i Johnsona, a ty zajmiesz się Keenem i Porterem.

Kate sięgnęła po teczkę, którą dostała od Maggie, chociaż nie miała bladego pojęcia, czego od niej oczekują.

– Zapisuj wszystko, co wyda ci się podejrzane – poinstruował ją Jimmy.

– Dobrze. – Kate wciąż nie wiedziała, o co chodzi, ale czuła, że lepiej będzie przytakiwać.

Maggie podała jej notatnik, a Kate wyjęła z kieszeni długopis. Uznała, że na razie może po prostu coś gryzmolić, a potem najwyżej ktoś na nią nawrzeszczy.

– Podzielimy się pracą z dziewczynami – powiedział Rick, kładąc kolejne teczki przed Jimmym. – Protokół zabezpieczenia dowodów w sprawie Keana i Portera, raporty policyjne, wykaz zgłoszeń z dyspozytorni. – Wziął do ręki pozostałe dokumenty. – Ja się zajmę Ballardem i Johnsonem. Dzięki temu szybciej skończymy.

– Nie lubię szybko kończyć – zachichotał Jimmy.

Maggie spojrzała na niego groźnie.

– Zamknij się.

Kate poczuła, że znowu się czerwieni. Zupełnie nie wiedziała, co robić, więc otworzyła leżącą przed nią teczkę. Kiedy zobaczyła pierwszą fotografię, żołądek podszedł jej do

gardła. Zbliżenie twarzy martwego mężczyzny. W każdym razie założyła, że facet nie żyje: miał otwarte oczy, przyprószone siwizną włosy rozdzielone pośrodku przedziałkiem i niemal idealnie okrągłą dziurę na czole.

– Nigdy wcześniej nie widziałaś trupa? – zapytał Jimmy, dając jej kuksańca.

– Na pewno widziała. – Ton głosu Maggie świadczył, że wciąż była wściekła. – Na przykład Jezusa.

– Mój Boże, dziewczyno! – Jimmy odchylił się na krześle. – Co w ciebie wstąpiło?

– Mieliśmy to robić w knajpie.

– No i co z tego? – Rzucił w siostrę długopisem i zaczął się bujać.

Kate wzięła do ręki następne zdjęcie, przedstawiające kolejnego mężczyznę z dziurą w głowie. W akademii pokazywali jej tylko czarno-białe fotografie, czasami nawet kserokopie, które w ogóle nie przypominały leżących teraz na stole kolorowych odbitek Kodaka.

– To Porter? – zapytała ją Maggie.

Kate odwróciła zdjęcie. „Porter, Marcus Paul”. Nazwisko wydawało jej się znajome, ale nie potrafiła sobie przypomnieć, w jakich okolicznościach się z nim zetknęła.

– Tak, Porter – potwierdziła.

– Kiedy zginął?

Kate przez chwilę zastanawiała się, jak ma odpowiedzieć na to pytanie. Chociaż odbitki, które widziała podczas szkolenia, były podłej jakości, niewątpliwie czytała gdzieś raport policyjny w tej sprawie. Zaczęła grzebać w teczce i po chwili znalazła to, czego szukała.

– Dwunastego września. – Dwa dni przed rocznicą śmierci Patricka. To wystarczyło, żeby przypomniawszy sobie pozostałe fakty. Dwunastego września dwóch policjantów zostało zamordowanych na tyłach domu towarowego. Przypominało to egzekucję.

Kate przeczytała nazwiska wypisane na pudełkach: Mark Porter, Greg Keen, Alex Ballard, Leonard Johnson. Teraz wszystko stało się jasne. Czytała o tym przecież w gazetach.

Przyjechali do domu Lawsonów, żeby przejrzeć akta zamordowanych policjantów.

Maggie pstryknęła długopisem i zaczęła robić notatki. Nie przerywając, zwróciła się do Kate:

– Ballard i Johnson. Kiedy zginęli? Trzy tygodnie wcześniej?

Kate również wzięła do ręki długopis i zapisała nazwiska ofiar oraz datę ich śmierci. Potem znalazła w teczce sprawozdanie koronera.

– W obu wypadkach przyczyną śmierci był strzał w głowę.

– Zaczynaj od podstawowych informacji. – Maggie narysowała tabelkę, więc Kate zrobiła to samo. – Jeśli chcesz rozwikłać jakąś zbrodnię, najważniejsze są powiązania, na przykład między ofiarą a sprawcą.

U góry jednej kolumny Kate napisała „Porter”, a u góry drugiej – „Keen”.

– Nie ma czegoś takiego jak zbieg okoliczności – powiedziała Maggie, stukając palcami dla podkreślenia wagi swoich słów. – Zapisuj wszystko, co wyda ci się podejrzane. Nawet jeśli myślisz, że to głupie. Nie wstydz się.

– Tak – włączył się do rozmowy Jimmy. – Nie krępuj się, nawet jeśli to będzie naprawdę beeeznadziejne.

Kate obrzuciła go nienawistnym spojrzeniem. Siedział tak blisko, że czuła ciepło bijące z jego ciała. Nie rozumiała tego faceta. Skrywał w sobie mroczną tajemnicę i został wczoraj postrzelony. Na dodatek dwadzieścia cztery godziny wcześniej widział, jak zamordowano mężczyznę, który był prawdopodobnie jego kochankiem. Ten sam zabójca czyhał również na jego życie. Jak mógł siedzieć teraz spokojnie przy stole i stroić sobie żarty?

– Macie może piwo? – zapytał Rick.

Jimmy wstał i położył rękę na oparciu krzesła Kate. Potem oparł się o ścianę i kuśtykając, poszedł do kuchni. Zegar wiszący obok drzwi wskazywał kilka minut po dziewiątej.

Dla Kate nie miało to jednak żadnego znaczenia.

Zaczęła przeglądać teczki osobowe. Potrzebowała podstawowych informacji: data zatrudnienia, doświadczenie zawodowe, stan cywilny. Nie znalazła żadnych zeznań świadków, ale natknęła się na kilka notatek służbowych zrobionych podczas rozmów z rodziną i znajomymi.

– Z nim zawsze trzeba zaczynać wszystko od początku – powiedziała Maggie. Miała na myśli Jimmy’ego. W jej głosie słychać było rezygnację. – Niezależnie, co zrobisz i czym się wykazesz, następnego dnia on i tak o wszystkim zapomina.

– Jakby cierpiał na amnezję – dodał Rick.

Obie na niego spojrzwały.

– Przyczyną może być na przykład uraz głowy. – Rick podniósł się z krzesła. – Sprawdź, co u niego słychać.

Kate poczekała, aż Rick wyjdzie z jadalni.

– Czy możesz mi wyjaśnić, co my tutaj robimy?

– Miałyśmy pracować gdzie indziej.

Dopiero po dłuższej chwili Kate zrozumiała, o co chodzi. Maggie najwyraźniej wstydziała się swojego domu. I szczerze mówiąc, miała ku temu powody. Zamiast pogarszać sytuację i wygłaszać jakieś banały, Kate zapytała:

– Czego szukamy w tych dokumentach?

Maggie rozsiadła się wygodnie na krześle i wpatrując się w Kate, zaczęła stukać długopisem w blat.

– Moim zdaniem to Strzelec z Atlanty zamordował Dona Wesleya i próbował zabić Jimmy’ego. Wczoraj w nocy Jimmy przyznał mi rację, ale dziś uważa moją teorię za

idiotyczną.

Kate musiała się skupić, żeby połączyć to wszystko w jedną całość.

– Czyli Portera, Keena, Ballarda i Johnsona zabił właśnie Strzelec?

– Taki sam modus operandi. – Maggie przez chwilę się zawahała. – Modus operandi, czyli...

– Wiem, sposób działania sprawcy. Wszyscy zostali zamordowani zgodnie z takim samym scenariuszem.

– Właśnie. Musimy więc szczegółowo przeanalizować obie sprawy i porównać z tym, co się wydarzyło wczoraj w nocy. To znaczy z wersją, którą przedstawił nam Jimmy.

Kate modliła się, żeby nie zdradził jej wyraz twarzy. Znacznie lepiej niż Maggie zdawała sobie sprawę z tego, co tak naprawdę stało się w zaułku przy Whitehall.

– Don dostał dwie kule, prawda? A pozostałe ofiary tylko po jednej?

– Zgadza się – przytaknęła Maggie. – Ale jest więcej różnic. Ani Porter, ani Keen nigdy nie jeździli na patrolu z Johnsonem i Ballardem. Pracowali w tym samym rewirze, ale się nie kumplowali. Znacznie od nas sprytniejsi detektywi z dochodzeniówki przeglądali te papiery i nie znaleźli żadnego związku między ofiarami.

– A dlaczego mieliby znaleźć?

– Bo... – Maggie szukała przekonującego wyjaśnienia. – Załóżmy, że wszyscy walczyli w Wietnamie.

– Akurat moi walczyli.

– A moi nie. Ale jeśli tak było, to może należeli do klubu weteranów. Albo leczyli się w tym samym szpitalu. Albo wspólnie odbywali służbę. – Maggie wzruszyła ramionami. – Jeżeli udałoby nam się to ustalić, to moglibyśmy podejrzewać, że mają jeszcze innych wspólnych znajomych.

– Na przykład mordercę? – Kate wreszcie zrozumiała ten skomplikowany wywód. To właśnie dlatego Maggie ciągle pytała o bar, w którym Wesley dostał pudełko zapalek. – Mogliby również chodzić do jednej knajpy. To też jakiś związek.

– No właśnie. Ale Dabblers to nie jest miejsce uczęszczane przez gliniarzy. Inaczej już dawno ktoś by nam o nim opowiedział.

– Po raz pierwszy przyznałaś mi rację. – Kate nie pozwoliła, żeby Maggie zepsuła tę chwilę. – Nie można po prostu zadzwonić do biura numerów i zapytać o adres?

– To bardziej skomplikowane. Po pierwsze w Atlancie nie ma jednego biura numerów, a po drugie, żeby uzyskać taką informację, trzeba złożyć formalny wniosek. Jest jeszcze coś. Książka telefoniczna w pralni Salmeriego została wydana miesiąc temu. Moja zresztą też. Dlaczego więc nie ma w niej adresu tej speluny? Przecież morderstwa zostały popełnione wcześniej.

Kate kiwnęła głową.

– Słuszna uwaga. Tak więc przeglądamy papiery, żeby połączyć cztery pierwsze morderstwa ze śmiercią Dona Wesleya?

– Tak – powiedziała Maggie. – Czasami, gdy masz tylko dwie sprawy, trudno znaleźć jakieś punkty wspólne, ale przy trzech szanse rosną. Musimy jednak najpierw udowodnić, że wydarzenia ostatniej nocy to również robota Strzelca.

– A zrobimy to, znajdując coś, co łączy wszystkie morderstwa?

– Tak jest. Teraz kapujesz?

– Jasne, że kapuję.

– Czytasz książki?

– Tak.

Maggie stuknęła palcem w leżącą przed nią teczkę.

– Potraktuj to jak powieść kryminalną napisaną przez Michaela Crichtona albo Helen MacInnes. To fikcja, a naszym zadaniem jest rozwiązanie zagadki, zanim zrobią to inni.

Kate wolała co prawda Jacqueline Susann, ale z grubsza wiedziała, o co chodzi.

– Okay.

– Dobrze. – To był najwyraźniej koniec lekcji. Maggie pochyliła się nad dokumentami.

Kate zabrała się do lektury raportu policyjnego. Osoba, która go sporządziła, posługiwała się prawie wyłącznie kodami. Całe szczęście, że Kate wykuła na blachę wszystkie sygnały i kody APCO, czego dowodem był wcześniejszy popis przed Maggie.

Przewróciła kartkę i zaczęła notować.

Dwunastego września o około 3.15 nad ranem dyspozytornia odebrała anonimowy telefon (10–79). Dzwoniący poinformował o możliwym włamaniu (20) do domu towarowego Friedman's. Twierdził, że widział zamaskowanego mężczyznę, który usiłował wyważyć drzwi łomem. Centrala nie odebrała sygnału o włączeniu się instalacji alarmowej (10). Funkcjonariusze Greg Keen i Mark Porter potwierdzili przyjęcie zgłoszenia (10–4) i o godzinie 3.35 przybyli na miejsce (10–23). Wysiedli z radiowozu (50), żeby sprawdzić budynek. O 3.55 odwołali alarm (4) i poprosili o przerwę na posiłek (29). Uzyskali zgodę (10–4). O 4.45 dyspozytor poprosił o podanie bieżącego położenia (10–20). Policjanci nie odpowiedzieli (10–7), uznano więc, że nadal jedzą (29). Następnie dyspozytor trzykrotnie, o 5.00, 5.05 i 5.10, ponowił próbę kontaktu. Bez skutku. Jako możliwą przyczynę podał popsuty nadajnik (10–92). W końcu o 5.15 wysłano na miejsce funkcjonariuszy Pendletona i Carsona, którzy zaraz po przybyciu zameldowali, że policjanci nie żyją (63).

Kate jeszcze raz przeczytała notatkę, po czym u góry następnej strony napisała: „Dom towarowy Friedman's”. Podkreśliła te słowa dwa razy. Sklep mieścił się na Decatur Street. Jimmy Lawson i Don Wesley zostali zaatakowani w zaułku przy Whitehall. Obie ulice zaczynały się na Five Points.

To był jakieś związek. Zaczęła przeglądać sprawozdanie z sekcji zwłok. Nadal robiła notatki, chociaż nie była pewna, czy przydadzą się komuś oprócz niej samej. Tekst napisano zawiłym językiem, a Kate nie była przecież lekarzem. Rysunki niewiele pomagały, a koroner na dodatek strasznie gryzmołił.

Podobieństwa: ofiary miały brudne spodnie w okolicach kolan. Strzały padły z bliska. Kula trafiła w sam środek czoła. Na mniej więcej godzinę przed śmiercią obaj mężczyźni jedli hamburgery.

Różnice: paznokieć na środkowym palcu prawej dłoni Marka Portera był pęknięty aż do łożyska. Greg Keen miał krew w lewym uchu. Obcasy butów Portera były starte pod dziwnym kątem. Miał też rozwiązane sznurowadło w lewym bucie oraz wybite przednie zęby, ponieważ, najprawdopodobniej już po śmierci, upadł twarzą na bruk.

Kate przeszła do lektury zeznań członków rodziny, które zawierały głównie opowieści o tym, jak nieboszczycy łapali niezwykle groźnych przestępców. Przypominało to przechwałki wędkarzy na temat ryb, które rzekomo złowili, ale już po jednym dniu pracy w policji Kate podejrzewała, że być może było w tym więcej prawdy, niż mogło się wydawać. Keen lubił polowania. Porter nienawidził spędzać czasu na łonie natury. Obaj na samym początku wojny służyli w Wietnamie – Keen w marynarce, a Porter w piechocie. Ich kariery zawodowe nie wyróżniały się niczym szczególnym. Żaden nie miał specjalnych szans na awans, ale też nikt się na nich nie skarżył.

Kate pomyślała, że to strasznie przygnębiające – ich całe życie można było sprowadzić do kilku kartek papieru.

Jeszcze raz spojrzała na zdjęcia. Tym razem była lepiej przygotowana na to, co ją czeka. Wiedziała, w jaki sposób zginęli. Morderca kazał im uklęknąć, a potem oddał strzał z odległości zaledwie kilkunastu centymetrów.

Kate usiłowała wyobrazić sobie, jak to jest, gdy klęcząc, wpatrujesz się w lufę rewolweru. A potem zabójca naciska spust i widzisz pocisk opuszczający komorę. Aż zdrętwiała z przerażenia.

Obaj mieli żony, ale Keen żył w separacji. Ich obrączki zostały wymienione w sprawozdaniu koronera. Małżonki zgodnie oświadczyły, że byli dobrymi mężami i ludźmi honoru. Kto poinformował je o tragedii? Kto zapukał do ich drzwi?

Kate wiedziała, co wtedy czuły. Już sam wygląd posłańców wystarczył, żeby zorientować się, o co chodzi. Reszta to był teatr. Trzeba było powiedzieć: „Dzień dobry, w czym mogę panom pomóc?”, udając, że wszystko jest w porządku i nie pokazując, że żołądek podszedł ci do gardła.

– Coś się stało? – zapytała Maggie.

Kate pokręciła głową i z udawanym zapałem zabrała się do przeglądania zdjęć. Tylko kilka pierwszych fotografii było naprawdę odpychających. Zbliżenie tylnej części głowy ofiary. W czole kula zrobiła niemal idealnie okrągły otwór, ale wylot rany nie wyglądał już tak przyjemnie. Pęknięta czaszka i odłamki białej kości odróżniające się na tle krwawej pulpy z kawałkami mózgu i tkanki. W tych obrazach było coś nierzeczywistego. Kate zaglądała do środka ludzkiej głowy, ale jakiś wewnętrzny głos mówił jej, że to nieprawda.

W pewnej chwili na karku Marka Portera dostrzegła zadrapanie. Podniosła zdjęcie, żeby lepiej się temu przyjrzeć. Czy to ślad po paznokciu? Tak to w każdym razie wyglądało.

Pewnego razu, kochając się z Patrickiem, podrapała go dokładnie w tym samym miejscu. Następnego dnia śmiał się z tego, ale Kate była naprawdę przerażona.

Czy na szyi Marka Portera widać było ślady paznokci jego żony, czy też może w momencie oddania strzału zabawiał się ze swoim partnerem w taki sam sposób jak Don Wesley z Jimmym?

Pokręciła z niedowierzaniem głową. Mało wiarygodny zbieg okoliczności. To przecież Strzelec zgłosił włamanie do domu towarowego, żeby zwabić Portera i Keena. Jeśli dobrze pamiętała, w podręczniku nie było żadnej dyrektywy mówiącej, że przed odwołaniem alarmu należy zrobić loda swojemu partnerowi.

Na dnie teczki był jeszcze rysunek przedstawiający miejsce zbrodni. Kate zaczęła mu się z uwagą przyglądać. Grafik naprawdę się postarał. Koroner mógłby się od niego wiele nauczyć. Poszczególne przedmioty zostały naszkicowane pewną ręką. Każda rzecz, która leżała w promieniu piętnastu metrów od ciał, była oznaczona liczbą, a w rogu znajdowała się legenda. Kate rzuciła okiem na listę: niedopałki papierosów, odłamki szkła, igły, kwadratowe skrawki folii aluminiowej, wygięta srebrna łyżeczka, kluczyki do radiowozu zaparkowanego na ulicy, kawałek złamanego paznokcia.

Nieoczekiwanie przyszła jej do głowy pewna myśl. Uderzyła ją fala gorąca i musiała oprzeć głowę na rękach, żeby Maggie nie zauważyła, że coś jest nie tak. Jeśli Keen i Porter uprawiali seks oralny, a na miejscu zbrodni nie znaleziono żadnego śladu spermy, to gdzie należy jej szukać?

Ponownie wzięła do ręki sprawozdanie z autopsji. Zgięła kartkę, żeby Maggie nie zorientowała się, że czyta sekcję zatytułowaną „Genitalia”. Niestety, w wypadku obu mężczyzn koroner napisał jedynie: „Nic szczególnego”.

Wróciła do fragmentu opisującego treść żołądka. Obie ofiary miały w brzuchach częściowo strawione hamburgery i frytki, które zdaniem eksperta zostały skonsumowane na godzinę przed śmiercią. Nic więcej. Ale jeśli było coś jeszcze, to czy zostałyby to wymienione w raporcie? Czy w ogóle możliwe jest stwierdzenie obecności tego typu wydzielin w ludzkim żołądku?

– Poczekaj – powiedziała Kate.

– Co?

– Czy przed strzelaniną twoje ofiary coś jadły?

Maggie kiwnęła głową.

– Burgery i frytki.

– To ciekawe. Na krótko przed morderstwem Porter i Keen poprosili o przerwę na posiłek, ale koroner twierdzi, że tak naprawdę jedli godzinę wcześniej. – Kate pokazała Maggie oba sprawozdania. – Hamburgery i frytki.

– O tej porze tego rodzaju żarcie można dostać tylko w Golden Lady. To klub ze striptizem przy Peachtree Street. Stołują się tam wszyscy gliniarze z nocnej zmiany.

– Znowu jakiś związek. – Kate zapisała nazwę knajpy w notesie. – Dlaczego więc poprosili o przerwę, skoro nie byli głodni?

– Dlaczego w ogóle poprosili o przerwę? – doprecyzowała Maggie. – Za pracę w nocy dostaje się podwójną stawkę, więc nie opłaca się zgłaszać takich rzeczy. Poza tym i tak nikt cię nie sprawdzi, bo szefostwo w tym czasie smacznie śpi. – Skinęła głową w kierunku notatek Kate. – Masz coś jeszcze?

– Czy Ballarda i Johnsona zwabiono na miejsce zbrodni?

– Tak. Ktoś zgłosił włamanie, ale nie stwierdzono, żeby włączyła się instalacja alarmowa.

– U mnie dokładnie to samo. Kod dwadzieścia dziewięć?

– Ostatni raz skontaktowali się z dyspozytornią, żeby odwołać alarm i poprosić o przerwę na posiłek.

Kate czuła, jak jeżą jej się włosy na głowie.

– Zabójca kazał im klęczeć?

– Tak.

– Strzelił im prosto w czoło?

– Tak. Stał nad nimi w odległości piętnastu, może dwudziestu centymetrów z pistoletem wycelowanym w dół.

– Tak samo było w wypadku Keena i Portera.

– Kaliber sześć i trzydzieści pięć milimetrów?

– Tak – potwierdziła Kate. – Coś ciekawego na rysunku przedstawiającym miejsce zbrodni?

Maggie przerzuciła kilka kartek.

– Niedopałki papierosów, akcesoria używane przez narkomanów, porwane kobiece majtki. – Podniosła głowę i wzruszyła ramionami. – Taki zestaw można znaleźć w tym mieście na każdej ulicy.

– A kluczyki do samochodu?

Maggie znalazła odpowiednią stronę w notesie.

– Były w lewej przedniej kieszeni spodni Ballarda.

– Na moim rysunku leżą w odległości prawie pięciu metrów od ciała Marka Portera. Może wracał do radiowozu i trzymał je w ręku? – zasugerowała Kate.

– Zgodnie z procedurą trzeba założyć kółko na środkowy palec, żeby nie dało się ich łatwo wytrącić. – Maggie wyjęła własne klucze i pokazała, jak to się robi.

– Auto było zaparkowane za rogiem, jakieś piętnaście metrów dalej. – Kate wzruszyła ramionami. – Zawsze wydaję kluczyki, kiedy jestem znacznie bliżej samochodu, ale to tylko moje przyzwyczajenie.

– Powiedz mi, co widzisz. – Maggie położyła na stole zdjęcia przedstawiające ciała Ballarda i Johnsona. Tak jak w wypadku dwóch pozostałych ofiar mieli rozerwane czaszki. Leżeli na brzuchu, z szeroko rozrzuconymi ramionami i nogami ułożonymi pod dziwnym kątem. Dookoła walał się policyjny sprzęt. Przypięte do pasa nadajniki były obryzgane

krwią.

– Coś mi umknęło? – zapytała Kate.

– Przyjrzyj się uważnie.

Kate pochyliła się nad odbitkami i zaczęła je bacznie studiować, starając się znaleźć jakieś różnice. Przenosiła wzrok z jednego zdjęcia na drugie. Lewy but Ballarda, lewy but Johnsona. Prawy but jednego, prawy but drugiego. Doszła w ten sposób do nadajników.

– O!

– Teraz obejrzyj swoich.

Kate sięgnęła do teczki z dokumentami dotyczącymi Keena i Portera. Ciała zostały sfotografowane pod nieco innym kątem, ale zasadniczo na zdjęciach widać było bardzo podobną scenę: na ziemi leżało dwóch mężczyzn z ogromnymi dziurami z tyłu głowy. Kate dostrzegła ten sam szczegół co Maggie.

– Oni również mają odłączone mikrofony.

– Nie stało się tak przypadkiem.

– Nie – zgodziła się Kate. Z własnego doświadczenia wiedziała, że wtyczka z trudem wchodzi w gniazdo. Chodziło o to, żeby kabel mocno łączył nadajnik z mikrofonem.

Kate wpatrywała się w odbitki tak długo, aż rozboleły ją oczy. Coś jeszcze się tutaj nie zgadzało, ale nie była w stanie stwierdzić co.

– Zwróć uwagę na ich pozycję. – Maggie wskazała na obie fotografie. Każda z ofiar miała rozrzucone ramiona dokładnie pod tym samym kątem. – Kiedy kogoś aresztujesz, każesz mu spleść palce i założyć dłonie za głowę.

– Zgadza się. – Kate dobrze wiedziała, do czego zmierza jej koleżanka. Gdy klęczeli, impet kuli przechodzącej przez czaszkę rozerwał im ręce. – Myślisz, że Strzelec kazał im zgłosić u dyspozytora prośbę o przerwę, a potem odłączył mikrofony?

– Same się nie odłączyły.

– Ale w takim razie musieli podać kod dwadzieścia dziewięć. Pamiętajmy, że napastnik mierzył do nich z pistoletu. Dlaczego zatem nie wezwali pomocy? Sześćdziesiąt trzy? Strzelec by się przecież nie połapał. – Kate sama wyjaśniła tę wątpliwość. – Chyba że wiedział, co znaczą te liczby.

Przez chwilę obie się nad tym zastanawiały. Morderca znał kody, procedury i zasady panujące w policji.

– Jimmy? – krzyknęła Maggie, ale nikt nie odpowiedział, więc podniosła się z krzesła. – Gdzie on się do cholery podziewa?

Kate ruszyła w ślad za nią. Przeszły przez zawilgoconą kuchnię i wyszły na zewnątrz. Jimmy i Rick siedzieli pod wiatą na metalowych krzesłkach turystycznych. Terry Lawson i Bud Deacon opierali się o maskę brązowego chevroleta impala, za którego kierownicą spał, najwyraźniej kompletnie pijany, Jett Elliott. Chip Bixby i Cal Vick stali obok drewna ułożonego w sągi. Wszyscy trzymali w dłoniach piwo, nawet Jett, a na ziemi wały się puste puszki. Kate nie była wcale zdziwiona, że się kumplują. Pasowali do siebie. Byli

niezłymi dupkami, co z pewnością już za chwilę udowodnią.

Terry obrzucił Kate i Maggie przelotnym spojrzeniem, nie przerywając historii, którą właśnie opowiadał.

– I co się wtedy dzieje? Kennedy dostaje kulkę, a jego bratem komuchem w ogóle nie musimy się przejmować, bo robotę odwała za nas Arab z karabinem.

– Dobrze, że wiedział, jak się go używa. – Chip wypił łyk piwa. Kate zauważyła, że ma zdartą do mięsa skórę na knykciach. Zrobiło się jej niedobrze, ale nie z powodu rany. Podczas zajęć na strzelnicy Chip pokazywał, jak należy trzymać pistolet, obleśnie się o nią ocierając. Żaden prysznic nie był w stanie zmyć tego wspomnienia.

– Bez urazy, kochanie – zwrócił się do Kate. Przytknął zimną puszkę do zranionej ręki. Z jego palców leciała krew. – Wiem, że dla was te dranie z klanu Kennedych są prawie jak papież.

Kate nie wytrzymała.

– Nie pochodzę z Irlandii, tylko z Niderlandów.

– Jasne – burknął Cal Vick i zaczął znacząco chichotać, ale po chwili zaniósł się kaszlem.

– Spokojnie. – Chip uderzył go w plecy.

Terry wrócił do swojej opowieści.

– Moim zdaniem ludzie nie zdobywają władzy, tylko ją dostają. Popatrzcie, co się stało w tym mieście. Burmistrz Hartsfield sprzedał duszę za lotnisko i stadion. Potem przyszedł ten pieprzony parch Massel i uparł się, żeby budować metro.

– Żeby czarnuchy mogły sobie jeździć, dokąd chcą – wymruczał Chip.

Terry uniósł puszkę, wyrażając w ten sposób swoją aprobatę.

– Teraz za biurkiem siedzi Murzyn, który dopiero co zszedł z drzewa i dla niepoznaki założył trzyczęściowy garnitur. I co się dzieje? Strzelają do nas jak do kaczek. – Zwrócił się do Kate: – Nie było cię tu pół roku temu, kochana. Nie wiesz, jak to wszystko wyglądało.

– Pieprzony Spivey – wymamrotał Chip.

Edward Spivey. Kate знаła już to nazwisko.

Bud podniósł puszkę, żeby wygłosić toast.

– Za Duke'a Abbotta. Najlepszego policjanta, jaki kiedykolwiek pracował w tej jednostce. Nie zasłużył na to, co go spotkało.

– Za Duke'a – powtórzyli inni.

Terry odwrócił się i zapukał w przednią szybę radiowozu.

– Jett? Obudź się, ty ochlapusie.

Jett drgnął i głowa opadła mu na drugą stronę.

– Zostaw go. Niech się wyśpi. – Vick wypił piwo z głośnym siorbnięciem. – Chłopaki, słuchajcie. Dostałem telefon z Kalifornii. Spivey ciągle tam mieszka. Paru

zaprzyjaźnionych gliniarzy złożyło mu wczoraj wizytę. W nocy był na rekolekcjach w kościele. Widziało go przynajmniej dwadzieścia osób.

– Wierzysz im? – zapytał Bud.

Vick wzruszył ramionami.

– To fizycznie niemożliwe, żeby Spivey skoro świt wsiadł w samolot w Atlancie i był w Kalifornii, kiedy do jego drzwi zapukali funkcjonariusze.

– Biali czy czarni? – zapytał Chip.

Vick wytrzeszczył oczy.

– Sądząc po akcencie, biali, ale kto ich tam wie.

– Banda hippisów i ciot z Hollywood – wymamrotał Bud.

– Słuchajcie, Spivey się nie liczy. – Terry poklepał Buda po ramieniu. – Dorwiemy tego kutasa i usmażymy go jak kurczaka.

– Właśnie tak – potwierdził Vick, zupełnie ignorując fakt, że połowa jego oddziału zamiast szukać mordercy, siedziała pod wiatą i żłopała piwo.

– Złapiemy go i co? – powiedział Bud. – Znowu pojawi się jakiś adwokacina i ta gnida wyjdzie na wolność. Zginie następny policjant. A potem kolejny.

– Takie czasy, chłopaki – wtrącił się Vick. – Gdyby tym miastem rządzą porządni ludzie, gównem by nie wypłynęło.

– Święte słowa – powiedział Chip. – Kiedyś czarnuchy znały swoje miejsce.

– Wszyscy chodzili jak w zegarku – dodał Terry.

Kate z całych sił starała się zachować neutralny wyraz twarzy. Zastanawiała się, czy Leo Frank słyszał podobne rzeczy, zanim motłoch powiesił go na drzewie.

– Cholera. – Bud wsunął rękę za pasek. – Kiedy zaczynałem służbę, nie było Murzyna, który nie schyliłby głowy na mój widok. Teraz strasznie się rozpanoszyli. Wydaje im się, że to miasto należy do nich.

– I, do diabła, mają rację. – Terry rzucił pustą puszkę na podwórko sąsiada. – Co się tak krzywisz, maleńka?

Maggie stała z założonymi rękami.

– Muszę pogadać z Jimmym.

– O czym?

– O...

– O niczym – przerwał jej Terry. – Nie dlatego pozwoliłem ci zwać z odprawy, żebyś teraz przez cały ranek siedziała w domu z koleżanką.

– Ja chętnie z nią posiedzę – zaproponował Bud.

Chipowi głośno się odbiło. Wszyscy faceci zareagowali śmiechem oprócz Ricka Andersona, który spojrział na Kate przeprasząco i dokończył swoje piwo.

Jimmy rzucił puszkę na ziemię.

– Niderlandy – powiedział, wpatrując się w Kate. – Czyli Holandia, prawda?

– Prawda – rzucił Terry, zanim Kate zdążyła otworzyć usta. – W czterdziestym piątym stacjonowałem w Amsterdamie. Wszystkie dziewczyny wyglądały tak samo jak ona: wysokie blondynki z wielkimi cyckami. Leciały na żołnierzy. Wystarczyło palcem kiwnąć i już były twoje. Pytały: „Co mi za to dasz?”. – Wzruszył ramionami. – Bez urazy, laleczko.

– Nie ma o czym mówić – powiedziała, chociaż przed momentem Terry uznał jej matkę i babcię za dziwki.

– Ile dni broniliście się przed nazistami? Pięć? – zapytał Terry.

Kate przygryzła policzek.

– Spotkałem holenderskich marynarzy na Pacyfiku. – Chip zgniótł pustą puszkę i rzucił ją za siebie. – Pieprzone skurczybyki! W ciągu tygodnia zatopili więcej wrogich statków niż pozostali alianci razem wzięci. Angole uważali ich za prostaków, ale walić Angoli!

– Holendrzy wyłowili mojego brata z oceanu, ale niestety nie udało się odstawić biedaka do domu. – Terry usiadł na masce radiowozu i przez chwilę się zamyślił. –

Amsterdam był wtedy w ruinie. Wojna się skończyła, ale szwabskie bomby kompletnie zniszczyły miasto. Mieli cholernie precyzyjny sprzęt. Przechodziłeś koło jakiegoś domu, zaglądałeś do środka, a tam nic. Żadnych podłóg, żadnej stolarki, żadnych mebli. Tylko pusty szkielet z cegieł.

– To nie były bomby. – Kate zdawała sobie sprawę, że powiedziała to dość agresywnie, ale nie mogła się powstrzymać. – Niemcy odcięli zaopatrzenie i ludzie umierali z głodu. To była najsurowsza zima w historii. Wszystko poszło na opał.

Zanim skończyła, Terry zaczął kręcić głową.

– Kochana, ja tam byłem. Szkopy rozpirzyły bombami pół miasta.

– Nieprawda, to była *Hongerwinter* – powiedziała Kate, starannie wymawiając każdą sylabę. – Straciło wtedy życie ponad dwadzieścia tysięcy ludzi.

– Czytałam o tym. – Maggie spojrzała nerwowo na Kate. – Mówiła o tym w jakimś wywiadzie Audrey Hepburn. Mieszkała wtedy w Holandii.

– Przecież Hepburn jest Angielką, głuptasie. – Terry wziął następne piwo. – Jeśli interesuje cię głód, to powinnaś zobaczyć obozy koncentracyjne.

Bud coś wymamrotał, ale Kate udała, że tego nie słyszy.

– Więźniowie byli tak wychudzeni, że spod skóry wystawały im kości. Mieli nieprzytomne oczy, wypadały im zęby i włosy. Kobietom zwisały wysuszone piersi, a mężczyźni mieli skurczone penisy. – Otworzył piwo i odrzucił zawleczkę. – Błagali nas o jedzenie, ale nie wolno nam było ich karmić. Lekarze wbijali im igły w nadgarstki i podłączali specjalne butelki. Jak to się nazywa?

– Kroplówka – powiedziała Kate trzęsącym się głosem. Czuła, że ma miękkie nogi. Z największym trudem trzymała emocje na wodzy.

– Tak, kroplówka. – Terry wpatrywał się w puszkę z piwem. – Razem z kumplem widzieliśmy staruszkę, która skądś wzięła kawałek chleba. Próbowaliśmy ją powstrzymać,

ale go połknęła i dosłownie po dwóch sekundach dostała ataku i upadła. Na jej ustach pojawiła się piana. Lekarz powiedział, że po prostu pękł jej żołądek.

– Jezu – wymamrotał Rick. – A myślałem, że w Wietnamie było strasznie.

Bud splunął za ziemię.

– Naprawdę źle to było na Guadalcanal. Wietnam to przy tym bułka z masłem.

– Pełna zgoda. – Chip uniósł puszkę w geście aprobaty. – Wietnamce to nic w porównaniu z tymi skośnookimi pojebami z Japonii.

Rick wstał i wszedł do domu, zamykając za sobą drzwi.

Przez kilka chwil panowała cisza. Kate wbiła wzrok w popękany beton na podjeździe. Łzy zamgłyły jej oczy. Wyobraziła sobie swoją babcię leżącą na ziemi i łapiącą się za brzuch. A potem matkę, która żebrze o jedzenie. Terry to brutalny facet, ale bardzo obrazowo opowiedział o swoich przeżyciach. Kate czuła, że musi wziąć się w garść. Chciała zniknąć stąd jak najszybciej.

– Powinnyśmy wrócić do pracy – odezwała się do Maggie.

– Do pracy – powtórzył Terry. – To tym się zajmujesz? – zapytał bratanicę. Pociemniało mu w oczach, a w jego głosie pojawił się ostry ton. – Przeglądasz akta dotyczące Strzelca? – Uśmiechnął się szeroko, gdy zobaczył, że jego słowa zbiły Maggie z tropu. – Wiem, co knujesz, kochana. Namówiłaś Ricka, żeby pokazał ci te papiery, a cycki Holenderki miały odwrócić uwagę Jimmy’ego.

Kate poczuła smak krwi na języku. Nie da się sprowokować. Nie może sobie na to pozwolić.

– Myślisz, że trafisz na coś, czego nie znalazło dwudziestu profesjonalistów z dochodzeniówki? – zapytał Terry.

– Łatwiej prowadzi się śledztwo na trzeźwo – zaripostowała.

Rzucił w nią pustą puszką, ale w ostatniej chwili zrobiła unik. Metalowy pojemnik z hukiem uderzył w ścianę.

– No i mamy coś.

– Naprawdę? – zapytał drwiącym tonem. – Dawaj, twardzielko. Co wymyśliły dwie geniuszki?

Maggie się zawahała.

– Mikrofony były odłączone od nadajników.

Jimmy odwrócił się w ich stronę.

– Co takiego?

– Ktoś wyjął wtyczki z gniazdek.

Widać było, że Terry pierwszy raz o tym słyszy, ale mimo to zapytał:

– I co z tego?

– W obu wypadkach patrole po raz ostatni skontaktowały się z dyspozytornią, żeby prosić o przerwę na posiłek. Potem napastnik kazał im odłączyć nadajniki, pewnie po to,

żeby nie mogli wezwać pomocy.

– Dwadzieścia dziewięć? Na nocnej zmianie? – zapytał Jimmy.

Terry spojrzał na zegarek.

– I to są efekty waszej trzygodzinnej pracy? Odłączyli mikrofony i zrobili sobie przerwę? – Wybuchnął śmiechem. Dołączyli do niego Bud i Chip. – Pewnie poszli się wysrać. No nie?

Co ciekawe, Jimmy nie potraktował słów Maggie lekceważąco.

– Nie rozmawiał z nami. Morderca nic nie powiedział, tylko nacisnął spust.

– I przebił opony – dodał Terry. – Wcześniej tego nie robił. Zgadza się detektywie Colombo?

Kate widziała, jak z Maggie uchodzi cały entuzjazm. Kiedy pracowały w domu, była taka pewna siebie. Kate również czuła, że to, co robią, ma sens. Próbowwały coś osiągnąć, chciały się do czegoś przydać.

– Kochana, powinnaś wrócić do wystawiania mandatów za złe parkowanie. – Terry otworzył następne piwo. – Pobuszujemy jeszcze po ulicach przez dwa, trzy dni i na pewno jakiś pajac przyjdzie błagać nas, żebyśmy aresztowali tego gościa.

– Niech się lepiej pośpieszy. – Bud pokazał swoją spuchniętą dłoń. – Mój oficer śledczy jest coraz bardziej obolały.

Rozległ się przyjacielski śmiech.

Maggie wbiła wzrok w ziemię i zacisnęła mocno szczęki. Chciała jeszcze coś powiedzieć, ale miała zupełną pustkę w głowie.

– Morderca włókł go po ziemi – wypaliła nagle Kate, nie do końca świadoma, że mówi to na głos. Wszyscy skierowali na nią wzrok. – Chodzi mi o Marka Portera. – Żałowała, że nie ma w ręku notatek, ale i bez nich udało jej się połączyć wszystko w logiczną całość. – Jego buty miały pościerane obcasy, ale z tyłu, a nie od spodu. Kiedy morderca zaczął go ciągnąć, zadrapał mu szyję. Poza tym Porter miał pęknięty paznokieć na środkowym palcu prawej dłoni, a kluczyki od radiowozu znaleziono pięć metrów od jego zwłok.

Patrzyli na nią pustymi oczami.

Maggie zaczęła przedstawiać możliwą wersję wydarzeń.

– Porter próbował uciekać, ale Strzelec ruszył za nim w pościg i chwycił go za kołnierz. Właśnie wtedy zadrapał go w szyję. Najprawdopodobniej obaj upadli na ziemię. Porter ścisnął kluczyki w dłoni i w momencie upadku złamał sobie paznokieć. Chciał dobiec do radiowozu, ale morderca mu na to nie pozwolił. Być może uderzył Portera, a ten zemdlał albo został ogłuszony. Zawlekł go z powrotem do miejsca, gdzie leżał Keen. Kazał mu klęknąć i strzelił prosto w czoło. – Maggie uprzedziła pytanie Terry'ego. – Strzelec przystosowuje się do nowych okoliczności. Przebił opony, ponieważ poprzednim razem jedna z ofiar prawie mu się wymknęła.

Jimmy odchylił się na krześle i pogrążony w myślach zaczął drapać się po brodzie.

– Tylko baba może się przejąć złamanym paznokciem – wymamrotał Terry.

Mężczyźni znowu ryknęli śmiechem, ale tym razem wyrażającym raczej ulgę niż radość.

Maggie nie dała się jednak zbić z tropu i kontynuowała:

– We wszystkich wypadkach ktoś anonimowo zgłosił włamanie i w ten sposób zwabił policjantów.

Terry pokręcił głową.

– Wiesz, ile takich fałszywych wezwań dostajemy co miesiąc?

– Trzy – odpowiedziała Maggie. – Sprawdziłam to dziś rano w dyspozytorni. O tej porze dnia mamy z tej części miasta około trzech takich zgłoszeń miesięcznie.

Jimmy z uporem maniaka wrócił do wątku poruszonego przed paroma minutami.

– Słuchaj Maggie, on z nami w ogóle nie rozmawiał. Wyszedł zza rogu i od razu zaczął strzelać. To się stało tak szybko, że nawet nie zdążyłem mu się przyjrzeć.

Maggie popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem. Czy on wreszcie zrozumie, o co jej chodzi?

– To nie ma większego znaczenia. Może nie spodziewał się, że was zobaczy. Albo myślał, że weźmie was z zaskoczenia, ale to wy zrobiliście mu niespodziankę.

Jimmy wlepił wzrok w puszkę piwa.

Kate wiedziała, o czym teraz myśli. To Strzelec był oszołomiony. Nie spodziewał się, że zobaczy dwóch gliniarzy in flagranti. Wszystkie jego plany wzięły wtedy w łeb.

Kate nie mogła rzecz jasna powiedzieć tego na głos.

Nagle na ulicy zatrąbił klakson.

– Co tu robi ta głupia cipa? – skrzywił się Terry.

Maggie zwróciła się do Kate:

– Idź do samochodu, a ja zaraz do ciebie dołączę.

Kate wyszła spod wiaty, nie zadając zbędnych pytań. Oślepiło ją słońce i przez chwilę wpatrywała się w ziemię, żeby przyzwyczaić wzrok do ostrego światła. Zamrugowała szybko, chcąc odgonić przerażające obrazy, które znowu pojawiły się pod jej powiekami. Wijąca się z bólu babcia, matka błagająca o resztki jedzenia i Terry Lawson przyglądający się temu z puszką piwa w ręku.

Poczuła ucisk w piersi, zeszywniał jej kark, a do oczu znowu napłynęły łzy. Powinna nad sobą panować. Nie może przecież codziennie płakać. Musi być twarda. Rodzina tak bardzo na nią liczy i chce, żeby była silną kobietą. Wzięła się w garść i podniosła głowę.

Serce stanęło jej w gardle.

Za kierownicą dwudrzwiowego mercury'ego siedziała Gail Patterson i uśmiechała się do niej przez otwarte okno.

– Wskakuj do środka, owieczko.

Maggie wyszła z domu przez główne drzwi, celowo omijając wiatę. Miała ręce pełne policyjnego sprzętu. Schody zaskrzypiały pod dodatkowym ciężarem. Starła się iść możliwie szybko, żeby nie zobaczył jej Terry i nie zaczął zadawać niewygodnych pytań. Gail powinna łapać teraz niewiernych mężów, a Maggie i Kate wystawiać mandaty za przekroczenie dozwolonej prędkości. Gdyby wuj Terry dowiedział się, że jadą do Colored Town, żeby pogadać z sutenerem, cała trójka znalazłaby się po uszy w gównie.

Zobaczyła uprawiającego jogging Lee Granta. Miał na sobie jasnożółty dres z zielonymi pasami biegnącymi wzdłuż nogawek spodni. W kieszeni bluzy trzymał plastikowe pudełeczko na aparat słuchowy. W okolicy uważano go za miejscowego Boo Radleya – był nieco starszy od innych, spokojniejszy i roztaczał wokół siebie aurę dziwności. Kiedy Maggie była dzieckiem, przezywali go głuchy Lee, a potem głuchol. Nikomu nie przyszło do głowy, że go obrażają, skoro nie mógł tego usłyszeć.

Lee zamachał do niej przyjacielsko, ale Maggie udała, że go nie widzi. Jeszcze tylko brakowało, żeby Terry sobie coś pomyślał. Widać było, że tylko szuka pretekstu do zaczepki.

– Hej, maleńka. – Gail otworzyła drzwi po stronie pasażera. Miała podbite oczy po wczorajszej bójkę z prostytutką, ale mimo to szeroko się uśmiechała. Była ubrana w cywilne ciuchy: żółtą spódnicę, którą wysoko podciągnęła, żeby móc trzymać piersiówkę między nogami, oraz botki ze złotej lamy na szpiczastych obcasach. Na głowie miała nieco za małą jasnoniebieską fedorę. Ciemne i wysuszone włosy opadały jej na ramiona... – Wiesz, że głuchol nie może oderwać od ciebie wzroku? – powiedziała i odwróciła się do siedzącej z tyłu Kate. – Maggie się w nim podkochuje. Jest głuchy jak pień. Mam rację, stary? – krzyknęła przez okno.

Maggie zrobiła się czerwona ze wstydu. Wiedziała, że jedyny sposób na Gail, to kompletnie ją zignorować. Bez słowa rzuciła więc sprzęt na podłogę radiowozu.

Gail kilka raz nacisnęła pedał gazu i silnik zaczął głośno wyc.

– Trzymajcie się, dziewczyny!

Maggie w ostatniej chwili wskoczyła do środka. Auto ruszyło z piskiem opon, a Gail zanosła się śmiechem. Włączyła radio – grali Rolling Stonesi – i odpaliła papierosa.

– Trzymaj. – Maggie podała Kate jej pas służbowy, stare buty Jimmy'ego i jedną z jego czapek. – Przepraszam za zapach.

Kate położyła wszystko na siedzeniu obok. Terry doprowadził ją na skraj załamania nerwowego. A może czuła się parszywie, ponieważ Bud Deacon grzebał sobie w spodniach, Jett Elliott cuchnął wymiocinami, Cal Vick cały czas gapił się na jej piersi,

a Chip Bixby patrzył na nią w taki sposób, jakby chciał ją zaciągnąć do lasu i zgwałcić.

Maggie nie myślała teraz o swoich kolegach. Miała na głowie inne zmartwienia. Była zażenowana zachowaniem swojej rodziny. Wstydziła się domu, w którym przyszło jej mieszkać. Bała się, że Terry wykorzysta to, co odkryła razem z Kate, i sam zajmie się rozwiązywaniem sprawy Strzelca.

A przecież miała to robić z Jimmym. Ustalili to wczoraj w nocy. Plan był taki: biorą wszystkie akta dotyczące zabójstw policjantów i wspólnie je analizują. Postanowili, że będą razem pracować. Po tym, co Jimmy powiedział jej w szpitalu – w zasadzie ją wtedy przeprosił – Maggie myślała, że teraz wszystko będzie inaczej. Po raz pierwszy Jimmy potraktował ją jak prawdziwego gliniarza.

Ale rano obudził się w podłym nastroju i Maggie zrozumiała, że to wszystko mrzonki.

Gail ostro weszła w zakręt i wydała z siebie podniecony okrzyk, gdy mocno zarzuciło samochodem. Mercury cyclone to dość drogie auto, którym raczej nie rozbijali się policjanci. Znając Gail, pewnie ukradła go jakiemuś sutenerowi. Jej mąż podrasował silnik i zamontował sprzęt nagłaśniający, od którego aż trzęsły się szyby w oknach. Poza tym w oczy rzucała się tapicerka z białej skóry oraz czerwone futerko przyklejone do podsufitki i deski rozdzielczej. Na lusterku wisiały kości do gry. Chociaż należało raczej użyć liczby mnogiej, ponieważ do przedniej szyby przyczepiony był zestaw sześciu lusterek, dzięki którym kierowca widział wszystko, co działo się za jego plecami.

Gail pociągnęła z piersiówki, a na jej twarzy znowu zagościł szeroki uśmiech. Maggie pomyślała, że wszyscy gliniarze, których znała, zachowywali się właśnie w ten sposób. Niezależnie, jakie nieszczęścia na nich spadały, udawali, że nic się nie stało. Gail była prawdziwą mistrzynią wytrwałości. Wstawała rano i brała wszystko na klatę, niezależnie od tego, jaki wycisk dało jej życie poprzedniego dnia.

Maggie też tak chciała. Brakowało jej jednak samozaparcia. Niestety, przycisk resetowania znajdował się na wyposażeniu jedynie męskiej części rodu Lawsonów. Maggie gromadziła w sobie negatywne uczucia. Tak jak Kate. Gapiła się przez okno i zasłaniała oczy rękami, chociaż słońce świeciło z drugiej strony samochodu.

– Cholera. – Gail ściszyła muzykę. – Dlaczego siedzicie takie nabzdyczone?

Maggie wyrecytowała w myślach listę przyczyn. Zamordowano pięciu policjantów, strzelano do jej brata, a Terry za wszelką cenę chciał jej wybić z głowy pracę w policji.

– Jezu Chryste, ale bagno. – Gail upiła kolejny łyk, a potem odłożyła butelkę na deskę rozdzielczą. – Obie powinnyście znaleźć sobie faceta, dla którego warto golić nogi. – Żartobliwie szturchnęła Maggie w ramię. – Jak już zdejmą ubranie, nie są wcale tacy źli.

Maggie ułożyła następną listę: Jimmy miał ją kompletnie gdzieś, Terry był popieprzonym sadystą, Jett Elliott pił na umór, Cal Vick na każdym kroku popisывał się swoją nieudolnością, a Bud Deacon i Chip Bixby niczym nie różnili się od nazistów. Nawet Rick Anderson zaczął na nią warczeć, kiedy przechodziła przez jadalnię.

– Wiesz co, jak się dobrze przyjrzeć, to ten głuchol jest całkiem do rzeczy. Przypomina trochę Micka Jaggera.

– Gail, proszę cię. – Niezależnie od uczuć Maggie, ewentualny związek z Lee Grantem był czystą fikcją. Ich rodziny się nienawidziły. Lawsonowie uważali, że sąsiedzi zadzierają nosa, co było w sumie prawdą, ponieważ Grantowie uważali się za lepszych od innych i dawali to wszystkim wokół do zrozumienia. Nie przypominało to *Romea i Julii*, lecz raczej waśń między Hatfieldami a McCoyami.

– Mam dla was niespodziankę. – Gail wyjęła kasetę zza osłony przeciwsłonecznej. – Kawał dobrej muzyki. Szwagier nagrał to parę tygodni temu w Los Angeles.

Maggie miała ochotę przewrócić oczami, ale się powstrzymała. Mąż Gail, ksywa Kłopot, razem ze swoim bratem prowadzili na boku nielegalny interes polegający na rejestrowaniu koncertów. Niestety, jakość była kiepska, na dodatek Kłopot lubił sobie wypić, a jego brat palił za dużo zioła. Na większości taśm słychać było, że są kompletnie nawaleni i zagłuszają zespół własnymi śpiewami.

Gail wyciągnęła rękę do tyłu i poklepała Kate po udzie.

– Wybrałam to specjalnie dla ciebie, nadąsana owieczko.

Maggie nie odwróciła się, żeby sprawdzić, jak miewa się jej koleżanka. Gdy z głośników popłynęły odgłosy rozentuzjasmowanego tłumu, siedziała ze wzrokiem wbitym w przednią szybę. Kiedy szwagier powiedział, że musi się odlać, Gail wybuchnęła śmiechem, uderzyła ręką w kierownicę i jeszcze bardziej podkreśliła dźwięk. Nikomu to nie przeszkadzało. Były już w Cabbage Town, dzielnicy od wielu lat pogrążonej w kompletnym marazmie. Opuszczone fabryki idealnie współgrały z nastrojem Maggie.

– Dalej, dziewczyny! – Gail zaczęła wystukiwać rytm na desce rozdzielczej. Nie знаła słów pierwszej zwrotki, ale na całe gardło zaśpiewała refren. – *Poor, poor pitiful me!* – Dała Maggie kuksańca. – *Poor, poor pitiful me!*

Maggie zmusiła się do uśmiechu.

– *Poor, poor pitiful me!* – wyła Gail.

Maggie pokręciła głową, ale jej palce zaczęły wybijać rytm. Czy tego chciała, czy nie, Gail zaraziła ją dobrym nastrojem. Być może tak właśnie należało zrobić: żeby przestać się nad sobą użalać, trzeba posłuchać głupiej piosenki o użalaniu się nad sobą. Były jeszcze inne możliwości: zacząć pić na umór lub zamienić się w gderliwą babę, z którą nikt nie chce mieć nic do czynienia.

Najwyraźniej Kate nie myślała o tym w ten sposób. Siedziała skulona pod oknem i zasłaniała twarz rękami.

Podczas refrenu zaniósła się rozpaczliwym szlochem.

– Jezu. – Gail ściszyła muzykę i spojrzała w lusterko, żeby zobaczyć, co dzieje się z jej młodszą koleżanką.

Maggie zrobiła to samo. Tymczasem Kate dostała spazmów. To nie był zwykły płacz, tylko niekontrolowany skowyt.

– Robiła to już wcześniej? – zapytała Gail.

– Nie – odpowiedziała Maggie, co tylko częściowo było prawdą. Kate rozbeczała się

poprzedniego dnia zaraz po zakończeniu służby, jednak w porównaniu z tym wybuchem to było nic.

– Biedactwo, naprawdę ją wzięło. Tylko dlaczego? Czy Jett zaczął opowiadać głupie dowcipy o Irlandczykach?

– Nie, spał pijany w samochodzie.

– Musiało się coś stać. Może Terry pieprzył rasistowskie głupoty o tym, jak kolorowi przejmują władzę nad światem?

– Większość z tych wywodów chyba nas ominęła. – Maggie usiłowała sobie przypomnieć przebieg rozmowy. – Bredził coś o Kennedych, burmistrzu, Edwardzie Spiveyu i wojnie.

– Bingo! – Gail zwolniła, wjechała na popękany chodnik i zatrzymała samochód przed starą fabryką, w której kiedyś produkowano bawełniane torby. – Jej mąż zginął w Wietnamie.

– Co takiego? – Maggie była kompletnie zaskoczona. – Ona miała męża?

– Nie czytałaś jej akt osobowych? – Gail otworzyła drzwi. – Zabili go w Chuj Mi To albo w jakieś innej dziurze. – Złożyła fotel kierowcy i usiadła z tyłu obok Kate. – Chodź do mnie, skarbie.

Kate dosłownie rzuciła się jej w ramiona.

– Strasznie was przepraszam...

– Już wszystko dobrze, maleńka. – Gail oparła buty na złożonym siedzeniu i pogłaskała ją po głowie. – Nie przejmuj się tą bandą dupków. W czasie wojny albo siedzieli w burdelu, albo leczyli syfa.

Z jakiegoś powodu Kate znowu wybuchła płaczem.

Gail przewróciła oczami, ale przytuliła ją jeszcze mocniej.

– W porządku, kochanie. Wyrzuć to z siebie. – Pstryknęła palcami na Maggie, która podała jej w połowie już pustą piersiówkę.

Gail wypła łyk i poczęstowała Kate.

– To ci dobrze robi.

Nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Kate pociągnęła solidnie z butelki.

– Nie tak zachłannie. – Gail zabrała jej flaszkę i pomogła usiąść, a potem sama wypła resztę whisky. – Już się wypłakałaś, skarbie?

Kate otarła policzki. Cały czas trzęsły się jej ręce, ale wreszcie przestała szlochać.

– Przepraszam. Bardzo się starałam, ale nie byłam w stanie nad tym zapanować.

– Każdemu może się zdarzyć – powiedziała Gail i mrugnęła porozumiewawczo do Maggie, dając jej do zrozumienia, że im się to nie zdarza, szczególnie w miejscach publicznych.

– Przepraszam – powtórzyła Kate, wygładzając koszulę i poprawiając przyczepiony do pagonu mikrofon. – Kompletnie się rozkleiłam.

Gail machnęła ręką, ale po chwili powiedziała groźniejszym tonem:

– Nie możesz pokazać tym draniom, że ranią cię ich słowa. Jeśli zobaczą, że ryczysz, to koniec. Już nigdy nie potraktują cię poważnie.

Kate skinęła głową, ale widać było, że niczego nie rozumiała. Najtrudniejsze bitwy rozgrywały się nie na ulicach, lecz w pokoju odpraw. Za każdym razem, gdy kobieta wchodziła do środka, jakiś mężczyzna czuł się zmuszony zrobić dla niej miejsce. W takich warunkach faceci reagowali agresją na najmniejszą oznakę słabości.

– Cholera jasna, wy nawet nie zdajecie sobie sprawy, że przyszyście na gotowe. – Gail rzuciła pustą pierśiówkę na deskę rozdzielczą. – W pierwszym tygodniu pracy każdego ranka znajdowałam w swojej szafce świeże gówno. – Z obrzydzeniem wykrzywiła usta. –

To była sprawka Terry’ego, Macka, Reda, Lesa, Cala, Chipa i Buda. Jeden starał się przebić drugiego. Potrafili nasrać mi do bagażnika, spuścić się do mojej torebki i naszczać mi do butów. Wreszcie się wściekłam i zostawiłam zakrwawiony tampon w samochodzie Terry’ego. I wtedy okazało się, że to ja jestem popieprzoną suką.

Maggie nie mogła uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszała. Kate również wyglądała na kompletnie zbitą z tropu.

– W radiowozie śmierdziało nie z tej ziemi – kontynuowała Gail. – Był środek sierpnia, gorąco jak w piekle. Terry miał szczęście, że okres zbliżał mi się do końca.

Tego było już za wiele.

Wszystkie wybuchnęły śmiechem. Maggie nie była w stanie się opanować. Żeby utrzymać równowagę, złapała się oparcia. Rozbolał ją brzuch i poczuła suchość w gardle. Oczami wyobraźni widziała wyraz twarzy Terry’ego, który wsiada do radiowozu i znajduje prezent, który specjalnie dla niego przygotowała Gail Patterson. Maggie wyobrażała sobie, że na widok cuchnącego tamponu jej wujaszek wymiotuje burbonem. Być może na samą myśl o tej przygodzie wciąż robiło mu się niedobrze.

Gail wytarła usta wierzchem dłoni.

– Tak właśnie było. Potem przestali się już do mnie przypieprzać.

Maggie spływały łzy po policzkach, a Kate ukryła twarz w dłoniach.

– Dobra, dziewczyny. – Gail przesunęła się w kierunku drzwi. – Koniec żartów. Zabieramy się do roboty.

Kate spojrzała na Maggie i obie znowu parsknęły śmiechem.

Gail głośno westchnęła, sadowiąc się za kierownicą.

– Okay, uspokójcie się.

Maggie wzięła głęboki oddech. Nadal bolał ją brzuch. Otarła łzy i pokręciła głową.

Gail zdjęła kapelusz i wetknęła go między deskę rozdzielczą a przednią szybę. Zapaliła kolejnego papierosa. Włączyła silnik i szerokim łukiem wyjechała na ulicę.

Maggie wreszcie udało się opanować śmiech. Wiedziała, że nie może patrzeć na Kate. Usiadła wygodnie i zaczęła wyglądać przez okno, za którym roztaczał się przygnębiająco monotony krajobraz. Opuszczone fabryki na zmianę z rozpadającymi się domami. Gail

jechała na West End okrężną drogą. Jimmy też tu wczoraj był, chociaż Maggie wątpiła, by prosił kogokolwiek o pozwolenie. Może właśnie dlatego został postrzelony. Ciekawe, o czym tak naprawdę rozmawiał z tym handlarzem bronią. Podejrzewała, że niektóre informacje dotyczące śmierci Dona Wesleya Jimmy może już na zawsze zatrzymać dla siebie.

– Wiecie coś jeszcze na temat tych skubańców? – zapytała Gail.

Maggie pokręciła głową. Zdążyła już opowiedzieć Gail wszystko, czego udało się jej dowiedzieć: szukają alfonsa transseksualisty i jego kumpla psychopaty, który lubi robić z białych kobiet siekane kotlety.

– Słuchaj, owieczko. – Gail patrzyła w lusterko, w którym widziała odbicie Kate. – Wiesz, dlaczego Murzynki zadzierają nosa?

Kate sprawiała wrażenie zgorszonej tym pytaniem.

– Nie zastanawiałam się na tym.

– To z powodu czarnoskórych facetów. Są bardzo głośni. Wszędzie ich pełno: w pracy, na ulicy, w knajpie. Kiedy zobaczą jakąś Murzynkę, nawet jeśli jest kompletnym kaszalotem, zaczynają ją adorować. „Cześć, ślicznotko”, mówią. „Dasz się zaprosić na kolację? Masz ochotę na kawę?” Zasypują ją komplementami i non stop z nią flirtują. Wiesz, do czego zmierzam?

Kate wyglądała na lekko skonsternowaną. Czarnoskórzy mężczyźni, których do tej pory spotykała, grabili trawniki albo obsługiwali windy.

– Murzynki potrafią ich olewać, rozumiesz? Przez całe życie muszą wysłuchiwać tych bredni. Zupełnie inaczej reagują na takie zaczepki białe kobiety. „Ojejku! Chyba naprawdę mu się podobam”.

Kate zmrużyła oczy. Gail bardzo udanie naśladowała jej akcent.

– Wykorzystują to sutenerzy – kontynuowała swój wywód Gail. – Komplementy to w ich ręku bardzo skuteczne narzędzie. W tej branży chodzi o to, żeby omotać kobietę i nakłonić ją do nierządu.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że wszyscy sutenerzy to Murzyni? – zapytała Kate hardo.

Żeby rozluźnić atmosferę, Maggie ujęła to pytanie w sylogizm:

– Nie wszyscy Murzyni to alfonsy, ale wszystkie alfonsy to Murzyni.

Kate zmarszczyła brwi.

– Uspokójcie się, to wcale nie jest śmieszne. – Gail sprawdziła, czy ktoś nie jedzie z naprzeciwka i wyprzedziła ciężarówkę.

Zwróciła się do Maggie:

– Opowiedz jej, jak działają sutenerzy.

Tę przygnębiającą lekcję Maggie odebrała od Gail już dawno temu. Miała nadzieję, że Kate będzie jej uważnie słuchać.

– Sutenerzy polują na dwunasto-, trzynastoletnie dziewczynki. Młodociane ćpunka albo takie, które z jakiegoś powodu uciekły z domu. Opowiadają, że się w nich zakochali, stopniowo je uwodzą i faszerują narkotykami. Panienki bardzo szybko się uzależniają i w końcu lądują na ulicy. – Maggie wzruszyła ramionami, ponieważ to naprawdę było banalnie proste. – Mają dwudziestu, czasem nawet trzydziestu klientów dziennie. Wszystkie pieniądze trafiają do kieszeni alfonsów.

– Kiedy się zestarzeją, czyli mają dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat, sutener albo je odsprzedaje, albo podrzyna im gardło i wrzuca ciało do rowu – dokończyła Gail.

– Violet jest mniej więcej w tym wieku – powiedziała Kate.

Gail przytaknęła. Najwyraźniej ta uwaga wcale jej nie zezłościła.

– Poczekaj, kochana. Pewnego dnia dostaniesz wezwanie: dziesięć pięćdziesiąt cztery. Pojedziesz na miejsce i zobaczysz wpatrujące się w ciebie martwe oczy naszej starej znajomej. – Gail wytrząsnęła papierosa z paczki. – Wiesz, jaki mamy plan?

– Maggie jak zwykle wszystko mi wyjaśniła – powiedziała z przekąsem Kate.

Maggie nie zareagowała, ponieważ wiedziała, że ten przytyk jej się należy.

– Jedziemy przekonać Sir She, żeby pozwolił nam pogadać ze swoimi dziewczynami. Koleś zajmuje się starszymi prostytutkami, takimi jak Violet, pewnie dlatego, że niedawno przyjechał do miasta. Jego podopieczne pracują w okolicach Five Points, tam, gdzie zginął Don Wesley.

– Na Whitehall – wtrąciła Kate. Uważna lektura akt sprawy Strzelca na coś się przydała.

– Każdą częścią Five Points rządzi inny alfons. – Maggie starała się to wyjaśnić w możliwie jak najprostszy sposób. – Wyobraź sobie, że to centrum handlowe, w którym sprzedaje się seks.

– Dobrze! – parsknęła śmiechem Gail.

– Masz ochotę na Murzynkę? Idziesz na Marietta Street. Azjatki stoją na Decatur, a Mulatki na Peachtree. Najlepszy towar dostaniesz na północ od Edgewood w okolicach parku Woodruffa. To jak luksusowy dom towarowy Saks Fifth Avenue. Duże pieniądze. Sutenerzy nieustannie biją się o ten rewir. Pracują tam młode białe dziewczyny, które obsługują bezproblemowych klientów: biznesmenów, prawników, lekarzy. Dla świrów jest Whitehall, czyli tani dyskонт. Dziwki są starsze, a sutenerzy niespecjalnie się nimi przejmują. Klienci lubią przemoc i mają mało pieniędzy, więc potrafią po swojemu negocjować zniżki. Nie interesuje ich, ile prostytutka ma lat ani jak wygląda.

– Dlatego chcemy pogadać z tymi dziewczynami – powiedziała Gail. – Ich życie zależy od tego, czy potrafią właściwie ocenić, który klient jest bezpieczny, a który może im zrobić krzywdę. Muszą mieć oczy dookoła głowy. Dam sobie rękę uciąć, że któraś z nich coś widziała albo ma stałego klienta, który nienawidzi gliniarzy.

– Jest wielu wariatów, którzy łążą za policjantami – dodała Maggie. – Czasami można ich spotkać na komendzie. Snują się bez celu po korytarzach, stoją wśród gapiów na miejscu zbrodni, mają skanery radiowe. – Czowała, że z każdym słowem robi się jej lżej na

sercu. Po przeczytaniu akt sprawy Strzelca zaczęła się martwić, że mordercą może być policjant. Jednak im więcej o tym myślała, tym bardziej była skłonna uznać, że ścigają jakiegoś naśladowcę bez piątej klepki. – Ktoś taki zna policyjne kody i procedury.

– A może wyrzucili go z akademii albo sam odszedł ze służby, bo okazało się, że nie daje sobie rady?

Tym razem Gail nie wytrzymała.

– Chcesz się nam do czegoś przyznać, owieczko?

Kate nawet się nie uśmiechnęła.

– Jimmy powiedział, że Dona zastrzelił czarnoskóry mężczyzna. Czy nie rzuciłoby się komuś w oczy, że po komisariacie kręci się jakiś nieznajomy Murzyn? Chyba że byłby to alfons.

Gail zrobiła dziwną minę.

– To zależy. Komendant dokonał ostatnio wielu zmian personalnych. Tak było na przykład z Budem Deaconem. Przenieśli go do komisariatu, w którym miał być jedynym białym. Odmówił, więc wywalili go z roboty, ale on ich zaskarżył i sąd na czas trwania procesu kazał przywrócić go na stanowisko.

– Powinni to zrobić z Jettem Elliottem – powiedziała Maggie. – On i tak przez większość czasu nie wie, gdzie jest.

– Hej, uważaj – pogroziła jej Gail. Wszyscy wiedzieli, że Jett pije, ponieważ ma chore dziecko. – Mack McKay też złożył pozew. Twierdzi, że został zdegradowany, bo krytykował szefostwo za wrogie nastawienie do funkcjonariuszy. Gdyby przyszedł do pracy z doprawionymi cyckami, zobaczyłby, co to wrogość.

Kiedy Maggie to sobie wyobraziła, parsknęła śmiechem.

– Chip Bixby też protestował, gdy do jego oddziału dołączyła kobieta i nikt się go nie czepiał.

– Z Chipem różnie bywa – wtrąciła Gail. – Kiedy byłam jeszcze tak zielona, że srałam trawą, znalazłam się w niezłych tarapatach. To było podczas napadu na bank. Siedziałam na podłodze wciśnięta w kąt i myślałam, że to koniec. Serio. Już witałam się ze świętym Piotrem, gdy nagle nie wiadomo skąd pojawił się Chip Bixby z żądzą mordu w oczach. Błyskawicznie się wycofałam, a on mnie osłaniał. Postrzelili go, mniej więcej tu. –

Wskazała na swój obojczyk. – Ta kula była przeznaczona dla mnie. Jak stary Chipper trochę sobie wypije, pokazuje bliznę.

– Jasne, dodam ten widok do swojej listy życzeń – powiedziała Kate, ale myślała już o czymś zupełnie innym. – A co z facetami? Dokąd chodzą po płatny seks?

Gail spojrzała na Maggie.

– Właśnie o tym rozmawiamy, skarbie. Na Five Points.

– Mam na myśli seks z innymi mężczyznami.

– No, no, no! – Gail była pod wrażeniem, że Kate w ogóle o czymś takim słyszała. – Pedały chodzą do parku Piedmont i nie muszą za nic płacić. Cholerni szczęściarze!

– Piedmont? – W głosie Kate było słycać zgorszenie. W końcu sama mieszkała w tej okolicy.

– Pogadaj o tym z Jimmym – powiedziała Gail. – Po pracy lubi poganiać za ciotami.

– Poganiać za ciotami? – powtórzyła jak papuga. – Co to do cholery znaczy?

– Idzie z kumplami do parku i bije gejów – wyjaśniła Maggie.

Kate była wyraźnie oburzona.

– Jimmy znęca się nad homoseksualistami?

– Czemu nie? – Gail strzepnęła popiół przez okno. – Wszyscy tak robią. Bud, Mack, Terry, Vick. W ten sposób odreagowują stres. Kogo obchodzi, że kilku pedałów dostanie wycisk? Sami są sobie winni. Nie powinni robić takich świństw. – Zaciągnęła się papierosem. – Głowa do góry, dziewczyny. Właśnie zmieniamy dekorację. Żegnamy białe *Bandstand* i witamy czarne *Soul Train*.

Maggie wyjrzała przez okno. Zewsząd wyglądały kolorowe twarze. Niektóre były zaciekawione, inne zdziwione, ale na wszystkich malowała się wrogość.

Wjechały do Colored Town.

To stało się nagle. Maggie nie zauważyła, kiedy postindustrialny krajobraz ustąpił miejsca niemalowanym ruderom i przybudówkom. Dawno temu Gail powiedziała Maggie, że białych i czarnych oddzielają skały. Murzyni zamieszkiwali domy postawione na piachu, a biali budowali swoje na kamiennych fundamentach.

Maggie zrozumiała tę różnicę, dopiero gdy zobaczyła wszystko na własne oczy. Colored Town stanowiło część West Side, ostatniej dzielnicy Atlanty, w której wciąż działał przemysł. Z fabryk i odlewni buchały kłęby czarnego dymu, garbarnie spuszczały do Peachtree Creek ścieki, chemikalia i gnijące mięso, a ustawione wzdłuż głównej drogi stacje przekaźnikowe buczały dzień i noc.

Nie było tu mieszkań komunalnych zarządzanych przez miasto, a na ulicach nie pojawiały się regularnie patrole policyjne. Mieszkańców CT nie obejmowała pomoc społeczna, ponieważ albo nie spełniali warunków, albo nie chcieli mieć nic wspólnego z władzą. Zdani wyłącznie na siebie zadowalali się tym, co mają. Ściany z gołej sklejki stały bezpośrednio na glinianym podłożu, a dziury w oknach pozatykano gazetami. Na większości podwórek stały wychodki. Żeby pozbyć się smrodu, nawet w środku zimy nie zamykano drzwi wejściowych.

Kate zaczęła kaszleć. Przyczyną nie był jakiś konkretny zapach, lecz raczej ich kombinacja. Przez pierwszy rok pracy Maggie wykrztuszała z siebie obrzydliwą flegmę i była na okrągło przeziębiona. Delia nie mogła uwierzyć, co jej córka nosi w płucach. Lekarz powiedział, że jeśli nie rzuci tej roboty, to przedwcześnie wyląduje na cmentarzu.

Wjechały właśnie na ulicę, przy której stały domy z tanimi pokojami do wynajęcia. Gail wyciągnęła szyję, żeby znaleźć właściwy budynek.

– Masz gdzieś ten adres? – zapytała.

Kate zaniósła się kaszlem i z trudem odpowiedziała:

- Huff Road osiemset dziewiętnaście.
- Cholera – burknęła Gail. – Nie ma tu żadnych numerów.

Nie tylko w złych dzielnicach właściciele posesji nie wieszali na domach tabliczek. Tak było w całym mieście. Podczas większości interwencji Maggie nie wiedziała, czy jest we właściwym miejscu, dopóki ktoś nie zaczął krzyczeć.

- Słuchajcie! – Kate wskazała palcem. – To musi być tam.

Wybrała najładniejszy dom w okolicy, z czystymi oknami i wysprzątanym podwórkim. Na werandę prowadziły schody zrobione z betonowych bloków z napisem „Własność wodociągów”.

Na tle mocno zniszczonych brązowych desek szalunkowych wyróżniały się drzwi – u dołu czerwone, u góry zielone, z żółtym okręgiem wymalowanym wokół prostokątnego okienka.

- Gdzie jest tabliczka z numerem? – zapytała Gail.
- Popatrzcie na drzwi – odpowiedziała Kate. – Są w barwach portugalskiej flagi.
- No tak, Murzynki mówiły, że ten przybytek prowadzi jakaś Portugalka.
- Nie pogadasz, wielkopańska rezydencja. – Gail zaparkowała auto za zdezelowaną ciężarówką opartą na ceglach. – Portugalia. Gdzie to w ogóle jest?

Kate była całkowicie pochłonięta wkładaniem butów Jimmy’ego i nawet nie zareagowała. A może po prostu czegoś się nauczyła.

– Ta część CT leży na skraju Blandtown. Wcześniej przejechałyśmy przez Lightning i Techwood. – Gail zaczęła przez szybę pokazywać Kate różne miejsca. – Tam jest osiedle Perry Homes. Straszne slumsy, sama się zresztą wkrótce przekonasz. Kolej: tam są stacje przeładunkowe Tilford Yard i Inman Yard, między Marietta Road a Perry Boulevard. To, co słyszysz, to Howell Rail Wye. Przejeżdżają tamtędy wszystkie pociągi. Po drugiej stronie znajduje się fabryka sprzętu rolniczego. Wye oznacza wielki rozjazd w kształcie litery igrek. Nie pytaj mnie dlaczego. – Chciała zażartować, ale nie za bardzo jej wyszło. – Nieprzyjemny zapach pochodzi z zakładu porcjowania mięsa. Jak się wejdzie do środka, można zostać wegetarianinem. Kiedyś znalazłam tam martwą dziwkę. Ciało zostało ukryte we wnętrzu krowiej tuszy. Niezłe gówno. Szkoda, że nie mam przy sobie zdjęcia. Jakies pytania?

Kate pokręciła głową.

- Nie, wszystko jasne. Dzięki.

Maggie wysiadła z samochodu. W oddali dudniły pociągi przejeżdżające przez Howell Yard. Nagle powietrze przeszył niski gwizd lokomotywy. W tej okolicy nieustannie panował hałas. Składy towarowe mknęły po torach dzień i noc. Jeśli przez chwilę stanęło się bez ruchu, pod stopami można było wyczuć wibracje.

Portugalski dom stał na środku ulicy. Naprzeciwko znajdował się opuszczony magazyn z czerwoną fasadą zbudowaną z charakterystycznych cegieł, które wytwarzali z gliny niewolnicy, kiedy już zebrali bawełnę. W budynku nie było okien i poodpadały fragmenty

elewacji, odsłaniając czarną papę.

Maggie zauważyła na ziemi sporą kałużę. Odruchowo podniosła głowę, żeby sprawdzić, czy nie zanosi się na deszcz. W jednym z okien znajdujących się na piętrze magazynu zobaczyła rękę.

– To nie tak, skarbie. – Gail siedziała w samochodzie i podawała przez radio lokalizację. Znała dyspozytorkę, więc trwało to dłużej niż zwykle.

Maggie oderwała wzrok od okna. To pewnie jakiś dzieciak. Albo menel szukający dobrej kryjówki. Z kieszeni spodni wyjęła metalowe zaczepy i założyła je na pasek. Kiedy zapinała klamrę, z auta wysiadła Kate. W jednej ręce trzymała pas służbowy, a w drugiej czapkę Jimmy’ego.

– Dobra wiadomość jest taka, że buty pasują jak ulał. Bardzo ci za nie dziękuję. Zła wiadomość...

Maggie podała jej uchwyty, które Kate zostawiła na stole w jadalni.

– Zawsze wkładaj je...

– Do tej samej kieszeni. Tak wiem. Dzięki! – powiedziała i zaczęła montować pas. Dzisiaj radziła sobie z tym znacznie lepiej. Udało się już za drugim razem.

Maggie z zasady nie pytała innych o życie prywatne, ale uznała, że Kate jest jej coś winna.

– Kiedy zginął twój mąż?

– Dwa lata temu. – Przesunęła pałkę i przypięła nadajnik. – Nie wiedziałam, że takie rzeczy są w moich dokumentach.

– Rutynowo prześwietlają wszystkich kandydatów. Chcą się upewnić, że nie jesteś komunistką. – Maggie nie dodała jednak, że do teczek osobowych może zajrzeć, na dobrą sprawę, każdy. – Nic wielkiego.

– Z pewnością. – Kate poprawiła kołnierzyk i zmieniła temat. – Zastanawiałam się, czy nie jest mi przeznaczone doznać jednego upokorzenia dziennie. Myślisz, że dziś wyrobiłam już swoją normę?

– To nie stało się bez powodu.

– Słuchaj, Lawson, wolałabym, żebyś uważała mnie za idiotkę, niż się nade mną użalała.

Na twarzy Maggie pojawił się uśmiech. Trzeba przyznać, że ta dziewczyna miała charakter.

– I tak uważam cię za idiotkę.

– Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. – Kate powąchała czapkę i znacząco się skrzywiła.

– Dzisiaj można sobie darować nakrycia głowy. – Maggie wrzuciła swoją czapkę do samochodu. Kate zrobiła to samo. – Sprawdź broń.

Kate odpięła kaburę i z zadziwiającą sprawnością wyciągnęła rewolwer. Wysunęła bębenek, a następnie z powrotem go zatrzasnęła.

Podeszła do nich Gail. Z ust zwisał jej papieros.

– Ona wie, jak się tego używa?

– Mam nadzieję, że nie będziemy musiały sprawdzać.

Kate schowała pistolet. Jej uśmiech świadczył, że była z siebie zadowolona.

– Ćwiczyłam dziś rano.

– Wolalam, kiedy było mi ciebie żal. – Gail sięgnęła do torebki i ze ściąganej tasiemką woreczka po whisky wyjęła pistolet. Miał perłową rękojeść oraz nacięcia u wylotu lufy, co nie było zgodne z regulaminem. Gail załadowała do bębena mocniejszą amunicję z dodatkową ilością prochu. To również było nielegalne, ale robili tak prawie wszyscy funkcjonariusze.

– Oczy szeroko otwarte, gęba na kłódkę. Jasne? – zakomenderowała Gail.

– Tak jest, proszę pani – odpowiedziała Kate.

Gail zmrużyła oczy. Nie była pewna, czy ta dziewczyna jest przemyślana, czy tylko udaje.

– Walić to – burknęła i weszła na żwirową alejkę prowadzącą w kierunku domu.

Maggie zapięła kaburę na zatrask i pokazała Kate, że powinna zrobić to samo. Nie sprawdziła jednak, czy mniej doświadczona koleżanka wzięła sobie tę sugestię do serca. Jeśli Kate miała zamiar wykonywać ten zawód – a była albo zbyt głupia, albo zbyt uparta, żeby dać sobie spokój – musiała radzić sobie sama.

Gail zastukała obcasami na betonowych stopniach. Weranda była mała, ale solidnie zbudowana. Drewnianą podłogę pomalowano na czerwono, żeby komponowała się z drzwiami. Można było jednak odnieść nieprzyjemne wrażenie, że stoi się we krwi. Maggie zajrzała przez wąskie okienko w drzwiach wejściowych. Zobaczyła schody prowadzące na piętro i nic więcej.

– O, spójrz, matuzalem. – Gail wskazała głową mezure przyczepioną do framugi. Zdobione metalowe pudełko wisiało na skos, z górną częścią skierowaną do wejścia. Gail puściła oko do Kate. – Żydzi robią takie rzeczy.

– Naprawdę? To bardzo interesujące – odpowiedziała z udawanym zdziwieniem Kate i z lekkim uśmiechem dotknęła pudełka czubkami palców.

– Policja! – Gail walnęła pięścią tak mocno, że aż zagrzechotała szyba w okienku. Zwróciła się do Kate. – Kiedyś otworzyłam coś takiego. W środku był papier zapisany takimi śmiesznymi gryzmołami. – Jeszcze raz uderzyła w drzwi. – Otwierać!

Po chwili usłyszały szuranie i w okienku pojawiło się kilka kosmyków czarnych i siwych włosów. Maggie domyśliła się, że patrzą na czubek czyjejś głowy.

– Niewiarygodne. – Gail kopnęła w drzwi. – Otwieraj, zanim je wyważę!

Rozległ się szcęk czterech zamków i brzęk zdejmowanego łańcucha. Na progu stanęła starsza kobieta, która przypominała wdowę w żałobie z czasów wiktoriańskich. Miała na sobie wysoki kołnierz z koronki całkowicie zasłaniający szyję i czarną suknię z długimi rękawami opadającą na czubki czarnych butów. Była bardzo niska i dlatego nie mogła

wyrzeć przez okienko w drzwiach. U góry lewego policzka miała pieprzyk, który sprawiał, że wyglądała, jakby miała zezę. Przyprószone siwizną czarne włosy nosiła upięte w kok. Maggie pomyślała o tym, co usłyszała od Delroy i Watson. Nie mogła się powstrzymać przed wyobrażeniem sobie, że stara ma we włosach gniazdo pajaków.

– Otwieraj, babciu – powiedziała Gail.

– Czego chcecie? – Miała niski głos i mówiła z silnym akcentem, który przypominał Ricardo Montalbana ze słynnej reklamy samochodu. Nie była jednak jego kobiecą wersją, naprawdę brzmiała jak facet. – Jestem zajęta.

– My też. – Gail stuknęła w odznakę policyjną na piersi Maggie. – Musimy porozmawiać z Sir She.

Kobieta uniosła brwi i zaczęła się uśmiechać w sposób, który Maggie uznała za podejrząny. Mimo to uchyliła drzwi i wpuściła je do środka.

Gail wyrzuciła papierosa na podwórko i zaczęła się rozglądać po wnętrzu. Dołączyła do niej Maggie. Główny korytarz ze schodami pośrodku rozdzielał dom na dwie części. Na lewo znajdował się salon, a na prawo jadalnia. Na tyłach była jeszcze kuchnia. Maggie zlustrowała wzrokiem wszystkie pomieszczenia. Przed wejściem do nieznanego miejsca należy oszacować ryzyko – sprawdzić drzwi i okna, upewnić się, że ma się w zasięgu wzroku ręce wszystkich obecnych. Gail uważała, że policjantki robią coś jeszcze: oceniają wystrój i czystość, żeby uzyskać w ten sposób dodatkowe informacje o świadku lub sprawcy.

Portugalka wypadła pod tym względem celująco. Miała co prawda przerażającą fryzurę, ale w domu panował nieskazitelny porządek. Obok zlewu stały na suszarce równo poukładane naczynia, chodnik w korytarzu leżał idealnie prosto, podłogi pozamiatane, żadnych pajęczyn. Maggie podejrzewała, że meble pochodzą z ojczyzny starej: w holu rzucało się w oczy kolorowe, delikatne krzesło i kanapa w kwiatowy wzór z zaokrąglonym rzeźbionym oparciem. Na wszystkich blatach leżały koronkowe serwetki. Na niskim stoliku pysznił się serwis do herbaty z czarnej ceramiki, a w jadalni stała pasująca do niego zastawa.

– Czarna glina *Bisalhães* – mruknęła pod nosem Kate.

Gail nie zareagowała, co było chyba dobrym rozwiązaniem.

– Kto tutaj mieszka?

Portugalka wskazała ręką na schody.

– Mam trzech lokatorów. Jeden jest teraz w pracy, a dwaj pozostali... – Pokręciła głową. – *Paskudnik* i *freser*. Prostack i żarłok myślą, że prowadzę *szandhoiz*.

Gail skrzywiła się na dźwięk nieznanych jej słów.

– Co ona bredzi?

– Alfons i jego ochroniarz – wyjaśniła Maggie. Nie mówiła po portugalsku, ale domyśliła się, o co może chodzić. – Są na górze?

– Wynajmują dwa pokoje. W pierwszym robią interesy. – Znowu pokręciła głową. –

Obaj są *meszuge*.

– Jak bardzo niespełna rozumu? – zapytała Kate zaniepokojonym głosem.

Zamiast odpowiedzieć kobieta zawołała:

– Anthony!

Na piętrze rozległo się głośnie łupnięcie, a potem słychać było odgłosy ciężko stawianych kroków. Rozbijał się żyrandol, a z gipsowego sufitu zaczął lecieć pył.

– Co się stało, babciu? – Na schodach stanął ogromny Murzyn. Miał około metra dziewięćdziesięciu wzrostu i ważył przynajmniej sto pięćdziesiąt kilo. Na szczycie jego gigantycznego korpusu znajdowała się stosunkowo mała głowa, więc grubas przypominał nieproporcjonalnego bałwana, o ile bałwan może być psychopatą trzymającym nóż w ręku. Omiótł wzrokiem wszystkie stojące na parterze kobiety: Maggie, Gail, Kate i starą Portugalkę.

– Jezu, ale tłuścioch. Znaleźli cię na haku w sklepie mięsnym? – powiedziała Gail.

Najwyraźniej nie spodobał mu się ten dowcip.

– Czego chcą te białe suki?

Gail złapała za poręcz i wspięła się po schodach.

– Muszę pogadać z twoim szefem.

– Pierdol się.

– Z przyjemnością to zrobię. Zauważyłeś nasze mundury?

– Zauważyłem steraną życiem lampucere i dwie dziwki przebrane za gliny.

– No cóż... – Gail nie zanegowała jego oceny. – Nie pozbędziesz się nas tak łatwo, gruby Albercie, więc lepiej idź pobawić się ze swoim podwórkowym gangiem.

Nagle rozległ się szcęk otwieranego noża, błysnęła stal i Gail poczuła na szyi zimne ostrze.

– Powtórz to, co powiedziałaś, suko.

Gail głośno westchnęła.

– Słuchaj, góro sadła, wiem, że nie jesteś w stanie zobaczyć swojego kutasa, ale nie chciałbyś go chyba stracić. Mam rację?

Spojrzał w dół. Gail mierzyła z pistoletu prosto w jego krocze.

Odciągnęła kurek.

– Widzisz, jak trzęsą mi się ręce? Chwila nieuwagi i pociągnę za spust.

– Nie ma takiej potrzeby, proszę pani. – Na górze pojawił się kolejny mężczyzna. Maggie go nie widziała, ale po akcencie domyśliła się, że nie pochodzi z Atlanty; raczej gdzieś z północy Stanów.

– Anthony, przepuść te kobiety. Im szybciej dowiemy się, o co im chodzi, tym szybciej sobie pójdą.

Grubas stanął bokiem, ale mimo to tarasował przejście. Najpierw przepchnęła się Gail.

Maggie wciągnęła brzuch, ale i tak musiała się o niego otrzeć. Potem złapała Kate za rękę i pomogła jej się precyzyjnie.

Przed otwartymi drzwiami stał Sir She. Był wysoki i wyjątkowo chudy. Jego skóra miała kolor wody w rzece. Nosił starannie przystrojone afro, które zasłaniało mu uszy. Na szyi miał zawiązaną złotą-czerwoną apaszkę. Był ubrany w jedwabną fioletową koszulę z perłowymi zatraskami i spodnie z diagonalu w czarno-białą jodełkę. Pod obcisłym materiałem widać było każdy szczegół jego anatomii.

Maggie pomyślała, że przypomina raczej J.J. Walkera niż transseksualnego alfonsa. W jego wyglądzie nie było nic zniewieściałego. Nie przeginał ręki w nadgarstku i nie miał ani śladu makijażu na twarzy. Czarnoskóre policjantki nie myliły się co do jego przerażających butów: nosił kozaki ze złotymi trójkątnymi czubami, ostrymi jak igła. Na białej skórze widać było ślady krwi.

Sir She skupił uwagę na Kate. Uśmiechnął się promiennie.

– Proszę, proszę! Jesteś najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem. Bije od ciebie niesamowity blask, a twoja skóra przypomina porcelanę. Jaka delikatna talia! Ręce same się rwą, żeby cię objąć.

Na nic się zdały ostrzeżenia Gail. Kate była dumna jak paw.

– Dziękuję.

Gail spojrzała na Maggie i przewróciła oczami.

– Nazywasz się Sir She?

Jego uśmiech zmienił się w grymas niezadowolenia.

– Sir Chic. C h i c!

Maggie wcale się nie zdziwiła, gdy Kate zaczęła chichotać.

– Czy wy białasy nie umiecie mówić po angielsku?

– Po mieście krążą plotki, że jesteś transseksualnym pedziem.

– W każdej chwili mogę udowodnić, że to brednie – oznajmił, łapiąc się za krocze.

– Nie ma takiej potrzeby. Jeden mały czarnuch już raz zgubił się w moje cipie i do dziś nie może stamtąd wyjść. Strasznie boli, jak kicham. – Gail weszła do pokoju. – Cholera, to wygląda zupełnie jak szafa Fibera McGee.

Po chwili Maggie zrozumiała, o co chodzi. W porównaniu z parterem pokój sutenera wyglądał jak chlew. Wszędzie walały się jakieś pudła, w kątach zalegały śmieci, a z dziur w meblach wylaziła gąbka i papier. Maggie zobaczyła dwa drewniane krzesła z połamanymi oparciami. Były zsunięte, więc założyła, że to miejsce Anthony'ego. Na parapecie stała szklanka z niedopitą mrożoną herbatą, a o ścianę oparty był kij baseballowy.

W tym pomieszczeniu aż roiło się od potencjalnych zagrożeń. We wprawnych rękach kij mógł być bardziej niebezpieczny niż rewolwer, tak samo zresztą jak kawałek połamanego oparcia. Nawet szklankę z herbatą można było zamienić w śmiertelnościaną broń. Bóg raczy wiedzieć, co było pochowane w meblach i powkładane do pudełek.

Maggie wyjrzała przez okno. Po drugiej stronie ulicy znajdował się opuszczony magazyn. Ktoś celowo odłupał fasadę wokół otworu okiennego, żeby dostać się do granitowego nadproża. To, co zobaczyła, stojąc na ulicy, wcale nie było ludzką dłonią w rękawiczce, tylko powiewającym na wietrze kawałkiem czarnej papy. Odwróciła się. Prawdziwe zagrożenie znajdowało się w odległości około pięciu metrów od niej.

Anthony chrząknął i oparł się o framugę drzwi. Z zaciśniętymi pięściami śledził wzrokiem każdy ruch Gail. Miał skupiony wyraz twarzy i Maggie odniosła wrażenie, że nie jest kimś, kto nie panuje nad emocjami. Czarnoskóre koleżanki ostrzegły ją, że to wariat. Maggie miała jednak okazję obserwować z bliska chorobę swojego ojca i zawsze uważała, że ludzie nie wiedzą, co to choroba psychiczna, nawet jeśli szaleniec zaraz rzuci im się do gardła.

Oceniła grubasa fachowym okiem i doszła do wniosku, że akurat ten może zrobić im krzywdę.

– Dobrze, drogie panie. – Chic zajął miejsce na sofie i wygładził nogawki spodni. – Będziecie tak stały z rozdziawionymi gębami czy powiecie, po co tu przyszłyście?

– A co tam. – Gail usiadła naprzeciwko niego na jednym z krzeseł. Na kolanach cały czas trzymała otwartą torebkę.

Maggie dała znak Kate, żeby zajęła drugie krzesło. Sama chciała brać udział w tej rozmowie na stojąco. Okno miała teraz po prawej stronie, na wprost Chica, a nieco na lewo swoje koleżanki. Anthony stał w drzwiach. Maggie co prawda go nie widziała, ale czuła bijącą od niego nienawiść.

Po cichu odpięła klamrę w kaburze. Wiedziała, że Gail jest w stanie wyciągnąć pistolet z torebki w mniej niż sekundę, ale żeby powalić grubasa, potrzebowały więcej czasu.

– Przejdźmy do konkretów. – Gail nie lubiła długich wstępów. – Whitehall. Pracuje tam dla ciebie parę prostytutek.

– Naprawdę? – Chic przez chwilę milczał. – Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek dla mnie pracował. Twój szturmowcy wsadzili na dołek chyba wszystkie dziewczyny w tym mieście.

– Zamordowano policjanta – przypomniała mu Gail. – Możesz coś z tym zrobić.

– Co mnie obchodzi, że zdechł jakiś pies?

Gail zacisnęła ręce na kolanach.

– Słuchaj, bambusie. Nie mam czasu na takie zabawy.

Kate wyprostowała się jak struna. Chic przeszył ją spojrzeniem.

– Na co się tak patrzysz, maleńka? Odezwiesz się w ogóle?

Tym razem Kate nie miała jednak nic do powiedzenia.

Chic nie mógł bezkarnie zaczepiać Gail, więc postanowił wyładować się na jej młodszej koleżance.

– Przyłazisz do mojego domu i gapisz się na mnie jak na jakiś eksponat w muzeum przyrodniczym. Za kogo do cholery się uważasz? Przyszłaś do zoo?

Gail ani drgnęła. Maggie milczała. Jeśli Kate lubiła wpadać w tarapaty, powinna się nauczyć, jak z nich wybrnąć.

– No i co? – zapytał Chic. – Powiesz coś, głupia pipo, czy mam cię zmusić?

Anthony poruszył się w drzwiach. Pod jego ciężarem zaskrzypiała podłoga.

– Twoja apaszka – rzuciła nagle Kate.

Chic był równie zdziwiony jak reszta. Położył rękę na szyi.

– Coś z nią nie tak?

– Zastanawiałam się... – zaczęła, ale przez moment się zawahała. – Zastanawiałam się, czy jest od Chanel.

Chic zmierzył ją wzrokiem. Po dłuższej chwili, która wydawała się trwać całą wieczność, uśmiechnął się i powiedział:

– Jasne, że tak.

Kate głośno przełknęła ślinę.

– Jest bardzo elegancka. Też bym chciała taką mieć – kontynuowała wciąż lekko drżącym głosem.

– Z twoją karnacją powinnaś unikać czerwieni – skomentował, przyglądając się jej z uwagą. – Twój typ to zima, prawda?

– Jesień, choć zawsze uważałam, że jestem pomiędzy.

Maggie miała ochotę walnąć głową w ścianę. Gdyby tydzień temu ktoś próbowałby jej wmówić, że będzie stała w jakieś norze w CT i słuchała, jak alfons z północy Stanów opowiada o różnych typach urody, wybuchnęłaby śmiechem.

– Jezu Chryste – mruknęła Gail. – Czy możemy wrócić do tematu?

Chic wyglądał na zdziwionego.

– Jakiego tematu?

– Założę się, że w nocy, kiedy zamordowano policjanta, jedna z twoich dziewczyn coś widziała.

Chic rozsiadł się wygodnie na kanapie.

– O tak, na pewno któraś coś widziała.

Gail również zmieniła pozycję na wygodniejszą, o ile było to możliwe na krześle z wyłamanym oparciem. Zachowywała się tak, jakby nie za bardzo ją to wszystko obchodziło, ale wszyscy wiedzieli, że to nieprawda.

– A co konkretnie?

Sutener znowu milczał. Wygładził spodnie i poprawił apaszkę. Zdawał sobie sprawę, że ma przewagę i starał się najdłużej, jak się dało, czerpać z tego przyjemność.

Gail spojrzała na zegarek, potem przeniosła wzrok na Maggie i znowu zerknęła na zegarek.

W końcu Chic przemówił:

– Wydaje mi się, że ktoś, kto posiada tak cenne informacje, powinien dostać jakąś rekompensatę.

– Dobrze. – W głosie Gail słuchać było irytację, ale Maggie wiedziała, że uwielbia ubijać takie interesy. – Czego chcesz?

Chic znowu skupił uwagę na Kate i zaczął z nią wyraźnie flirtować.

– O co powinienem poprosić, skarbie?

Kate patrolowała ulicę od zaledwie dwóch dni, ale zdążyła się już wiele nauczyć.

– Będziesz mógł pracować na północ od Edgewood.

Gail udała, że jest oburzona tą propozycją.

– Może od razu wręczysz mu oficjalnie klucze do miasta?

Chic dał się podejść jak dziecko.

– Brzmi nieźle. Na północ od Edgewood. – Spojrzał na Anthony'ego. – Co o tym myślisz?

– Podoba mi się. – Anthony kiwnął głową.

– Musicie tylko załatwić lepsze dziewczyny – poradziła im Gail, jakby w ogóle była tym zainteresowana. – Z tymi bezzębnymi paszczurami daleko nie zajedziecie.

– Coś znajdziemy.

– Najlepiej od razu dwie. Tylko postawcie je na skraju parku, a nie między drzewami, bo inaczej skończycie z nożem w brzuchu i wcale niewykluczone, że kosę sprzeda wam jakiś glina. – Pochyliła się do przodu. – Dobra, Chic, koniec pieprzenia. Mów, co wiesz, i lepiej, żeby dało się to łatwo zweryfikować.

Chic najwyraźniej znowu się nad czymś zastanawiał. Wreszcie podjął decyzję i wysunął rękę w kierunku dziury w sofie.

W tej samej chwili Maggie i Gail wyciągnęły broń.

– Dobry Boże! Mogłybyście choć odrobinę nam zaufać? – powiedział Chic i wyraźnie czekał, aż schowają pistolety. Po chwili zorientował się, że nic z tego, więc bardzo powoli, jakby w zwolnionym tempie, wsunął dłoń do wnętrza sofy.

Na początku Maggie nie rozpoznała przedmiotu, który stamtąd wyjął. Czuła, jakby przeczytała hasło w krzyżówce i wiedziała, o jaką rzecz chodzi, ale nie była w stanie połączyć tego obrazu ze słowem, które pasowałoby do kratek.

Wreszcie doznała olśnienia: to był nadajnik Jimmy'ego.

Chic uniósł w górę plastikową cegłę jak jakieś trofeum.

– Czy to wystarczy?

Maggie wsadziła rewolwer do kabury i oparła się o ścianę.

– W porządku. – Gail opuściła pistolet, ale nadal trzymała go na kolanach. – Powiedz mi, skąd to masz.

– Jedna z moich dziewczyn znalazła ten nadajnik w zaułku, w którym zginął gliniarz,

przy Whitehall w okolicach banku C&S.

– Tak po prostu tam leżał? – Gail najwyraźniej mu nie wierzyła. – Gdzie jest ta dziewczyna?

– Ukrywa się. Widziała coś, co napędziło jej niezłego stracha. – Chic spojrział na Kate i Maggie, a potem znowu wbił wzrok w Gail. – Was też by to przeraziło.

– Co takiego zobaczyła? – zapytała Gail.

– Nie co, ale kogo. I powiem wam, że w ogóle nie przypomina tego gościa, którego pokazujecie w telewizji. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – To naprawdę gówniana sprawa. Chyba powinienem renegocjować naszą umowę.

Gail skierowała lufę w kierunku jego twarzy.

– Gdzie ona jest?

– Potraktujecie mnie jak Edwarda Spiveya? Podrzucicie mi do mieszkania jakiś syf i będziecie chcieli wsadzić do pierdła?

– Czemu nie.

Chic wpatrywał się w wycelowany w niego rewolwer.

– Posłuchaj mnie, suko. Albo schowasz tę swoją pukawkę, albo twoja stara wysuszona cipa wyląduje za oknem.

Anthony dał krok do przodu.

Maggie zrobiła to samo.

Grubas postąpił jeszcze jeden krok naprzód.

Maggie wyciągnęła pistolet z kabury. Rękojeść była ciepła.

W tym momencie wydarzyły się dwie rzeczy, jedna po drugiej.

Kate upadła na podłogę i nagle zniknęła połowa głowy Chica.

W każdym razie tak to wyglądało z perspektywy Maggie. W jednej sekundzie prawa część twarzy alfonsa – oko, kość policzkowa, szczęka – po prostu zamieniła się w krwawą miazgę.

Ktoś krzyknął. Szyba w oknie rozprysła się na tysiące drobnych kawałków. Maggie usłyszała to wszystko z pewnym opóźnieniem tak samo jak odbijający się echem huk wystrzału.

Jedna kula. Prosto w głowę.

Strzelec.

Maggie padła na ziemię. Obok niej leżała Kate. Miała zamknięte oczy i w ogóle się nie ruszała. Z ucha wypływała jej wąska strużka krwi i spływała po policzku. Wszędzie pełno było szkła. Maggie zgubiła pistolet.

Nigdzie nie mogła go znaleźć.

Nagle roztrzaskało się krzesło, na którym siedziała Gail. To było jak kolejny wystrzał. Anthony rzucił się z furią na policjantkę. Uznał, że to właśnie ona nacisnęła spust.

Przygwoździł ją do podłogi. W jego ręku błysnął nóż. Gail zacisnęła obie ręce na jego nadgarstku. Ostrze znajdowało się zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy.

– Nie! – Maggie zerwała się na nogi i starała się wyciągnąć z kabury pistolet Kate, szarpiąc się z zapiętym zatrzaskiem.

Gail wydała z siebie przerażający wrzask. Maggie mogła jedynie patrzeć, jak długie ostrze zagłębia się w oku koleżanki.

W końcu udało jej się odpiąć kaburę i wyciągnąć rewolwer.

Anthony klęczał nad wijącą się z bólu Gail.

To była ostatnia rzecz, którą zrobił w życiu.

Maggie wycelowała lufę w jego głowę i pociągnęła za spust.

Coś dziwnego działo się z jej zmysłami. Czuła, że naciska metalowy jęczyczek, ale nie usłyszała wystrzału i nie widziała, jak Anthony osuwa się na ziemię. Zdała sobie z tego sprawę, dopiero gdy pod ciężarem padającego ciała zatrzęsała się podłoga. Z lufy wydobywała się smuga dymu, ale Maggie nie była w stanie wyczuć zapachu kordytu.

Usłyszała za to suche trzaski.

Klik, klik, klik.

Jak nakręcana sztuczna szczęka. Skończyły się naboje, ale Maggie nadal pociągała za spust. Wreszcie rzuciła pistolet na podłogę. Dźwięk upadającej broni doszedł do niej z pewnym opóźnieniem. Przypominało to dźwięk zbliżającej się syreny – na początku ledwie słyszalny, a potem nagle zatrzważająco głośny.

– Jezus Maria... O Boże! – powtarzała zdyszczanym głosem Gail, rozpaczliwie łapiąc powietrze. Cały czas miała nóż w oku. Przy każdym oddechu rękojeść poruszała się w górę i w dół.

– Gail? – Maggie podeszła do niej na czworakach. – Gail?

– Co mi...? – Gail sięgnęła w kierunku twarzy.

– Zostaw! – Maggie złapała ją za rękę. To nie mogło dziać się naprawdę. Po prostu brały udział w jakichś ćwiczeniach. Maggie wcale nikogo nie zabiła, a Gail nie leżała obok niej z nożem w oku.

Co dalej? Co dalej?

Maggie załapała mikrofon.

– Dyspozytornia? Tu oddział numer pięć. Podaję nasze położenie: sześćdziesiąt trzy na dwa. Powtarzam, sześćdziesiąt trzy na dwa. To pilne. Dziesięć dwadzieścia.

– Oddział piąty. Dziesięć cztery – zareagowała szybko dyspozytorka. – Pomoc jest już w drodze.

Maggie upuściła mikrofon i rozejrzała się po pokoju, który wyglądał jak pobojuwisko. Nie mogła uwierzyć własnym oczom. Wszędzie pełno było krwi. Sofę pokrywały odpryski chrząstek i kości, a ze ściany wystawały kawałki zębów.

To nie działo się naprawdę. Ci ludzie wcale nie zginęli. Gail i Kate czuły się świetnie,

a Maggie nikogo nie zabiła. Nie wycelowała rewolweru w głowę tego mężczyzny i nie opróżniła całego magazynka.

– Maggie – wyszeptała Gail. – Bardzo źle?

– Nie.

– Na pewno?

Maggie zmusiła się, żeby spojrzeć na twarz koleżanki. Była cała we krwi Anthony'ego. Z oka sączył się przezroczysty płyn, który spływał po jej trupioblady policzku.

To jednak rzeczywistość. Te wszystkie okropności wydarzyły się naprawdę.

– Nie jest źle – skłamała. Ostrze miało przynajmniej piętnaście centymetrów, a wystawała jakaś jedna trzecia długości.

– Oma? – wymamrotała Kate, powoli odzyskując przytomność. Jej ręka powędrowała do głowy. Miała zakrwawione ucho w miejscu, w którym drasnęła ją kula.

– Kate, wstawaj – powiedziała Maggie, starając się nadać swojemu głosowi pewnej stanowczości, ale nie za bardzo jej się to udało.

Kate usiadła i rozejrzała się wokół siebie. Zobaczyła Sir Chica, potem Anthony'ego i wreszcie Gail. Otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale wydobyła z siebie jedynie cichy pisk.

– Nie jest tak źle, jak może się wydawać – oznajmiła Maggie.

Kate nie była w stanie oderwać wzroku od noża. Wiedziała, że wcale nie jest dobrze. To cud, że nie podzieliła się tą myślą na głos.

– O cholera – szepnęła Gail. Starła się nie ruszać głową i napinała mięśnie karku tak mocno, że widać było niemal każde ich włókno. – Jest źle. Wiem, że jest źle.

– Wszystko będzie... – Maggie nie mogła dokończyć. Wiedziała, że to nieprawda. Nic już nie będzie dobrze.

– Nie rób tego – wycharczała Gail. – Tylko się do cholery nie rozbecz.

– Wcale nie zamierzam – skłamała Maggie.

– To się tyczy również ciebie, Murphy. Wyjmę sobie ten nóż i własnoręcznie was zadźgam. Zrozumiano?

– Tak – powiedziała Kate, nie mając pojęcia, na co tak naprawdę się godzi. Miała rozszerzone źrenice i wyglądała, jakby była pod wpływem narkotyków.

Maggie złapała Gail jeszcze mocniej za rękę. Z całym siłą starała się hamować napływające łzy. Musiała dotrzymać obietnicy. Załoga karetki, policjanci, wszyscy ludzie, którzy byli teraz w drodze – nikt nie mógł zobaczyć, że płacze. Musi być twarda. Twardsza niż inni.

Spojrzała w sufit. Wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze. Nie potrafiła znaleźć żadnego punktu, na którym mogłaby zawiesić wzrok. Nie była w stanie patrzeć ani na Gail, ani na Kate. Nie chciała też widzieć dwóch martwych mężczyzn, których ciała już zaczęły wydzielać charakterystyczny zapach krzepnącej krwi.

Wyrzała przez rozbite okno wychodzące na opuszczony magazyn po drugiej stronie ulicy.

Powiewający wcześniej na wietrze kawałek czarnej papy gdzieś zniknął.

Gdy Fox oddalał się z miejsca zbrodni, przeszedł obok odpicowanego mercury'ego i zabrał z tylnego siedzenia czapkę Kate.

Kwiaty.

Wiedział, że włosy Kate będą miały zapach kwiatów. Nie perfum, tylko prawdziwych roślin rosnących w żyznej glebie.

Zaczął się zastanawiać, jakie to uczucie dotykać jej skóry. Chciałby ją ugryźć i przywoździć do ziemi, a potem po kolei zrywać płatki i ranić się o kolce.

Zawsze czuł się w ten sposób po dokonaniu zabójstwa – był niezaspokojony i miał ochotę na więcej.

Był coś winien Kate Murphy. To ona go tu doprowadziła. Co prawda Fox miał również oczy i uszy szeroko otwarte. Od śmierci Dona Wesleya cały czas docierało do niego przez skaner mnóstwo nowych informacji. Kiedy Fox zabijał handlarzy narkotyków i inne szumowiny, nikogo to nie interesowało. Zwrócił na siebie uwagę dopiero, gdy sprzątnął kilku gliniarzy, chociaż w pełni na to zasługiwali.

Miał już jednak dość niespodzianek.

Był też zmęczony naprawianiem własnych błędów.

Kiedy wczoraj w nocy wracał do domu, postanowił jeszcze raz odwiedzić zaułek przy Whitehall, w którym Don Wesley obciągał druta Jimmy'emu Lawsonowi. Uznał, że zostawienie miejsca zbrodni w takim stanie to oznaka lenistwa, a Fox nie należał przecież do leniwych.

Lekcja numer osiem: zawsze działaj zgodnie z planem.

Oto jego scenariusz: wyceluj pistolet prosto w twarz ofiary, powiedz jej, że ma zgłosić przerwę u dyspozytora, odłącz nadajnik, żeby nie mogła wezwać pomocy, każ jej ukłęknąć, spleść palce i założyć dłonie za głowę, pociągnij za spust.

Bum!

Bum!

Dwaj mężczyźni. Dwa ciała. Dwa kolejne nazwiska na liście.

A potem trzeba dokładnie sprawdzić, czy nie zostały jakieś ślady, na które mogliby trafić dobrzy policjanci.

Kiedy wrócił na Whitehall, sperma i krew zaczęły już powoli wysychać. Podzielił teren na kwadraty i rozpoczął poszukiwania – taką metodę stosował w dżungli, gdy rozbrajał miny. Obszedł cały zaułek wzdłuż i wszerz, ale nie znalazł nic szczególnego. Tylko zwykłe

śmieci, które zalegają na wszystkich ulicach tego miasta.

Niestety, najwyraźniej ktoś był tu przed nim. Najprawdopodobniej sutener. To on wziął porzucony nadajnik. Nadajnik Jimmy'ego Lawsons. Alfons musiał dostać cynk od jakiejś dziwki. Żadna nie przepuściłaby przecież okazji na dodatkową premię. Interesowało je tylko obciążanie kutasów i okradanie Bogu ducha winnych facetów.

Sutener teoretycznie nie stanowił żadnego problemu, ale był świadkiem.

Dobrze, że Fox wziął ze sobą karabin.

Kula drasnęła ucho Kate, ponieważ tego chciał. Kiedy to się stało, poczuł w ustach smak krwi.

Jej krwi.

Oblizwał wargi, które szybko wyschły na zimnym wietrze. Nie potrzebował jednak wiatru, tylko błyskawic. Nie wszystko układało się zgodnie z planem. Myśli wirujące z tyłu głowy nie mogły wydostać się na zewnątrz, a narząd między nogami niemal krzyczał, że ma już dość czekania. Fox potrafił być cierpliwy, ale nie był przecież święty. Jutro sprawy muszą przybrać odpowiedni obrót albo stanie się coś naprawdę złego.

Usłyszał wycie policyjnych syren. Przyjechali szybciej, niż się spodziewał. Nie miał wyboru i schował się w bocznej uliczce. W tej dzielnicy ewentualni świadkowie nie stanowili jednak specjalnego problemu. Był białym mężczyzną z policyjną czapką w ręku i przewieszonym przez ramię karabinem snajperskim.

„Nic nie widziałem, panie władzo”.

Za jego plecami śmignął radiowóz. Fox zaparkował swoje auto za następnym rzędem domów. Wiedział, którądy może się tam dostać. Zawsze dbał o zabezpieczenie odwrotu.

Uśmiechnął się, gdy nagle pod stopami poczuł wibracje. To pociągi przejeżdżające przez Howell Wye.

Pociągi.

Wreszcie pojawiła się błyskawica i doznał olśnienia. Nowy pomysł nieoczekiwanie wyskoczył z tyłu głowy i objawił się w całej wspaniałości – czuł, że może go wziąć w ręce i obejrzeć ze wszystkich stron. To był skomplikowany, ale naprawdę dobry plan.

I jak w wypadku wszystkiego, co wydarzyło się w tym tygodniu – wszystko zaczyna się od Jimmy'ego Lawsons.

– Odchodzisz z policji. – Terry prowadził auto jedną ręką, a w drugiej trzymał papierosa. – Wcale nie żartuję, moja panno. Jutro jeszcze przed odprawą chcę widzieć na biurku Vicka twoje wymówienie.

Maggie nie odezwała się ani słowem. Siedziała z zamkniętymi oczami i tak mocno zaciskała szczęki, że czuła w ustach smak srebra ze swoich plomb.

– Pieprzona Patterson – wymruczał Terry. – Czemu wy się zadajecie z tą wariatką? Ona nie jest detektywem. Zresztą żadna z was nie ma prawa prowadzić śledztwa w tej sprawie.

Smak metalu mieszał się jeszcze ze smakiem krwi. W domu Portugalki musiała ugryźć się w policzek, ale nie była w stanie sobie przypomnieć, kiedy to się stało. W pewnym momencie jej zęby trzonowe zadziały jak nóż i rozcięły delikatną tkanę.

Nóż.

– Słuchasz mnie? – Terry uderzył ją w twarz. – Otwórz oczy, do cholery!

Maggie zrobiła, co jej kazał, i zaczęła się przyglądać, jak światła radiowozu rozcinają gęstniejącą ciemność.

– To jest, do kurwy nędzy, niewiarygodne! – Terry nie przestawał jej strofować, a ona nie przestawała okazywać, że ma to gdzieś.

Nie pozwolili jej zostać w szpitalu, choć Kłopot ją o to poprosił i sama nie miała nic przeciwko temu. Na oczach całej jednostki Terry złapał ją za kołnierz i zaciągnął do samochodu.

Gail nawet nie będzie wiedziała, że Maggie chciała być blisko niej. Cały czas trwała operacja. Lekarze powiedzieli, że już na zawsze straci wzrok w zranionym oku i być może ma uszkodzony mózg. Co oni jednak mogli wiedzieć? Gail żartowała, zanim jeszcze dostała morfinę. Ratownicy śmiali się z jej dowcipów i dali jej nawet papierosa. Kiedy się zaciągnęła, powiedziała coś o wypuszczaniu dymu okiem.

Maggie się uśmiechnęła. Podczas wspólnych patroli Gail zawsze opowiadała mnóstwo anegdot ze starych czasów, na przykład historię o rabusiu, który wskakując na ladę, uderzył się w głowę i zemdlął. Albo o idiocie, który chciał okraść sklep monopolowy, ale przypadkiem sam strzelił sobie w łeb. Praca u boku Gail nie tylko nauczyła Maggie, jak być gliną, lecz także jak korzystać z władzy. Po raz pierwszy w życiu miała w swoich rękach jakąś władzę. Na jej rozkaz ludzie musieli się zatrzymać i słuchać, co ma im do powiedzenia. Nie mogli dyskutować i przekonywać jej, że nie ma racji. A nawet jeśli tak robili, to ona zapisywała każde słowo w raporcie z aresztowania, z którego później korzystał prokurator.

Gail mawiała w takich sytuacjach:

– Gadaj dalej, sukinsynu. Mamy jeszcze dużo długopisów.

To już się więcej nie powtórzy. Gail nie wróci do pracy w policji. Z jednym okiem nie będzie w stanie zdać okresowych testów sprawnościowych. Nie będzie mogła patrolować ulic ani wsadzać przestępców za kratki. Anthony nie tylko odebrał jej wzrok, lecz także pozbawił ją władzy.

Może właśnie dlatego Maggie nie miała żadnych wyrzutów sumienia, a przecież zabiła człowieka. Pozbawiła kogoś życia.

Oko za oko.

– Hej, głupku! – Terry pstryknął palcami tuż przed jej nosem. – Zadałem ci pytanie.

Maggie nie miała najmniejszej ochoty z nim rozmawiać. Na wszystkie pytania odpowiedziała już wcześniej, gdy składała szczegółową relację Calowi Vickowi. Nie była jednak pewna, czy wszystko dobrze zapamiętała. To, co stało się w domu Portugalki, wydawało jej się tak odległe, że z trudem była w stanie dać temu wiarę. Czuła się, jakby słuchała anegdot o wydarzeniach z własnego dzieciństwa, których sama nie pamiętała. Na przykład o tym, jak w wieku trzech lat otworzyła wszystkie prezenty świąteczne Jimmy’ego albo jak w wieku pięciu lat rozcięła sobie nogę o zardzewiały gwóźdź.

Na samą myśl o tym wydarzeniu jej ręka powędrowała w kierunku blizny. Znała historię tej rany, ale ból i strach, które musiały temu towarzyszyć, zostały kompletnie wymazane z jej pamięci.

Terry skrzył kierownicą tak gwałtownie, że Maggie prawie spadła z siedzenia. Wjechał na podjazd i z piskiem opon zatrzymał się pod wiatą.

– Gdzie jest twój brat?

Maggie otworzyła drzwi. Nie miała pojęcia, gdzie jest Jimmy. Jego samochodu nie było na ulicy. Spodziewała się, że brat pojawi się w domu Portugalki, i za każdym razem, gdy w progu stawał ktoś nowy, ścisnęła ją w piersiach. Ale potem okazywało się, że to wcale nie Jimmy, i czuła, jak zalewa ją zimna fala rozczarowania.

Weszła po schodach do kuchni. Popielniczka była wypełniona po brzegi niedopałkami, a jej matka stała odwrócona plecami do drzwi.

Maggie położyła pas na blacie.

– Mamo...

– Jutro rzucasz tę pracę – powiedziała Delia, nie zmieniając pozycji.

Maggie była zaskoczona, ale po chwili poczuła się z tego powodu głupio.

– Wcale nie żartuję, Margaret. – Wreszcie odwróciła się do córki. Miała czerwone oczy i wyglądała jak zgrzybiała staruszka. – Będziesz pracować ze mną w jadłodajni albo znajdziesz robotę w jakimś biurze. Możesz jeździć ciężarówką. Nic mnie to nie obchodzi. Na pewno nie wrócisz na posterunek.

– Dokładnie to samo jej powiedziałem – włączył się Terry. Nie był dużym mężczyzną, ale jego obecność wyssała z pomieszczenia resztę powietrza. – Gdzie jest Jimmy?

– Myślałam, że z tobą. – Delia krzyknęła w kierunku schodów. – Jimmy? – Odczekała sekundę i zawołała jeszcze głośniejszym głosem. – Jimmy!

– Zamknął się w swoim pokoju! – wrzasnęła z góry Lilly.

– Siedzi u siebie w pokoju? – wymamrotał Terry. – Co się z nim, do cholery, dzieje?

– Skąd mam to wiedzieć? – odburknęła Delia. – Moje dzieci mają mnie w głębokim poważaniu.

Terry wszedł po schodach na piętro. Widać było, że ledwie tłumi w sobie wściekłość.

– Naprawdę nie żartuję, Margaret – powtórzyła groźnym głosem Delia. – Koniec zabawy w policjantów i złodziei.

Nawet jeśli Maggie chciałaby zareagować, nie była w stanie otworzyć ust.

– Zabiłaś człowieka. Dokonałaś zabójstwa.

Maggie wstrzymała oddech.

– Masz krew na ubraniu. I na twarzy. Gail jest ciężko ranna. Wiem, że to twoja przyjaciółka. Zobacz, co się z nią stało. Będzie kaleką do końca życia. – Zadrżał jej głos. – Margaret, to dla niej koniec.

Maggie starała się za wszelką cenę nie odwrócić wzroku.

– Co z nią będzie? – Delia postanowiła sama udzielić odpowiedzi na to pytanie. – Straci pracę i zostanie bezrobotna. Odejdzie od niej mąż. Jaki facet będzie chciał się związać z niepełnosprawną kobietą, która wymaga ciągłej opieki?

Maggie głośno przełknęła ślinę.

– To mogło spotkać również ciebie. Przeszło ci to przez myśl? Wzięłaś pod uwagę, że będę musiała się tobą zajmować? Ale ja kiedyś umrę. I co wtedy? Kto cię będzie niańczył? Twój brat Jimmy? A może Lilly? – Chwyciła się mocno blatu. – Będziesz tak stała i gapiła się na mnie jak jakiś półgłówek?

Maggie w końcu odzyskała głos.

– Ale ja jestem cała i zdrowa.

– No i co z tego? – Delię ogarnął niepokonany gniew. – Jesteś mordercą. O to ci chodziło? Chciałaś kogoś zabić? Mieć czyjąś krew na rękach? – Złapała córkę za ramię. – Odpowiedz!

Maggie spojrzała na koniuszki jej palców, były całe żółte od nikotyny.

– Żałuję tylko, że nie zabiłam go wcześniej – powiedziała.

Delia się zachwiała. Wyglądała, jakby nie poznawała własnej córki.

Maggie otworzyła szafkę pod zlewem i wyjęła stamtąd papierową torbę.

– Co robisz?

– Idę posprzątać bałagan, który zrobili Terry, Jimmy i ich kumple – odpowiedziała, trzymając kurczowo torbę w rękach. – Przecież tego właśnie chcesz, prawda? Mam do końca życia siedzieć w domu i skakać wokół innych.

Wyszła na zewnątrz. Przeszył ją chłód wieczornego powietrza. Nie chciało jej się zapalać światła, które ojciec założył pod wiatą, kiedy po raz ostatni wyszedł ze szpitala. Nie zrobił tego najlepiej i żarówki zazwyczaj mrugały jak dyskotekowe kule. Przez okno padał tylko słaby blask lampy kuchennej, ale z jakiegoś powodu Maggie chciała pozostać w cieniu.

Siedem godzin temu Terry cisnął w nią puszką piwa. Teraz Maggie podniosła ją z ziemi. Po ręce pociekły jej resztki napoju. Wrzuciła metalowy pojemnik do torby. To samo zrobiła z następnym. Nie miała zamiaru ich liczyć, ale gdy doszła do ścieżki biegnącej obok domu, zebrała ich piętnaście.

W tej części ogrodu było tak ciemno, że nie widziała, dokąd idzie. W pewnej chwili nastąpiła na kolejną puszkę. Aluminium wygięło się pod jej stopą. Kucnęła i zaczęła zbierać resztę śmieci.

Szesnaście, siedemnaście, osiemnaście.

Torba była już wypełniona po brzegi, jednak zamiast wrócić do kuchni, Maggie przeszła podwórko i stanęła na chodniku przed domem.

Na podjeździe stała furgonetka Lee Granta. Zobaczyła złote, żółte i zielone pasy oraz logo firmy telekomunikacyjnej Southern Bell wymalowane na boku pojazdu. Podeszła bliżej i położyła rękę na masce. Silnik był zimny.

Wspięła się po dwóch stopniach prowadzących do bocznych drzwi i zapukała. Nie była jednak pewna, czy Lee ją usłyszał, więc dla pewności nacisnęła na dzwonek. W ciągu ostatnich ośmiu lat zamieniła z sąsiadem nie więcej niż pięć słów. W obecności Jimmy'ego zawsze był wyraźnie zdenerwowany, a Terry napawał go lękiem, co tylko pokazywało, że Lee był inteligentniejszy, niż wszyscy podejrzewali.

Otworzył drzwi i ze zdumienia wytrzeszczył oczy. Na mundurze Maggie zobaczył krew.

– Nie martw się – powiedziała onieśmielonym głosem, ponieważ zapomniała, że Lee stara się czytać z ruchu warg. – Nie jestem ranna.

– Ale wszystko u ciebie w porządku? – spytał, dziwnie zmiękczając spółgłoski.

Maggie zerknęła przez ramię, upewniając się, że nikt ich nie obserwuje.

– Czy istnieje jakiś centralny rejestr adresów i numerów telefonów wszystkich przedsiębiorstw w mieście?

Całe szczęście Lee nie zapytał jej, czy sprawdzała książkę telefoniczną.

– Tak, w dziale fakturowania.

– Potrzebny mi jest adres baru Dabbler's – powiedziała i dla pewności przeliterowała nazwę. – Możesz to dla mnie załatwić?

– Tak.

Po raz pierwszy od kilku dni Maggie odetchnęła z ulgą.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

Ostatni raz zadał jej to samo pytanie osiem lat temu, gdy leżała u niego na kozetce w kuchni. Było duszno i gorąco. Jego matka nie potrafiła gotować. Pracowała jako

pielęgniarka i często brała nocne zmiany. Rodzina żywiła się więc mrożonkami i fast foodem, co uchodziło za luksus, na który nie stać było nikogo z sąsiadów.

– Wrzucić kartkę z adresem do skrzynki pocztowej. Tylko ja do niej zaglądam.

– Wiem – powiedział i od razu zdał sobie sprawę, że właśnie się zdemaskował. Zbity z tropu odwrócił wzrok.

Maggie zauważyła, że nad uchem ma zatknięty nowoczesny aparat. Do biegania zakładał stary, pewnie dlatego, że nowy musiał go sporo kosztować. Pomyślała, że od jego ostatniej bójki z Jimmym minęło jakieś piętnaście lat. W ferworze walki jej brat zniszczył wtedy Lee Grantowi urządzenie poprawiające słuch. Jego ojciec przyszedł ze skargą i pokazał Delii rozbite plastikowe pudełeczko. Stary Grant pracował dla firmy telekomunikacyjnej i nie zdążył jeszcze zdjąć pasa monterskiego. Tamtego dnia miał przekrwione oczy, mimo że normalnie nie zaglądał do kieliszka. Delia musiała przez trzy miesiące brać nadgodziny, żeby odkupić zniszczone urządzenie. Jimmy miał zakaz wychodzenia z domu, ale i tak weekendy spędzał razem z Terryem.

– Przepraszam – bąknęła, ale Lee na nią nie patrzył i nie była pewna, czy ją usłyszał.

– Maggie! – wrzasnął Terry.

Na dźwięk jego głosu aż podskoczyła. Lee zaczął zamykać drzwi, a Maggie zbiegła po schodach i przebiegła przez podwórko.

– Maggie!

– Co takiego? Czego chcesz?

Terry stał w drzwiach wejściowych. Widać było, że jest wściekły. Sapał jak rozjuszony byk. Miał otwarte usta i rozszerzone nozdrza.

Maggie zatrzymała się w pół kroku. Wiele razy przekonała się na własnej skórze, że Terry jest zdolny do najgorszego, wcale nie wtedy, gdy się wydziera, ale kiedy sprawia wrażenie spokojnego.

– Wracaj do domu. Już! – wysyczał przez zaciśnięte zęby.

Weszła po schodach, łapiąc się rozchybotanej poręczy. Miała nogi jak z waty. Ostatni raz, kiedy Terry był w takim nastroju, uderzył ją z całej siły i upadła na podłogę.

Na samym środku ciemnej kuchni stała Delia. W trzęsących się rękach ścisnęła kartkę wyrwaną z notesu. Kołysała się na boki, z trudem utrzymując równowagę. Nagle Maggie przypomniała sobie o nożu wbitym w oko Gail i o unoszącej się w górę i w dół rękojęści.

Delia wpatrywała się w zapisaną wiadomość. Widać było, że cała drży.

– To nieprawda. Powiedz mi, że to nieprawda.

Przez cienki papier prześwitywał niebieski atrament. To było pismo Jimmy'ego. Maggie wyjęła kartkę z rąk Delii. Pierwsza linijka była prawie nieczytelna i wydawało się, że została napisana w obcym języku.

To ja jestem Strzelcem z Atlanty.

Maggie przeszył zimny dreszcz.

Zabiłem tych facetów, ponieważ się z nimi pedaliłem i nie chciałem, żeby ktoś się o tym dowiedział.

Maggie zakreśliło się w głowie i żeby nie upaść, chwyciła się blatu.

Zostawcie mnie w spokoju. Jeśli zaczniecie mnie szukać, zginą następni. Maggie...

Przeczytała swoje imię dwa razy. Chyba po raz pierwszy widziała je zapisane ręką swojego brata.

Maggie, przykro mi, że nigdy cię nie przeprosiłem. Powinienem powiedzieć, że to nie była twoja wina.

Przyjrzała się uważnie podpisowi. Na samym dole widniało pełne imię i nazwisko – Jimmy Lawson – ale była w stanie odczytać jedynie pierwsze litery: J i L. Nie miała wątpliwości, że to jego charakter pisma. W końcu przepisywała na maszynie wszystkie jego raporty, a każdego ranka przed odprawą Jimmy składał pod nimi swój zamaszty autograf.

– Nikt nie może się o tym dowiedzieć – oznajmił Terry.

Jego słowa zawisły w powietrzu i Maggie miała wrażenie, że mogłaby wyciągnąć rękę i ich dotknąć.

– Ale wasi koledzy. Oni mogą... – wydukała Delia.

– Żadnych dyskusji – przerwał jej Terry. – To nie może opuścić tego pomieszczenia.

Maggie pokręciła głową.

– Przecież to przyznanie się do winy. Musimy...

Terry złapał ją za kark i Maggie poczuła, że unosi się w powietrzu. Wbiła paznokcie w jego dłonie.

– Powiedziałem, że nikt nie może się o tym dowiedzieć.

Maggie zaczęła kopać w ścianę. Chciała krzyczeć, ale nie mogła złapać tchu.

– Jeśli puścisz parę z ust... – Jeszcze mocniej zacisnął rękę na jej szyi. – Wszyscy dowiedzą się, że pracują z pieprzoną ciotką...

– Terry – wymamrotała Delia. – Ona jest sina na twarzy. Puść ją, proszę. Błagam!

Terry zwolnił uścisk.

Maggie upadła na podłogę i starała się wciągnąć w płuca haust powietrza. Gardło dosłownie paliło ją z bólu.

– To nieprawda. Mój syn nie jest pedałem. Ktoś zmusił go do napisania tej wiadomości.

– Brednie – odparł Terry. – Nigdy w życiu nie powiedziałbym, że jestem ciotką, nawet jeśli ktoś przystawiłby mi pistolet do skroni. Prędzej bym zginął.

Delia nie dawała jednak za wygraną.

– Co tydzień Jimmy spotyka się z inną dziewczyną. Wręcz nie może się od nich opędzić.

Maggie odkaslnęła i podniosła list z podłogi.

– Gdzie to było? – Spojrzała na matkę, a potem na Terry'ego. – Gdzie?

– Terry znalazł to na jego łóżku – odpowiedziała Delia.

Maggie była już w połowie schodów, gdy zdała sobie sprawę, że przeszła ten dystans na własnych nogach. Wdrapała się na piętro, minęła pokój Delii i zawsze zamknięte drzwi do królestwa Lilly i stanęła przed sypialnią Jimmy’ego.

Na framudze widać było wyraźne ślady kopnięć, a z dziur wystawały kawałki drewna. To na pewno robota Terry’ego. Maggie dotknęła palcami ostrych drzazg, które zostawiły na jej skórze białe ślady.

Pokój Jimmy’ego był pomalowany na ciemnoszaro tak jak reszta domu. Z sufitu zwisała lampa ze stuwatową żarówką, w której blasku pomieszczenie wyglądało jak scena zbrodni. W rogu stało duże łóżko, które Delia kupiła, gdy syn skończył szesnaście lat. Była jeszcze komoda, którą ktoś wystawił na ulicę, gdy eksmitowano mieszkającą w okolicy rodzinę. Na komodzie leżała skórzana kosmetyczka Jimmy’ego, w której Maggie zauważyła brzytwę, grzebień i pędzel do golenia. Obok w równym rzędzie poustawiane były flakony z męskimi perfumami. W tym wypadku Jimmy lubił różnorodność. Pierre Cardin, English Leather, Brut, Prince Matchabelli. Na gwiazdkę Maggie kupowała mu zawsze w prezencie nową butelkę.

Podeszła do szafy, która nie miała drzwi, tylko przesuwaną zasłonkę. Po lewej stronie były mundury, które sama tam zresztą powiesiła, pośrodku spodnie, potem koszule, a na samym końcu kurtki i marynarki. Jimmy przykładął dużą wagę do porządku w swojej garderobie. Wszystkie ubrania podzielone były ze względu na kolor: granatowe, czarne, szare i białe.

Maggie jeszcze raz spojrzała na list.

To ja jestem Strzelcem z Atlanty.

Usłyszała, że za jej plecami stanął Terry. Ciężko oddychał, pewnie dlatego, że musiał wejść po schodach.

– Gdzie był Jimmy po południu, po tym jak wyszliśmy?

Terry milczał.

Maggie zaczęła przeszukiwać kieszenie w ubraniach Jimmy’ego.

Zabiłem tych facetów, ponieważ się z nimi pedaliłem.

– Czego szukasz? – zapytała Delia.

Maggie nie przestała myszkować w szafie. Nie mogła jednak nic znaleźć. Żadnych zapalek, żadnych nowych wskazówek. To ona zawsze prała wszystkie ubrania brata i bez przerwy natrafiała na serwetki z zapisanymi numerami telefonów i podarte karteczki.

Czy były to namiary do innych facetów?

– Maggie, przestań. Dobrze wiesz, że Jimmy nie lubi, jak ktoś grzebie w jego rzeczach – powiedziała Delia.

Maggie nie mogła przejść nad tym wszystkim do porządku. Naprawdę miała uwierzyć w te bzdury? W to, że jej własny brat pojechał do domu Portugalki? Że prawie zabił Kate? Że zastrzelił sutenera? A co z pozostałym ofiarami: Keenem, Porterem, Ballardem

i Johnsonem? Miała zaakceptować, że Jimmy'ch zamordował, a potem siadał rano przy stole z rodziną, pił kawę i obzerał się jajkami z bekonem?

A Don Wesley? Przecież razem pracowali i byli przyjaciółmi.

Odwróciła się. Za jej plecami stali Terry i Delia. Czowała, że jeśli nie powie wszystkiego na głos, pęknie jej głowa.

– To bez sensu. Dlaczego miałyby to zrobić?

– Bo jest ciotą – odpowiedział Terry. – Nie umiesz czytać? Chodziłaś przecież do college'u. To działo się na twoich oczach, ale ty niczego nie zauważyłaś, bo byłaś za bardzo zajęta własną dupą.

– Ty też niczego nie zauważyłaś.

Terry wziął zamach i uderzył ją tak mocno, że wpadła na ścianę. Przyłożyła dłoń do policzka i wyczuła krew.

– Pierdolony burdel – wysapał Terry, przechodząc przez pokój. Sypialnia Jimmy'ego była tak mała, że po trzech krokach musiał zawrócić. – Co on sobie, do cholery, wyobraża?

Maggie i Delia milczały, ponieważ nie istniała żadna sensowna odpowiedź na to pytanie. Cisze przerwał odgłos igły przesuwającej się po winylowej płycie. *Tapestry*. Lilly puściła muzykę naprawdę głośno. Najwyraźniej nie miała ochoty słuchać kłótni toczącej się w sąsiednim pokoju.

– To nie może się wydać. Słyszysz mnie? Gęba na kłódkę! – krzyczał Terry.

Maggie patrzyła, jak nerwowo chodzi od ściany do ściany. Bardziej wkurzało go to, że Jimmy jest gejem niż mordercą.

– Bud i Cal mogliby... – zaczęła nieśmiało Delia.

– Nie – przerwał jej Terry. – Nikt się o tym nie dowie, Dee. Koniec i kropka. Sami się tym zajmujemy.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytała przerażonym głosem. – Terry, proszę cię, powiedz mi, jaki masz plan.

Cały czas chodził wte i wewte, starając się znaleźć jakieś wyjście z sytuacji. Wreszcie podjął decyzję.

– Znajdę go i własnoręcznie zabiję. To właśnie zamierzam zrobić.

– Terry! – wrzasnęła Delia. – Na miłość boską!

– Do jasnej cholery! – Terry walnął w ścianę tak mocno, że posypał się tynk.

Nagłą ciszę przerwały dźwięki *Tapestry*, utwór *So Far Away*.

Terry obejrzał rękę. Knykcie miał już wcześniej posiniaczone, a teraz pojawiły się na nich świeże rany. Kilka razy otworzył i zacisnął pięść.

– Muszę to zrobić, Dee. Nosimy to samo nazwisko. To mój obowiązek.

– Terry – powtórzyła Delia. – Terry, błagam cię, nie rób tego.

– Wolisz proces? Naprawdę tego chcesz? – Skrzywił się z obrzydzeniem. – Wyobrażasz sobie, że twój syn będzie siedział na ławie oskarżonych i publicznie opowiadał o tym, jak

ciągnął druta policjantom, których później zamordował?

Delia zrobiła się biała jak prześcieradło.

– Jeśli powiesz o tym Vickowi, to sam będzie chciał go zastrzelić. Tak samo Jett, Mack, Red i cała reszta. Zabiją go jak psa i nikt nie będzie miał do nich pretensji.

– To wcale nie tak – oponowała Delia. – Coś tu nie gra. Kiedy pisał ten list, na pewno nie był przy zdrowych zmysłach.

– Myślisz, że ława przysięgłych uwierzy, że ogarnęła go czasowa niepoczytalność? – Terry rozprostował palce. – Możesz spróbować takiej linii obrony, ale skąd wiesz, że nie posadzą go od razu na krześle elektrycznym?

Delia zachwiała się i złapała za klamkę, żeby nie stracić równowagi.

– Chcesz go odwiedzać w pudle, a potem patrzeć, jak przywiązują do Starej Iskrówki? – Terry wytarł zakrwawione ręce o koszulę Jimmy’ego. – Podczas egzekucji skazańcy pod siebie srają, więc zakłada się im pieluchy. Jeśli kat kogoś nie lubi, to zdarza się, że nie namoczy odpowiednio gąbki i kiedy włączy prąd, delikwent smaży się żywcem. – Terry złapał Delię za rękę. – Naprawdę tego chcesz, Dee? Jimmy ma umierać w bólu na twoich oczach?

– Mój Boże! Proszę, przestań opowiadać takie rzeczy. Nie mogę tego słuchać.

– Niestety, musisz. – Spojrzał na Maggie. – Ty też, moja panno. Jimmy to pieprzona ciota, ale nadal jest twoim bratem.

Maggie nie wiedziała, co powiedzieć. Czowała się przytłoczona. Miała obolałe gardło i łupało jej w skroniach. Istne szaleństwo. Nie mogła w to wszystko uwierzyć. Wierutne brednie! Jimmy nie jest ani homoseksualistą, ani tym bardziej mordercą.

– Mamo. – Maggie chciała przemówić Delii do rozsądku i złapała ją ze rękę. – On tego nie zrobił. To niemożliwe...

– Nie! – Delia odskoczyła od niej jak oparzona. – Przestań! Nic więcej nie mów! Niepotrzebnie zaczęłaś pracę w policji! To był dla Jimmy’ego za duży stres!

Nienawiść w oczach matki była prawdziwym ciosem w serce.

– To wszystko twoja wina, Margaret. – Delia mówiła z coraz większym przekonaniem. – Gdybyś wyszła za męża, Jimmy na pewno szybko znalazłby żonę. – Widać było, że te słowa przynoszą jej ulgę. Zwróciła się do Terry’ego. – Nie mógł się z nikim związać na stałe. Musiał się nami opiekować. Kto inny miałby to robić?

– A ja się wami, do cholery, nie zajmuję? – powiedział Terry.

– Oczywiście, Terry, ty też bardzo o nas dbasz. – Delia położyła dłoń na jego klatce piersiowej. Znalezienie kozła ofiarnego wyraźnie ją uspokoiło. – Nie wiem, co byśmy bez ciebie zrobili. Ale Jimmy jest jeszcze bardzo młody i żyje pod ciągłą presją. Nie zawsze zdaje sobie sprawę ze swoich czynów. Trochę się pogubił, ale jestem pewna, że wszystko nam wyjaśni.

Terry przykrył swoją ręką dłoń Delii i spojrzał na nią w taki sposób, że Maggie zrobiło się niedobrze.

– Zajmę się tym, Dee.

Maggie po raz kolejny przeczytała wiadomość od Jimmy'ego. Nie tylko przyznawał się w niej do winy, lecz także wyrażał skruchę.

Przykro mi, że nigdy cię nie przeprosiłem.

Co miał na myśli? Jeszcze wczoraj pokajał się przed nią w szpitalu. Dobrze zapamiętała ten moment. Nigdy wcześniej za nic jej nie przeproszał. Może było coś jeszcze. Coś, o czym Maggie nie wiedziała.

Nie chodziło jednak o morderstwo. Mogła uwierzyć, że jej starszy brat jest homoseksualistą, ale z pewnością nie zabił z zimną krwią pięciu mężczyzn.

– Terry, przestań. Przecież Jimmy napisał ten list z jakiegoś powodu. – Broniła brata.

– Jasne, po to, żebyśmy go powstrzymali. Przyszło ci to w ogóle do głowy?

Maggie nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Musiała przyznać, że wcześniej o tym nie pomyślała. Spojrzała na dwa ostatnie zdania. Jimmy wyrażał w nich skruchę, jakby nie wiedział, że już to wcześniej zrobił.

Czy to możliwe, że myliła się co do własnego brata? Osiem lat to długo. Jimmy był teraz dorosłym facetem. Odwiedzał miejsca i spotykał się z ludźmi, których nie znała. Czasami nie wracał na noc do domu i nikt go o nic nie pytał.

– Jimmy będzie kolejną ofiarą Strzelca. Odpowiednio wszystko upozoruję. Odłączę nadajnik, a jeśli to konieczne, połamię mu paznokcie. Odbędzie się policyjny pogrzeb. Jimmy zostanie pochowany z honorami – wyjaśnił Terry. – Delia dostanie odszkodowanie. Jimmy chce w ten sposób naprawić swoje błędy. Wiedział, co robi, gdy kładł na łóżku list, który mógł znaleźć każdy z domowników.

Maggie nie mogła się z tym pogodzić. Jeszcze raz postanowiła przemówić Delii do rozsądku.

– Mamo, miałaś rację. Musimy pokazać tę wiadomość innym ludziom. Z Jimmym stało się coś złego. On nie jest sobą.

Nagle Delia wyrwała jej kartkę i podarła na drobne kawałki.

Fox leżał za zwalonym drzewem i obserwował duży dom stojący na końcu wijącego się podjazdu. W kuchni paliło się światło, a samochód Kate stał zaparkowany obok garażu. Fox miał doskonały widok na werandę. Przez ubranie czuł chłodny grunt, który przyjemnie uciskał jego uda i przyrodzenie.

Zmienił pozycję. Napięcie robiło się trudne do zniesienia.

Napięcie, którego przyczyną była Kate.

Żałował, że nie ma noktowizora, dzięki któremu nocny krajobraz zalany jest zielonym światłem i można prowadzić obserwację, samemu nie będąc widzianym. Podczas wojny Fox używał noktowizyjnego celownika do tropienia swoich ofiar. Żółtki słynęły ze sprytu, ale były bezradne w obliczu nowoczesnej technologii. Czasami całymi godzinami chodził po dżungli za nieprzyjacielskim żołnierzem, śledząc każdy jego ruch. Widział, jak przystaje, rozgląda się wokół siebie, robi przerwę na posiłek i sika pod drzewem, zupełnie nieświadomy, że Fox go obserwuje.

Teraz było tak samo. Jeszcze przynajmniej przez kilka minut. W ciemności nie widział swojego zegarka, ale z położenia księżyca wywnioskował, że zbliża się północ.

Potrzebował odpoczynku, ale wcześniej musiał jeszcze raz dokładnie przeanalizować swój plan i upewnić się, że Jimmy jest tam, gdzie miał być.

Niestety, dziś Kate znowu będzie musiała pójść do łóżka sama.

DZIEŃ TRZECI
środa

Kate siedziała na schodach przed domem swoich rodziców. Między gałęziami drzew przesunęły się światła przejeżdżającego samochodu. Czubki strzelistych sosen zdawały się muskać wiszący na niebie księżyc. Powietrze było rześkie i przy każdym wdechu Kate miała wrażenie, jakby do jej płuc dostawały się setki małych soplek, sprawiając jej ból, w którym znajdowała jednak coś kojącego. Kate pragnęła kontaktu ze światem. Chciała wiedzieć, że nadal żyje.

Nie mogła zasnąć. Pamiętała, jak w jednej chwili kładzie głowę na poduszce, a w następnej jest już ubrana i wchodzi do garażu. Zupełnie nie wiedziała, jak do tego doszło. Przez ostatnie dwie godziny jeździła po mieście zupełnie bez celu. Chciała wrócić do siebie, ale kiedy po raz czwarty mijała hotel i nie mogła się zdecydować, czy się zatrzymać, czy nie, postanowiła pojechać do Buckhead.

W trakcie nocnej eskapady zrobiła tylko jeden postój – na stacji benzynowej Texaco przy Ponce De Leon. Zatrzymała się jednak nie po to, żeby kupić benzynę, lecz by przynajmniej w jakimś stopniu spróbować odkupić swoje winy.

W książce telefonicznej znalazła numer Lawsonów. Wrzuciła dziesięciocentówkę do aparatu i wykręciła trzy pierwsze cyfry. Nagle przerwała. W głowie zaczęły jej się kłębić następujące zdania:

Przepraszam, że nie przyszedłem ci z pomocą, kiedy mnie potrzebowałeś.

Przepraszam, że przeze mnie Gail została ranna.

Przepraszam, że musiałeś zabić człowieka.

Przepraszam... Przepraszam... Do cholery, przepraszam!

Była zdziwiona tymi słowami, jednak nie dlatego, że nie chciała prosić o przebaczenie, lecz ponieważ nigdy wcześniej nie czuła się tak bardzo winna.

Gdyby Kate zareagowała odpowiednio szybko, Gail nie leżałaby teraz w szpitalu, a Maggie nie zabiłaby człowieka.

Właśnie do niej dotarło, że po raz pierwszy w życiu była komuś naprawdę potrzebna. Rzecz jasna w przeszłości oferowała swoją pomoc znajomym, na przykład przy przeprowadzce lub malowaniu, i gdy przyszła jej kolej, zawsze płaciła za drinki w klubie. Ludzie lubili jej towarzystwo, choć często czuła się jak piąte koło u wozu. Patrick ją uwielbiał. Miała kochającą rodzinę. Wiele razy szukała ich wsparcia, ale do tej pory sama nie była nikomu tak naprawdę potrzebna.

Uświadomiła sobie to wszystko zupełnie niespodziewanie, wpatrując się pustym wzrokiem w wymalowane nad aparatem telefonicznym graffiti. Przydałby się jej wehikuł

czasu, ale nie ze względu na Patricka. Chciałyby znaleźć się w domu Portugalki na ułamek sekundy przed tym, jak padł pierwszy strzał. Wystarczyło, żeby odchyliła nieco głowę.

To była jedyna rzecz, którą pragnęła zmienić.

Nie żałuje, że pojechała do CT szukać alfonsa. Nie zależało jej również na cofnięciu czasu do poniedziałku rano i wymazaniu chwili, gdy włożyła mundur i poszła do pracy. Nie chciała wcale modyfikować jeszcze odleglejszej przeszłości, na przykład tego, że po przeczytaniu w gazecie artykułu o funkcjonariuszkach patrolujących ulice na motocyklach pojechała wypełnić podanie o pracę w policji lub że pierwszego dnia pojawiła się w akademii z zeszytem zapisanym notatkami z już przestudiowanych podręczników.

Nie, żadnej z tych rzeczy by nie zmieniła. Żałowała tylko jednego – faktu, że nie pomogła swoim koleżankom.

To właśnie chciała powiedzieć Maggie Lawson: Przepraszam, że nie pomogłam ci zabić Anthony'ego. Przepraszam, że Chic zginął, zanim udało nam się wyciągnąć od niego informacje o Strzelcu. Przepraszam, że przeze mnie Gail została ranna.

Przepraszam. Przepraszam. Do cholery, przepraszam!

Nie wykręciła numeru i odłożyła słuchawkę na widełki. Wypadająca z aparatu dziesięciocentówka przypomniawszy jej odgłos wydawany przez automat do flippera.

Powinna się bardziej postarać, choć czuła, że i tak jest kompletnie do niczego. Gail pojechała do domu Portugalki przede wszystkim dlatego, że potrzebowały wsparcia, którego Kate nie była im w stanie zapewnić. Maggie miała rację, że nie chciała powierzyć swojego bezpieczeństwa pieprzonemu żółtodziobowi. Kate zasłużyła sobie na wszystkie przydomki. Była bezużyteczną księżniczką z Buckhead, która zemdląca, jak tylko rozpętało się piekło.

W głębi serca czuła jednak, że ponoszą ją emocje i nie myśli logicznie. Przecież wcale nie udawała, że straciła przytomność. Przewróciła się na podłogę, ponieważ drasnęła ją kula, a w wyniku upadku doznała lekkiego wstrząśnienia mózgu. Nie miała wyboru. To nie był sprawdzian jej odwagi. Nie podjęła żadnej decyzji. Nie widziała, jak umiera Chic, jak Anthony rzuca się na Gail i jak Maggie przychodzi jej z pomocą. Nie pamiętała nawet, że pocisk zranił ją w ucho i upadła na podłogę. W jednej chwili słuchała, jak Gail grozi Chicowi, a w następnej rozglądała się po pokoju i wydawało jej się, że to przedostatnia scena *Nędznych psów*.

Kiedy się ocknęła, pomyślała, że jest ranna. Bolały ją głowa i ucho. Czuła też, że po upadku coś jest nie tak z jej nogą. Nie miała w ręku pistoletu. Jeszcze przed domem zapięła kaburę na zatrask tak, jak kazała jej Maggie. Pamiętała o wszystkich ostrzeżeniach dotyczących sutenera. Potem nawet z nim negocjowała i udało jej się zmusić go do przyznania, że wie coś istotnego na temat strzelaniny. Albo że przynajmniej takie informacje ma jedna z jego dziewczyn.

Tylko po co?

Teraz na pewno nie znajdą tej prostytutki. Chic zabrał tajemnicę do grobu. Maggie dosłownie odstrzeliła Anthony'emu głowę. Z jego szyi wystawała tylko biała kość,

przypominająca płetwę wielkiego rekina.

Wszystko na nic.

Między gałęziami błysnęły światła kolejnego samochodu. Kate zauważyła ognik papierosa. Ulicą szedł jakiś mężczyzna. Po plecach przebiegł ją dreszcz, ale po chwili zrobiło się jej głupio. Kogo mogło obchodzić, że siedzi o tej porze przed werandą?

Mimo to nie mogła wyzbyć się uczucia, że ktoś ją obserwuje. Tak naprawdę już od jakiegoś czasu miała wrażenie, że jest śledzona. Nawet kiedy była sama w hotelu albo u rodziców, wydawało jej się, że jakiś maniak śledzi każdy jej ruch. Czyżby zboczenie zawodowe? Lekka paranoja to chyba cecha każdego policjanta. Siedząc na schodach, była jednak naprawdę łatwym celem.

Wstała, wygładziła tył spódnicy i dotknęła palcami przymocowanej do framugi mezuzy.

Matuzalem. Tak powiedziała Gail, mrugając do niej porozumiewawczo. Grzebała w jej teczce osobowej, więc nie tylko wiedziała, jak zginął Patrick, lecz także które pole było zaznaczone w rubryce „religia”.

Kate wyszeptała słowa, których nauczyła ją oma: „Niech Bóg chroni moje wyjścia i powroty, teraz i w przyszłości”.

Drzwi nie były zamknięte na klucz. Na Buckhead nikt tego nie robił. W ogóle mało kto wiedział, ile tak naprawdę ma w domu drzwi. W salonie było już ciemno. W kominku dogasał żar. W kuchni paliło się jeszcze światło. Kate usłyszała śmiech babci, a potem jej ojciec powiedział coś niskim głosem.

– Tato? – zawołała. Nie miała pojęcia, po co tu przyszła. Kiedy była dzieckiem, zwijała się w kłębek obok omy i liczyła miarowe uderzenia jej serca. Po śmierci Patricka przez ponad miesiąc znowu spała razem z nią.

Teraz była już na to za stara. I zahartowana.

Tak naprawdę potrzebowała mocnego drinka.

– Kochanie! – Twarz omy rozjaśniła się, gdy Kate weszła do kuchni.

Babcia grała z ojcem w karty. Jacob Herschel skończył medycynę i miał dwa doktoraty, ale oma puściłaby go w skarpetkach, gdyby Liesbeth nie nalegała, żeby grali tylko na monety.

Jacob zdjął okulary i uważnie przyjrzał się Kate. W dzieciństwie spędzał letnie wakacje w południowej Georgii i do dziś przeciągał samogłoski jak Gregory Peck w *Zabić drozda*.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Kate objęła ojca i pocałowała w czubek głowy.

– Nie mogłam zasnąć, więc wsiadłam w samochód, żeby pojeździć trochę po mieście. Zatrzymałam się, bo zobaczyłam u was światło.

– Cóż za zbieg okoliczności. – Oma naląła sobie następny kieliszek sherry. – Masz ładną sukienkę. To nowy zakup?

– Nie. Tak. – Kate usiadła przy stole. Włożyła na siebie pierwszą rzecz, którą znalazła w szafie: sukienkę w żółto-niebiesko-bordowe paski, która miała tak głęboki dekolt, że

nadawała się tylko na wyjście do nocnego klubu.

– Jest śliczna. – Oma dotknęła materiału, a potem pogłaskała wnuczkę po ramieniu.

Zwróciła się do Jacoba:

– Jestem gotowa zabrać ci resztę pieniędzy.

– Tego się właśnie spodziewałem – odpowiedział, zakładając okulary.

Kiedy tasował karty, Kate wpatrywała się w jego twarz. Wyglądał staro, ale chyba tylko dlatego, że zawsze myślała o nim jak o młodym mężczyźnie, który podrzucał ją do góry i łapał w powietrzu. Wyobrażała sobie, że on również musi być zaskoczony jej wyglądem. Nie była już małym dzieckiem, które nosił kiedyś na rękach.

Co by pomyślał o jej pierwszych dwóch dniach pracy w policji? Miała nadzieję, że niczego się nie dowie. Nie mogła mu przecież powiedzieć, że dziś niemal pożegnała się z życiem. Naprawdę niewiele brakowało. I nie była to wcale metafora. Zdaniem jednego z ratowników od śmierci dzielił ją dosłownie milimetr.

Lekarze chcieli ją zatrzymać na badania, ale odmówiła. Uznano to za akt odwagi, ale tak naprawdę była przerażona. Jacob Herschel od czasu do czasu przyjmował w szpitalu Grady'ego nieubezpieczonych pacjentów. Kate podejrzewała, że jak tylko zaprowadzą ją na izbę przyjęć, ojciec właśnie przyjdzie na konsultacje.

Na pewno by na nią nie nakrzyczał. W ogóle nie byłby zły. Po prostu doradziłby jej zmianę pracy i poszukanie zajęcia, które dałoby jej więcej satysfakcji. To byłoby z jego strony bardzo sprytne posunięcie. Doskonale wiedział, że nie może dyrygować kobietami swojego życia. Nigdy nie wysuwał kategorycznych żądań ani nie stawiał spraw na ostrzu noża. Zawsze dawał tylko dobre rady. Opowiadał o tym, co sam by zrobił, gdyby znalazł się w podobnej sytuacji, starając się subtelnie przekonywać do swojego punktu widzenia. Wyśmienita strategia, ale Jacob niestety zapominał, że kobiety jego życia również były wnikliwymi badaczkami ludzkiego zachowania. Oma zawsze gratulowała mu świetnego pomysłu, po czym zmieniała temat. Liesbeth przyznawała mu rację, ale i tak robiła wszystko po swojemu.

Natomiast Kate kłamała.

– Co ci się stało w ucho? – zapytał, tasując karty.

Kate dotknęła niewielkiego plastra z opatrunkiem, który przykleili jej ratownicy.

– Ta głupia czapka otarła mi skórę do mięsa.

Oma aż syknęła z wrażenia.

– Najpierw pęcherze na stopach, a teraz to. Powinni cię ostrzec, że noszenie munduru jest takie niebezpieczne.

– Tak, bez wątplenia. – Jacob wpatrywał się w twarz córki. Nie odrywając od niej wzroku, uformował z kart efektowny wachlarz, potem go złożył i wyrównał talię na marmurowym blacie.

Kate zastanawiała się, czy ojciec wie, co się tak naprawdę wydarzyło. Z pierwszych doniesień wynikało, że Gail została ranna i że towarzyszyły jej dwie policjantki, których

nie wymieniono jednak z nazwiska. W dzienniku telewizyjnym w ogóle nie podano płci funkcjonariuszy, natomiast w serwisie radiowym nadanym o dziesiątej wieczorem Maggie była już mężczyzną, który uratował życie doświadczonemu oficerowi śledczemu i jego partnerowi.

– Drogie panie – powiedział Jacob i zaczął rozdawać. – Słyszałem, że wczoraj wieczorem złożył w tym domu wizytę Philip Van Zandt.

Nie miała pojęcia, w co grają, ale była pewna, że dostanie od ojca główniane karty.

– Wiecie, jak mówią na niego w szpitalu? – Jacob kontynuował rozdawanie. – Doktor „Suwaku, otwórz się”.

Oma zaniósła się śmiechem.

– Cudowne! Bardzo mi się podoba.

Kate czuła, że płoną jej policzki. „Suwaku, otwórz się” – termin Eriki Jong na osławiony seks bez zobowiązań. Kate nie wiedziała, co było gorsze: to, że ojciec opowiadał o takich rzeczach w jej obecności, czy to, że czytał *Strach przed lataniem*.

– Nigdy nie mówię ci, co masz robić, Kaitlin, ale moim zdaniem od takich facetów lepiej trzymać się z daleka.

Kate wbiła wzrok w swoje karty.

Oma przesunęła w jej kierunku kilka monet.

– Proszę, kochanie. Bez ryzyka ta zabawa nie sprawia należytej przyjemności.

– Twoje aluzje są zwykle bardziej wyrafinowane – zauważył Jacob.

– Och, Jacobie, ta moja angielszczyzna. – Oma wymówiła jego imię po niderlandzku, zamieniając pierwszą głoskę z „dż” na „j”. – Zupełnie nie wiem, co masz na myśli. – Podała Kate swoje sherry. – Napij się, skarbie.

Kate wychyliła szklanekę jednym haustem.

Oma wstała z krzesła.

– Moim zdaniem doktor Van Zandt to czarujący mężczyzna, o wiele bardziej interesujący niż jego nudny ojciec, który, tak na marginesie, nigdy nie chciał obejrzeć twoich znaczków – zwróciła się do zięcia.

Jacob skupił uwagę na kartach.

– Czy pokazywanie znaczków też ma jakiś ukryty sens, Judith?

– Mój Boże, gdybym była kilka lat młodsza. – Zniknęła w spiżarni i po chwili wróciła z butelką szkockiej w rękę. – Młodzi mężczyźni są zawsze tak spragnieni wiedzy.

Kate chciała ze wszelką cenę zmienić temat.

– Babciu, czy Audrey Hepburn urodziła się w Brukseli?

– Wydaje mi się, że w Elsene. – Napełniła szklaneczkę Kate i przyniosła drugą dla siebie. – Miła flamandzka dziewczyna.

Kate uśmiechnęła się na dźwięk znajomych słów. A potem wypić duszkiem prawie całą whisky, tak że zostało tylko trochę na samym dnie.

Jacob położył na blacie jedną kartę.

– Zawsze lubiłem Flamandów.

– Phi. – Oma wzięła kartę ze stołu i położyła na jej miejsce jedną ze swoich. – To wieśniacy.

Jacob zmarszczył brwi. Zaczęli raptem dwie minuty temu i już przegrywał.

Kate opróżniła szklanę. W czasie wojny jej ojciec pracował w Departamencie Stanu i po wyzwoleniu został wysłany do Amsterdamu, żeby ocenić psychiczny stan ocalonych. Właśnie wtedy poznał Liesbeth, ale Kate nie знаła szczegółów. Zgodnie z oficjalną wersją zakochali się na targu kwiatów. Ale czy Liesbeth była jego pacjentką? Czy po prostu spotkali się na ulicy?

Niespodziewanie przypomniała sobie to, co powiedział Terry o kobietach rzucających się w ramiona żołnierzy.

– Cóż... – Oma ponownie napełniła szklanę Kate i uzupełniła swoją. – Flamandki nie są wcale takie najgorsze. Zajmują się owcami i wychodzą za mąż za swoich kuzynów.

Kate parsknęła śmiechem. Była już lekko wstawiona, ale wcale nie miała ochoty przestać pić. Może taki jest już los każdego gliniarza? Za tydzień o tej samej porze będzie siedziała nieprzytomna za kierownicą impali.

– Pracowałem kiedyś z flamandzkim psychiatrą, wyjątkowo błyskotliwy człowiek. – Ojciec położył na stole kolejną kartę i Kate zdała sobie sprawę, że grają bez niej. – Nazywał się Walthere Deliege.

Oma teatralnie zmarszczyła brwi.

– *Dat is Waals, geen Vlaams.*

– Och, przepraszam. On był rzecz jasna Walończykiem, a nie Flamandem. Wybacz mi moją amerykańską ignorancję. – Puścił oko do Kate, jednak kiedy oma zgarnęła kolejną wziętkę, zrzędała mu mina.

– Jak to moż...? – Kate przerwała w pół słowa. Wcale nie miała zamiaru się odzywać, ale było za późno. – Jak to się dzieje, że ktoś, kto zachowuje się okropnie, może być dobrym człowiekiem?

Oma i Jacob podnieśli wzrok znad kart.

– Chodzi o kobietę, z którą pracuję... – Kate znowu się zawahała. Czy nadal pracowała z Gail? Czy będą jeszcze kiedyś razem patrolowały ulice?

– Kobietę? – próbowała ją zachęcić oma.

– Kobietę... – powtórzyła Kate i po raz trzeci zamilkła. Nie była pewna, czy chce o tym rozmawiać, lecz uznała, że nie ma już chyba wyboru. – Jest wulgarną, mściwą, agresywną i małostkową rasistką, która krytykuje wszystkich dookoła. – Nie czuła wyrzutów sumienia, ponieważ Gail z pewnością uznałaby to wszystko za komplement. – Chyba nigdy nie spotkałam kogoś takiego jak ona. Jest po prostu...

Znowu przerwała w pół zdania. Czemu w ogóle poruszała ten temat? Zwykle nawet po alkoholu potrafiła trzymać język za zębami. Może to wina towarzyszącego jej przez cały

dzień stresu? Albo wstrząsu pourazowego? A może środków przeciwbólowych? Pewnie wszystko po trochu przyczyniło się do osłabienia jej mechanizmów obronnych.

Podniosła głowę. Babcia i ojciec w skupieniu czekali na jej dalsze słowa.

– Ta kobieta jest...? – zagaiła oma.

– Okropna – odparła Kate. – Ale jednocześnie to jedna z najsympatyczniejszych osób, jakie w życiu spotkałam. – Sama była zaskoczona tym wyznaniem. – Przeżyłam dzisiaj chwilę załamania. Nieważne, co się stało, ale ta kobieta okazała mi wiele dobroci. Czułam, że jest przy mnie i mogę na nią liczyć. – Kate zdawała sobie sprawę, że zaczyna bełkotać prawie tak samo jak Gail. – Ale właściwie ona nie jest szczególnie miła. Ciągłe mówi mi bardzo przykre, często obraźliwe rzeczy i kiedy później o tym myślę, dochodzę jednak do wniosku, że czegoś mnie nauczyła. Czegoś pożytecznego, co będzie mi potrzebne w tym zawodzie, co mnie ochroni. – Podniosła szklankę i wypijała spory łyk. – Zastanawiam się, jak to możliwe, że ktoś tak odpychający ma w sobie tyle dobra. To niewiarygodne, ale uważam tę straszną kobietę za przyjaciółkę.

Jacob i oma milczeli.

Kate dokończyła whisky. A co tam, raz kozie śmierć.

– Jest jeszcze jeden facet. „Ordynarny” to nie jest w jego wypadku właściwie słowo. To złamany kutas. – Spojrzała przepaszająco na ojca, ale to określenie idealnie opisywało Terry’ego Lawsons. I jego kumpli, którzy w oczach Kate zlewali się w jedną masę. – Pod wieloma względami jest jeszcze gorszy niż ta kobieta. To skończony prymityw, rasista, seksista i na dodatek frustrat. Można odnieść wrażenie, że to tylko kwestia czasu, zanim zacznie używać przemocy.

Jacob odłożył karty na stół, a oma ponownie napełniła swoją szklankę.

– Czy on może mi zrobić krzywdę? – zapytała samą siebie Kate. – Nie, nie wydaje mi się, ale muszę przyznać, że odczuwam w jego towarzystwie pewien niepokój. Wiecie, to tak jak z agresywnym psem, który jest na smyczy, ale gdyby się z niej zerwał... – Znowu przerwała. – Mam wrażenie, że gdybym została z nim sam na sam, a on wpadłby we wściekłość, to powinnam być przygotowana na najgorsze.

Nie miała na myśli tylko Terry’ego. Wszyscy jego kumple roztaczali wokół siebie podobną aurę. Im więcej pili, tym było gorzej. Mimo to Chip Bixby uratował kiedyś życie Gail. Jak mogło do tego dojść? Był odrażającym mizoginem, który podjął ogromne ryzyko, żeby chronić swoją koleżankę.

Właśnie w takim towarzystwie obracała się teraz Kate. Nie obowiązywały tutaj stare zasady. Nie można było osądzić kogoś na podstawie jego wyglądu, akcentu albo zawodu wykonywanego przez ojca. Może Jett Elliott był tak naprawdę dżentelmenem, Bud Deacon bogobojnym chrześcijaninem, a Cal Vick tylko udawał odpychającego zbereźnika. Niewykluczone, że Kate popełniła błąd, oceniając ich słowa, a nie czyny.

Starła się jakoś wyjaśnić ten paradoks rodzinie.

– Wydaje mi się, że gdybym znalazła się w niebezpieczeństwie, gdyby zaatakował mnie jakiś złodziej, szalenciec lub morderca, to ci straszni ludzie przysliby mi z pomocą. Co

więcej, czuję, że sama powinnam stanąć w ich obronie. Oczywiście, o ile w ogóle mogłabym się na coś przydać.

Oma zakręciła butelkę. Kate kontynuowała swoją przemowę:

– Tak więc miałam wątpliwą przyjemność słuchać dzisiaj, jak jeden z tych dupków znieważał prezydenta Kennedy’ego i opowiadał, że zamach na jego brata Bobby’ego to dar niebios. Ten troglodyta dyskredytował burmistrza Atlanty, czarnoskórych, kobiety, mnie. – Uśmiechnęła się do siebie, ponieważ z jakiegoś powodu rozbawiła ją myśl, że Terry nie darzy jej sympatią. – Lecz ten sam facet był na wojnie i brał udział w wyzwalaniu obozów koncentracyjnych. Dał wielu ludziom wolność i ocalił ich przed śmiercią. Wyciągnął do nich rękę w najczarniejszej godzinie. Nie da się ukryć, że jako policjant również przychodzi innym z pomocą i to pewnie wiele razy dziennie. Tak właśnie jest, prawda?

Oma milczała, wpatrując się w swoją szklanekę.

Kate pokręciła głową. Nie do końca kontrolowała słowa, które wydobywały się z jej ust.

– Jak to się dzieje, że ci ludzie zachowują się okropnie, ale jednocześnie czynią tyle dobra?

Nikt nie odpowiedział na to pytanie. Nad stołem zawisła grobowa cisza.

W końcu Jacob oznajmił:

– To jedna z wielkich tajemnic naszego życia.

– Ale banał! – Kate odchyliła się na krześle. Dlaczego w ogóle spodziewała się, że ją zrozumieją? Sama nie za bardzo wiedziała, o co jej chodzi. Poza tym była zmęczona, pijana i powinna wrócić do domu, zanim zrobi z siebie jeszcze większą idiotkę.

Zebrała się w sobie i zaczęła wstawać od stołu.

– Znałam kiedyś pewną Flamandkę – powiedziała oma.

Kate odruchowo się uśmiechnęła, ale poczuła, że dobry humor gdzieś się ulotnił.

– Zajmowała się owcami i wyszła za mąż za kuzyna?

– Nie. – Oma wpatrywała się w bursztynowy płyn w swojej szklance. – Pochodziła z Antwerpii i kiedy byłam w szóstej klasie, dołączyła do mojej klasy.

Kate wstrzymała oddech. Babcia rzadko opowiadała o tym, jak wyglądało jej życie przed przyjazdem do Atlanty.

– Nazywała się Gilberte Soetaers, co z pewnością by cię rozbawiło, gdybyś bardziej przykładała się do niderlandzkiego. – Uśmiechnęła się smutno do Kate. – Nie miała problemów z adaptacją. Dziewczęta od razu znalazły z nią wspólny język. Nie było w tym zresztą nic dziwnego. Świetnie się ubierała. Miała jedwabiste brązowe włosy, bujne jak końska grzywa. Było w niej również coś egzotycznego, przynajmniej dla mnie. Jej ojciec miał w Kongo plantację kauczuku. Ja pochodziłam z rodziny naukowców. Ona zajmowała wysoką pozycję społeczną, ja nie. Ona była kalwinistką, ja Żydówką. Tak jak ty, Kaitlin, dojrzałam szybciej niż moje koleżanki. Gdy to się stało, zaczęły się ode mnie odwracać, nawet moja przyjaciółka, z którą chodziłam na herbatę. Po przyjeździe Gilberte zrobiło się

jeszcze gorzej. Wyśmiewały się z moich ubrań, mojej figury, moich rodziców naukowców... – Wzruszyła ramionami, jakby to było coś oczywistego i miała rację. Tak właśnie zachowywały się nastolatki na całym świecie. – Może cię to zdziwi – kontynuowała – ale mimo moich cierpień świat nie przestał się kręcić. Skończyłam szkołę i poszłam na studia. Wysłałam za mąż za cudownego mężczyznę i urodziłam mu piękne dzieci. Pracowałam jako nauczycielka. A potem wybuchła wojna i wszyscy trafiliśmy do Jodenbuurt. Nie mogliśmy opuszczać getta, ale... – Pogłaskała się po włosach. – Naziści byli naprawdę głupi. Uważali, że Żydówka nie może być blondynką. – Skierowała wzrok na Jacoba. Kate odniosła wrażenie, że ojciec już kiedyś słyszał tę historię. – Wychodziłam na miasto po jedzenie dla twojego *opa* i twojej *moeder*. *Voor oom*... – Spojrzała pytająco na Jacoba.

– Wuj – podpowiedział.

– Tak. Twój wujek ukrywał się już wtedy we Friesland u pewnego małżeństwa, które zgodziło się go przyjąć. Bardzo mili ludzie. Zrobili, co mogli. – Oma wbiła wzrok w szklankę. Kate wiedziała, że chłopiec zginął podczas wojny. – Tak więc – mówiła dalej – pewnego dnia szukałam jedzenia w dzielnicy Nieuwmarktbuurt. Dla kogoś takiego jak ja to była bardzo niebezpieczna okolica. Na głównym placu gromadzono Żydów przed wywózką. Wiedziałam, że za zdjęcie żółtej *jodenster* mogłam od razu trafić do obozu. – Uśmiechnęła się do Kate, ale w jej oczach nie widać było radości. – Weszłam do sklepu i zastanawiałam się, w jaki sposób mogę niepostrzeżenie wsunąć do kieszeni kawałek sera. Odwróciłam się i zobaczyłam ją... – Uniosła brwi, grając zdziwienie. – Gilberte Soetaers, dziewczyna, która znęcała się nade mną w szkole. Co gorsze, była w towarzystwie niemieckiego żołnierza. – Z wrażenia Kate złapała się za szyję. – Rozpoznała mnie. Zobaczyłam to w jej oczach. Byłyśmy już dorosłymi kobietami, ale wciąż tliła się w nas nienawiść. – Na chwilę przerwała. – „Friedrich”, krzyknęła Gilberte. Zamarłam ze strachu. Chciałam jak najszybciej stamtąd wyjść, ale on już przede mną stał. „To jest dziewczyna, z którą chodziłam do szkoły”, powiedziała Gilberte. Trzęsłam się jak osika. Nie mogłam w to uwierzyć. Zaraz mnie aresztują. Rodzina nigdy się nie dowie, co się ze mną stało. Liesbeth jest taka chuda, że ledwie wstaje sama z łóżka. Bez mojej pomocy wszyscy umrą. – Oma mocno ścisnęła ramię Kate. – Nagle Gilberte złapała mnie za rękę. Pomyślałam: „To koniec. Zaraz mnie wyda”. Ale ona zwróciła do mnie przyjaznym głosem: „Tak się cieszę, że cię widzę, *mijn zoetke*”. – Oma odchyliła się na krześle. – *Mijn zoetke*. Moja słodziutka. Jakbym była jakimś cukierkiem. Flamandowie często używają takich przesłodzonych określeń. Mówiłam ci już o tym? – Kate szybko kiwnęła głową. Chciała usłyszeć dalszą część tej historii. – Nie wiedziałam, dlaczego tak mnie nazwała i jak mam to rozumieć. – Oma była wyraźnie zakłopotana. – Po chwili ta sama Gilberte Soetaers, która przez tyle lat mnie prześladowała, powiedziała do swojego towarzysza: „Kochanie, musisz dać mojej przyjaciółce trochę talonów na żywność. Zobacz, jaka ona chuda”. – W głosie omy nadal słychać było zdziwienie, mimo że to, o czym opowiadała, wydarzyło się dawno temu. – Niemiec dał mi talony. Bardzo dużo talonów. Ustaliliśmy, że pójdziemy kiedyś razem na drinka. Pocałowałyśmy się na pożegnanie, ten facet też dostał ode mnie całusa, i wróciłam do domu. – Oma wzruszyła ramionami. To już koniec historii.

Kate chciała jednak więcej.

– Nazista dał ci talony?

– Dzięki Gilberte Soetaers mieliśmy chleb, ser i mleko, które starczyły nam na trzy tygodnie. To była micwa.

Kate zastanawiała się, czy właśnie po tych trzech tygodniach cała rodzina została wywieziona do obozu.

– Czy on wiedział, że jesteś Żydówką?

– Gilberte wiedziała, ale po tym, co się stało, musiała trzymać języka za zębami. W przeciwnym razie zabiłby ją albo zerwał z nią wszelkie kontakty, co w jej sytuacji było chyba gorsze niż śmierć. – Wypiła resztę whisky. – Tak więc okropnym ludziom również zdarza się czynić dobro.

Kate pokręciła głową.

– Nadal nie rozumiem. To był przykład, a nie wyjaśnienie.

– Masz rację, Kaitlin. – Oma wstała z krzesła. – Nie da się tego wyjaśnić. Źli ludzie czasem spełniają dobre uczynki, a dobrzy ludzie od czasu do czasu wybierają zło. Dlaczego? Bo na przykład jest wtorek. – Spojrzała na zegar. – W zasadzie środa. Już dawno powinnam leżeć w łóżku. Dobranoc, moi drodzy.

Na pożegnanie zacisnęła dłoń na ramieniu wnuczki. Kate chciała ją zatrzymać, ale oma zniknęła już w ciemnym korytarzu.

– No cóż. – Jacob zajął się zbieraniem kart ze stołu.

Kate czuła, jak serce wali jej w piersiach.

– Słyszałeś wcześniej tę historię? – zapytała ojca.

– Tak.

– Nie masz nic do dodania?

– Chyba nie. – Wzruszył ramionami. – Ludzie ogólnie są źli, ale zdarza im się zrobić coś dobrego.

– Masz tyle dyplomów i stać cię tylko na złote myśli rodem z ciasteczek z wróżbą?

Zaczął składać karty na jedną kupkę.

– Ta policjantka już nigdy nie będzie widzieć na zranione oko. Miała naprawdę dużo szczęścia. – Dotknął swojego ucha. – Ty zresztą też. – Kate odwróciła wzrok. – Nie masz nic do dodania? Żadnej chińskiej mądrości?

– Nie chciałam, żebyście się o mnie martwili.

– Martwię się tylko tym, że nie mówisz nam prawdy.

Kate spojrzała tęsknie na butelkę szkockiej.

Jacob położył talię kart na samym środku stołu i wziął szklanki. Kiedy była dzieckiem, nauczył ją grać w remika. Ogrywał ją, jak chciał, aż do momentu, gdy zorientowała się, że karty odbijają się w szklach jego okularów. Nigdy mu o tym nie powiedziała. Oma też musiała o tym wiedzieć, ale nie puściła pary z ust, ponieważ za bardzo lubiła wygrywać.

Natomiast Jacob chyba po prostu im na to wszystko pozwalał.

– Mam ci powiedzieć prawdę, tato?

– Tu nie chodzi o mnie. Ja nie jestem już szczególnie ważny. Najpierw sama sobie musisz powiedzieć prawdę. Jesteś przecież dorosłą kobietą. Nie mogę ci nic nakazywać.

Kate rzadko prosiła go o radę, ale teraz naprawdę chciała wiedzieć, co o tym wszystkim myśli.

– Co twoim zdaniem powinnam zrobić?

Oparł się łokciami o stół i uśmiechnął do córki.

– Wiesz, że jesteś dla mnie najważniejsza na świecie?

Kiwnęła głową. Jeśli czegoś w ogóle była pewna, to tego, że jest kochana przez swoją rodzinę.

– Atlanta to niejednorodny twór. – Oparł się plecami na krzesło. – W ciągu dwóch ostatnich dni sama się zresztą o tym przekonałaś.

Kate wydawało się, że te słowa dotyczą jej poprzedniego pytania.

– Chcesz mi powiedzieć, że ludzie są jak miasta?

– Nie. Chodzi mi o to, że prowadzisz zupełnie inne życie niż na przykład twoje koleżanki ze szkoły, koledzy z pracy, ludzie, którym pomagasz, i przestępcy, których aresztujesz. Dla każdego z nich Atlanta to trochę co innego. Wszyscy są jednak dumni z faktu, że tu mieszkają, i uważają miasto za swoją własność. Co więcej, mają jedynie słuszną wizję tego miejsca i czują się zobowiązani jej bronić. – Uśmiechnął się. Wiedział, że jego wywód nie jest szczególnie oryginalny, ale prosił Kate o cierpliwość. –

Podejrzewam, że ten brutalny typ, z którym miałaś ostatnio do czynienia, również uważa, że Atlanta należy wyłącznie do niego i jemu podobnych. Tak samo myśli pewnie ta kobieta. Oboje są głęboko przekonani co do swoich racji. Jednak która Atlanta jest prawdziwa? Nasza? Ta, którą znał Patrick? A może miasto znajduje się obecnie we władaniu czarnoskórych? Ale czy ono kiedykolwiek w ogóle do kogoś należało?

– Tato, przepraszam, ale nadal nic z tego nie rozumiem.

– Nawet pracując charytatywnie w szpitalu Grady'ego, nie zobaczę Atlanty oczami policjanta i nie poznam ludzi, z którymi ty masz do czynienia na co dzień.

Kate wreszcie olśniło. Ojciec starał się wyrazić dokładnie to samo, co poczuła, kiedy pierwszy raz znalazła się w komisariacie.

– Nie trzymasz mnie już pod kloszem.

– Już nie – odpowiedział. Wyczuła w jego głosie dziwny smutek. – Jeśli będziesz wykonywać ten zawód, poznasz ludzką naturę od podszewki. Ja nigdy nie miałem takiej szansy.

– Jeśli? – zapytała.

– Wiesz, że mój dziadek walczył po stronie Konfederacji?

Kiwnęła głową.

– A ja i mój ojciec braliśmy udział w wiecu poparcia dla Martina Luthera Kinga?

Ponownie przytaknęła.

– Pamiętam, że po powrocie postanowiliśmy to uczcić toastem. Wypiliśmy za postęp i poklepaliliśmy się po plecach. To się działo właśnie tutaj. – Miał na myśli ten dom, rezydencję z szoferami, służącymi i ogrodnikami, stojącą przy wysadzonej drzewami ulicy. – Czy zdawaliśmy sobie sprawę, jak wyglądała droga do domu doktora Kinga? Mieszkał po drugiej stronie miasta, ale czy mieliśmy jakiegokolwiek pojęcie o codziennym życiu w *jego Atlancie*?

– Niesiesz pomoc potrzebującym – powiedziała Kate. Zawsze uważała, że ojciec stoi po stronie zwykłych ludzi. – Leczysz ich umysły.

– Rozmawiam z milionerami żyjącymi w strachu przed bankructwem i przepisuję valium gospodyniom domowym, które powinny zająć się działalnością charytatywną w kościele.

Kate nie spodobały się jego słowa.

– Ocaliłeś mamę i omę. Przywiozłeś je do Ameryki.

– Nie, Kaitlin. W Amsterdamie na własne oczy zobaczyłem, czym jest wojna... – powiedział szorstkim głosem i odkaszlnął. – To twoja matka ocaliła mnie. Zapewniam cię, że tak właśnie było.

Kate nie dawała jednak za wygraną.

– Przecież pracujesz za darmo w szpitalu Grady'ego.

– Kiedy przychodzę na konsultację, pacjentowi podano już leki, jest umyty i przywiązany do łóżka. – Uśmiechnął się smutno. – Jak wyglądał dwie, trzy godziny wcześniej? Mam do dyspozycji tylko wyniki badań, czasem raport policyjny. Nigdy nie widziałem jego domu i nie mam pojęcia, w jakich warunkach żyje. Nie zastanawiam się też nad losem policjanta, który przywiózł go do szpitala, a wcześniej wyjął brzytwę z jego ręki, powalił na ziemię i powstrzymał przez zrobieniem krzywdy sobie i wszystkim dookoła.

– Nie jestem taka dzielna, tato. Pierwszego dnia wpadłam na mur, a dziś po południu zemdlałam.

Wzdrygnął się, choć przecież z grubsza wiedział, co się stało. Była mu jednak wdzięczna, że nie zaczął wypytywać o szczegóły.

– Chodzi mi o to, że masz do czynienia z ludźmi w zupełnie innych sytuacjach niż ja. Twoje doświadczenia bardzo różnią się od moich. Nie mogę być twoim przewodnikiem, ponieważ nie wiem, dokąd zmierzasz.

Kate pomyślała o smrodzie panującym w dzielnicach z mieszkaniami komunalnymi. O alfonsie, który ślinił się i gapił na nią obleśnie. O właścicielu pralni, który pozwolił skorzystać jej z toalety. I o dwóch trupach leżących na piętrze w pensjonacie prowadzonym przez starą Portugalikę.

– Inaczej to sobie wszystko wyobrażałam.

– Naprawdę?

Nie odpowiedziała, ponieważ sama czuła się skołowana. Praca w policji była niewątpliwie przerażająca, nużąca i upokarzająca, ale jednocześnie w jakimś sensie – i to było chyba najbardziej zaskakujące – sprawiała jej ogromną frajdę.

Kate postanowiła wygłosić jednak bezpieczny komunał.

– Zawsze będę twoją córką.

– Wiem, kochanie. – Delikatnie pogłaskał ją po policzku. – Mama boi się, że ta praca zmieni cię w kogoś, kim nie jesteś. Ja natomiast myślę, że pokażesz, kim jesteś naprawdę.

Kate zastanawiała się, dlaczego jego szczerość niespecjalnie ją zabolala.

– Czy to źle?

– Nie wiem, Kate. Ludzie wykonujący najbardziej stresujące zawody dzielą się na dwie kategorie: na jednych okropne przeżycia nie mają żadnego wpływu, inni zmieniają się pod ich wpływem nie do poznania.

Kate czuła, że powinna się jakoś bronić.

– Jak babcia? Albo mama?

– Bystra dziewczyna. Koniec spekulacji. – Wyraźnie nie miał ochoty drażnić delikatnego tematu. Jego głos znowu nabrał swobodniejszego tonu. – Do kompetencji ojca nie należy krytykowanie córki.

– Freud?

– Herschel.

– Słyszałam o nim – zażartowała. – Rzekomo świetny.

Znowu się uśmiechnął. Zdjął okulary i rozmasował powieki.

– Dobranoc, tato. – Kate pocałowała go na pożegnanie w czubek głowy.

Wyszła przez drzwi frontowe, muskając palcami mezuzę. Schodząc po schodach, rozpuściła włosy i ruszyła w kierunku zaparkowanego obok garażu samochodu. Oparła się o auto i zdjęła najpierw lewy, a potem prawy but. Następnie ściągnęła rajstopy i wrzuciła wszystko na tylne siedzenie.

Nie wsiadła do środka, tylko krzywiąc się z bólu, zaczęła iść po podjeździe. Jej stopy prawie w całości składały się z otarć i pęcherzy, a pięty wyglądały tak, jakby ktoś potraktował je blenderem.

Doszła do ulicy i skręciła w lewo. Nie zauważyła żadnych samochodów ani tłących się w mroku papierosów. Zniknęło też wrażenie, że każdy jej ruch jest obserwowany przez jakiegoś maniaka. Spojrzała na księżyc, który wyglądał jak cieniutki rogalik. Ciemności jej jednak nie przeszkadzały, ponieważ doskonale знаła drogę. Na tej ulicy spędziła pierwsze dwadzieścia pięć lat swojego życia. Jej najlepsza przyjaciółka, zanim wyprowadziła się do Nowego Jorku, mieszkała dwa domy obok. Podstawówka mieściła się sześć przecznic stąd, a szkoła średnia niewiele dalej. W okolicy znajdowała się też synagoga, a do centrum handlowego jechało się dziesięć minut samochodem. Na tej ulicy nauczyła się jeździć na rowerze, właśnie stąd zabierał ją szkolny autobus i tutaj obściskiwala się w samochodzie z Patrickiem przed pierwszą wspólną wizytą u jej rodziny.

Rzeźnik, piekarz i aptekarz – wszystko w promieniu kilometra od miejsca, w którym teraz stała.

Tak wyglądała Atlanta jej ojca.

Ale Kate żyła już w innym mieście.

Minęła dom Janice Saddler. Jej rodzice zginęli w wypadku samochodowym. Janice i jej brat sprzedali posiadłość młodemu prawnikowi i jego żonie.

Kleinmanowie. Baumgartenowie. Pruettsowie.

Wszyscy mieli już dorosłe dzieci, ale sami cały czas mieszkali w okazałych starych domach przekazywanych z pokolenia na pokolenie. Kate bawiła się w ich ogrodach, huśtała na ich huśtawkach, pływała w ich basenach, flirtowała z ich synami i zakradała się na ich podwórka.

Znowu skręciła w lewo i weszła na wysypyany żwirem podjazd. Drobne kamyczki przyklejały się do jej bosych stóp. Prawie nic nie czuła i uznała, że to doskonały opis jej bieżącego życia. Kiedy ból stawał się niemożliwy do zniesienia, Kate po prostu przestawała go rejestrować.

Na werandzie w głównej części domu światło było zgaszone. We wszystkich oknach też było ciemno. Kate przeszła obok czarnego cadillaca fleetwood, minęła kuchnię, altanę, basen i kort tenisowy.

Domek dla gości wybudowano z myślą o służbie, ale czasy się zmieniły i dzięki prawom obywatelskim oraz odkurzaczom, pralkom, suszarkom do ubrań i innym nowoczesnym urządzeniom można było mieszkać w takiej rezydencji bez konieczności zatrudniania licznego personelu. Przed jednopiętrowym budynkiem stał mały sportowy kabriolet z otwartym dachem. Kate pogładziła skórzane obicie fotela kierowcy.

Na ganku było jasno. Za zasłonami widać było słaby blask zapalonego światła. Usłyszała muzykę. Zrobiła to samo co przed domem rodziców – oparła się o samochód. Tym razem zdjęła majtki.

Wrzuciła je do auta i weszła po schodach.

Stanąła przed drzwiami i zapukała trzy razy.

Przechodziła przez podziemny parking pod hotelem Barbizon na trzęsących się nogach, a każdy atom jej skóry drżał z inną częstotliwością. Od pocałunków Philipa miała opuchnięte usta, a na piersiach wciąż czuła dotyk jego dłoni. Gdy zamknęła oczy, z łatwością przypomniała sobie, jak się czuła, gdy jego język pieścił wszystkie zakątki jej ciała.

Pragnęła z powrotem znaleźć się w jego ciepłym łóżku i pozwolić robić mu wszystkie te cudowne rzeczy. Mimo to zachowała jeszcze w sobie odrobinę zdrowego rozsądku. Wiedziała, że nie może obudzić się obok niego rano, zrobić mu tostów, zaparzyć kawy i zapytać o plany na resztę dnia. Nie chciała do tego dopuścić.

Za bardzo przypominałoby to niewierność.

To dziwne, że pozwalając na to wszystko Philipowi, nie czuła, że zdradza Patricka. Tak bardzo się różnili. Pocałunki Philipa były bardziej zmysłowe. Doskonale znał kobiecą anatomię, nie śpieszył się i czerpał przyjemność z kontaktu z jej ciałem. W odpowiednim momencie zrobił coś niesamowitego z biodrami – wykonał ruch, który przypominał zanurzenie łyżeczki w słoiku z miodem. To nie było jak seria coraz gwałtowniejszych pchnięć, które kończyły się za szybko i Kate musiała wymykać się chyłkiem do łazienki, żeby wziąć sprawy w swoje ręce.

Wiedziała, że nigdy nie przeżyła z mężem orgazmu, w każdym razie nie takiego, jaki była w stanie dać sama sobie. Nie chodziło wcale o długość, tylko o finezję. Dochodziła z Patrickiem do samej krawędzi, ale brakowało ostatniego pchnięcia, które posłałoby ją w kosmos. Była pewna, że to by się zmieniło, gdyby mieli więcej czasu – czasu na poznanie swoich ciał, na dorośnięcie i docenienie tego, co mogli sobie nawzajem ofiarować.

W seksie najważniejsza była przyjemność Patricka, ale szczerze mówiąc, nigdy nie miała nic przeciwko temu. Zawsze dobrze czuła się w jego towarzystwie, a jej ciało odpowiednio reagowało na jego dotyk. Przechodziły ją dreszcze, czuła wyraźne podniecenie, mięśnie napinały się w oczekiwaniu na kontakt. Za to, że nigdy nie doznawała pełnego spełnienia, winiła przede wszystkim siebie. Nie z powodu Freuda, ale dlatego że bardzo kochała Patricka i nie dopuszczała do siebie innej możliwości.

Zresztą wcale nie potrzebowała fizycznego spełnienia. Wystarczyło, że leżał obok niej i obejmował ją swoimi mocnymi ramionami. Słyszeć jego przyśpieszony oddech i widzieć pożądanie w jego oczach – to była dla niej pełnia szczęścia. Łączyło ich naprawdę bardzo głębokie uczucie, które przynosiło jej o wiele więcej satysfakcji niż łóżkowe wyczyny.

Kate była pewna, że nigdy nie poczuje czegoś podobnego do Philipa Van Zandta. Nie

będzie prasować jego koszul i z czułością składać chusteczek w perfekcyjne kwadraciki. Nigdy nie wtuli twarzy w poduszkę tylko po to, by poczuć zapach ukochanego.

Jej ojciec się mylił. Kate nie stawała się dwoma różnymi osobami. Czuła, że rozpada się na trzy części.

Nacisnęła guzik, żeby wezwać windę. Zwykle wchodziła po schodach, ale dzisiaj nie za bardzo ufała swoim nogom. Było wpół do szóstej rano. Szumiało jej w głowie i ciągle myślała o Philipie. Potrzebowała prysznic i choćby krótkiej drzemki. Potem będzie już mogła włożyć mundur i iść od pracy.

Rozsunęły się drzwi. Kate odwróciła się i rzuciła okiem na obitą czerwonym aksamitem tylną kanapę w swoim samochodzie, ale wiedziała, że nie może ulec pokusie. Nacisnęła guzik i winda ruszyła na parter. Poczowała się dziwnie, gdy pomyślała, że po tym, co się wczoraj stało, znowu pójdzie do pracy. Paradoksalnie masakra w domu Portugalki zmobilizowała ją do jeszcze większego wysiłku. Musiała pokazać, co potrafi, i zrehabilitować się w oczach Maggie. Chciała również, żeby ofiara Gail nie poszła na marne.

Znowu pomyślała o Freudzie. No cóż, była w końcu córką psychiatry. Stary wiedeńczyk stwierdziłby zapewne, że Kate ma skłonność do masochizmu. A może nazwałby to zazdrością o penisa? W końcu z jakiego innego powodu kobieta chciałaby wykonywać męski zawód? Pragnęła zwrócić na siebie uwagę ojca i ukarać matkę za dawanie mu tego, czego ona, jako córka, nie mogła mu dać. Kate miała nierówno pod sufitem, łatwo wpadała w histerię i cierpiała na zaburzenia równowagi hormonalnej.

Jak to możliwe, że do takich samych wniosków doszli, zupełnie niezależnie od siebie, funkcjonariusze Wydziału Policji miasta Atlanta i słynny austriacki psychiatra?

A może oni wszyscy powinni skonsultować się z doktorem Philipem Van Zandtem? Jego metody były zdecydowanie bliższe praktycznemu podejściu Mastersa i Johnsona. Rozbawił ją ten pomysł i gdy otworzyły się drzwi windy, na jej twarzy gościł promienny uśmiech.

Który po chwili zniknął.

W holu stała Maggie Lawson. Była zapłakana, miała rozciętą skórę tuż pod okiem i paskudne siniaki na szyi. Nie odezwała się ani słowem, ale biła od niej bezgraniczna rozpacz.

– Co się stało? – zapytała Kate.

– Jimmy zniknął – wyrzuciła z siebie. – Nie mam pojęcia, gdzie jest.

– Zniknął? – Kate zrobiła krok do przodu. Pan Schueneman, nocny portier, patrzył na nią z nieskrywaną dezaprobatą. Czy naprawdę to, co robiła w nocy, było dla wszystkich tak bardzo oczywiste? Zastanawiała się, od jak dawna Maggie na nią czeka, i zaczęła się martwić o Jimmy'ego.

– Opowiedz, co się stało.

Maggie wzięła głęboki oddech i zaczęła mówić:

– Kiedy wczoraj wieczorem wróciłam do domu, pokój Jimmy'ego był pusty. Zniknął też jego samochód. Nie miał dyżuru i nie było go na komendzie. Żaden z jego kumpli nie wie,

dokąd mógł pojechać. Dziewczyna Dona nie widziała go od poniedziałku. Sprawdziliśmy jego ulubioną knajpę. Szukaliśmy dosłownie wszędzie, ale jakby zapadł się pod ziemię.

Kate starała się skoncentrować. Maggie mówiła dziwnym tonem, jakby recytowała wcześniej wyuczoną przemowę.

– My?

– Ja i Terry. Rozdzieliliśmy się. – Nie patrzyła Kate w oczy i unikała jej wzroku. – Pomagali nam też inni. Terry oficjalnie ogłosił poszukiwania.

– Czy Jimmy już kiedyś zniknął?

– Nigdy.

– Nie dzwonił? Nie zostawił żadnej wiadomości?

– Nie – powiedziała, wpatrując się w jakiś punkt ponad ramieniem Kate. – Niczego nie zostawił.

Kate usiłowała się skupić. Czuła, że jeszcze nie do końca się obudziła i myślami jest ciągle w łóżku Philipa.

– Jesteś pewna, że z kimś nie uciekł?

Maggie pokręciła głową.

– On nikogo nie ma.

Kate zastanawiała się, czy to na pewno prawda. Jeżeli w jego życiu był jakiś mężczyzna, rodzina dowiedziałyby się o tym ostatnia.

Chyba że chodziło o coś innego.

Poczuła, że jej mózg wreszcie zaczął działać, jak należy.

– Strzelec!

Maggie w końcu na nią spojrzała. Miała strach w oczach. Tak naprawdę nie bała się wcale, że Jimmy uciekł z domu, ale że został zamordowany i jak do tej pory nie udało im się znaleźć ciała.

– Znajdziemy go. Na pewno nic mu nie jest. – Wzięła Maggie pod rękę i zaprowadziła za recepcję, gdzie znajdowały się drzwi do wind jadących na wyższe piętra. – Muszę się przebrać, dobrze? Zrobię ci kawę i jeszcze o tym pogadamy.

– Nie ma o czym mówić. – Weszły do windy. – Musimy znaleźć i unieszkodliwić Strzelca.

Znaleźć Strzelca, a nie jej brata. To naprawdę nie trzymało się kupy.

Zamknęły się drzwi. Kate spojrzała w lustro i zaczęła przyglądać się odbiciu koleżanki. Wyglądała strasznie. Miała potargane włosy i rozmazaną szminkę. Mundur był co prawda czysty, ale bardzo pognieciony, jakby wyciągnęła go z samego dna szafy.

– Sprawdziłam już Golden Lady – powiedziała Maggie. – To...

– Klub ze striptizem, w którym ofiary jadły ostatni posiłek. – Zabrzączał dzwonek i otworzyły się drzwi. – Czego się dowiedziałaś?

– Nie widzieli Jimmy’ego.

Znowu Jimmy. Maggie nie mogła się zdecydować, kogo chce znaleźć.

– Pytałaś o zamordowanych policjantów? – Zapanowała cisza i Kate odwróciła się, żeby sprawdzić, co się dzieje. Maggie stała oparta o ścianę. – Maggie?

– Tak?

– Co z innymi? Z Ballardem, Johnsonem, Keenem i Porterem? Dowiedziałaś się czegoś w tym klubie?

– Tak. – Maggie odepchnęła się od ściany. Zachowywała się jak zabawkowy samochodzik. Trzeba było ją nakręcić, zadając jakieś pytanie. – Kierownik spisuje wszystkie zamówienia, żeby szef wiedział, kto dostał coś za darmo. Cała czwórka jadła tam posiłek na chwilę przed morderstwem. Zamówili to samo: hamburgery i frytki. Zresztą nic innego nie ma w jadłospisie.

– Zgadza się. To samo znaleziono w ich żołądkach podczas sekcji zwłok. – Kate wsunęła klucz do zamka. – Ten kierownik jest pewien, że feralnej nocy Jimmy i Don nie odwiedzili lokalu?

Maggie najwyraźniej znowu się wyłączyła. Stała pogrążona we własnych myślach, ze wzrokiem wbitym w pustkę. W korytarzu panował półmrok i siniaki na jej szyi wyglądały na jeszcze ciemniejsze.

Kate otworzyła drzwi.

– Zapraszam.

Maggie nie weszła do środka. Stała w progu wyraźnie speszona wystrojem wnętrza. Kate widziała dom Lawsonów, więc nie była tym specjalnie zaskoczona.

Zdziwiło ją natomiast co innego – w pokoju czuć było papierosy, a przecież nikt tu nigdy nie palił.

– Mam zdjąć buty? – zapytała Maggie.

– Zwariowałaś? – Kate postanowiła zignorować dziwny zapach. To pewnie jej sąsiadka. – Czuj się jak u siebie w domu.

– Od jak dawna tu mieszkasz? – zapytała podejrzliwym głosem Maggie.

– Mniej więcej od roku. – Kate wskazała stojące przy oknie wyściełane krzesło. – Siadaj.

Maggie nie ruszyła się z miejsca.

– Pomógł ci ojciec?

Kate postanowiła sprzedać pierwsze kłamstwo, które przyszło jej do głowy.

– Mój mąż wykupił polisę ubezpieczeniową. – Spojrzała na zdjęcie Patricka, które zawsze stało obok łóżka.

Nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Zniknął jego wojskowy nieśmiertelnik.

Na pewno był na swoim miejscu, kiedy wczoraj wieczorem wychodziła z pokoju.

Doskonale pamiętała, że rzuciła na niego okiem tuż przed zamknięciem drzwi. Zajrzała za nocny stolik, ale w wąskiej szparze trudno było cokolwiek zobaczyć. Chciała zanurkować pod łóżko, ale Maggie miała już wystarczająco dużo powodów, żeby uznać ją za wariatkę, a chodzenie na czworakach po podłodze w samej sukience – na dodatek bez bielizny – na pewno nie poprawiłoby jej notowań.

– Coś się stało? – zapytała Maggie.

– Nie, nic. – Kate rozmasowała ramiona. Zasłony były odsunięte, a mogłaby przysiąc, że wieczorem je zaciągała. Poczowała to samo co wczoraj na werandzie u rodziców – przeszedł ją zimny dreszcz i nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ktoś ją obserwuje.

– Kate?

– Wszystko w porządku.

– Na pewno?

– Tak, na pewno. – Postanowiła jak najszybciej zmienić temat. – Wydaje mi się, że jeśli Strzelec zrobiłby Jimmy’emu krzywdę, to już byśmy o tym wiedzieli. Sama mówiłaś, że morderca zawsze działał według tego samego modus operandi. Zabijał policjantów na służbie. Kazał im zgłosić przerwę na posiłek i odłączał nadajniki. Wiedział, że wcześniej czy później ktoś zacznie ich szukać. Trzeba zatem sprawdzić u dyspozytora, kto ostatnio zgłaszał dziesięć dwadzieścia.

– Z Chikiem było inaczej.

– Jesteś pewna, że zabił go Strzelec?

– To chyba jedyne rozsądne wytłumaczenie, prawda?

Kate była w stanie podać mnóstwo innych powodów, choćby to, że Chic był alfonsem. Ale postanowiła iść za tokiem rozumowania Maggie.

– Na pewno nie tylko my doszliśmy do wniosku, że któraś z dziewczyn Chica mogła coś widzieć. Najwyraźniej ktoś był w domu Portugalki przed nami. Albo nawet po nas, bo i tak miał mnóstwo czasu, żeby się zaciąć po drugiej stronie ulicy. Mógł też nas śledzić. – Kate nie chciała jednak rozpatrywać ostatniej hipotezy. Woliała nie dopuszczać do siebie myśli, że ktoś depta im po piętach. – W każdym razie Strzelec musiał obserwować Chica, kiedy wszyscy siedzieliśmy w pokoju na piętrze. Pamiętasz, co się stało? Chic pokazał nam nadajnik, a Gail wymierzyła pistolet w jego twarz. Strzelec musiał to widzieć. Nadajnik był dowodem znalezionym na miejscu zbrodni. Chic już miał się odezwać i o wszystkim nam opowiedzieć, gdy padł strzał.

– To był nadajnik Jimmy’ego – uściśliła Maggie.

– Kiedy teraz o tym myślę... Chic powiedział coś dziwnego. – Kate zacytowała z pamięci jego słowa: – „W ogóle nie przypomina tego gościa, którego pokazujecie w telewizji”.

Maggie milczała. Była blada jak ściana, a na jej czole pojawiły się kropelki potu.

Kate uchyliła okno. Do środka wpadło ze świstem zimne powietrze.

– Pewnie chodziło mu o portret pamięciowy wykonany na podstawie zeznań Jimmy’ego,

który pokazywali non stop w wiadomościach i wydrukowali na pierwszej stronie wieczornego wydania lokalnych dzienników. Być może Chic miał na myśli kolor skóry. A co jeśli morderca wcale nie jest Murzynem?

Maggie oparła rękę na komodzie. Widać było, że ma problemy z utrzymaniem równowagi.

– Nie wiem, jakoś trudno mi w to uwierzyć.

Kate dalej drażyła temat.

– Przypominasz sobie, co powiedziała Gail? Biali zabijają białych, a czarni czarnych, więc...

Maggie milczała.

– Pamiętasz, co działo się po tym, jak zemdlałam?

Maggie wzruszyła ramionami.

– Tak.

– Wszystko? Łącznie ze szczegółami? – Kate skrzyżowała ręce. Po otwarciu okna zrobiło się naprawdę zimno. – Właśnie zdałam sobie sprawę, że nie byłabym w stanie opisać tej Portugalki, a przecież rozmawialiśmy z nią w jej własnym domu przez dobre kilka minut. W ogóle nie pamiętam jej rysów twarzy.

Maggie wyglądała na zniecierpliwioną.

– No i co z tego?

– Gdybym zobaczyła ją w nocy, jak na przykład wychodzi zza rogu z pistoletem, na pewno bym jej nie rozpoznała, więc może Jimmy...

– Mówisz o sobie, Kate. Pracujesz tu raptem od dwóch dni i nie jesteś specjalnie spostrzegawcza. Wpadłaś na mur, na litość boską!

Kate powtórzyła w myślach to, co właśnie usłyszała. Uderzyła ją nie treść, ale forma. Maggie powiedziała szczerą prawdę, ale nie typowym dla niej rozdrażnionym tonem, ale raczej tak, jakby się przed czymś broniła. Było coś jeszcze – chociaż zrobiło się naprawdę zimno, cały czas lał się z niej pot.

– Masz rację – przyznała Kate. – Chyba potrzebuję kawy, żeby na dobre się obudzić. – Wzięła dzbanek, poszła do łazienki i odkręciła kran. Nie mogła wyzbyć się wrażenia, że umyka jej coś bardzo ważnego.

Zaczęła mówić podniesionym głosem, żeby Maggie mogła ją usłyszeć.

– Ostatnio Jimmy uczestniczył w kilku traumatycznych wydarzeniach. Został postrzelony w ramię i widział, jak umiera jego przyjaciel. To nie mogło pozostać bez wpływu na jego psychikę. Może potrzebuje trochę czasu dla siebie? Chce pozbierać myśli?

Cisza.

Już miała wszystko powtórzyć, ale w końcu Maggie zareagowała:

– Jimmy się tak nie zachowuje.

Kate wróciła do pokoju, niosąc w ręku dzbanek pełen wody.

– Czy on się z kimś spotyka w tajemnicy?

– W tajemnicy? – powtórzyła Maggie, przyglądając się uważnie koleżance.

Kate zajęła się przygotowywaniem kawy.

– Jestem jedynaczką, ale moje przyjaciółki, które miały braci, mówiły, że są bardzo skryci, szczególnie jeśli chodzi o życie uczuciowe.

– Czy w radiowozie się do ciebie dobierał?

– Jimmy? – To było dziwne pytanie. Kate nie wiedziała, co odpowiedzieć. – Myślę, że po prostu wdrażał mnie do służby. Czy nie dlatego Terry wysłał nas razem na patrol?

– Ale flirtował z tobą?

– Tak. – Kate włączyła ekspres. – Oczywiście, że tak. Ja zresztą nie pozostałam mu dłużna. Jeśli chce, potrafi być bardzo czarujący.

Maggie wyglądała na skonsternowaną. Wcześniej nie była w stanie spojrzeć Kate w oczy, a teraz gapiała się na nią jak cielę na malowane wrota.

– Po prostu dalej prowadźmy śledztwo, dobrze? – powiedziała Kate. – Zacznijmy tam, gdzie skończyłyśmy wczoraj. Potrzebujemy informacji, które zaprowadzą nas do Strzelca.

Maggie powoli kiwnęła głową.

– Jimmy zniknął, ale będziemy wiedziały, co się z nim stało, jeśli znajdziemy Strzelca.

Kate poczuła ulgę. Maggie znowu zaczęła mówić do rzeczy.

– Martwisz się czymś jeszcze?

– Nie, czym miałabym się niby martwić? – W głosie Maggie znowu pojawił się defensywny ton. – Masz jakiś problem z tym, że zabiłam Anthony'ego?

– Żadnego. Zastrzeliłaś go w samoobronie. Ocaliłaś nam życie. – Kate musiała przerwać, żeby uspokoić emocje. Znowu stała przed aparatem telefonicznym na stacji Texaco, przytłoczona potrzebą wyrażenia skruchy. – To ja powinnam cię przeprosić. Zawiodłam was, ciebie i Gail. Powinnam być czujniejsza. Powinnam wam pomóc, kiedy rozpętało się piekło.

Maggie spojrzała na ekspres do kawy.

– A ja powinnam sprawdzić budynek po drugiej stronie ulicy.

– Przecież to zrobiłaś – powiedziała z pełnym przekonaniem Kate. – Sama widziałam, jak podchodzisz do okna w pokoju Chica. Razem z Gail wszystko dokładnie obejrzałyście, również ten magazyn naprzeciwko. – Widać było, że Maggie sceptycznie podchodzi do jej słów, więc dodała: – Pierwszego dnia powiedziałaś mi, że policyjny fach można dobrze opanować, tylko obserwując innych policjantów. Przyglądałam się wam z uwagą i wiem, że niczego nie zaniedbałyście.

Maggie nie wyglądała na przekonaną. Przez chwilę zajmowała się zdejmowaniem z munduru jakiegoś paprocha, a potem zmieniła temat:

– Szef powiedział, że możemy wziąć parę dni wolnego.

– Tylko po co? – Kate stała obok Maggie, gdy Cal Vick zachęcał je do pójścia na urlop.

– Przecież nie będziesz siedzieć w domu. Jestem pewna, że gdyby Gail wyszła ze szpitala, to dziś rano stawiałaby się na odprawie.

Maggie uśmiechnęła się, ale po chwili uznała, że to chyba niestosowne.

– Dobrze. – Kawa była gotowa i Kate rozlała ją do filiżanek. – Najpierw musimy ustalić tożsamość Strzelca. Moim zdaniem powinniśmy jeszcze raz porozmawiać z Portugalką.

– Dlaczego?

– Zakładamy, że Strzelec zabił Chica, bo ten wiedział za dużo, ale w tym domu jest jeszcze ktoś inny, kto może nam pomóc.

Maggie wyglądała na zaskoczoną.

– Nie odniosłaś wrażenia, że ta staruszka lubi wtykać nos w nie swoje sprawy?

– To tylko twoje przeczucie. – Maggie pokręciła głową. – Jestem pewna, że oficerowie śledczy zdążyli ją przesłuchać i to nie raz. To naprawdę niezłe gównno, więc na sto procent podeszli do sprawy na poważnie. Pewnie mają już tyle stron zeznań, że mogliby spokojnie wytapetować ten hotel.

Kate odstawiła dzbanek na podgrzewacz.

– Wczoraj powiedziałaś, że ludzie kłamią.

– Tak, to prawda.

– W takim razie Portugalka mogła oszukiwać. – Kate próbowała ułożyć ze swoich przypuszczeń wiarygodną historię. – Spójrz na to w ten sposób: coś złego przydarzyło się jednej z dziewczyn Chica. Była świadkiem morderstwa policjanta. Wpadła w panikę. Do kogo zwróciła się o pomoc? – Kate sama odpowiedziała na to pytanie. – Poszła do swojego szefa, obudziła go i wręczyła mu nadajnik. Kto ją wpuścił o tej porze do pensjonatu? Kto otworzył cztery zamki i zdjął łańcuch?

– Dobrze. – Maggie dała wreszcie za wygraną. – To mocno naciągane, ale chyba nie mamy innego wyjścia.

– Potrzebuję dosłownie paru minut. Muszę wziąć prysznic i się przebrać. – Wyjęła z komody świeżą bieliznę. Kiedy otworzyła szafę, ogarnęło ją poczucie winy. Drażek aż uginał się pod ciężarem sukienek, a na dnie ustawione były w trzech rzędach i dwóch warstwach pudełka z butami.

Wzięła kawę i zniknęła w łazience. Kiedy odkręciła kran, zabulgotało w rurach i z prysznica poleciała woda. Myła się ostrożnie, starając się nie zmoczyć włosów i nie dotykać obolałych miejsc. Od pasa w dół wyglądała, jakby ktoś ją pobił. Bardzo się starała, żeby nie myśleć, z jaką delikatnością Philip całował jej siniaki.

Podjeżdżała, że Maggie nie miała nikogo, kto zająłby się sińcami na jej szyi. Dziś rano zachowywała się wyjątkowo defensywnie, jakby miała na sobie nie jedną, ale dwie zbroje. Czy powodem było zniknięcie brata? Kate miała wrażenie, że chodziło o coś jeszcze. Czyżby Maggie zaczęła się domyślać, że Jimmy jest gejem? Może właśnie dlatego starała się go znaleźć? Zresztą nie tylko ona. Zaangażowany był w to również Terry, który ogłosił

oficjalne poszukiwania. Każdy gliniarz w mieście będzie więc dzisiaj zajęty szukaniem Jimmy'ego albo tropieniem Strzelca.

Prawdziwy raj dla przestępców.

Wyszła spod prysznic i szybko się wytarła. Zrezygnowała z makijażu. Przy odrobinie szczęścia korektor powinien zamaskować cienie pod oczami. Kate nie wzięła ze sobą rajstop, ale przecież nikt nie zauważy ich braku. Zaczęła nasłuchiwać, co dzieje się w pokoju. Może Maggie zasnęła? W sumie nie byłoby to najgorsze rozwiązanie. Jeszcze wczoraj Kate myślała, że Maggie Lawson to jedna z najbystrzejszych kobiet, jakie zna, ale dziś ta dziewczyna nie była w stanie wyciągnąć najbardziej oczywistych wniosków.

Otworzyła drzwi łazienki. Maggie siedziała w tym samym miejscu. Sińce na jej szyi wydawały się jeszcze ciemniejsze. Kate była niemal pewna, że rana na policzku również zmieniła kolor.

– Powinnyśmy przejrzeć nasze wczorajsze notatki – powiedziała Kate i od razu uściśliła: – Mam na myśli te dotyczące sprawy Strzelca.

– Zabrał je Terry.

Kate nie zadała oczywistego pytania, ponieważ wiedziała, że i tak nie uzyska na nie odpowiedzi.

– A co z barem?

– Jakim barem?

– Dabblers. Jego logo widniało na pudełku zapalek, które znalazłyśmy w spodniach Dona Wesleya.

Maggie sprawiała wrażenie, jakby w ogóle o tym zapomniała, ale po chwili oznajmiła:

– Mój sąsiad pracuje w firmie telekomunikacyjnej. – Rozejrzała się w poszukiwaniu miejsca, żeby odstawić filiżankę. – Rozmawiałam z nim wczoraj wieczorem i powiedział, że wrzuci informacje do mojej skrzynki pocztowej. Musimy się pośpieszyć, żeby ktoś nie położył na tym łapy.

Kate zastanawiała się, kto mógłby włamać się do skrzynki pocztowej Lawsonów.

– Jest już po szóstej. Może Portugalka będzie w bardziej gadatliwym nastroju, jeśli zjawimy się u niej wcześniej rano. Postaw to gdziekolwiek.

– Obawiam się, że to kolejna ślepa uliczka. Gail mówiła, że ten pensjonat nie jest ulubionym miejscem gliniarzy. – Maggie odstawiła filiżankę na ekspres.

– Mój ojciec często powtarza, że jeśli nie wiesz, co robić, po prostu idź przed siebie, aż coś wymyślisz. – Włożyła buty Jimmy'ego i zdjęła pas służbowy wiszący na drzwiach szafy. Metalowe zaczepy trzymała schowane w pudełku z biżuterią. Kiedy je otworzyła, rzucił jej się w oczy stary zegarek. Postanowiła go założyć.

– Powinnyśmy skontaktować się z Delroy i Watson?

– Po co?

Kate zamontowała zaczepy na pasie.

– Żeby dostać pozwolenie na wizytę w CT.

– Wczoraj rozwaliłam tam pięcioma strzałami wielkiego faceta. Nie sądzę, żeby po czymś takim ktoś chciał z nami zadzierać.

Kate zaczęła się jej uważnie przypatrywać. Czy właśnie o to chodziło? O wyrzuty sumienia po zabiciu Anthony'ego? Czy Maggie próbowała uciszyć demony i stąd te siniaki na szyi?

– Nic mi nie jest – powiedziała Maggie.

– Wcale nie pytałam, jak się czujesz.

– Miałaś to wypisane na twarzy.

– Pozory myślą. – Kate sprawdziła kieszenie: szminka, gotówka, notatnik służbowy, długopisy. Zawiesiła pałkę na specjalnym haczyku i podłączyła mikrofon do nadajnika. – Masz całkiem fajnego sąsiada.

– Jest głuchy.

Kajdanki, klucze, latarka. Gdy to wszystko założyła, od razu rozboleły ją plecy.

– Gail straciła wzrok w jednym oku, a to przecież nie znaczy, że mniej ją teraz lubisz.

– Jego matka jest pielęgniarką. Kiedyś usuwała ciążę. – Kate spojrzała na nią pytająco.

– Jeszcze zanim to było dozwolone – wyjaśniła niepewnym głosem Maggie. – Dzień i noc w pobliżu ich domu kręciły się dziewczyny. Zarabiała kupę pieniędzy i dlatego mają najładniejszy dom w okolicy. Jesteś gotowa?

Kate zaczęła iść w kierunku drzwi, ale w pewnym momencie zawróciła i podeszła do komody. Otworzyła pierwszą szufladę od góry i wyjęła z niej nowy rewolwer. Stary został wczoraj zatrzymany jako dowód w sprawie. Wsadziła pistolet do kabury i zapięła zatrzask.

– Teraz jestem gotowa.

Na twarzy Maggie pojawił się kpiarski uśmiešek.

– Masz odbezpieczoną broń, Murphy. Prawie odstrzeliłaś sobie stopę.

Fox nie mógł przestać myśleć o włosach Kate. W wyobraźni przywoływał opadające na ramiona jedwabiste pukle w kolorze złota i miodu. Twarz wyrzeźbioną z kości słoniowej. Oczy jak toń nieskazitelnie czystego oceanu.

To wszystko kłamstwo.

Miała jasną karnację, choć powinna mieć ciemną. Posługiwała się irlandzkim nazwiskiem zamiast żydowskiego. Pod maską normalności skrzętnie ukrywała swoją prawdziwą tożsamość. To był problem – oszuści, których trudno zidentyfikować, a kiedy wreszcie wychodzi sztydło z worka, jest już za późno.

Żydzi, Włosi, pedały, żółtki, czarnuchy, Hindusi.

Stary miał rację. Świat stanął na głowie. Ludzie nie wiedzieli, gdzie jest ich miejsce. Fox starał się to wszystko naprawić, ale często zastanawiał się, jak wyglądałoby jego życie, gdyby udało mu się uratować ojca.

Mógł zastrzelić makaroniarza, który zamknął fabrykę.

Zagazować żydowską sukę, przez którą stary nie dostawał zasiłku.

Zabić żółtego sukinsyna, który ukradł mu pracę.

Uratować matkę przed bólem.

Tak, bólem, ponieważ nie chodziło wcale o gniew, ale właśnie o ból.

Kiedy ojciec wylądował na bezrobociu, co wieczór siadał przy stole i opowiadał o ludziach, którzy spieprzyli mu życie. Kobietach, Żydach i Latynosach. Skurczybykach, których należało się pozbyć. Zaczął czytać Biblię i robił to z zapalem neofity. Przez całe lata szydził z tego, że matka chodzi do kościoła, a teraz sam się nawrócił.

„On z jednego [człowieka] wyprowadził cały rodzaj ludzki, aby zamieszkiwał całą powierzchnię ziemi. Określił właściwie czasy i granice ich zamieszkania”[4].

Fox siedział obok niego przy stole. Stary uderzył palcem w książkę i wydobył z siebie głęboki pomruk: „Aha”. Dzieje Apostolskie 17, 26. Odnalazł swój cel. Miał realizować misję, którą Bóg powierzył Adamowi. Jednak czas uciekał, a jego możliwości zostały znacznie ograniczone.

Kto był za to odpowiedzialny? Żydzi, makaroniarze, Latynosi, kobiety. Byli jak bomby, które spadły na jego świat, obracając go w perzynę.

Ich ostatnią ofiarą była matka Foxa.

Gdy wróciła od lekarza, siedzieli przy stole. Biblia była zamknięta. Stary pił jacka daniel'sa prosto z butelki i wyraźnie szukał zaczepki. Fox nie miał zamiaru go

prowokować. Był już po lekcjach i jadł kanapkę, którą zrobiła mu matka: kromka chleba z odciętą skórką i plasterkiem sera. Miało być jeszcze kruche ciasteczko, ale wiedział, że lepiej nie pytać, co się z nim stało.

Matka usiadła na małym krzeselku z połamanym oparciem. Jak zawsze przycupnęła na samej krawędzi. Przez całe życie starała się łagodzić konflikty, ale nigdy nie owijała spraw w bawełnę. Powiedziała, że za bóle brzucha odpowiedzialny jest nowotwór. Guz był wielkości grapefruita.

Lekarze dawali jej trzy miesiące, może cztery, jeśli będzie się oszczędzać.

Stary wybuchnął płaczem. To był pierwszy z dwóch razów, kiedy Fox widział, jak ojciec zalewa się łzami.

Sam zachował spokój. Wyobrażał sobie grapefruita i porównywał go z innymi rzeczami: piłką do gry w baseball, piłką tenisową, pięścią ojca.

To chyba coś więcej niż przypadek, że rakowa narośl miała rozmiar pięści starego. Najczęściej walił ją właśnie w brzuch. Fox wyobrażał sobie, że każdy cios ubijał żołądek, nadając mu kształt i konsystencję zaciśniętej dłoni. A gdyby tak rozewrzeć palce nowotworu? Zaczął modlić się o to, żeby guz zniknął, a matka przestała cierpieć.

W jej stanie jedynym wyjściem była morfina. Być może dałoby się coś zrobić dwa lata wcześniej, kiedy skarżyła się na przenikliwy ból brzucha albo rok temu, gdy zaczęła krwawić. Teraz było jednak za późno.

Lekarze jej nie wierzyli, ale Fox nie mógł ich za to winić. Tyle razy ich przecież okłamała. Połamane nadgarstki, zwichnięte kostki, rozcięcia i siniaki, strach w oczach, gdy dowiedziała się, że trzeba założyć szwy. Nikt nie przycina sobie nogi drzwiami samochodu dwa razy z rzędu. Nikt nie dostaje oparzeń trzeciego stopnia od przypadkowego dotknięcia ręką palnika elektrycznego. Samemu nie wypalisz sobie na skórze koncentrycznych kręgów – ktoś musi cię mocno przytrzymać.

Jeśli ciągle kłamiesz, skąd wiadomo, że akurat tym razem mówisz prawdę? Fox zorientował się, że coś jest nie tak, gdy matka stała obok zlewu i nagle dopadł ją taki ból, że aż ugięły się pod nią kolana. Pamiętał też, jak wyła w łazience i nie mogła opanować drżenia rąk. Wielokrotnie skarżyła się lekarzom na złe samopoczucie, ale oni zawsze powtarzali, że musi odpocząć.

Fox też potrzebował odpoczynku. Od tamtych wydarzeń minęło wiele lat, ale kiedy myślał o cierpieniu matki, nadal robiło mu się słabo.

Oparł się o ścianę w piwnicy. Zamknął oczy i wyteżył słuch. Pokój był naprawdę dobrze wyciszony. Musiał przytknąć ucho do boazerii, żeby usłyszeć szcęk łańcuchów i krzyki Jimmy'ego Lawsons. Wrzeszczał od momentu, gdy Fox go uwięził. Nie prosił jednak o litość. Chciał umrzeć. Doskonale zdawał sobie sprawę, na co zasługuje. Dwie kule prosto w czoło. Tak jak stary.

Tylko że ten popapraniec sam próbował ze sobą skończyć, ale jak zwykle mu nie wyszło.

To stało się po pogrzebie. Fox patrzył, jak trumna z ciałem matki zjeżdża do grobu.

Tamtego dnia panował przenikliwy chłód. Nikt mu nie powiedział, żeby włożył kurtkę, więc miał na sobie tylko cienki garnitur. Stał przemarznięty obok dziury w ziemi, czuł w ustach smak mokrej gliny i co chwilę smagał go kolejny podmuch lodowatego wiatru.

Ojciec płakał. To był ten drugi raz. Po policzkach ściekały mu wielkie łzy, a następnie spadały na czubki butów.

Lekcja numer dziewięć: mężczyzna zawsze chodzi w wyczyszczonym obuwiu.

Kiedy wracali do domu, stary się nie odzywał. Nikt na nich nie czekał. Matka nie miała żadnych znajomych. Koledzy z pracy ojca byli zajęci swoimi sprawami. W kościele kobiety dały staremu jakąś potrawę w naczyniu żaroodpornym, a sąsiad przyniósł im trochę mleka. Poza tym żona pastora upiekła dla nich ciasto, ale sam pastor nie zaszczycił ich swoją obecnością. Weszli do pustego, zimnego domu i Fox zdał sobie sprawę, że w jakiś sposób matce udawało się wypełnić go szczęściem, bólem, strachem i miłością.

Ojciec wszedł do kuchni i usiadł przy stole. Otworzył szufladę, wyjął pistolet i przystawił lufę do skroni. Pociągnął za spust.

Fox stał obok i wszystko widział. W ostatniej sekundzie ich spojrzenia się spotkały. Padł strzał i oczy starego poleciały w bok. Teraz wyglądał tak, jakby jednocześnie patrzył przez okno i na Foxa, co było niemal śmieszne. Pistolet upadł na podłogę. Stary cały czas siedział na krześle wyprostowany jak struna, tak jak miał w zwyczaju robić każdego wieczoru, od kiedy tylko Fox sięgał pamięcią.

Kaliber 5,6 mm. Kula nie wyleciała po drugiej stronie czaszki, tylko przeszła przez mózg zygzakowatym torem. Z jednej strony na drugą, a potem z przodu na tył. Było wyjątkowo mało krwi – tylko cienka strużka ciekąca z czarnej dziury tuż nad uchem. Stary poruszył ustami, a z jego krtani wydobył się dźwięk przypominający krakanie.

Fox rzucił okiem na ciasto podarowane przez żonę pastora. Było za bardzo przypieczone na bokach. Matka nigdy by czegoś takiego nie zrobiła.

Stary znowu wydał z siebie dziwny odgłos.

Fox ułamał kawałek placka i włożył go do ust. Na języku poczuł maślany smak, a potem spaleniźnę. Ponownie sięgnął po ciasto, ale tym razem wydłubał z niego nadzienie. Podszedł do ojca, zlizując z palców wiśniową breję. Pomyślał, że jego ręka jest teraz bardziej czerwona niż dziura w czaszce starego. Musiał jakoś zlikwidować tę dysproporcję. Podniósł więc pistolet z podłogi, przyłożył lufę do głowy ojca i pociągnął za spust.

Lekcja numer dziesięć: mężczyzna zawsze kończy to, co zaczął.

To była najważniejsza lekcja. Jedyna, która miała jakieś znaczenie.

Fox też miał coś do skończenia. Jednak nie dlatego, żeby nagliły go okoliczności. Po prostu nie było sensu tego przeciągać. Jimmy Lawson cały czas krzyczał. Nie przestałby ani za godzinę, ani za rok.

Fox nie był mordercą, tylko katem. Ból Jimmy'ego nie sprawiał mu przyjemności.

W każdym razie niezbyt wielką.

Odsunął się od drzwi i sprawdził zamek. Nie odwrócił się jednak i nie poszedł do siebie. Coś go tu wciąż trzymało.

Napięcie.

Nawet jeśli nie myślał o Kate, jego ciało płonęło z pożądania. Dotknął ręką swojego nabrzmiałego członka. Chciał być z nią sam na sam. Nie mógł już dłużej obserwować jej z daleka. Chciał ją osiąść – u siebie w domu, w swoim łóżku, w swojej piwnicy.

Pragnął ją mieć przy sobie tak długo, aż zniknie napięcie. Zdał sobie sprawę, że już dawno podjął taką decyzję, może nawet wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy. Jego mózg działał jednocześnie na dwóch różnych poziomach: zerznąć ją, zabić i jeszcze raz zerznąć.

Co w tym złego?

Nikt by się przecież nie dowiedział. Stary od dawna leżał w grobie obok innych nędzarzy. Nikt mu nie powie, że Fox pieprzy jakąś Żydówkę i że ta dziwka sprawuje nad jego synem pełną kontrolę.

Ale Fox wiedział.

Zakrył oczy rękami i poczuł, jak zalewa go fala wstydu. To było jak znalezienie się w chmurze gazu łzawiącego. Malutkie kolce wbijały się w rogówkę, a kawałki szkła raniły płuca. Dławiąc się i krztusząc, zaczął sobie uświadamiać, że kocha Kate.

Miłość.

Nie było sensu temu zaprzeczać. Błyskawice w jego głowie to nie był znak, że uknuł kolejny genialny plan. To ta brudna dziwka odprawiała swoje żydowskie czary. Dał się nabrać. Wydawało mu się, że to on na nią poluje, ale tak naprawdę już dawno wpadł w jej sidła.

Miał jednak zamiar odzyskać kontrolę nad sytuacją. Kate stanie się posłuszna jego woli, a może nawet całkowicie mu ulegnie. Czas pokaże. Fox musi spotkać się z nią sam na sam i sprawić, żeby poświęciła mu całą swoją uwagę. To było w tej chwili najważniejsze. Chciał jej się lepiej przyjrzeć, poznać jej słabości, zapisać wszystkie reakcje, żeby później wiedzieć, jak z nią postępować.

Przypominało to sposób, w jaki stary radził sobie z matką. Kate nie była jednak niewiniątkiem, ale wytrawną oszustką. Rozkochała w sobie Foxa, tak jak kiedyś Rebecca Feldman. I każda inna dziwka, którą kiedykolwiek kochał.

Fox zaczął kiwać głową. Dopiero teraz zrozumiał, co się stało. Błyskawice w głowie wcale go nie zawiodły. To wszystko stanowiło część planu, który jego umysł przygotowywał od wielu tygodni. Pokój został należycie wyciszony, a łańcuchy przyśrubowane do krokwi. Wcale nie stracił kontroli nad sytuacją. Wręcz przeciwnie, sprawował nad wszystkim nadzór.

Teraz pozostaje tylko ułożyć wszystkie elementy w jedną całość.

Oto jego plan: skończyć z Jimmym i zabrać się za Kate.

Wyjął z kieszeni nieśmiertelnik, który zabrał z jej mieszkania. Metalowe krążki, które przy pocieraniu wydawały znajomy odgłos.

Murphy.

Patrick R.

Numer ubezpieczenia społecznego, chociaż już nigdy nie zapłaci żadnego podatku.

Grupa krwi rozlanej gdzieś w tej opuszczonej przez Boga dżungli.

Wyznanie, chociaż jego papież nie zrobił nic, żeby powstrzymać tę straszliwą wojnę.

Fox założył nieśmiertelnik na szyję i schował pod koszulę. Na piersiach poczuł przyjemny dotyk zimnego metalu.

Zastanawiał się, czy usta Kate zapewnią mu podobne doznania.

Maggie zgubiła drogę. Jeździła na West Side setki razy, ale straciła koncentrację i kompletnie zawiodła ją pamięć. Zamiast znaleźć się przed domem Portugalki, utknęły w centrum miasta w porannym korku.

Jeśli Kate zauważyła, że coś jest nie tak, to w żaden sposób tego nie skomentowała. Maggie była jej za to wdzięczna. Nie mogła jednak zrozumieć tej nagłej przemiany. Jeszcze niedawno Kate była bezradną owieczką, a dziś sprawiała wrażenie całkiem dobrego gliniarza. Pierwsze oznaki tej zmiany Maggie dostrzegła już wczoraj, gdy przeglądały akta sprawy Strzelca. Dziś rano Kate wyciągała wnioski tak błyskawicznie, że Maggie nie była w stanie za nią nadążyć. Ta dziewczyna robiła naprawdę niewiarygodnie szybkie postępy.

A z Maggie było coraz gorzej.

Bała się, że Kate jakimś sposobem wydobędzie z niej prawdę o Jimmym. Ale czy sama знаła prawdę o swoim bracie? Czy rzeczywiście był gejem? Czy mordował policjantów? Czy jedno było możliwe bez drugiego? A może wszystko to tylko bzdury wysrane z palca?

Od zadawania samej sobie tych pokrętnych pytań rozboleła ją głowa.

Najgorsze, że zachowywała się jak podejrzani, którzy mieli coś na sumieniu. Pociła się, drżały jej ręce i nie była w stanie patrzeć Kate prosto w oczy. Powinni wyciągnąć ją z radiowozu i pokazać studentom w akademii. Podręcznikowy przykład kogoś, kto jest winny.

Poza tym była straszliwie zmęczona.

Wczoraj wieczorem wyszła z domu z myślą, że już nigdy tam nie wróci. Nie spakowała się. W jej sypialni nie było tak naprawdę nic, co mogłoby się przydać. Wzięła tylko pas służbowy z kuchennego blatu i poprosiła przez radio, żeby jakiś radiowóz zgarnął ją na rogu i zawiózł na komendę. Umyła się w pustej o tej porze przebieralni. Włożyła zapasowy mundur, który trzymała w szafce.

Chciała raz na zawsze zmienić swoje życie, ale w głębi serca zdawała sobie sprawę, że nie ma gdzie się podziać i wcześniej czy później wróci do domu Lawsonów. Jej samochód był w warsztacie i nie miała grosza przy duszy. Nie była właścicielką eleganckiego mieszkania z białym włochatym dywanem na podłodze i szafą, w której wisi tyle ubrań, że brakuje dni w roku, żeby je wszystkie włożyć.

Terry sprawował pełną kontrolę nad domowym budżetem. Kiedyś nie był to wcale taki zły pomysł. Delia nie mogła otworzyć własnego konta bez zgody męża, a Hank opróżniał ich wspólny rachunek za każdym razem, gdy wracał do domu ze szpitala. Kiedy prawie stracili dom, Delia zdecydowała, że będzie przekazywać swoje czeki z wypłatą Terry'emu. Potem kiedy Maggie zaczęła pracę w policji, zrobiła to samo. Niestety, po pewnym czasie

okazało się, że jeśli któraś z nich mu podpadła, po prostu zamykał sakiewkę z pieniędzmi, więc musiały tańczyć, jak im zagrał.

W ostatnich latach pojawiło się wiele nowych przepisów federalnych umożliwiających kobietom uzyskanie niezależności finansowej, ale w stanie Georgia ich wdrażanie szło wyjątkowo opornie. Zawsze znalazła się jakaś furtka albo kruczek prawny i do tej pory niewiele się zmieniło. Maggie nie mogła otworzyć konta, do którego Terry nie miałby dostępu. Jeśli chciała pożyczyć samochód, na umowie musiał się znaleźć podpis Terry'ego. Jego zgoda była również niezbędna, żeby wyrobić sobie kartę kredytową albo wynająć mieszkanie.

„Informacja o najbliższym krewnym płci męskiej”.

Na każdym formularzu znajdowało się takie pole. Maggie całymi miesiącami przeglądała ogłoszenia i wykonała setki telefonów, ale każdy wynajmujący wymagał poręczenia męskiego członka rodziny. Bała się poprosić o to Terry'ego, a Jimmy odmawiał, ponieważ nie chciał się znaleźć między młotem a kowadłem.

Jimmy.

Wczoraj wieczorem rozpoczęła poszukiwania od odwiedzenia jego kumpli. Waliła w drzwi i budziła ich rodziny, choć była przekonana, że go tam nie znajdzie. Potem poszła do baru, do którego od czasu do czasu chodził po pracy na drinka. Zadzwoiła też do każdej byłej dziewczyny, której imię była w stanie sobie przypomnieć. Sprawdziła jego radiowóz i włamała się do szafki. Była też na strzelnicy i na boisku przy liceum Grady'ego. Zajrzała do męskiej przebieralni, do kanciapy trenera i do piwnicy, do której zakradały się pary nastolatków, żeby się obściskiwali. Przeszła z latarką przez park Piedmont. Objechała radiowozem wszystkie podejrzane zaułki i zajrzała do wszystkich przejść podziemnych, w których spotykali się homoseksualiści. Odwiedziła nawet kina porno i całodobowe jadłodajnie.

Każdy kolejny parking i każdy przestraszony mężczyzna uciekający na widok nadjeżdżającego radiowozu sprawiały, że była coraz bardziej zrozpaczona. Czuła, że musi znaleźć brata, zanim zrobi to Terry. Nie wiedziała, czy zamierza uratować Jimmy'emu życie, czy nie. Wydawało jej się to czymś drugorzędnym. Priorytetem było odnalezienie go i uzyskanie wyjaśnienia. Chciała, żeby Jimmy spojrział jej prosto w oczy i powiedział, dlaczego napisał ten list.

List.

Zapamiętała każde słowo. Delia podała kartkę, ale Maggie zaraz po wyjściu z domu zapisała wszystko w swoim notatniku. Analizowała pojedyncze zdania i zestawiała ze sobą różne wyrażenia. Starła się znaleźć w tym wszystkim jakieś ukryte znaczenie. Czuła, że musi w tym być coś jeszcze.

Ponieważ jaki to miało sens?

Nawet zakładając, że Jimmy rzeczywiście był gejem i uprawiał seks z Donem Wesleyem i innymi policjantami, to dlaczego miałby ich zabijać? Przecież wszyscy mieli w rękach taką samą broń. Byli jak Rosja i Stany Zjednoczone, które zgadzają się nie używać bomb atomowych, ponieważ wiedzą, że ewentualny konflikt skończy się wzajemnym

unicestwieniem.

Natomiast jeżeli Jimmy nie był homoseksualistą, to dlaczego przyznawał się do zabójstw? Jaki był jego motyw? Może Kate miała rację co do stanu jego umysłu? Widział, jak umiera Don, i nie był w stanie mu pomóc. A potem został jeszcze postrzelony w ramię przez jakąś wariatkę. Czy zachowywał się jak żołnierz, który wraca z frontu i traci rozum? Czy ten list to wołanie o pomoc?

Jeśli rzeczywiście tak było, to Jimmy dobrze wiedział, jak podejść Terry'ego i sprawić, żeby ten wybawił go z udręki. Była tylko jedna grupa ludzi, której wuj nienawidził bardziej niż Murzynów i liberałów – homoseksualiści.

– Sukinsyn! – Maggie walnęła pięścią w kierownicę.

Znajdowały się kilka przecznic od tunelu Georgia Tech, gdy nagle Maggie zobaczyła London Foga, który przechadzał się chodnikiem jak gdyby nigdy nic. Nadal miał na sobie stary płaszcz, ale tym razem pod spodem nie był nagi. Paradował po ulicy w szarych spodniach z wełny czesankowej i lśniących czarnych mokasynach.

Maggie skrzyła tak gwałtownie, że zgasł silnik.

Kate złapała się deski rozdzielczej.

– Co ty...?

– To on! – Maggie już wysiadała z samochodu. – Facet, który zgwałcił dziewczynkę.

Kate otworzyła drzwi po swojej stronie auta.

– Jesteś pewna?

– Ukradł ten płaszcz. – Maggie odpięła pałkę od pasa służbowego. Specjalnie mówiła bardzo głośno, żeby ją usłyszał, ale tak jak przedwczoraj nawet nie zwolnił kroku. – Zgwałcił trzynastolatkę, a potem podpieprzył babci starą kapotę. – Podbiegła do niego. – Nazywa się Lewis Windall Conroy Trzeci. Pochodzi z Berwyn w stanie Maryland.

Wreszcie się zatrzymał. Ręce cały czas trzymał w kieszeniach.

Maggie stanęła obok niego i uderzyła pałką o wnętrze swojej dłoni.

– Klękaj!

Nawet się nie ruszył.

Nie była w nastroju na strzępienie sobie języka. Zamachnęła się i walnęła go z całej siły pod kolanami.

Conroy padł na ziemię jak worek ziemniaków.

– Maggie – wyszeptała zdumiona Kate.

– Wstawaj – rozkazała. – Wstawaj albo będziesz cierpieć jak ta mała dziewczynka.

Zaczął się podnosić, ale na jego plecy spadł kolejny cios. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale pociekła z nich tylko strużka śliny.

– Powiedziałam: wstawaj! – Maggie walnęła go w kość ogonową tak mocno, że rozległ się szcęk metalu. Chłopak wrzasnął z bólu. Rozjechały się pod nim kończyny i upadł twarzą na chodnik.

Maggie mocniej chwyciła pałkę.

– Myślisz, że twój tatuś znowu pomoże ci się z tego wywinąć? – Maggie z trudem powstrzymywała się przed kolejnym uderzeniem. Miała ochotę usłyszeć chrzęst łamanej kości i okrzyk bólu. – Wstawaj – powtórzyła. – Wstawaj, pieprzony pedofilu.

Spróbował, ale ręce odmówiły mu posłuszeństwa i znowu osunął się na ziemię.

Maggie zwróciła się do Kate:

– Pomóż mu.

Kate wyglądała na przerażoną, ale złapała go pod ramię i próbowała podnieść. Była jednak za słaba, a Conroy wcale nie miał zamiaru jej pomagać.

– Błagam... – zaskomlał.

– Spróbuj stanąć na nogach – powiedziała Kate.

– Proszę pani. – On również wyczuł jej słabość. – Proszę mi pomoc. Nie zrobiłem nic złego.

– Zamknij się. – Przestała go podtrzymywać i znowu upadł na chodnik. – Co chcesz z nim zrobić?

To pytanie zbiło Maggie z tropu. Nie miała żadnego pomysłu.

– Błagam – jęczał Conroy. – To przecież jakieś nieporozumienie.

– Wezwij dziewczyny – powiedziała Kate.

Maggie wiedziała, że nie może tego zrobić przez radio. Rozejrzała się wokół siebie. Przy następnym skrzyżowaniu stała budka telefoniczna.

– Dasz radę go tam zaprowadzić?

– Poradzimy sobie, tylko on musi przyjąć do wiadomości, że również potrafię posługiwać się pałką. – Kate uniosła brew, dając Maggie do zrozumienia, że blefuje. Była w tym naprawdę niezła, tylko kiedy się tego nauczyła? – Masz drobne?

– Tak. – Maggie zawiesiła pałkę na haczyku i ruszyła w kierunku telefonu. Była tak wściekła, że cały czas miała zaciśnięte pięści. Lewis Windall Conroy Trzeci. Mógł wejść do dowolnej kamienicy w tym mieście i wynająć dziesięć mieszkań. Był w stanie kupić każdy samochód, na który miał ochotę. Ten pieprzony gówniarz robił, co chciał.

Z jednym wyjątkiem – nie mógł bezkarnie gwałcić dziewczynek.

W budce śmierdziało moczem, a na podłodze zalegały wymiociny. Maggie starała się przytrzymać drzwi i wzięła do ręki słuchawkę. Zadzwoiła na komendę i podała numer nadajnika, z którym chciałyby się połączyć. Po chwili odebrała Delroy. Maggie nie przedstawiła się i nie traciła czasu na zbędne wyjaśnienia.

– Róg Trzeciej i Cypress.

– Daj mi piętnaście minut – powiedziała Delroy i skończyła rozmowę.

Maggie odwiesiła słuchawkę i wyszła na ulicę. Drzwi budki telefonicznej przez chwilę kiwały się na zawiasach. Zobaczyła, że Conroy wciąż leży na chodniku, a Kate stoi nad nim z pałką w ręku.

Trzynastolatka.

Lilly ma trzynaście lat. Jest całkiem ładna i jeśli za bardzo się umalowała, miała w sobie nawet sporo seksapilu, ale wciąż jest dzieckiem, które jeszcze parę miesięcy temu bawiło się lalką Barbie.

Maggie spojrzała na swoje zaciśnięte pięści i zaczęła po kolei rozwierać palce. Chciała się uspokoić i odzyskać panowanie nad emocjami, żeby nie zachowywać się jak Terry albo jak jakiś bezlitosny morderca w rodzaju Jimmy'ego. Jednak kiedy stanęła obok Conroya, miała ochotę wyciągnąć pistolet, wsadzić mu lufę w usta i opróżnić cały magazynek tak, jak zrobiła to wczoraj z Anthonyem.

– Jak długo mamy czekać? – zapytała Kate.

– Za długo. Wstawaj. – Chwyciła Conroya za kołnierz. Tym razem wiedział już, że lepiej nie stawiać oporu. Zachwiał się na nogach, ale utrzymał równowagę. – Tędy. – Maggie kopnęła go w tyłek. – Szybciej!

Kate cały czas trzymała pałkę tuż przed swoją twarzą, końcówką do góry. Maggie skierowała ją nieco w dół, żeby Kate w razie konieczności mogła wziąć lepszy zamach.

Conroy włókł się ze spuszczoną głową i starał się znaleźć jakiś sposób, żeby wykaraskać się z tarapatów.

– Może powinniśmy porozmawiać? Jestem pewien, że doszło do nieporozumienia.

– Po tym, co zrobiłeś tej dziewczynce trzeba jej było założyć szwy. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– A więc o to chodzi? – powiedział z wyraźną ulgą. – Nie ma problemu. Pokryję wszelkie koszty. Ojciec wypisze czek.

– Nie wywiniesz się tak łatwo.

– Może zapytacie jej rodzinę? Na pewno chętnie wezmą pieniądze. Ona naprawdę dobrze wiedziała, co robi.

– Nakłoniła cię do tego? – Od podobnych wymówek Maggie robiło się niedobrze: „Nie powiedziała, ile ma lat. Wyglądała na starszą. Uwiodła mnie. Bronilem się, ale ona nie chciała przestać. Co miałem robić?”.

Mężczyźni chętnie brali odpowiedzialność za cały świat z wyjątkiem własnych fiutów.

Maggie znowu wyciągnęła pałkę.

– Ruszaj się. Szybciej!

Rozejrzał się nerwowo, szukając drogi ewentualnej ucieczki.

Maggie przytknęła pałkę do jego pleców.

– No dalej, dupku. Daj mi pretekst, tylko na to czekam.

– Znam wasze nazwiska.

– A my znamy twoje. – Kate spojrzała na nią spanikowanym wzrokiem, ale Maggie to zignorowała. – Będzie zabawnie zobaczyć twoją facjatę na pierwszej stronie gazety, zaraz obok zdjęcia zgwałconego dziecka.

– Co was to obchodzi? – zapytał. – Przecież to tylko jakaś głupia Murzynka.

– A ty jesteś zepsutym sukinsynem, który dostanie wpierdol, zamiast pójść na trzy lata do więzienia.

Byli już koło budki telefonicznej.

– Włóż do środka. – Pchnęła go, ale Conroy się zaparł. Nie chciał wejść w kałużę wymiocin i pobrudzić sobie mokasynów. – Zdejmuj buty.

– Co takiego?

Walnęła pałką w ścianę.

– Już!

Posłusznie ściągnął buty. Nie miał skarpetek i stanął bosymi stopami na chodniku. Maggie pomyślała, że jego spodnie z wełny chesankowej kosztowały pewnie więcej, niż ona zarabia w tydzień. Miała serdecznie dość bogaczy, którzy wszystko w życiu dostają za darmo.

– Oddawaj płaszcz. Przecież go ukradłeś.

Tym razem nie protestował. Rzucił niedbale kapotę i Kate w ostatniej chwili uratowała ją przed upadkiem na ziemię.

– Wyskakuj ze wszystkiego.

– Co?

Wystarczyło, że zamachnęła się pałką. Jednym ruchem rozerwał koszulę. Guziki rozsypały się po ziemi. Rozpiął rozporek, zdjął spodnie i wsadził kciuki pod gumę majtek.

– Wystarczy – powstrzymała go. Jednak nie dlatego, że nie chciała go jeszcze bardziej upokorzyć. Po prostu nie miała ochoty oglądać go nago. – Teraz włóż do środka.

Ostrożnie wszedł do kabiny i stanął w kałuży rzygowin. Maggie miała nadzieję, że pod stopami czuje zimne, nie do końca strawione resztki czyjegoś posiłku.

– Co ze mną zrobicie? – zapytał.

Maggie stanęła na palcach, żeby dosięgnąć zamka, który znajdował się tuż pod dachem. Wymacała zasuwę i zaryglowała drzwi.

Conroy próbował je otworzyć, ale nadaremnie.

– Wypuście mnie! – Był coraz bardziej przestraszony i zaczął się miotać. – Chcę stąd wyjść, do cholery!

Kate starannie złożyła płaszcz i położyła go obok budki.

– Myślisz, że oddadzą go właścicielowi?

– To nie nasza sprawa – powiedziała Maggie i odwiesiła pałkę na haczyk. – Coś jeszcze, Kate? Jakieś wątpliwości? Chcesz mnie z czegoś odpytać?

Kate pokręciła głową.

Maggie zaczęła iść przed siebie, bębniąc palcami w latarkę. Bolała ją głowa, miała mętny wzrok, była cała spocona i trzęsły jej się ręce.

Kate ruszyła za nią, ale trzymała się nieco dalej. Chciała dać Maggie odrobinę oddechu, co było denerwujące i w jakimś sensie poniżające.

Przez pierwszy tydzień pracy Maggie trzymała gębę na kłódkę. Robiła notatki i wykonywała rozkazy Gail. Nie zadawała żadnych pytań, nie wygłaszała co pięć minut własnego zdania na każdy temat i nie starała się obrócić w żart swoich wpadek po to, by móc śmiać się z samej siebie, zanim zrobią to inni.

Maggie wyjęła z kieszeni kluczyki do radiowozu, ale złapał ją skurcz i nie mogła założyć kółka na środkowy palec.

Musiała nadwyrężyć mięśnie – za dużo pociągania za spust, ściskania kierownicy, walenia w drzwi, trzymania latarki, załamywania rąk i modlenia się o to, żeby Jimmy przeżył. Albo żeby umarł. Albo żeby Terry go nie znalazł. Albo żeby raz na zawsze zniknął z jej życia. Stała przed samochodem. Poczuła przeszywający ból w piersiach i pomyślała, że może to zawał.

Kate stanęła za nią. Milczała, ale w powietrzu unosiło się oczywiste pytanie: Dobrze się czujesz?

Maggie rzuciła jej kluczyki.

– Prowadzisz.

Przez całą drogę na West Side Maggie zaciskała zęby ze złości. Kate prowadziła auto jak stara baba. Hamowała za każdym razem, gdy pojawiał się przed nimi jakiś samochód. Nikogo nie wyprzedzała. Włączała kierunkowskaz sto metrów przed zakrętem. Trzymała obie ręce na kierownicy w przepisowej pozycji „za piętnaście trzecia”.

Maggie wiedziała, że jej koleżanka robi to specjalnie. Wiele razy miała do czynienia z kobietami w typie Kate Murphy. Takie jak ona uważały, że nie dotyczą ich zasady ruchu drogowego. Nie zatrzymywały się przed znakiem stopu, przekraczały dozwoloną prędkość i jeździły otwartymi kabrioletami z głową owiniętą jedwabnym szalikiem, żeby nie popsuć sobie fryzury.

„Panie władzo, naprawdę jechałam za szybko?”

Radiowóz zatrzymał się przed domem Portugalki. Wszystko wyglądało tak samo jak wczoraj, z wyjątkiem zasłony powiewającej w rozbitym oknie na piętrze. Najwyraźniej nikt jeszcze nie wstawił nowej szyby.

Kate wysiadła z samochodu, weszła po schodach i stanęła na werandzie.

Maggie nie miała nic przeciwko temu, żeby koleżanka przejęła inicjatywę. Niech się wykaże. Znając jej szczęście, pewnie zaraz otworzą się drzwi i stanie w nich Jimmy. Wyciągnie ręce i przyzna się do wszystkiego. Cal Vick od razu awansuje Kate na oficera śledczego. Będzie pierwszą kobietą na tym stanowisku w historii policji miasta Atlanta. Podczas uroczystej ceremonii ukłoni się, a z jej tyłka polecą confetti.

Kate zapukała do drzwi, jakby była przedstawicielką firmy Avon.

– Mocniej – powiedziała Maggie.

– Wydawało mi się, że dałaś mi w tej sprawie wolną rękę.

Maggie zamilkła. Za każdym razem, kiedy wydawało jej się, że nie czuje już wobec Kate wrogości, ta mówiła coś, co wyprowadzało ją z równowagi i miała ochotę dać jej fangę w nos.

Kate zapukała jeszcze raz, tym razem jak dzieciak sprzedający prenumeratę.

– Skąd znasz portugalski? – zapytała Maggie. – Mieszkałaś w Europie? – Pewnie spędziła tam miesiąc miodowy ze swoim mężem, który wyglądał jak Robert Redford.

– Słucham? – Kate wyglądała na zbitą z tropu, ale po chwili na jej twarzy pojawił się promienny uśmiech. – Ona nie mówiła po portugalsku, tylko w jidysz. Moja babcia ze strony ojca pochodzi z Europy Wschodniej i nauczyła mnie podstaw tego języka. Zresztą ślub dziadków to był spory skandal, *shande oon a charpe* – skandal i wstyd.

Maggie nie miała pojęcia, o co chodzi, ale na szczęście nie musiała drążyć tematu,

ponieważ właśnie otworzyły się drzwi.

Tym razem nie było słychać szczęku zamków i odgłosu zdejmowanego łańcucha. W progu stanęła Portugalka. W ręku trzymała świecę. Na ich widok od razu zrobiła krok do tyłu. W domu panował mrok, lecz nie paliło się żadne światło. Kobieta miała na sobie to samo czarne ubranie co wczoraj, ale jeden z rękawów sukni był rozdarty. Jej przyprószone siwizną włosy opadały luźno aż do pasa. Maggie zastanawiała się, dlaczego ich nie umyła.

Kate milczała. Przed wejściem do środka dotknęła palcami przymocowanego do framugi prostokątnego pudełka.

W głowie Maggie zapaliła się lampka ostrzegawcza. Wszystkie okna były zasłonięte, nawet na lustrze nad kominkiem wisiała czarna draperia. Trzeba koniecznie włączyć światło. Nie wiadomo, kto jeszcze ukrywa się w tym domu.

Staruszka prowadziła je w kierunku kuchni. Płomień świecy zamigotał w korytarzu. Szła boso i ledwie było słychać jej kroki.

Kate ruszyła w ślad za nią, ale Maggie złapała ją za rękaw.

– Szz... – syknęła Kate.

Maggie próbowała złapać ją jeszcze raz, ale Kate była już parę kroków przed nią. Nie pozostało więc nic innego, jak podążyć za koleżanką. Maggie dostała nauczkę – przekazanie inicjatywy w ręce Kate to jak udział w dyskusji, w której współrozmówca w ogóle nie dopuszcza cię do głosu.

Całe szczęście, że w kuchni nie było tak ciemno jak w pozostałych pomieszczeniach. Okna nie były zasłonięte i do środka wpadało światło słoneczne. Na blacie leżało mnóstwo jedzenia, ale Maggie nie potrafiła rozpoznać przynajmniej połowy produktów.

Portugalka postawiła świeczkę na parapecie tuż nad zlewem i skinęła w kierunku stołu. Kate usiadła, więc Maggie zrobiła to samo. Kobieta stanęła tyłem do nich i zaczęła nakładać wiktuały na dwa talerze.

Maggie głośno westchnęła, żeby pokazać wszystkim, jak bardzo jest niezadowolona. Ta wizyta ani o krok nie przybliżyła ich do celu. Od samego początku wiedziała, że to idiotyczny pomysł.

Staruszka odwróciła się i po raz pierwszy można się jej było przyjrzeć w pełnym świetle.

Maggie wydała z siebie okrzyk zdumienia.

Twarz Portugalki była porośnięta ciemnym zarostem. Nic dziwnego, że miała głos jak Ricardo Montalbán. Była przecież mężczyzną.

– Może napijecie się mrożonej herbaty?

– Tak, z przyjemnością. – Kate nie wyglądała na zdziwioną. Wzięła talerze i postawiła je na stole, spoglądając groźnie na Maggie jak matka besztająca niegrzeczne dziecko. – Chyba się wczoraj nie przestawiliśmy. Ja nazywam się Murphy, a moja koleżanka Lawson.

– Eduardo Rosa. – Wziął się pod boki i spojrzał na Kate. – Wyszłaś za mąż za szajgeca,

prawda?

– Owszem.

– Mądra dziewczyna. Żydzi nie potrafią siedzieć cicho.

Kate parsknęła śmiechem. To musiał być żart dla wtajemniczonych.

Eduardo podszedł do lodówki i wyjął z niej dzbanek mrożonej herbaty. Z zamrażalnika wyciągnął pojemnik z lodem, a z szafki dwie szklanki.

Maggie obserwowała każdy jego ruch. Nie mogła uwierzyć, że wczoraj tak łatwo dała się nabrać. Wysoki kołnierz zakrywał grdykę, owłosione ramiona były schowane pod długimi rękawami, a sięgająca ziemi suknia maskowała nieproporcjonalnie duże stopy. Zdradzały go tylko ogromne dłonie.

– To ty jesteś tym alfonsiem transseksualistą – stwierdziła Maggie.

– Fu! Wszystkie alfonsy to szwarce – rzucił rasistowską uwagę, wytrząsając lód z pojemnika.

Kate uśmiechnęła się w duchu.

– Biznesem zajmował się Gerald, mój mąż nieboszczyk. – Eduardo postawił na stole dwie szklanki z herbatą i wskazał palcem na krzesło Maggie. – Trzy miesiące temu umarł dokładnie na tym miejscu. Zawał serca. Byliśmy razem dwadzieścia lat.

– Chic był twoim synem? – zapytała Kate.

– Naprawdę miał na imię Lionel. Mieszkał ze swoją matką Lydią w Detroit. Zawsze lubiłam Murzynki. – Oparł się o blat i usiadł na podłodze, choć przy stole stały jeszcze dwa wolne krzesła. – Lionel zajmował się sutenerstwem, ale napytał sobie kłopotów. Zawsze miał talent do pakowania się w tarapaty, niech spoczywa w pokoju; *alaw haszalom*. – Eduardo na chwilę się zamyślił. – Lydia poprosiła mnie o pomoc. Ustaliliśmy, że po śmierci Geralda mógłby zająć się jego interesami w Atlancie.

Maggie była tak zmęczona, że musiała podeprzeć głowę ręką.

– Czy na komendzie podałaś swoje prawdziwe nazwisko? W końcu składałaś zeznanie pod przysięgą.

– Podpisałam się nazwiskiem Geralda. Nikt nie kazał mi kłaść ręki na Biblii. – Spojrzał na Kate. – Wiem, po co tu przyszłyście. Chcę dostać ciało swojego syna.

Kate wyglądała na zaskoczoną.

– Pogrzeb jeszcze się nie odbył?

– Koroner nie chce wydać zwłok, chociaż mamy wszystkie niezbędne dokumenty. Lydia jest teraz w kostnicy. Powiedzieli jej, że to może potrwać jeszcze tydzień.

Maggie uznała, że wreszcie ma coś do powiedzenia.

– Muszą przeprowadzić autopsję. To bardzo ważny element śledztwa. Jeśli ustalą, z jakiego pistoletu został wystrzelony pocisk, łatwiej będzie znaleźć zabójcę. Poza tym to część materiału dowodowego, który trzeba będzie przedstawić w sądzie.

– Nie chcę, żeby ciało mojego syna zostało jeszcze bardziej okaleczone – powiedział

stanowczym głosem Eduardo. – Moim obowiązkiem jest zapewnienie mu godnego pochówku.

– Przykro mi, ale takie jest prawo. Przecież chcesz, żebyśmy złapali mordercę, prawda?

– Młoda damo, wiem, że Lionel wykonywał bardzo niebezpieczny zawód. Jasne, że zależy mi na tym, żebyście schwytali sukinsyna, który go zabił. Zrozumcie jednak, że rodzina musi zorganizować pogrzeb.

– Rozmawiałaś już z rabinem? – zapytała Kate.

– Myślisz, że bywam w synagodze? – powiedział, wskazując na swój strój.

– Maggie? Znasz kogoś, kto mógłby nam pomóc?

– Masz na myśli biuro koronera? – Maggie poznała w wieczorówce dziewczynę, która pracowała tam jako sekretarka. – Popytam, ale niczego nie mogę obiecać.

Eduardo splótł dłonie na kolanach i wbił wzrok w podłogę. Maggie zastanawiała się, czy właśnie zaczął się modlić, choć nie była pewna, jak to wygląda u Żydów. I czy oni w ogóle to robią.

W końcu podniósł głowę i oznajmił:

– Pomogę wam, jeśli obiecacie, że zrobicie wszystko, co w waszej mocy, żeby wydali mi ciało.

– W porządku – zgodziła się Kate takim tonem, jakby wszystko szło zgodnie z jej planem.

– Dziewczyna, która była świadkiem morderstwa, to Delilah. Nie mam pojęcia, czy to prawdziwe imię. Może po prostu lubi Toma Jonesa? Zresztą trudno jej się dziwić. Nie znam też jej nazwiska. Kiedy miała mniej więcej piętnaście lat, Gerald zobaczył, jak w kinie porno przy Ponce de Leon robi komuś loda i tak została jego podopieczną.

Kate odchyliła się na krześle.

– Gonił ją do roboty. Taki już był. Wiecie, protestancka etyka pracy. – Eduardo wzruszył ramionami. – Niestety, kariera tej dziewczyny szybko się skończyła. Sprawiała kłopoty i niewiele było z niej pożytku. W końcu Gerald sprzedał ją ze stratą, żeby tylko się jej pozbyć. Potem do miasta przyjechał Lionel i musiał zaczynać wszystko od zera. Kochałam go, ale trzeba przyznać, że to taki niebieski ptak, taki *arumloyfer*. Wszystko musiał mieć podane na tacy. Powiedziałam mu, że znam pewną zdesperowaną dziwkę, która jest gotowa zrobić wszystko, co jej każe. Znalazł ją na dworcu kolejowym przy Peachtree.

– Na Buckhead? – wykrzyknęła Kate. Najwyraźniej wróciła do formy.

Maggie ją zignorowała.

– Czy ta Delilah nadal pracuje przy Whitehall?

– Nie mam pojęcia. Kiedy zjawiała się tej feralnej nocy z nadajnikiem, Lionel chciał ją pobić, bo powinna przecież stać na ulicy. Zawołał mnie, żebym zobaczyła, co przyniosła. Od razu wiedziałam, ile to jest warte.

– Niezła karta przetargowa – powiedziała Maggie.

– Chcieliśmy poczekać, aż wzrośnie wartość nagrody. Pięć tysięcy dolarów. – Prychnął z oburzenia. – Za pomoc w złapaniu tego ostatniego bandziora dawali dwadzieścia.

Kate skrzyżowała ramiona. Jej dobry nastrój właśnie prysnął.

– Co dokładnie widziała Delilah? – zapytała Maggie. – Na pewno nie chcieliście, żeby poszła na komendę, złożyła zeznanie i zgarnęła całą forszę.

– Skontaktujesz się z biurem koronera? Obiecujesz?

– Przecież już mówiłam, że to zrobię.

– Trzymam cię za słowo.

– Zdajesz sobie sprawę, że morderca Lionela jest prawdopodobnie tym samym facetem, który zabił policjanta?

Eduardo położył rękę na sercu i powiedział drżącym głosem:

– To dla mnie oczywiste, ale wy również musicie zrozumieć, że chcę pochować syna.

Maggie nie miała wątpliwości, że jego rozpacz jest szczerą.

– Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyś dostała zwłoki Lionela.

Eduardo kiwnął głową.

– Morderca jest biały i ani trochę niepodobny do Murzyna z portretu pamięciowego.

Maggie znowu poczuła ból w klatce piersiowej.

– Wysoki, muskularny i barczysty. Miał na sobie czarne spodnie, czerwoną koszulę i czarne rękawiczki. Delilah nie widziała niestety jego butów.

Maggie zagryzła dolną wargę. Takie rękawiczki nosił przecież Jimmy.

– Krótko obcięte ciemne włosy – kontynuował Eduardo. – Przystrzyżone wąsy i długie bokobrody. Delilah twierdziła, że gdyby nie te bokobrody, wyglądałby jak typowy lamus.

– To dość szczegółowy opis. W jakiej była odległości? – zapytała Maggie, starając się zapanować nad drżącym głosem.

– Stała na końcu zaułka. Widziała wszystko jak na dłoni. Morderca wyszedł zza rogu. Miał w ręku ravena.

Informacja o rodzaju broni nie została przekazana opinii publicznej.

– Skąd ona może wiedzieć, że to akurat MP-25?

– Zna się na tym. Jej ojciec obrabował niejeden sklep monopolowy.

– Naprawdę widziała takie detale? – zapytała Maggie z udawanym niedowierzaniem w głosie. – Rodzaj rewolweru, twarz Strzelca, jego ubranie? Jakim cudem w ogóle przeżyła?

– Jak ją znam, siedziała pod kartonem i szprycowała się heroiną.

– Była naćpana? – Ta informacja rozbudziła w Maggie nadzieję. – W takim razie trudno uznać ją za wiarygodnego świadka.

– Jest wiarygodna, jak wsadzisz jej nóż w cipę. – Eduardo złapał za krawędź blatu i postępując, podniósł się z podłogi. – Powiedziałam wszystko, co udało nam się z niej

wydusić. Zajmował się nią Anthony. Naprawdę możecie mi zaufać.

Maggie czuła, jak po plecach spływa jej pot. W kuchni było za gorąco. Miała wrażenie, że jeśli zaraz stąd nie wyjdzie, to wymiotuje.

– Czym zajmowali się ci dwaj gliniarze, kiedy Strzelec wyszedł z za rogu? – zapytała Kate.

Eduardo odwrócił się do zlewu.

– Delilah nawet o tym nie wspomniała. Naprawdę nie wiem już nic więcej. Pamiętajcie, jeśli nie wywiążecie się ze swojej obietnicy, pokarze was HaSzem.

– Nie martw się – powiedziała Kate. – Zajmiemy się tym, o co nas prosiłeś.

Maggie wstała z krzesła. Czuła, że musi jak najszybciej stąd wyjść.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało.

– Niech Bóg Wszechmogący pocieszy ciebie i innych, którzy opłakują Syjon i Jerozolimę – powiedziała Kate.

Maggie starała się nie rzucić biegiem do wyjścia, choć żołądek podchodził jej do gardła. Rozpięła kołnierzyk i nie zważając na siniaki, złapała się za szyję. Szarpnęła za drzwi i wciągnęła w płuca kilka haustów świeżego powietrza.

Kate położyła jej rękę na ramieniu.

– Wszystko w porządku?

Maggie wyrwała się koleżance i zeszła po schodach, zapinając koszulę pod szyją. Powiedziała kiedyś Kate, że nie należy nikomu ufać, dlatego zatem postanowiły zaufać Eduardowi? Przecież mógł kłamać i nie tylko podać im fałszywy opis Strzelca, lecz także nie powiedzieć prawdy o dziewczynie, która była rzekomo świadkiem morderstwa. Co więcej, Delilah też mogła łączyć wszystkim w żywe oczy.

Ale skąd w takim razie wzięła nadajnik Jimmy’ego?

– To było ciekawe przeżycie, ale chyba niezbyt wiele się dowiedziałyśmy – stwierdziła Kate.

Maggie otarła pot z karku. Cały czas zbierało jej się na wymioty. Była zmęczona i otumaniona.

– Rozważałyśmy już hipotezę, że Strzelec może być białym mężczyzną. Wysoki, dobrze zbudowany, z wąsami i długimi bokobrodami. Kogo nam to przypomina?

Maggie poczuła w ustach smak żółci.

– Tak wygląda każdy gliniarz w tym mieście, na przykład Jimmy albo twój wuj Terry. Wszyscy też wkładają czarne rękawiczki, gdy mają prowadzić samochód. Chyba naoglądali się za dużo filmów ze Steve’em McQueenem. – Podała Maggie kluczek do radiowozu. – Lepiej, jeśli to ty pojedziesz do baru Dabbler’s. Ja nigdy nie byłam w tej części miasta. – Otworzyła drzwi. – Muszę przyznać, że Gail powiedziała prawdę o tych ludziach. Nie mogę uwierzyć, w jaki sposób Eduardo mówił o tej biednej dziewczynie. Wiem, że to prostytutka, ale mówił o niej tak, jakby była kawałkiem mięsa. – Chwilę się zawahała. – On? A może jednak ona? Ojej, to trochę skomplikowane.

Maggie obeszła radiowóz i zajęła miejsce kierowcy. Chciała włożyć kluczyk do stacyjki, ale wyslizgnęły jej się z palców. Schyliła się i zaczęła po omacku szukać zguby na podłodze.

Kate nie przestawała trąkotać.

– Chyba jednak ona. W końcu trzeba docenić jej wysiłek. Poza tym na jego, to znaczy na jej miejscu wolałabym rodzaj żeński. Kiedy otworzyła nam drzwi, nie mogłam uwierzyć, że ma na twarzy zarost. Eduardo Rosa. Stąd ten głos. Wczoraj spodziewałam się, że usłyszę jakiś melodyjny trel, a nie Ricardo Montalbana. – Zaśmiała się z własnego żartu. –

Dla pewności powinniśmy sprawdzić jej nazwisko. Nie chcę wyjść na arogantkę, ale człowiek spodziewa się po Żydach czegoś więcej.

– Cholera jasna – mruknęła Maggie. Wyczuła kluczyki palcami, ale nie była w stanie ich złapać.

– Wiem, wiem, nie powinnam mówić takich rzeczy. Poza tym ona odprawia teraz sziwę. To niezwykle piękny rytuał, podczas którego należy przestrzegać wielu surowych reguł. Nie można się golić ani nakładać makijażu. Nie wiem, czy zwróciłaś uwagę, ale miała na sobie podarte ubranie. To się nazywa *kriah* i jest oznaką gniewu odczuwanego po śmierci kogoś bliskiego. Usiadła na podłodze, ponieważ trzeba być jak najbliżej ziemi. Pogrzeb powinien odbyć się w ciągu dwudziestu czterech godzin i właśnie dlatego była taka zdenerwowana. Okres restrykcyjnej żałoby trwa siedem dni. Sziwa znaczy dosłownie siedem.

– Mam je. – Maggie uderzyła policzkiem w kierownicę i skrzywiła się z bólu. Czuła, że w tym miejscu powstanie kolejny siniec. Kate zorientowała się, że gada jak najęta.

– Chyba zdążyłam powiedzieć już wszystkie możliwe głupoty i nic więcej nie przychodzi mi do głowy. Czy mogłabyś jakoś zareagować?

Maggie wybrała bezpieczne wyjście z sytuacji.

– Poproszę, żeby sprawdzili Eduarda Rosę. Może jest w naszej kartotece.

Kate zaczęła się jej przyglądać.

– Od samego rana mam wrażenie, że jest coś ważnego, o czym nie chcesz mi powiedzieć.

– Ojej, naprawdę? – odpowiedziała, przedrzeźniając Kate. – Na przykład, że jestem Żydówką? Albo wdową? Albo że mój ojciec jest najbogatszym ogrodnikiem w historii wszechświata?

– Tak, właśnie o coś takiego mi chodziło.

Maggie włożyła kluczyk do stacyjki i uruchomiła silnik.

– Boli cię gardło?

– Tylko kiedy muszę odpowiadać na durne pytania.

Kate wpatrywała się w leżący na kolanach nadajnik. Dyspozytornia przyjmowała dzisiaj dwa rodzaje zawiadomień: albo ktoś rzekomo widział samochód Jimmy'ego, albo pojawił się jakiś nowy trop w sprawie Strzelca. Poza tym policjanci zajmowali się tylko skradzionym CB radiem, które znalazła jedna z czarnoskórych funkcjonariuszek, oraz jakąś błąhostką zgłoszoną przez Wandę Clack. Kate miała rację, że ten dzień to prawdziwe święto dla przestępców.

Oparła głowę na dłoni. Siedziała w radiowozie zaparkowanym przed barem Dabbler's i czekała na Maggie, która korzystała z automatu telefonicznego znajdującego się na tyłach budynku. Kate nie miała pojęcia, w której są dzielnicy i czy to jeszcze w ogóle Atlanta. Powiedzieć, że Dabbler's nie rzucał się w oczy, to nic nie powiedzieć. Podejrzewała, że ta anonimowość była celowa. Do baru mógł wejść tylko ktoś, kto wiedział o jego istnieniu. Zwykły przechodzień nawet by się nie zorientował, że jest tu jakiś lokal. Ceglana fasadę pomalowano na czarno, a wąskie okna specjalnie przyciemniono, żeby nie wpadało przez nie światło dzienne. Z ulicy nie widać było neonów reklamujących alkohol, a na drzwiach nie wisiał żaden szyld.

Jedynym znakiem, że mieści się tutaj bar, byli klienci. Z drogich samochodów wysiadali dobrze ubrani mężczyźni w garniturach i jeden za drugim wchodzili do środka przez wahadłowe drzwi. Włosy opadające na kołnierzyk, bokobrody, mocno zarysowana szczęka oraz obowiązkowe wąsy. Wszyscy wyglądali prawie tak samo i przypominali gejów, z którymi Kate miała wcześniej do czynienia.

Radiowóz stojący przed lokalem zdawał się nie robić na nikim specjalnego wrażenia. Maggie poszła zadzwonić dziesięć minut temu i w tym czasie parking wypełnił się do ostatniego miejsca. Kate była teraz otoczona samochodami i niektórzy faceci nawet się do niej uśmiechali.

Najwyraźniej funkcjonariusze policji byli w tym barze częstymi gośćmi. Nikt nie zapuszczał się do tej dzielnicy przypadkiem, trzeba było wiedzieć, po co się tutaj jedzie. Don Wesley odwiedził ten lokal przynajmniej raz. A Jimmy? Może siedział teraz w środku i lizał rany? I nie chodziło tylko o okruchy czaszki wbite w jego nogi ani o kulę, która przeszła mu ramię. Niezależnie od tego, jakiego zgrywał chojraka, Kate nie wierzyła, że nic nie czuł do swojego kochanka.

Ani do swojej siostry. Maggie zabiła wczoraj człowieka. Czy Jimmy wiedział, że ktoś próbował ją udusić? Siniaki były coraz ciemniejsze i układały się w ślad palców. Kate podejrzewała, że to robota Terry'ego. Jimmy był co prawda zadufanym w sobie dupkiem, ale nie wyobrażała sobie, że mógłby udusić własną siostrę.

Nie podejrzewała, że Maggie może stracić panowanie nad sobą, a tak właśnie się stało podczas zatrzymania Lewisa Conroya. Kate widziała już podobną reakcję, gdy Gail zaatakowała przedwczoraj prostytutkę – znęcała się nad nią i złamała jej nogę. Maggie co prawda nie potraktowała Conroya w równie sadystyczny sposób, ale widać było sporo przerażających podobieństw.

Czy na nią również przyjdzie kolei? Czy w jej umyśle czai się brutalny sadysta, który tylko czeka na okazję?

W tym cholernym zawodzie chyba żadna sytuacja nie była do końca jednoznaczna. Może z wyjątkiem sprawy Lewisa Conroya. Czarnoskóra dziewczynka padła ofiarą białego mężczyzny. Co do jego winy nie było żadnych wątpliwości. W zasadzie sam się przyznał. Nawet kiedy leżał na chodniku, z trudem łapiąc oddech, nie okazał żadnej skruchy i nie przeprosił. Był arogancki i zachowywał się jak ktoś, kto kłóci się z kelnerem o błędnie wyliczony rachunek. Jeżeli jesteś Conroyem, wiesz, że w takiej dyskusji zawsze będziesz górą.

Nic dziwnego, że nikt nie lubił ludzi mieszkających w najbogatszej części miasta. Kate też zaczęła darzyć ich niechęcią. Mieli poczucie, że wszystko im się należy, i traktowali innych z góry. Czy właśnie dlatego Maggie była do niej od początku uprzedzona? Po tym, jak zostawiły Conroya w budce telefonicznej, Maggie kipiała wściekłością. Wydawało się, że potrzebuje trochę czasu, żeby się uspokoić. Niestety, zamiast wziąć się w garść, skierowała złość na Kate.

Radio cały czas brzęczało. Ktoś znowu informował dyspozytornię, że rzekomo widziano Strzelca. Kate ściszyła nadajnik. Popatrzyła na białą plastikową cegłę leżącą na jej kolanach. Jeśli będzie żyła nawet milion lat, nigdy nie zapomni, jak wygląda to urządzenie. Gail użyła go jako broni, dla Sir Chica było kartą przetargową, a Jimmy zostawił je na miejscu zbrodni.

Kate domyślała się, dlaczego tak zrobił. Z przyczepionym do paska nadajnikiem nie dało się usiąść, a co dopiero zdjąć spodni. Jimmy musiał położyć go na ziemi i odłączyć mikrofon, żeby nie doszło do przypadkowej transmisji. Kiedy padły strzały, ostatnią rzeczą, o której myślał, było z pewnością porzucone radio.

Maggie skończyła rozmawiać i szła przez parking, lawirując między samochodami. Miała spuszczone głowę, a w ręku trzymała notes w spiralnej oprawie. Wsiadła do radiowozu, oparła się ręką o drzwi i zaczęła patrzeć przed siebie, nie odzywając się przy tym ani słowem.

Kate korzystała już dzisiaj z różnych strategii – zadawała koleżance pytania i próbowała zagadać ciszę paplaniną. Postanowiła, że teraz będzie po prostu milczeć.

Maggie wydawała się zadowolona z takiego stanu rzeczy i wpatrywała się w mężczyzn kręcących się przy wejściu do baru. Przy ulicy stało mnóstwo samochodów, chociaż była dopiero jedenasta rano.

Wreszcie się odezwała:

– Moja znajoma z biura koronera spróbuje coś zrobić w sprawie ciała Sir Chica. Nie wiem tylko, czy cokolwiek wskóra.

Kate zagryzła dolną wargę, żeby nic nie odpowiedzieć.

– Poprosiłam też o informacje na temat Eduarda Rosy. Rick powiedział, że zostawi nam w szpitalu wszystko, co znajdzie. Pomyślałam, że przy okazji możemy odwiedzić Gail.

Kate nie mogła się powstrzymać i skinęła głową.

Maggie z sykiem wypuściła powietrze.

– To gejowski bar, prawda?

Kate przez chwilę zwlekała z odpowiedzią.

– Tak.

Maggie otworzyła drzwi.

– Gotowa?

Kate wysiadła z radiowozu. Przyczepiła nadajnik do pasa i włożyła na głowę niezbyt przyjemnie pachnącą czapkę Jimmy'ego.

Maggie zaczęła przeciskać się między samochodami. Była przygarbiona, a daszek opadał jej na oczy. Szła w milczeniu ze zwieszonymi rękami. Kate pomyślała, że wystarczyłoby ją lekko pchnąć i pewnie upadłaby na ziemię. Miała jednak nadzieję, że nie będzie tego świadkiem.

Kiedy weszły do środka, skierowały się na nie wszystkie spojrzenia. Słysząc było nawet zaciekawione szepty, ale zasadniczo nikt nie wydawał się na poważnie zaniepokojony obecnością dwóch policjantek.

Wśród gości na pewno nie było Jimmy'ego Lawsona.

Maggie podeszła do baru. Kate nie zastanawiała się długo i zrobiła to samo.

W sali panował półmrok, a mężczyźni siedzieli ściśnięci blisko siebie przy stolikach i w małych łóżach. Z głośników płynął głos Lindy Ronstadt. Piosenka wydawała się dobrze dobrana do profilu lokalu – *When Will I Be Loved*.

Kate nie wiedziała, czego się spodziewać, ale była przygotowana na labirynt obskurnych zakamarków, w których lubieżne obściskują się homoseksualiści. Tymczasem większość klientów wyglądała na pary, które wyszły razem na drinka. Trzymali się za ręce, kładli ramiona na oparciach krzeseł swoich partnerów i rzucali po sali ukradkowe spojrzenia. Panowała niezobowiązująca atmosfera i gdyby nie fakt, że wszyscy goście byli mężczyznami, lokal niczym by się nie różnił od klubów, w których bywała Kate.

Nie brakowało tu również dżentelmenów. Dwaj klienci ustąpili policjantkom miejsca przy barze. Maggie bez słowa podziękowania usiadła na stołku i położyła czapkę na kontuarze. Wyglądała tak, jakby miała ochotę na drinka, ale gdy zamówiła czystą whisky, Kate była tym, mimo wszystko, lekko zdziwiona.

– Też chcesz się napić?

– Jasne – odpowiedziała Kate, kładąc przed sobą czapkę.

Maggie wpatrywała się w lustro wiszące za rzędem butelek z alkoholem. Jej wzrok przesuwiał się po sali, rejestrując każdą twarz i każdy gest.

– Na koszt firmy – powiedział barman, stawiając przed nimi dwie szklanki. Był niesamowicie przystojny, miał niewiele więcej niż osiemnaście lat i tak jak reszta gości nosił długie bokobrody i bujne włosy. – Mogę wam w czymś pomóc?

Maggie sięgnęła do kieszeni koszuli i wyjęła z niej fotografię.

– Poznajesz tego mężczyznę?

Uśmiechnął się. Miał piękne równe zęby.

– Tak, to Jim. Jesteście jego znajomymi?

Maggie położyła zdjęcie na blacie.

– Kiedy ostatni raz go widziałeś?

Barman zmrużył oczy.

– Wpadł w jakieś tarapaty?

– To zależy od twojej odpowiedzi.

– Parę dni temu? – Przez chwilę się zastanawiał. – To musiało być na spotkaniu poświęconym pamięci Dona Wesleya, które zorganizowaliśmy w poniedziałek wieczorem.

Maggie podniosła szklankę i wypła whisky jednym haustem.

– Potem już go nie widziałeś? – zapytała Kate.

– Nie, rzadko przychodzi tu w ciągu dnia.

– Jest stałym bywalcem?

– Pewnie. Wszyscy go uwielbiają. – Barman skinął głową, dając znak nowemu klientowi, że zaraz będzie wolny. – Coś jeszcze?

– Czy ostatnio rzuciło ci się w oczy coś podejrzanego? – zapytała Maggie.

– I nie chodzi o niespodziewaną wizytę dwóch serialowych sierżantek Anderson? – Zwrócił się do Kate. – Masz piękne włosy, skarbie. Niesamowity kolor.

– Dziękuję. – Kate nie mogła się powstrzymać i pogłaskała swoje blond loki. – Nie było tu kogoś, kto wydawał się nie na miejscu? Nie pasował do reszty klientów?

– Kochanie, każdy, kto przechodzi przez próg tego lokalu, od razu wtapia się w otoczenie. O to właśnie chodzi. – Ponownie napełnił szklankę Maggie. – Szkoda, że nie mogłem... – Przerwał w pół zdania. – Wiecie co? Wczoraj był tu taki facet, który przyprawił mnie o gęsią skórę.

– Jak wyglądał? – zapytała Maggie.

– Tak jak ja, tylko starszy. – Roześmiał się.

Kate wiedziała, że na niewiele się to zda. Kiedy masz osiemnaście lat, ktoś po trzydziestce wydaje ci się starcem.

– Mówił coś?

– Nie był zbyt gadatliwy. Typ umięśnionego gbura, choć muszę przyznać, że dawał niezłe napiwki. Pił likier Southern Comfort. Uważnie obserwował drzwi. Miałem wrażenie, że albo na kogoś czeka, albo kogoś szuka. Rzecz jasna, podobnie zachowują się

prawie wszyscy klienci.

– Gliniarz?

– Nie nosił munduru, ale rzeczywiście mógł być gliniarzem. Albo żołnierzem. Przychodzi tu sporo weteranów i moim zdaniem większość z nich to wcale nie homoseksualiści. Po prostu lubią męskie towarzystwo. Chcą znowu poczuć się jak w wojsku. Trochę dziwne, nieprawda?

Kate przytaknęła, choć nie do końca zrozumiała, o co może mu chodzić.

Nalał Maggie następną kolejkę.

– Słuchajcie, możecie tu siedzieć i pić do woli, ale nie zadawajcie pytań innym klientom. Nie powiedzą wam niczego, czego nie wiecie ode mnie. Tak między nami to przychodzi tu całkiem wielu naprawdę wysokich rangą policjantów. Kumacie, o co mi chodzi?

– Tak. – Po wczorajszej wpadce Kate wołała nie popełnić gafy. – Dzięki.

Puścił do niej oko i odszedł.

Maggie wypła swoją whisky. Kate również podniosła szklanekę do ust, ale po pierwszym łyku prawie się zakrztusiła. Z pewnością nie był to trunek z najwyższej półki.

– Idziemy. – Maggie wzięła czapkę i ruszyła w kierunku wyjścia.

Kate postanowiła się nie śpieszyć. Podniosła z kontuaru fotografię Jimmy’ego. To było udane zdjęcie. Stał oparty o samochód z zadziornie odchyłoną głową. Miał na sobie koszulkę ciasno opinającą umięśnioną klatkę piersiową i zalotnie się uśmiechał. Kate miała nadzieję, że po drugiej stronie aparatu stała jego siostra i ten uśmiech skierowany był właśnie do niej.

Wsunęła czapkę pod pachę i ruszyła przez zatłoczoną salę. Nie musiała się jednak przeciskać, ponieważ mężczyźni grzecznie ustępowali jej miejsca i z szacunkiem pozdrawiali skinięciem głowy. Jeden z klientów otworzył nawet przed nią drzwi.

Kiedy wyszła, zlustrowała parking w poszukiwaniu Maggie. Po chwili dostrzegła koleżankę, która na czworakach pozbywała się zawartości żołądka.

W pierwszym odruchu chciała do niej podejść, pogłaskać ją po plecach i odsunąć na bok włosy, żeby sobie ich nie pobrudziła. Poczwała jednak, że nie jest już dawną, dobrą Kate, i postanowiła poczekać, aż napad nudności po prostu minie.

Trwało to dłużej, niż się spodziewała. Rozbolały ją nogi, więc usiadła na krawężniku i zaczęła wpatrywać się w niezabudowaną parcelę. Walał się tam gruz i mnóstwo śmieci: zużyte prezerwatywy, igły, kawałki folii aluminiowej i łyżeczki. Ktoś zostawił nawet wózek z supermarketu wyładowany przemokniętymi kartonami. Podobną kolekcję można było znaleźć w każdym zakątku miasta, z wyjątkiem dzielnicy, z której pochodziła Kate.

W końcu Maggie z jękiem wyrzuciła z siebie resztki alkoholu i wytarła usta wierzchem dłoni.

Nie miała pojęcia, gdzie podziała się jej własna czapka. Ta, której używała, była wewnątrz podpisana nazwiskiem Jimmy’ego Lawsons. Buty znalazła w samochodzie Gail,

ale nakrycie głowy gdzieś zniknęło.

Maggie usiadła na piętach, z trudem łapiąc oddech.

Kate postanowiła jakoś rozładować napiętą atmosferę i powiedziała:

– Chciałam do środka tej czapki włożyć zapachową saszetkę. Trzymam coś takiego w szufladzie na bieliznę. Potem wszystko pachnie różami.

Maggie wpatrywała się w opuszczoną parcelę.

Kate zawiesiła czapkę na kolanie i wygładziła nogawki spodni.

– Mój ojciec jest psychiatrą.

– O mój Boże – wymamrotała Maggie. – Teraz wszystko jasne.

Kate uśmiechnęła się, ponieważ jej koleżanka miała chyba rację.

– Płaci za moje mieszkanie. Nie było żadnej polisy ubezpieczeniowej. Nigdy nie odebrałam zasiłku, który należał mi się po śmierci męża. Nie chciałam uznać, że on naprawdę nie żyje.

Maggie odwróciła się i wbiła w nią wzrok.

– Ostatnią noc spędziłam z żonatym mężczyzną. Chce, żebym przyszła do niego również dzisiaj, ale nie wiem, czy powinnam to robić. Pewnie nie.

– Dlaczego mi to wszystko opowiadasz?

– Nie wiem – przyznała Kate. – Wcześniej byłaś na mnie wściekła. Wydawało mi się, że to z powodu moich kłamstw. Teraz nie jestem już tego taka pewna.

– Chcesz zawrzeć ze mną układ? Pokaż mi swoje, a ja pokażę ci moje?

Kate wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, co Maggie może mieć na myśli.

– Jimmy jest gejem – oznajmiła zdecydowanym głosem. – Napisał prawdę. Przez całą noc się z tym zmagalam, ale on chyba rzeczywiście ich zabił.

Kate zdawała sobie sprawę, że nie ma sensu prosić o dodatkowe wyjaśnienia.

– Jeśli ktoś cię raz oszuka, nigdy więcej mu nie uwierzysz. Tracisz do niego zaufanie. – Maggie kilka razy odkaszlnęła i wyglądała tak, jakby znowu zrobiło jej się niedobrze. – Ale jeżeli Jimmy przyznał się do tak okropnej rzeczy... – Przerwała w pół zdania, schyliła głowę i splunęła na ziemię. – Przepraszam.

Kate zastanawiała się, dlaczego kobiecie bardziej wypada wymiotować niż pluć, ale najwyraźniej tak właśnie było.

– Przynieść ci z baru szklanek wody?

– Wszyscy ci faceci... – Pokręciła głową. – Oni naprawdę sprawiali wrażenie normalnych.

– Oni są normalni. – Maggie znowu na nią spojrzała. – Jestem pewna, że nigdy nie zastanawiałaś się, co twój brat robi z kobietami. Dlaczego więc miałabyś przejmować się tym, co robi z facetami?

– Łatwo ci powiedzieć. Po prostu uznałaś, że tak już jest, i kropka.

– Nie będę się przecież nad sobą użalać. Próbowałam przez ostatnie dwa lata i na niewiele się to zdało.

– Kate, ty bez przerwy płaczesz.

Uśmiechnęła się, ponieważ sama nie myślała o tym w ten sposób. Łzy, które wylała w ciągu ostatnich kilku dni, to było nic w porównaniu z tym, co działo się po śmierci Patricka.

– Trzeba dać upust emocjom. Nie można dusić wszystkiego w sobie.

– Pewnie, tylko dobrze mieć w życiu jakiś wybór.

– Ale ty przecież masz wybór. – Podała jej zdjęcie Jimmy’ego. – Niezależnie od wszystkiego możesz kochać swojego brata.

Maggie trzymała fotografię w złączonych dłoniach i wpatrywała się w nią tak długo, aż po jej policzkach zaczęły lecieć łzy.

– Przez całą noc nie mogłam w to uwierzyć. Znam przecież Jimmy’ego. Przynajmniej tak mi się wydawało.

Kate uznała, że w takim momencie nie powinna się odzywać.

Maggie zgmiotła zdjęcie i włożyła je do kieszeni spodni.

– Jimmy przyznał, że jest Strzelcem. To on ich wszystkich zabił.

Kate miała wrażenie, że słowa, które przed chwilą usłyszała, krążą po jej głowie jak szklane kulki szukające w drewnianym labiryncie właściwej drogi do wyjścia.

– Mark Potter, Greg Keen, Alex Ballard, Leonard Johnson, Don Wesley. To ofiary mojego brata.

Kate w końcu odzyskała mowę:

– To niemożliwe.

– Zostawił list, w którym przyznał się do winy. – Maggie wyjęła z kieszeni notatnik i podała go koleżance. – Zapisałam wszystko słowo w słowo.

– A gdzie jest oryginał?

– Nieważne.

– Wręcz przeciwnie. Co się stało z oryginałem?

– Podarła go moja matka. Masz zamiar to przeczytać czy nie?

Kate miała mętlik w głowie i nie wiedziała, co o tym myśleć. Spojrzała na kartkę i po cichu przeczytała tekst. A potem jeszcze raz. Dopiero po chwili zaczęło do niej docierać, co to wszystko tak naprawdę znaczy.

To ja jestem Strzelcem z Atlanty. Zabiłem tych facetów, ponieważ się z nimi pedaliłem i nie chciałem, żeby ktoś się o tym dowiedział. Zostawcie mnie w spokoju. Jeśli zaczniecie mnie szukać, zginą następni. Maggie, przykro mi, że nigdy cię nie przeprosiłem. Powinienem być powiedzieć, że to nie była twoja wina.

Kate była zszokowana i nie wiedziała, jak zareagować.

– Jimmy tego nie napisał.

– To był jego charakter pisma i jego podpis.

– Nieprawda.

– Wiem, co teraz powiesz. Głowiłam się nad tym całą noc. – Maggie wskazała na bar. – On jest gejem. Skoro przyznał się do swojej orientacji, to czemu miałyby kłamać na temat zabójstw?

Kate otworzyła usta, ale nie przychodziła jej do głowy żadna rozsądna odpowiedź.

– Dla wuja Terry’ego pedał jest kimś gorszym od mordercy. Jimmy równie dobrze mógł popełnić samobójstwo. Powiedz mi, dlaczego napisałby coś takiego, jeśli to nieprawda?

– Ponieważ... – Kate ciągle nie mogła zebrać myśli. – Ponieważ...

– Opis podany przez Eduarda idealnie pasuje do Jimmy’ego. Pomyśl o Strzelcu: to ktoś, kto zna kody i procedury policyjne. Don nie spodziewał się, że jego przyjaciel wyciągnie broń. Zresztą nikt by się tego nie spodziewał. A teraz gdzie jesteśmy? Pod gejowskim barem, który zorganizował stypę po śmierci Dona. Nie robisz czegoś takiego dla obcych. Obaj byli homoseksualistami, ale w pewnym momencie w Jimmym coś pękło i...

– Maggie, przestań. Jesteś wykończona. Przez całą noc nie zmrużyłaś nawet oka. Wyciągasz pochopne wnioski, w ogóle nie biorąc pod uwagę faktów.

– Znam fakty.

– Dobrze, w takim razie podsumujmy to, co już wiemy. Delilah powiedziała, że Strzelec miał na sobie dzinsy i czerwoną koszulę. Czy w takim razie Jimmy przebrał się, żeby zabić Dona, a potem znowu wskoczył w mundur i zaniósł umierającego kolegę do szpitala?

Maggie pokręciła głową.

– Nie mam pojęcia. Sama nie wiem, co o tym myśleć.

– Czy Jimmy w ogóle ma czerwoną koszulę? Mówiłaś, że gustuje wyłącznie w czarnych, szarych i granatowych ciuchach.

– Ta dziwka mogła kłamać. Eduardo zresztą też.

– W takim razie Jimmy również mijał się z prawdą, gdy powiedział, że Strzelec był ubrany w czerwoną koszulę i dzinsy.

Maggie nie była w stanie przyjąć tego do wiadomości.

– Jimmy twierdził przecież, że Strzelec jest Murzynem.

– Morderca nosił czarne rękawiczki. Twój brat zobaczył tylko rękę trzymającą rewolwer, wpadł w panikę i zaczął szukać kryjówki. Po naszych wczorajszych przeżyciach wiemy, że niektórych szczegółów mógł po prostu nie zarejestrować.

Maggie miała łzy w oczach i kręciła z niedowierzaniem głową.

– Musimy to zaakceptować. Jimmy jest zabójcą.

– Nie mam zamiaru słuchać tych bzdur. – Kate doszła do wniosku, że nie pozostaje jej nic innego, jak powiedzieć prawdę. Albo przynajmniej jakąś jej część. – Tamtej nocy twój brat również został ranny.

Maggie spojrzała na nią z powątpiewaniem.

– Mówiłam ci, że ma chore kolano.

– Nie o to chodzi. W udzie Jimmy’ego utkwił odłamek pocisku, który zabił Dona. – Kate starannie dobierała słowa. Maggie nie musiała znać wszystkich szczegółów. – Dowiedziałam się o tym od lekarza ze szpitala Grady’ego.

– Jimmy nic nie mówił o żadnym odłamku.

Kate desperacko szukała dobrego wyjaśnienia.

– Znasz go przecież. Nie przyznałby się, że jest ranny. To typ twardziela.

Maggie wyglądała na zupełnie zbitą z tropu.

– Do czego zmierzasz?

– Jimmy nie mógł oberwać w udo, jeśli sam trzymał w ręku pistolet. A zatem gdy doszło do morderstwa, musiał stać obok Dona.

Maggie złapała się za szyję.

– Miał twarz i tors obryzgane krwią. Sama pomyślałam, że na pewno był gdzieś blisko.

– Zgadza się – przytaknęła Kate. – Stali ramię w ramię.

– Na jego spodniach widziałam świeżą krew. To było wtedy, kiedy spotkałam na ulicy Conroya, a wy podjechaliście do mnie radiowozem. Zapytałam Jimmy’ego, skąd te plamy, a on jakoś dziwnie zareagował. – Złapała koleżankę za rękę. – Kate, jesteś pewna? Naprawdę dowiedziałas się tego od lekarza?

– Sama możesz go o to zapytać. – Kate była pewna, że Philip wymyśli na poczekaniu jakieś niewinne kłamstwo. – Jedziemy przecież do szpitala.

Maggie wcale jej nie słuchała. Była całkowicie pochłonięta analizowaniem nowych informacji.

– Nie rozumiem. Po co w takim razie napisał, że zabił swoich kolegów?

– Stres? – Kate czuła, że wchodząc w kompetencje swojego ojca, porusza się po niepewnym gruncie. – Może czuł się w jakiś sposób odpowiedzialny za śmierć Dona, ponieważ nie udało mu się go uratować?

Maggie wydawało się, że odkryła kolejną nieścisłość w liście Jimmy’ego.

– A więc pozostałe ofiary też były homo? Keen, Porter, Johnson i Ballard?

– Słyszałaś, co powiedział barman. W policji pracuje wielu gejów.

– Oni byli żonaci! I mieli kochanki!

Kate nie miała siły jej tego wyjaśniać. Ważniejszy był teraz Jimmy. Dlaczego do wszystkiego się przyznał? Jakie były jego motywy?

Jeszcze raz przeczytała jego wyznanie. „Pedaliłem się”. Takiego obraźliwego określenia nie użyłby homoseksualista, ale raczej ktoś niechętny ludziom tej orientacji.

Maggie powiedziała głośno to, co obie teraz myślały:

– To bez sensu.

– Zgoda, ale ten list został napisany z jakiegoś powodu. Musimy się tylko dowiedzieć z jakiego.

– Przez całą noc łamałam sobie nad tym głowę. Nie ma żadnego powodu. – Podniosła z ziemi kamyk i rzuciła go w krzaki.

Kate przeczytała jedno zdanie na głos.

– „Powiniennem był powiedzieć, że to nie była twoja wina”.

Maggie cisnęła przed siebie kolejny kamyk. Ten poleciał znacznie dalej. Chyba celowała w wózek.

Kate jeszcze raz przebiegła wzrokiem końcówkę listu.

Maggie, przykro mi, że nigdy cię nie przeprosiłem. Powiniennem był powiedzieć, że to nie była twoja wina.

– Co nie było twoją winą? – zapytała.

Maggie rzuciła następny kamień, który wylądował tuż przed wózkiem. Zamiast odpowiedzieć, zaczęła szukać kolejnego.

Kate wpatrywała się w notatnik. Zapamiętała już każde słowo Jimmy’ego. Teraz z zainteresowaniem przyglądała się charakterowi pisma jego siostry. Trzeba było przyznać, że Maggie pisała ładniej niż Kate i mocno naciskała długopisem na papier. Pod palcami łatwo można było wyczuć charakterystyczne wgniecenia.

– Osiem lat temu Jimmy kumplował się z niejakim Michaeliem – powiedziała Maggie.

Kate ani drgnęła.

– Był przystojny, jak zresztą wszyscy jego bliscy znajomi. – Parsknęła śmiechem, co wskazywało, że wreszcie zrozumiała dlaczego. – Bardzo często u nas nocował. Miałam wtedy piętnaście lat i się w nim podkochiwałam, chociaż on nie był dla mnie szczególnie miły. – Ścisnęła w rękę kamyk. – Pewnego razu obudziłam się w środku nocy, a on na mnie leżał. – Wzruszyła ramionami. – Jeśli chodzi o takie sprawy, byłam zupełnie zielona. Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Strasznie mnie tylko bolało, a Michael nie chciał przestać, więc zaczęłam krzyczeć. Usłyszał to Jimmy. Po chwili wbiegł do pokoju i rzucił się na kolegę.

Spojrzała ukradkiem na Kate.

– W domu była jeszcze moja matka i wuj Terry. Wtedy po raz pierwszy zorientowałam się, że on również czasem spędza u nas noc. Moja siostra miała wtedy pięć lat i spała jak zabita, ale wie o wszystkim. Terry już się o to postarał. – Cisnęła kamień, który po chwili ze szczękiem uderzył w metalowy wózek. – Uwielbia do tego wracać. Tak naprawdę cała rodzina wykorzystuje to przeciwko mnie, kiedy zapomnę, gdzie jest moje miejsce.

Kate oblizwała wargi. Zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Przynajmniej teraz stało się jasne, dlaczego Maggie wpadła w szal, gdy w jej ręce dostał się gwałciiciel nastoletnich dziewczynek.

– Kiedy Jimmy okładał Michaela pięściami – kontynuowała Maggie – cały czas krzyczał: „Jak mogłeś mi to zrobić?”. Jakby to jemu stała się jakaś krzywda. I rzeczywiście

czuł się skrzywdzony. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby był taki wściekły. Nie przestawał wrzeszczeć, po policzkach ciekły mu łzy, a z nosa leciały smarki. Przez wiele miesięcy w ogóle się do mnie nie odzywał, a kiedy już zaczął, nic nie było tak jak dawniej. – Kopnęła leżący na ziemi żwir. – Z powodu tego, co się stało później, zawsze myślałam, że to moja wina. Przyniosłam wstyd rodzinie. Teraz wydaje mi się, że Jimmy wpadł we wściekłość, ponieważ Michael go zdradził. – Znowu się roześmiała. – Był o mnie zazdrosny albo raczej o to, co zaszło między mną a jego przyjacielem.

W głowie Kate wciąż rozbrzmiewały słowa: „Z powodu tego, co się stało później”.

Co tak naprawdę stało się później? Wizyta u sąsiadki, która dokonywała pokątnych aborcji?

Maggie wzięła do ręki swój notes i jeszcze raz spojrzała na list Jimmy’ego.

– Najdziwniejsze jest to, co Jimmy zrobił wczoraj w szpitalu. Powiedział, że jest mu przykro i że nie powinien się wtedy tak zachowywać. Pierwszy raz w życiu mnie za coś przeprosił. Jestem pewna, że chodziło mu o tę noc z Michaeliem. W pewnym momencie Jimmy stwierdził, że to było siedem lat temu, ja go poprawiłam, a on się ze mną zgodził. – Wzruszyła ramionami. – Dlaczego więc napisał, że nigdy mnie nie przeprosił?

– Może nie pokajał się za to, co się *naprawdę* wydarzyło.

– Był pod wpływem silnych środków przeciwbólowych. Niewykluczone, że po prostu zapomniał. – Zamknęła notatnik. – To jednak wciąż nie tłumaczy, dlaczego napisał ten list. Ani gdzie teraz jest.

– Możliwie, że z kimś, kogo nie znasz.

– Sama powiedziałaś, że z kochankiem, z którym spotyka się w tajemnicy.

– Niekoniecznie. Może schronił się u przyjaciela, który również znał Dona? Popatrzmy na ten list z następującej perspektywy: przyznał się do homoseksualizmu, ponieważ wiedział, że nikomu o tym nie powiesz. A fragment, w którym prosi, żeby go nie szukać, bo zginą następni? Przecież on nikogo nie zabił. Pewnie napisał to, żebyś nie próbowała go znaleźć.

– Na jego tropie jest również Terry. – W głosie Maggie słychać było coraz większą rozpacz. – Zastrzeli Jimmy’ego bez ostrzeżenia. Sam mi to powiedział.

– Jeżeli ty nie wiesz, gdzie szukać brata, to tym bardziej Terry.

Maggie wyglądała na kompletnie zagubioną.

– Nie mam pojęcia, co powinniśmy robić.

– Po prostu róbmy swoje: prowadźmy dalej śledztwo. Już udało nam się sporo osiągnąć. Ustaliłyśmy, że Strzelec zaatakował Dona i Jimmy’ego z jakiegoś konkretnego powodu. Możliwe, że chodzi o nienawiść do homoseksualistów. Jeśli tak, to mamy powiązanie.

– A jeżeli mój brat wie, kim jest Strzelec? Może byli kiedyś w związku i Jimmy zna prawdę, ale nie może wydać przyjaciela?

To wyjaśnienie było równie dobre jak każde inne, ale nie posuwało śledztwa ani krok

do przodu.

– Możemy dalej snuć teorie spiskowe albo wziąć się do roboty.

– A może Jimmy sam próbuje wytropić mordercę? – powiedziała Maggie. – Przecież właśnie dlatego pojechał wczoraj do CT, gdzie postrzeliła go ta wariatka. Niewykluczone, że wpadł na trop i napisał list, żebyśmy nie wchodziły mu w drogę.

Również przeciwko tej koncepcji Kate nie miała żadnych argumentów.

– Nie wiem, w jaki sposób mogłybyśmy wchodzić mu w drogę, prowadząc śledztwo tak jak do tej pory.

– Masz na myśli przeglądanie akt? Terry wszystko zabrał.

– Ale nie zabrał nam mózgow. Musisz przyznać, że mam naprawdę dobrą pamięć. – Kate była w stanie z łatwością odtworzyć wszystko, o czym wczoraj dyskutowały po przeczytaniu dokumentów dotyczących sprawy Strzelca. – Raporty z sekcji zwłok są ogólnodostępne. Czy lekarz mógłby sfałszować wyniki, jeśli ofiary były homoseksualistami?

– Nie mam pojęcia.

– A twoja koleżanka w biurze koronera?

– Ona tylko przepisuje dokumenty na maszynie. Nie bierze udziału w żadnych poważniejszych rozmowach. – Maggie potarła oczy. – Mark Potter miał udane małżeństwo. Greg Keen był w separacji. Niewiele wiem o Ballardzie i Johnsonie, ale z ich akt wynika, że obaj byli żonaci i każdy miał dwoje dzieci. Pewnie Gail powiedziałaaby nam coś więcej. Lubi wsadzać nos w nie swoje sprawy.

– W takim razie jedźmy do szpitala. – Kate wstała z krawężnika i podała rękę Maggie. – Ty pogadasz z Gail, a ja spotkam się z lekarzem, który być może udzieli mi odpowiedzi na parę pytań dotyczących sekcji zwłok.

Maggie stanęła na nogach o własnych siłach.

– A co jeśli się mylimy i Jimmy zniknął z zupełnie innego powodu?

Kate powtórzyła radę swojego ojca:

– Jeśli nie wiesz, co robić, po prostu idź przed siebie, aż coś wymyślisz.

Fox postawił kołnierz płaszcza i zaczął przechodzić przez torowisko. Nie golił się i śmierdział alkoholem. Miał na sobie swój zwykły kamuflaż.

„Nic szczególnego, stary, to tylko kolejny menel szukający jakiejś nory, w której mógłby się zadekować”.

Spodziewał się, że gdy rano otworzy drzwi, znajdzie na wycieracze gazetę z wielkim nagłówkiem informującym o gliniarzu, który przyznał się do popełnienia straszliwych zbrodni. Zamiast tego na pierwszej stronie Fox zobaczył artykuł o nowym programie integracyjnym wprowadzanym przez burmistrza. Miał dobry wzrok, więc nie schylając się, przeczytał tylko kilka pierwszych linijek i po cichu zamknął drzwi.

Niespodziewany rozwój wypadków.

Plan Foxa zakładał, że list Jimmy’ego zostanie upubliczniony, po czym nastąpi sądny dzień i rozpocznie się polowanie. Schwywanie zabójcy będzie zadaniem dla bohaterskiego policjanta. Następnie trzeba będzie ukarać winnego. Do tej misji zostaną wyznaczeni zaufani ludzie. Prawdziwi mężczyźni ze stalowymi nerwami i silną wolą. Jimmy nie może mieć szansy na opowiedzenie swojej historii. Okryłby hańbą wszystkich funkcjonariuszy. Był w końcu jednym z nich. Świat nie powinien się dowiedzieć, że w ich gronie ukrywał się morderca i dewiant.

Nie, kilku dobrych ludzi, którzy wciąż sprawują władzę w mieście, na pewno do tego nie dopuści.

Fox wiedział, że wstyd działa bardzo motywująco. Dlatego tak łatwo było złamać Jimmy’ego. Wystarczyło przystawić mu do głowy pistolet, a już po chwili siedział grzecznie przy stole w jadalni Lawsonów i trzymał w ręku długopis.

Niestety, potem nie było już tak łatwo. Rozplakał się i łzy zamoczyły papier. Fox kazał mu zacząć od nowa, ale Jimmy za mocno naciskał na kartkę i ją podarł. Trzeba było podjąć kolejną próbę. W końcu Jimmy tyle razy spartolił to proste zadanie, że Fox podyktował mu wszystko słowo po słowie.

Ale w pewnym momencie Jimmy go zaskoczył. Spytał, czy może dodać coś od siebie.

Kto by pomyślał, że ten dupek w ogóle przejmuje się własną siostrą?

Fox był jedynakiem. Tak samo jak jego rodzice. Nie miał też kuzynów, z którymi mógłby się bawić. Jego jedynym wujkiem był wujek Sam. Fox nigdy nie zastanawiał się, jak to jest, gdy ma się rodzeństwo.

Dla starego byłaby to jeszcze jedna osoba do bicia, poniewierania, walenia po głowie, deptania i kopania.

Przecież ojciec nie znęcał się tylko nad matką. Po co ograniczać się do uległej kobiety, skoro pod ręką był jeszcze dorastający chłopiec?

Fox nie zapytał Jimmy'ego, za co przeprosza swoją siostrę. Mieli co prawda trochę czasu, ale nie tyle, żeby mitrzyć go na głupoty. Jeżeli chodziło o jakiś szyfr, to nie miał zamiaru się tym przejmować. Nikt nie będzie przecież słuchał Maggie Lawson. Wiele lat temu Fox zastanawiał się, czy nie powinien się nią zająć, ale uznał, że nie warto. Ona sama się wykończy. Przyniosła taki wstyd rodzinie, że jej własna matka nie miała odwagi chodzić po ulicy z podniesioną głową.

Fox nie spodziewał się natomiast tak gwałtownej reakcji Terry'ego Lawsons. Jimmy to była w końcu jego krew i Fox powinien przewidzieć, że stary żołnierz będzie chciał zlikwidować bratanka, który okrył go hańbą.

Kolejne zaskoczenie, ale Fox mógł wykorzystać to do swoich celów. Tak postępował prawdziwy mężczyzna. Inni mieli przed oczami problemy, on – rozwiązania.

Mimo to wciąż był nerwowy. Czy Kate właściwie odegra napisaną dla niej rolę? Czy da się zwabić do jego kryjówki?

Miał wrażenie, że skrada się za nim niewidzialny wojownik. Poczł na karku oddech, usłyszał kroki i kątem oka zobaczył, jak drgnęły liście. To może tylko wiatr, ale równie dobrze mógł to być mężczyzna, który za chwilę poderżnie mu gardło, a potem schowa się w dżungli i będzie czekał na kolejną ofiarę.

Fox widział coś takiego na własne oczy.

Nazywali go Mick.

Z twarzy wyglądał jak gwiazdor Hollywood, ale nie stronił od ciężkiej pracy. Był bystry, szybko się uczył i nie miał problemów z adaptacją. Niestety, pewnego dnia poszedł w niewłaściwym kierunku, zignorował znaki ostrzegawcze i skończył z gardłem poderżniętym aż po sam kręgosłup.

Fox nie tropił zabójcy. Za bardzo podziwiał jego koronkową robotę. Kiedy Mick wyzionął ducha, Fox stał cztery, najwyżej pięć metrów od niego i jak zahipnotyzowany obserwował taniec napastnika: jego kocie ruchy, pełne gracji cięcie i zwinność, z jaką odwrócił głowę, żeby tryskająca krew nie zalała mu oczu.

Prawdziwy artysta.

Taki właśnie zamierzał być dzisiaj Fox. Zaplanował swój taniec w najdrobniejszych szczegółach. Pozostało tylko poprowadzić Kate na środek parkietu.

Kiedy przechodził przez tory, w jego głowie rozbrzmiała muzyka.

Kate starała się zignorować wymowne spojrzenie, jakim obrzuciła ją pielęgniarka zapytana, gdzie można znaleźć doktora Van Zandta. Teraz nie miała już żadnych wątpliwości, jak to jest poczuć się jak dziwka.

Idąc przez korytarz, zerknęła na zegarek. Na zadanie kilku pytań Philipowi dała sobie maksymalnie dziesięć minut. Gail była na badaniach i miało to potrwać jeszcze przynajmniej pół godziny. Kate nie chciała jednak przebywać z Philipem aż tak długo w jednym pomieszczeniu. Dziesięć minut to wystarczająco dużo, żeby uzyskać zwięzłą odpowiedź.

Najprawdopodobniej i tak przyjechały tu na darmo. Gail Patterson z pewnością nie miała informacji, które mogłyby doprowadzić do przełomu w śledztwie. Przecież sama była wystarczająco inteligentna, żeby wszystko złożyć do kupy. Poza tym Kate miała wątpliwości, czy Maggie potrafi zadać jej właściwe pytania. Wiara Maggie w to, że jej brat jest zdolny do popełnienia masowego mordu, była, delikatnie mówiąc, niepokojąca.

Co się zaś stanie, jeśli Philip potwierdzi, że wszystkie ofiary Strzelca były homoseksualistami? Do czego taka informacja mogłaby im się przydać? Niestety, chyba do niczego. Nie mogły zacząć przesłuchiwać członków lokalnej społeczności gejowskiej, ponieważ nie miały pojęcia, kto do niej należy. Kate czasem zaglądała do lewicowych gazet, może więc warto skontaktować się z ich redakcjami? Albo zacząć od barmana z Dabblersa?

Albo po prostu będą razem z Maggie biegać w kółko, aż zderzą się głowami i upadną na ziemię?

Drzwi do gabinetu Philipa były zamknięte. Ale Kate usłyszała jego niski głos. Rozmawiał przez telefon. Pewnie z jakąś kobietą. Najprawdopodobniej z żoną. Chciała poczekać, ale minęło ją kilka chichoczących pielęgniarek i walnęła w drzwi tak mocno, aż się zatrzęsły.

– Proszę! – zawołał.

Otworzyła drzwi. Philip siedział za metalowym biurkiem i trzymał przy uchu słuchawkę. Naprzeciwko niego stały dwa krzesła obite skórą, a całą lewą stronę pokoju zajmowała elegancka skórzana sofa. Miał na sobie granatowy, podkreślający kolor oczu garnitur oraz rozpiętą pod szyją koszulę.

Nagle zachciała obrócić się na pięcie i wyjść.

– Kochanie. – Odłożył słuchawkę i wstał z krzesła. – Jak miło cię widzieć.

– Jestem tu służbowo. – Zamknęła drzwi. – Potrzebuję informacji o spermie.

– Nie ma sprawy. Mogę ci dostarczyć materiału do badań.

Kate w duchu pożałowała słów, które przed chwilą wypowiedziała.

– To poważna sprawa.

– Nie mam wątpliwości – powiedział, wskazując na sofę. Kate przysiadła jednak na krawędzi jednego z krzesel. – Czy wszystko u ciebie w porządku? Wyszłaś dziś rano w takim pośpiechu.

– Dobrze się czuję, doktorze „Suwaku, otwórz się”. Dziękuję za troskę.

Roześmiał się. Był najwyraźniej bardziej rozbawiony tym przezwiskiem niż oma. Usiadł za biurkiem.

– Dobrze, a teraz już całkiem serio, jakie ma pani do mnie pytania?

– Czy lekarz może skłamać w raporcie z sekcji zwłok?

Philip wyglądał na wyraźnie zaintrygowanego.

– To zależy, co stwierdzono.

– Czy istnieją jakieś fizyczne oznaki mogące wskazywać, że denat był homoseksualistą?

– Odpowiem krótko: tak. – Odchylił się na krześle. – Jeśli chodzi o spermę, jej ślady można znaleźć w miejscach, w których należałoby ich szukać. Jeżeli nasienie dostało się do przewodu pokarmowego na godzinę lub dwie przed śmiercią, wciąż można stwierdzić jego obecność w żołądku. Sperma charakteryzuje się wysoką zawartością tłuszczu i białka, co sprawia, że jest stosunkowo długo trawiona, chociaż jej wartość kaloryczna jest niewielka, o czym warto pamiętać.

Kate już miała zapytać dlaczego, ale całe szczęście ugryzła się w język.

– Założmy, że coroner znalazł ślady nasienia w żołądku lub w jakimś innym miejscu, w którym, jak powiedziałaś, należałoby ich szukać. Czy umieściłby taką informację w raporcie czy raczej ją pominął?

– Ja bym pominął, ale trzeba pamiętać, że jestem człowiekiem wyjątkowo dyskretnym. Mam zadzwonić do coronera? Możesz sama go o to zapytać.

– Znasz coronera?

– Nazywa się Artie Benowitz. – Zauważył, że Kate rozpoznała to nazwisko. – Tak, to ten sam duppek. Jeden z najgorszych studentów na roku. Zadzwonię do niego. – Wziął do ręki słuchawkę. – Możesz mnie połączyć z doktorem Benowitzem?

Puścił do Kate oko.

Zerknęła na zegarek. Naprawdę siedziała tu dopiero cztery minuty? Rozejrzała się po gabinecie. Sofa była na tyle duża, że Philip mógłby się na niej swobodnie położyć. Krzesła były natomiast tak głębokie, że od siedzenia na samej krawędzi rozbolały ją mięśnie.

Philip zasłonił słuchawkę rękami.

– Chodzi ci o jakieś konkretne osoby?

Kate wyjęła notatnik i znalazła stronę z nazwiskami zamordowanych policjantów.

– To były dwa podwójne zabójstwa, więc w sumie zginęło czterech funkcjonariuszy.

– Nie słyszę, co mówisz. Możesz mi usiąść na kolanach?

Kate rzuciła notes na stół.

Philip po cichu przeczytał listę.

– To są policjanci, których załatwił Strzelec?

– Tak.

Podniósł palec na znak, żeby była cicho.

– Halo? Artie? Tak, tu doktor „Suwaku, otwórz się”. – Mrugnął porozumiewawczo do Kate. Miała ochotę dać mu w twarz. – Mam do ciebie sprawę. Chciałbym wiedzieć, czy ci faceci to *fajgele*. – Przeczytał na głos listę nazwisk i jednocześnie sięgnął ręką do kieszeni marynarki. Kate zobaczyła kawałek czarnego jedwabiu.

Rzuciła się do przodu, ale Philip był szybszy i nie udało jej się odzyskać majtek.

– Tak, poczekam.

– Philip – powiedziała, starając się zapanować nad głosem.

Odsunął słuchawkę od ust.

– Dziś rano znalazłem to w samochodzie. Wiesz może do kogo należą te majteczki?

– Oddawaj.

– Lepiej nie. Kiedy jechałem do pracy, założyłem je sobie na głowę.

Kate wyciągnęła rękę.

– Już!

– Ale one są takie jedwabiste. – Wsunął majtki za spodnie i złapał się za krocze. – To cudowne uczucie, kiedy dotykam nimi swojego... Tak – powiedział do słuchawki. – Tak, Artie. Świetnie. Żadnych śladów. – Zasłonił słuchawkę i zwrócił się do Kate. – Artie nie powinien przekazywać nam takich informacji, ale sprawdził dokumenty i tylko Don Wesley był gejem. Pozostali nie. Chcesz wiedzieć coś jeszcze?

Kate chwyciła za długopis i dodała do listy Lionela Rosę.

– Ten mężczyzna został wczoraj zamordowany. Jego matka zaczęła już odprawiać sziwę, ale wciąż próbuje bezskutecznie odzyskać ciało.

Philip wyprostował się na krześle i znacznie poważniejszym tonem wyłuszczył Artiemu Benowitzowi kolejną prośbę. Potem już nie żartowali, a Philip po prostu odłożył słuchawkę.

– Zwłoki Lionela Rosy zostaną wydane po południu.

– Dziękuję. – Kate poczuła ulgę. Przynajmniej udało jej się dzisiaj spełnić jakiś dobry uczynek. – Oddasz mi wreszcie moją bieliznę?

– Skarbie, bardzo bym chciał, żebyś sama sobie ją wzięła.

Kate zacisnęła ręce na kolanach.

– Bądź poważny. Przecież możesz mi ją po prostu oddać.

– Ale ciągle myślę o twojej ręce w moich spodniach. Nie mogę się skupić.

Kate nie miała ochoty się dalej przekomarzać.

– Do czego to zmierza?

– Czy to w ogóle musi dokądś zmierzać? – Miała już dosyć sytuacji, w których odpowiadał jej pytaniem na pytanie. – Słuchaj, Kaitlin. – Obszedł biurko i usiadł na krześle obok niej. – Czy mogę cię wziąć za rękę? Bardzo tego potrzebuję.

Niechętnie mu na to pozwoliła.

Spojrzał jej głęboko w oczy.

– Pragnąłem cię od chwili, gdy spotkaliśmy się w piwnicy Janice Saddler. Byłaś najpiękniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem. Wspomnienia twoich pocałunków zabrałem ze sobą do Jerozolimy. Błagałem rodziców, żeby wyrazili zgodę na mój powrót do Atlanty. Wypisywałem nasze imiona na ostatnich stronach zeszytów. Philip Van Zandt i Kaitlin Herschel. Całowałem własną dłoń, wyobrażając sobie, że całuję ciebie.

Kate parsknęła śmiechem, ponieważ było to absurdalne, nawet jak na niego.

– Dlaczego zatem po powrocie do Ameryki w ogóle się ze mną nie skontaktowałaś?

Delikatnie ścisnął jej rękę.

– Ponieważ spoczywa na mnie obowiązek wzięcia za żonę kobiety, który wychowa nasze dzieci w wierze żydowskiej, a one zrobią to samo ze swoim potomstwem i tak dalej, aż do momentu, gdy nasz lud ponownie się zjednoczy.

Kate wyrwała się z jego uścisku.

– A jaką rolę dla mnie przewidujesz?

– Sziksy, z którą będę sypiał bez poczucia winy.

– Ja również jestem Żydówką.

– Tak, ale ładniej pachniesz. – Musnął nosem jej szyję. Kate go odepchnęła.

– Jestem w pracy. Muszę być na dole za... – Zerknęła na zegarek. Czy to możliwe, żeby wskazówki się cofały? Gail cały czas była na badaniach. Do tej pory Kate nie miała problemów z wymyślaniem kłamstw na poczekaniu, ale tym razem nic nie przychodziło jej do głowy. – Został mi tylko kwadrans.

– Przez czternaście minut możesz się ze mną całować, a potem będziesz miała wystarczająco dużo czasu, żeby zejść na dół.

– Dlaczego wydaje mi się, że już wcześniej to wszystko policzyłeś?

Philip podwinął rękaw i pokazał Kate elektroniczny zegarek. Nacisnął kilka guzików i na ekranie pokazał się minutnik.

– Philip.

Włączył czas.

– Powinnam już iść.

– Ale nie idziesz.

Kate położyła dłonie na poręczach krzesła, ale nie wstała.

– Wiesz, że masz idealne usta? – powiedział, nie odrywając od niej wzroku. – Cały czas zastanawiam się, czy są w kolorze róż czy raczej tulipanów. Sama myśl o tym doprowadza mnie do szału.

Uśmiechnęła się, ale nie dlatego, że była pod wrażeniem jego komplementów. Mówił do niej niczym sutener werbujący dziwkę, z tą różnicą, że chyba nie chciał jej oszukać. Mimo to jego słowa najzwyczajniej w świecie ją podniecały.

Położył jej dłoń na swoich piersiach.

– Czujesz bicie mojego serca? Rozumiesz, jak na mnie działasz?

Rzeczywiście nawet przez koszulę czuła, że serce waliło mu jak młotem. Przesunęła rękę wyżej i dotknęła jego szyi. Miał gorącą skórę. Zaczęła muskać palcami jego twarz. Porośnięte zarostem szorstkie policzki i niewiarygodnie miękkie usta.

Pocałowała go, ponieważ sama tego chciała. Objęła go za szyję i przyciągnęła do siebie. Miała na to ochotę.

Philip nie potrzebował zachęty. Władczym gestem zdjął z niej oba pasy. Kate wołała nie myśleć, skąd wie, jak się to robi. Skupiła się na jego wargach i dłoniach. Uklęknął i zsunął z niej spodnie. Sama zdjęła koszulę, a on rozpiął jej stanik. Odchyliła się na krześle i oparła stopą o biurko. Opuściła głowę do tyłu, a on ściągał wtedy majtki.

Potem niespodziewanie zwolnił.

Jego język zaczął powoli wędrować po jej piersiach i brzuchu. Nieśpiesznie schodził coraz niżej, aż wreszcie dotarł do wewnętrznej strony ud. Kate przeczesywała palcami jego gęste włosy. Cały czas wsłuchiwał się w jej oddech i obserwował jej reakcje, żeby odpowiednio sterować podnieceniem.

– Philip... – Myślała o tym cholernym zegarku. – Szybciej proszę.

Wciągnęła go na siebie, wpiła się w jego usta i ugryzła w język. Zachęciła go ręką, żeby w nią wszedł, ale tego nie zrobił. Nie lubił być popędzany. Całował ją i pieścił tak samo powoli, niemal doprowadzając jej ciało do spazmów. Wszedł w nią powoli, prawie doprowadzając do orgazmu. Równie powoli się wycofał, a jej ciało przez chwilę zamarło w oczekiwaniu na więcej. Potem znowu na nią napał, a Kate zawyła z rozkoszy.

– Kaitlin. – Szepnął jej do ucha, znacznie przyspieszając tempo. – Podoba ci się?

Kate wbiła paznokcie w jego skórę.

– Mam to robić wolniej?

– Nie. – Czuła nieziemską rozkosz. – Nie przestawaj, proszę.

– Na pewno?

– Philip. – Nie mogła już dłużej tego wytrzymać. – Masz mnie pieprzyć, a nie gadać.

Maggie stała pod salą szpitalną, w której leżała Gail, z radiem ustawionym na częstotliwość policyjną i słuchała wszystkich zgłoszeń, jak leci. W tym nieustającym trajkocie było coś uspokajającego. Nikt już nie szukał jej brata. W centrum miasta dokonano napadu na bank. Postrzelone zostały dwie kasjerki i strażnik. W pościg za rabusiami wysłano wszystkie dostępne radiowozy.

Powinno jej ulżyć, że poszukiwania Jimmy'ego zostały zawieszono, ale tak naprawdę czuła wstręt do samej siebie. Jak mogła choć przez chwilę uwierzyć, że ten list naprawdę napisał Jimmy? Co się z nią stało?

W dzieciństwie brat często płatał jej różne figle. Udawał, że nie wie, gdzie są jej buty. Chował przed nią książki albo wzruszał ramionami, gdy pytała go, czy widział jej klucz do wrotek, chociaż miał go w tylnej kieszeni spodni. Na basenie chlapał jej wodą w twarz. Za każdym razem Maggie lekceważyła przecucie, że znowu padnie ofiarą jego głupich żartów. Nie była jednak naiwna, tylko nie dopuszczała do siebie myśli, że brat może ją okłamać.

Wczorajszy dzień był jednym z najgorszych w jej życiu. Została upokorzona przez wuja i jego kumpli. Zabiła człowieka. Terry rzucał nią po pokoju jak frisbee. Gail została ciężko ranna. Na dodatek, po przeczytaniu listu Jimmy'ego, była kompletnie otumaniona i zachowywała się jak Kate po zderzeniu z murem. Nie potrafiła racjonalnie myśleć i wyciągać najprostszyc wniosków. Jej umysł nie był w stanie ogarnąć rzeczywistości.

To było jedyne wyjaśnienie, dlaczego tak łatwo uwierzyła w to, co usłyszała od starego transseksualisty i barmana geja. Wcześniej przez całą noc zmagala się z wątpliwościami. Myśli odbijały się w jej w głowie jak pingpongowe piłeczki. Kiedy wydawało się, że jest już czegoś pewna, pojawiały się wątpliwości – przecież Jimmy spotykał się z tyloma dziewczynami, przecież był nawet do przesady uczciwy i godny zaufania, przecież to kompletnie bez sensu.

Dwa dni temu powiedziała Kate, że wszyscy kłamią i należy zadać to samo pytanie wielu osobom i dopiero jeśli większość udzieli takiej samej odpowiedzi, jest się w miarę blisko prawdy.

To, że barman nazwał jej brata Jimem i uśmiechnął się szeroko na widok jego fotografii, było dowodem na jedną rzecz. Ale z faktu, że akurat o tym Jimmy napisał prawdę, nie wynikało wcale, że w resztę też należało bezkrytycznie wierzyć.

Maggie zbyt łatwo spisała Jimmy'ego na straty. Równie szybko jak jej wuj Terry uznała, że jest winny.

Zrobiła to jednak z innych powodów. Terry'emu najbardziej przeszkadzał

homoseksualizm Jimmy'ego, natomiast to, że był mordercą, nie miało dla niego prawie żadnego znaczenia. W wypadku Maggie było odwrotnie. Teraz kiedy wyeliminowana została najgorsza możliwość, orientacja seksualna Jimmy'ego to tylko dodatkowy ciężar, z którym można sobie poradzić. Maggie będzie musiała stawić temu czoło później, kiedy zostanie schwytany prawdziwy Strzelec, a Jimmy wróci już do domu.

Teraz nie pozostawało jej nic innego, jak iść przed siebie. Kate miała rację – to była właściwa strategia. Muszą zrobić wszystko, żeby doprowadzić to śledztwo do końca. Maggie wiedziała, że mimo ogromnego zmęczenia nie zaśnie, dopóki nie będzie pewna, że Jimmy jest cały i zdrowy.

W pokoju Gail rozległ się donośny śmiech. Wpadli do niej z wizytą Bud Deacon, Mack McKay i Chip Bixby. Rozmawiali z Kłopotem o futbolu. Żartowali i dowcipkowali, jakby byli dobrymi przyjaciółmi. Maggie nie mogła jednak uznać tego za hipokryzję. Tak właśnie zachowywali się gliniarze. Niezależnie od tego, kim byłeś i jak bardzo cię nienawidzono, mogłeś mieć pewność, że odwiedzi cię w szpitalu każdy policjant z jednostki. Wczoraj tak samo było z Jimmym i jeżeli Terry go zabije, i tak wszyscy przyjdą na jego pogrzeb.

Mniej więcej godzinę temu zadzwoniła do wuja z automatu telefonicznego wiszącego przed salą przyjęć. Powiedziała mu, że Jimmy nie jest Strzelcem, ale Terry nie chciał jej słuchać. Zażądał dowodów, a ona zaczęła się plątać jak jakaś kretyńska. Miała tylko przecucie wsparte informacjami z drugiej ręki zdobytymi przez owieczkę. Całe uzasadnienie opierało się na serii zdań rozpoczynających się od „on powiedział” lub „ona powiedziała”. Co więcej, Terry nie ufał lekarzom. Uważał, że poza grupą krwi i odciskami palców medycyna sądowa to kompletne bzdury. Nie interesowały go niuanse. Chciał obiektywnych i bezspornych faktów. Maggie mogła tylko mieć nadzieję, że jej zaufa.

Były to jednak marzenia ściętej głowy. Terry odłożył słuchawkę, zarykując się ze śmiechu.

Nagle zabrzączał nadajnik.

– Dyspozytornia. Oddział numer pięć. Podaj swoją lokalizację.

Włączyła mikrofon.

– Tu oddział numer pięć. Jestem w szpitalu Grady'ego.

– Dziesięć cztery. Dostałyście dziesięć dziewiętnaście.

– Dziesięć cztery. – Maggie się rozłączyła. Zostały wezwane na komendę. Wolała nie myśleć, co stanie się, gdy dotrą na miejsce. Terry nie mógł zmusić jej do odejścia z pracy, ale był w stanie sfabrykować dowody, które doprowadziłyby do jej zwolnienia.

Spojrzała na zegarek. Kate była spóźniona już dwie minuty, a przecież sama błagała Maggie, żeby spotkały się w tym miejscu dokładnie o wpół do pierwszej. Oby udało jej się zdobyć jakieś użyteczne informacje.

– Co tutaj robisz, dziewczynko? – Mack jak zwykle był nieźle wstawiony. Musiała się cofnąć, żeby nie powaliły jej opary alkoholu. – Powinnaś chyba szukać swojego brata.

Maggie się zjeżyła.

– Jimmy musi zechcieć, żeby ktoś go odnalazł.

– Posłuchajcie tylko tej mądrali – powiedział Chip. Prezentował się o wiele lepiej niż Bud i Mack, ale to wcale nie znaczyło, że wyglądał dobrze. Wszyscy byli mniej więcej w wieku Terry’ego, ale sprawiali wrażenie sporo starszych. Za dużo wody i za mało snu. Kiedy jako młodzi chłopcy wstąpili do służby, tak się właśnie pracowało. Od tamtych czasów wiele się jednak zmieniło, a oni wciąż pili na umór, chodzili późno spać i wcześniej wstawali.

– Dowiedziałaś się, dlaczego Mark złamał sobie paznokieć? – zapytał Bud.

Mack parsknął śmiechem, jakby śmierć Marka Portera nie miała żadnego znaczenia.

– Tak – powiedziała zdecydowanym głosem Maggie, starając się zagłuszyć ich chichot. – Trafiłyśmy na naprawdę sporo interesujących tropów. Pracujemy nad tym od samego rana. Mamy nawet świadka.

– Ho, ho, ho! – Bud nie wierzył w ani jedno jej słowo. – Dziewczynki znalazły świadka. Co ty na to, Chipper?

– Pewnie przeczytamy o tym w gazetach – powiedział, uśmiechając się z wyższością. – Spadamy stąd, nie mamy całego dnia, żeby czekać na tę wariatkę.

– Idziemy – zgodził się Mack i wyjął z kieszeni płaszcza czarne skórzane rękawiczki. Takie sam miał Terry. I Jimmy. I praktycznie każdy policjant w mieście.

Na odchodne Chip postanowił ponabijać się z Maggie i zsalutował:

– Detektyw Cycki!

Maggie położyła rękę na uchwycie pałki. Kipiała wściekłością. Po co im w ogóle o tym wszystkim mówiła? Ile jeszcze błędów dzisiaj popełni? Zdążyła już stracić panowanie nad sobą w obecności Kate. Teraz nakłamała Budowi, Mackowi i Chipowi. Pewnie za chwilę skontaktują się z Terryem i o wszystkim mu opowiedzą. Ile czasu minie, zanim wuj ją odnajdzie i zapyta, co ona do cholery wyprawia? Właśnie tego jej trzeba, żeby dobrze zacząć popołudnie. Wuj powinien ją sprać na oczach Kate Murphy.

– Cześć mała! – krzyknęła Gail z końca korytarza. Siedziała na wózku inwalidzkim popychanym przez pielęgniarkę. Wokół głowy miała zawinięty wielki bandaż, który zakrywał również zranione oko. Szpitalna koszula zwisała luźno na jej nogach, ale Gail nie zadała sobie trudu, żeby zsunąć kolana. – Długo na mnie czekasz?

– Nie, nie tak długo. – Maggie z trudem powstrzymywała się od płaczu. Gail wyprostowała się i cały czas gadała, zachowując się tak, jak gdyby nic się nie stało.

– Cholera, skąd masz te siniaki?

Maggie pokręciła głową. Bała się, że zupełnie się rozklei. Najgorsze jest to, że jak już się zacznie, to bardzo trudno przestać.

Gail zwróciła się do pielęgniarki:

– Dzięki, skarbie. Dalej poradzę sobie sama. – Wjechała do sali, w której czekał na nią mąż. – Cześć, Kłopot!

Leżał na łóżku i czytał jakiś magazyn motoryzacyjny.

– O, jest z tobą Maggie. Jak badania, złotko?

– Podłączyli mnie do jakiejś choleralnej maszyny i przez czterdzieści pięć minut zabronili palić.

Zszedł z łóżka i podał Gail torebkę.

– Co mówią lekarze?

– Te same bzdury co wcześniej. – Przekrzywiła głowę pod dziwnym kątem, żeby zajrzeć do torebki. – Ty dupku, wypaliłeś wszystkie moje fajki?

– Nudziłem się.

Obrzuciła go wrogim spojrzeniem.

– Na dole jest automat. – Kłopot wybiegł truchtem na korytarz.

– Ten pajac działa mi na nerwy. – Podjechała do okna. – Nie daje mi ani chwili spokoju. Przynosi mi poduszki i ciągle nalewa do dzbanka zimną wodę. Przecież wie, że ja nie piję wody! Co on sobie wyobraża?

Maggie wiedziała, że nie musi odpowiadać na to pytanie.

– To naprawdę do dupy. – Miała na myśli bandaż. – Nie mogę patrzeć w dół, bo mi wypadnie oko. – Roześmiała się, gdy zobaczyła wyraz twarzy koleżanki. – Cholera, w życiu spotkały mnie już gorsze rzeczy. Opowiedz mi lepiej, co w pracy. Wszyscy nabrali wody w usta.

Maggie starała się zebrać myśli. Przecież nie bez powodu przyszła odwiedzić koleżankę.

– Co wiesz o Ballardzie i Johnsonie?

– Niezbyt wiele. Byli dobrymi gliniarzami, ale niespecjalnie za sobą przepadali. Prawdę mówiąc, ciągle się między sobą żarli.

W aktach nie było o tym ani słowa.

– O co?

– Kto to może wiedzieć? – Gail odwróciła wózek. – Szefowie kazali im pracować razem, ponieważ prawdopodobnie założyli, że jeśli obaj mają żony Murzynki, to muszą mieć ze sobą wiele wspólnego. Typowe brednie bandy arogantów.

To było jakieś powiązanie.

– A Keen i Porter? Ich małżonki też wywodzą się z mniejszości?

– Nic o tym nie wiem. Keen był kobieciarzem, ale w tej robocie to normalka. – Gail wskazała palcem na teczkę leżącą na stoliku. – Zostawił to dla ciebie Rick Anderson. Dwa razy powtórzył, że Jake Coffee specjalnie pojechał po te papiery do śródmieścia. Chyba będziesz musiała się jakoś odwdziżyć.

– Wsadzę mu wiadomość za wycieraczkę. – Otworzyła teczkę. W środku znajdowała się kartoteka Eduarda Rosy. Sześć kartek zapisanych gęsto po obu stronach.

– Od rana panuje tu ruch jak na dworcu kolejowym. – Gail wcisnęła hamulec i ustawiła wózek bokiem tak, żeby móc patrzeć na Maggie. – Oprócz Ricka odwiedził mnie Cal Vick, a Les Leslie przyniósł butelkę whisky. Red Flemming wypił połowę, a resztę wykończył

twój wujaszek Terry. Były jeszcze dwie czarnoskóre policjantki: Delroy i Watson. Sprezentowały mi czekoladę. Znasz je?

Maggie podniosła wzrok znad papierów. Delroy i Watson. Ze sposobu, w jaki patrzyła na nią Gail, można było wywnioskować, że powiedziały jej o niemal nagim Lewisie Conroyu zamkniętym w budce telefonicznej.

– Dobrze się wtedy czułaś? – zapytała Gail.

– Kiedy to robiłam, tak. Ale potem... – Wzruszyła ramionami. Wiedziała, że Conroy na to zasłużył. Nawet jeśli Delroy i Watson spuścili mu później niezłe lanie. Mimo to miała wyrzuty sumienia. Nie było jej jednak żal Conroya, ale samej siebie. Straciła panowanie, co się jej nigdy wcześniej nie zdarzyło.

– Zawsze czuję się dobrze, jak robię coś takiego – powiedziała Gail.

– A potem masz kaca?

– Za każdym razem.

Maggie nie mogła znieść jej badawczego spojrzenia i wbiła wzrok w dokumenty. Młodość Eduarda Rosy była typowa dla większości przestępców. Włamanie do sklepów całodobowych. Napady na stacje benzynowe. Kilka lat w więzieniu. Wydawało się jednak, że potem uporządkował swoje życie. W ciągu ostatnich dwudziestu lat nie popełnił żadnego wykroczenia. Wzorowy obywatel. Pewnie dlatego, że rodzinnym biznesem zajmował się Gerald.

– Eduardo – przeczytała na głos Gail. – Co to za gagatek?

– Transseksualny alfons. – Maggie zamknęła teczkę. – Albo jego matka. Albo ojciec. A może mąż? Pamiętasz portugalską staruszkę?

Gail zrobiła taką minę, że Maggie pożałowała swojego pytania. Oczywiście, że ją pamiętała.

– To tak naprawdę facet. Widziałyśmy ją dziś rano. Miała spory zarost.

– Jasna cholera! – Gail dostała takiego napadu śmiechu, że prawie spadła z wózka. – Nie wierzę! – Nie przestając rechotać, odchyliła głowę do góry i patrzyła w sufit, żeby nie pogorszyć stanu uszkodzonego oka. – O Boże!

Na twarzy Maggie pojawił się uśmiech. Poczowała ulgę, że Gail nadal potrafi się spontanicznie śmiać.

– Jezus Maria! Naprawdę niezła historia. Chyba zsikałam się ze śmiechu. Wcale nie żartuję.

– Zawołać pielęgniarkę?

– Nie, Kłopot się tym zajmie. Lubi takie zabawy. – Wsadziła rękę do torebki i zaczęła czegoś szukać. – Nie mogę uwierzyć, że żaden z tych półgłówków tego nie zauważył. Przecież wczoraj prawie wszyscy tam pojechali. Ktoś ją w ogóle przesłuchał?

– Podała fałszywe nazwisko. – Maggie nie chciała wchodzić w szczegóły relacji łączącej Eduarda, Geralda i Sir Chica. Uznała, że wystarczy już na dzisiaj śmiechu. – Wiedziałaś, że Murphy jest Żydówką?

– Pewnie. Wanda Clack mi powiedziała. Wyczytała to w jej aktach.

To było do przewidzenia.

– Jest też bogata.

– No co ty nie powiesz? – Jej zamiłowanie do sarkazmu najwyraźniej nie ucierpiało w wyniku wypadku. – Domyśliłaś się tego po jej akcencie z wyższych sfer?

Maggie nie miała wystarczająco dużo odwagi, żeby zapytać, skąd Gail wzięła swój samochód.

– Kłamała też w wielu innych sprawach.

– Ojejku! – powiedziała, parodiując Kate. – A ty mi pewnie zaczniesz wmawiać, że masz te siniki, bo spadłaś ze schodów?

Maggie nie dała się sprowokować.

Gail podniosła torebkę, żeby lepiej widzieć, co jest w środku.

– Weź krzesło i usiądź obok mnie.

– Myślisz, że będzie z niej dobra policjantka? – zapytała Maggie, stawiając krzesło przy wózku.

– Chodzi ci o Murphy? – Otworzyła puderniczkę. – Nadal próbuję rozgryźć tę dziewczynę.

Maggie nachyliła się nad koleżanką, a ta wzięła do ręki gąbkę i zaczęła nakładać podkład na jej policzki. Robiła to delikatnie, ale i tak ból był trudny do zniesienia.

– Murphy musi radzić sobie sama. Nie możemy jej pomóc. Jest naprawdę bystra, ale nie potrafi ocenić ryzyka i nie wie, kiedy należy się bać.

– Boi się Terry’ego.

– Niepotrzebnie. Przecież on nic jej nie zrobi. Nie są spokrewnieni.

Maggie roześmiała się, ponieważ niestety była to prawda.

– Siedź spokojnie. To trudna robota. Nieźle cię urządził.

Maggie zamknęła oczy, a Gail kontynuowała nakładanie makijażu. Nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz ktoś się o nią zatroszczył. Delia nigdy nie rozpieszczała swoich dzieci. Kiedy zdarzało się, że Maggie była przeziębiona albo miała grypę, matka kazała jej siedzieć w pokoju, żeby nikogo nie zarażała.

Nawet w dniu, gdy Maggie wróciła od sąsiadki, Delia powiedziała jej, żeby poszła do siebie na górę. Jedyłą osobą, która o nią wtedy zadbała, był Głuchol. Leżała na kanapie, a on stał obok – z uszu wystawały mu kable od aparatu słuchowego, a do piersi miał przyczepiony odbiornik. Nigdy wcześniej nie miała okazji być tak blisko niego i nigdy nie widziała w czyichś oczach tyle życzliwości.

– Gotowe, wyglądasz teraz jak miss Ameryki. To nie do końca twój kolor, ale lepiej nie będzie.

Maggie wzięła puderniczkę i przejrzała się w lusterku. Miała jaśniejszą karnację niż Gail, więc podkład był dla niej trochę za ciemny, ale sińce zniknęły.

– Wielkie dzięki.

– Słuchaj, kochana. – Gail schowała kosmetyki do torebki. – Co się stało, to się nie odstanie. Wypadki chodzą po ludziach. Tak to już jest.

Gail miała rację, ale Maggie trudno było się z tym pogodzić.

– Dobrze, że załatwiłaś tego grubego sukinsyna. Ja niestety zostałam ranna. – Wzruszyła ramionami. – Taka praca. Wykonujesz ją od pięciu lat, a przed tobą następne pięćdziesiąt. – Gail chwyciła za poręcz krzesła i nachyliła się do Maggie. – W twoich żyłach płynie woda z lodem, dzieciaku. Tak jak w moich. Nikomu nie ufam tak bardzo jak tobie.

– Ja czuję to samo.

– Świetnie. – Gail skinęła głową. – Zmiana tematu. Opowiedz mi o poszukiwaniach Jimmy’ego.

Maggie pomyślała o liście i o tym, czego dowiedziała się w barze Dabbler’s. Być może wcale nie miała do Gail takiego zaufania, jak by chciała.

– Po prostu zapadł się pod ziemię.

– To do niego niepodobne.

Maggie postanowiła podzielić się z koleżanką wyjaśnieniem przedstawionym wcześniej przez Kate.

– Jimmy został postrzelony w ramię i widział, jak umiera jego przyjaciel. W ciągu ostatnich dwóch dni dwa razy otarł się o śmierć. Wydaje mi się, że chciał się gdzieś zaszyć i wszystko przemyśleć.

– Jimmy Lawson? Twój brat? – powątpiewała Gail. – Ukrył się, żeby zastanowić się nad swoim życiem? Żaden facet nie stroi fochów, jeśli nie widzi go kobieta. Inaczej jaki to miałoby sens?

– Nie o to chodzi. Jimmy nie stroi fochów. On naprawdę się boi.

– I nie powiedział nikomu, dokąd się wybiera? Ani tobie, ani Terry’emu, ani Budowi, ani żadnemu ze swoich kumpli? – Gail pokręciła głową. – Nie, nie kupuję tego.

– Zostawił list – oznajmiła Maggie, ale nie zamierzała pokazywać Gail swoich notatek. – Chce, żebyśmy zostawili go w spokoju.

– Napisał dlaczego?

– Nie – powiedziała, patrząc Gail prosto w oczy. Nie wykonywała nerwowych ruchów, nie wierciła się na krześle i starała się spokojnie oddychać.

Gail od razu ją przejrzała.

– Kłamiesz.

Maggie zagryzła usta. Nawet jeśli chciała powiedzieć całą prawdę, najzwyczajniej w świecie nie mogła. Musiałaby zbyt wiele wyjaśniać. Nie była w stanie jeszcze raz przez to przechodzić. No i przede wszystkim nie powinna wyjawić największego sekretu Jimmy’ego. Gail z pewnością zaczęłaby plotkować. Co więcej, Maggie wiedziała z własnego doświadczenia, że choć jej starsza koleżanka sama potrafi nieźle narozrabiać,

to bywa bardzo krytyczna wobec funkcjonariuszy, którzy przekraczają swoje uprawnienia.

W pierwszym odruchu chciała powiedzieć, że szukała Jimmy'ego całą noc, ale on najwyraźniej nie chce, żeby ktoś go znalazł, ale w końcu wymyśliła coś lepszego:

– Napisał, żeby go nie szukać.

– Coś jeszcze?

– To wszystko: „Wyjeżdżam. Nie próbujcie mnie szukać”. Znasz Jimmy'ego, to nie jest ktoś, kto napisałby książkę.

– Złożył wymówienie?

– Nie.

– Poprosił o urlop?

– Nie.

– Powiedział o tym waszej mamie?

– Nie.

Gail nie wyglądała na przekonaną.

– Dobra, słoneczko. Ja też cię czasem okłamuję.

– Ale ja nie... – przerwała w pół zdania. Nie była w stanie dłużej wciskać jej kitu.

– Próbujecie rozwikłać sprawę Strzelca. Macie jakieś podejrzenia co do jego tożsamości?

– Nie.

– Gówno prawda. – Gail była przekonana, że Maggie kłamie. – Pytałaś mnie o zamordowanych policjantów. Dlaczego nie zapytałaś o Dona?

Maggie powiedziała pierwszą rzecz, która przyszła jej do głowy:

– W takim razie, co o nim wiesz?

Wzruszyła ramionami, jakby wcale nie wymusiła tego pytania.

– Zmagał się ze swoimi demonami.

– Na przykład jakimi?

– Z wojną. – Gail oparła się na krześle. – Dla tych facetów to było traumatyczne doświadczenie. Pojechali walczyć za Boga i ojczyznę, a na miejscu okazało się, że to jedno wielkie gówno. Zgraja podstarzałych generałów postanowiła pograć sobie w okręty, bo tylko w ten sposób mogli dostać erekcji.

– Słyszałam, że Don bił swoją dziewczynę.

– Pocahontas. – Gail prychnęła, wypowiadając to przezwisko. – Skądś się to wzięło. Po powrocie do domu weterani widzą świat w zupełnie inny sposób. Większość jakoś sobie z tym radzi, zakładają rodziny i starają się normalnie żyć. Ale nie wszyscy. Na przykład twój wuj Terry. Cały czas siedzą w nim okropieństwa, które widział w Europie. Jett prawie stracił rękę podczas bitwy o Midway. Mack trafił do niewoli na Filipinach. Chip i Red srali ze strachu na Guadalcanal. Kto wie, jakiego gówna naoglądał się w Wietnamie

Rick. Każdy z nich ma własną traumę. Tak to już jest.

– Pocahontas – powtórzyła Maggie. Z jakiegoś powodu to imię utkwiło jej w pamięci. Instynkt podpowiadał jej, że to coś ważnego. Dziewczyna Dona Wesleya była Indianką. Alex Ballard i Leonard Johnson poślubili Murzynki. Jimmy nie miał co prawda narzeczonej, ale mógł mieć narzeczonego.

– Pamiętasz żonę Marka Pottera? Na pewno była na pogrzebie.

– Tak, tak mi się wydaje – odpowiedziała Gail.

– Biała?

– Biała jak śnieg. Niska i korpulentna. Przypominała trochę Totie Fields. Zjarana jak świnia. Widziałam, jak idąc za karawanem, zaciąga się skrętem. – Gail zaczęła rozumieć, o co może chodzić Maggie. – Żona Keena też musi być biała. Gdyby było inaczej, na pewno bym o tym wiedziała. Do czego ci to potrzebne?

– To dziwne, że aż trzech z nich było związanych z kolorowymi kobietami.

– Nie powinnaś brać pod uwagę Jimmy’ego i Dona. Rzadko pracowali na nocną zmianę. Akurat wtedy zastępowali Ricka Andersona i Jake’a Coffee’ego. – Gail zaczęła w skupieniu rozmasowywać brodę. – Rick nie ma dziewczyny. W każdym razie nic o tym nie wiem, choć trzeba przyznać, że chłopak naprawdę się stara. Jake prowadzi się z jakąś hippiską, zresztą całkiem ładną. Podobna do Mariny Oswald. Pomaga pracownikom supermarketu w założeniu związku zawodowego.

– Czyli to, że Jimmy i Don zostali zaatakowani, to był przypadek. – Maggie uznała, że trzeba to głośno powiedzieć. Co ciekawe, poczuła ulgę. Wolą, żeby jej brat był tropiony przez mordercę, dlatego że jest gliną, a nie gejem.

Gail głośno wypuściła powietrze ustami.

– No to jesteśmy w kropce. – Sięgnęła do torebki. – Cholera. Gdzie jest Kłopot i moje fajki?

Maggie pokręciła głową. Próbowwała złożyć wszystko do kupy. Rick był miłym facetem. Wszyscy tak mówili. Pomagał kobietom i często stawał w ich obronie. Nie miał nic przeciwko temu, żeby służyły w policji. Jake Coffee był taki sam.

Zatem między tymi czterema mężczyznami – a nawet sześcioma, jeśli doda się Dona i Jimmy’ego – jest wyraźny związek.

Wszyscy naruszali status quo.

– Nie przeszkadzam? – W otwartych drzwiach stanęła Kate Murphy. Promieniowała radością, tak samo jak rano w windzie. – Przepraszam za spóźnienie. Rozmowa potrwała dłużej, niż planowałam.

– Kiedy ze mną ktoś tak porozmawia? – powiedziała Gail, zanosząc się ochryplym śmiechem.

Kate zalała się rumieńcem.

– Cieszę się, że jesteś w dobrym nastroju. Przykro mi, że...

Gail przerwała jej głośnym cmoknięciem.

Maggie uśmiechnęła się, ale zaczerwieniły jej się policzki.

– Mogę skorzystać z łazienki?

– Nie ma sprawy, skarbie. Widzę, że musisz się ogarnąć.

Kiedy Kate zamykała drzwi toalety, Gail ryczała ze śmiechu.

– O mój Boże! Z tej spryciary może będzie jeszcze dobry glina.

Maggie nie chciała rozmawiać o Kate.

– Wróćmy do tematu: wynika z tego, że wszystkie ofiary przeciwstawiły się systemowi.

– Co masz na myśli? – Gail wciąż była lekko rozkojarzona.

– Ballard i Johnson ożenili się z Murzynkami. Jaki stosunek mieli do tego inni policjanci?

– A jak myślisz? Wsadzili Ballardowi stryczek do szafki.

– A dziewczyna Jake’a?

– Jest co prawda biała, ale to komunistka. Przecież chce założyć związek zawodowy.

– Rick jest w zasadzie hippisem. Jedyne facet, który uważa, że kobiety powinny nosić mundur.

Gail siedziała z brodą opartą na ręce. Widać było, że coś kombinuje.

– Porter głosował na McGoverna. Miał nawet nalepkę na zderzaku.

– Tak samo jak Jake Coffee. – Maggie przypomniała sobie, jakie miał z tego powodu nieprzyjemności. Cal Vick odebrał mu identyfikator umożliwiający korzystanie ze służbowego parkingu.

Otworzyły się drzwi łazienki. Od razu widać było, że Kate podsłuchiwała.

– Greg Keen jeździł toyotą. Znalazłam to w jego aktach.

– Zgadza się – potwierdziła Maggie. Auto wielkości tosterka ginęło w morzu fordów i buicków z wydłużonymi maskami i wzmocnionym podwoziem.

– Keen miał jeszcze wytatuowaną na ramieniu pacyfę – powiedziała Kate. – Dowiedziałam się tego, przeglądając raport z sekcji zwłok.

– Nic mi o tym nie mówiłaś – wtrąciła Maggie.

– Przepraszam. Tatuaż był na tyle wysoko, że chyba nikt go nie widział.

Wczoraj wieczorem Maggie brała prysznic w męskiej przebieralni. Nie było tam żadnych zasłonek, tylko stojąca na środku wykafelkowanej łazienki pionowa rura z dyszami dookoła.

Na pewno wszyscy widzieli tatuaż Keena.

– Myślałam jeszcze o kuli, która roztrzaskała głowę Sir Chica – powiedziała Gail. – Strzał padł z drugiej strony ulicy. Zabójca musiał mieć karabin. To przecież jakieś pięćdziesiąt metrów, prawda?

– Jeśli nie więcej. – Maggie nie miała pojęcia, jakie trzeba mieć umiejętności, żeby

precyzyjnie strzelić z takiej odległości.

– Bawiłam się kiedyś taką bronią. To wcale nie jest proste. Trzeba wziąć pod uwagę prędkość wiatru i przewidzieć, czy twój cel przypadkiem się nie ruszy. Kiedy trzymasz w ręku strzelbę, wystarczy pociągnąć za spust i sukinsyn, do którego strzelasz, ląduje na ziemi z dziurą w głowie. Z karabinem jest zupełnie inaczej.

Kate powiedziała na głos coś oczywistego:

– A więc bardzo prawdopodobne, że mamy do czynienia z policjantem albo żołnierzem. Zgadzałoby się to również z opisem barmana z Dabblers'a.

– Jest tylko jedna strzelnica, na której można poćwiczyć – wyjaśniła Gail. – Znajduje się koło więzienia dla kobiet i jest własnością miasta, ale mogą z niej korzystać również cywile. – Zmarszczyła brwi. Widać było, że coraz mniej jej się to wszystko podoba. – Cholera, przecież właśnie o tym rozmawialiśmy w radiowozie. Strzelec może być byłym wojskowym, który nienawidzi policjantów. Kręci się tu całkiem sporo takich typów. Zwykle wylatują z akademii, a potem się nam naprzykrzają. Chcą, żeby im opowiadać o naszej codziennej pracy, i uczą się żargonu. Wiecie, jak to jest. Wystarczy postawić gliniarzowi parę piw i będzie gadał jak najęty.

– Pewnie stąd morderca zna kody i procedury – powiedziała Kate.

Maggie zaczęła na nowo rozważać swoją starą teorię. Pomyślała o tym, ile czasu Jimmy spędzał na strzelnicy. Był jednym z najlepszych snajperów w jednostce. Czy podczas ćwiczeń kogoś poznał? Czy był to ktoś, kto doskonale potrafił posługiwać się karabinem?

Czy był dla Jimmy'ego kimś więcej niż tylko instruktorem?

– Pamiętam, że na ścianach strzelnicy narysowane były różne cele. To część jakiegoś systemu punktowania – dodała Kate.

– Zajmuje się tym Jett. On jest tam szefem – powiedziała Maggie. Niestety, zdawała sobie sprawę, że jeśli z nim porozmawia, to każde słowo zostanie powtórzone Terry'emu. Zwróciła się więc do Gail: – Możesz do niego zadzwonić?

– Nie ufaj temu dupkowi. Lepiej sama tam pojedź. Murphy ma rację. Na murach wymalowali sylwetki, do których strzelają. Pod każdą jest jeszcze imię i nazwisko. – Wskazała palcem na Maggie. – Jeżeli dowiesz się, kto najlepiej posługuje się bronią, będziemy miały głównego podejrzanego.

– Słyszałaś rozkazy? – zapytała Kate. – Mamy wracać na komendę. Poza tym podnieśli wysokość nagrody za pomoc w schwytaniu Strzelca i mają teraz mnóstwo nowych zgłoszeń.

– Jedź sama. – Maggie wstała z krzesła. – Ktoś na dole na pewno cię podwiezie.

– Nie ma mowy – oznajmiła Kate i oparła ręce na biodrach. Przez chwilę wyglądała jak prawdziwa policjantka. – Przestań się wygłupiać.

– Powinnyście jechać razem – powiedziała Gail. – Myślisz, że wywalą cię z pracy, jeśli złapiesz Strzelca? Nawet Terry nie będzie mógł ci wtedy podskoczyć. – Złapała Maggie za rękę. – Tylko pamiętaj, wszystko musi być zgodne z przepisami. I w żadnym razie nie angażuj w to wuja ani żadnego z jego kumpli. Dowody muszą być wystarczająco mocne,

żeby przekonać ławę przysięgłych.

Maggie wpatrywała się w starszą koleżankę, która po raz pierwszy jednoznacznie zasugerowała, że Terry rzeczywiście spreparował dowody w sprawie Edwarda Spiveya. Pistolet znaleziony w studziencie ściekowej. Zakrwawiona koszula. Dwóch figurantów, którzy zeznawali z ręką na Biblii w zamian za możliwość wyjścia z więzienia. Nikt tak naprawdę nie wierzył, że Terry mógł mieć tyle szczęścia naraz. Najgorsze było jednak to, że gdyby nie ten cyrk, Spivey zostałby skazany. Podczas procesu jego adwokat odwrócił uwagę ławników od sedna sprawy, wymachując im przed oczami rzekomymi dowodami zbrodni, i praca prokuratora poszła na marne.

– W porządku – powiedziała Maggie, niejako przyjmując do wiadomości wszystko, co zostało przemilczane. – Jeśli znajdę coś na strzelnicy, nie będziemy zwlekać. Skontaktuję się przez radio z Rickiem i Jakiem, a potem poinformujemy o tym szefostwo.

– Moja szkoła!

W nadajniku znowu rozległy się trzaski, ale zamiast go ściszyć, Kate zatkała sobie uszy. Maggie wyłączyła urządzenie.

– Po prostu przekręć to pokrętło...

– Nie, nie! – przerwała jej Gail. – Zrób głośniej!

Kate ponownie włączyła radio. Rozległ się ciągły, niski dźwięk przypominający ton, który rozbrzmiewa, gdy na dłużej przytrzyma się guzik w telefonie.

– Zmień na... – powiedziała Maggie, jednak zanim skończyła, Kate zdążyła przestawić nadajnik na częstotliwość alarmową.

– Dziesięć dziewięćdziesiąt dziewięć – zadudnił wyraźnie głos Terry'ego. Mówił spokojnym, zrezygnowanym tonem, w którym nie było ani śladu wczorajszej paniki. – Dziesięć dziewięćdziesiąt dziewięć. Strzelanina na Howell Yard. Widziano Strzelca.

– Howell Yard – powiedziała Gail. – To rozjazdy kolejowe w okolicach CT.

Maggie skupiła uwagę na głosie Terry'ego. Był zadziwiająco spokojny i opanowany. Zero strachu i zupełny brak emocji.

– Ma Jimmy'ego.

Maggie pędziła radiowozem przez miasto. Jechała z włączonymi światłami i wyjąca syreną, ale jak zwykle nikt nie zwracał na to uwagi. Samochody zatrzymywały się na samym środku jezdni albo przyśpieszały, zamiast zjechać na bok. Maggie nie zwalniała ani przed przejściami dla pieszych, ani na skrzyżowaniach, ani przed znakami „stop”. Cały czas dociskała pedał gazu aż do samej podłogi.

– Maggie! – Kate usiłowała przekrzyknąć syrenę. – Zwolnij!

Maggie zmieniła nagle pas, żeby wyprzedzić ciężarówkę i w ostatniej chwili skręciła, unikając zderzenia z mknącym z naprzeciwka samochodem.

– Maggie...

– Znam swojego wuja, Kate. – Od przekrzykiwania hałasu rozbolało ją gardło, a spocone dłonie ześlizgiwały się z kierownicy. – Wiem, co znaczy ten ton. Wcześniej powiedział, że zrobi wszystko, żeby Jimmy zginął jak policjant. Teraz realizuje swoją obietnicę.

– Nie uda mu się przecież wciągnąć w to innych.

– Właśnie taki jest jego plan. – Maggie wytarła dłonie o spodnie. – Terry chce, żeby wyglądało to na kolejne morderstwo dokonane przez Strzelca. Jimmy zostanie pochowany jak bohater. Tak to sobie wykombinował.

– Autobus! – wrzasnęła Kate. – Uważaj na autobus!

Maggie z całej siły wcisnęła hamulec. Radiowóz przechylił się na lewą stronę i otarł bokiem o autokar Greyhonda. Szyba po stronie pasażera rozprysła się w drobny mak. Kate zakryła głowę rękami, a auto zakołysało się i stanęło w miejscu.

– Kate?

Dziewczyna nadal zakrywała głowę.

– Kate?

Powoli opuściła ramiona. Maggie widziała, jak do jej koleżanki stopniowo dociera, że nadal żyją i nie zamieniły się w krwawą miazgę.

Wcisnęła gaz i samochód z piskiem opon ruszył do przodu.

Kate wydłubała z włosów okruchy szkła i otrzepała kolana. Postanowiła jeszcze raz wrócić do tego, co działo się w szpitalu:

– Słyszałam, jak rozmawiałś z Gail o tym, że wszystkie ofiary Strzelca w jakiś sposób przeciwstawiały się systemowi.

Maggie znowu wjechała na przeciwny pas. Tym razem był pusty. Wyprzedziła sześć

samochodów i wróciła na prawą stronę jezdni.

– A co jeśli to Terry jest Strzelcem? – zapytała Kate.

Maggie rzuciła jej szybkie spojrzenie.

– Pod wiatą garażową wygłosił długą przemowę o tym, że światem rządzą mniejszości i liberałowie.

– To samo można usłyszeć na każdym komisariacie w tym mieście.

– Terry służył w wojsku, prawda?

– Tak, w marines. – Zbliżały się do Peachtree Street. Maggie docisnęła pedał gazu i radiowóz wjechał z impetem na skrzyżowanie.

– Cholera. – Kate złapała się deski rozdzielczej.

Samochód odbił się od jezdni i wyskoczył w powietrze. Maggie uderzyła głową w podsufitkę, ale cały czas starała się trzymać kierownicę prosto.

Kate odczekała, aż koleżanka odzyska pełną kontrolę nad pojazdem.

– Jeżeli Terry jest mordercą, to porwanie Jimmy’ego może być częścią jego planu. Chce go po prostu zrobić w poprzednie zabójstwa.

Maggie wyprzedziła dwa samochody.

– Poza tym mógł zmusić Jimmy’ego do napisania listu. Niewykluczone, że dwa ostatnie zdania, czyli przeprosiny, to zakodowana wiadomość. – Kate mówiła coraz głośniej. – Być może Jimmy chciał ci coś przez to powiedzieć.

Maggie nie miała ochoty teraz się nad tym zastanawiać. Niezależnie od tego, czy Kate miała rację, czy nie, priorytetem było powstrzymanie Terry’ego.

Zbliżały się do Howell Wye. Fabryki ustąpiły miejsca niezabudowanym parcelom porośniętym krzakami. Niektóre z zaparkowanych wzdłuż ulic samochodów stały na ceglach i nie miały nawet silników. Pod oponami pędzącego radiowozu chrzęściły okruchy szkła.

W oddali słyhać było pociągi: charakterystyczny stukot kół i dudnienie wagonów mknących po torach. Maggie zwolniła, żeby nie przeoczyć wjazdu. Brama do opuszczonej stacji rozrządowej była zwykle zamknięta na łańcuch, ale dziś ktoś zostawił ją otwartą. Skręciła w zwirową alejkę. Na końcu ślepej uliczki stały naprzeciw siebie dwa pięciopiętrowe biurowce zajmujące powierzchnię około połowy typowego kwartału.

Tory były położone jeszcze dalej, w odległości mniej więcej dwóch boisk piłkarskich, ale i tak pod podłogą radiowozu czuć było wyraźne wibracje. Kiedy podjechały bliżej, drgania stały się tak silne, że zaczęła trząść się kierownica.

Do czasu, kiedy kilometr dalej rozbudowały się i połączyły Tilford Yard i Inman Yard, Howell pełniło rolę głównej stacji rozrządowej w mieście. Teraz było tylko mniej ważną częścią magistrali kolejowej, a firmy z branży transportowej przeniosły działalność do Tilford i Inman. W biurowcach nikt już nie pracował, a parkingi zarosły chwastami. Maggie była tutaj już kilka razy. Każdy policjant patrolujący tę okolicę przyjmował wezwanie na Howell Yard przynajmniej raz w miesiącu. Opuszczony teren położony z dala

od dzielnic mieszkaniowych był dobrym miejscem do prowadzenia działalności przestępczej. Handel narkotykami. Gangsterskie porachunki. Martwi kloszardzi. Skradzione towary schowane w opuszczonych biurach. Dziewczyny zaciągane do pustych wagonów, żeby nikt nie usłyszał ich krzyków.

Planowanie zabójstw.

Maggie zatrzymała samochód. Dalej nie dało się jechać. Na miejscu było już około dwudziestu policjantów, a zaparkowane byle gdzie radiowozy zastawiły prawie całą alejkę. Niemal od razu Maggie dostrzegła Terry'ego otoczonego wianuszkami kumpli. Widać było, że zbierał drużynę. Stali w zwartej gromadzie pod jednym z biurach i wyglądali jak żołnierze planujący szturm.

– Zostań w aucie – powiedziała do Kate.

Sama wysiadła i pobiegła w dół uliczki tak szybko, że Kate nawet nie miała szansy zaprotestować. Obok auta dziarskim krokiem przeszedł Mack McKay ze strzelbą w rękę. Za nim podążał Red Flemming z karabinem. Kate od razu się zorientowała, co się dzieje. Mieli zamiar obstać biurowiec, żeby uniemożliwić podejrzanemu ucieczkę. Bud Deacon wyciągał z bagażnika kamizelki kuloodporne. Jett Elliott sprawiał wrażenie trzeźwego jak niemowlę i upychał w kieszeniach kolejne magazynki. Nad budynkami unosił się helikopter.

Wyszła z samochodu i dogoniła Maggie. Z trudem łapała oddech, ale udawało jej się utrzymać tempo koleżanki. Pamiętała, żeby zginać ręce, i starała się nie zwracać uwagi na sprzęt obijający się o biodra i uda. Rozglądała się na prawo i lewo. Robiła wszystko tak jak Maggie. Kiedy znalazły się kilka metrów od Terry'ego, Maggie zwolniła i zaczęła się przysłuchiwać temu, co mówi.

– Strzały padły z trzeciego piętra. – Wskazał palcem na biurowiec po lewej stronie. – Morderca wciąż jest w środku. Tył i boki są już przez nas obstawione. My wchodzimy od frontu. Jeśli któryś z was zobaczy Jimmy'ego, strzelajcie tak, żeby go zabić. – Walnął ręką w maskę radiowozu. – Dalej! Do roboty!

Kilkunastu funkcjonariuszy pobiegło w stronę budynku. Nie trzeba było wyważać drzwi. Kiedy weszli do środka, podzielili się na dwie grupy i zaczęli przeczesywać poszczególne piętra. Trzech policjantów zostało na zewnątrz z bronią gotową do strzału na wypadek, gdyby podejrzanym wybiegł na ulicę. Był wśród nich Rick Anderson. Miał ponury wyraz twarzy i starał się nie patrzeć w kierunku Maggie.

Terry zaczął wrzeszczeć do mikrofonu:

– Dyspozytornia. Niech ktoś wreszcie zatrzyma te cholerne pociągi.

– Terry – krzyknęła Maggie.

Odwrócił się do niej.

– A ty co tutaj robisz?

Maggie trzymała w ręku rewolwer. Nie była w stanie sobie przypomnieć, kiedy wyjęła go z kabury. Musiała mówić podniesionym głosem, żeby przekrzyczeć hałas.

– Nie pozwolę, żebyś go zabił.

Terry nie wyglądał na przestraszonego.

– Pozwalasz uciec swojemu bratu pedałowi, a teraz mierzysz do mnie z rewolweru?

Wszyscy odwrócili się w ich stronę. Rick Anderson prawie wypuścił strzelbę z rąk.

– Zginął Jake Coffee. Został zastrzelony tak jak pozostali.

Maggie spojrzała na Ricka. Z jego wyrazu twarzy wyczytała, że to prawda. Musiało stać się coś strasznego. Nigdy nie widziała go w takim stanie.

– Jak do tego doszło?

Rick pokręcił głową.

– Powiedz jej – rozkazał mu Terry.

Rick odkaslnął i zaczął mówić, nie patrząc jednak Maggie w oczy.

– Pojechałem do śródmieścia, żeby wziąć z komendy kartotekę, o którą mnie prosiłaś. Jake sam patrolował ulice – powiedział z wyraźnym wyrzutem w głosie, co sprawiało, że atmosfera zrobiła się naprawdę nieprzyjemna. – Dostał zgłoszenie o dziwnie zachowującym się włóczędze. Pojechał na miejsce, odwołał alarm, a potem tak samo jak pozostałe ofiary poprosił o przerwę na posiłek. Chip słyszał to wszystko przez swój nadajnik, więc zaniepokojony postanowił sprawdzić, co się dzieje, i...

Rick nie patrzył już w ziemię. Maggie podążyła za jego wzrokiem. Ciało Jake'a leżało przed biurowcem po drugiej stronie ulicy. Martwy policjant leżał na brzuchu, z szeroko rozrzuconymi ramionami i nogami. Głowę miał odwróconą w kierunku ulicy. Na środku czoła widać było idealnie okrągłą czarną dziurę. Miał spuszczone spodnie. Otaczające go blade światło sprawiało, że widok był jeszcze bardziej makabryczny.

– Nie – wydusiła z siebie Maggie. Nie była w stanie powiedzieć nic więcej.

Terry wykorzystał chwilę nieuwagi i wytrącił pistolet z jej rąk.

Zanim mogła zareagować, uderzył ją pięścią w twarz.

Upadła z impetem na ziemię. Miała wrażenie, że za chwilę pękną jej płuca. Leżała na ostrym żwirze, który wbijał się jej w głowę. Nie mogła poruszyć dolną szczęką, a w ustach wyczuła smak krwi.

Terry rzucił pistolet Rickowi i stanął nad Maggie. Uniósł pięść, żeby wymierzyć kolejny cios.

– Przestań! – wrzasnęła Kate i uderzyła Terry'ego metalową pałką prosto w głowę. Przez pół sekundy był ogluszony, ale szybko doszedł do siebie i złapał Kate za koszulę. Poczula, że unosi się w powietrzu. Wziął potężny zamach, lecz po chwili, bez wyraźnego powodu ją puścił.

Maggie zobaczyła, jak buty Kate delikatnie dotykają podłoga, nie wznosząc przy tym ani odrobiny kurzu.

Terry uklęknął na jedno kolano i wyciągnął dłonie w kierunku Kate. Maggie miała wrażenie, że ogląda jakiś romantyczny film, w którym mężczyzna prosi kobietę o rękę.

Terry jednak o nic nie prosił. Spojrzał w dół i zobaczył na swojej białej koszuli

powiększającą się plamę krwi.

Pociągi tak głośno dudniły po szynach, że Maggie nie usłyszała strzałów, tylko je zobaczyła. Pod jej stopami rozpryskiwały się kamyki, a w masce radiowozu widać było dziury. Trzej policjanci strzegący wejścia do budynku również otworzyli ogień. Walili na oślep, ponieważ nie byli w stanie ustalić, gdzie znajduje się napastnik. Rick strzelił w powietrze. Maggie uznała, że kiedy ołowiany pocisk będzie leciał w dół, lepiej być gdzie indziej.

Rzuciła się w kierunku rewolweru. Tuż przed nią świsnęła kula i wbiła się w żwir. Maggie odwróciła się i pobiegła w stronę bramy wjazdowej, ale zatrzymał ją kolejny strzał. Czowała, że zaczyna wpadać w panikę. Nie miała przy sobie broni i nie mogła znaleźć żadnego schronienia. Kate przykucnęła i zakryła głowę rękami. Mężczyźni darli się wniebogłosy. W biurowcu słuchać było odgłosy strzelaniny. Zapanował kompletny chaos.

– Kate! – wrzasnęła Maggie i popędziła do budynku po prawej stronie.

Wiedziała, że koleżanka ruszy jej śladem. Przeskoczyła przez ciało Jake'a, wpadła do środka i rzuciła się do pierwszych otwartych drzwi, które zobaczyła. To było niewielkie pomieszczenie biurowe, najprawdopodobniej czyjś gabinet. Wzdłuż ścian stały szafy na dokumenty, a na podłodze poniewierały się różne papiery.

Maggie pobiegła dalej. Kate starała się dotrzymać jej kroku. Przemknęły przez kolejne drzwi i znalazły się w głównej części budynku. To była ogromna hala przypominająca hangar lotniczy o rozmiarach piętnaście na trzydzieści metrów. Sufit znajdował się przynajmniej pięć metrów nad ich głowami. Na środku stały setki biurek poukładanych jedno na drugim. Pod oknami walały się połamane krzesła i metalowe regały.

Maggie zaciągnęła Kate za wywrócony stół. Usiadły na podłodze z plecami wciśniętymi w blat. Przez pierwsze dwadzieścia sekund milczały. Z trudem łapały oddech, a serce Maggie waliło jak oszalałe. Dzwoniło jej w uszach i wciąż czuła ból w szczęce.

Opuściła wzrok i zobaczyła, że Kate trzyma ją za rękę. Z włączonego nadajnika dochodziły odgłosy wystrzałów. Policjanci łączyli się z dyspozytornią, prosząc o wsparcie. Pilot helikoptera wrzeszczał, że został trafiony. Maggie sięgnęła ręką za plecy koleżanki i wyłączyła urządzenie.

– Jake Coffee nie żyje – wymamrotała Kate. – Nie żyją też Terry, Anthony i Chic.

– Jimmy nie jest zabójcą – powiedziała Maggie. W życiu nie była niczego tak pewna. – To nie on.

Kate skinęła głową.

– Wiem.

Maggie ścisnęła jej rękę. W nieustannym dudnieniu pociągów było coś uspokajającego. Warkot helikoptera powoli się oddalał, ale przed budynkiem nadal słychać było strzelaninę.

Nie mogły się tutaj dłużej ukrywać, między innymi dlatego, że ich koledzy potrzebowali pomocy. Maggie rozejrzała się dookoła, desperacko szukając drogi ucieczki. Wzdłuż ścian ciągnęły się rzędy ogromnych okien z powybijanymi szybami. Wpadające przez nie światło

rozlewało się na drewnianej podłodze jak woda. Metalowe ramy dzieliły okna na małe kwadraty, przez które nie dało się przecisnąć. Gdyby Strzelec postanowił zlikwidować dwie policjantki kulące się ze strachu za przewróconym biurkiem, nie miałby z tym większych problemów, ponieważ widział wszystko jak na dłoni. Przebywanie w tym pomieszczeniu było gorsze od stania na ulicy.

– Schowajmy się tam. – Kate wskazała na tyły.

Obok sterty biurek w kącie po prawej stronie Maggie zobaczyła metalowe drzwi zawieszane na zardzewiałych zawiasach. Nigdy nie zapuszczała się w tę część biurowca. Nie wiedziała, dokąd prowadzi tajemnicze wejście ani czy nie czai się tam jakieś niebezpieczeństwo.

Kate nagle się czegoś wystraszyła, przykucnęła na ziemi jak kot i zasłoniła głowę ręką.

– Słyszałaś? – Znowu zaczęła ciężko oddychać. – Jestem pewna, że ktoś wszedł do małego biura, przez które tutaj wbiegłyśmy.

Maggie sięgnęła po pistolet, ale kabura była pusta. Przypomniała sobie o zapasowej broni, którą wydano wczoraj Kate.

Rękojeść była wymazana oliwą do konserwacji. Do tej pory nikt z niego nie strzelał. Czy iglica znajdowała się we właściwej pozycji? Czy przyrządy celownicze były dobrze ustawione? Czy w decydującym momencie broń się nie zatnie?

Niestety, nie istniał łatwy sposób, żeby to sprawdzić.

Maggie zacisnęła dłoń na pistolecie i odciągnęła kurek. Serce waliło jej tak mocno, że czuła pulsowanie nawet na języku. Wiedziała, że nie może dłużej zwlekać. Odwróciła się błyskawicznie, wyjrzała zza biurka i zlustrowała przeciwległą część pomieszczenia.

Pusto.

Ale czy na pewno?

W otwartych drzwiach pojawił się cień. Wpadające przez okno jaskrawe światło wyostrzyło jego kontury. Czy to jedna z szaf na dokumenty? A może krzesło? Lub przewrócone biurko? Wpatrywała się w ciemną plamę tak długo, aż obraz zaczął się rozmazywać. Mrugnęła kilka razy, żeby przywrócić ostrość widzenia.

Nagle cień się poruszył.

W sąsiednim pokoju był jakiś człowiek. Stał odwrócony plecami do wejścia, ale po chwili oparł się ramieniem o framugę, a jego cień padł na przeciwległą ścianę. Trzymał coś w ręku, jakiś cienki podłużny przedmiot przypominający karabin.

Maggie wstała, chociaż miała nogi jak z waty, a krew pulsowała jej w skroniach. Instynkt podpowiadał, że powinna się schować, ale w takiej chwili nie mogła ulegać emocjom.

Ruszyła przed siebie szybkim krokiem, starając się zachowywać możliwie cicho. Jeśli Strzelec stał tuż za drzwiami, jej jedyną szansą było znalezienie się po jego lewej stronie. Na pewno nie mogła stanąć z nim twarzą w twarz. Po cichu prosiła jakiegokolwiek boga, który jej teraz słuchał, żeby Kate nie wychyliła się zza biurka i żeby żadna z nich nie

dostała kuli prosto w głowę.

Raptem usłyszała, jak na drewnianym parkiecie zaskrzypiały jej buty.

Zatrzymała się. Nie mogła w to uwierzyć.

Pociągi przestały hałasować, a podłoga już nie wibrowała. Najwyraźniej udało się wstrzymać ruch na torach. Cisza była niemal ogłuszająca.

Niespodziewanie rozległ się wystrzał.

Instynktownie przykucnęła, ale szybko zorientowała się, że dźwięk dobiegł z zewnątrz. Dwie sekundy później ktoś odpowiedział kolejnym strzałem.

Wstała i spojrzała w kierunku drzwi. Cień gdzieś zniknął. Czyżby dlatego, że musiał się przesunąć, żeby strzelić z okna?

Nagle dobiegł do niej stłumiony okrzyk.

Odwróciła się. Kilka kroków od Kate stał Chip Bixby. Miał w ręku rewolwer z długą lufą: sześciostrzałowiec w kowbojskim stylu, którym można było z odległości kilkunastu metrów roztrzaskać komuś głowę. Chociaż Chip celował w podłogę, Maggie instynktownie wymierzyła broń w jego klatkę piersiową.

Spiorunował ją wzrokiem i opuściła lufę. Chwycił Kate za ramię i pociągnął w kierunku drzwi. Skinieniem ręki pokazał Maggie, żeby szła za nimi. Zrobiła, co jej kazał. Może znał jakieś tylne wyjście? To wcale nie byłoby głupie. Obejdą biurowiec i wezmą Strzelca z zaskoczenia. Albo z wyższego piętra będą osłaniać kolegów. Co jakiś czas padały pojedyncze wystrzały. Na zewnątrz był Rick. Dziś zginął jego partner. Maggie nie miała jednak zamiaru się za to obwiniać.

Kate zdążyła już zniknąć za futryną, a Chip ciągle stał w drzwiach z rewolwerem wycelowanym w przeciwległą ścianę, w której znajdowało się drugie wejście do hali. Kątem oka obserwował również powybijane okna. Po twarzy spływał mu pot, a mokra koszula przykleiła się do torsu. Machnął ręką, żeby się pośpieszyła.

Chciała jak najszybciej stąd wyjść, ale zmusiła się do zachowania spokoju. Odwróciła się i powoli szła tyłem z wyciągniętym przed siebie pistoletem, wpatrując się w to samo miejsce co Chip. Była już niecałe dwa metry od wyjścia, gdy znowu pojawił się cień.

Tym razem stało się coś jeszcze – zza rogu wysunęła się lufa pistoletu. Nawet z tej odległości widziała sterczący u wylotu lufy ostry ząbek celownika.

I dłoń w czarnej rękawiczce.

Chip złapał Maggie za kołnierz i wciągnął za drzwi. Oparła się plecami o ścianę. Byli na klatce schodowej, która wychodziła bezpośrednio na tył budynku. Wyjście awaryjne. Niestety, drzwi prowadzące na zewnątrz były zamknięte na gruby łańcuch. Pchnęła je z całej siły. Rozległ się łoskot i pojawiła się szczelina, przez którą wpadło do środka światło. Była jednak zbyt wąska, żeby dało się przez nią przecisnąć.

– Maggie – wyszeptała Kate. Stała w połowie schodów prowadzących na górę. W ręku trzymała pałkę, którą lekko przechyliła w dół tak, jak pokazała jej Maggie. – Tędy.

Rozległ się huk. Po oddaniu strzału Chip błyskawicznie schował się za drzwi, które

miał zamiar wykorzystać jak tarczę.

– Uciekaj!

Maggie wpadła w panikę i zaczęła wbiegać po schodach długimi susami. Po chwili usłyszała, jak następna kula z brzękiem uderza w metalowe drzwi. Strzelec ruszył za nimi w pogoń. Żołądek podszedł jej do gardła i poczuła w ustach smak wymiocin. Starła się zapanować nad strachem. Powinna zwolnić, zastanowić się nad tym, co się dzieje i podjąć jakąś racjonalną decyzję. Klatka schodowa była cała z betonu. Światło dostawało się do środka jedynie przez otwarte drzwi na każdym piętrze. Niestety, były jeszcze ciemne półpiętra, które potencjalnie stanowiły pułapkę bez wyjścia.

– Kate! – krzyknęła Maggie. Pędziła w górę, nie zatrzymując się nawet na chwilę.

Znowu strzał z rewolweru i rozeszło się echo przypominające salwę armatnią. W odpowiedzi wystrzał z broni mniejszego kalibru. Dwa różne dźwięki, dwa różne pistolety.

Maggie wbiegła na kolejne piętro i stanęła w miejscu. Starła się usłyszeć coś więcej niż tylko szumiącą w uszach krew. Kate ciągle wchodziła po schodach. Była przynajmniej jedną kondygnację wyżej. Z dołu dobiegały znacznie cięższe kroki. Ile pięter niżej? Jedno? Dwa? Każdy dźwięk odbijał się głośnym echem. Ciężki oddech. Szuranie. Chip? Strzelec? A może tajemniczy cień?

Kucnęła, cały czas trzymając przed sobą pistolet. Prawie nacisnęła na spust, gdy zza rogu wyłonił się Chip. Machnął do niej ręką, co miało znaczyć, żeby szła jeszcze wyżej. Bez wahania zaczęła wbiegać po schodach. Znowu usłyszała puknięcie z broni małokalibrowej. Obok jej głowy rozprysnął się kawałek betonu. Kolejny strzał. Powietrze zadrżało i miała wrażenie, że schody rozpadają się pod jej stopami.

Wspięła się na następne piętro. Oparła się plecami o ścianę i zrobiła sobie krótką przerwę. Kate poruszała się coraz wolniej. Musiała się już trochę zmęczyć. Maggie miała wrażenie, że sama goni resztką sił. Serce waliło jej jak młotem, miała ściśnięty żołądek i nie mogła zapanować nad oddechem. Jeśli nie zwolni tempa, dostanie hiperwentylacji.

Na sekundę zamknęła oczy i skupiła się na prawidłowym oddychaniu.

Jake Coffee.

Pod powiekami widziała jego martwą twarz z dziurą od kuli. Nie była w stanie pozbyć się tego obrazu. Przypomniała sobie rozpacz Ricka, kiedy powiedział jej, co się stało.

Wiadomość o tragedii wkrótce dotrze do dziewczyny Jake'a. O jego śmierci dowie się też rodzina: matka, ojciec i młodszy braciszek. Poznają szczegóły: ktoś dokonał na nim egzekucji. I ściągnął mu spodnie.

Maggie otworzyła oczy.

Dlaczego Jake miał spuszczone spodnie?

Rozległ się kolejny wystrzał z pistoletu Chipa, a potem słychać było cichszą odpowiedź rewolweru. Byli blisko. Zbyt blisko.

Maggie weszła na następne półpiętro i zatrzymała się, żeby posłuchać, co się dzieje.

Z góry dobiegały coraz wolniejsze kroki Kate. Dlaczego ona ciągle wchodziła po tych cholernych schodach? Wpadła w panikę, czy Chip powiedział jej, że ma dostać się na sam dach? Byli we trójkę, mieli dwa pistolety, a przeciwnik był tylko jeden. Po co bez sensu biec na górę, skoro mogli urządzić zasadzkę na którymś piętrze? W końcu Chip kierował kiedyś brygadą antyterrorystyczną, a na akademii uczył wsparcia taktycznego. Znał procedury lepiej niż wszyscy gliniarze z jednostki razem wzięci.

Maggie rozchyliła usta.

Chip wiedział, jaki tryb postępowania obowiązuje w każdej sytuacji i potrafił wyrecytować z pamięci wszystkie kody.

Podczas wojny służył jako ranger w dżunglach Guadalcanal.

Nawet gdy oddychał, zastanawiał się, czy może uzyskać w ten sposób jakąś przewagę taktyczną.

Jednak ostatnio często popełniał błędy. Wszyscy wiedzieli, że kiedy zginął jego partner, on pieprzył w motelu prostytutkę. Na pewno ciążyło na nim brzemie winy, ale po uniewinnieniu Edwarda Spiveya prawie się załamał. W ciągu ostatnich miesięcy zjawiał się bez zapowiedzi w domu Lawsonów, wyciągał z łóżka Jimmy'ego, dzwonił po Terry'ego i razem wspominali stare dobre czasy, kiedy żył jeszcze Duke Abbott.

Każdy gliniarz uwielbiał opowiadać historie, ale u Chipa wyglądało to dość dziwnie. Miał irytujący zwyczaj tworzenia list i wyliczanek. Po kolei wymieniał kroki, które on i Duke podjęli, żeby unieszkodliwić agresora. Rozwodził się nad możliwościami, które brali pod uwagę, wybierając broń. Opowiadał o przestępcach, jakby to były jego ofiary. Obląkany mąż, który wziął na zakładniczkę własną żonę. Rabuś, który schował się na tylnym siedzeniu cadillaca. Nastolatek, który pod wpływem psychodelików ganiał swoją matkę z siekierą w rękę.

Jego zdaniem wszyscy byli szurnięci, ale jemu to specjalnie nie przeszkadzało. Mówił o sobie, że jest szczwany.

Szczwany jak lis.

Znowu rozległ się wystrzał z rewolweru. Tak było za każdym razem, gdy się zatrzymywała. To samo stało się na parterze, kiedy próbowała zerwać łańcuch na drzwiach awaryjnych.

Chip pierwszy pojawił się na miejscu zbrodni. Wszystkie informacje dotyczące śmierci Jake'a Coffee'ego pochodziły właśnie od niego. To on powiedział Terry'emu, że morderca schronił się w biurowcu i ostrzeliwuje okolicę z trzeciego piętra. Sam zajął bezpieczną pozycję po drugiej stronie ulicy.

To było jedyne sensowne wytłumaczenie, dlaczego pojawił się nagle w hali na parterze. Maggie i Kate weszły do budynku przez drzwi frontowe, wyjście awaryjne było zamknięte, a okna zbyt wąskie, żeby się przez nie przecisnąć. Cień musiał należeć do gliniarza, który po prostu chciał im pomóc. Rewolwer Chipa na pewno już go zatrzymał, tak samo jak wcześniej Terry'ego. Maggie nie miała problemu, żeby to sobie wyobrazić – Chip wychyla się z okna na pierwszym piętrze i mierzy do stojącego na dole kumpla.

Tylko po co to zrobił? Nie musiała się nad tym długo zastanawiać. Kiedy opowiadał jakąś historię, zawsze to on strzelał. Nigdy nie pozwalał, żeby Terry go wyręczył. Byli ulepiani z tej samej gliny, ale tylko jeden z nich mógł być szefem.

Chip oddał kolejny strzał.

Tym razem Maggie nawet nie drgnęła, tylko chwyciła rewolwer obiema rękami i skierowała lufę w dół schodów.

Chip zwabił Jake'a na Howell Yard, a teraz próbował zmusić Kate i Maggie, żeby weszły na dach.

Znowu rewolwer. A potem puknięcie pistoletu. Czy nie była to przypadkiem jakaś tania spluwa, na przykład raven?

Maggie usłyszała kroki Kate. Podniosła głowę. Oślepiło ją ostre światło, ale była pewna, że koleżanka jest już na ostatnim piętrze, więc sama zaczęła powoli wchodzić po schodach. Nie miała zresztą wyboru. Mogła iść tylko w górę.

Ostatni odcinek pokonała nadzwyczaj sprawnie, chociaż zdawała sobie sprawę, że Chip wcale nie chce, żeby znalazła się na dachu. Odegrała już swoją rolę i teraz miała być tylko przypadkową ofiarą. Tak naprawdę chodziło mu o Kate. Ta dziewczyna spełniała odpowiednie kryteria. Nie tylko była niezależną kobietą, lecz także Żydówką.

Maggie mogła ocalić siebie i swoją koleżankę, tylko jeśli udałoby się jej uzyskać taktyczną przewagę. Klatka schodowa była śmiertelną pułapką. Musi wejść na dach i poczekać, aż Chip otworzy drzwi. Oślepi go światło, a wtedy wystarczy nacisnąć spust.

Spojrzała w górę. Miała wrażenie, że jeśli wyciągnie rękę, to uda jej się dosięgnąć błękitnego nieba. Widziała też skrawek dachu. Bez wahania ruszyła przed siebie.

Nagle ktoś złapał ją za szyję. Zrobiła krok do tyłu, ale wiedziała, że wpadła w zasadzkę. Poczowała na skroni ciepłą lufę rewolweru.

– Wyrzuc pistolet – powiedział Chip.

Zawahala się.

– Już!

Z całej siły cisnęła broń do góry.

Kate stała na wyasfaltowanym dachu, starając się złapać oddech. Drażniło ją ostre światło, więc musiała zasłonić oczy rękami, żeby spokojnie rozeznąć się w sytuacji. Za plecami miała drzwi, a po lewej stronie stację rozrządową.

U jej stóp leżał Jimmy.

Kiedy ją zobaczył, wyraźnie się przestraszył.

Miał związane ręce i nogi, a głowę owiniętą taśmą, która zaklejała również jego usta. Kate nie wiedziała, od czego zacząć. Sznur wrzynał mu się w nadgarstki, a węzły były czerwone od krwi. Zaczęła je powoli rozwiązywać.

Nagle usłyszała za plecami hałas.

Odwróciła się. Ciągle miała problem z oczami. Zobaczyła, jak przez drzwi wlatuje rewolwer. Taki sam nosiła w kaburze przypiętej do pasa.

Jimmy jęknął i zaczął śledzić wzrokiem lot pistoletu.

Kate patrzyła na Maggie.

Chip Bixby obejmował ją żelaznym uściskiem, a w rękę trzymał wielki rewolwer. Kate nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziała. Lufa miała przynajmniej trzydzieści centymetrów długości. Jego palce spoczywały na korpusie pistoletu tak, jak ich uczył w akademii.

– To ty – powiedziała Kate. Teraz wszystko było jasne. Co prawda podejrzewała, że to Terry Lawson jest Strzelcem, ale ten obleśny typ również spełniał wszystkie kryteria.

– Dziękuję, kochanie, że sama wbiegłaś na dach, inaczej musiałbym zaciągnąć cię tu siłą – odpowiedział.

Kate odszukała wzrokiem pistolet. Wylądował jakieś sześć metrów od niej.

– No dalej. – W tonie jego głosu słyhać było wyzwanie. – Myślisz, że zdążysz do niego dobiec, zanim pociągnę za spust?

Kate położyła dłoń na piersiach. Musiała powiedzieć to głośno, inaczej trudno jej było w to uwierzyć.

– To ty jesteś Strzelcem.

– Niezła z ciebie spryciara.

– Kate – krzyknęła Maggie. – Podnieś pistolet.

Ruszyła do przodu, ponieważ zawsze słuchała rozkazów bardziej doświadczonej koleżanki, ale zatrzymała się w pół kroku, gdy zobaczyła, że Chip kładzie palec na cynglu.

– Naprawdę chcesz spróbować szczęścia?

Kate poczuła, że coś drży na jej klatce piersiowej. To była jej własna ręka.

– Krok do tyłu – rozkazał.

Zastygła w bezruchu. Wreszcie zrozumiała, jak udało mu się to wszystko zorganizować. Kazał jej jak najszybciej wbiegać po schodach, ponieważ na górze czekał już Jimmy. Maggie stała obok z rewolwerem przytkniętym do skroni. To nie był przypadek, że wszyscy znaleźli się w tym samym momencie na dachu biurowca położonego tuż przy rozjazdach kolejowych. Taki właśnie był jego plan.

– Poczekaj – powiedziała Maggie. Opierała się o Chipa całym ciałem, jednocześnie wbijając paznokcie w jego ramię. – Myślisz, że mordując paru gliniarzy, uczcisz pamięć Duke'a?

– To nie byli prawdziwi gliniarze – syknął. – To chwasty. Wielbiciele czarnuchów, hippisi, żydowskie parchy, makaroniarze i pieprzone pedały. – Spojrzał na Kate.

Od razu zorientowała się, kogo ma na myśli, mówiąc o żydowskich parchach.

– Ja po prostu wykonuję swoją pracę.

– Gówno prawda. Nawet nie wiesz, na czym ona polega.

Powiedział to z takim obrzydzeniem, że Kate miała wrażenie, jakby jakaś niewidzialna ręka chwyciła ją za serce.

– Widziałem, jak mój stary padł ofiarą tej hołoty – kontynuował Chip. – Wpuścisz jednego i zaraz pojawiają się następni. A potem, ani się obejrzyysz, przejmują nad wszystkim kontrolę. – Jeszcze mocniej przycisnął lufę do skroni Maggie. – Świat stanął na głowie. Ja tylko próbuję zaprowadzić porządek.

Kate postanowiła zadać jedyne pytanie, które miało w tej sytuacji jakiegokolwiek znaczenie:

– Jak to się skończy?

– Nie powinnaś się raczej zainteresować początkiem? – Wyszczrzył swoje małe brązowe zęby w złośliwym uśmiechu. – Zastanów się, skarbie. Kiedy to się dla ciebie zaczęło?

Nie musiała się wcale zastanawiać. Dla niej punktem wyjścia był pierwszy dzień na strzelnicy, kiedy Chip pokazywał, jak trzyma się pistolet, obleśnie się o nią ocierając. Była tym zniesmaczona, ale nie miała wyboru. Musiała się przecież nauczyć, jak obchodzić się z bronią. To dziwne poczucie osaczenia nigdy nie zniknęło i towarzyszyło jej niemal wszędzie, również u rodziców i na ulicach miasta. Przez ostatnie sześć tygodni lekki niepokój przerodził się jednak w pełnoobjawową paranoję. Ognik papierosa przed domem na Buckhead. Zapach dymu w jej pokoju hotelowym. Tajemnicze zniknięcie nieśmiertelnika.

– Śledziłeś mnie – powiedziała.

– *Obserwowałem.*

Od razu zrozumiała różnicę i zrobiło się jej niedobrze.

Obserwowanie oznaczało zwracanie na kogoś bacznej uwagi, odnotowywanie każdego gestu i zapamiętywanie nawet najdrobniejszych szczegółów. Pomyślała o rękach Chipa, kiedy brutalnie złapał ją za biodra na strzelnicy, o jego kwaśnym oddechu i ubraniach przesiąkniętych smrodem papierosów. Wyczuła wtedy sztywność w jego spodniach i z obrzydzeniem zdała sobie sprawę, że najprawdopodobniej ulży sobie, myśląc o niej.

Czy właśnie dlatego ją obserwował? Kolekcjonował fantazje?

Nie.

To, co działo się na tym dachu, nie było żadną fantazją. Chip miał zamiar zrobić jej krzywdę.

– Nie uda ci się – powiedziała, starając się zapanować nad drżącym głosem. – Gliniarze z dołu przecież w końcu tu wejdą. Jak im wyjaśnisz obecność trzech trupów?

– Powiem im prawdę. Ścigałem was, ale spóźniłem się dosłownie o sekundę. Jimmy zastrzelił Maggie, a potem rzucił się na ciebie, ale powstrzymałem go, rozwalając mu głowę jednym strzałem. – Znowu się uśmiechnął. – Nie martw się, kochanie. Przygotowałem dla nas miły i bezpieczny pokoik. Zapytaj Jimmy’ego. Możesz drzeć się wniebogłosy, ale i tak nikt cię nie usłyszy.

– Wolę umrzeć, niż się z tobą przespać.

– Pogadamy za tydzień, Kaitlin. – Skrzywił się, wypowiadając jej imię. – Czy nie tak mówi do ciebie mamusia?

Kate głośno westchnęła.

– Włóż biały szlafrok i owiń się fioletowym kocem.

Zasłoniła usta dłonią. Nosiła taki szlafrok, gdy spała u rodziców, a fioletowy koc leżał w nogach jej łóżka. Pomyślała o oknie w suterenie. Zwykle zostawiała je w nocy uchylone. Czy Chip czaił się w ogrodzie i podglądał ją, kiedy spała?

Przypomniała sobie o czymś i zamarła z przerażenia.

Czy obserwował ją również wtedy, kiedy skończyła to, co zaczął Philip? Zrzuciła z siebie kołdrę, żeby poczuć na skórze wpadający przez okno lekki wiatr. Była wtedy całkowicie bezbronna, pozbawiona wszelkiej ochrony.

– O Boże – wyszeptała. – Co zobaczyłeś?

– Myślisz, że nie wiem, jak wygląda parszywa Żydówka, kiedy rozkłada nogi? Poza tym o wielu rzeczach opowiedziała mi oma.

Kate poczuła, jakby dostała cios prosto w żołądek. Oma. Skąd wiedział, że tak zwracają się do niej wszyscy członkowie rodziny?

Na ulicy rozległ się krzyk, a w oddali zawyły syreny policyjne.

Chip również to usłyszał. Puścił Maggie i wrzasnął:

– Na kolana!

Maggie nawet nie drgnęła, więc ją popchnął. Lufa rewolweru znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od jej głowy.

– Poczekaj – powiedziała Kate błagalnym tonem. Nie mogła patrzeć, jak umiera jej koleżanka. – Możemy o tym wszystkim porozmawiać.

– Czas na gadanie niestety minął. – Odłączył mikrofon Maggie od nadajnika. – Wiesz, co robić, Lawson.

Jimmy uderzył ramieniem o asfalt. Maggie zacisnęła szczęki i wbiła wzrok w brata. Kate już raz widziała ją w takim stanie. Była pogodzona ze swoim losem. Klęczała ze splecionymi za głową dłońmi. Najwyraźniej dała za wygraną.

– Maggie, proszę. – Kate nie mogła dopuścić do tragedii. Pistolet leżał przecież zaledwie cztery metry od niej. Zrobiła krok w jego stronę.

Trzy i pół metra.

– Połóż ręce z tyłu głowy – powiedział Chip.

– Maggie.

Następny krok.

Już tylko trzy metry.

– Pośpiesz się, Lawson.

Maggie założyła dłonie za głowę.

– Nie... – jęknęła Kate. Na pewno można jeszcze coś zrobić. Przesunęła się w kierunku pistoletu.

Dwa i pół metra.

Kolejny kroczonek.

Dwa metry.

Nie mogła przestać liczyć. Zawsze tak robiła, gdy się czegoś bała. Mierzyła czas upływający między uderzeniem błyskawicy a grzmotem. Odliczała, ile razy zabiło jej serce, zanim samolot z Patrickiem na pokładzie zniknął w chmurach.

Rachowała strzały, które padły na klatce schodowej.

Postanowiła zadać koleżance pytanie:

– Ile nabojów jest w jego rewolwerze?

Maggie nie odpowiedziała, ale Kate wyczytała wszystko z wyrazu jej twarzy. Tak to właśnie wyglądało. To samo Chip zrobił z Ballardem, Johnsonem, Keenem i Porterem.

– Słyszałam sześć głośnych strzałów. Jestem tego pewna – oznajmiła Kate.

Maggie odwróciła się w jej stronę. Wyglądała na naprawdę zaskoczoną.

– Ile? – powtórzyła Kate.

– Sześć.

Kate skoczyła do przodu. Nie zrobiła tego ze specjalnym wdziękiem. Uderzyła ramieniem w asfalt i zgarnęła z ziemi pistolet.

Niestety, nie była wystarczająco szybka.

Chip pociągnął za spust.

Klik, klik.

Miała rację. Skończyły mu się naboje i teraz to ona miała przewagę. Wycelowała w jego pierś.

– Odrzuć rewolwer.

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, ale w końcu wypuścił broń z ręki. Kate śledziła lot pistoletu, który z hukiem upadł na ziemię.

– Uważaj! – wrzasnęła niespodziewanie Maggie.

Niestety, znowu czegoś nie zauważyła.

Przez cały tydzień z uporem maniaka popełniała ten sam błąd: patrzyła w złą stronę. Wprawdzie Chip jedną ręką odrzucił broń, ale już drugą sięgnął za plecy, wyciągając zza pasa mniejszy rewolwer.

Kate od razu rozpoznała ten model. Pierwszego dnia Chip pokazał go wszystkim na odprawie. Raven MP-25. Sześć nabojów w magazynku plus jeden w komorze.

– Masz tylko jeden strzał – powiedziała. – Jeśli nie potrafisz czarować, możesz zabić tylko jedną osobę.

– Jesteś pewna, Kaitlin? – zapytał nadzwyczaj spokojnym głosem, jakby rozmawiali o pogodzie. – Na tyle pewna, żeby postawić na szali własne życie?

– Rozwalę ci głowę.

– Skarbie, to ja cię uczyłem, jak się tym posługiwać. Nawet z karabinu maszynowego nie trafiłabyś w autobus.

– Chcesz się założyć? – Starła się nie dać po sobie poznać, jak bardzo jest zdenerwowana. Miała spocone dłonie i nie zdążyła odciągnąć kurka. Może zrobiła to wcześniej Maggie? Ale czy wrzuciłaby odbezpieczony pistolet na dach?

– Lepiej to schowaj, zanim zrobisz sobie krzywdę – powiedział Chip.

– Pocałuj mnie w dupę.

Połknął przynętę i skupił na Kate całą uwagę.

– Od pierwszego dnia miałem ochotę złapać cię za tyłek.

Patrzyła mu prosto w oczy, w tym samym czasie przesuwając kciuk w górę rewolweru.

– Nie mam co do tego żadnych wątpliwości.

Dotknęła znajdującego się tuż pod kurkiem metalowego przycisku zwalniającego bębnek.

– Podobało ci się?

– Doskonale zdaję sobie sprawę, co wtedy robiłaś. – Chip popełniał właśnie ten sam błąd co ona. Przestał zwracać uwagę na ewentualne zagrożenia. – Specjalnie ocierałaś się o mojego kutasa i odprawiałaś te swoje żydowskie czary-mary.

– Dobrze pamiętam ten dzień. – Wymacała trzy wypustki na górnej części kurka. – Powiedziałaś, że zawsze wygrywa ten, kto ma więcej naboji.

– Kochanie, to ja będę dzisiaj górą.

– Mylisz się. – Pociągnęła za cyngiel.

Broń była już odbezpieczona. Iglica uderzyła w spłonkę, pocisk wyleciał z lufy.

Chip dostał w bark, ale sam zdążył jeszcze strzelić.

Maggie padła na ziemię.

Przez jedną pełną napięcia sekundę Kate wydawało się, że koleżanka została trafiona, ale całe szczęście kula wbiła się w asfalt kilka centymetrów od jej nogi.

Kate usłyszała znajomy odgłos.

Klik, klik.

Chip wycelował w głowę Maggie, ale magazynek był już pusty.

Odrzucił broń i rozerwał koszulę. Krew wypływała mu z ramienia równym strumieniem. Rana przypominała dziurę w czole jednej z jego ofiar. Taka sama dziura mogła się przed chwilą pojawić w czole Maggie. Jasnoczerwona posoka przecinała tors i wsiąkała w spodnie, po drodze brudząc siwe włosy porastające jego piersi. Nad sercem Chip miał wytatuowanego rudego lisa.

Na jego szyi wisiał nieśmiertelnik Patricka.

Kate wstała i chwyciła rewolwer obiema rękami. Przestała się pocić, miała chłodną skórę i czuła, że już niczego się nie boi. Była jedynie pewna, że za chwilę zabije tego faceta.

– Zdejmij to!

– Sama sobie weź. – Wsadził kciuk w metalowy łańcuch i puścił do niej oko. – Tylko na przyszłość bądź ostrożniejsza. Wystarczy pokazać portierowi odznakę i wpuści na górę każdego.

– Oddawaj nieśmiertelnik – powiedziała beznamiętnym tonem. Czuła, że w środku jest martwa. Martwa jak Patrick. Martwa jak za chwilę martwy będzie Chip Bixby. – I to już!

– Naprawdę wydaje ci się, że możesz wykonywać ten zawód?

– Lepiej rób, co ci każe.

– Nawet twoja matka nie chce, żebyś nosiła odznakę.

– Zamknij się!

– Liesbeth sama mi to powiedziała. Twoja babcia również tak sądzi. Rozmawiałem z nimi w zeszłym tygodniu.

To niemożliwe. Na pewno kłamał.

– Widziałem żydowskie tatuaże na ich przedramionach. Nie wpadłaś na to, prawda? Dwie blondyneczki. Ale Hitlera nie udało im się wykiwać. – Znowu się uśmiechnął. – Szkoda, że nie dokończył swojej roboty.

– Zamknij się, pierdolony sukinsynu!

– A ty dokończysz, Kaitlin? – Uśmiech zmienił się w brzydki grymas. – Twoi rodzice

mają w salonie bardzo ładną kanapę. Turkus? Tak nazywa się ten kolor?

Kate miała wrażenie, że zamieniła się w kamienny posąg. Jej płuca nie potrzebowały już powietrza, a serce przestało bić. Stała całkowicie nieruchomo, z palcem spoczywającym na spuście rewolweru. Wyobraziła sobie, jak Chip siedzi rozwalony na turkusowej kanapie u jej rodziców, jakby był u siebie w domu. Oma i Liesbeth na pewno poczęstowały go papierosami i zaproponowały drinka. Dlaczego? Przecież nie miały pojęcia, że zaprosiły potwora.

– Zrób to – powiedziała Maggie. – Zastrzel tego skurwiela.

Chciała pociągnąć za cyngiel i mieć to z głowy. Pragnęła tego każdą komórką swojego ciała.

Jednak tego nie zrobiła i nie chodziło wcale o strach przed przełamaniem bariery. Chip również liczył na to, że za chwilę dostanie kulkę w łeb. To było oczywiste. Z ulicy wciąż dobiegały pokrzykiwania policjantów. Usłyszeli strzelaninę i najprawdopodobniej przeczesywali teraz poszczególne piętra. Niedługo wejdą na dach.

Chip na pewno zdawał sobie z tego sprawę i wolał zginąć, niż zostać zatrzymany przez kolegów.

Kate zdjęła palec ze spustu i zwróciła się do Maggie:

– Skuj go.

Maggie nie wykonała żadnego ruchu, więc Kate rzuciła jej swoje kajdanki.

– Zabieramy go na dół. Ty i ja. Musimy aresztować tego sukinsyna.

Maggie milczała.

– To my go złapałyśmy, a nie faceci. Dwie twarde dziewczyny, Murphy i Lawson. Zakujemy wielkiego Chipa Bixby’ego w bransoletki, wsadzimy na tył radiowozu i zawieziemy do pierdła.

Maggie zabrało trochę czasu, zanim zrozumiała, co się dzieje. Bez entuzjazmu wzięła do ręki kajdanki.

– Będę musiała spisać protokół.

– To dla mnie oczywiste.

Maggie rozpięła metalowe obręcze i zaczęła kiwać głową. Widać było, że się nad czymś zastanawia.

– Zdejmę odciski palców, a potem zamknę go w celi i zrobię mu zdjęcie dla prasy.

– Mogę ci towarzyszyć?

– Kiedy będę go wsadzała do paki? – Uśmiechnęła się. – Jasne. Zrobimy to razem na oczach wszystkich złoczyńców.

– Nie. – Chip zrobił krok do tyłu. – Kurwa, tylko nie to.

– Zatrzymaj się. – Kate znowu położyła palec na spuście.

Chip nadal się cofał.

– Nie pozwolę, żeby aresztowały mnie dwie głupie pizdy.

– Stój – powiedziała zdecydowanym głosem i ruszyła w jego kierunku, ale się nie zatrzymała. – Za chwilę jeszcze raz do ciebie strzelę.

Cofał się, aż do momentu, gdy jego obcasy dotknęły krawędzi dachu. Zawahał się przez ułamek sekundy. Jeszcze jeden krok w tył...

I zniknął.

Maggie i Kate zamarły i dopiero po chwili rzuciły się przed siebie, żeby zobaczyć, co się stało. Ich oczom ukazała się scena, którą zobaczyły, gdy przyjechały na Howell Yard. Jednak tym razem to nie Terry Lawson był otoczony wianuszkami policjantów, lecz Chip Bixby.

Mierzyli do niego z broni, ale nie było to konieczne. Chip nie wykazywał żadnych oznak życia. Leżał na brzuchu z szeroko rozrzuconymi ramionami i nogami. Miał rozłupaną czaszkę. Wszędzie pełno było krwi.

– Spójrzcie w górę! – krzyknął jeden z gliniarzy. Stał ze strzelbą opartą na ramieniu. To był Rick Anderson.

Kate poczuła, że kręci jej się w głowie. Uklękła, żeby nie spaść z dachu tak jak Chip. Wypuściła z ręki rewolwer.

– O mój Boże...

Maggie podbiegła do Jimmy'ego.

– Mój Boże... – powtórzyła Kate. Co się właściwie stało? Powinna zastrzelić Chipa. Powinna rozwalić mu głowę, zanim sam odebrał sobie życie.

Wybuchnęła śmiechem. Naprawdę jej obowiązkiem było zabicie tego sukinsyna? Usłyszała głos swojego ojca: „Co się stało, to się nie odstanie”.

Ojciec.

Babcia i matka.

Przeszył ją nagły zimny dreszcz.

Chip Bixby był u nich w domu. Siedział w salonie i rozmawiał z Liesbeth i omą. Planował porwać Kate. Nawet przygotował dla niej specjalne miejsce. Pokój, w którym mogłaby wrzeszczeć do woli, ale i tak nikt by jej nie usłyszał. Po prostu by zniknęła. Jej bliscy do końca życia nie dowiedzieliby się, co się stało.

– Kate! – krzyknęła Maggie. – Pomóż mi!

Maggie próbowała rozerwać zębami taśmę owiniętą wokół głowy Jimmy'ego.

Kate musi zapomnieć. Nie wolno jej wracać pamięcią do tych wydarzeń, inaczej będzie cierpiała. Chip już nie żył. Mógł ją skrzywdzić, ale całe szczęście tego nie zrobił. Była w końcu policjantką. Miała broń i za jej pomocą powstrzymała przestępcę. Razem ze swoją koleżanką rozwiązały niezwykle trudną sprawę. Unieszkodliwiły zbrodniarza, który siał w mieście panikę, zanim jeszcze postanowiła na dobre włożyć mundur.

Mundur. Ile razy Chip podglądał ją, gdy się ubierała?

Pokręciła głową, starając się pozbyć tych natrętnych myśli. Wstała i wytarła ręce

o spodnie. Podeszła do rodzeństwa, żeby zobaczyć, jak mogłaby pomóc.

Maggie udało się wreszcie rozerwać taśmę. Jimmy pojękiwał z bólu, gdy ją odrywała. Gdy skończyła, padli sobie w ramiona. Oboje płakali i żadne z nich nie wypowiedziało ani słowa.

Pierwszy odezwał się Jimmy:

– Przepraszam.

– W porządku. – Maggie pogłaskała go po plecach i pocałowała w policzek. – Wszystko będzie dobrze. Naprawdę.

Kate odwróciła wzrok. Miała łzy w oczach. Nie wiedziała jednak, kogo jest jej najbardziej żal. Siebie? Patricka? Maggie i Jimmy’ego? Rodziców? Omy? Może po prostu wreszcie jej ulżyło. Powinna się trzymać tej wersji, nawet jeśli nie była to prawda. Nie musiała się już bać i nie czuła się prześladowana. Nikt nie chciał w brutalny sposób naruszyć jej prywatności.

Tak, to była ulga.

– Nic ci nie grozi – powiedziała Maggie do swojego brata. – Jesteś bezpieczny.

– Wszyscy już wiedzą – zaszlochał. Sprawiał wrażenie całkowicie pogodzonego ze swoim losem, tak jak wcześniej jego siostra. – Zastrzel mnie, proszę. Albo zrzuć z dachu, zanim oni to zrobią.

Maggie z trudem opanowała płacz.

– Nie pozwolę, żeby cię skrzywdzili. Po moim trupie!

– Za późno. – Jimmy był kompletnie załamany. – Przykro mi. Jest mi tak cholernie przykro.

Na klatce schodowej zapanował rwetes. Słysząc było krzyki i odgłosy kroków.

– Zabij mnie – poprosił. – Albo daj mi pistolet i sam się zastrzelę.

– Nie. – Maggie nie miała zamiaru dać za wygraną. – Dla mnie to nie ma żadnego znaczenia. Liczy się tylko to, że nic ci nie jest.

– Nieprawda.

– Nie martw się. – Przytuliła go jeszcze mocniej. – Poradzimy sobie z tym. Zobacysz.

Jimmy nic nie odpowiedział. Wpatrywał się w drzwi, oczekując na wyrok, który miał za chwilę zapaść. Na schodach robiło się coraz głośniejsze. Przeczesywano kolejne piętra i chyba wszyscy policjanci, którzy zgromadzili się na dole, kierowali się teraz w stronę dachu. Najprawdopodobniej słyszeli, co w rozmowie z Maggie powiedział Terry Lawson: „Pozwoliłaś uciec swojemu bratu pedałowi”.

– Chip kłamał – stwierdziła Kate.

Oboje na nią spojrzeli.

Wzruszyła ramionami.

– Przecież sam się do tego przyznał.

– O czym ty mówisz? – zapytała Maggie.

Kate postanowiła im to jasno wytłumaczyć.

– Zanim popełnił samobójstwo, przyznał, że nic z tego, co powiedział o Jimmym, nie jest prawdą. – Celowo zaczęła mówić wyjątkowo pretensjonalnym akcentem z Buckhead. – Ojejku, przecież staliście tuż obok niego. Naprawdę niczego nie słyszeliście?

DZIEŃ CZWARTY

czwartek

Maggie siedziała przed szpitalną salą, w której leżał Terry.

Właśnie dowiedziała się, że wuj będzie żył.

Czuła się dziwnie. Wczoraj przez cały dzień i całą noc przyzwyczajała się do myśli, że jednak z tego nie wyjdzie. Lekarze powiedzieli, że jest w stanie krytycznym i decydujące będą pierwsze dwadzieścia cztery godziny. Ten czas właśnie minął i wydawało się, że Terry wywinął się kostusze.

Nikt nie wiedział jednak, jak będzie wyglądało jego życie. Pocisk zadrasnął kręgosłup. Pojawiła się opuchlizna, a fragment kuli wciąż tkwił w newralgicznym miejscu i nie dało się go usunąć w żaden bezpieczny sposób. Być może Terry już nigdy nie będzie chodził. Na razie był sparaliżowany od szyi w dół, ale mógł samodzielnie oddychać.

A to oznaczało, że był również w stanie mówić.

Mimo to Maggie wcale nie miała ochoty z nim rozmawiać. Godziny odwiedzin były bardzo ograniczone, więc do sali nie ciągnęły pielgrzymki policjantów, tak jak to zwykle miało miejsce.

Delia i Lilly wciąż płakały i nie mogły zbyt długo siedzieć przy jego łóżku. Wizytę złożył komendant, ale wyszedł po pięciu minutach. Cał Vick został trochę dłużej, ale w końcu wyrzuciła go pielęgniarka. Gail przyjechała na wózku, żeby pogadać, ale kiedy dowiedziała się, że nie wolno palić, wróciła do siebie. Do tej pory nie pojawili się natomiast Mack McKay, Red Flemming, Les Leslie i Jett Elliott. Bud Deacon opowiedział Terry'emu o Chipie. Ich rozmowa trwała prawie godzinę. Kiedy wychodził z sali, nawet nie spojrzął na Maggie.

Jimmy spotkał się z wujkiem dziś rano. Niestety, nie znała szczegółów. Naciskała na brata, żeby powiedział jej coś więcej. Zawsze tak robiła, ale tym razem Jimmy nie zareagował w typowy dla siebie sposób, czyli krzykiem. Pokręcił tylko głową i wybąkał, że wszystko w porządku.

Naprawdę tak było? Kiedy przyjechali do szpitala, Maggie była na parterze i słyszała konspiracyjne szepty dochodzące z poczekalni. Widziała też, jak niektórzy gliniarze patrzą na Jimmy'ego. We trójkę trzymali się wersji Kate, zgodnie z którą Chip kłamał, ale nie wszyscy w to uwierzyli. Podejrzewała, że właśnie dlatego Red, Mack, Les i Jett na razie trzymali się z daleka. Ubóstwiali Jimmy'ego. Fakt, że ich pupil był gejem, nie stawiał ich w najlepszym świetle. Jeszcze gorzej było z Terryem Lawsonem – przecież Jimmy to jego bratanek.

Maggie powinna się cieszyć, że ci okropni faceci zniknęli z jej życia. Tak naprawdę była jednak wściekła, że odwrócili się od jej brata. Do tej pory byli jego mentorami

i traktowali go lepiej niż własnych synów. Nigdy nie wybaczy im tego, że odsunęli się od niego z powodu czegoś, co w ogóle nie powinno ich interesować.

Jimmy niespecjalnie przejmował się ich zdradą. To, co wydarzyło się na dachu opuszczonego biurowca, zmieniło wiele rzeczy, ale nie sprawiło, że stał się facetem, który chętnie zwierza się ze swoich kłopotów.

Trzeba zresztą przyznać, że Maggie również nie była szczególnie wylewna.

Najbardziej zmieniła się Kate. Nie była już naiwnym żółtodziobem, który pierwszego dnia w pracy otworzył zbyt szeroko drzwi do damskiej przebieralni. Teraz w jej żyłach płynęła roztopiona stal. Nawet kiedy w szafce Chipa znaleziono podkładki z setkami stron notatek na jej temat, zachowała kamienny spokój i zazartowała, że woli być nazywana Żydówką niż parszywą dziwką.

Kto mógł jednak wiedzieć, co tak naprawdę czuła, kiedy zobaczyła listę rzeczy, które Chip planował z nią zrobić? Albo jak zareagowała na szczegółowe zapiski z inwigilacji, w których opisywał każdą godzinę z jej życia, od momentu gdy poznał ją na strzelnicy? Albo co myślała o jego wściekłych jeremiadach na temat Żydów, Latynosów i żółtków, którzy przejęli władzę nad światem, a dobrzy ludzie, tacy jak Chip Bixby, próbowali zaprowadzić porządek?

W wypadku Kate Murphy nigdy nie można było mieć absolutnej pewności.

Cholernie dobrze kłamała, choć sama nazywała to ściemnianiem. Trzeba jednak przyznać, że potrafiła zrobić z tej umiejętności użytek. Oficjalny raport z zajścia miał niewiele wspólnego z rzeczywistością. Co ciekawe, Kate nie starała się jednak wyolbrzymiać swojej roli.

Margaret Lawson specjalnie uklękła, żeby przyciągnąć uwagę Bixby'ego, co dało mi szansę na zbliżenie się do leżącego na ziemi rewolweru. Gdyby nie jej spryt, nie byłabym w stanie nic zrobić.

Bixby. Maggie żałowała, że nie była świadkiem rozmowy, podczas której Terry dowiedział się prawdy o Strzelcu. Chciałaby zobaczyć wyraz jego twarzy. Okazało się, że nie jeden, ale dwóch ważnych ludzi w jego życiu od dawna mydliło mu oczy. W jakimś sensie był to również dowód jego głupoty. Całymi godzinami potrafił narzekać na kobiety, Żydów, czarnuchów, liberałów, feministki i każdego, kto ośmielał się burzyć jego wyobrażenie o świecie. Czy w ogóle przeszło mu przez myśl, co się może stać, gdy ktoś taki jak Chip potraktuje jego słowa jako zachętę do działania?

– Pani Lawson? – Z pokoju Terry'ego wyszła pielęgniarka i przytrzymała otwarte drzwi.
– Zapraszam. Chciałby z panią porozmawiać.

Maggie nie wiedziała, czy ma się roześmiać, czy uznać, że kobieta w białym stroju wzięła jakieś środki odurzające.

– Proszę tylko nie siedzieć za długo – powiedziała poważnym tonem. Widać było, że opieka nad Terryem wyssała z niej całą energię. – Pacjent potrzebuje spokoju.

Maggie położyła ręce na kolanach i z trudem podniosła się z krzesła. Po ostatnich przygodach była cała obolała. Na policzku miała czarne sińce, a jej szyja pokryta była

granatowo-zielonymi plamami. Po ciosie zadany przez Terry'ego wciąż nie mogła normalnie ruszać szczęką.

W sali nie paliło się światło, ale dzięki blaskowi lampek migających na różnych urządzeniach nie było wcale ciemno. Maggie zawsze dobrze czuła się w szpitalach. Przez wiele lat odwiedzała ojca w Milledgeville i myślała o tym miejscu jak o swoim drugim domu.

Terry spoczywał na łóżku inwersyjnym, które miało zminimalizować nacisk na kręgosłup. Leżał na brzuchu z twarzą wciśniętą w specjalny otwór, przez który patrzył na podłogę. Nogi i ręce miał unieruchomione długimi pasami. Jeszcze jeden pas przytrzymywał tył jego głowy. Koszula szpitalna była rozpięta. Widać było łopatki, a trzydzieści centymetrów niżej, w miejscu, w którym pocisk rozerwał ciało, znajdował się duży bandaż. Resztę pleców zakrywało prześcieradło.

Na kafelkach znajdujących w zasięgu wzroku Terry'ego ktoś namalował błękitne niebo i pierzaste chmury. Do poręczy łóżka przymocowane było specjalne lustro, które ustawiono w ten sposób, żeby widać w nim było twarz pacjenta. Maggie nie była jednak pewna, czy Terry może w nim zobaczyć, kto wchodzi do jego sali.

– Podejdź bliżej – powiedział.

Na początku Maggie nie mogła go zrozumieć. Miał ściśniętą dolną szczękę i ledwie był w stanie mówić.

– Jeszcze bliżej.

Wbił wzrok w lustro. Nie miała wątpliwości, że jednak ją widzi.

– Gdzie jest Jimmy?

– Wrócił do pracy.

Rozszerzył z gniewu nozdrza.

– Musi złożyć wymówienie.

Maggie milczała.

– Nie ma dla niego miejsca w policji.

– Mówisz jak Chip Bixby.

Terry zrobił się czerwony, a oczy niemal wychodziły mu z orbit. Maggie nie miała wątpliwości, że jest na nią wściekły. Podpowiadał jej to również instynkt. Czuła jego nienawiść w każdym oddechu i każdym uderzeniu serca. Mogła temu zaprzeczać, ale doskonale wiedziała, że jest z Terryem związana tak mocno jak z odgłosami w rodzinnym domu: z uderzeniem kabla telefonicznego o podłogę, z trzaskaniem szafkami, z rozbijaniem jajek do miseczki.

Usiadła po turecku na podłodze i pochyliła się do przodu tak, żeby Terry mógł ją zobaczyć bez konieczności zerkania w lustro.

– Chcę ci coś powiedzieć – oznajmiła.

Wpatrywał się w kafelki.

– Pomyliłeś się. Wiesz dlaczego?

Zacisnął nerwowo szczękę.

Maggie zacytowała jego ulubione powiedzenie:

– Ludzie nie zdobywają władzy, tylko ją dostają. – Zrobiła pauzę, ale nie spodziewała się, że zareaguje. Chciała tylko, żeby dotarło to do jego świadomości. – Pomyliłeś się. Ja zdobyłam władzę. Kate Murphy zresztą też.

Nadal nie patrzył ani na nią, ani w lusterko.

– Przez całą noc siedziałam na korytarzu i się nad tym zastanawiałam. Wiesz, do jakich wniosków doszłam? – Tym razem nie czekała na odpowiedź. – Nie sądzę, żebyś naprawdę był rasistą, seksistą, antysemitą i homofobem. Ty po prostu się boisz.

Cały czas leżał ze wzrokiem wbitym w podłogę.

– Jesteś przerażony. – Przypomniała sobie, co powiedział na dachu Chip. – Świat stanął na głowie i nagle okazało się, że nie ma już dla ciebie miejsca.

Chociaż Terry milczał, czuła, że jej słowa głęboko go dotknęły.

– Chip nie mordował policjantów z nienawiści – kontynuowała. – Mordował, ponieważ nie był w stanie zaakceptować faktu, że oni dokonują zmian. Zrozumiał to, kiedy sfabrykowałaś dowody przeciwko Edwardowi Spiveyowi. Od tego się właśnie zaczęło. Dobrze o tym wiesz, prawda? Spivey wyszedł na wolność, a dwa miesiące później Chip zaczął strzelać do ludzi, których za to obwiniałaś.

Zacisnął szczęki tak mocno, że Maggie mogła zobaczyć zarys kości pod jego skórą.

– Najsmutniejsze jest jednak to, że Spivey uniknął kary tylko i wyłącznie przez ciebie. Sprawa była do wygrania, ale ty musiaś wsadzić swoje trzy grosze. Nie pozwoliłaś, żeby sędzia i ławnicy podjęli decyzję, opierając się na faktach. – Maggie dała mu chwilę, żeby się nad tym zastanowił. – Chip był samotnym paranoikiem. Jego świat się rozpadał, a on nie potrafił sobie z tym poradzić. Z tobą jest tak samo.

Terry trząśł się ze wściekłości. Na jego skórze pojawiły się plamy, a pot zaczął skapywać z czoła na podłogę.

– Właśnie to chciałam ci powiedzieć. To była twoja wina. Świat się zmienia, Terry, ale ty nie nadążasz. – Uśmiechnęła się. – Atlanta nadal jest miastem glin, ale ty tu nie masz już zbyt wiele do powiedzenia.

Wreszcie się odezwał:

– Ty pieprzona pizdo!

Maggie nadal się uśmiechała. Cała ta sytuacja sprawiała jej ogromną przyjemność. Mogłaby tu siedzieć przez cały dzień i opowiadać mu o wszystkim, o czym do tej pory nie wolno było jej mówić, a on nie mógł z tym nic zrobić.

– Naprawdę myślisz, że coś się zmieni? – zapytał.

– Cały świat się zmienia. Dla mnie, dla Kate, dla czarnych, brązowych, żółtych i zielonych. I dla ciebie też. Szczególnie dla ciebie.

W końcu na nią spojrział.

– Jesteś zerem, wiesz o tym? Jesteś brudną plamą na moich gaciach.

Maggie zauważyła, że Terry zacisnął pięść. Nie potrafiła zapanować nad swoimi emocjami. Za każdym razem, gdy kipiał ze złości, czuła ciężar w piersiach, a serce podchodziło jej do gardła.

– Wypierdalaj stąd – syknął.

– Nie będziesz mi rozkazywał. – Maggie uklękła i przysunęła swoją twarz do jego twarzy. – Nie jesteś już szefem. Rozumiesz?

– Jak tylko wstanę z łóżka...

– Czujesz? – Położyła dłoń na jego karku.

Terry głośno wypuścił powietrze.

– Co ty robisz?

Maggie przesunęła palce lekko w dół. Miał suchą i chłodną skórę.

– Wiem, że tutaj wszystko czujesz, ale poniżej pasa jesteś całkowicie sparaliżowany.

– Mag... – Nie był w stanie wymówić do końca jej imienia. Pot kapał mu z twarzy na podłogę i spływał po kafelkach.

– Powiedzieli ci, że w kręgosłupie ciągle masz kawałek kuli? – Zwiększyła nacisk. – Gdyby przesunąć go parę milimetrów dalej, do końca życia będziesz srał i sikał do worka.

– Nie...

Przesunęła palec centymetr niżej. Znalazła to, czego szukała – wrażliwe miejsce między kręgami a nasadą szyi. Nacisnęła bardzo lekko, wiedząc, że dla Terry'ego będzie to jak uderzeniem młotkiem.

– Przepraszam.

– C-co? – wyjąkał.

– Przepraszam – wyszeptała mu prosto do ucha. Miała nadzieję, że poczuł na skórze jej ślinę. Wyobrażała sobie, że serce wali mu jak oszalałe, traci kontrolę nad swoimi nerwami i ogarnia go panika, którą można poczuć tylko, jeśli jest się unieruchomionym, a ktoś staje nam za plecami i może z nami zrobić, co mu się żywnie podoba.

Maggie położyła dłoń między jego łopatkami i wymacała kręgosłup. Nacięcie znajdowało się piętnaście centymetrów niżej. Wiedziała, że w każdej chwili może wsadzić palec w ranę i przesunąć pocisk o parę milimetrów.

– Przestań – zaskamlał. – Błagam!

– Przepraszam albo walnę cię tak mocno, że odłamek wyskoczy ci nosem.

– Przepraszam! – wychrypiał. – Przepraszam!

– Na pewno?

– Tak – krzyknął. – Przestań, bardzo cię proszę. Jest mi naprawdę przykro!

Maggie zdjęła rękę z jego pleców, nieśpiesznie podniosła się z podłogi i otrzepała

spodnie. Podeszła do drzwi i nacisnęła klamkę.

Pielęgniarka stała w korytarzu. Musiała usłyszeć hałas.

– Wszystko z nim w porządku?

– Tak, nic mu nie jest.

– Podam mu środki przeciwbólowe.

Maggie ją powstrzymała.

– Powiedział, że ich nie potrzebuje.

– Jest pani pewna? Wydawało mi się, że krzyczał.

– W ten sposób sobie z tym radzi. Wyrzuca to z siebie. Powinna go pani zobaczyć u dentysty. Aż strach tego słuchać. Higienistka potrafiła się rozpłakać.

– Cóż, jeśli tego sobie życzy.

– Proszę mi zaufać. Znam go wystarczająco długo i wiem, że lepiej się z nim nie kłócić.

– Uśmiechnęła się. – Mój wujek to prawdziwy twardziel.

DZIEŃ ÓSMY
poniedziałek

Epilog

Kate wjechała kabrioletem na parking obok komendy. Zdjęła chustkę z głowy i schowała okulary przeciwsłoneczne do torebki. Zastanawiała się, czy powinna opuścić dach, ale doszła do wniosku, że nikt nie ukradnie przecież auta z policyjnego parkingu.

Nawet jeśli był to czerwony ford mustang.

Na siedzeniu pasażera leżał jej służbowy pas. Metalowe zaczepy trzymała w przedniej kieszeni spodni.

Zamontowała zaczepy przy biodrach i założyła pas. Z tyłu przypięła nadajnik. Sprawdziła kieszenie: guma do żucia, pomadka, notes i długopisy. Potem sprzęt: latarka na specjalnym haczyku, futerał z kajdankami, mikrofon przyczepiony taśmą do pagonu koszuli, kabel podłączony do nadajnika, kółko z kluczami, pałka przewieszona przez pętelkę, zapięta na zatrask kabura z pistoletem.

Jej pistoletem.

Z bardzo podobnej broni Kate zastrzeliła człowieka. Właściwie to tylko trafiła w bark, chociaż mierzyła w klatkę piersiową, ale jak mówią gliniarze, dokładność ma znaczenie tylko przy wyliczaniu podatku i podkuwaniu koni.

Nikt z jej kolegów tak naprawdę nie wiedział, co wydarzyło się tamtego dnia na dachu opuszczonego biurowca. Nawet jeśli spróbowałyby im o tym opowiedzieć, nie potrafiłyby opisać swoich uczuć. Chciała wyprawić Chipa Bixby'ego na tamten świat, ale wcale nie w momencie, gdy strzeliła do niego pierwszy raz – wtedy jej celem było tylko powstrzymanie go przed skrzywdzeniem Maggie i sprawienie, żeby wreszcie przestał mówić te wszystkie okropne rzeczy.

O białym szlafroku. O fioletowym kocu. O omie.

Poczuła chęć mordy dopiero w chwili, gdy ujrzała nieśmiertelnik swojego męża. Wpadła w szal i miała ochotę zrobić Chipowi coś strasznego. Nie tylko go zabić, ale władować w niego cały magazynek, a potem posypać rany solą i zatańczyć w jego ciepłej krwi.

Miała wrażenie, że w środku jest martwa i w związku z tym stać ją na wszystko.

Ujawnił się wtedy kolejny aspekt jej osobowości, mroczny i przerażający. Trzymała palec na spuście i była gotowa nacisnąć, ale w ostatniej chwili zwyciężyła inna Kate. Nie była jednak pewna która. Córka? Wdowa? Policjantka? Dziwka?

Miała nadzieję, że ta prawdziwa. Najważniejsze, że potrafiła wziąć sprawy w swoje ręce – zdjęła palec z cyngla i rzuciła Maggie kajdanki. W gruncie rzeczy była dobrym człowiekiem i nie zamierzała czynić zła.

Dlaczego tak właśnie się stało?

Ponieważ dokonała wyboru.

W ostatniej chwili powstrzymała się przed skokiem w otchłań. Nie była samozwańcem. Nie była kimś takim jak Chip Bixby. Jako policjantka powinna stać na straży prawa i właśnie to zrobiła. A może nawet więcej – udało jej się nie tylko obronić Maggie i ocalić Jimmy'emu życie, lecz także uratować samą siebie.

Jasne, przy okazji zsiakała się w spodnie, ale dzięki Philipowi miała w kieszeni bieliznę na zmianę.

Zamknęła auto na klucz, co było trochę dziwne, ponieważ nie opuściła dachu, chciała jednak wyrobić w sobie odpowiedni nawyk. Zakładając czapkę, skrzywiła się z odrazą. Niezależnie od liczby zapachowych saszetek, które wtykała do środka każdego wieczoru, wewnątrz i tak śmierdziało potem Jimmy'ego. Dobrze, że proszek do pieczenia okazał się skutecznym środkiem na pozbycie się brzydkiego zapachu z jego butów.

Małe zwycięstwa.

Weszła na chodnik. Był rześki słoneczny poranek. Gdy maszerowała dziarskim krokiem w kierunku komendy, pałka zaczęła obijać się o jej nogę, a kabura wpijać w bok. Zastanawiała się, czy dostanie od tego zgrubień na skórze. Powinna zapytać lekarza.

– Murphy. – Za jej plecami pojawił się Jimmy Lawson.

Zwolniła, żeby mógł ją dogonić.

– Jak minął weekend? – zapytała.

– Jak zwykle. Nic szczególnego. Seks i narkotyki.

Spojrzała na niego. Do tej pory nie sprawiał wrażenia dowcipnisia.

Może po prostu źle go oceniła. Tydzień temu wydawał się innym człowiekiem, nie tylko z powodu braku siniaków na nadgarstkach. Zniknął gdzieś gniew, który wcześniej w sobie nosił. Kate zastanawiała się, kiedy to się stało. Nikt nie wiedział, co się wydarzyło w ciągu osiemnastu godzin, kiedy był zakładnikiem Chipa. Jimmy twierdził, że siedział u siebie w pokoju i ściągnął go do kuchni hałas, a potem ocknął się dopiero na dachu opuszczonego biurowca, kiedy Chip wymierzył mu policzek. W każdym razie taka była jego wersja.

Nawet nie zająknął się o liście.

Kate niezbyt się tym przejęła. Niezależnie od tego, co się tak naprawdę stało, mogła jedynie mieć nadzieję, że Jimmy odzyska wewnętrzny spokój. Maggie potrzebowała swojego brata. Zresztą policja też potrzebowała młodego Lawsons. Kate nie była jednak pewna, jak długo Jimmy wytrzyma w tym zawodzie. Chociaż uważała zagrywkę z kłamstwem Chipa za majstersztyk, po komendzie cały czas krążyły pogłoski. Wcześniej wydawało jej się, że pod tym względem najgorsze były jej koleżanki ze szkoły średniej. Wczoraj wieczorem powiedziała jednak babci, że nie ma drugiego miejsca tak gnębionego przez plagę plotkarstwa jak Wydział Policji miasta Atlanta.

To był jedyny szczegół, który wyjawiała babci.

Po strzeleniu na Howell Yard w gazecie opublikowano zdjęcie Kate. Wcześniej pozwoliła reporterowi, żeby poinformował jej rodzinę o tym, co się stało, ale dzięki dyskrecji komendanta nawet dziennikarze nie wiedzieli zbyt wiele. Prawda o Chipie Bixbym i jego przyprawiającym o mdłości dzienniku będzie przez następne sto lat spoczywała w policyjnym archiwum. Chyba że Kate dostanie awans. Była pewna, że oficerowie dochodzeniowi mają nieograniczony dostęp do dokumentacji.

– Mogę cię o coś zapytać? – powiedział Jimmy.

– Jasne.

– Strzały na klatce schodowej. Dlaczego je liczyłaś?

Głośno westchnęła.

– Stoliki zarezerwowane na minimum cztery osoby. Do przebieralni można zabrać ze sobą maksymalnie sześć sztuk odzieży. W lokalu trzeba zamówić minimum dwa drinki. – Wzruszyła ramionami. – Całe życie coś liczę.

– Jezu Chryste – wymamrotał. – Nie przyszło ci do głowy, że któryś z tych strażów mogła oddać Maggie?

– Owszem. – Uśmiechnęła się do niego. – Wpadłam na to zaraz po powrocie do domu. Prawie dostałam zawału.

– Robisz sobie ze mnie jaja?

– Nie, naprawdę tak było. – Pamiętała, że weszła wtedy pod prysznic i stała pod nim tak długo, aż skończyła się ciepła woda. – Szczerze mówiąc, wcześniej nawet przez myśl mi nie przeszło, że Maggie również mogła pociągnąć za spust.

– Dobry Boże! Uratowały mnie Lucy i Ethel z *Kocham Lucy*. – Przekomarzał się z nią, ale w jego głosie nie było ani krzty wrogości. Wskazał ręką na schody prowadzące do komendy. – Panie przodem.

– Ojejku, dziękuję. – Weszła na górę i stanęła przed drzwiami. W wejściu jak zwykle kłębił się tłum gliniarzy i nikt nie miał najmniejszego zamiaru jej przepuszczać.

Odwróciła się i prawie wpadła na Jimmy'ego.

– Dobra, widzimy się wieczorem – powiedziała.

Jimmy otworzył usta ze zdziwienia, a wtedy ona przywarła do niego wargami.

To nie był zwykły pocałunek. Naprawdę się postarała. Z takim zaangażowaniem głaskała go po karku i drapała w tył głowy, że jego czapka wylądowała na posadzce.

Kiedy skończyli, Jimmy schylił się, żeby ją podnieść, a Kate otworzyła przybrudzone drzwi.

Przedarcie się przez pokój odpraw nie było już tak trudne jak pierwszego dnia. Przez ostatni tydzień naprawdę wiele się nauczyła.

Zignorowała rysunek przedstawiający penisa, który ktoś znowu nabazgrał na drzwiach damskiej przebieralni, nacisnęła klamkę i wśliznęła się do środka.

Maggie stała przy swojej szafce. Oprócz niej nikogo jeszcze nie było.

- Wcześniej dziś przyszedł.
- Nie przyzwyczajaj się.
- Nie mam zamiaru.

Kate uśmiechnęła się i zaczęła wybierać odpowiednią kombinację na kłódce. Postanowiła jeszcze raz sprawdzić kieszenie. Kurczę, znowu zapomniała gotówki.

Zdjęcie Patricka było na swoim miejscu. Dotknęła jego pięknej twarzy. Cal Vick powiedział, że odda nieśmiertelnik, ale grzecznie odmówiła. Miała zamiar wynająć nowe mieszkanie. Nie chciała wracać do hotelu Barbizon i chociaż ojciec zaproponował, żeby wróciła na Buckhead, uznała, że jest już na to za stara.

Ostatnie wątpliwości zniknęły, kiedy zobaczyła ślady stóp pod oknem w suterenie i doszła do wniosku, że powinna znaleźć sobie jakieś bezpieczniejsze lokum. Na samą myśl o tym, że podglądał ją Chip Bixby, robiło jej się niedobrze.

Więc o tym nie myślała.

Schowała portfel do szafki.

- Słyszałam, że jutro ma się odbyć pogrzeb Jake'a Coffee'ego.
- Gail chce, żebym ją zabrała. Podwieźć cię?

Kate pomyślała o ostatnim pogrzebie, na którym była. Ciało Patricka przyleciało do Atlanty samolotem z drugiego końca świata. Nie obyło się bez biurokratycznych zawirowań, a na domiar złego nad miastem rozpętał się huragan. Dopiero po dziesięciu dniach zwłoki zostały przewiezione do domu. Kate była tym tak umęczona, że ledwie pamiętała moment, kiedy trumna zjechała do grobu.

– Wszystko w porządku? – zapytała Maggie.

– Oczywiście – skłamała Kate. – Spotkamy się u Gail, żebyś nie musiała jechać aż na Buckhead.

– Buckhead – mruknęła Maggie. – Słuchaj, chciałabym cię ostrzec. Gail zamierza zdobyć licencję prywatnego detektywa.

Kate zasłoniła dłonią usta.

Maggie wiedziała, co się święci.

- Nie ze wszystkiego można sobie żartować.
- Agencja detektywistyczna Cyklop?
- Przestań. – Głowa Maggie zniknęła w szafce. Mówiła teraz przytłumionym głosem. – Będziemy pilnować twoich spraw jak oka w głowie.
- Niezłe!
- Dzień dobry, drogie panie! – Przez szparę w drzwiach wcisnęła się Wanda Clack. – Znowu ktoś wymalował kutasa? Naprawdę?
- Cieniowanie nadało temu rysunkowi odrobinę realizmu – powiedziała Kate.
- Chylę głowę przed nową panią Lawson, znaną ekspertką w tych sprawach.

– Co takiego? – zapytała Maggie.

– Nie wiedziałaś, że Murphy prowadzi się z twoim bratem? – Wanda usiadła na ławce.
– Całowali się przed komendą. Widziała ich połowa jednostki.

Maggie spojrzała na Kate, ale ta wzruszyła tylko ramionami.

– Nie mogę uwierzyć, że znowu jest poniedziałek. I tak jest do cholery co tydzień. – Wanda otworzyła szafkę i zaczęła przypinać do pasa sprzęt: nadajnik, pałkę, kajdanki. – W sobotę byłam na randce z pewnym przystojniaczkiem. Wyglądał jak Al Pacino, tylko trochę niższy. Wziął mnie na kolację, a potem poszliśmy tańczyć. Niestety, kiedy zorientował się, że jestem policjantką, uciekł przez okno w toalecie i zostawił mnie z rachunkiem! – Parsknęła śmiechem. – Chyba miałam szczęście. Dobrze, że nie schował w kiblu pistoletu.

Maggie uśmiechnęła się promiennie. Widać było, że jest w dobrym nastroju.

– Zawsze możesz umówić się z gliniarzem.

– Zostawiam to młodym i głupim. Co nie, Murphy?

– Oczywiście.

Nagle ktoś otworzył szeroko drzwi i do przebieralni weszła niepewnym krokiem dziewczyna. Przyciskała dłonie do piersi i wyglądała na ciężko przerażoną. Miała na sobie o trzy rozmiary za duży mundur, a czapka opadała jej na oczy.

– Jezu Chryste! – W progu stanęła Charlaine Compton, odwróciła się i zatrzasnęła drzwi obiema rękami. – Co ty sobie wyobrażasz? Przecież tu mogą być nagie kobiety.

Nowicjuszka zaczęła bezgłośnie poruszać ustami. Widać było, że ma ochotę stąd uciec i pewnie by to zrobiła, gdyby Charlaine nie blokowała wyjścia.

– Popatrzcie na nią, nieźle wystraszona – zakpiła Wanda.

– Jak sarenka oświetlona reflektorami na środku drogi – powiedziała z udawanym smutkiem w głosie Charlaine. – Biedactwo nie wytrzyma do końca tygodnia.

Kate zaczęła się jej bacznie przyglądać. Miała ciemne włosy i zdrową cerę. Chociaż strach nie dodawał jej uroku, widać było, że jest całkiem atrakcyjna.

– Jak masz na imię, skarbie? – zapytała Wanda.

– B-B-Beth Dawson.

– Przypomina mi tę dziewczynę z *Laugh-In*. Jak ona się nazywa?

– Lily Tomlin? – zasugerowała Charlaine. – Judy Carne?

– Ruth Buzzi! – Aż klasnęła z radości. – Będę na ciebie mówić Buzzi.

Charlaine spojrzała na zegarek.

– Muszę zadzwonić do siostry. Powinnam się upewnić, że odwiozła dzieciaka do szkoły, a nie wsadziła go do bagażnika.

– Trzeba się zbierać. Zaraz wpadną tu nasze kolorowe koleżanki. – Wanda klepnęła Kate w nogę i wyciągnęła rękę. Kate pomogła jej wstać z ławki.

Wanda nie wyszła jednak z przebieralni, tylko podeszła do Dawson i złapała ją za

ramiona.

– Słuchaj, Buzzi, mam dla ciebie dobrą radę. Trzymaj się z daleka od Jimmy’ego Lawsons. To chłopak Kate Murphy. – Potrząsała nią jak workiem ziemniaków. – Uwierz mi, nie chcesz z nią zadzierać. W zeszłym tygodniu strzeliła do jednego gościa, tylko dlatego, że chciała usłyszeć, jak krzyczy.

Wanda uchyliła drzwi i wymknęła się na zewnątrz.

– Vick powiedział, że dzisiaj znowu pracujemy razem. Cieszysz się?

– Jestem zachwycona. – Kate nie mogła się powstrzymać przed tą drobną złośliwością, choć akurat tym razem była to szczerza prawda.

Maggie jednak o tym nie wiedziała, więc tylko pokręciła głową i przecisnęła się bokiem przez uchylone drzwi.

Kate zasunęła torebkę, jeszcze raz poklepała się po kieszeniach i z hukiem zatrzasnęła szafkę.

Dawson aż podskoczyła. Stała wciśnięta w róg i cały czas przyciskała dłonie do klatki piersiowej. Czapka opadła jej tak nisko, że nie widać było, jaki ma kolor oczu.

– Wyprostuj ręce – powiedziała Kate.

Dawson odkleiła dłonie od koszuli, ale wypuściła przy tym torebkę. Schyliła się, żeby ją podnieść i uderzyła głową w klamkę.

Kate z trudem powstrzymywała się od śmiechu.

– Masz kłódkę?

Dziewczyna była zbyt przerażona, żeby się odezwać, więc tylko pokręciła głową. Poprawiła czapkę, ale po chwili rondo znowu zsunęło jej się na oczy.

Kate otworzyła swoją szafkę.

– Schowaj tu torebkę, a po pracy załatw sobie jakiś zamek. Na Central Avenue koło uniwersytetu jest sklep sportowy. Jeśli pójdziesz tam w mundurze, dadzą ci taki zamek za friko.

Dawson ani drgnęła.

Kate wyrwała jej torebkę i wrzuciła do szafki.

– Nigdy nie otwieraj tych drzwi na oścież, bo zaglądamy tu faceci. Daj sobie spokój z przydziałowymi skarpetkami. Franklin Simon sprzeda ci za dolara porządne wełniane, chociaż ja akurat wolę kaszmirowe od Davisona. W każdym razie powinny być grube, żeby buty lepiej przylegały do stóp. Znajdź też zszywacz. Wsuwki do włosów nie będą długo trzymać. Uwierz mi, skończysz jak strach na wróble z *Czarnoksiężnika z krainy Oz*. Poza tym musisz widzieć, co się wokół ciebie dzieje. Rozglądaj się. Patrz w górę, w dół, w prawo, w lewo, do przodu i do tyłu. A teraz zdejmij czapkę.

Dawson zrobiła, co jej kazano.

– Widzisz tę zasłonkę? Po drugiej stronie przebierają się nasze ciemnoskóre koleżanki. Przychodzą dziesięć minut przed odprawą. Taka jest zasada. Nie powinno cię tu wtedy być.

Jeśli cię zobaczą, skopią ci tyłek. Potrafią być naprawdę wredne. Zrozumiałaś?

Kilka razy kiwnęła głową i widać było, że stara się zapamiętać wszystkie te informacje.

Zamiast trochę zwolnić, Kate zaczęła mówić jeszcze szybciej:

– Za przerabianie munduru nie wylądujesz w areszcie. Na Czternastej jest krawiec, który się tym zajmie. Jest Żydem, ale całkiem rozsądnym. Co jeszcze? Toalety są na piętrze, ale jest ciasno. Tylko dwie kabiny. Nie używaj lakieru do włosów przed lustrem, chyba że chcesz się komuś narazić. Wcale nie żartuję. Tutaj wszyscy noszą broń. Tak w ogóle to mam na imię Kate.

Dawson przez chwilę się zawahała, ale nieśmiało podała Kate rękę.

– Witam w Wydziale Policji miasta Atlanta.

Podziękowania

Na wstępie chciałam zaznaczyć, że Atlanta nie jest jednorodnym miastem, a każde doświadczenie jest inne. W tej powieści czytelnik znajdzie bardzo wiele szczegółów z życia wziętych, ale wciąż jest to fikcja (a to oznacza, że niektóre rzeczy sobie wymyśliłam).

Za wszelkie informacje dotyczące Atlanty w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku chciałam podziękować Janice Blumberg, Donie Robertson, Vickye Prattes oraz niezwykle miłemu i przystojnemu doktorowi Chipowi Pendletonowi. Jestem również niezmiernie wdzięczna mojej holenderskiej tłumaczce Ineke Lenting za pomoc w niderlandzkim (na dobrą sprawę w ogóle nie znam tego języka, z wyjątkiem kilku przekleństw, których nauczyłam się od Marjolein). Iannis Goerlandt i Leen van den Broucke odpowiedzieli na wszystkie moje pytania dotyczące Flandrii (w tym miejscu chciałam przeprosić moich flamandzkich czytelników, których uwielbiam – jesteście najsympatyczniejszymi i najradośniejszymi ludźmi, jakich kiedykolwiek spotkałam, i bardzo cenię sobie czas, który z Wami spędziłam). Melissa van der Wagt pokazała mi, jak wymawia się niektóre holenderskie słowa (nie, Melisso, wcale nie przypominają swoich angielskich odpowiedników). Nanda Brouwer zabrała mnie do Żydowskiego Muzeum Historycznego w Amsterdamie, w którym Mirjam Knotter z wielką cierpliwością odpowiadała na moje pytania. Mam też ogromny dług wdzięczności wobec Lindy Andriesse z Hollandsche Schouwburg za poświęcony mi czas i chęć podzielenia się ze mną osobistymi doświadczeniami. Dziękuję również Barbarze Reuten za zorganizowanie obu tych spotkań. Zachęcam każdego, kto interesuje się historią Holandii i drugą wojną światową, do odwiedzenia i wspierania tych niezwykle ważnych instytucji. Wszystkim polecam natomiast wizytę w Holandii (a szczególnie we Flandrii!). Przyjedźcie tu, jeśli tylko będziecie mieli okazję.

Przepraszam entuzjastów kolejnictwa za swobodę, z jaką potraktowałam Howell Yard Wye. Chciałabym również wspomnieć, że album *Warren Zevon*, zawierający piosenkę *Poor Poor Pitiful Me*, został nagrany w 1975 roku, a wydany dopiero w maju 1976 roku.

David i Ellen Conford byli moim przewodnikami po wszystkim, co związane z jidysz. Jeśli czytelnicy znajdą jakieś błędy: *a glick hot dich getroffen!* Dziękuję Laurentowi Bouzereau za jego wizytownik, a Susan Rebecce White za pomoc przy scenie w restauracji Colonnade. Kitty, jestem Ci wdzięczna za udowodnienie, że dojrzałe kobiety wciąż mówią „ojejku”. Kat, sama wiesz za co. Gillian, właśnie nad tym pracowałam, kiedy Ty wymyślałaś swój świetny dowcip z batatami. Charlaine i Lee, tak, Wam również dziękuję. Mo Hayder, przykro mi, że tym razem tak niewiele postaci ginie brutalną śmiercią. W przyszłości bardziej się postaram.

Pragnę też złożyć podziękowania mojemu zespołowi redakcyjnemu, czyli Jennifer Hershey i Kate Elton (BBF). Jestem Wam niezmiernie wdzięczna za staranność i cierpliwość. Pisanie powieści jest jak spacer po linie i bardzo się cieszę, że mam do dyspozycji tak niezawodną siatkę zabezpieczającą. Dziękuję również pracownikom amerykańskiego i brytyjskiego oddziału wydawnictwa Random House – Ginie Centrello, Libby McGuire, Susan Sandon, Georginie Hawtrey-Woore, Jenny Geras i Markusowi Dohle. Mam również dług wdzięczności wobec Victorii Sanders, która znosiła moje humory, oraz Diane Dickensheid, która była świadkiem tego, jak Victoria znosi moje humory. Wreszcie coś miłego dla Angeli Cheng Caplan – jesteś niezastąpiona. Niestety, więcej kłopotów w drodze.

Na koniec pragnę podziękować dwóm najważniejszym osobom w moim życiu. Mojemu tacie, który kiedy jestem ogarnięta gorączką pisania, przynosi mi zupę i chleb z mąki kukurydzianej oraz przypomina, żebym się uczesała. Oraz DA, mojej miłości – nie wiem, co zrobiłam, żeby na Ciebie zasłużyć, ale jestem prawie pewna, że Ty też tego nie pamiętasz.

- [1] W języku angielskim zarówno pseudonim sutenera Sir She, jak i imię postaci z mitologii greckiej Kirke – Circe – można wymówić dokładnie w ten sam sposób, czyli „serszi” (przypisy pochodzą od tłumacza).
- [2] Ani trochę (hol.).
- [3] Jest za mądra do takiej pracy (hol.).
- [4] Biblia Tysiąclecia, wydawnictwo Pallottinum.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Sienna 73

00-833 Warszawa

tel. +4822 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: +4822 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz

Spis treści

Mapa

LISTOPAD 1974

Prolog

DZIEŃ PIERWSZY poniedziałek

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

DZIEŃ DRUGI wtorek

17

18

19

20

21

22

DZIEŃ TRZECI środa

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

DZIEŃ CZWARTY czwartek

34

DZIEŃ ÓSMY poniedziałek

Epilog

Podziękowania

Przypisy